

Ernest Hemingway

Wyspy na Gofsztromie

Część I - Bikini

I

Dom stał na najwyższej części wąskiego pasma lądu pomiędzy portem a otwartym morzem. Przetrzymał już trzy huragany i był zbudowany solidnie jak okręt. Ocieniały go wysokie palmy kokosowe, przygięte przez pasaty, a z drzwi od strony oceanu można było zejść po skarpie i białym piasku do Golsztromu. Woda Golsztromu była zwykle ciemnobłękitna, kiedy się na nią patrzyło, a nie było wiatru. Ale kiedy się do niej wchodziło, widziało się tylko jej zieloną świetlistość nad tym mączystym, białym piaskiem i można było dojrzeć cień każdej dużej ryby na długo przedtem, nim zdołała podплыnąć do plaży.

Było to bezpieczne i doskonale miejsce do kąpieli za dnia, ale nie nadawało się do pływania nocą. W nocy przybliżały się do plaży rekiny polujące na skraju Golsztromu i z górnej werandy domu słyszało się w cichej nocy pluskanie ściganych przez nie ryb, a jeśli się zeszło na plażę, można było dojrzeć fosforyzujące szlaki, które pozostawiały w wodzie. W nocy rekiny nie bały się niczego i wszystko bało się ich. Ale za dnia trzymały się z dala od czystego, białego piasku, a jeśli podplływały, widziało się już z daleka ich cienie.

Mężczyzna nazwiskiem Thomas Hudson, który był dobrym malarzem, mieszkał w tym domu i pracował tam i na wyspie przez większą część roku. Kiedy się żyje dostatecznie długo pod tą szerokością geograficzną, zmiany pór roku stają się tam równie ważne jak wszędzie indziej i Thomas Hudson, który kochał tę wyspę, nie chciał opuścić żadnej wiosny ani lata, jesieni czy zimy.

Czasami lato bywało zbyt upalne, kiedy wiatr ustawał w sierpniu albo kiedy pasaty nie wiały w czerwcu i lipcu. We wrześniu, październiku i nawet na początku listopada zdarzały się huragany, a niespodziewane burze tropikalne mogły przyjść każdej chwili począwszy od czerwca. Jednakże w prawdziwe miesiące huraganów jest piękna pogoda, jeżeli nie ma burz.

Thomas Hudson przez wiele lat studiował burze tropikalne i potrafił poznać po niebie, że będzie jakieś tropikalne zakłócenie, jeszcze na długo zanim barometr wskazał jego obecność. Hudson umiał wytyczać burze i wiedział, jakie środki ostrożności należy przeciwko nim przedsięwziąć. Wiedział też, co to znaczy przeżyć huragan razem z innymi ludźmi na wyspie i jaką więź on wytwarza między wszystkimi tymi, co go przeszli. Wiedział również, iż mogą być huragany tak straszne, że nic nie zdoła ich przetrzymać. Mimo to zawsze myślał, że gdyby kiedyś przyszedł taki właśnie, chciałby tam wtedy być i zginąć razem z domem, jeśliby go zmiotło.

Dom miał nieomal równie dużo z okrętu, jak z domu. Ulokowany tak, aby opierać się burzom, był wbudowany w wyspę, jak gdyby stanowił jej część; ale ze wszystkich okien widziało się morze i był tam dobry przewiew, tak że miało się świeże powietrze do spania nawet w najgorętszą noc. Pomalowany był na biało dla chłodu w lecie i widziało się go już z daleka z Gofsztrumu. Był najwyższym punktem na wyspie, poza długą kępą wysokich drzew kazuarynowych, będących pierwszą rzeczą, jaką się dostrzegało, gdy wyspa wyłaniała się z morza. Wkrótce po tym, gdy się dojrzało ciemną plamę drzew kazuarynowych ponad linią morza, widziało się białą bryłę domu. A potem, kiedy podpłynęło się bliżej, ukazywała się wyspa w całej długości, z palmami kokosowymi, domkami o poszyciu z desek, białą linią plaży i zielenią Wyspy Południowej, która rozciągała się za nią. Ilekroć Thomas Hudson zobaczył ten dom tam, na wyspie, czuł się szczęśliwy na jego widok. Zawsze myślał o nim jako o statku. Zimą, kiedy wiały wiatry północne i robiło się naprawdę zimno, w domu było ciepło i przytulnie, ponieważ miał on jedyny kominek na wyspie. Był to duży kominek z otwartym paleniskiem i Thomas Hudson palił na nim drewnem wyrzucanym przez morze na brzeg.

Miał duży stos tego drewna ułożony pod południową ścianą domu. Było zbielałe od słońca i wyglądzane piaskiem niesionym przez wiatr, i zdarzało mu się tak polubić różne jego kawałki, że niechętnie je spalał. Ale po wielkich burzach zawsze przybywało drewna wyrzuconego na plażę i przekonał się, że jest przyjemnie palić nawet te kawałki, które polubił. Wiedział, iż morze wyrzeźbi ich więcej, i w zimne noce zasiadał w dużym fotelu przed ogniem, czytał przy świetle lampy stojącej na ciężkim stole z desek i czytając podnosił głowę, aby posłuchać dmącego na zewnątrz północno-zachodniego wiatru i huku przyboju, i wpatrywał się w wielkie, zbielałe, płonące kawały drewna.

Czasami gasił lampę, kładł się na dywanie na podłodze i przypatrywał się kolorowym obrzeżom, jakie sól morska i piasek w drewnie nadawały spalając się płomieniom. Leżąc na podłodze, miał oczy na wysokości płonącego drewna i widział zarys płomienia, który się odeń odrywał, i czuł się zarazem smutny i szczęśliwy. Każde palące się drzewo działało na niego w ten sposób. Ale płonące drewno, które morze wyrzuciło na brzeg, robiło z nim coś, czego nie potrafił określić. Myślał, że pewnie jest źle je palić, skoro tak je lubi, ale nie czuł z tego powodu żadnej winy.

Leżąc na podłodze czuł na sobie wiatr, chociaż w rzeczywistości smagał on dolne węgły domu i najniższą trawę na wyspie, korzenie nadmorskich zielsk i chwastów, i sam piasek. Na podłodze czuł łomotanie przyboju, tak jak pamiętał, że czuł ogień ciężkich dział leżąc na ziemi blisko jakiejś baterii dawno temu, kiedy był młodym chłopcem.

Kominek był wspaniałą rzeczą w zimie, a przez wszystkie inne miesiące Hudson spoglądał na niego z czułością i myślał, jak to będzie, gdy zima przyjdzie znowu. Zima była najlepszą ze wszystkich pór na wyspie i wyczekiwał jej przez całą resztę roku.

II

Zima się skończyła i wiosna już prawie minęła, kiedy synowie Thomasa Hudsona przyjechali na wyspę tego roku. Było umówione, że wszyscy trzej spotkają się w Nowym Jorku, razem wyjadą pociągiem, a potem przylecą z kontynentu samolotem. Były jak zwykle trudności z matką dwóch spośród chłopców. Zaplanowała sobie podróż do Europy, nie mówiąc oczywiście nic ich ojcu, i chciała ich zabrać na lato. On mógł ich mieć u siebie na święta Bożego Narodzenia; naturalnie po Bożym Narodzeniu. Samo Boże Narodzenie mieli spędzić z nią.

Thomas Hudson znał już dobrze ten układ spraw i w końcu nastąpił jak zwykle kompromis. Dwaj młodsi chłopcy mieli przyjechać do ojca na wyspę na pięć tygodni, następnie zaś odpłynąć z Nowego Jorku statkiem linii francuskich, klasą studencką, i spotkać się z matką w Paryżu, gdzie chciała kupić coś niezbędnego z ubrania. Podczas podróży miał się nimi opiekować starszy brat, młody Tom. Następnie młody Tom miał spotkać się ze swoją matką, która nakręcała film na południu Francji.

Matka młodego Toma nie prosiła o niego i chętnie by się zgodziła, żeby był u ojca na wyspie. Ale cieszyła się, że go zobaczy, więc był to rozsądny kompromis z nieugiętą decyzją matki młodszych chłopców. Była to zachwycająca i urocza kobieta, która nigdy w życiu nie zmieniła raz powziętego planu. Jej plany zawsze powstawały w tajemnicy, jak plany dobrego generała, i były równie twardo przeprowadzane. Można było dokonać kompromisu, ale nigdy zasadniczej zmiany planu, bez względu na to, czy plan ów został powzięty w bezsenną noc, w gniewny poranek czy w zaprawiony dżinem wieczór.

Plan był planem, a decyzja naprawdę decyzją i Thomas Hudson, wiedząc to wszystko i będąc dobrze obznajomionym z praktyką rozwodu, cieszył się, że osiągnięto kompromis i że dzieci przyjeżdżają na pięć tygodni. "Jeżeli pięć tygodni jest tym, co dostajemy - myślał - to taki już nasz los. Pięć tygodni to spory kawałek czasu do spędzenia z kimś, kogo się kocha i z kim chciałoby się być zawsze. Tylko dlaczego w ogóle odszedłem od matki Toma? Lepiej o tym nie myśleć - powiedział sobie. - To jest jedyna rzecz, o której lepiej nie myśleć. A z drugiej żony masz świetne dzieciaki. Bardzo to dziwne i bardzo skomplikowane i wiesz, ile dobrych cech mają po niej. To wspaniała kobieta i też nie powinienesz być nigdy jej rzucać." A potem powiedział do siebie: "Tak. Ale musiałem."

Jednakże nie martwił się zbytnio tym wszystkim. Już dawno przestał się martwić i poczucie winy egzorcyzmował jak mógł pracą, i teraz obchodziło go tylko to, że chłopcy przyjeżdżają i że powinni dobrze spędzić lato. A potem powróci do pracy.

Nieomal wszystko prócz dzieci udało mu się zastąpić pracą i regularnym, normalnym życiem zawodowym, które zbudował sobie na wyspie. Uważał, że stworzył tam coś, co przetrwa i co go wciągnie. Teraz, kiedy tęsknił do Paryża, wspominał Paryż zamiast tam jechać. To samo dotyczyło całej Europy i znacznej części Azji i Afryki.

Pamiętał, co powiedział Renoir, kiedy mu oznajmiono, że Gauguin pojechał malować na Tahiti. “Dlaczego on musi wydawać tyle pieniędzy, żeby jechać malować tak daleko, kiedy maluje się tak dobrze tutaj, w Batignolles?” Po francusku brzmiało to lepiej: “quand on peint si bien aux Batignolles”, i Thomas Hudson myślał o wyspie jako o swoim quartier, i wrósł w nią, znał swoich sąsiadów i pracował tak samo usilnie jak niegdyś w Paryżu, kiedy młody Tom był jeszcze dzieckiem.

Czasami opuszczał wyspę, by łowić ryby u wybrzeży Kuby albo wybrać się w góry na jesieni. Ale wydzierżawił rancz, który miał w Montanie, bo najlepszym okresem było tam lato i jesień, a teraz chłopcy zawsze musieli jechać do szkół na jesieni.

Od czasu do czasu musiał jeździć do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się ze swoim sprzedawcą. Jednakże teraz sprzedawca częściej przyjeżdżał do niego i zabierał obrazy na północ. Thomas Hudson miał dobrą pozycję jako malarz i był ceniony zarówno w Europie, jak we własnym kraju. Miał regularny dochód z dzierżawy złóż naftowych na terenach, które niegdyś należały do jego dziadka. Były to pastwiska i po ich sprzedaniu zachował prawa do zasobów mineralnych. Blisko połowa tego dochodu szła na alimenty, ale reszta dawała mu zabezpieczenie, tak że mógł malować to, co chciał, bez żadnego komercyjnego nacisku. Pozwalało mu to również mieszkać tam, gdzie sobie życzył, i podróżować, kiedy mu przyszła ochota.

Powiodło mu się prawie we wszystkim z wyjątkiem życia małżeńskiego, choć w gruncie rzeczy nigdy mu nie zależało na powodzeniu. Zależało mu na malarstwie i własnych dzieciach i był wciąż jeszcze zakochany w pierwszej kobiecie, w jakiej się kochał. Od tamtej pory kochał wiele kobiet i czasem ktoś przyjeżdżał pomieszkać na wyspie. Potrzebował towarzystwa kobiet i były mile widziane na jakiś czas. Lubił mieć je u siebie, niekiedy przez dłuższy okres. Ale w końcu zawsze był rad, gdy wyjeżdżały, nawet jeżeli je bardzo polubił. Nauczył się nie kłócić już z kobietami i tego, jak się nie żenić. Tych dwóch rzeczy było prawie równie trudno się nauczyć jak ustatkowania i malowania w sposób systematyczny i uporządkowany. Ale nauczył się tego i miał nadzieję, że trwale. Umiał

malować od dawna i uważał, że uczy się coraz więcej z każdym rokiem. Jednakże trudno mu było ustatkować się i malować z jakąś dyscypliną, bo miał w życiu okres, kiedy był niezdyscyplinowany. Nigdy nie był naprawdę nieodpowiedzialny, ale bywał niezdyscyplinowany, samolubny i bezwzględny. Wiedział to teraz, nie tylko dlatego, że wiele kobiet mu to powiedziało, ale ponieważ w końcu odkrył to sam. Wtedy postanowił, że będzie samolubny tylko w swoim malowaniu, bezwzględny tylko w swojej pracy i że się zdyscyplinuje i pogodzi z dyscypliną.

Zamierzał cieszyć się życiem w ramach tej narzuconej sobie dyscypliny i pracować usilnie. A dzisiaj był bardzo szczęśliwy, bo rano miały przyjechać jego dzieci.

- Panie Tom, nic pan nie chce? - zapytał Joseph, jego służący. - Na dzisiaj pan skończył, nie?

Joseph był wysoki, miał bardzo długą, bardzo czarną twarz, duże ręce i duże stopy. Miał na sobie białą kurtkę i spodnie i był boso.

- Dziękuję ci, Joseph. Chyba nie.

- Mały dzin z tonikiem?

- Nie. Myślę, że pójdę się napić do pana Bobby'ego.

- Niech pan wypije tutaj. To taniej. Pan Bobby był w złym humorze, kiedy tamtędy przechodziłem. Mówi, że za dużo mieszanych drinków. Ktoś z jakiegoś jachtu zażądał czegoś, co się nazywa Biała Lady, a on podał butelkę tej amerykańskiej wody mineralnej z panią w takiej białej sukni, jakby z siatki przeciwko moskitom, siedzącą nad źródłem.

- Chyba lepiej tam pójść.

- Najpierw panu zmieszam jednego. Przywieźli pocztę statkiem pilota. Może pan ją przeczytać i wypić drinka, a potem pójść do pana Bobby'ego.

- Niech będzie.

- To dobrze - powiedział Joseph. - Bo już go zmieszałem. Ta poczta to chyba nic ważnego, proszę pana.

- Gdzie jest?

- Na dole, w kuchni. Zaraz przyniosę. Na dwóch listach jest pismo kobiece. Jeden z Nowego Jorku. Jeden z Palm Beach. Ładne pismo. A jeden od tego pana, co sprzedaje pańskie obrazy w Nowym Jorku. Jeszcze parę, których nie znam.

- Chcesz na nie odpowiedzieć za mnie?

- Owszem. Jeżeli pan sobie życzy. Jestem dużo bardziej wykształcony, niż mogłem sobie na to pozwolić.

- Lepiej je przynieś na górę.

- Dobrze, panie Tom. Jest także gazeta.

- Zachowaj ją, proszę, do śniadania.

Thomas Hudson siedział, czytał listy i popijał chłodny napój. Jeden z listów przeczytał powtórnie, a potem włożył je wszystkie do szuflady biurka.

- Joseph - zawołał. - Masz wszystko przygotowane dla chłopców?

- Tak jest, panie Tom. I dwie dodatkowe skrzynki Coca-Coli. Młody Tom musi już być wyższy ode mnie, prawda?

- Jeszcze nie.

- Myśli pan, że już by mnie nalał?

- Nie sędzę.

- Tyle razy boksowałem się z tym chłopakiem w życiu prywatnym - powiedział Joseph. - Całkiem zabawnie będzie mówić do niego pan. Pan Tom, pan David i pan Andrew. Trzy najfajniejsze cholerne chłopaki, jakich znam. A najbardziej cięty jest Andy.

- Taki był od początku - rzekł Thomas Hudson.

- I potem nie przestał, oho! - powiedział Joseph z podziwem.

- Daj im dobry przykład tego lata.

- Chyba pan nie chce, żebym dawał tym chłopcom dobry przykład. Może trzy, cztery lata temu, kiedy byłem jeszcze naiwny. Ja sam się będę wzorował na Tomie. Był w kosztownej szkole i ma dobre, kosztowne maniery. Nie mogę wyglądać dokładnie tak jak on. Ale mogę się tak zachowywać. Swobodnie, bezpośrednio, ale grzecznie. I będę taki sprytny jak Dave. To najtrudniejsze. A potem się dowiem sekretu, jak Andy robi się taki cięty.

- Ale nie zacznij być tutaj cięty.

- Nie, panie Tom, pan mnie źle zrozumiał. Ta ciętość to nie do domu. Chcę tego w moim życiu prywatnym.

- Miło będzie mieć ich tutaj, nie?

- Proszę pana, nie było czegoś takiego od czasu wielkiego pożaru. Stawiam to na równi z Drugim Przyjściem. Pan pyta, czy będzie miło? Tak, proszę pana, będzie miło.

- Będziemy musieli obmyślić dla nich masę rzeczy, żeby się dobrze bawili.

- Nie, proszę pana - powiedział Joseph. - Powinniśmy obmyślić, jak ich ochraniać przed ich własnymi strasznymi pomysłami. Eddy może nam pomóc. On ich zna lepiej ode mnie. Ja jestem ich przyjacielem i to utrudnia sprawę.

- Jak tam Eddy?

- Popijał trochę na konto dnia urodzin królowej. Jest w pierwszorzędnej formie.

- Lepiej pójdę do pana Bobby'ego, póki jest w złym humorze.
- Pytał o pana. Jeżeli był kiedyś dżentelmen, to właśnie pan Bobby, i czasem ta hołota, co przypląwa na jachtach, zdziera mu nerwy. Miał je diabelnie zdarte, jak wychodziłem.
- Coś ty tam robił?
- Poszedłem po Coca-Colę i zostałem, żeby poćwiczyć sobie kijem bilardowym.
- Jaki jest stół?
- Gorszy.
- Zejdę na dół - powiedział Thomas Hudson. - Chcę wziąć prysznic i przebrać się.
- Rozłożyłem pana rzeczy na łóżku - powiedział mu Joseph. - Chce pan jeszcze jeden dżin z tonikiem?
- Nie, dziękuję.
- Pan Roger przypląnął statkiem.
- Dobrze. Złapię go.
- Czy on będzie tu mieszkał?
- Możliwe.
- W każdym razie pościelę dla niego łóżko.
- Dobrze.

III

Thomas Hudson wziął prysznic i wyszorował sobie głowę mydłem, a potem opłukał się kłującym prądem ostro tryskającego prysznicy. Był masywnym mężczyzną i wyglądał masywniej nago niż w ubraniu. Był bardzo opalony, a włosy miał zjaśniałe i odbarwione od słońca. Nie miał żadnej nadwagi i sprawdzwszy stwierdził, że waga wskazuje sto dziewięćdziesiąt dwa funty.

“Powinienem być popływać, zanim wziąłem prysznic - pomyślał. - Ale pływałem długo dziś rano, nim zacząłem pracować, i jestem teraz zmęczony. Będzie masa pływania, jak przyjadą chłopcy. I Roger też jest tutaj. To dobrze.”

Włożył czyste szorty, starą baskijską koszulę i mokasyny i zszedł z domu po stoku, a potem przez furtkę w parkanie w jaskrawy blask wybielonego słońcem koralu Drogi Królewskiej.

Przed nim wyprostowany stary Murzyn w czarnej alpakowej marynarce i wyprasowanych ciemnych spodniach wyszedł z jednej ze stojących wzdłuż drogi chat z nie

malowanych desek, którą ocieniały dwie wysokie palmy kokosowe, i skręcił na drogę. Thomas Hudson dojrzał jego wspaniałą czarną twarz, kiedy skręcał.

Zza chaty doleciał głos dziecka śpiewającego drwiąco starą angielską piosenkę.

Wujcio Edward przybył z Nassau,
by cukierków trochę sprzedać
P. H. kupił i mnie kazał,
takiej frajdy nic nam nie da -

Wuj Edward obrócił swą wspaniałą twarz, która wyglądała równie smutno, jak gniewnie w jasnym popołudniowym słońcu.

- Ja cię znam - powiedział. - Nie widzę cię, ale wiem, coś za jeden. Doniosę na ciebie konstablowi.

Głos dziecka rozbrzmiewał dalej, czysty i wesoły:

O, z Edwarda
o, z Edwarda
z Wujcia sztuka chytra, twarda,
a cukierki jego kit.

- Konstabl się o tym dowie - powiedział Wuj Edward. - Konstabl wie, jakie kroki przedsięwziąć.

- Masz dziś jakie zgniłe cukierki, Wuju Edwardzie? - zawołał chłopak. Uważał, żeby się nie pokazywać.

- Prześladowają człowieka - powiedział głośno Wuj Edward idąc dalej. - Targają i niszczą szatę jego godności. O dobry Boże, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.

Dalej przy Drodze Królewskiej słychać było inne śpiewy dolatujące z pokojów nad "Ponce de Leon". Jakiś murzyński chłopak przebiegł spiesząc koralową drogą.

- Była awantura, panie Tom, czy coś takiego - powiedział. - Jeden pan z jachtu wyrzucał rzeczy przez okno.

- Jakie rzeczy, Louis?

- Co się dało, panie Tom. Wyrzucał wszystko, co mu w ręce wpadło. Ta pani chciała go powstrzymać, ale powiedział, że ją też wyrzuci.

- A skąd on jest?

- Jakiś ważny pan z północy. Mówi, że może kupić i sprzedać całą wyspę. Pewnie mógłby ją dostać całkiem tanio, jeżeli dalej będzie tak się rzucał.

- Czy konstabl interweniował?

- Nie, panie Tom. Nikt jeszcze nie wezwał konstabla. Ale wszystkim się wydaje, że już pora na niego.

- Ty jesteś z nimi, Louis? Chciałem dostać jakieś przynęty na jutro.

- Dobrze, przyniosę panu przynęty. Niech pan się o to nie martwi. Tak, jestem z nimi. Wynajęli mnie, żebym ich zabrał na połów albuli dziś rano i od tej pory jestem wciąż z nimi. Tyle że nie łowią albuli. Wcale nie. Chyba że ma być łowieniem ciskanie talerzami, filiżankami, kubkami i krzesłami; a za każdym razem jak pan Bobby przynosi mu rachunek, on go drze i mówi panu Bobby'emu, że jest złodziejski drań i łajdak.

- Z tego wygląda, że to trudny pan.

- Panie Tom, to jest najcholerniejszy pan, jakiego kto widział przedtem czy potem. Kazał mi, żebym im śpiewał. Pan wie, że nie umiem śpiewać tak ładnie jak Josey, ale śpiewam, jak potrafię, a czasem lepiej niż potrafię. Robię co mogę. Pan wie, jak to jest. Słyszał pan, jak śpiewam. A on tylko by słuchał tej piosenki o mamie, co nie chce grochu ani ryżu, ani oleju kokosowego. W kółko i w kółko. To stara piosenka i zmęczyła mnie, więc mu powiedziałem: "Proszę pana, ja znam nowe piosenki. Dobre piosenki. Ładne piosenki. I znam też stare, takie jak ta o śmierci Johna Jacoba Astora na "Tytaniku", kiedy go zatopiła góra lodowa, i jakby pan sobie życzył, chętnie bym ją zaśpiewał zamiast tego, że ani grochu, ani ryżu. Powiedziałem to tak grzecznie i miło, jak tylko można. Tak jak pan wie, że bym powiedział. A on na to: "Słuchaj, ty głupi czarny draniu, ja mam więcej sklepów, fabryk i gazet, niż John Jacob Astor miał nocników do swojej, wie pan czego, i wsadzę twój łeb w te nocniki, jak będziesz próbował mi mówić, czego mam słuchać." Wtedy ta jego pani powiedziała: "Kochanie, czy ty naprawdę musisz być taki niegrzeczny dla tego chłopca? Uważam, że śpiewał bardzo dobrze, i chciałabym posłuchać jakichś nowych piosenek". A ten pan powiedział: "Słuchaj no, ty. Nie będziesz ich słuchała, a on nie będzie ich śpiewał." Panie Tom, on jest dziwny pan. Ale jego pani tylko powiedziała: "Och, kochanie, taki jesteś trudny." Panie Tom, on jest trudniejszy niż silnik dieslowski dla nowo narodzonej mały, co ledwie wyszła z łona matki. Przepraszam, jeżeli za dużo gadam. To mnie oburzyło. A jej było bardzo przykro przez niego.

- No i co z nimi teraz zrobisz, Louis?

- Poszedłem po perły konchowe - odrzekł.

Kiedy to mówił, przystanęli w cieniu palmy i Louis wydobył z kieszeni całkiem czystą chustkę i rozwinąwszy ją pokazał kilka błyszczących, opalizujących różowo, nie przypominających perły pereł, które czasem znajdują w muszlach krajowcy, kiedy je czyszczą, i których żadna kobieta, jaką znał Thomson Hudson, z wyjątkiem królowej Marii angielskiej, nigdy nie lubiła dostawać w podarunku. Ma się rozumieć, Thomas Hudson nie mógł uważać, że zna królową Marię, chyba jedynie z gazet i fotografii, i z jej sylwetki w "New Yorkerze", ale fakt, że lubiła perły konchowe, dawał mu poczucie, że zna ją lepiej niż wiele innych osób, które znał od dawna. Królowa Maria lubiła perły konchowe i wyspa obchodziła dziś jej urodziny, ale obawiał się, że perły niezbyt poprawią humor towarzysze pana. Poza tym było zawsze możliwe, iż królowa Maria mówiła, że je lubi, aby sprawić przyjemność swoim poddanym z Wysp Bahama.

Doszli do "Ponce de Leon" i Louis powiedział:

- Jego pani płakała, panie Tom. Płakała okropnie. Więc powiedziałem, że może pójść do Roya i przyniosę trochę tych pereł, żeby sobie obejrzała.

- Powinny sprawić jej wielką radość - rzekł Thomas Hudson. - Jeżeli lubi takie perły.

- Mam nadzieję. Właśnie je tam niosę.

Thomas Hudson wszedł do baru, gdzie było chłodno i prawie ciemno po blasku koralowej drogi, i zamówił dzin z tonikiem i kawałkiem skórki limony w szklance oraz kilkoma kroplami angostury. Za barem stał pan Bobby z groźną miną. Czterech młodych Murzynów grało w bilard, od czasu do czasu podnosząc stół, żeby zrobić trudny karambol. Na górze umilkł śpiew i w sali było bardzo cicho, rozlegał się tylko stukot bil. Przy barze stali dwaj członkowie załogi jachtu, który był przycumowany do nadbrzeża, i kiedy oczy Thomsona Hudsona przywykły do półmroku, poczuł, że jest tu świeżo i przyjemnie. Z góry zszedł Louis.

- Ten pan śpi - powiedział. - Zostawiłem perły jego pani. Ogląda je i płacze.

Thomas Hudson zauważył, że dwaj marynarze z jachtu wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Stał trzymając wysoką szklankę z przyjemnie gorzkawym napojem, popróbował pierwszego łyku i to mu przypomniało Tangę, Mombasę i Lamu, i całe tamto wybrzeże, i nagle poczuł tęsknotę do Afryki. Oto tu siedzi na wyspie, kiedy równie dobrze mógłby być w Afryce. "Psiakrew - pomyślał. - Zawsze mogę tam pojechać. Gdziekolwiek się jest, trzeba to stworzyć w sobie. Tutaj idzie ci to całkiem dobrze."

- Tom, czy tobie to naprawdę smakuje? - zapytał go Bobby.

- Jasne. Inaczej bym nie pił.

- Raz przez pomyłkę otworzyłem butelkę i smakowało jak chinina.

- Bo w tym jest chinina.

- Ludzie całkiem powariowali - rzekł Bobby. - Człowiek może pić, co chce. Ma na to pieniądze. Powinien sprawiać sobie przyjemność, a psuje porządny dżin dolewając do niego jakiś tam hinduski napój, w którym jest chinina.

- Mnie to smakuje. Lubię smak chininy ze skórką limony. Myślę, że to jakby otwiera pory żołądka czy coś. Podkręca mnie bardziej niż jakikolwiek inny napój z dżinem. Mam po tym dobre samopoczucie.

- Wiem. Picie zawsze ci daje dobre samopoczucie. A ja się po tym czuję parszywie.

Gdzie Roger?

Roger był przyjacielem Thomasa Hudsona i miał chatę rybacką dalej na wyspie.

- Powinien tu być niedługo. Zjemy coś z Johnnym Goodnerem.

- Nie pojmuję, po co tacy ludzie jak ty, Roger Davis i Johnny Goodner, którzy coś w życiu widzieli, siedzą na tej wyspie.

- To dobra wyspa. Sam tutaj siedzisz, nie?

- Ja siedzę, żeby zarabiać na życie.

- Mógłbyś zarabiać na życie w Nassau.

- Do cholery z Nassau. Tu jest zabawniej. To dobra wyspa do zabawy. I już tu zrobili kupę forsy.

- Lubię tu mieszkać.

- Jasne - powiedział Bobby. - Ja też. Wiesz o tym. Jeżeli mogę zarabiać na życie. Ty ciągle sprzedajesz te swoje obrazy?

- Teraz idą całkiem dobrze.

- Że też ludzie płacą za portrety Wuja Edwarda. Obrazy, na których są Murzyni w wodzie. Murzyni na łodzi. Murzyni w łodziach. Łodzie żółwiowe. Łodzie gąbkowe. Wzbierające szkwały. Trąby wodne. Rozbite szkunery. Szkunery w budowie. Wszystko to, co mogą oglądać za darmo. Naprawdę je kupują?

- Jasne, że kupują. Raz na rok urządza się wystawę w Nowym Jorku i sprzedaje obrazy.

- Z licytacji?

- Nie. Sprzedawca, który je wystawia, naznacza na nie cenę. Ludzie je kupują. Od czasu do czasu któreś kupują muzea.

- Nie możesz sam ich sprzedawać?

- Oczywiście.

- Ja bym chętnie kupił taką trąbę wodną - powiedział Bobby. - Taką cholernie dużą trąbę wodną. Czarną jak diabli. Albo lepiej dwie trąby, co idą z rykiem po płycznach i robią taki hałas, że się głuchnie. Wsysają całą wodę po drodze i straszą człowieka na śmierć. I żeby tam był, jak łowią gąbki w dinghy i nic nie mogę poradzić. Trąba wydmuchuje mi wodowskaz z ręki. O mało nie wysysie dinghy z wody. Taka cholerna trąba wodna. Ile by to kosztowało? Mógłbym to zawiesić tutaj. Albo w domu, jeżeliby nie spietrało mojej starej na śmierć.

- Zależy, jakie byłoby duże.

- Zrób takie duże, jakie chcesz - powiedział Bobby wspaniałomyślnie. - Taki obraz nie może być nigdy za duży. Wsadź tam trzy trąby wodne. Widziałem kiedyś przy wyspie Andros trzy trąby wodne bliżej niż przez ten pokój. Sięgały aż do samego nieba i jedna wessała łódź poławiacza gąbek, a kiedy ta łódź spadła, motor wyleciał na wylot przez kadłub.

- Kosztowałyby tylko tyle co płótno - powiedział Thomas Hudson. - Policzyłbym tylko za płótno.

- Rany boskie, to weź duże płótno - rzekł Bobby. - Namalujemy takie trąby wodne, że wystraszą ludzi z tego baru i z całej cholernej wyspy.

Był przejęty rozmachem projektu, lecz jego możliwości dopiero mu się zarysowywały.

- Tom, chłopie, myślisz, że potrafiłbyś namalować cały huragan? W samym oku burzy, kiedy już się wydmuchał z jednej strony i ucichł, i właśnie zaczyna z drugiej? Wsadzić tam wszystko, od Murzynów poprzywiązywanych do palm kokosowych, aż po statki wyrzucane podmuchem na wyspę. I rozpadający się duży hotel. Czterocalowe belki latające w powietrzu jak lance i martwe pelikany niesione wiatrem, jak gdyby były kroplami deszczu. Trzeba by pokazać, że barometr spadł do dwudziestu siedmiu, a szybkości wiatru nie da się zmierzyć. I fale załamujące się na ławicy, która jest dziesięć sążni pod wodą, i księżyc wychodzący w oku burzy. Dać falę przypływu, która nadchodzi i zalewa wszystko, co żyje. Zdmuchnięte do morza kobiety, z których wiatr zerwał suknie. Martwych Murzynów pływających wszędzie i latających w powietrzu...

- To strasznie duże płótno - powiedział Thomas Hudson.

- Cholera z płótnem! - odparł Bobby. - Wezmę grotzagiel ze szkunera. Namalujemy najwspanialsze cholerne obrazy na świecie i przejdziemy do historii. A ty malowałeś tylko te proste, małe obrazki.

- Zacznę od trąb wodnych - powiedział Thomas Hudson.

- Niech będzie - rzekł Bobby, niechętnie wyrzekając się wielkiego projektu. - Słusznie. Ale jak Boga kocham, możemy zrobić jakieś wielkie obrazy z naszą znajomością rzeczy i z tą praktyką, którą już masz.

- Zabiorę się jutro do trąb wodnych.

- Dobra - powiedział Bobby. - To na początek. Ale, jak mi Bóg miły, chciałbym, żebyśmy też namalowali ten huragan. Czy ktoś kiedy namalował zatonięcie "Tytanika"?

- Nie na jakąś naprawdę dużą skalę.

- Moglibyśmy to namalować. To jest temat, który zawsze przemawiał do mojej wyobraźni. Można by tam pokazać chłód góry lodowej odpływającej, kiedy w nią uderzyli. Namalować całość w gęstej mgłę. Dać wszystkie szczegóły. Tego mężczyznę, co wsiadł do łodzi razem z kobietami, bo myślał, że mógłby pomóc, bo znał się na jachtach. Namalować go jak żywego, kiedy wsiada do łodzi depcząc po kobietach. On mi przypomina tego gościa, którego teraz mamy tu na piętrze. Może byś poszedł na górę i narysował go, póki śpi, i wykorzystał do obrazu?

- Myślę, że lepiej, abyśmy zaczęli od trąb wodnych.

- Tom, ja chcę, żebyś ty był wielkim malarzem - powiedział Bobby. - Zostaw te wszystkie drobiazgi. Po prostu się marnowałeś. Przecież naszkicowaliśmy tu sobie wspólnie trzy obrazy w niecałe pół godziny, a jeszcze nawet nie zacząłem czerpać z mojej wyobraźni. A co ty robił do tej pory? Malowałeś Murzyna odwracającego żółwia na plaży. Nawet nie zielonego. Zwykłego żółwia. Albo dwóch Murzynów w czólnie tarמושących się z kupą homarów. Zmarnowałeś życie, człowieku.

Przerwał i łyknął jednego szybkiego spod lady.

- To się nie liczy - powiedział. - Nie widziałeś, że bym coś pił. Słuchaj, Tom, to są trzy wspaniałe obrazy. Wielkie obrazy. Światowej miary. Mogłyby wisieć w Pałacu Kryształowym obok arcydzieł wszystkich czasów. Tyle że ten pierwszy to naturalnie drobny temat. Ale jeszcześmy nie zaczęli. Nie ma powodu, żebyśmy nie mogli namalować takiego, który przeskoczy wszystko. Co o tym myślisz?

Łyknął bardzo szybkiego.

- O czym?

Pochylił się nad barem, żeby inni nie słyszeli.

- Nie łam się - powiedział. - Niech cię nie peszy ten rozmach. Trzeba mieć wyobraźnię, Tom. Możemy namalować koniec świata. - Przerwał. - Naturalnej wielkości.

- Piekielny obraz - powiedział Thomas Hudson.

- Nie. Jeszcze przed piekłem. Piekło dopiero się otwiera. Rollerzy [Sekta religijna.] rolują w tym swoim kościele na skarpie i wszyscy gadają nieznanymi językami. A diabeł dźga ich widłami i ładuje na wózek. Krzyczą, jęczą i wzywają Jehowę. Wszędzie leżą plackiem Murzyni, a węgorze, kraby i morskie pająki lażą dokoła i po ich ciałach. I jest taka wielka, otwarta jakby ładownia, i diabły taszcą do niej Murzynów i duchownych, i rollerów, i wszystkich, i ci tam znikają. Dokoła całej wyspy podnosi się woda i rekiny-młoty, rekiny makrelowe, rekiny tygrysie i rekiny płaskonose pływają w kółko i w kółko i zżerają tych, co próbują odpłynąć, żeby ich nie zepchnęli widłami do tej wielkiej otwartej ładowni, z której podnosi się para. Moczymordy golą ostatnie łyki i leją diabłów butelkami. Ale diabły przygważdżają ich widłami albo też pochłania ich wzbierające morze, w którym są teraz żarłacze wielorybie, wielkie białe rekiny, szablogrzbiety i inne ogromne ryby, które krążą dookoła tego miejsca, gdzie duże rekiny szarpią tych ludzi w wodzie. Wierzchołek wyspy obsiadły psy i koty, a diabły też je spędzają widłami, psy się kulą i wyją, koty uciekają i drapią diabłów pazurami, sierść mają zjeżoną i w końcu uciekają do morza i płyną co sił. Czasem capnie któregoś rekin i widać, jak kot idzie pod wodę. Ale na ogół odpływają dalej.

Z ładowni zaczyna się dobywać okrutne gorąco i diabły muszą wlec do niej ludzi, bo sobie połamały widły próbując zagnać niektórych duchownych. W środku obrazu stoimy ty i ja i obserwujemy to wszystko ze spokojem. Ty robisz notatki, a ja się pokrzepiam butelką i co chwila daję ci też łyknąć. Od czasu do czasu przebiega koło nas jakiś diabeł, cały spocony z wysiłku, wlokąc grubego duchownego, który próbuje czepiać się piasku paluchami, żeby go nie wepchnęli do tej dziury, i drze się do Jehowy, i ten diabeł powiada: "Bardzo przepraszam, panie Tom. Bardzo przepraszam, panie Bobby. Ogromnie dziś jesteśmy zajęci."

Częstuję diabła trunkiem, kiedy nas mija spocony i ubrany wracając do innego duchownego, a on mówi: "Nie, dziękuję, panie Bobby. Nigdy nie biorę tego do ust podczas pracy."

To może być cholerny obraz, Tom, jeżeli potrafimy oddać w nim cały ten ruch i rozmach.

- Wydaje mi się, że na dzisiaj mamy naszkicowane mniej więcej wszystko, czemu potrafimy podołać.

- Chyba masz rację, jak Boga kocham - powiedział Bobby. - Od szkicowania takiego obrazu w gardle mi zaschło.

- Był człowiek nazwiskiem Bosch, który umiał nieźle malować w tym stylu.

- Ten od magneto?

- Nie. Hieronymus Bosch. Stary wyga. Bardzo dobry Pieter Bruegel także nad tym pracował.

- Też stary wyga?

- Bardzo stary. Bardzo dobry. Podobałby ci się.

- A, do licha - powiedział Bobby. - Żadne stary wyga nas nie przeskoczy. Prócz tego świat się jeszcze nie skończył, więc skąd on, do cholery, może wiedzieć o tym więcej niż my?

- Ciężko byłoby go pobić.

- Nic ci nie wierzę - rzekł Bobby. - Mamy obraz, który by mu odebrał chleb.

- Może tak jeszcze jednego?

- O, psiakrew. Zapominam, że tu jest bar. Boże, błogosław Królowej, Tom. Zapomnieliśmy, co to za dzień. No, bierz jednego na mój koszt, to wypijemy jej zdrowie.

Nalał sobie kieliszek rumu i podał Thomasowi Hudsonowi butelkę złotego dżinu Bootha, parę plasterków limony na talerzyku, nóż oraz flaszkę indyjskiego toniku Schweppesa.

- Sam sobie zrób tego cholernego drinka. Do diabła z tymi frymuśnymi napojami.

Kiedy Thomas Hudson zmieszał drinka i dodał kilka kropel angostury z butelki, która miała kawałek pióra mewy w korku, podniósł szklanekę i rozejrzał się po barze.

- Co, panowie pijecie? Powiedzcie, jeżeli to coś prostego.

- Psi Łeb - odrzekł jeden z marynarzy.

- Będzie Psi Łeb - powiedział Bobby i sięgnąwszy do lodówki podał im dwie butelki zimnego piwa. - Szklanek brakuje. Pijacy cały dzień je wyrzucali. Wszyscy mają co wypić? Panowie, zdrowie królowej. Nie sądzę, żeby ta wyspa bardzo jej się spodobała, i nie jestem pewien, czy powodziłoby jej się tutaj socjalnie dobrze. Ale, panowie, zdrowie królowej. Niech Bóg jej błogosławi.

Wszyscy wypili jej zdrowie.

- To musi być wspaniała kobieta - powiedział Bobby. - Jak dla mnie, trochę za sztywna. Osobiście zawsze miałem słabość do królowej Aleksandry. Piękny typ. Ale postaramy się w pełni uczyć urodziny królowej. To mała wyspa, ale patriotyczna. Jeden gość stąd poszedł na ostatnią wojnę i rękę mu odstrzelili. Nie można już być bardziej patriotycznym.

- Jak pan mówił, że czyje to urodziny? - zapytał jeden z marynarzy.

- Królowej Marii angielskiej - odrzekł Bobby. - Matki obecnego króla i cesarza.

- To ta, od której jest nazwany statek "Queen Mary", nie? - zapytał drugi marynarz.
- Tom - powiedział Bobby. - My dwaj wypijemy następny toast sami.

IV

Zrobiło się już ciemno i wiała bryza, więc nie było komarów ani mustyków, i wszystkie łodzie już wróciły podciągając wysięgniki, gdy przechodziły kanałem, i teraz stały przycumowane u trzech nabrzeży, które wybiegały od plaży w głąb portu. Odpływ następował prędko i latarnie łodzi błyszczały na wodzie, która zieleniała w świetle i odpływała tak szybko, aż zasysała o pale nabrzeży i kłębiła się u rufy dużego jachtu wycieczkowego, na którym siedzieli. Wzdłuż jego burty, w wodzie, gdzie odbłask światła biegł od kadłuba jachtu ku nie pomalowanym palom nabrzeża, na których stare opony od samochodów i ciężarówek były porozwieszane jako odbijacze, tworząc czarne pierścienie w ciemnościach pod skałą, zwabione światłem belony utrzymywały się w prądzie. Cienkie i długie, polśniewające zielono jak woda, poruszając jedynie ogonami, nie żerowały ani nie igrały, tylko trwały tam, zafascynowane światłem.

Jacht Johnny'ego Goodnera, "Narwał", na którym czekali na Rogera Davisa, był ustawiony dziobem do fali odpływu, a za nim, przy tej samej pochylni, stał przycumowany rufa w rufę jacht tych turystów, co byli przez cały dzień u Bobby'ego. Johnny Goodner siedział na krześle na rufie, z nogami na drugim krzeselku, cocktailem Tom Collins w prawej ręce i długą, zieloną meksykańską papryką w lewej.

- To cudowne - powiedział. - Jak ugryzę choć mały kawałek, mam ogień w gębie i chłodzę go tym.

Ugryzł pierwszy kawałek, przełknął, chuchnął "uff!" przez zwinięty język i wypił duży łyk. Jego gruba dolna warga zwilżyła wąską, irlandzką górną wargę i uśmiechnął się swymi szarymi oczyma. Kąciki ust miał podcięte do góry, toteż zawsze wyglądał tak, jakby miał się uśmiechnąć albo dopiero co się uśmiechał, ale jego usta mówiły o nim bardzo niewiele, jeżeli się nie zauważyło wąskości górnej wargi. Obserwować należało jego oczy. Był wzrostu i budowy boksera wagi średniej, który nieco przytył, ale wydawał się w dobrej formie, tak jak siedział odprężony, a właśnie wtedy wygląda źle ktoś, kto jest naprawdę w formie. Twarz miał opaloną, ale skóra łuszczyła mu się na nosie i na wysokim czole pod cofającą się linią włosów. Na brodzie miał bliznę, którą można by wziąć za dołeczek, gdyby była trochę bliżej środka, a grzbiet nosa ledwie dostrzegalnie spłaszczony. Nie był to nos płaski. Po prostu wyglądał tak, jakby go wykonał nowoczesny rzeźbiarz, który pracował bezpośrednio w kamieniu i odłupał troszeczkę za duży okruch.

- Tom, nicponiu jeden, co porabiałeś?

- Pracowałem dość systematycznie.

- Akurat - powiedział i znowu nadgryzł paprykę. Była to bardzo pomarszczona i zwiotczała papryka, długości około sześciu cali. - Tylko pierwszy raz boli - powiedział. - Tak jak w miłości.

- Diabła tam. Papryki potrafią boleć za pierwszym i ostatnim razem.

- A miłość?

- Do diabła z miłością - powiedział Thomas Hudson.

- Cóż to za podejście! Co za sposób mówienia! Czym ty masz zamiar być? Ofiarą szaleństwa pasterza owiec na tej wyspie?

- Tu nie ma owiec, Johnny.

- No to pasterza krabów - odrzekł Johnny. - Wcale nie chcemy, żebyś się dał na to złapać, ani nic. Spróbuj takiej papryki.

- Próbowałem - powiedział Thomas Hudson.

- O, ja znam twoją przeszłość. Nie czaruj mnie swoją znakomitą przeszłością. Pewnie to ty wymyśliłeś paprykę. Ja wiem. Pewnie jesteś tym, który ją przywiózł do Patagonii na jaku. Ale ja reprezentuję czasy nowożytnie. Słuchaj, Tommy. Każę nadziewać te papryki lososiem. Nadziewać bacalao. Nadziewać chilijskim bonito. Piersiami meksykańskich turkawek. Mięsem indyckim i kretami. Nadziejają je, czym popadnie, a ja je kupuję. Czuję się wtedy jak jakiś cholerny potentat. A to wszystko perwersja. Najlepsza jest po prostu ta długa, obwisła, nie zachęcająca, nie nadziewana, nie obiecująca stara papryka z brunatnym sosem chupango. Ty cholero - chuchnął znów przez zwinięty język. - Tym razem za dużo ciebie ugryzłem.

Pociągnął naprawdę duży łyk Toma Collinsa.

- One mi dają powód do picia - wyjaśnił. - Muszę sobie chłodzić moją cholerną gębę.

Co pijesz?

- Może jeszcze jeden dżin z tonikiem.

- Chłopak! - zawołał Johnny. - Jeszcze jeden dżin z tonikiem dla Bwana M'Kubwy.

Fred, jeden z boyów, których kapitan Johnny'ego wynajął na wyspie, przyniósł napój.

- Proszę bardzo, panie Tom.

- Dziękuję ci, Fred - powiedział Thomas Hudson. - Zdrowie królowej, niech jej Bóg błogosławi.

Wypili.

- Gdzież jest ten stary dziwkarz?

- U siebie w domu. Przyjdzie tu.

Johnny zjadł jeszcze trochę papryki bez dalszych komentarzy, dokończył drinka i zapytał:

- Jak się naprawdę czujesz, stary?

- Okej - odrzekł Thomas Hudson. - Nauczyłem się żyć samotnie wcale nieźle i pracuję ostro.

- Podoba ci się tutaj? To znaczy na stałe?

- Tak. Przejadło mi się przenoszenie się z tym z miejsca na miejsce. Już wolę mieć to tutaj. Ja sobie tu nieźle daję radę, Johnny. Naprawdę wcale nieźle.

- To dobre miejsce - powiedział Johnny. - Dobre miejsce dla takiego gościa jak jak ty, który ma jakieś wewnętrzne zasoby. Ale cholerne dla takiego, jak ja, co albo za czymś goni, albo od tego ucieka. Czy to prawda, że Roger wpadł?

- Więc już o tym gadają.

- Tak słyszałem na wybrzeżu.

- Co mu się tam przydarzyło?

- Nie wiem wszystkiego. Ale coś dosyć niedobrego.

- Naprawdę niedobrego?

- Tam mają inne pojęcie o tym, co jest niedobre. Ale nie chodziło o żadną nieletnią, jeżeli to masz na myśli. Zresztą tam, przy tym klimacie, świeżych jarzynach i w ogóle, wszystko jest takie rozrośnięte jak ich piłkarze. Psiakrew, piętnastoletnie dziewczyny wyglądają na dwadzieścia cztery lata. Mając dwadzieścia cztery są jak Dame May Whitty. [(1865-1948), znana angielska aktorka teatralna i filmowa.] Jeżeli ktoś nie jest nastawiony na małżeństwo, lepiej im dobrze zaglądać w zęby. Tylko że oczywiście po zębach nie można poznać ni cholery. A wszystkie mają matki i ojców albo jedno i drugie i wszystkie są zgłodniałe. Klimat im też daje apetyt, ma się rozumieć. Sęk w tym, że ludzie czasem się zapalają i nie proszą o ich prawa jazdy czy książeczki ubezpieczeniowe. Uważam, że powinno się je oceniać według rozmiarów, wagi i ogólnych zdolności, a nie tylko według wieku. Opieranie się na samym wieku prowadzi do zbyt wielu niesprawiedliwości. Wszędzie tak jest. W żadnym innym sporcie nie jest karalny przedwczesny rozwój. Wprost przeciwnie. Najsluszniesze byłoby przyjmowanie ich na szkolenie. Tak jak z wyścigami. Mnie się już za to nieźle oberwało. Ale nie za to przyskrzynili starego Rogera.

- A za co mnie przyskrzynili? - zapytał Roger Davis.

Opuścił się bezgłośnie z nabrzeża na pokład w swoich pantoflach na sznurkowych podszwach i stał przed nimi wyglądając bardzo masywnie w koszulce trykotowej o trzy numery za dużej i w starych, obcisłych drelichowych spodniach.

- Cześć - powiedział Johnny. - Nie słyszałem, jak dzwoniłeś do drzwi. Mówiłem Tomowi, że nie wiem, za co cię przyskrzynili, ale że to nie była nieletnia.

- Dobra - rzekł Roger. - Zostawmy ten temat.

- Nie bądź taki ważny - powiedział Johnny.

- Wcale nie jestem ważny - odparł Roger. - Spytałem grzecznie. Czy na tym statku się pije? - Spojrzał na jacht stojący rufą do nich. - Kto to jest?

- Ci, co są w "Ponce". Nic nie słyszałeś?

- Aha - powiedział Roger. - No, w każdym razie napijmy się, chociaż nam dali zły przykład.

- Chłopak! - zawołał Johnny. Fred wyszedł z kabiny.

- Słucham.

- Zapytaj, jakie jest życzenie tych sahibów.

- Słucham panów.

- Poproszę to, co pije pan Tom - powiedział Roger. - On jest moim przewodnikiem i doradcą.

- Dużo chłopców w obozie tego roku? - zapytał Johnny.

- Dotychczas tylko nas dwóch - odrzekł Roger. - I tak nam się żyje, mi i mojemu doradcy.

- Mnie i mojemu doradcy - poprawił go Johnny. - Jakim cudem ty piszesz książki, do licha?

- Zawsze mogę wynająć sobie kogoś, żeby mi wstawił gramatykę.

- Albo dostać kogoś za darmo - powiedział Johnny. - Rozmawiałem z twoim doradcą.

- Doradca mówi, że czuje się tu całkiem szczęśliwy i zadowolony. Utknął na tej plaży na dobre.

- Powinieneś obejrzeć jego dom - powiedział Thomas. - Od czasu do czasu pozwala mi przyjść na drinka.

- A co z babkami?

- Nie ma babek.

- To co wy, chłopcy, robicie?

- Robię to cały dzień.

- Ale ty już tu byłeś przedtem. Co wtedy robiłeś?

- Pływałem, jadłem, piłem. Tom pracuje, czyta, gada, czyta, łowi ryby, łowi ryby, pływa, pije, śpi...

- Żadnych babek?

- Wciąż żadnych.

- Mnie to wygląda na niezdrowe. Jakaś taka niezdrowa atmosfera. Wy, chłopcy, palicie dużo opium?

- Tom? - zapytał Roger.

- Tylko najlepsze - odrzekł Thomas Hudson.

- Macie zasadzone jakieś ładne poletko marihuany?

- Masz coś zasadzonego, Tom? - zapytał Roger.

- Rok był kiepski - powiedział Thomas Hudson. - Deszcze zmarnowały plony.

- Cała sprawa wygląda niezdrowo. - Johnny wypił. - Jedyny dodatni aspekt to to, że jeszcze pijecie. A może zainteresowaliście się religią? Czy Tom ujrzał Światło?

- Tom? - zapytał Roger.

- Stosunki z Bóstwem mniej więcej te same - odpowiedział Thomas Hudson.

- Kordialne?

- Jesteśmy tolerancyjni - rzekł Thomas Hudson. - Praktykuje się każdą wiarę, jaką się chce. Mamy na wyspie boisko do gry w baseball, gdzie można praktykować.

- Strzelę w Bóstwo szybką wysoką piłkę, jeżeli będzie się pchało za linię.

- Roger - powiedział Johnny z wyrzutem. - Już się ściemniło. Nie widziałeś, że zmierzch zapadał, nadszedł zmrok i ciemności? I ty jesteś pisarzem! Nigdy nie jest dobrze mówić lekceważąco o Bóstwie po zmroku. Bo ono może stać tuż za tobą z nastawionym kijem baseballowym.

- Założę się, że będzie się pchało za linię - powiedział Roger. - Widziałem, jak to robiło ostatnio.

- Tak jest - rzekł Johnny. - A ono odbije tę szybką piłkę i rozwali ci łeb. Widziałem, jak uderza.

- Tak, chybaś widział - zgodził się Roger. - To samo Tom i ja. Ale mimo to próbowałbym je wyminąć tą moją szybką piłką.

- Skończmy z tą teologiczną dyskusją - rzekł Johnny - i weźmy sobie coś do jedzenia.

- Czy ten zgrzybiały starzec, którego trzymasz, żeby się wozić tą krypą po oceanie, potrafi jeszcze gotować? - zapytał Thomas Hudson.

- Zupa rybna - odrzekł Johnny. - I dzisiaj żółty ryż z siewkami. Żółtymi siewkami.

- Mówisz jak jakiś cholerny dekorator wnętrz - powiedział Tom. - W każdym razie o tej porze roku nie ma na nich żadnego złota. Gdzieś ty strzelał te siewki?

- Na Wyspie Południowej, kiedyśmy tam doszli, żeby rzucić kotwicę i popływać. Dwa razy zwabiałem stadko gwizdaniem i strącałem jedną po drugiej. Są po dwie na osobę.

Noc była piękna i kiedy zjedli kolację, zasiedli na rufie z kawą i cygarami, a dwaj inni mężczyźni, nicponie i wesolki, przyszli z któregoś ze statków z gitarą i banjo, na nabrzeżu zebrali się Murzyni i było trochę sporadycznego śpiewania. W ciemnościach na molo chłopcy zaczęli jakąś piosenkę, a wtedy Fred Wilson, który miał gitarę, śpiewał, Frank Hart zaś improwizował na banjo. Thomas Hudson nie umiał śpiewać, więc siedział w ciemnościach i słuchał.

W lokalu Bobby'ego odbywała się jakaś większa uroczystość i widać było nad wodą światło z otwartych drzwi. Odpływ trwał nadal w całej pełni i tam, gdzie świeciło światło, wyskakiwały ryby.

To głównie szare snappery, myślał Tom, żerujące na rybach, które zostały po odpływie. Kilku murzyńskich chłopaków łowiło je na wędki i słychać było rozmowy i ciche przekleństwa, kiedy gubili rybę, a także chłaśnięcia snappera o molo, gdy którego złapali. Były tam duże snappery i chłopcy zarzucali na nie przynęty z kawałków mięsa marlina, którego jedna z łodzi przywiozła wczesnym popołudniem i który został już podwieszony, sfotografowany, zważony i poćwiartowany.

Na molo zebrał się spory tłum zwabiony śpiewami i Rupert Pinder, potężny Murzyn, który podobno kiedyś bez niczyjej pomocy przeniósł na plecach pianino z Nabrzeża Rządowego aż na Królewską Drogę, do dawnego klubu zdmuchniętego później przez huragan, i który uważał siebie za zapaśnika, zawołał z molo:

- Kapitanie Johnie, chłopaki mówią, że chce im się pić.

- Kup coś niedrogię i zdrowego, Rupert.

- Tak jest, panie kapitanie. Rum.

- To właśnie miałem na myśli - powiedział John. - Może gąsiorek? Myślę, że lepiej się opłaci.

- Bardzo dziękuję, panie kapitanie - odrzekł Rupert. Ruszył przez tłum, który rzedł szybko i ciągnął za nim. Thomas Hudson widział, że wszyscy zmierzają do lokalu Roya.

W tej chwili z którejś łodzi przycumowanej do nabrzeża Browna wzbila się z sykiem wysoko w niebo rakietą i pękła z trzaskiem oświetlając kanał. Inna szumiąc wyleciała skośnie i pękła tym razem nad bliższym końcem ich mola.

- Psiakrew - powiedział Fred Wilson - trzeba nam było posłać po takie do Miami.

Noc rozświetlały teraz syczące i pękające rakiety i przy ich świetle Rupert i jego kompani wracali na molo, a Rupert niósł na ramieniu duży opłatany gąsiorek.

Ktoś wystrzelił raketę z którejś łodzi; wybuchła wprost nad nabrzeżem oświetlając tłum, ciemne twarze, szyje i ręce, i płaską twarz, szerokie barki i gruby kark Ruperta oraz opłataną butlę, którą trzymał czule i dumnie przyciśniętą do głowy.

- Kubki - powiedział przez ramię do swoich towarzyszy. - Emaliowane kubki.

- Mamy blaszane, Rupercie - odrzekł jeden z chłopców.

- Emaliowane kubki - powtórzył Rupert. - Idźcie po nie. Kupcie je od Roya. Macie tu pieniądze.

- Przynieś naszą raketnicę, Frank - powiedział Fred Wilson. - Możemy wystrzelić te flary i posłać po nowe.

Podczas gdy Rupert godnie czekał na kubki, ktoś przyniósł patelnię, Rupert nalał do niej rumu i puścił ją w obieg.

- To dla szarych ludzi - powiedział Rupert. - Pijcie, nieważni ludzie.

Śpiewano ciągle i w sposób mało zorganizowany. Poza raketami, na niektórych łodziach strzelano ze sztucerów i pistoletów, a z nabrzeża Browna pistolet maszynowy wypuszczał nad kanał pociski smugowe. Wystrzelił serię trzech i czterech, a potem opróżnił z grzechotem cały magazynek, posyłając czerwone pociski pięknym, wygiętym łukiem nad port.

Kubki przyszły w tej samej chwili, gdy Frank Hart opuszczał się na rufę trzymając futerał z raketnicą i zapas rakiet, a jeden z pomocników Ruperta zaczął napełniać i rozdawać kubki.

- Boże, błogosław królowej - powiedział Frank Hart, po czym załadował i wystrzelił raketę na koniec nabrzeża, prosto w otwarte drzwi lokalu pana Bobby'ego. Rakietę trafiła w betonową ścianę przy drzwiach, pękła i zapłonęła jaskrawo na drodze koralowej oświetlając wszystko białym światłem.

- Uważaj - powiedział Thomas Hudson. - Te rzeczy mogą kogoś poparzyć.

- Do cholery z uważaniem - odparł Frank. - Muszę zobaczyć, czy uda mi się ustrzelić dom komisarza.

- Spalisz go - powiedział mu Roger.

- Jak spalę, to zapłacę - odrzekł Frank.

Rakietę poleciała łukiem ku dużemu domowi z białym gankiem, ale strzał był za krótki i zapłonęła jaskrawo przed frontowym gankiem komisarza.

- Poczciwy stary komisarz. - Frank załadował ponownie. - To draniowi pokaże, czy jesteśmy patriotami, czy nie.

- Uważaj, Frank - nalegał Tom. - Nie powinniśmy tak rozrabiać.

- Dzisiaj jest moja noc - powiedział Frank. - Noc królowej i moja. Zejdź mi z drogi, Tom, to pociągnę w nabrzeże Browna.

- On tam ma benzynę - rzekł Roger.

- Nie na długo - odparł Frank.

Nie sposób było powiedzieć, czy stara się chybiać za każdym strzałem chcąc tylko zrobić na złość Rogerowi i Thomasowi Hudsonowi, czy też naprawdę mu to nie wychodzi. Ani Roger, ani Thomas Hudson też nie mieli pewności, ale wiedzieli, że nikt nie potrafi strzelać z raketnicy z taką precyzją. A na nabrzeżu była benzyna.

Frank wstał, wymierzył starannie, z lewą ręką opuszczoną wzdłuż boku jak przy pojedynku, i strzelił. Rakietka trafiła w nabrzeże na drugim końcu od miejsca, gdzie stały bębny z benzyną, i zrykoszetowała do kanału.

- Hej! - wrzasnął ktoś z łodzi uwiązanych u nabrzeża. - Co za cholera?

- Prawie bezbłędny strzał - powiedział Frank. - Teraz znów popróbiję komisarza.

- Lepiej daj spokój, do licha - powiedział mu Thomas Hudson.

- Rupert - zawołał Frank nie zwracając na niego uwagi. - Daj no mi trochę tego, dobrze?

- Tak jest, kapitanie Frank - odrzekł Rupert. - Kubek pan ma?

- Przynieś mi kubek - powiedział Frank do Freda, który stał obserwując.

- Tak jest, panie Frank.

Fred podskoczył i wrócił z kubkiem. Twarz jaśniała mu podnieceniem i satysfakcją.

- Pan chce spalić komisarza, panie Frank?

- Tylko jeżeli się zajmie - odrzekł Frank.

Wręczył kubek Rupertowi, który napełnił go do trzech czwartych i podał mu.

- Za królową, Boże jej błogosław. - Frank wychylił kubek.

Była to ogromna porcja rumu do przełknięcia w taki sposób.

- Boże jej błogosław. Boże jej błogosław, panie kapitanie - powiedział Rupert uroczyście, a inni powtórzyli za nim jak echo: - Niech jej Bóg błogosławi. Niech jej naprawdę błogosławi.

- A teraz do komisarza - powiedział Frank. Wystrzelił z raketnicy prosto w górę, trochę pod wiatr. Miał załadowaną flarę ze spadochronem i wiatr zniósł jasne, białe światło za rufę jachtu.

- Teraz to pan na pewno spudłował komisarza - powiedział Rupert. - Co się stało, kapitanie?

- Chciałem oświetlić tę piękną scenę - odrzekł Frank. - Z komisarzem nie ma gwałtu.

- Komisarz dobrze by się palił, panie kapitanie - doradził Rupert. - Nie chcę na pana wpływać w tej sprawie, ale na wyspie nie padało od dwóch miesięcy i komisarz jest suchy jak pieprz.

- Gdzie konstabl? - zapytał Frank.

- Konstabl trzyma się z daleka - odparł Rupert. - Niech pan się nie przejmuję konstablem. Nikt na tym molo nie widziałby strzału, gdyby strzał padł.

- Wszyscy na tym molo kładą się płasko na twarz i nic nie widzą - doleciał jakiś głos z głębi tłumu. - Nikt nic nie słyszał. Nikt nic nie będzie widział.

- Wydaję rozkaz - nalegał Rupert. - Wszystkie twarze odwrócone. - A potem, zachęcająco: - Suche jak pieprz to domisko.

- Niech zobaczę, jak ty byś to zrobił - powiedział Frank.

Załadował następną flarę ze spadochronem i strzelił w górę pod wiatr. W opadającym, jaskrawym świetle wszyscy na molo leżeli twarzą do dołu albo przycupnęli na czworakach zasłoniwszy sobie oczy.

- Niech panu Bóg błogosławi, kapitanie Frank - ozwał się z ciemności niski, uroczysty głos Ruperta, gdy flara zagasła. - Oby Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu dał panu odwagę, żeby spalić komisarza.

- Gdzie jego żona i dzieci? - zapytał Frank.

- Wyprowadzimy ich. Niech pan się nie martwi - powiedział Rupert. - Nikogo niewinnego nie spotka żadna krzywda.

- Czy powinniśmy go spalić? - Frank obrócił się do pozostałych siedzących w kokpicie.

- Ach, dajże spokój - powiedział Thomas Hudson. - Na miłość boską.

- Rano odpływam - powiedział Frank. - Jeżeli o to idzie, już jestem sklarowany.

- Spalmy go - powiedział Fred Wilson. - Krajowcy są wyraźnie za tym.

- Niech pan go spali, kapitanie - nalegał Rupert. - Co wy na to? - zapytał innych.

- Spalić go. Spalić. Niech panu Bóg da siłę, żeby go spalić - odezwali się chłopcy z nabrzeża.

- Nikt nie chce, żeby go nie palić? - zapytał ich Frank.

- Spalić go, kapitanie Frank. Nikt tego nie będzie widział. Nikt nic nie słyszał. Nie padło ani jedno słowo. Spalić go.

- Muszę dać kilka strzałów ćwiczebnych - powiedział Frank.

- Złaż z tego cholernego statku, jeżeli masz zamiar go spalić - rzekł Johnny.

Frank spojrzał na niego i potrząsnął lekko głową, tak że ani chłopcy na molo, ani Roger tego nie widzieli.

- Już jest popiołem - powiedział. - Daj mi jeszcze jednego, Rupert, żeby umocnić moją wolę.

Wyciągnął do niego kubek.

- Kapitanie. - Rupert pochylił się mówiąc do niego. - To będzie pański życiowy wyczyn.

Na nabrzeżu chłopcy rozpoczęli nową piosenkę.

Kapitan Frank stoi w porcie
dzisiaj bawimy się więc na sto dwa.

Następnie pauza, a potem wyższym tonem...

Kapitan Frank stoi w porcie
dzisiaj bawimy się więc na sto dwa.

Druga linijka zabrzmiała jak huk bębnow. A potem dalej:

Komisarz sklął Ruperta, zwymyślał go jak psa
kapitan Frank wystrzelił flarę i spalił go do cna.

Następnie wrócili znowu do innych starych pieśni afrykańskich, które czterej z mężczyzn na jachcie słyszeli niegdyś śpiewane przez Murzynów ciągnących liny promów na rzekach wzdłuż drogi nadbrzeżnej między Mombasą, Malindi i Lamu, gdzie ciągnąc razem Murzyni śpiewali improwizowane piosenki robocze, które opisywały i wykpiwały białych przepływających się promem.

Kapitan Frank stoi w porcie
dzisiaj bawimy się więc na sto dwa.

Kapitan Frank stoi w porcie.

Zuchwałe, obelżywe, rozpaczliwie wyzywające, wznosiły się cichsze tony. A potem grzmiąca odpowiedź bębna.

Dzisiaj bawimy się więc na sto dwa.

- Widzi pan, kapitanie? - nalegał Rupert pochylając się nad kokpitem. - Ma pan już pieśń, jeszcze zanim pan dokonał czynu.

- Zaczyna mnie to dosyć zobowiązywać - powiedział Frank do Thomasa Hudsona. A potem: - Jeszcze jeden ćwiczebny strzał - oświadczył Rupertowi.

- Ćwiczenie doskonali - powiedział radośnie Rupert.

- Kapitan Frank teraz ćwiczy się do zabicia - odezwał się ktoś na nabrzeżu.

- Kapitan Frank jest dzikszy od dzika - doleciał inny głos.

- Kapitan Frank to mężczyzna.

- Rupert - powiedział Frank. - Poproszę jeszcze kubek tego. Nie żeby mi dodać odwagi. Tylko żebym lepiej celował.

- Boże cię prowadź, kapitanie. - Rupert podał mu kubek. - Chłopcy, zaśpiewajcie pieśń kapitana Franka.

Frank wychylił kubek.

- Ostatni strzał ćwiczebny - powiedział i strzelił tuż nad jachtem wycieczkowym stojącym za rufą, a rakietą odbiła się od bębnow z benzyną Browna i spadła do wody.

- Ty draniu - powiedział do niego Thomas Hudson bardzo spokojnie.

- Zamknij się, świętoszku - odparł Frank. - To było moje arcydzieło.

W tej chwili z kokpitu drugiego jachtu wyszedł na rufę mężczyzna w spodniach od pizamy, bez górnej części i krzyknął:

- Słuchajcie, wy, świnię! Przestańcie, dobrze? Tu na dole jest pani, która chce zasnąć.

- Pani? - zapytał Wilson.

- Tak, psiakrew, pani - odparł mężczyzna. - Moja żona. A wy, parszywe dranie, strzelacie tymi raketami, żeby nie mogła usnąć, i nie dajecie nikomu zmrużyć oka.

- To czemu pan jej nie da pigułek nasennych? - zapytał Frank. - Rupert, pošlij któregoś chłopaka po pigułki nasenne.

- Wie pan, co trzeba zrobić, szefie? - zapytał Wilson. - Dlaczego pan nie postąpi tak jak powinien dobry mąż? To by ją uspiło. Pewnie ma zahamowania. Może jest zawiedziona. To zawsze mówi psychoanalityk mojej żonie.

Zachowywali się bardzo brutalnie, a Frank postępował całkiem niewłaściwie, ale ten mężczyzna, który przez cały dzień zadawał się z pijakami, zrobił fatalny początek swoim podejściem. Ani John, ani Roger, ani Thomas Hudson nie odezwali się jednym słowem. Dwaj pozostali, od chwili gdy ów człowiek wyszedł na rufę i ryknął: "Świnie",

współpracowali ze sobą tak jak w baseballu naprawdę szybki fielder i gracz na drugiej bazie.

- Parszywe świnie - powiedział mężczyzna. Najwyraźniej nie miał bogatego słownika, a wyglądał na trzydzieści pięć do czterdziestu lat. Trudno było rozpoznać dokładnie jego wiek, choć pozapalał światła w kokpicie. Wyglądał dużo lepiej, niż Thomas Hudson się spodziewał po wysłuchiwaniu przez cały dzień opowieści na jego temat, i Hudson pomyślał, że musiał się przespać. A potem przypomniał sobie, że przecież spał u Bobby'ego.

- Ja bym spróbował nembutalu - powiedział mu Frank bardzo poufnie. - Chyba że jest na to uczulona.

- Nie rozumiem, dlaczego jest taka niezaspokojona - powiedział mu Fred Wilson. - Przecież pan wygląda na całkiem fajny okaz fizyczny. Naprawdę wygląda pan diablo dobrze. Założę się, że pan jest postrachem Klubu Rakiety. Co pana kosztuje utrzymywanie się w takiej świetnej formie? Popatrz na niego, Frank. Widziałeś kiedy tak kosztownie wyglądającą górną część człowieka?

- Jednak pan zrobił błąd, szefie - powiedział Frank. - Włożył pan nie tę część piżamy, co trzeba. Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy nie widziałem nikogo w tej dolnej części. Czy pan to naprawdę wkłada idąc do łóżka?

- Nie możecie dać zasnąć pani, świnie z niewyparzoną gębą? - zapytał mężczyzna.

- Czemu pan po prostu nie zejdzie pod pokład? - zapytał go Frank. - Tutaj może pan narazić się na przykrości używając tych wszystkich epitetów. Nie ma pan tu szofera, który by się panem opiekował. Czy szofer zawsze wozi pana do szkoły?

- On nie chodzi do szkoły, Frank - powiedział Fred Wilson odkładając gitarę. - To jest duży, dorosły chłopiec. Biznesmen. Nie potrafisz rozpoznać wielkiego biznesmena?

- Jesteś biznesmenem, synku? - zapytał Frank. - W takim razie wiesz, że najlepszym biznesem dla ciebie będzie polecieć do twojej kabiny. Tutaj nie zrobisz dobrego biznesu.

- On ma rację - powiedział Fred Wilson. - Między nami nie ma pan żadnej przyszłości. Zejdź pan po prostu do kabiny. Przyzwyczajcie się do hałasu.

- Wy wstrętne świnie - powiedział mężczyzna i popatrzał na nich.

- Zabierz pan to piękne ciało pod pokład, dobrze? - powiedział Wilson. - Jestem pewny, że uśpisz tę panią.

- Świnie - odparł mężczyzna. - Wy parszywe świnie.

- Nie możesz pan wymyślić jakichś innych nazw? - zapytał Frank. - "Świnie" robią się strasznie nudne. Lepiej zjeżdź pan na dół, zanim się przeziębisz. Gdybym miał taki wspaniały tors, nie narażałbym go tutaj w taką wietrzną noc.

Mężczyzna popatrzył na nich, jak gdyby chciał ich sobie zapamiętać.

- Będzie pan nas pamiętał - powiedział mu Frank. - Jeżeli nie, to panu przypomnę, jak tylko się spotkamy.

- Wy świnie - powiedział mężczyzna, odwrócił się i zeszedł pod pokład.

- Kto to jest? - zapytał Johnny Goodner. - Gdzieś go widziałem.

- Ja go znam i on zna mnie - odrzekł Frank. - Paskudny facet.

- Nie pamiętasz, co to za jeden? - zapytał Johnny.

- Mydłek - odparł Frank. - Co za różnica, kim jest poza tym?

- Chyba żadna - powiedział Thomas Hudson. - Aleście na niego naskoczyli!

- Tak trzeba robić z mydłkiem. Naskoczyć na niego. Właściwie wcale nie byliśmy niegrzeczni.

- Zdawało mi się, że wyraźnie okazaliście brak sympatii - powiedział Thomas Hudson.

- Słyszałem szczekanie psa - powiedział Roger. - Flary pewnie nastraszyły jego psa. Dajmy spokój z flarami. Wiem, że dobrze się bawisz, Frank. Morderstwo uszłoby ci na sucho, a przecież nic złego się nie stało. Ale po co straszyć biednego cholernego psa?

- To jego żona szczekała - powiedział Frank wesoło. - Strzelmy jedną do jego kabiny, żeby oświetlić całą rodzinną scenę.

- Ja się stąd zabieram do diabła - powiedział Roger. - Robicie kawały, których nie lubię. Nie uważam, żeby kawały z samochodami były zabawne. Nie uważam za zabawne latania samolotem po pijanemu. Nie uważam za zabawne straszenia psów.

- Nikt cię nie zatrzymuje - powiedział Frank. - Ostatnio każdego uwierasz w tyłek.

- Tak?

- Jasne. Ty i Tom z tym waszym świętoszkostwem. Psujecie każdą zabawę. Wy wszyscy, stateczni dranie. Dawniej umieliście się bawić. Teraz nikt nie może się zabawić. Wy, razem z waszym nowiutkim sumieniem społecznym.

- Więc to jest sumienie społeczne, jeżeli uważam, że lepiej byłoby nie zapalać nabrzeża Browna?

- Jasne. Po prostu pewna jego forma. Z tobą jest niedobrze. Słyszałem o tobie na wybrzeżu.

- Czemu nie weźmiesz tej swojej raketnicy i nie pójdziesz zabawić się gdzie indziej?
- zapytał Franka Johnny Goodner. - Wszyscy się dobrze bawiliśmy, dopóki nie zaczęłeś tak rozrabiać.

- Więc z tobą jest to samo - rzekł Frank.

- Lepiej trochę uważaj - ostrzegł go Roger.

- Ja jeden z was dalej lubię się zabawić - powiedział Frank. - Wy wszyscy, poprzerastali maniacy religijni, działacze społeczni i hipokryci...

- Kapitanie Franku. - Rupert przechylił się przez krawędź nabrzeża.

- Rupert to mój jedyny przyjaciel. - Frank spojrział w górę. - Słucham cię.

- Kapitanie, co z komisarzem?

- Spalimy go, stary.

- Niech panu Bóg da zdrowie - powiedział Rupert. - Może jeszcze rumu?

- Już mi dobrze, Rupercie - odrzekł Frank. - A teraz kłaść się wszyscy.

- Kłaść się wszyscy - rozkazał Rupert. - Plackiem.

Frank strzelił nad krawędzią nabrzeża i rakietka spadła na wyźwirowaną ścieżkę tuż przed gankiem komisarza i tam zapłonęła. Chłopcy na nabrzeżu jęknęli.

- Psiakrew - powiedział Rupert. - Mało panu brakowało. Pech. Niech pan załaduje na nowo, kapitanie.

W kokpicie stojącego za ich rufą jachtu zapaliło się światło i mężczyzna znów wyszedł. Tym razem był ubrany w białą koszulę, białe spodnie i tenisówki. Włosy miał uczesane, a twarz zaczerwienioną, z białymi plamami. Najbliżej niego na rufie był John, odwrócony doń tyłem, a obok Johna Roger, który siedział z ponurą miną. Pomiędzy obiema rufami były ze trzy stopy wody i mężczyzna wskazał palcem Rogera.

- Ty szmaciarzu - powiedział. - Parszywy, wstrętny szmaciarzu.

Roger podniósł na niego wzrok z wyrazem zaskoczenia.

- Pan ma na myśli mnie, prawda? - zawołał Frank. - I ma być świnia, nie szmaciarz.

Mężczyzna zignorował go i mówił dalej do Rogera:

- Ty wielki, tłusty szmaciarzu. - Nieomal się zachłystywał. - Ty oszuście. Szachraju. Ty marny oszuście. Ty nędzny pisarzu i lichy malarzu.

- Do kogo pan mówi i o czym? - Roger wstał.

- Do ciebie, szmaciarzu. Ty kanciarzu. Tchórze. Ach, ty szmaciarzu. Parszywy szmaciarzu.

- Pan zwariował - powiedział Roger spokojnie.

- Szmaciarzu - powiedział mężczyzna ponad wodą dzielącą oba jachty, tak jak ktoś mógłby przemawiać obraźliwie do zwierzęcia w którymś z tych nowoczesnych ogrodów zoologicznych, gdzie nie kraty, lecz tylko fosy oddzielają widzów od zwierząt. - Ty oszuście.

- On ma na myśli mnie - powiedział radośnie Frank. - Nie poznaje mnie pan? To ja jestem ta świnia.

- Mam na myśli ciebie - mężczyzna wskazał palcem Rogera. - Ty oszuście.

- Niech pan posłucha - rzekł do niego Roger. - Pan wcale nie mówi do mnie. Gada pan tylko po to, żeby móc powtórzyć w Nowym Jorku, co pan mi powiedział.

Mówił rozsądnie i cierpliwie, jak gdyby naprawdę chciał, żeby ten człowiek zrozumiał i zamilkł.

- Szmaciarzu! - krzyknął mężczyzna wprowadzając się coraz bardziej w historię, do czego nawet się ubrał. - Ty zgniły, parszywy oszuście.

- Pan nie mówi do mnie - powtórzył Roger bardzo spokojnie i Thomas Hudson poznał, że powziął decyzję. - Więc teraz niech pan się zamknie. Jeżeli pan chce ze mną rozmawiać, proszę wejść na molo.

Roger zaczął wchodzić na molo, a mężczyzna dość niespodziewanie wdrapał się na nie co prędzej. Po to rozkręcił się gadaniem i do tego się podbechtiał. Teraz to robił. Murzyni cofnęli się i otoczyli ich obu pozostawiając pod dostatkiem miejsca.

Thomas Hudson nie wiedział, czego spodziewał się mężczyzna wchodząc na molo. Nikt nic nie mówił, dokoła siebie miał te wszystkie czarne twarze i zamachnął się na Rogera, a Roger uderzył go lewą w usta, które zaczęły krwawić. Zamachnął się znowu na Rogera i Roger uderzył go mocno dwa razy sierpowym w prawe oko. Mężczyzna chwycił Rogera, którego koszulka rozdarła się, kiedy rąbnął mężczyznę prawą w żołądek, po czym odepchnął go i mocno trzasnął na odlew w twarz otwartą lewą dłonią.

Żaden z Murzynów nie odezwał się ani słowem. Otaczali tylko obu mężczyzn zostawiając im wolne miejsce. Ktoś - Tomowi zdawało się, że to Fred, boy Johna - zapalił światła na nabrzeżu i widać było dobrze.

Roger ruszył na mężczyznę i dał mu trzy szybkie sierpowe wysoko w głowę. Tamten przytrzymał go i koszulka rozdarła się znowu, gdy Roger go odepchnął i dwukrotnie uderzył w usta.

- Daj spokój z tymi lewymi! - wrzasnął Frank. - Wal prawą i uśpij drania. Uśpij go!

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytał Roger mężczyznę i uderzył go mocnym sierpowym w usta. Tamten silnie krwawił z ust, cała prawa strona twarzy mu puchła i prawe oko miał niemal zamknięte.

Chwycił Rogera, a Roger go przytrzymał i unieruchomił. Mężczyzna dyszał ciężko i nic nie mówił. Roger wcisnął kciuki w zagięcia jego łokci i Tom widział, że trze kciukami tam i z powrotem po ścięgnach między bicepsami a przedramionami.

- Nie krwaw tu na mnie, draniu jeden - powiedział Roger, poderwał lewą pięść szybko i swobodnie i podbił głowę tamtego do tyłu, po czym znów trzasnął go na odlew w twarz.

- Teraz możesz sobie zrobić nowy nos - powiedział.

- Uśpij go, Roger. Uśpij go - prosił Frank.

- Nie widzisz, co on robi, tumanie? - zapytał Fred Wilson. - Masakruje go.

Mężczyzna złapał Rogera, a Roger przytrzymał go i odepchnął.

- Uderz mnie - powiedział. - No, jazda. Uderz.

Tamten zamachnął się, a Roger zrobił unik i chwycił go.

- Jak się nazywasz? - spytał.

Mężczyzna nie odpowiedział. Dyszał tylko, jak gdyby konał na astmę.

Roger znów go przytrzymał wciskając kciuki w zagięcia łokci.

- Silny z ciebie drań - powiedział. - Kto ci, u diabła, powiedział, że potrafisz walczyć?

Mężczyzna zadał mu słaby cios, a Roger chwycił go, pociągnął naprzód, okręcił nieco i trzasnął dwa razy w ucho nasadą prawej pięści.

- Myślisz, że już się nauczyłeś nie gadać do ludzi? - zapytał.

- Patrzcie na jego ucho - powiedział Rupert. - Jak kiść winogron.

Roger znów przytrzymał mężczyznę naciskając kciukami ścięgna u nasady bicepsów. Thomas Hudson obserwował twarz tamtego. Z początku nie była wystraszona, tylko zła jak pysk świni, prawdziwie złego dzika. Teraz jednakże była zupełnie przerażona. Zapewne nigdy nie słyszał o bójkach, których nikt nie przerywa. Zapewne jakąś częścią swojego umysłu wspominał przeczytane historie o ludziach, których kopano na śmierć, jeśli upadli. Nadal próbował walczyć. Za każdym razem, kiedy Roger mówił mu, żeby go uderzył, albo odpychał go od siebie, próbował zadać cios. Nie dał za wygraną.

Roger odepchnął go. Mężczyzna stał i patrzył na niego. Kiedy Roger nie trzymał go tak, że czuł się absolutnie bezradny, strach nieco odpływał, a złość wracała. Stał przestraszony, paskudnie pokaleczony, ze zmasakrowaną twarzą, krwawiącymi ustami i tym uchem, które wyglądało jak nadmiernie dojrzała figa, gdy drobne, pojedyncze krwawienia zbierały się w jedno ogromne obrzmienie pod skórą. Kiedy tak stał, już nie trzymany przez Rogera, strach odpłynął i wezbrała w nim nieujarzmiona złość.

- Masz coś do powiedzenia? - zapytał go Roger.

- Szmaciarzu - powiedział mężczyzna. Mówiąc to wciągnął brodę, podniósł ręce i na wpół się odwrócił ruchem, który mogłoby zrobić niepoprawne dziecko.

- Teraz coś będzie! - wykrzyknął Rupert. - Teraz się potoczy.

Ale nie było to nic dramatycznego ani naukowego. Roger szybko postąpił ku stojącemu mężczyźnie, uniósł lewe ramię, opuścił prawą pięść i poderwał ją tak, że rąbnęła mężczyznę w bok głowy. Ten upadł na czworaki, czoło oparło mu się o molo. Klęczał tak chwilę z czołem przytkniętym do desek, po czym miękko przewrócił się na bok. Roger popatrzał na niego, a potem podszedł do krawędzi mola i opuścił się do kokpitu.

Załoga jachtu mężczyzny wносиła go na pokład. Nie wtrącali się w to, co się działo na molo, tylko dźwignęli go leżącego tam na boku i ponieśli zwisającego ciężko. Paru Murzynów pomogło im opuścić go na rufę i znieść pod pokład. Potem zatrzasnęli drzwiczki.

- Powinno się wezwać do niego doktora - powiedział Thomas Hudson.

- Nie uderzył się mocno o molo - odparł Roger. - Myślałem o tym.

- Nie sądzę, żeby ten ostatni cios koło ucha zrobił mu wiele dobrego - rzekł Johnny Goodner.

- Zrujnowałeś mu twarz - powiedział Frank. - I to ucho. Nigdy nie widziałem, żeby ucho puchło tak prędko. Najpierw było jak kiść winogron, a potem pękate jak pomarańcza.

- Gołe ręce to paskudna rzecz - powiedział Roger. - Ludzie nie mają pojęcia, co mogą zrobić. Wolałbym go nigdy nie widzieć.

- Ano, nie zobaczysz go nigdy więcej tak, żebyś go nie mógł rozpoznać.

- Mam nadzieję, że przyjdzie do siebie - rzekł Roger.

- To była piękna walka, panie Rogerze - powiedział Fred.

- Cholera z walką - odparł Roger. - Dlaczego, u diabła, musiało się to zdarzyć?

- Ten pan przecież sam to wywołał - rzekł Fred.

- Przestań się trapić, dobrze? - powiedział Frank do Rogera. - Widziałem setki uśpionych gości, a ten jest okej.

Na nabrzeżu chłopcy odchodzili komentując walkę. W wyglądzie tego białego człowieka, kiedy go wnoszono na pokład, było coś, co im się nie podobało, i cała brawura z jaką się gotowali do spalenia domu komisarza, wyparowywała.

- No, to dobranoc, kapitanie Frank - powiedział Rupert.

- Idziesz, Rupert? - spytał go Frank.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wszyscy pójść zobaczyć, co się dzieje u pana Bobby'ego.

- Dobranoc, Rupercie - rzekł Roger. - Zobaczymy się jutro.

Roger był bardzo osowiały, a lewą rękę miał napuchniętą jak grejpfrut. Prawa też była obrzmiała, lecz nie tak silnie. Nic innego nie wskazywało, że wziął udział w bójce, poza tym, że jego koszulka była rozdarta pod szyją i zwisała mu na pierś. Mężczyzna uderzył go raz w głowę i był tam mały guz. John nasmarował merkuriochromem miejsca, gdzie knykcie były odarte ze skóry i pokaleczone. Roger nawet nie spojrzął na swoje ręce.

- Chodźmy do Bobby'ego zobaczyć, czy tam jest jakaś zabawa - powiedział Frank.

- Nie martw się o nic, Roger - powiedział Fred Wilson i wdrapał się na molo. - Tylko frajerzy się martwią.

Poszli nabrzeżem, niosąc gitarę i banjo, ku miejscu, gdzie z otwartych drzwi "Ponce de Leon" dobywało się światło i śpiewy.

- Freddy to bardzo porządny chłop - rzekł John do Thomasa Hudsona.

- Zawsze był taki - odrzekł Thomas Hudson. - Ale on i Frank razem są nieprzyjemni. Roger nie mówił nic i Thomas Hudson niepokoił się o niego; o niego i o inne rzeczy.

- Nie myślisz, że moglibyśmy pójść spać? - zapytał go.

- Wciąż się boję o tego typu - rzekł Roger.

Siedział plecami do rufy, z ponurą miną, trzymając lewą dłoń w prawej.

- No, już nie musisz - powiedział John bardzo spokojnie. - Już jest na nogach.

- Naprawdę?

- Właśnie wychodzi i ma strzelbę.

- Kiepsko będzie ze mną - powiedział Roger. Ale głos miał znowu wesoły. Siedział plecami do rufy i nie obrócił się, aby spojrzeć.

Mężczyzna wyszedł na rufę tym razem w spodniach i kurtce od piżamy, ale w oczy rzucała się przede wszystkim strzelba. Thomas Hudson przeniósł z niej wzrok na jego twarz, a ta twarz wyglądała bardzo niedobrze. Ktoś ją opatrzył i na policzkach była gaza i plastry, a zastosowano też dużo merkuriochromu. Z uchem nie dało się nic zrobić. Thomas Hudson wyobrażał sobie, że musiało boleć za każdym dotknięciem, sterczało bardzo obrzmiałe i napuchnięte i stało się dominującym elementem jego twarzy. Nikt nic nie mówił, a mężczyzna tylko tam stał ze swoją rozbitą twarzą i ze strzelbą. Prawdopodobnie nie mógł nikogo widzieć zbyt wyraźnie, bo oczy miał tak zapuchnięte. Stał, nic nie mówił i nie odzywał się również nikt inny.

Roger obrócił głowę bardzo powoli, zobaczył go i powiedział przez ramię:

- Idź pan schować tę strzelbę i położyć się do łóżka.

Mężczyzna dalej stał ze strzelbą. Napuchnięte wargi poruszały się, ale nie mówił nic.

- Jesteś pan dostatecznie nędzny, żeby strzelić człowiekowi w plecy, ale nie masz na to nerwu - mówił Roger przez ramię bardzo spokojnie. - Idź pan schować strzelbę i położyć się do łóżka.

Roger siedział nadal obrócony plecami do mężczyzny. A potem zrobił coś, co zdaniem Thomasa Hudsona było strasznym ryzykiem.

- Czy on wam trochę nie przypomina Lady Makbet wychodząc w tym nocnym stroju? - zapytał trzech pozostałych siedzących na rufie.

Thomas Hudson teraz już tylko czekał. Ale nic się nie stało i mężczyzna po chwili zawrócił i zszedł ze strzelbą do kabiny.

- Czuję się o wiele, wiele lepiej - powiedział Roger. - Czuję, jak pot mi spływał spod pachy na nogę. Chodźmy do domu, Tom. Chłop jest okej.

- Nie zanadto okej - rzekł Johnny.

- Wystarczająco - powiedział Roger. - Co to za człowiek!

- Chodź, Roger - powiedział Thomas Hudson. - Zajdź do mnie na chwilę.

- Dobrze.

Powiedzieli dobranoc Johnowi i poszli Drogą Królewską w stronę domu. Wciąż jeszcze wszędzie świętowano.

- Chcesz wstąpić do "Ponce"? - zapytał Thomas Hudson.

- Nie, psiakrew - odrzekł Roger.

- Chciałem powiedzieć Freddy'emu, że ten gość jest okej.

- To mu powiedz. Ja pójdę do twojego domu.

Kiedy Thomas Hudson wrócił do domu, Roger leżał na brzuchu na łóżku w głębi osłoniętej siatką werandy od strony wyspy. Było ciemno i ledwie się słyszało odgłosy zabawy.

- Śpisz? - zapytał go Thomas Hudson.

- Nie.

- Chciałbyś coś wypić?

- Chyba nie. Dziękuję.

- Jak ręka?

- Tylko spuchnięta i obolała. Nic takiego.

- Znowu jesteś klapnięty?

- Tak. Paskudnie.

- Dzieciaki będą tu rano.

- Będzie świetnie.

- Na pewno nie chciałbyś czegoś się napić?

- Nie, stary. Ale ty się napij.

- Zrobię sobie whisky z wodą sodową, żeby dobrze spać.

Thomas Hudson poszedł do lodówki, zmieszał napój, wrócił na werandę i zasiadł tam w ciemnościach obok leżącego na łóżku Rogera.

- Wiesz co, na świecie jest straszna masa prawdziwych drani - powiedział Roger. - Ten gość był paskudny, Tom.

- Czegoś go nauczyłeś.

- Nie. Nie sądzę. Upokorzyłem go i pokancerowałem trochę. Ale on to sobie odbije na kimś innym.

- Sam to wywołał.

- Jasne. Ale ja tego nie dokończyłem.

- Zrobiłeś wszystko poza tym, żeś go nie zabił.

- O to mi idzie. Teraz będzie jeszcze gorszy.

- Myślę, że dałeś mu cholerną nauczkę.

- Nie, nie uważam. To samo było na wybrzeżu.

- Co tam się naprawdę stało? Nic mi nie powiedziałaś od powrotu.

- Bójka, trochę taka jak ta.

- Z kim?

Wymienił nazwisko człowieka bardzo wysoko postawionego w tym, co się nazywa przemysłem.

- Wcale tego nie chciałem - mówił Roger. - Byłem w jednym domu, gdzie miałem pewne kłopoty z kobietą, i zasadniczo chyba nie powinienem był tam być. I tamtej nocy dostawałem, dostawałem i dostawałem od tego typu. O wiele gorzej niż dzisiaj. W końcu po prostu nie mogłem znieść tego dłużej, dałem mu, dałem porządnie, nie myśląc o niczym, a on uderzył głową o marmurowe stopnie schodzące do basenu. To wszystko działo się przy basenie. W końcu wylizal się z tego w szpitalu bodaj na trzeci dzień i tym sposobem uniknąłem zabójstwa. Ale oni już sobie wszystko ułożyli. Przy tych świadkach, których mieli, miałbym szczęście, gdybym to dostał.

- A potem co?

- A potem, kiedy się wziął do roboty, uknuli na mnie prawdziwy spisek. Na całego. Ze wszystkimi akcesoriami.

- Co to było?

- Wszystko. Seriami.

- Nie chciałbyś mi opowiedzieć?

- Nie. To by ci się na nic nie przydało. Po prostu wierz mi na słowo, że to był spisek. Taki paskudny, że nikt o tym nie wspomina. Nie zauważyłeś?

- Tak jakby.

- Dlatego nie byłem zbyt zadowolony z dzisiejszego wieczora. Po świecie chodzi masa złych ludzi. Naprawdę złych. A bicie ich nie jest żadnym rozwiązaniem. Myślę, że to jedna z przyczyn, że prowokują człowieka. - Obrócił się na łóżku i ułożył na wznak. - Wiesz, Tommy, zło to jest cholerna rzecz. I cwane jest jak świnia. Za dawnych czasów mieli coś tam na temat dobra i zła.

- Masa ludzi nie zaklasyfikowałaby ciebie jako całkiem dobrego - powiedział Thomas Hudson.

- Tak. I nie twierdzę, że jestem. Ani całkiem dobry, ani nawet w przybliżeniu. A chciałbym być. To, że się jest przeciwko złu, nie czyni nas dobrymi. Dziś byłem przeciwko złu, a potem sam stałem się złem. Czuję, że to nadchodzi zupełnie jak przyływ.

- Wszelkie bójki są złe.

- Wiem o tym. Ale co można zrobić?

- Trzeba wygrać, jak już się zacznie.

- Jasne. Tylko że ja znajdowałem w tym przyjemność, od chwili gdy się zaczęło.

- Miałbyś większą przyjemność, gdyby on umiał walczyć.

- Tak przypuszczam - rzekł Roger. - Chociaż teraz już nie wiem. Po prostu chcę takiego zniszczyć. Ale jak ktoś zaczyna znajdować w tym przyjemność, jest strasznie bliski tego, co zwalcza.

- To był paskudny typ - powiedział Thomas Hudson.

- Nie mógł być gorszy od tego ostatniego na wybrzeżu. Sęk w tym, że jest ich tylu, Tommy. Są we wszystkich krajach i robią się coraz silniejsi. Czasy nie są dobre, Tommy.

- A ty kiedy widziałeś dobre?

- Zawsze nam było dobrze.

- Owszem. Mieliśmy dobre chwile w najrozmaitszych dobrych miejscach. Ale czasy nie były dobre.

- Nigdy nie miałem pewności - powiedział Roger. - Wszyscy twierdzili, że są dobre, a potem wszyscy obrywali. Nie miałem pieniędzy wtedy, kiedy każdy je miał. A później miałem ich trochę, kiedy zrobiło się naprawdę źle. Ale jednak ludzie nie zawsze wydawali się tacy cholernie podli i źli.

- Zadawałeś się z okropnymi ludźmi.

- Od czasu do czasu spotykam jakichś dobrych.

- Nie za wielu.

- Owszem, spotykam. Nie znasz wszystkich moich przyjaciół.

- Zadajesz się z dość nieciekawymi ludźmi.

- A czyimi przyjaciółmi byli ci dzisiaj? Twoimi czy moimi?

- Naszymi. Nie są tacy źli. Są bezwartościowi, ale nie naprawdę źli.

- Ano nie - powiedział Roger. - Pewno nie. Frank jest dosyć niedobry. Dość niedobry. Ale nie myślę, żeby był zły. Tylko że jest masa rzeczy, których nie mogę już strawić. A on i Fred pogorszyli się strasznie szybko.

- Wiem coś o dobru i złu. Nie staram się źle cię rozumieć ani udawać tępego.

- Ja niewiele wiem na temat dobra, bo nigdy mi nie wychodziło. Zło jest moją dziedziną. Umiem się na nim poznać.

- Przykro mi, że dzisiejszy wieczór wypadł tak parszywie.

- Jestem po prostu klapnięty.

- Nie chciałbyś pójść spać? Lepiej prześpij się tutaj.

- Dziękuję. Tak zrobię, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Ale myślę, że pójdę do biblioteki i poczytam chwilę. Gdzie są te australijskie opowiadania, które miałeś, jak tu byłem ostatnim razem?

- Henry'ego Lawsona?

- Tak

- Dam ci je.

Thomas Hudson położył się do łóżka, a kiedy zbudził się w nocy, światło jeszcze się paliło w bibliotece.

V

Kiedy Thomas Hudson się obudził, wiała lekka wschodnia bryza, piasek na płaszczyznach był pod błękitnym niebem biały jak kość, a małe, wysokie obłoki, wędrujące z wiatrem, rzucały ciemne, ruchome plamy na zieloną wodę. Koło napędzanej wiatrem prądnicą obracało się i był piękny, świeży poranek.

Rogera już nie było i Thomas Hudson zjadł śniadanie sam jeden, czytając marylandzką gazetę, która przyszła wczoraj. Odłożył ją wtedy nie czytając, żeby ją sobie zachować do śniadania.

- O której przyjeżdżają chłopcy? - zapytał Joseph.

- Około południa.

- Ale będą tu na obiad?

- Tak.

- Pana Rogera już nie było, jak przyszedłem - powiedział Joseph. - Nie zjadł śniadania.

- Może teraz się zjawi.

- Boy mówił, że go widział wiosłującego w dinghy.

Kiedy Thomas Hudson skończył śniadanie i gazetę, poszedł na werandę od strony oceanu i zabrał się do roboty. Pracowało mu się dobrze i już prawie skończył, kiedy usłyszał Rogera wracającego i wchodzącego po schodach.

Roger zajął nad jego ramieniem i powiedział:

- To będzie dobre.

- Może.

- Gdzieś ty widział te trąby wodne?

- Tych nigdy nie widziałem. Robię je na zamówienie. Jak twoja ręka?

- Jeszcze spuchnięta.

Roger przyglądał się jego robocie, a on nie obracał głowy.

- Gdyby nie ręka, wszystko to wydawałoby się tylko paskudnym snem.

- Dosyć paskudnym.

- Myślisz, że ten gość naprawdę wyszedł ze strzelbą?

- Nie wiem - odrzekł Thomas Hudson. - I jest mi to obojętne.

- Przepraszam - powiedział Roger. - Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Nie. Siedź tu. Już prawie skończyłem. Nie będę zwracał na ciebie uwagi.

- Tamci odpłynęli o pierwszym brzasku - powiedział Roger. - Widziałem, jak odpływali.

- Coś ty robił do tak późna?

- Kiedy przestałem czytać, nie mogłem zasnąć, a nie byłem dla siebie zbyt dobrym towarzyszem, więc zszedłem do przystani i siedziałem z paroma chłopakami. "Ponce" w ogóle nie zamknęli. Widziałem Josepha.

- Joseph mówił, że gdzieś powiosłowałeś.

- Wiosłowałem prawą ręką. Chciałem ją poćwiczyć. I poćwiczyłem. Teraz czuję się świetnie.

- To mniej więcej wszystko, co mogę teraz zrobić - powiedział Thomas Hudson i zaczął uprzątać i chować przybory. - Dzieciaki pewnie właśnie startują. - Spojrzał na zegarek. - Może byśmy łyknęli jednego szybkiego?

- Świetnie. Przydałby mi się.

- Jeszcze nie ma dwunastej.

- Chyba to nie ma znaczenia. Ty skończyłeś pracować, a ja jestem na wakacjach. Ale może zaczekajmy do dwunastej, jeżeli masz taką zasadę.

- W porządku.

- Ja też przestrzegałem tej zasady. Jest strasznym utrapieniem w pewne poranki, kiedy drink dałby człowiekowi dobre samopoczucie.

- To ją złamiemy - powiedział Thomas Hudson. - Zawsze jestem okropnie podniecony, kiedy wiem, że ich zobaczę - wyjaśnił.

- Aha.

- Joe - zawołał Roger. - Przynieś shaker i to co trzeba do martinich.

- Tak jest. Już mam je gotowe.

- A po co tak wcześnie? Uważasz nas za pijaków?

- Nie, proszę pana. Pomyślałem sobie, że właśnie na to panowie czekacie o pustym żołądku.

- Za zdrowie nasze i chłopców - powiedział Roger.

- Powinni przyjemnie spędzić czas tego roku. A ty też tutaj zostań. Zawsze możesz pójść do chaty, jeżeli zaczną ci działać na nerwy.

- Posiedzę tu jakiś czas, jeżeli ci nie przeszkadzam.

- Nie przeszkadzasz mi.

- Cudownie będzie mieć ich tutaj.

I tak też było. Byli to dobrzy chłopcy i mieszkali w domu już od tygodnia. Ławice tuńczyków skończyły się i na wyspie pozostały nieliczne łodzie, a życie znowu płynęło powoli i normalnie, pogoda zaś była wczesnoletnia.

Chłopcy sypiali na składanych łózkach na osłoniętej siatką werandzie, a jest się o wiele mniej samotnym, kiedy budząc się w nocy można dosłyszeć oddychanie dzieci. Noce były chłodne od bryzy, która nadlatywała nad skarpami, a kiedy ustawała bryza, szedł chłód od morza.

Chłopcy byli po przyjeździe trochę nieśmiali i o wiele schludniejsi niż później. Ale nie było wielkiego problemu ze schludnością, jeżeli się pilnowało, żeby spłukiwali ze stóp piasek przed wejściem do domu i rozwieszali mokre spodenki kąpielowe na dworze, a wkładali suche w domu. Joseph przewietrzył ich piżamy ścieląc rano łóżka i po wywieszeniu na słońce składał je i chował, tak że porzucane mogły być tylko koszule i swetry, które wkładali wieczorem. Tak przynajmniej było w zasadzie. W praktyce wszelkie

przybory, jakie posiadali, były porzucane wszędzie. Thomasowi Hudsonowi to nie przeszkadzało. Kiedy człowiek mieszka samotnie w domu, nabiera ściśle określonych nawyków i to się staje przyjemnością. Ale miło było, kiedy niektóre z nich łamano. Wiedział, że znowu wróci do swoich nawyków, długo po tym, kiedy nie będzie już miał u siebie chłopców.

Siedząc i pracując na werandzie od morza widział największego, średniego i małego, leżących na plaży z Rogerem. Rozmawiali, grzebali w piasku i dyskutowali, ale nie mógł dosłyszeć, co mówią.

Największy chłopiec był wysoki i smagły, miał kark i ramiona ojca, długie nogi pływaka i duże stopy. Twarz miał trochę indiańską i był wesołym chłopcem, choć jego twarz w bezruchu wyglądała nieomal tragicznie.

Thomas Hudson przypatrzył mu się niegdyś, kiedy miał ten smutny wyraz twarzy i spytał: "O czym ty myślisz, skarbie?"

"O łapaniu much" - odpowiedział chłopiec, a twarz mu się natychmiast rozjaśniła. To oczy i usta nadawały jej ten tragiczny wyraz, gdy myślał, a ożywiały ją, kiedy mówił.

Średni zawsze przypominał Thomasowi Hudsonowi wydrę. Miał włosy tego samego koloru co futerko wydry i prawie tego samego gatunku co włos podwodnego zwierzęcia, i opalał się cały na dziwny, ciemnozłoty odcień. Zawsze przypominał ojcu ten rodzaj zwierzęcia, które samotnie prowadzi zdrowe i pełne humoru życie. Wydry i niedźwiedzie są zwierzętami, które najwięcej żartują, a niedźwiedzie są oczywiście bardzo zbliżone do ludzi. Ten chłopiec nie mógł być dostatecznie barczysty i silny, ażeby być niedźwiedziem, i nigdy nie miał zostać sportowcem ani tego nie pragnął, ale miał jakąś miłą właściwość małego zwierzątka, bystry umysł i swoje własne życie. Był serdeczny, miał poczucie sprawiedliwości i był dobrym towarzyszem. Był także kartezyjskim niedowiarkiem, zapalonym polemistą i umiał się przekomarzać zręcznie i bez złośliwości, chociaż czasami robił to ostro. Miał inne zalety, o których nikt nie wiedział, i dwaj pozostali chłopcy szanowali go ogromnie, chociaż próbowali przekomarzać się z nim i przycinać mu na każdym jego słabym punkcie. Naturalnie zdarzały się między nimi kłótnie i dokuczali sobie wzajemnie ze sporą dozą złośliwości, ale byli dobrze wychowani i odnosili się z uszanowaniem do dorosłych.

Najmniejszy chłopiec był jasnowłosy i zbudowany jak pancernik kieszonkowy. Fizycznie był kopią Thomasa Hudsona w zmniejszonej skali, poszerzoną i skróconą. Dostawał piegów, kiedy się opalał, miał wesołą twarz i urodził się jako bardzo stary. Był także szatanem i umiał rozzłościć obydwu starszych braci, i miał swoją ciemną stronę,

której nikt nie potrafił zrozumieć oprócz Thomasa Hudsona. Obaj nie myśleli o niej, tyle że uznawali ją w sobie i wiedzieli, że jest niedobra, a ojciec ją respektował i rozumiał, że chłopiec ją ma. Byli ze sobą bardzo blisko, choć Thomas Hudson nigdy nie przebywał tyle z tym chłopcem, co z pozostałymi. Ten najmłodszy, Andrew, stał się przedwcześnie znakomitym sportowcem i od samego początku cudownie jeździł konno. Pozostali chłopcy byli z niego ogromnie dumni, ale zarazem nie tolerowali żadnych jego wybryków. Był trochę niewiarygodny i każdy mógłby powątpiewać o jego wyczynach, tyle, że wiele osób widziało go na koniu, obserwowało jego skoki i zimną, profesjonalną skromność. Był chłopcem urodzonym do tego, żeby być bardzo złośliwym, a zachowywał się dobrze i nosił w sobie tę swoją złośliwość przeobrażoną w rodzaj przekornej wesołości. Ale był złośliwy i tamci o tym wiedzieli, i on sam o tym wiedział. Po prostu zachowywał się dobrze, podczas gdy ta złośliwość w nim narastała.

W dole pod werandą leżeli we czterech na piasku, najstarszy chłopiec, młody Tom, z jednej strony Rogera, najmłodszy, Andrew, pośrodku, obok niego, a średni, David, wyciągnięty przy Tomie na wznak, z zamkniętymi oczami. Thomas Hudson uprzątnął swoje przybory i zeszedł do nich.

- Cześć, papo - powiedział najstarszy. - Dobrze ci się pracowało?

- Będziesz pływał, papo? - zapytał średni.

- Woda bardzo przyjemna, papo - powiedział najmłodszy.

- Jak się masz, ojcze? - uśmiechnął się Roger. - Jak tam czynności malarskie, panie Hudson?

- Czynności malarskie na dziś zakończone, proszę panów.

- To byczo - powiedział David, ten średni. - Myślisz, że moglibyśmy połowić ryby pod wodą?

- Wybierzmy się po obiedzie.

- Cudownie - powiedział wysoki chłopiec.

- A nie będzie za dużej fali? - zapytał Andrew, najmłodszy.

- Może dla ciebie - odparł Tom, jego najstarszy brat.

- Nie, Tommy. Dla każdego.

- Jak jest fala, to one siedzą w skałach - rzekł David. - Boją się fali tak samo jak my. Myślę, że też dostają od tego morskiej choroby. Papo, czy ryby nie miewają morskiej choroby?

- Oczywiście - odparł Thomas Hudson. - Czasami w ładowni transportowca rybnego graniki dostają w złą pogodę takiej choroby morskiej, że zdychają.

- Nie mówiłem ci? - spytał David starszego brata.

- Chorują i zdychają - powiedział młody Tom. - Ale jaki dowód, że to morska choroba?

- Chyba można powiedzieć, że naprawdę mają morską chorobę - odrzekł Thomas Hudson. - Tylko nie wiem, czyby ją miały, gdyby mogły pływać swobodnie.

- Ale czy ty nie rozumiesz, papo, że w rafach też nie mogą pływać swobodnie? - zapytał David. - Mają tam swoje dziury i takie miejsca, gdzie się poruszają. Ale muszą siedzieć w tych dziurach ze strachu przed większymi rybami, a fale nimi rzucają zupełnie tak samo jak w ładowni statku.

- Nie aż tak - sprzeciwił się młody Tom.

- Może nie całkiem - zgodził się roztropnie David.

- Ale dostatecznie - powiedział Andrew. - Szepnął do ojca: - Jeżeli będą dalej tak gadali, nie będziemy musieli iść.

- Nie masz ochoty?

- Owszem, ogromną, ale się pietram.

- Czego się pietrasz?

- Wszystkiego pod wodą. Mam stracha, jak tylko wypuszczę powietrze. Tommy wspaniale pływa, a też ma stracha pod wodą. David jeden z nas się nie boi.

- Ja boję się bardzo często - powiedział mu Thomas Hudson.

- Naprawdę?

- Myślę, że chyba każdy się boi.

- David nie. Gdziekolwiek jest. Ale teraz boi się koni, bo go zrzucały tyle razy.

- Słuchaj, szczeniaku. - David to usłyszał. - A dlaczego mnie zrzucały?

- Nie wiem. To było tyle razy, że już nie pamiętam.

- No to ci powiem. Dobrze wiem, dlaczego tak mnie zrzucały. Kiedy tamtego roku jeździłem na Srokatej, zawsze się nadymała, jak dociągali popręg, i potem siodło przekręcało się razem ze mną.

- Ja nigdy nie miałem z nią tego kłopotu - powiedział chytrze Andrew.

- A, do diabła - odrzekł David. - Pewnie lubiła cię tak jak wszyscy. Może ktoś jej powiedział, kim jesteś.

- Czytywałem jej na głos to, co było o mnie w gazetach - odparł Andrew.

- Założę się, że wtedy wiała na złamanie karku - powiedział Thomas Hudson. - Wiecie, z Davidem było tak, że zaczął jeździć na tej starej szkapie, która się do nas przywiązała, a klacz nie miała gdzie biegać. Koni nie powinno się wypuszczać w taki teren.

- Nie mówiłem, że umiałem na niej jeździć, papo - rzekł Andrew.

- To i lepiej - rzekł David. A potem: - O psiakrew, pewnie byś umiał. Na pewno. Ale naprawdę, Andy, nawet nie wiesz, jak ten koń chodził, zanim zacząłem się pietrać. Bałem się tej kuli siodła. A, do licha z tym. Bałem się.

- Papo, czy my musimy iść na te ryby? - zapytał Andrew.

- Nie, jeżeli morze będzie zanadto niespokojne.

- Kto decyduje, czy jest niespokojne?

- Ja decyduję.

- Dobrze - powiedział Andy. - Mnie się na pewno wydaje zanadto niespokojne. - Papo, czy jeszcze masz Srokatą na ranczu? - zapytał Andy.

- Chyba tak - odrzekł Thomas Hudson. - Ale, wiecie, ja rancz wydzierżawiłem.

- Naprawdę?

- Tak. Pod koniec zeszłego roku.

- Ale my tam zawsze możemy pojechać, prawda? - zapytał szybko David.

- Ach, oczywiście. Wciąż mamy tę dużą chatę na plaży nad rzeką.

- Ten rancz to jest najlepsze miejsce, w jakim byłem - powiedział Andy. - Poza tym tutaj, oczywiście.

- Myślałem, że najbardziej lubiłeś Rochester - przyciął mu David. Tam zostawiano Andy'ego z niańką, kiedy w letnie miesiące mieszkała u swojej rodziny, a pozostali chłopcy jechali na zachód.

- I owszem. W Rochesterze było wspaniale.

- Pamiętasz, Dave, jak wróciliśmy do domu tamtej jesieni, kiedyśmy zabili trzy szare niedźwiedzie, i chciałeś mu o tym opowiedzieć, i co on wtedy powiedział? - zapytał Thomas Hudson.

- Nie, papo. Nie przypominam sobie dokładnie takich dawnych rzeczy.

- To było w tym pokoiku przy kuchni, gdzieście jadali, i wtedy siedzieliście we trzech przy kolacji i chciałeś mu o tym opowiedzieć, a Anna mówiła: "O mój Boże, to musiała być emocja, David. I co wtedy zrobiłeś?", a ten złośliwy starzec, musiał mieć wtedy z pięć czy sześć lat, powiedział: "Ano, David, to pewnie bardzo ciekawe dla tych, co się interesują takimi rzeczami. Ale my nie mamy niedźwiedzi w Rochesterze."

- Widzisz, koniarzu, jaki wtedy byłeś? - spytał David.

- No dobrze, papo - rzekł Andrew. - To mu opowiedz, jak nie chciał nic czytać poza komiksami i czytał je podczas wycieczki do Everglades, i nie chciał na nic spojrzeć, bo jak poszedł do szkoły tej jesieni, kiedy byliśmy w Nowym Jorku, okazało się, że jest tuman.

- Pamiętam - powiedział David. - Papa nie musi opowiadać.

- Wyciągnąłeś się z tego wcale nieźle - rzekł Thomas Hudson.

- Musiałem. Byłoby dosyć paskudnie, gdybym taki został.

- Opowiedz im, jak byłem mały - poprosił młody Tom przekręcając się i chwytając Davida za kostkę. - Nigdy nie będę taki fajny w rzeczywistości jak w tych historiach o mnie, kiedy byłem mały.

- Znałem cię, kiedy byłeś mały - powiedział Thomas Hudson. - Był wtedy z ciebie całkiem dziwny typ.

- On był dziwny, bo mieszkał w dziwnych miejscach - odezwał się najmniejszy. - Ja też potrafiłbym być dziwny w Paryżu, w Hiszpanii i Austrii.

- Jest dziwny i teraz, koniarzu - powiedział David. - Nie potrzebuje żadnego egzotycznego tła.

- Co to jest egzotyczne tło?

- To, czego nie masz.

- No to załóżę się, że będę miał.

- Zamknij się i daj papie opowiedzieć - rzekł młody Tom. - Opowiedz im, jak chodziliśmy razem po Paryżu.

- Wtedy nie byłeś taki dziwny - powiedział Thomas Hudson. - Jako malec byłeś typem ogromnie rozsądnym. Mama i ja zostawialiśmy cię w łóeczku zrobionym z kosza na bieliznę, w tym naszym mieszkaniu nad tartakiem, i Pan Mruczek, ten duży kot, zwijał się w nogach kosza i nie dawał nikomu zbliżyć się do ciebie. Mówiłeś, że masz na imię G'Ning G'Ning, a myśmy cię nazywali G'Ning G'Ning Groźny.

- A skąd ja wziąłem takie imię?

- Zdaje się, z jakiegoś tramwaju czy autobusu. To był dźwięk wydawany przez konduktora.

- Nie umiałem mówić po francusku?

- Wtedy nie za dobrze.

- Opowiedz mi, jak było trochę później, kiedy już umiałem po francusku.

- Później wozilem cię wózkiem, takim tanim, bardzo lekkim, składanym, do "Closerie des Lilas", gdzie jedliśmy śniadanie, ja czytałem gazetę, a ty przyglądałaś się wszystkiemu, co nas mijalo bulwarem. Potem kończyliśmy śniadanie...

- A cośmy jedli?

- Brioche i cafe au lait. (Bułeczki i kawę z mlekiem.)

- Ja też?

- Dostawałeś do mleka tylko odrobinę kawy.

- Pamiętam. I gdzieśmy potem szli?

- Wiozłem cię przez ulicę z “Closerie des Lilas” koło fontanny z tymi koźmi z brązu, rybami i syrenami, a potem długimi alejami kasztanowymi, gdzie bawiły się francuskie dzieci, a ich niańki siedziały na ławkach przy wyżwirowanych ścieżkach...

- Z Ecole Alsacienne po lewej - rzekł młody Tom.

- I kamienicami po prawej...

- Kamienicami i mieszkaniami, co miały szklane dachy na pracownie malarskie wzdłuż tej ulicy, która odchodzi w lewo i jest całkiem “triste” (smutna), bo kamienie są ciemne, a to jest ocieniona strona - powiedział młody Tom.

- Czy ma być jesień, wiosna czy zima? - zapytał Thomas Hudson.

- Późna jesień.

- W takim razie było ci zimno w buzię, policzki i nos miałeś zaczerwienione i wchodziliśmy do Luxembourg przez żelazną bramę u górnego końca, a potem w dół do jeziora, raz dookoła niego i skręcaliśmy w prawo, ku Fontannie Medycejskiej i posągom, i wychodziliśmy bramą naprzeciwko Odeonu, a później paroma bocznymi ulicami do Boulevard Saint-Michel...

- Boul' Mich'...

- I przez Boul' Mich' koło Cluny...

- Po prawej...

- Które było bardzo ciemne i ponure, i przez Boulevard Saint-Germain...

- To była najciekawsza ulica, największy ruch. Dziwna rzecz, jak się tam wydawało emocjonująco i niebezpiecznie. A na Rue de Rennes zawsze było całkiem bezpiecznie... to znaczy między “Deux Magots” a tym skrzyżowaniem koło Lippa. Dlaczego, papo?

- Nie wiem, skarbie.

- Chciałbym, żeby coś się działo poza nazwami ulic - powiedział Andrew. - Nudzą mnie nazwy ulic w mieście, gdzie nigdy nie byłem.

- To zrób tak, żeby coś się działo, papo - rzekł młody Tom. - Możemy pomówić o ulicach, kiedy będziemy sami.

- Nie działo się nic wielkiego - mówił Thomas Hudson. - Szliśmy do Place Saint-Michel, siadaliśmy na tarasie kawiarni i papa sobie szkicował przy cafe creme (kawa ze śmietanką), a ty piłeś piwo.

- Lubilem wtedy piwo?

- Byłeś wielkim piwoszem. Ale do jedzenia lubiłeś wodę z odrobiną czerwonego wina.

- Pamiętam. "L'eau rouge."

- Exactement (Właśnie) - powiedział Thomas Hudson. - Byłeś ogromnym amatorem "l'eau rouge", ale od czasu do czasu lubiłeś bock (piwo).

- Pamiętam, jak w Austrii jeździliśmy na luge (sankach), i naszego psa Schnautza, i śnieg.

- A pamiętasz tam Gwiazdkę?

- Nie. Tylko ciebie, śnieg, naszego psa Schnautza i moją nianię. Była piękna. I pamiętam mamę na nartach i to, jaka była piękna. Pamiętam ciebie i mamę, jak zjeżdżaliście na nartach przez sad. Nie wiem, gdzie to było. Za to przypominam sobie dobrze Jardin du Luxembourg. Pamiętam popołudnia z łódkami na jeziorze przy fontannie w wielkim ogrodzie, gdzie były drzewa. Ścieżki między drzewami były wyżwirowane, po lewej, pod drzewami, mężczyźni grali w kręgle, kiedy szliśmy w stronę pałacu, a wysoko na nim był zegar. Jesienią opadały liście i pamiętam gołe drzewa i te liście na żwirze. Najbardziej lubię wspominać jesień.

- Dlaczego? - spytał David.

- Z wielu powodów. To, jak wszystko pachniało jesienią, i te zabawy, i jak żwir był suchy z wierzchu, kiedy wszystko było wilgotne, i wiatr na jeziorze, który popychał łódki, i wiatr między drzewami strącający liście. Pamiętam, jak czułem przy sobie ciepłe gołębie pod kocykiem, kiedy je zabijałeś przed samym zmrokiem, i jakie gładkie miały piórka, a ja je głaskałem i przyciskałem do siebie, grzałem sobie ręce wracając do domu, póki gołębie też nie zrobiły się zimne.

- Gdzieś ty zabijał te gołębie, papo? - zapytał David.

- Głównie koło Fontanny Medycejskiej przed samym zamknięciem ogrodu. Dookoła ogrodu jest wysoki parkan żelazny i jak się ściemni, zamykają bramy i wszyscy muszą wyjść. Strażnicy chodzą, ostrzegają ludzi i zamykają bramy. Kiedy już przeszli, zabijałem z procy gołębie, które siedziały na ziemi przy fontannie. We Francji robią wspaniałe proce.

- Nie robiłeś ich sobie sam, skoro byłeś biedny? - zapytał Andrew.

- Oczywiście. Najpierw miałem jedną, zrobioną z rozwidlonej gałązki młodego drzewka, którą uciąłem w lesie Rambouillet, kiedy poszliśmy tam z matką Tommy'ego na pieszą wycieczkę. Ostrugałem tę gałązkę, kupiliśmy do niej szeroką opaskę gumową w sklepie z materiałami piśmiennymi na Place Saint-Michel, a skórzany uchwyt zrobiliśmy ze starej rękawiczki matki Tommy'ego.

- Czym strzelałeś?

- Kamykami.

- Jak blisko musiałeś podejść?

- Najbliżej jak się dało, żeby podnieść gołębia i wsadzić go pod kocyk możliwie najprędzej.

- Pamiętam, jak jeden ożył - powiedział młody Tom. - Trzymałem go po cichu i nie mówiłem nic przez całą drogę do domu, bo chciałem go sobie zachować. To był bardzo duży gołąb, prawie fiołkowego koloru, z długą szyją i wspaniałą głową i białe na skrzydłach, i pozwoliłeś mi trzymać go w kuchni, dopóki nie dostaniemy klatki. Uwiązałeś go za jedną nogę. Ale tej nocy zagryzł go ten duży kot i przyniósł do mojego łóżka. Był taki dumny i niósł go, jakby był tygrysem niosącym krajowca, i wskoczył z nim do łóżka. To było wtedy, jak już miałem porządne łóżko po tym koszyku. Koszyka nie pamiętam. Ty z mamą poszliście do kawiarni, kot i ja zostaliśmy sami i przypominam sobie, że okna były otwarte, a nad tartakiem wielki księżyc, że była zima i czułem zapach trocin. Pamiętam, jak ten kot szedł przez pokój, z głową podniesioną wysoko, tak że gołąb ledwie ocierał się o podłogę - a potem jednym skokiem wybił się w górę i na łóżko razem z nim. Było mi okropnie, że zabił mojego gołębia, ale taki był dumny i szczęśliwy, i taki mój dobry przyjaciel, że też poczułem się dumny i szczęśliwy. Pamiętam, że bawił się gołębiem, potem wodził mi łapami w górę i w dół po piersi i mruczał, i znowu bawił się gołębiem. W końcu on i ja, i gołąb, wszyscyśmy razem usnęli. Trzymałem jedną rękę na gołębiu, on na nim trzymał łapę, i później w nocy obudziłem się, a on go zjadał i mruczał głośno jak tygrys.

- To dużo lepsze niż nazwy ulic - powiedział Andrew. - Bałeś się, Tommy, jak on go zjadał?

- Nie. Ten duży kot był najlepszym przyjacielem, jakiego wtedy miałem. To znaczy najbliższym. Myślę, że byłby zadowolony, gdybym ja też jadł tego gołębia.

- Trzeba ci było spróbować - powiedział Andrew. - Opowiedz jeszcze coś o procach.

- Mama dała ci drugą procę na Gwiazdkę, papo - mówił młody Tom. - Zobaczyła ją w sklepie z bronią, a chciała ci kupić strzelbę, ale nigdy nie miała dosyć pieniędzy. Co dzień oglądała strzelby na wystawie przechodząc koło tego sklepu do Epicerie i któregoś dnia zobaczyła tę procę, i kupiła ją, bo bała się, że ją sprzedadzą komuś innemu, i trzymała ją schowaną aż do Gwiazdki. Musiała sfalszować rachunki, żebyś się o tym nie dowiedział. Opowiadała mi to masę razy. Pamiętam, jak ją dostałeś na Gwiazdkę, a mnie podarowałeś tę starą. Ale wtedy nie miałem dość siły, żeby ją naciągnąć.

- Papo, czy myśmy nigdy nie byli biedni? - zapytał Andrew.

- Nie. Skończyłem z biedą, zanim wy, chłopaki, przyszlście na świat. Masę razy byliśmy splukani, ale nigdy nie naprawdę biedni, tak jak z Tomem i jego matką.

- Opowiedz nam coś więcej o Paryżu - poprosił David. - Coście tam jeszcze robili z Tommym?

- Cośmy robili, skarbie?

- Na jesieni? Kupowaliśmy pieczone kasztany od przekupnia i też grzałem sobie na nich ręce. Chodziliśmy do cyrku i oglądaliśmy krokodyla pana Le Capitaine Wahl.

- Przypominasz to sobie?

- Doskonale. Capitaine Wahl walczył z krokodylami (wymawiał to "krokodil"), a piękna dziewczyna szturchała je trójzębem. Ale największe krokodyle nie chciały się ruszyć. Cyrk był piękny, okrągły i czerwony ze złotą farbą, i pachniał końmi. Na tyłach było takie miejsce, gdzie chodziłeś popić z panem Crosbym, z pogromcą lwów i jego żoną.

- Pamiętasz pana Crosby'ego?

- Nigdy nie nosił kapelusza ani płaszcza, choćby było nie wiem jak zimno, a jego córeczka miała włosy opadające na plecy tak jak Alicja w krainie czarów. To znaczy na ilustracjach. Pan Crosby był zawsze ogromnie nerwowy.

- Kogo jeszcze pamiętasz?

- Pana Joyce'a.

- Jaki on był?

- Wysoki i chudy, miał wąsy i małą bródkę, która rosła mu prosto w górę i w dół, i nosił grube, grube okulary, i idąc trzymał głowę wysoko podniesioną. Pamiętam, jak kiedyś mijaliśmy nas na ulicy i nie odezwał się, i ty zagadałeś do niego, a on się zatrzymał, dojrzał nas przez te okulary, jakby spoglądał z akwarium, i powiedział: "A, Hudson, szukałem pana", i wszyscy trzej poszliśmy do kawiarni, i na tarasie było zimno, ale usiedliśmy w rogu, gdzie był taki, jak to się nazywa?

- Brazier.

- Myślałem, że to jest coś, co noszą panie - powiedział Andrew.

[Idzie tu o podobne brzmienie słów "brazier" (kociołek do węgla) i "brassiere" (biustonosz).]

- To jest taki żelazny kociołek z dziurkami, w którym palą węgiel albo węgiel drzewny, żeby ogrzać jakieś miejsce na dworze, jak na przykład taras kawiarni, gdzie siada się blisko niego, albo tor wyścigowy, gdzie ludzie stają dokoła i grzeją się - wyjaśnił młody Tom. - W tej kawiarni, do której chodziliśmy, papa, ja i pan Joyce, mieli je poustawiane na zewnątrz i było ciepło i przyjemnie w najzimniejszą pogodę.

- Zdaje się, że większą część życia spędziliście w kawiarniach, knajpach i różnych takich dziurach - powiedział najmłodszy chłopiec.

- Całkiem sporą - odrzekł Tom. - Prawda, papo?

- I spało się smacznie w samochodzie na dworze, kiedy papa wstępował na jednego szybkiego - powiedział David. - Jej, jak ja nienawidziłem tego określenia "jeden szybki"! Zdaje się, że jeden szybki jest najwolniejszą rzeczą na świecie.

- O czym mówił pan Joyce? - zapytał Roger młodego Toma.

- Cóż, proszę pana, niewiele zapamiętałem z tamtego razu. Zdaje się, że o włoskich pisarzach i o panu Fordzie. Pan Joyce nie znosił pana Forda. Pan Pound też mu działał na nerwy. "Ezra to wścieklec" - powiedział do papy. To pamiętam, bo myślałem, że "Wścieklec" oznacza, że dostał wścieklizny tak jak pies, i przypominam sobie, jak tam siedziałem i przyglądałem się twarzy pana Joyce'a, jakiejś różowej z ogromnie gładką skórą, taką, jaką się ma w zimno, i jego okularom, w których jedno szkiełko było jeszcze grubsze niż drugie, i myślałem o panu Poundzie, jego rudych włosach i spiczastej brodzie i miłych oczach, i o tym czymś białym, jakby pianie, co mu wyciekało z ust. Myślałem sobie, jakie to straszne, że pan Pound dostał wścieklizny, i miałem nadzieję, że się na niego nie napatoczmy. A potem pan Joyce powiedział: "Oczywiście z Fordem jest to samo od lat", i nagle zobaczyłem pana Forda, jego dużą, bladą, śmieszoną twarz, blade oczy, usta z ruszającymi się zębami, zawsze na wpół otwarte, i tę okropną pianę ściekającą także i jemu po brodzie.

- Nie mów nic więcej, bo mi się przyśni - powiedział Andrew.

- Mów dalej, proszę cię - rzekł David. - To tak jak z wilkołakami. Mama zamykała na klucz książkę o wilkołakach, bo Andrew miał takie złe sny.

- Czy pan Pound kiedy kogoś pogryzł? - zapytał Andrew.

- Nie, koniarzu - powiedział mu David. - To tylko taki sposób mówienia. On miał na myśli wariactwo. Nie wodowstręt. Dlaczego uważał ich za wariatów?

- Nie umiem ci powiedzieć - odparł młody Tom. - Nie byłem wtedy taki mały jak wówczas, kiedy strzelaliśmy gołębie w ogrodzie. Ale byłem za młody, żeby wszystko spamiętać, i myśl o panu Poundzie i panu Fordzie, z tą straszną pianą wypływającą z ust gotowych gryźć, wyparła mi wszystko inne z głowy. Czy pan znał Joyce'a, panie Rogerze?

- Tak. On, wasz ojciec i ja byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

- Papa był dużo młodszy od pana Joyce'a.

- Papa był wtedy młodszy od wszystkich.

- Nie ode mnie - powiedział z dumą młody Tom. - Przypuszczam, że byłem chyba najmłodszym przyjacielem pana Joyce'a.

- Założę się, że ogromnie mu ciebie brak - rzekł Andrew.

- Na pewno szkoda, że cię nie poznał - powiedział David do Andrewa. - Gdybyś nie sterczał przez cały czas w Rochesterze, mógłby mieć ten przywilej.

- Pan Joyce był wielkim człowiekiem - powiedział młody Tom. - Nie chciałby mieć nic wspólnego z wami dwoma, szczeniaki.

- To ty tak uważasz - odparł Andrew. - Pan Joyce i David mogliby być kumplami. David pisuje do szkolnej gazetki.

- Papo, opowiedz nam jeszcze, jak ty i Tommy, i jego matka byliście biedni. Bardzo biedni byliście?

- Dosyć biedni - rzekł Roger. - Pamiętam, jak wasz ojciec przygotowywał rano wszystkie butelki dla małego Toma i szedł na targ kupować najlepsze i najtańsze warzywa. Wychodząc na śniadanie spotykałem go wracającego z targu.

- Byłem najlepszym znawcą poireaux w szóstym arrondissement - powiedział Thomas Hudson.

- Co to są poireaux?

- Pory.

- To wygląda jak taka długa zielona, bardzo duża cebula - wyjaśnił młody Tom. - Tylko nie są takie błyszczące jak cebula. Bardziej matowe. Liście mają zielone, a czubki białe. Gotuje się to i je na zimno z oliwą i octem zmieszonym z solą i pieprzem. Zjada się całość, czubek i wszystko. To pyszne. Zjadłem tego chyba więcej niż ktokolwiek na świecie.

- Co to jest, ten szósty coś tam? - zapytał Andrew.

- Ciągłe hamujesz rozmowę - powiedział mu David.

- Jak nie umiem po francusku, to muszę spytać.

- Paryż jest podzielony na dwadzieścia arrondissements, czyli dzielnic miejskich. My mieszkaliśmy w szóstym.

- Papo, dajmy spokój z arrondissements i opowiedz nam coś innego - poprosił Andrew.

- Za nic nie chcesz się czegoś nauczyć, ty sportowcze - powiedział David.

- Owszem, chcę - odparł Andrew. - Ale arrondissements to dla mnie za dorosłe. Wciąż mi mówicie rzeczy, które są dla mnie za dorosłe. Przyznaję, że to też. Nie mogę się połapać.

- Jaki jest rekord strzałów Ty Cobba? - zapytał go David.

- Trzy sześćdziesiąt siedem.

- To dla ciebie nie za dorosłe.

- Przestań, David. Jedni lubią baseball, a ty arrondissements.

- Pewnie w Rochesterze nie ma arrondissements.

- Daj spokój. Po prostu myślałem, że papa i pan Roger wiedzą rzeczy ciekawsze dla każdego niż te... o cholera, nawet nie pamiętam, jak się nazywają.

- Nie powinienes kląć przy nas - zwrócił mu uwagę Thomas Hudson.

- Przepraszam, papo - powiedział chłopiec. - Nie moja wina, że jestem taki cholernie młody. Znowu przepraszam. Chciałem powiedzieć: taki młody.

Był zmartwiony i dotknięty. David potrafił przekomarzać się z nim dość skutecznie.

- Przejdzie ci to, że jesteś młody - powiedział Thomas Hudson. - Wiem, że ciężko nie kląć, jak coś człowieka poruszy. Ale nie klnij przy dorosłych. Nie obchodzi mnie, co tam mówicie między sobą.

- Proszę cię, papo. Powiedziałem, że przepraszam.

- Wiem - odrzekł Thomas Hudson. - Wcale cię nie rugam. Po prostu tłumaczę. Widuję was tak rzadko, że trzeba dużo tłumaczyć.

- Właściwie nie tak dużo - rzekł David.

- Nie - odparł Thomas Hudson. - Nie za dużo.

- Andrew nigdy nie klnie przy mamie - rzekł David.

- Zostaw mnie, David. Już dobrze, prawda, papo?

- Jeżeli chcecie naprawdę nauczyć się kląć, chłopcy - powiedział młody Tom - to powinniście poczytać pana Joyce'a.

- Potrafię kląć tyle, ile mi potrzeba - odparł David. - Przynajmniej na razie.

- Mój przyjaciel, pan Joyce, ma takie słowa i wyrażenia, o jakich nigdy nawet nie słyszałem. Założyłbym się, że nikt nie potrafi go zakasować w żadnym języku.

- Toteż potem wymyślił cały nowy język - powiedział Roger. Leżał na wznak na piasku, z zamkniętymi oczami.

- Nie rozumiem tego nowego języka - powiedział młody Tom. - Pewno jeszcze jestem na to za młody. Ale poczekajcie, aż przeczytacie "Ulissesa".

- To nie dla młodych chłopców - rzekł Thomas Hudson. - Naprawdę nie. Nie zrozumielibyście tego i nie powinniście próbować. Doprawdy. Musicie zaczekać, aż będziecie starsi.

- Przeczytałem to całe - powiedział młody Tom. - Za pierwszym razem nie rozumiałem właściwie nic, tak jak mówisz, papo. Ale czytałem to na nowo i teraz część

naprawdę rozumiem i mogę ludziom wytłumaczyć. Potem czułem się dumny, że byłem jednym z przyjaciół pana Joyce'a.

- Czy on naprawdę był przyjacielem pana Joyce'a, papo? - spytał Andrew.

- Pan Joyce zawsze o niego pytał.

- Jasne, że byłem jego przyjacielem - rzekł młody Tom. - Był jednym z najlepszych przyjaciół, jakich miałem.

- Myślę, że jeszcze nie powinieneś zanadto wyjaśniać tej książki - powiedział Thomas Hudson. - Jeszcze nie całkowicie. A którą to część wyjaśniasz?

- Ostatnią. Tę, gdzie ta pani mówi głośno do siebie.

- Monolog - powiedział David.

- Czytałeś to?

- No pewnie - odrzekł David. - Tommy mi czytał.

- I wytłumaczył ci?

- Jak umiał. Coś niecoś z tego jest dla nas obu trochę za dorosłe.

- Gdzieście się do tej książki dorwali?

- W domu. Pożyczyłem ją sobie i zabrałem do szkoły.

- Co takiego?

- Czytałem na głos kawalki chłopakom i opowiadałem, jak pan Joyce był moim przyjacielem i ile czasu spędzaliśmy razem.

- Jak podobało się chłopcom?

- Niektórzy poboźniejsi uważali, że trochę za mocne.

- A w szkole dowiedzieli się o tym?

- Jasne. Nie słyszałeś, papo? Nie, to chyba było wtedy, jak byłeś w Abisynii. Kierownik chciał mnie wylać, ale wytłumaczyłem, że pan Joyce był wielkim pisarzem i moim osobistym przyjacielem, więc w końcu powiedział, że zatrzyma książkę i odeśle ją do domu, a ja obiecałem, że się go poradzę, zanim będę czytał kolegom coś innego czy próbował wyjaśniać jakichś klasyków. Najpierw jak chciał mnie wylać, uważał, że mam spróśne myśli. Ale ja nie mam, papo. To znaczy, wcale nie bardziej spróśne niż wszyscy inni.

- Odesłał tę książkę do domu?

- O tak. Chciał ją skonfiskować, ale wytłumaczyłem, że to jest pierwsze wydanie, że pan Joyce podpisał ją tobie i że nie może jej konfiskować, bo nie jest moja. Zdaje się, że był tym bardzo zawiedziony.

- Kiedy będę mógł poczytać tę książkę pana Joyce'a, papo? - zapytał Andrew.

- Bardzo nieprędko.

- A Tommy ją czytał.

- Tommy jest przyjacielem pana Joyce'a.

- No pewnie, że jestem - powiedział młody Tom. - Papo, myśmy nie znali Balzaka, prawda?

- Nie. On żył wcześniej niż my.

- Ani Gautiera? W domu znalazłem też dwie klawe książki ich dwóch. "Historie ucieszne" i "Mademoiselle de Maupin". Jeszcze wcale nie rozumiem "Mademoiselle de Maupin", ale czytam na nowo, żeby popróbować, i to jest fajne. Ale jeżeli oni nie byli naszymi przyjaciółmi, to chyba na pewno wyleciałbym ze szkoły, gdybym przeczytał te książki chłopakom.

- Jakie one są, Tommy? - spytał David.

- Wspaniałe. Spodobają ci się obydwie.

- Czemu nie poradzisz się kierownika, czy możesz je czytać kolegom? - odezwał się Roger. - Lepsze są niż to, co chłopaki same sobie wygrzebią.

- Nie, proszę pana. Chyba lepiej nie. Znowu mogłoby mu przyjść do głowy to o sprośnych myślach. Zresztą dla chłopaków to byłoby co innego, niż gdyby oni byli moimi przyjaciółmi tak jak pan Joyce. W każdym razie nie rozumiem "Mademoiselle de Maupin" na tyle, żeby ją wyjaśniać, i nie miałbym przy tym takiego autorytetu jak wtedy, kiedy mnie wspierała przyjaźń pana Joyce'a.

- Chciałbym usłyszeć te wyjaśnienia - powiedział Roger.

- E tam, proszę pana. Bardzo prymitywne. Nie zainteresowałyby pana. Pan doskonale rozumie tę część, prawda?

- Dość dobrze.

- Swoją drogą szkoda, żeśmy nie znali Balzaka i Gautiera i nie przyjaźnili się z nimi tak jak z panem Joyce'em.

- Ja też żałuję - powiedział Thomas Hudson.

- Ale znaliśmy paru dobrych pisarzy, nie?

- Niewątpliwie - odrzekł Thomas Hudson. Na piasku było przyjemnie i ciepło i czuł się rozleniwiony po pracy, a także szczęśliwy. Bardzo mu było dobrze słuchać, jak chłopcy mówią.

- Chodźmy popływać, a potem zjedźmy obiad - powiedział Roger. - Robi się gorąco.

Thomas Hudson przypatrywał się im. Płynąc powoli, wszyscy czterej oddalali się w zielonej wodzie, a na czystym białym piasku widać było cienie ich sunących ciał, rzucane

na piasek przez słońce padające lekkim skosem; smagłe ramiona podnosiły się i sięgały w przód, dłonie wcinały się w wodę, zagarniały ją i odpychały do tyłu, nogi młóciły równomiernie, głowy obracały się dla nabrania powietrza, oddychali swobodnie i równo. Thomas Hudson stał i obserwował ich, gdy tak płynęli z wiatrem, i wszyscy czterej byli mu bardzo drodzy. Pomyślał, że powinien ich namalować płynących, chociaż byłoby to bardzo trudne. Jednakże popróbuje w ciągu lata.

Był zbyt rozleniwiony, by pływać, choć wiedział, że powinien, i w końcu wszedł do wody czując ją, ostudzoną przez bryzę, świeżą i chłodną, na nagranych słońcem nogach, potem około pachwin, aż wreszcie odbiwszy się do przodu w prąd oceaniczny wypłynął tamtym na spotkanie, gdy wracali. Teraz, kiedy miał głowę na tym samym poziomie co oni, obraz był inny, zmieniony także dlatego, że wracając płynęli pod wiatr i falowanie przeszkadzało zarówno Andrewowi, jak Davidowi, którzy płynęli zrywami. Złudzenie, że wszyscy czterej są zwierzętami morskimi, pierzchło. Wypłynęli tak gładko i ładnie, a teraz dwaj młodszy chłopcy mieli trudności z wiatrem i falą. Nie były to trudności prawdziwe. Były akurat wystarczające, aby rozproszyć wszelkie złudzenia, że czują się tak swojsko w wodzie, jak wyglądali wypływając. Tworzyli dwa różne obrazy i drugi był może lepszy. Pięciu pływaków wyszło na plażę i ruszyło ku domowi.

- Dlatego wolę być pod wodą - powiedział David. - Nie trzeba się martwić o oddychanie.

- Czemu się nie wybierzesz dziś po południu na ryby razem z papą i Tommym? - zapytał go Andrew. - Ja zostanę na brzegu z panem Davisem.

- A pan nie ma ochoty iść?

- Może także zostanę.

- Niech pan nie zostaje ze względu na mnie - powiedział Andrew. - Ja mam dość do roboty. Tylko tak sobie myślałem, że może pan zostanie.

- Chyba zostanę - odrzekł Roger. - Poleżę i poczytam.

- Niech pan mu się nie da wmanewrować. Niech pana nie czaruje.

- Mam chęć zostać - powiedział Roger.

Siedzieli na werandzie, wszyscy już przebrani w suche szorty. Joseph przyniósł salaterkę sałatki z mięczaków. Wszyscy chłopcy ją jedli, a młody Tom popijał piwo. Thomas Hudson siedział w fotelu, a Roger stał z shakerem.

- Po obiedzie jestem senny - powiedział.

- Ano, będzie nam pana brak - rzekł młody Tom. - Może i ja bym został.

- Tak, zostań też, Tom - powiedział Andrew. - Niech papa idzie z Davidem.

- Nie będę z tobą trenował - rzekł młody Tom.

- Wcale nie chcę. Jest jeden murzyński chłopak, co ze mną potrenuje.

- A w ogóle po co ty chcesz być baseballistą? - zapytał Tommy. - Nigdy nie będziesz dość fajny.

- Będę tak samo fajny jak Dick Rudolph i Dick Kerr.

- Ktokolwiek to był - powiedział młody Tom.

- Zna pan nazwisko jakiegoś dzokeja? - szepnął David do Rogera.

- Earl Sande.

- Będziesz taki fajny jak Earl Sande - powiedział David.

- A, idźże łowić te ryby - odparł Andrew. - Ja się zaprzyjaźnię z panem Davisem tak jak Tom z panem Joyce'em. Mogę, proszę pana? Potem w szkole będę mógł powiedzieć: "Jak pan Davis i ja spędzaliśmy razem lato na tej tropikalnej wyspie pisząc te wszystkie nieprzyzwoite opowiadania, kiedy mój tata malował te obrazy gołych pań, któreście wszyscy widzieli." Bo ty malujesz gołe panie, prawda, papo?

- Czasami. Ale są całkiem ciemne.

- E tam - powiedział Andrew. - Kolor mi obojętny. Niech Tom ma sobie pana Joyce'a.

- Znadto byś się wstydził, żeby na nie patrzeć - powiedział David.

- Możliwe. Ale bym się nauczył.

- Aktu namalowanego przez papę nie można nawet porównać z tym rozdziałem pana Joyce'a - powiedział młody Tom. - Tylko dlatego, że jesteś mały, wydaje ci się, że w akcie jest coś nadzwyczajnego.

- Okej. Tak czy owak wolę pana Davisa z ilustracjami papy. Ktoś w szkole mówił, że opowiadania pana Davisa są naprawdę nieprzyzwoite.

- W porządku. Ja też wybieram pana Davisa. Jestem starym, starym przyjacielem pana Davisa.

- I pana Picassa, pana Braque'a, pana Miro, pana Massona i pana Pascina - powiedział Thomas Hudson. - Znałeś ich wszystkich.

- I pana Waldo Peirce'a - dodał młody Tom. - A widzisz, Andy, nie wygrasz. Za późno zacząłeś. Nie możesz wygrać. Kiedy siedziałeś w Rochesterze, i jeszcze na całe lata przed twoim urodzeniem, papa i ja bywaliśmy w wielkim świecie. Znałem chyba większość najznakomitszych żyjących malarzy. Wielu było moimi bliskimi przyjaciółmi.

- Muszę kiedyś zacząć - odparł Andrew. - I wybieram sobie pana Davisa. I wcale pan nie musi pisać nieprzyzwoitych opowiadań. Ja wszystko zmyślę, tak jak Tommy. Niech pan mi tylko opowie coś okropnego, co pan kiedyś zrobił, a ja powiem, że przy tym byłem.

- Akurat prawda, że ja tak zmyślam - powiedział młody Tom. - Czasem papa i pan Davis odświeżają mi pamięć. Ale figurowałem i uczestniczyłem w całej epoce malarstwa i literatury, i gdybym musiał, mógłbym w tej chwili napisać o tym pamiętnik.

- Dostajesz fioła, Tommy - powiedział Andrew. - Lepiej uważaj na siebie.

- Niech pan mu nic nie mówi, panie Rogerze - powiedział młody Tom. - Niech zaczyna od początku, tak jak my.

- Zostaw to mnie i panu Davisowi - odparł Andrew. - Nie wtrącaj się.

- Opowiedz mi jeszcze coś o tych moich przyjaciółach, papo - poprosił młody Tom. - Wiem, że ich znałem i że bywaliśmy razem w kawiarniach, ale chciałbym usłyszeć coś konkretniejszego na ich temat. Takie rzeczy, powiedzmy, jakie wiem o panu Joyce.

- Pamiętasz pana Pascina?

- Nie. Właściwie nie. Jaki on był?

- Nie możesz twierdzić, że był twoim przyjacielem, skoro go nawet nie pamiętasz - powiedział Andrew. - Myślisz, że za parę lat nie będę już pamiętał, jaki był pan Davis?

- Zamknij się - odparł młody Tom. - Papo, proszę cię, opowiedz mi o nim.

- Pan Pascin robił rysunki, które mogłyby doskonale ilustrować te fragmenty pana Joyce'a, co ci się podobają.

- Naprawdę? O rany, to byłoby coś.

- Siadywałeś z nim w kawiarni, a on cię czasami szkicował na serwetkach. Był niski, bardzo twardy i bardzo dziwny. Najczęściej nosił melonik i był świetnym malarzem. Zawsze zachowywał się tak, jak gdyby znał jakiś wielki sekret, jak gdyby go dopiero co usłyszał i to go rozbawiło. Czasem ogromnie go to radowało, a czasem smuciło. Ale zawsze mogłeś poznać, że coś wie i że go to bardzo bawi.

- Jaki to był sekret?

- A, pijaństwo, narkotyki i ten sekret, o którym pan Joyce wie wszystko w tamtym ostatnim rozdziale, i to, jak pięknie malować. Umiał malować piękniej niż ktokolwiek naówczas, i to też było jego sekretem, ale o to nie dbał. Uważał, że nie dba o nic, ale w rzeczywistości tak nie było.

- Czy on robił złe rzeczy?

- O, tak. Naprawdę złe i to należało do jego sekretu. Lubiał robić złe rzeczy i nie miał wyrzutów sumienia.

- Czy on i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi?
- Bardzo. Nazywał cię Potworem.
- O rety - powiedział z zadowoleniem młody Tom. - Potwór.
- Mamy jakieś zdjęcia pana Pascina, papo? - zapytał David.
- Kilka.
- Czy on kiedy malował Tommy'ego?
- Nie. Rysował go, głównie na serwetkach i marmurowych blatach stolików kawiarnianych. Nazywał go straszliwym, piwo chlepcącym Potworem z Lewego Brzegu.
- Zapisz sobie ten tytuł, Tom - powiedział David.
- Czy pan Pascin miał sprośne myśli? - zapytał młody Tom.
- Myślę, że tak.
- A nie wiesz?
- Chyba można powiedzieć, że miał. Przypuszczam, że to była częśćka jego sekretu.
- Ale pan Joyce nie miał.
- Nie.
- I ty też nie masz.
- Nie - odrzekł Thomas Hudson. - Myślę, że nie.
- A pan ma sprośne myśli, panie Rogerze?
- Nie sądzę.
- To dobrze - powiedział młody Tom. - Mówiłem kierownikowi szkoły, że ani papa, ani pan Joyce tego nie mają, a teraz mogę mu to powiedzieć o panu Davisie, jeżeli mnie spyta. Był dosyć przekonany, że mam sprośne myśli. Ale się nie martwiłem. W szkole jest jeden chłopak, który je ma naprawdę, i doskonale widać różnicę. Jak miał na imię pan Pascin?
- Jules.
- Jak to się pisze? - zapytał David. Thomas Hudson powiedział mu.
- A co się stało z panem Pascinem? - spytał młody Tom.
- Powiesił się - odparł Thomas Hudson.
- O rany - rzekł Andrew.
- Biedny pan Pascin - powiedział młody Tom tonem błogosławieństwa. - Pomodłę się za niego wieczorem.
- Ja się pomodłę za pana Davisa - powiedział Andrew.
- I rób to często - rzekł Roger.

VI

Tego wieczora, gdy chłopcy poszli już spać, Thomas Hudson i Roger Davis zasiedli w dużym pokoju i rozmawiali. Morze było zbyt niespokojne, by łowić pod wodą, i po kolacji chłopcy wybrali się z Josephem na snappery. Wrócili zmęczeni i uradowani, powiedzieli dobranoc i położyli się do łóżek. Obaj mężczyźni słyszeli przez pewien czas, jak rozmawiali, po czym zasnęli.

Andrew bał się ciemności i starsi chłopcy o tym wiedzieli, ale nigdy nie dokuczali mu z tego powodu.

- Jak myślisz, dlaczego on się boi ciemności? - zapytał Roger.

- Czy ja wiem - odrzekł Thomas Hudson. - A tyś się nie bał?

- Chyba nie.

- Ja tak - powiedział Thomas Hudson. - Czy to coś znaczy?

- Nie wiem - rzekł Roger. - Ja bałem się umrzeć i tego, że coś się stanie mojemu bratu.

- Nie wiedziałem, że masz brata. Gdzie on jest?

- Umarł - powiedział Roger.

- Przepraszam cię.

- Nie musisz. To się stało, kiedy byliśmy dziećmi.

- Był starszy od ciebie?

- O rok młodszy.

- Co to było?

- Czółno wywróciło się razem z nami.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Około dwunastu.

- Nie mów o tym, jeżeli nie masz ochoty.

- Nie jestem pewny, czy mi to zbyt dobrze zrobiło - powiedział Roger. - Naprawdę o tym nie wiedziałeś?

- Nic a nic.

- Przez długi czas myślałem, że wszyscy na świecie o tym wiedzą. To jest dziwne, kiedy się jest młodym chłopcem. Woda była za zimna i nie mógł się utrzymać. Ale koniec był taki, że ja wróciłem, a on nie.

- Biedny stary Roger.

- Nie - odparł Roger. - Tylko to było za wcześnie na dowiedzenie się o tej sprawie. Poza tym bardzo go kochałem i zawsze się bałem, że coś mu się stanie. Woda była zimna i dla mnie. Ale tego nie mogłem mówić.

- Gdzie to się stało?

- W Maine. Myślę, że ojciec nigdy mi nie wybaczył, choć starał się zrozumieć. Od tej pory każdego dnia żałowałem, że to nie byłem ja. Ale to nie jest wielkie osiągnięcie.

- Jak miał na imię twój brat?

- Dave.

- Psiakrew. To dlatego nie chciałeś dziś łowić ryb?

- Chyba tak. Ale łowię co parę dni. Tylko że człowiek nigdy nie wymaże tych rzeczy.

- Jesteś już dostatecznie dorosły, żeby tak nie mówić.

- Próbowałem nurkować za nim. Ale nie mogłem go znaleźć - powiedział Roger. - Było za głęboko i naprawdę zimno.

- David Davis - powiedział Thomas Hudson.

- Tak. W naszej rodzinie pierwszy syn dostaje na imię Roger, a drugi David.

- Ale przecież jakoś się z tym pogodziłeś.

- Nie - odrzekł Roger. - Nie można nigdy się z tym pogodzić i wcześniej czy później muszę o tym mówić. Wstydzę się tego tak samo jak tej bójki na molo.

- Tam nie miałeś czego się wstydzić.

- Owszem, miałem. Już ci mówiłem. Nie wchodźmy w to.

- Dobrze.

- Nie będę więcej wdawał się w bójki. Nigdy. Ty się nigdy nie bijesz, a umiesz się bić równie dobrze jak ja.

- Nie umiem się bić tak dobrze jak ty. Ale po prostu postanowiłem tego nie robić.

- Nie będę się bił, postaram się być coś wart i przestać pisać śmiecie.

- To najlepsze, co usłyszałem z twoich ust - powiedział Thomas Hudson.

- Myślisz, że mógłbym napisać coś, co miałoby jakąś wartość?

- Mógłbyś spróbować. Dlaczego rzuciłeś malowanie?

- Bo nie mogłem dłużej sam siebie bujać. Nie mogę też dłużej bujać siebie co do pisania.

- To co właściwie będziesz robił?

- Pojadę gdzieś i napiszę porządną, zwykłą powieść, najlepiej jak potrafię.

- Czemu nie zostaniesz i nie popisziesz tutaj? Możesz tu siedzieć po wyjeździe chłopców. U ciebie jest za gorąco, żeby pisać.

- Nie przeszkadzałbym ci zanadto?

- Nie, Roger. Mnie też się przykrzy samemu, wiesz. Nie można wciąż uciekać od wszystkiego. To brzmi jak przemówienie. Dam z tym spokój.

- Nie. Mów. Mnie tego potrzeba.

- Jeżeli masz zacząć pracować, zacznij tutaj.

- Nie myślisz, że na zachodzie byłoby lepiej?

- Każde miejsce jest dobre. Rzecz w tym, żeby z niego nie uciekać.

- Nie. Nie każde miejsce jest dobre - zaprzeczył Roger. - Ja to wiem. Są dobre, a potem stają się złe.

- Jasne. Ale tutaj jest teraz dobrze. Może nie będzie zawsze. Ale teraz jest świetnie. Miałbyś po pracy towarzystwo, a ja tak samo. Nie przeszkadzalibyśmy sobie wzajemnie i mógłbyś naprawdę się przyłożyć.

- Doprawdy myślisz, że potrafiłbym napisać powieść, która byłaby coś warta?

- Nigdy nie napiszesz, jeżeli nie spróbujesz. Dzisiaj opowiedziałeś mi diabelnie dobrą powieść, gdybyś ją chciał napisać. Po prostu zacznij od czółna...

- A jak zakończyć?

- Po czólnie wymyśl resztę.

- Psiakrew - powiedział Roger. - Jestem taki zepsuty, że gdybym tam wstawił czółno, dałbym w nim piękną indiańską dziewczynę, i ten młody Jones, który wybiera się przestrec osadników, że przyjeżdża Cecil B. de Mille, wsiadłby do czółna przytrzymując się jedną ręką płataniny pnączy zwisających nad rzeką, a w drugiej dzierząc swą wierną skałkówkę "Stara Betsy", i piękna indiańska dziewczyna powiedziałaaby: "Ach, to ty, Jones. Teraz możemy się kochać, gdy nasza wątła łódź będzie spływała ku wodospadom, które kiedyś będą Niagarą."

- Nie - odparł Thomas Hudson. - Mógłbyś po prostu pokazać czółno, zimne jezioro i twojego małego brata...

- Davida Davisa. Lat jedenaście.

- I to, co było potem. A następnie wymyślić wszystko od tego miejsca do końca.

- Koniec mi się nie podoba.

- Myślę, że żadnemu z nas w gruncie rzeczy - powiedział Thomas Hudson. - Ale zawsze jest jakiś koniec.

- Lepiej przestańmy gadać - rzekł Roger. - Mógłbym zacząć myśleć o tej powieści. Tommy, dlaczego przyjemnie jest dobrze malować, a strasznie jest dobrze pisać? Nigdy nie malowałem dobrze. Ale było przyjemnie malować nawet tak jak ja.

- Nie wiem - odrzekł Thomas Hudson. - Może w malarstwie jest wyraźniejsza tradycja i kierunek, i więcej ludzi nam pomaga. Nawet jeżeli się odchodzi od prostej linii wielkiego malarstwa, ono jest zawsze gotowe nam pomóc.

- Myślę, że drugą sprawą jest to, że zajmują się tym lepsi ludzie - powiedział Roger. - Gdybym był coś wart, może mógłbym być dobrym malarzem. Może po prostu jestem dostatecznym draniem, żeby być dobrym pisarzem.

- To najgorsze uproszczenie, jakie słyszałem.

- Ja zawsze upraszczam - oświadczył Roger. - To jedna z przyczyn, że nie jestem nic wart.

- Połóżmy się spać.

- Zostanę i poczytam chwilę - powiedział Roger.

Spali dobrze i Thomas Hudson nie przebudził się, kiedy Roger przyszedł na werandę późno w nocy. Po śniadaniu wiatr był lekki, niebo bez chmur i przygotowali się na cały dzień łowienia pod wodą.

- Pan idzie, panie Rogerze? - zapytał Andrew.

- Oczywiście że tak.

- To świetnie - powiedział Andrew. - Cieszę się.

- Jak się czujesz, Andy? - zapytał Thomas Hudson.

- Spietrany - odrzekł Andrew. - Jak zawsze. Ale nie tak bardzo, bo będzie pan Davis.

- Nigdy się nie bój, Andy - powiedział Roger. - To na nic. Twój ojciec mi mówił.

- Ktoś zawsze coś mówi - powiedział Andrew. - Zawsze mówi. Ale David jest jedynym chłopakiem, jakiego znam, który ma trochę oleju w głowie, a się nie pietra.

- Cicho bądź - powiedział David. - Jesteś wytworem własnej wyobraźni.

- Pan Davis i ja zawsze się boimy - odparł Andrew. - Możliwe, że to nasza wyższa inteligencja.

- Będziesz uważał, Davy, dobrze? - zapytał Thomas Hudson.

- Naturalnie.

Andrew spojrział na Rogera i wzruszył ramionami.

VII

Niedaleko rafy, gdzie tego dnia wyruszyli łowić ryby pod wodą, był stary żelazny wrak parowca, który się rozpadł, i podczas przypływu zardzewiałe żelastwo jego kotłów sterczało nad wodą. Dziś wiatr wiał od południa i Thomas Hudson zakotwiczył kuter pod osłoną rafy, ale nie za blisko niej, a Roger i chłopcy przygotowali sobie maski i ościenie.

Ościenie były bardzo prymitywne i różnorakie, sporządzone według własnych pomysłów Thomasa Hudsona i chłopców.

Joseph także się wybrał, aby wiosłować w dinghy. Zabrał ze sobą Andrewa i ruszyli do rafy, podczas gdy pozostali opuścili się za burtę, żeby popływać.

- Nie idziesz, papo? - zawołał David do ojca, który stał na pomoście swojego kutra rybackiego. Szklany krążek na oczach, nosie i czole, z gumową oprawą wciśniętą w policzki poniżej nosa i ściśle przylegającą do czoła, przytrzymywany na głowie za pomocą gumowej opaski, nadawał chłopcu wygląd postaci z pseudonaukowych historyjek obrazkowych.

- Dołączę później.

- Nie czekaj za długo, aż wszystko się przepłoszy.

- Rafa jest duża. Całej nie obrobicie.

- Ale za tymi kotłami znam dwie wspaniałe jamy. Znalazłem je tego dnia, kiedyśmy przyплыли sami. Były takie nietknięte i pełne ryb, że zostawiłem je na tę chwilę, kiedy będziemy tu wszyscy.

- Pamiętam. Dołączę do was za jakąś godzinę.

- Nie ruszę ich, dopóki się nie zjawisz - powiedział David i popłynął za pozostałymi, trzymając w prawej dłoni długi na sześć stóp drążek z drzewa żelaznego, z ręcznie kutymi podwójnymi grotami przytwierdzonymi na końcu i umocowanymi kawałkiem grubej linki rybackiej. Twarz miał pod wodą i płynąc obserwował dno przez szkło swojej maski. Był chłopcem podmorskim i teraz, kiedy był opalony i płynął tak, że widziało się tylko mokry tył jego głowy, przypominał Thomasowi Hudsonowi bardziej niż kiedykolwiek wydrę.

Thomas Hudson obserwował, jak płynął pracując lewą ręką i poruszając długimi nogami i stopami powolnym równym rytmem, i od czasu do czasu, za każdym razem o wiele dłużej, niż można by się spodziewać, podnosił twarz nieco w bok dla nabrania tchu. Roger i najstarszy chłopiec popłynęli z maskami zsuniętymi na czoła i byli już daleko w przedzie. Andrew i Joseph byli przy rafie w dinghy, ale Andrew jeszcze się nie opuścił za burtę. Wiał tylko lekki wiatr i woda na rafie była jasna i spieniona, rafa brunatna, a morze za nią ciemnoniebieskie.

Thomas Hudson zeszedł do kuchni, gdzie Eddy obierał kartofle nad kubłem trzymanym między kolanami. Spoglądał przez iluminator ku rafie.

- Chłopcy nie powinni się rozpraszać - powiedział. - Powinni się trzymać blisko dinghy.

- Myślisz, że coś może podplynąć nad rafę?

- Już jest spory przypływ. To są przypływy wiosenne.

- Woda jest bardzo przezroczysta - powiedział Thomas Hudson.

- Złe są rzeczy w oceanie - rzekł Eddy. - Tutaj jest paskudny ocean, jeżeli one zwęszą ryby.

- Jeszcze nic nie złowili.

- Niedługo złowią. Powinni od razu powrzucać te ryby do dinghy, zanim rozejdzie się na przyływie ich zapach czy zapach krwi.

- Popłynę tam.

- Nie. Niech pan zawoła, żeby trzymali się blisko siebie, a ryby wrzucali do dinghy.

Thomas Hudson wyszedł na pokład i krzyknął do Rogera to, co powiedział Eddy. Roger podniósł swój oścień i zamachał nim na znak, że zrozumiał.

Eddy wszedł do kokpitu z garnkiem pełnym kartofli w jednej ręce, a nożem w drugiej.

- Niech pan Tom weźmie ten dobry sztucer, ten dobry mały, i wejdzie na górę - powiedział. - Mnie się to nie podoba. Nie podoba mi się, że chłopcy są tam przy takim przyływie. Za blisko jesteście prawdziwego oceanu.

- Ściągnijmy ich z powrotem.

- Nie. Możliwe, że po prostu jestem nerwowy. Zeszła noc była zresztą niedobra. Lubię tych chłopców tak, jakby byli moi własni, i cholernie się o nich trapię. - Postawił garnek kartofli. - Powiem panu, co zrobimy. Niech pan włączy motor, a ja podniosę kotwicę, to podpłyniemy bliżej do rafy i tam staniemy. Przy tym przyływie i wietrze obróci się czysto. Podpływajmy.

Thomas Hudson włączył silnik i wszedł na pomost, do górnego steru. Gdy Eddy podniósł kotwicę, widział przed sobą ich wszystkich w wodzie i kiedy patrzył, David wynurzył się spod wody z rybą trzepoczącą się na wysoko wzniesionym ościeniu, i Thomas Hudson usłyszał, że woła o dinghy.

- Niech pan dobieje do samej rafy - zawołał Eddy z dziobu, gdzie trzymał kotwicę.

Thomas Hudson podpłynął wolno, tak że niemal dotknął rafy widząc duże brunatne czubki koralu, czarne jeże morskie na piasku i fiołkowe koralowce falujące ku niemu w przyływie. Eddy rzucił kotwicę, a Thomas Hudson włączył wsteczny bieg motoru. Kuter się cofnął, a rafa odsunęła, Eddy oddawał linę, dopóki się nie napięła, a wtedy Thomas Hudson wyłączył motor i obrócili się na kotwicy.

- Teraz możemy mieć na nich oko - powiedział Eddy stojąc na dziobie. - Nie mogę znieść niepokoju o te dzieciaki. To mi cholernie psuje trawienie. I tak jest dostatecznie kiepskie.

- Zostanę tu i będę ich pilnował.

- Podam panu na górę sztucer i wrócę do tych kartofli. Chłopcy lubią sałatkę z kartofli, nie? Tak jak ją przyrządzamy?

- Oczywiście. Roger też. Daj dużo jajek na twardo i cebuli.

- Postaram się, żeby kartofle były smaczne i jędrne. Tu jest sztucer.

Thomas Hudson sięgnął po sztucer, masywny i ciężki w swoim futerale wyściełanym strzyżoną owczą wełną, którą nasycił oliwą, żeby broń nie zardzewiała od morskiego powietrza. Wyciągnął sztucer za kolbę, a futerał wsunął pod pokrycie pokładu na pomoście. Był to Mannlicher-Schoenauer 256 z dawną osiemnastocalową lufą, którego już nie pozwalano sprzedawać. Kolba i osada były brunatne od nacierania olejem jak jądro orzecha, a lufa, wyświecona przez całe miesiące wożenia w futerale przy siodle, tłusta od oliwy, bez jednej plamki rdzy. Poduszka na kolbie była wygładzona od jego własnego policzka, a kiedy odciągnął zamek, zobaczył, że obrotowy magazynek jest pełen pękatek naboju z długimi cienkimi pociskami w kształcie ołówka, z metalowym płaszczem i wystającym tylko trochę ołowianym czubkiem.

Była to w gruncie rzeczy za dobra broń, żeby ją trzymać na statku, ale Thomas Hudson tak się do niej przywiązał i przypominała mu tyle rzeczy, tylu ludzi i tyle miejsc, że lubił ją mieć ze sobą, a przekonał się, że w futerale z owczej skóry, kiedy przystrzyżoną wełną dobrze się nasyciło oliwą, sztucerowi wcale nie szkodziło słone powietrze. Zresztą broń jest do strzelania - pomyślał - a nie do przechowywania w futerale, a to jest naprawdę dobry sztucer, z którego łatwo się strzela i można z łatwością każdego nauczyć strzelać, i przydatny na statku. Strzelając z niego miał zawsze większą ufność, że zdoła dobrze lokować kule na bliską i umiarkowaną odległość niż strzelając ze wszystkich innych sztucerów, jakie kiedykolwiek posiadał, i teraz z przyjemnością wydobyl go z futerału, odciągnął zamek i wprowadził nabój do komory.

Kuter stał prawie nieruchomo w przypiływie i bryzie i Thomas Hudson założył pas sztucera na jedną z dźwigni sterowych, tak że sztucer wisiał tam pod ręką, i wyciągnął się na materacach do opalania na pomoście. Leżąc na brzuchu, aby opalić sobie plecy, popatrzał tam, gdzie Roger i chłopcy łowili ryby ościeniami. Wszyscy nurkowali pozostając pod wodą dłużej lub krócej i wynurzali się dla zaczerpnięcia powietrza, po to, by zniknąć znowu, a od czasu do czasu wypływali z rybą na ościeniu. Joseph wiosłował od jednego do drugiego, aby zdejmować ryby z grotów i wrzucać je do dinghy. Thomas Hudson słyszał okrzyki i śmiech Josepha i widział jaskrawe barwy ryb, czerwien lub czerwien z

brunatnymi plamami, albo czerwień i żółtość czy żółtość znaczoną pasami, gdy Joseph strząsał je z ościeni albo je ściągał i rzucał w cień na rufie łódki.

- Daj mi coś do picia, dobrze, Eddy? - zawołał Thomas Hudson przez burzę.

- Co ma być? - Eddy wytknął głowę z przedniego kokpitu. Był w białej koszuli i swoim starym filcowym kapeluszu; w jaskrawym słońcu oczy miał przekrwione i Thomas Hudson zauważył, że ma merkurochrom na wargach.

- Coś ty sobie zrobił w usta? - zapytał go.

- Pewne nieprzyjemności wczoraj wieczorem. Posmarowałem sobie. Czy to bardzo widać?

- Wyglądasz jak jakaś kurwa z wyspy.

- O psiakrew - powiedział Eddy. - Smarowałem po ciemku, nie patrząc. Tylko na wyczucie. Chce pan drink z sokiem kokosowym? Mam trochę kokosów.

- Doskonale.

- Chce pan Zielony Specjalny?

- Świetnie. Niech będzie Specjalny.

Thomas Hudson leżąc na materacu miał głowę w cieniu podwyższenia na przednim krańcu pomostu, gdzie był ster, i kiedy Eddy wyszedł na rufę z dużym, zimnym drinkiem przyrządzonym z dżinu, soku malinowego, soku zielonego kokosa i kruszonego lodu, z tyłoma kroplami angostury, ilu było trzeba, by nadać mu rdzawy, różowy kolor, wziął napój i trzymając go w cieniu, ażeby lód się nie roztopił, patrzył na morze.

- Chłopakom widać dobrze idzie - powiedział Eddy. - Już mamy ryby na kolację.

- Co będzie poza tym?

- Tłuczone kartofle do ryb. Mam też sałatkę z pomidorów. I tę sałatkę z kartofli na początek.

- Wygląda to świetnie. Jaka jest ta sałatka z kartofli?

- Jeszcze nie zimna.

- Eddy, ty lubisz gotować, prawda?

- Pewnie, że lubię gotować. Lubię pływać statkiem i lubię gotować. Czego nie lubię, to awantur, bójek i rozróbek.

- Bywałeś jednak wcale niezły w rozróbkach.

- Zawszem tego unikał. Czasami się nie da, ale się zawsze starałem.

- A co to było wczoraj wieczorem?

- Nic.

Nie chciał o tym mówić. Nie mówił też o dawnych czasach, kiedy bywało dużo awantur.

- W porządku. Co jest jeszcze do jedzenia? Musimy ich nakarmić. Ci chłopcy rosną.

- Zrobiłem w domu placek i zabrałem go, a jest też kilka świeżych ananasów na lodzie. Pokraję je.

- Dobrze. Jak będzie przyrządzona ryba?

- Jak pan chce. Zobaczymy, która będzie najlepsza z tego, co złowią, a potem ugotujemy ją tak, jak będą chcieli oni i pan, i Roger. David przed chwilą złapał dobrego złotnika. Miał drugiego, ale go zgubił. Ten jest duży opas. Ale David za daleko wypływa. Już trzyma rybę, a Joe z dinghy jest cały kawał od niego, przy Andym.

Thomas Hudson postawił szklankę w cieniu i podniósł się.

- Jezu Chryste - powiedział Eddy. - Idzie!

Daleko na niebieskiej wodzie, stercząca jak brunatny żagiel łódki, tnąc wodę ciężkimi, napędzanymi ogonem, posuwistymi rzutami, wysoka, trójkątna płetwa zbliżała się ku jamie na skraju rafy, gdzie chłopiec z maską na twarzy trzymał rybę podniesioną nad wodę.

- O Jezu - powiedział Eddy. - Co za cholerny rekin! Jezusie, panie Tom. O Jezu!

Thomas Hudson pamiętał później, że głównym wrażeniem, jakiego doznał, była wielka wysokość płetwy, to, jak skręcała i kluczyła niby ogar na tropie, i pruć naprzód, a mimo to zdawała się kołysać.

Podniósł sztucer i strzelił tuż przed płetwą. Strzał przeniósł i wyrzucił bryzg wody, i Hudson przypomniał sobie, że lufa jest lepka od oliwy. Płetwa sunęła prosto naprzód.

- Rzuć mu tę cholerną rybę! - wrzasnął Eddy do Davida i zeskoczył z tyłu pokładówki do kokpitu.

Thomas Hudson strzelił powtórnie, ale zanadto do tyłu, znów wyrzucając bryzg wody. Zrobiło mu się mdło, jak gdyby coś uchwyciło go wewnątrz i ścisnęło, i strzelił znowu najstaranniej i najspokojniej, jak mógł, w całej pełni świadomy, co ten strzał znaczy, i woda wytrysnęła przed płetwą. Płetwa sunęła dalej tym samym straszliwym ruchem. Miał teraz tylko jedną kulę, żadnych zapasowych ładunków, a rekin był około trzydziestu jardów od chłopca i zbliżał się tym samym tnącym ruchem. David zdjął rybę z ościenia i trzymał ją w ręku, maskę zsunął na czoło i wpatrywał się w nadpływającego rekina.

Thomas Hudson próbował rozluźnić się i uspokoić, starał się wstrzymać oddech i nie myśleć o niczym prócz strzału, nacisnąć spust mierząc odrobinę przed nasadę płetwy, która teraz kołysała się bardziej niż na początku - gdy wtem usłyszał pistolet maszynowy

otwierający ogień z rufy i ujrzał bryzgi wody wszędzie dokoła płetwy. Potem zawarczała znów krótka seria i woda wytrysnęła gęściej tuż przy jej nasadzie. Kiedy strzelił, warkot odezwał się znowu, krótki i zwarty, i płetwa zniknęła, woda się zakotłowała, a potem największy rekin-młot, jakiego widział, wypłynął białym brzuchem do góry i począł szaleńczo miotać się na grzbiecie, rozbryzgując wodę niczym narty wodne. Brzuch jego lśnił ohydną bielą, szeroki na jard pysk przypominał podkręcony uśmiech, wielkie guzy na łbie, ze ślepiami na końcach, były rozstawione szeroko, kiedy odbijał się i ślizgał po wodzie; pistolet Eddy'ego terkotał prując w biel jego brzucha i znacząc ją czarnymi punktami, które poczerwieniały, nim rekin się obrócił i poszedł pod wodę, a Thomas Hudson zobaczył, jak przekręca się tonąc.

- Bierz pan tu te cholerne dzieciaki! - usłyszał krzyk Eddy'ego. - Nie mogę znieść takich rzeczy.

Roger popłynął szybko do Davida, a Joseph wciągnął Andy'ego do dinghy i powiosłował ku tamtym dwóm.

- Psiakrew - powiedział Eddy. - Widział pan kiedy takiego młota? Bogu dzięki, że pokazują się na powierzchni, jak uderzają. Bogu dzięki za to. Dranie zawsze wypływają. Widział pan, jak tonął?

- Daj mi pudełko naboji - powiedział Thomas Hudson. Był roztrzęsiony i miał mdlące uczucie pustki w żołądku. - Chodźcie tu! - krzyknął. Tamci pływali przy dinghy, a Roger podsadzał Davida przez burzę.

- Mogą sobie łowić - rzekł Eddy. - Teraz każdy rekin w oceanie zabierze się do tamtego. Zaalarmuje cały ocean. Widział pan, jak się przewracał na grzbiet, a potem to cholerne kotłowanie? Jezusie, co za młot! Widział pan, jak chłopak szykował się, żeby mu rzucić rybę? Taki jest ten mój Davy. O, co za chłopak!

- Lepiej niech wracają.

- Pewnie że lepiej. Tylko tak sobie gadałem. Wróć. Niech się pan nie martwi, wróć.

- Boże, to było straszne. Gdzieś ty miał tę broń?

- Komisarz robił chryję, że ją mam na lądzie, więc ją trzymałem w szafce pod koją.

- Nie ma dwóch zdań, że umiesz z niej strzelać.

- Cholera, kto by nie umiał, jak ten rekin walił na Davy'ego, a on czekał spokojnie, żeby mu rzucić rybę? I patrzył prosto na niego. Psiakrew, mogę już niczego więcej nie oglądać w całym moim cholernym życiu.

Wdrapali się z dinghy przez burtę. Chłopcy byli mokrzy i bardzo podnieceni, a Roger mocno wstrząśnięty. Podeszedł do Eddy'ego i uściśnął mu dłoń, a Eddy powiedział:

- Nie powinniśmy byli im pozwolić tak się oddalać przy tym przyptywie.

Roger pokiwał głową i objął Eddy'ego ramieniem.

- Moja wina - powiedział Eddy. - Ja się tu urodziłem. Pan jest cudzoziemiec. To nie była pańska wina. Ja jestem za to odpowiedzialny.

- Dorosłeś do swojej odpowiedzialności - rzekł Roger.

- Cholera - odparł Eddy. - Nikt nie mógł go spudłować na taką odległość.

- Tyś go widział, Dave? - zapytał Andrew bardzo uprzejmie.

- Tylko płetwę, prawie do samego końca. Potem go zobaczyłem, zanim Eddy go trafił, i wtedy poszedł pod wodę, a później wypłynął na grzbiecie.

Eddy rozcierał go ręcznikiem i Thomas Hudson widział gęsią skórę na nogach, plecach i ramionach chłopca.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego jak wtedy, gdy się wynurzył i zaczął pływać na grzbiecie - powiedział młody Tom. - Jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego.

- Niewiele takich rzeczy zobaczysz - powiedział mu ojciec.

- Musiał ważyć z tysiąc sto funtów - rzekł Eddy. - Chyba nie ma już większych młotów. O Jezu, widział pan tę płetwę, panie Rogerze?

- Widziałem - odrzekł Roger.

- Myślisz, że moglibyśmy go dostać? - zapytał David.

- Nie, psiakrew - odparł Eddy. - Poszedł w dół przekręcając się w kółko, diabeł wie gdzie. Jest na głębokości osiemdziesięciu sążni i cały ocean będzie go zażerał. Już teraz wszystko ściąga do siebie.

- Szkoda, że nie możemy go dostać - powiedział David.

- Uspokój się, chłopaku. Jeszcze masz gęsią skórę.

- Bardzo się bałeś, Davy? - spytał Andrew.

- Tak - odpowiedział David.

- Co miałeś zamiar zrobić? - zapytał Tom z dużym szacunkiem.

- Chciałem mu rzucić tę rybę - odparł David i Thomas Hudson patrząc na niego zobaczył, jak mała, ostra fala gęziej skórki rozchodzi mu się po ramionach. - A potem chciałem mu dać w sam środek pyska ościeniem.

- O rany - powiedział Eddy i obrócił się z ręcznikiem. - Czego się pan napije, panie Rogerze?

- Może masz cykuteę? - zapytał Roger.

- Dajże spokój - powiedział Thomas Hudson. - Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni.
- Nieodpowiedzialni.
- Już się skończyło.
- W porządku.
- Zrobię drinki z dżinem - powiedział Eddy. - Pan Tom pił taki, kiedy to się stało.
- Jeszcze tam stoi.
- Teraz już będzie do niczego - rzekł Eddy. - Zrobię panu świeży.
- Fajny byłś, Davy - powiedział młody Tom z wielką dumą. - Czekać, opowiem to chłopakom w szkole.

- Nie uwierzyliby - odrzekł David. - Nie opowiadaj im, jeżeli mam tam jechać.
- Dlaczego? - zapytał młody Tom.
- Sam nie wiem - odparł David. A potem rozplakał się jak małe dziecko. - O kurczę, nie zniósłbym tego, gdyby nie uwierzyli.

Thomas Hudson podniósł go i przytrzymał w objęciach, z głową na swojej piersi, a pozostali chłopcy odwrócili się, Roger także odwrócił wzrok i wtedy przyszedł Eddy z trzema szklankami, trzymając kciuk w jednej z nich. Thomas Hudson poznał, że łyknął sobie jednego pod pokładem.

- Co z tobą jest, Davy? - zapytał Eddy.
- Nic.
- Dobra - powiedział Eddy. - Podoba mi się, kiedy tak mówisz, ty cholerny łobuzie. Stań na nogach, przestań chlipać i pozwól się napić twojemu staremu.

David stanął bardzo wyprostowany.
- Czy można łowić tu przy odpływie? - zapytał Eddy'ego.
- Nic ci nie będzie przeszkadzało - odrzekł Eddy. - Są mureny. Ale nic dużego nie przyplynie. Nie dają rady przy odpływie.

- Moglibyśmy się wybrać podczas odpływu, papo?
- Jeżeli Eddy tak mówi. Eddy jest szefem.
- O rany, panie Tom - powiedział Eddy i był ogromnie radosny, jak nasmarowane merkuriochromem usta były radosne, a przekrwione oczy takie radosne, jak mogą być oczy.
- Każdy, kto by nie umiał trafić tego cholernego drania rekina z takiego czegoś, powinien to wyrzucić do diabła, zanim sobie narobi biedy.

- Trafiłeś go masę razy - powiedział Thomas Hudson. - Trafiałeś go wspaniale. Chciałbym umieć ci opowiedzieć, jak trafiałeś.

- Nie musi mi pan opowiadać - rzekł Eddy. - Do końca życia będę widział tego podłego starego drania, jak się kotłuje na grzbiecie. Widział pan kiedy coś, co by wyglądało bardziej drańsko?

Siedzieli czekając na obiad, a Thomas Hudson patrzył na morze, na Josepha, który powiosłował do miejsca, gdzie rekin poszedł pod wodę. Joseph wyglądał przez burłę dinghy trzymając lunetę wodną.

- Widzisz coś? - zawołał do niego Thomas Hudson.

- Za głęboko, panie Tom. Poszedł w dół prosto przez szelf. Teraz leży na dnie.

- Szkoda, że nie możemy dostać jego szczęk - powiedział młody Tom. - Nie chciałbyś ich wybielić i powiesić sobie, papo?

- Chyba miałbym od nich złe sny - powiedział Andrew. - Nawet się cieszę, żeśmy ich nie dostali.

- To byłoby wspaniałe trofeum - rzekł młody Tom. - Coś do zabrania do szkoły.

- Byłyby Dave'a, gdybyśmy je dostali - powiedział Andrew.

- Nie. Należałyby do Eddy'ego - odparł młody Tom. - Pewnie dałby mi je, gdybym go poprosił.

- Dałby je Davidowi - powiedział Andrew.

- Myślę, że nie powinieneś tak zaraz wypływać, Dave - rzekł Thomas Hudson.

- Dopiero kawałek czasu po obiedzie - powiedział David. - Musimy poczekać na odpływ.

- Idzie mi o łowienie pod wodą.

- Eddy mówił, że można.

- Wiem. Tylko jeszcze jestem dosyć wystraszony.

- Ale Eddy się na tym zna.

- Nie mógłbyś zrobić mi tego prezentu, żeby nie wypływać?

- Naturalnie, papo, jeżeli tak chcesz. Ale uwielbiam być pod wodą. Chyba bardziej niż wszystko. A skoro Eddy mówi...

- Okej - rzekł Thomas Hudson. - Zresztą nie powinno się prosić o prezenty.

- Papo, nie o to mi chodziło. Nie popłynę, jeżeli nie chcesz. Tylko że Eddy mówił...

- A co z murenami? Eddy wspomniał o murenach.

- Papo, mureny są zawsze. Sam mnie uczyłeś, żeby się nie bać muren i jak dawać sobie z nimi radę, jak je wypatrywać i w jakich jamach żyją.

- Wiem. I pozwoliłem ci wypłynąć tam, gdzie przyszedł ten rekin.

- Papo, myśmy wszyscy tam byli. Nie rób sobie jakichś specjalnych wyrzutów z tego powodu. Po prostu wypłynąłem za daleko i zgubiłem tego fajnego złotnika, kiedy już go miałem na ościeniu, a on zakrwawił wodę i to ściągnęło rekina.

- Prawda, że przyszedł po prostu jak ogar? - powiedział Thomas Hudson. Usiłował otrząsnąć się z emocji. - Widywałem je już nadpływające z taką naprawdę wielką szybkością. Był jeden, co trzymał się koło Skały Sygnałowej i przypląwał w ten sposób na zapach przynęty. Bardzo mi wstyd, że nie mogłem go trafić.

- Strzelałeś ogromnie blisko niego - powiedział młody Tom.

- Robiłem wszystko poza trafieniem go.

- On nie chciał dobrać się do mnie, papo - powiedział David. - Chciał dobrać się do tej ryby.

- Ale capnęły i ciebie - odezwał się Eddy. Nakrywał do stołu. - Nie łudź się, że nie, bo miałeś na sobie zapach ryby, a w wodzie była krew. Capnęły konia. Capnęły wszystko. Boże kochany, nie gadajmy o tym. Będę musiał łyknąć sobie jeszcze jednego.

- Eddy - powiedział David. - Czy naprawdę będzie bezpiecznie przy odpływie?

- Jasne. Przecież już ci mówiłem.

- Czy ty aby nie chcesz czegoś udowodnić? - zapytał Davida Thomas Hudson. Przeszedł patrzeć na morze i był już znowu spokojny. Wiedział, że David robi teraz to, co powinien, bez względu na przyczyny, i czuł, że podchodził do tego samolubnie.

- Papo, mnie idzie tylko o to, że lubię to bardziej niż wszystko inne, a dzień jest taki cudowny i nigdy nie wiadomo, kiedy zaczniesz dmuchać...

- A Eddy mówi - przerwał mu Thomas Hudson.

- A Eddy mówi - uśmiechnął się do niego David.

- Eddy mówi: cholera z wami wszystkimi. Chodźcie teraz jeść, zanim wyrzucę to do diabła za burzę. - Eddy stał z salaterką sałatki, półmiskiem przyrumienionych ryb i tłuczonych kartofli. - Gdzież ten Joe?

- Popłynął szukać rekina.

- Wariat.

Kiedy Eddy zszedł pod pokład, a młody Tom podawał innym jedzenie, Andrew szepnął do ojca:

- Papo, czy Eddy jest pijak?

Thomas Hudson nakładał zimną sałatkę z kartofli z octem, posypaną grubo mielonym czarnym pieprzem. Nauczył Eddy'ego robić ją tak jak w "Brasserie Lipp" w Paryżu i była to jedna z najlepszych rzeczy, jakie Eddy przyrządzał na statku.

- Widziałeś, jak on strzelił do tego rekina?

- Pewnie że widziałem.

- Pijacy tak nie strzelają.

Nalóżył sałatkę na talerz Andrewa, a potem sam sobie nabrał.

- Pytałem tylko dlatego, że z mojego miejsca widzę kuchnię i zauważyłem, że odkąd tu usiedliśmy, popijał z butelki z osiem razy.

- To jego butelka - wyjaśnił Thomas Hudson i dołożył Andrewowi sałatki. Andrew jadł najprędzej ze wszystkich ludzi, jakich znał. Twierdził, że nauczył się tego w szkole. - Postaraj się jeść trochę wolniej, Andy. Eddy zawsze zabiera na pokład własną butelkę. Prawie wszyscy dobrzy kucharze trochę popijają. Niektórzy całkiem sporo.

- Wiem, że wypił osiem. Czekaście. Teraz pije dziewiątą.

- Szlag by cię trafił, Andrew - powiedział David.

- Przestańcie - rozkazał im obu Thomas Hudson.

Wtrącił się młody Tom.

- Porządny, wspaniały człowiek ratuje życie twojemu bratu i popija sobie raz czy parę razy, a ty go nazywasz pijakiem. Nie nadajesz się do obcowania z ludźmi.

- Wcale go tak nie nazwałem. Tylko spytałem papy, żeby się dowiedzieć, czy jest. Nie mam nic przeciwko pijakom. Po prostu lubię wiedzieć, czy ktoś jest taki, czy nie.

- Za pierwsze pieniądze, jakie dostanę, kupię Eddy'emu butelkę tego, co pija, i wypiję ją razem z nim - powiedział uroczyście młody Tom.

- Co takiego? - W zejściówce ukazała się głowa Eddy'ego, w zsuniętym z czoła starym filcowym kapeluszu, który odsłaniał białosc nad opaloną częścią twarzy, i z cygarem sterczącym z kącika posmarowanych merkurochromem ust. - Niech was przyłapię na picciu czegokolwiek poza piwem, to was zleję na kwaśne jabłko. Wszystkich trzech. Wy mi tu nie gadajcie o picciu. Chcecie jeszcze kartofli?

- Bardzo proszę, Eddy - powiedział młody Tom, a Eddy zszedł na dół.

- To razem dziesięć - powiedział Andrew zaglądając przez zejściówkę.

- Zamknij się, ty koniarzu - rzekł młody Tom. - Nie możesz uszanować świetnego człowieka?

- Zjedz jeszcze trochę ryby, David - powiedział Thomas Hudson.

- Który jest ten duży złotnik?

- Chyba jeszcze nie usmażony.

- To wezmę ronkę.

- One są strasznie słodkie.

- Myślę, że łowienie ościeniem poprawia ich smak, jeżeli się je zjada od razu, bo je wykrwawia.

- Papo, czy mogę poprosić Eddy'ego, żeby się napił z nami? - zapytał młody Tom.

- Jasne - odrzekł Thomas Hudson.

- Już wypił z nami jednego, nie pamiętasz? - przerwał Andrew. - Jak tu przy płynęliśmy. Przypominasz sobie?

- Papo, czy mogę poprosić go, żeby teraz znów wypił i zjadł coś razem z nami?

- Oczywiście - odrzekł Thomas Hudson.

Młody Tom zszedł pod pokład i Thomas Hudson usłyszał, jak mówi:

- Eddy, papa cię prosi, żebyś zrobił sobie drinka, przyszedł na górę i wypił go, i zjadł coś z nami.

- Słuchaj, Tommy - odpowiedział Eddy. - Ja nigdy nie jadam w południe. Tylko śniadanie, a potem wieczorem.

- A może napiłbyś się z nami?

- Już wypilem kilka.

- Wypilbyś teraz ze mną i pozwoliłbyś mi wypić z tobą butelkę piwa?

- Owszem, psiakrew - odparł Eddy. Thomas Hudson usłyszał otwieranie i zatrzasknięcie lodówki. - Twoje zdrowie, Tommy.

Thomas Hudson usłyszał brzęknięcie dwóch butelek. Spojrzał na Rogera, ale Roger patrzył na ocean.

- Twoje zdrowie, Eddy - usłyszał głos młodego Toma. - To wielki zaszczyt pić z tobą.

- Do diabła, Tommy - odparł Eddy. - Zaszczycem jest pić z tobą. Czuję się wspaniale. Widziałeś, jak zastrzeliłem tego starego rekina?

- Jasne, że tak, Eddy. Nie chciałbyś zjeść odrobiny czegoś z nami?

- Nie, Tommy. Naprawdę.

- A chciałbyś, żebym tu został z tobą, żebyś nie musiał pić sam?

- Nie, Tommy. Czy ci się coś nie myli? Ja nie muszę pić. Nie muszę robić niczego, tylko gotować trochę i zarabiać na życie. Czuję się po prostu świetnie, Tommy. Widziałeś, jak go strzelałem? Naprawdę?

- Eddy, to była najwspanialsza rzecz, jaką widziałem. Pytałem po prostu, czy nie chcesz czegoś, żebyś się nie czuł samotny.

- Nigdy w życiu nie czułem się samotny - odpowiedział Eddy. - Jest mi dobrze, a tu mam coś, po czym robi mi się jeszcze lepiej.

- Ale ja i tak chciałbym z tobą zostać.

- Nie, Tommy. Zabierz na górę ten drugi półmisek ryby i idź tam, gdzie twoje miejsce.

- Ale chciałbym tu wrócić i zostać.

- Nie jestem chory. Gdybym kiedy zachorował, byłbym rad, jakbyś siadywał przy mnie, ale czuję się tak fajnie jak jeszcze nigdy.

- Eddy, czy na pewno masz dość w tej butelce?

- Jasne. Jakby mi się skończyło, pożyczę coś od Rogera i od twojego starego.

- Ano, to zaniósę na górę te ryby - powiedział młody Tom. - Strasznie się cieszę, że tak się dobrze czujesz. To wspaniale.

Młody Tom przyniósł do kokpitu półmisek złotników, żółtych i białych ronek i graników. Ryby były głęboko rozkrojone na bokach trójkątnymi nacięciami odsłaniającymi białe mięso, z wierzchu kruche i przyrumienione, i zaczął je podawać dokoła stołu.

- Eddy kazał bardzo ci podziękować, ale już się napił - powiedział. - A w południe nie jada. Czy te ryby są dobre?

- Wyborne - odrzekł Thomas Hudson. - Proszę cię, jedz - powiedział do Rogera.

- Dobrze - odparł Roger. - Spróbuję.

- To pan nic nie jadł? - zapytał Andrew.

- Nie, Andy. Ale teraz coś zjem.

VIII

W nocy Thomas Hudson budził się i słyszał chłopców śpiących i oddychających spokojnie, a w świetle księżyca widział ich i Rogera, także śpiącego. Sam sypiał teraz dobrze, prawie bez przerw.

Był szczęśliwy, że ma ich u siebie, i nie chciał myśleć o tym, że kiedyś odjadą. Bywał szczęśliwy także i zanim przyjechali i od dawna nauczył się tak żyć i wykonywać swoją pracę, żeby nigdy nie czuć się bardziej samotnym, niż to było do zniesienia, ale przyjazd chłopców zburzył cały ochronny tryb życia, który sobie stworzył, i teraz już przywykł do jego burzenia. Był to przyjemny tryb życia, na który składała się intensywne praca, godziny przeznaczone na robienie pewnych rzeczy, miejsca, gdzie przechowywał i zabezpieczał różne przedmioty, posiłki i drinki, których wyczekiwał, i nowe książki do czytania, i wiele starych książek do przeczytania na nowo. Był to tryb życia, w którym codzienna gazeta stawała się wydarzeniem, kiedy nadeszła, ale nie przychodziła tak regularnie, żeby jej nieprzyjście było rozczarowaniem. Miał wiele pomysłów, które ludzie samotni stosują dla

własnego ratunku i dzięki którym osiągają nawet niesamotność, i ustalił sobie pewne reguły, i przestrzegał zwyczajów, i stosował się do nich świadomie i nieświadomie. Ale odkąd chłopcy przyjechali, było wielką ulgą nie musieć ich przestrzegać.

A jednak będzie niedobrze, myślał, kiedy zacznie to wszystko od nowa. Doskonale wiedział, jak będzie. Przez część dnia może być nawet przyjemnie mieć w domu porządek, myśleć samemu, czytać nie słysząc czyichś rozmów, patrzeć na różne rzeczy nie mówiąc o nich i pracować jak należy bez przerywania, ale wiedział, że wtedy zacznie się samotność. Trzej chłopcy znowu wkroczyli w znaczną część jego jestestwa, która kiedy odejdą, zostanie pusta i przez pewien czas będzie bardzo źle.

Życie jego było solidnie zbudowane na pracy, na przebywaniu nad Gofsztromem i na wyspie, i dobrze wytrzymało próbę. Wszystkie dodatki, nawyki i zwyczaje były po to, ażeby sobie radzić z samotnością, i teraz wiedział, że otworzył samotności całą nową krainę, w którą mogła wtargnąć po odjeździe chłopców. Ale na to nie było żadnej rady. To wszystko miało przyjść później, a skoro go czekało, nie warto było lękać się tego teraz.

Lato jak dotąd było bardzo udane i dobre. Wszystko, co mogło skończyć się źle, skończyło się dobrze. Nie miał na myśli tylko rzeczy efektownych, takich jak Roger z tamtym człowiekiem na nabrzeżu, które mogły skończyć się bardzo źle, ani Davida i rekina - ale najróżniejsze drobiazgi wypadły dobrze. Szczęście bywa często przedstawiane jako coś bardzo nudnego, rozmyślał leżąc i nie śpiąc, ale to dlatego, że ludzie nudni bywają czasem bardzo szczęśliwi, a inteligentni potrafią chodzić i chodzą po świecie unieszczęśliwiając samych siebie i wszystkich. Nigdy nie uważał szczęścia za nudne. Zawsze wydawało się bardziej emocjonujące niż cokolwiek innego, i dla tych, co potrafili go zaznać, równie intensywne jak smutek. Może nie było to prawdą, ale przez długi czas uważał to za prawdziwe, a tego lata doświadczał szczęścia od miesiąca i już teraz tęsknił do niego po nocach, jeszcze zanim odeszło.

Wiedział nieomal wszystko, co można wiedzieć o życiu w samotności, i wiedział, co to jest żyć z kimś, kogo kochamy i kto nas kocha. Zawsze kochał swoje dzieci, ale nigdy dotąd nie uświadamiał sobie, jak bardzo je kocha i jakie złe jest to, że z nimi nie mieszka. Żałował, że nie ma ich stale przy sobie i że nie jest już mężem matki Toma. A potem pomyślał, że to równie niemądre jak chcieć posiadać wszystkie bogactwa świata, by ich używać najmądrzej, jak można, albo rysować jak Leonardo czy malować tak dobrze jak Pieter Brueghel, mieć absolutną władzę weta przeciwko wszelkiemu złu, potrafić je wykrywać nieomylnie i zawsze trafnie, gdy się zaczyna, i móc je powstrzymać jakimś takim prostym sposobem jak naciśnięcie guzika - i przy tym wszystkim być zawsze zdrowym i żyć

bez końca, i nie rozkładać się na umyśle ani ciele. Tej nocy rozmyślał, że dobrze byłoby mieć takie rzeczy. Ale nie można ich było mieć tak samo jak dzieci dla siebie, ani tego, żeby żył ktoś, kogo się kochało, jeżeli osoba, którą się kochało, umarła, albo wyszła z naszego życia. Wśród wszystkich rzeczy, których nie sposób mieć, jest kilka, które mieć można, a jedna z nich polega na tym, by wiedzieć, kiedy się jest szczęśliwym, i cieszyć się tym w całej pełni, dopóki trwa i jest dobre. Wiele rzeczy składało się dla niego na to, kiedy to miał. Ale teraz, w ciągu tego miesiąca, cztery osoby dały mu coś, co pod pewnymi względami było równie dobre jak to, co niegdyś potrafiła dać tamta jedna, i do tej pory nie było smutku. Nie było żadnego smutku.

Teraz nawet nie przeszkadzało mu, że nie śpi i wspominał jak bywało dawniej, kiedy nie mógł zasnąć i leżał w nocy rozmyślając o tym, jak utracił tych trzech chłopców i jakim był głupcem. Rozmyślał, jak robił różne rzeczy, ponieważ nie mógł temu zapobiec czy też tylko sądził, że nie może, i jak przechodził od jednego katastrofalnego błędu w ocenie do innego, który był jeszcze gorszy. Teraz już uznał to za przeszłość i skończył z wyrzutami sumienia. Postępował jak głupiec, a nie lubił głupców. Ale to już minęło, chłopcy byli tutaj i kochali go, a on ich kochał. Na razie na tym poprzestanie.

Wyjadą po zakończeniu swojego pobytu i znowu przyjdzie samotność. Jednakże będzie ona tylko etapem po drodze, dopóki nie wróca. Gdyby Roger został i pracował, i dotrzymywał mu towarzystwa, byłoby znacznie lepiej. Ale nigdy nie wiedział, jak jest z Rogerem ani co zrobi. Myśląc o Rogerze uśmiechnął się w ciemnościach. A potem zaczął mu współczuć, aż przyszło mu do głowy, jakie to nielojalne i jak Roger nie cierpiałby współczucia, więc się powstrzymał i słysząc, że wszyscy oddychają spokojnie, zasnął.

Obudził się jednak znowu, kiedy światło księżyca padło mu na twarz, i zaczął myśleć o Rogerze i o kobietach, z którymi miał kłopoty. On sam i Roger postępowali głupio i źle z kobietami. Nie chciał myśleć o własnych głupstwach, więc myślał o głupstwach Rogera.

“Nie będę mu współczuł - myślał - więc to nie jest nielojalne. Sam miałem dosyć kłopotów, dlatego nie jest nielojalnie myśleć o kłopotach Rogera. Moje są inne, bo kochałem naprawdę tylko jedną kobietę, a potem ją utraciłem. Wiem dostatecznie dobrze, dlaczego. Ale skończyłem z rozmyślaniami na ten temat i pewnie byłoby lepiej nie myśleć też o Rogerze.” Ale tej nocy, ponieważ światło księżyca jak zawsze nie dawało mu spać, rozmyślał o nim oraz o jego poważnych i komicznych kłopotach.

Myślał o ostatniej dziewczynie, w której Roger się kochał w Paryżu, kiedy obaj tam mieszkali, i o tym, jaka mu się wydała prześliczna i jaka fałszywa, kiedy Roger ją przyprowadził do jego studia. Dla Rogera nie było w niej nic fałszywego. Była jeszcze

jednym jego złudzeniem i cały jego wielki talent do wierności był na jej usługi, dopóki nie przysłała chwila, kiedy mogli nareszcie się pobrać. A potem w ciągu miesiąca wszystko, co w niej było zawsze jasne dla każdego, kto ją znał dobrze, stało się nagle jasne dla Rogera. Musiał to być ciężki dzień, kiedy do tego doszło, ale proces widzenia jej jasno trwał już od jakiegoś czasu, zanim Roger przyszedł do studia. Przez chwilę oglądał płótna i mówił o nich krytycznie i bardzo inteligentnie. A potem rzekł:

- Powiedziałem tej Ayers, że się z nią nie ożenię.
- To dobrze - odparł Thomas Hudson. - Była zaskoczona?
- Nie za bardzo. Już się o tym trochę mówiło. Ona jest fałszywa.
- Niemożliwe - odrzekł Thomas Hudson. - Jak?
- Na wylot. Jakkolwiek by ją nadkryć.
- Myślałem, że ją lubisz.
- Nie. Starłem się ją polubić. Ale to udawało mi się tylko na samym początku.

Byłem w niej zakochany.

- Co to znaczy być zakochanym?
- Ty powinieneś wiedzieć.
- Tak - odrzekł Thomas Hudson. - Powinieneś wiedzieć.
- Nie lubiłeś jej?
- Nie. Nie mogłem jej ścierpieć.
- Dlaczego nic nie mówiłeś?
- To była twoja dziewczyna. A nie pytałeś mnie.
- Powiedziałem jej. Ale teraz muszę się tego trzymać.
- Lepiej się stąd wynieś.
- Nie - odparł. - Niech ona się wyniesie.
- Pomyślałem tylko, że tak może byłoby prościej.
- To jest tak samo moje miasto jak jej.
- Wiem - powiedział Thomas Hudson.
- Tyś także pożarł się z tamtą, nie? - zapytał Roger.
- Owszem. Z żadną nie można wygrać. Ale można się z nimi pożreć. Może byś po prostu zmienił swój quartier?
- Dobrze mi tam, gdzie jestem - powiedział Roger.
- Pamiętam tę formułkę: Je me trouve tres bien ici et je vous prie de me laisser tranquille. (Czuję się tutaj doskonale i proszę, zostaw mnie w spokoju.)

- To się zaczyna od je refuse de recevoir ma femme (odmawiam przyjęcia mojej żony) - powiedział Roger. - I to się mówi temu huissier (woźnemu). Ale to nie jest rozwód. Po prostu zerwanie.

- A nie będzie ci ciężko widywać ją?

- Nie. To mnie wyleczy. To i słuchanie tego, co mówi.

- A co będzie z nią?

- Niech sobie sama obmyśli. Wiele rzeczy obmyśliła w ciągu ostatnich czterech lat.

- Pięciu - powiedział Thomas Hudson.

- Nie sądzę, żeby za dużo myślała pierwszego roku.

- Lepiej się wynieś - rzekł Thomas Hudson. - Jeżeli uważasz, że pierwszego roku nic sobie nie obmyślała, to lepiej wyjedź daleko stąd.

- Ona pisuje bardzo mocne listy. Wyjazd byłby jeszcze gorszy. Nie, zostanę tu i poszaleję sobie. Wyleczę się na dobre.

Kiedy on i ta dziewczyna zerwali ze sobą w Paryżu, Roger zaczął szaleć, szaleć naprawdę. Żartował na ten temat i naśmiewał się z siebie, ale w środku był bardzo zły, że zrobił z siebie takiego dogłębnego durnia, i wziął swój talent do wierności wobec ludzi, który był jego największym talentem obok talentu do malowania i pisania oraz różnych dobrych cech ludzkich i zwierzęcych, i bezlitośnie marnował go i trwonił. Kiedy oddawał się szaleństwom, nie był dobry dla nikogo, zwłaszcza dla siebie, i wiedział o tym, nie cierpiał tego i znajdował przyjemność w obalaniu filarów świątyni. Była to bardzo dobra i mocno zbudowana świątynia, a kiedy się wzniesie ją w sobie, nie tak łatwo ją zwalić. Ale starał się, jak mógł.

Miał jedną po drugiej trzy dziewczyny i dla żadnej z nich Thomas Hudson nie mógł się zdobyć na nic więcej niż uprzejmość, a jedynym uzasadnieniem dwóch drugich było to, że przypominały pierwszą. Ta pierwsza przysła zaraz po tamtej, z którą dopiero co zerwał, i dla Rogera była czymś w rodzaju absolutnego dna, aczkolwiek potem zrobiła bardzo udaną karierę zarówno w łóżku, jak poza nim, i urwała sobie porządny kawał trzeciej czy czwartej pod względem wielkości fortuny w Ameryce, a potem wżeniła się w inną. Miała na imię Thanis i Thomas Hudson pamiętał, jak Roger zawsze się wzdrygał na dźwięk tego imienia i nie chciał go wymawiać; nikt nigdy go nie słyszał z jego ust. Nazywał ją Dziwczak Wielki. Była ciemnowłosa, miała śliczną cerę i wyglądała jak bardzo młoda, wypielegnowana, wymyślnie zła dziewczyna z rodziny Cenci. Miała moralność odkurzacza i duszę maszyny do pari-mutuel na wyścigach, świetną figurę i tę śliczną, złą twarz, i

pozostała z Rogerem tylko tak długo, jak jej było potrzeba, aby się przygotować do pierwszego dobrego życiowego kroku w górę.

Była pierwszą dziewczyną, jaka go rzuciła, i to wywarło na Rogerze takie wrażenie, że miał dwie następne, które były do niej prawie na tyle podobne, że mogłyby należeć do tej samej rodziny. Mimo to rzucił je obie, rzucił naprawdę, i Thomas Hudson uważał, że po tym poczuł się lepiej, choć nie o wiele lepiej.

Zapewne istnieją uprzejmiejsze i miłsze sposoby rozstawania się z dziewczyną niż po prostu, bez żadnych uprzednich nieprzyjemności i awantur, przeprosić ją na chwilę, aby pójść do ubikacji w klubie "21", i więcej nie wrócić. Ale Roger mówił, że uregulował na dole rachunek, i uwielbiał wspominać, jak widział ją po raz ostatni, siedzącą samotnie przy stoliku w rogu, w tym otoczeniu, które tak jej odpowiadało i za którym tak przepadała.

Następną zamierzał zostawić w klubie "Stork", który naprawdę lubił, ale się bał, że to może nie spodobać się panu Billingsleyowi, a musiał pożyczyć trochę pieniędzy od pana Billingsleya.

- Więc gdzie ją zostawiłeś? - zapytał go wtedy Thoams Hudson.

- W "El Morocco". Żebym ją mógł zawsze pamiętać siedzącą tam wśród tych zebr. "El Morocco" także lubił - powiedział. - Ale myślę, że najbardziej wyrył się jej w sercu "Cub Room".

Później związał się z jedną z najbardziej zwodniczych kobiet, jakie Thomas Hudson znał kiedykolwiek. Z wyglądu była całkowitą odmianą po jego trzech ostatnich typach Cenci czy Borgia z Park Avenue. Wyglądała naprawdę zdrowo, miała płowe włosy i długie, dobre nogi, doskonałą figurę i żywą, inteligentną twarz. Chociaż jej twarz nie była piękna, wyglądała znacznie lepiej niż wiele innych twarzy. I miała piękne oczy. Była inteligentna i bardzo miła i urocza przy pierwszym zetknięciu, i była skończoną pijaczką. Nie robiła tego jawnie i jej alkoholizm jeszcze nie był widoczny. Ale oddawała się temu przez cały czas. Kogoś, kto pije naprawdę, można zwykle poznać po oczach i zawsze było to od razu widać w oczach Rogera. Ale ta dziewczyna, Kathleen, miała doprawdy piękne piwne oczy, które pasowały do włosów i drobnych przyjemnych piegów znamionujących zdrowie i miłe usposobienie, rozsypanych wokoło nosa i na policzkach, i w tych oczach nie widziało się nigdy nic z tego, co się działo. Wyglądała na dziewczynę, która regularnie uprawia żeglarstwo czy prowadzi jakieś bardzo zdrowe życie na powietrzu, i wyglądała na dziewczynę bardzo szczęśliwą. A tymczasem była po prostu dziewczyną, która piła. Odbывała jakąś bardzo dziwną wyprawę dokąds i na pewien czas zabrała z sobą Rogera.

Ale któregoś rana przyszedł do studia, które Thomas Hudson wynajmował w Nowym Jorku, z lewą dłonią pokrytą oparzeniami od papierosów. Wyglądało to tak, jakby ktoś gasił niedopałki rozgniatając je o blat stołu, tylko że blatem był wierzch jego dłoni.

- Widzisz, co zamierzała zrobić wczoraj wieczorem - powiedział. - Masz trochę jodyny? Nie chciałem z tym iść do apteki.

- Kto to zrobił?

- Kathleen. Ten świeży, sportowy typ.

- Musiałeś wziąć w tym udział?

- Widać ją to bawiło, a naszą rolą jest je zabawiać.

- Jesteś dosyć paskudnie poparzony.

- Nie tak bardzo. Ale na jakiś czas wyniosę się z tego miasta.

- Dokądkolwiek pójdziesz, zabierzesz siebie ze sobą.

- Tak. Ale nie zabiorę wielu innych osób, które znam.

- Gdzie pojedziesz?

- Na zachód na jakiś czas.

- Geografia nie jest kuracją na to, co ci dolega.

- Nie. Ale zdrowe życie i dużo roboty nie zaszkodzi. Niepicie może mnie nie wyleczyć. Ale picie na pewno teraz nie pomaga.

- No, to zabieraj się stąd do diabła. Chciałbyś pojechać na rancz?

- Nadal jest twoją własnością?

- W części.

- I mógłbym tam pojechać?

- Jasne - powiedział mu Thomas Hudson. - Ale aż do wiosny jest tam ciężko, a i wiosna niełatwa.

- Chcę, żeby było ciężko - powiedział Roger. - Mam zamiar zacząć od nowa.

- Ile to już razy zaczynałeś od nowa?

- Za wiele - odrzekł Roger. - I nie musisz mi dogryzać.

Teraz więc miał znów zacząć od nowa i jakże to by wypadło tym razem? Jakże mógł myśleć, że marnowanie własnego talentu, pisanie na zamówienie i stosowanie się do formuły, która przynosi pieniądze, mogło zaprowadzić go do pisania dobrze i prawdziwie? Wszystko, co malarz robi, a pisarz pisze, wynika z jego zaprawy i przygotowania do tego, czego ma dokonać. Roger roztrwonił swój talent, nadużył go i zmarnował. Ale może miał w sobie dość fizycznej siły i niezależnej inteligencji, żeby móc zrobić nowy początek. Każdy uzdolniony pisarz powinien potrafić napisać jedną dobrą powieść, jeżeli jest uczciwy,

myślał Thomas Hudson. Ale przez cały ten czas, kiedy Roger powinien był zaprawiać się do tego, źle posługiwał się swoim talentem, więc skąd można było wiedzieć, czy ten talent nadal istnieje? Nie mówiąc już o jego metier - myślał. Jakże ktoś może uważać, iż wolno zaniedbywać i lekceważyć albo pogardzać rzemiosłem, chociażby ta pogarda była udawana, a potem oczekiwać, że będzie ono na usługi naszych rąk i naszego mózgu, gdy przyjdzie taki moment, kiedy będzie niezbędne. Nie ma żadnej jego namiastki - myślał Thomas Hudson. Nie ma także namiastki talentu i nie musi się ich obu trzymać w kielichu. Pierwsze jest w nas. W naszym sercu i w naszej głowie, i w każdej części nas samych. Tak samo talent - myślał. To nie jest po prostu komplet narzędzi, którymi ktoś się nauczył pracować.

“Szczęśliwiej jest być malarzem - myślał - bo ma się więcej rzeczy, którymi się pracuje. My mamy tę przewagę, że pracujemy rękami, a rzemiosło, które opanowaliśmy, jest rzeczą realną, namacalną. Ale Roger musi teraz zacząć się posługiwać tym, co sam stępił, wypaczył i potanił, a wszystko to jest w jego głowie. Jednakże au fond (w istocie) jest w nim coś wspaniałego, zdrowego i pięknego. To są słowa, z którymi musiałbym być bardzo ostrożny, gdybym był pisarzem - pomyślał. - Ale on ma coś, co jest takie jak on sam, i gdyby potrafił pisać tak, jak się bił na tym nabrzeżu, mogłoby to być okrutne, ale byłoby bardzo dobre. A gdyby potrafił myśleć tak mądrze jak po tej bójce, byłby doskonały.”

Księżyc nie świecił już na wezłowie łóżka Thomasa Hudsona, więc stopniowo przestał rozmyślać o Rogerze. “Myślenie o nim nic nie da. Albo zdoła to zrobić, albo nie. Ale byłoby wspaniałe, gdyby zdołał. Chciałbym mu pomóc. Może mi się uda” - pomyślał i potem zasnął.

IX

Kiedy słońce zbudziło Thomasa Hudsona, zeszedł na plażę, popływał, a potem zjadł śniadanie, nim reszta wstała. Eddy mówił, iż nie przypuszcza, żeby był większy wiatr, i że może nawet być cisza. Powiedział, że cały sprzęt jest w dobrym stanie na kutrze i że posłał chłopaka po przynęty.

Thomas Hudson zapytał go, czy sprawdził linki, jako że statek od dość dawna nie wypływał na duże ryby, i Eddy powiedział, że je wypróbował i usunął wszystkie te, które były przegniłe. Powiedział, że potrzeba im będzie trochę więcej linek trzydziestosześcionicowych i dużo więcej dwudziestoczteronicowych, i Thomas Hudson obiecał, że po nie pośle. Tymczasem Eddy powiązał dostateczną ilość dobrej linki, aby

zastąpić tę odrzuconą, i na obu dużych bębnach było jej tyle, ile się mogło pomieścić. Oczyszczył i wyostrzył wszystkie duże haki i sprawdził przypony i krętliki.

- Kiedyś ty to wszystko zrobił?

- Siedziałem w nocy i splatałem - odpowiedział. - A potem pracowałem nad tą nową siecią do zarzucania. Nie mogłem zasnąć przy tym przeklętym księżycu.

- Czy tobie też przeszkadza spać pełnia księżyca?

- Jak cholera - odparł Eddy.

- Myślisz, że naprawdę niedobrze jest spać, kiedy on na nas świeci?

- Tak mówią starzy znawcy. Nie wiem. W każdym razie czuję się wtedy źle.

- Myślisz, że dzisiaj coś działyśmy?

- Nigdy nie wiadomo. O tej porze roku trafiają się tam ogromnie duże ryby. Popłynię pan aż do Izaaka?

- Chłopcy chcą tam się wybrać.

- Powinniśmy wyruszyć zaraz po śniadaniu. Nie mam zamiaru gotować obiadu. Mam sałatkę z mięczaków, sałatkę z kartofli, piwo, i zrobię sandwicze. Mamy też szynkę, która przysła ostatnim statkiem, i trochę zielonej sałaty, i możemy dać musztardę i tę przyprawę z papryki. Musztarda nie szkodzi dzieciakom, prawda?

- Chyba nie.

- Myśmy jej nigdy nie jadali, jak byłem mały. Ale ta przyprawa jest dobra. Pan jej używa do sandwiczów?

- Nie.

- Nie wiedziałem, do czego jest, kiedy pan ją pierwszy raz dostał, i popróbowalem trochę jak marmolady. Diabelnie smaczne. Czasem używam tego do mamałygi.

- Może byśmy kiedyś zrobili sobie curry?

- Następnym statkiem ma mi przywieźć udziec barani. Pojemy go parę razy, przyrządzimy dla młodego Toma i Andrewa, a potem będzie curry.

- Świetnie. Co mam zrobić przed odpłynięciem?

- Nic. Tylko niech pan ich popędzi. Może panu zrobić drinka? Dzisiaj pan nie pracuje. Można sobie wypić jednego.

- Wypiję butelkę zimnego piwa do śniadania.

- Dobra rzecz. Usuwa tę cholerną flegmę.

- Czy Joe już jest?

- Nie. Poszedł szukać tego chłopaka, co popłynął po przynęty. Przyniosę panu śniadanie.

- Sam sobie wezmę.

- Nie, niech pan pójdzie napić się zimnego piwa i poczyta gazetę. Rozprasowałem ją dla pana. Przyniosę śniadanie.

Śniadanie składało się z przyrumienionej, siekanej solonej wołowiny z jajkiem na wierzchu, kawy i mleka oraz dużej szklanki mrożonego soku z grejpfruta. Thomas Hudson odstawił kawę i sok i wypił do mięsa butelkę bardzo zimnego piwa Heineken.

- Będę trzymał sok na lodzie dla chłopców - powiedział Eddy. - Niezłe to piwo na wczesny ranek, prawda?

- Można by łatwo się rozpić, co, Eddy?

- Z pana nigdy nie będzie pijak. Zanadto pan lubi pracować.

- Ale picie z rana ogromnie smakuje.

- Pewnie że tak. Szczególnie coś takiego jak to piwo.

- Tylko że nie mógłbym pić i pracować.

- Ano, dzisiaj pan nie pracuje, więc co za problem, u diabła? Niech pan dopije, to przyniosę następne.

- Nie. Jedno mi wystarczy.

Wyruszyli o dziewiątej i popłynęli kanałem z odpływem. Thomas Hudson sterował na górze, przeprowadził statek przez ławicę i skierował go prosto ku miejscu, gdzie widział ciemną linię Golsztromu. Woda była taka spokojna i taka przezroczysta, że widzieli wyraźnie dno na głębokości trzydziestu sążni, widzieli, jak koralowce wyginały się w prądzie odpływu, widzieli je jeszcze, choć mgliście, na czterdziestu sążniach, a potem zrobiło się głębiej i mroczno, i znaleźli się na ciemnych wodach Prądu Zatokowego.

- Wygląda na to, że będzie cudowny dzień, papo - powiedział Tom. - I ten prąd też wygląda dobrze.

- To wspaniały prąd. Spójrz na te małe skręty wirów wzdłuż skraju.

- Czy to nie ta sama woda, którą mamy na plaży przed domem?

- Czasami, Tommy. Teraz jest odpływ i odepchnął Prąd od wylotu portu. Widzisz, że tam, na plaży, gdzie zwykle nie ma luki, zrobiła się znowu.

- Woda jest prawie tak samo niebieska tam jak tutaj. Dlaczego woda Golsztromu jest taka błękitna?

- Bo ma inną gęstość. To zupełnie inny rodzaj wody.

- Ale jest ciemniejsza dlatego, że głębsza.

- Tylko jeżeli patrzysz w nią z góry. Czasami bywa prawie fiołkowa od planktonu.

- Dlaczego?

- Bo on dodaje czerwień do błękitu, jak sądzę. Wiem, że Morze Czerwone nazywają czerwonym dlatego, że plankton naprawdę nadaje mu ten kolor. Tam są ogromne jego skupiska.

- A tobie się podobało Morze Czerwone, papo?

- Przepadałem za nim. Było strasznie gorąco, ale nigdzie nie ma takich wspaniałych raf i pełno jest ryb podczas obydwóch monsunów. Podobałoby ci się, Tom.

- Czytałem o nim po francusku dwie książki pana de Montfried. Bardzo dobre. On się zajmował handlem niewolnikami. Nie tymi białymi. Takim handlem niewolnikami jak za dawnych czasów. To jest przyjaciel pana Davisa.

- Wiem - powiedział Thomas Hudson. - Ja go też znam.

- Pan Davis mi mówił, że pan de Montfried wrócił kiedyś do Paryża po tym handlowaniu niewolnikami i kiedy zabierał gdzieś jakąś panią, kazał taksówkarzowi opuszczać budę i kierował go tam, gdzie chciał jechać, według gwiazd. Powiedzmy, że był na Pont de la Concorde i chciał jechać do Madeleine. Nie mówił taksówkarzowi po prostu, żeby go zawiózł do Madeleine albo przejechał przez Place de la Concorde i przez Rue Royale, tak jak byś zrobił to ty albo ja. Pan de Montfried kierował się do Madeleine według Gwiazdy Polarnej.

- Tej historii o panu de Montfried nigdy nie słyszałem - powiedział Thomas Hudson.

- Słyszałem całą masę innych.

- To dosyć skomplikowany sposób poruszania się po Paryżu, nie uważasz? Pan Davis w pewnym momencie chciał zająć się razem z panem de Montfried handlem niewolnikami, ale coś temu przeszkodziło. Już nie pamiętam co. Aha, wiem. Pan de Montfried rzucił handel niewolnikami i zaczął handlować opium. To było to.

- A pan Davis nie chciał wziąć się do handlowania opium?

- Nie. Pamiętam, jak powiedział, że chyba zostawi handel opium panu de Quincey i panu Cocteau. Mówił, że to im tak dobrze szło, że jego zdaniem nie należy im przeszkadzać. To było jedno z tych powiedzeń, których nie mogłem zrozumieć. Papo, ty mi tłumaczysz wszystko, o co zapytam, ale ciągle wypytywanie tak hamuje rozmowę, że po prostu zapamiętywałem sobie pewne rzeczy, których nie rozumiałem, żeby o nie kiedyś zapytać, i to jest właśnie jedna z nich.

- Musisz mieć spore zaległości.

- Całe setki. Może tysiące. Ale co roku pozbywam się bardzo wielu dochodząc do zrozumienia tych rzeczy samemu. Tylko wiem, że o niektóre będę musiał cię spytać. Może

tego roku w szkole spiszę sobie ich listę do wypracowania z angielskiego. Mam kilka strasznie fajnych do takiego wypracowania.

- Ty lubisz szkołę, Tom?

- To jest po prostu coś, z czym trzeba się pogodzić. Nie myślę, żeby lubił szkołę ktoś, kto już robił coś innego, prawda?

- Nie wiem. Ja jej nie cierpiałem.

- I szkoły sztuk pięknych też?

- Tak. Lubiałem uczyć się rysunku, ale nie lubiałem części wykładowej.

- Mnie to właściwie nie przeszkadza - powiedział Tom. - Ale jeżeli ktoś spędził życie z takimi ludźmi, jak pan Joyce, pan Pascin, ty i pan Davis, to przebywanie z chłopcami wydaje się jakieś dziecinne.

- Ale przyjemnie ci tam, nie?

- O tak. Mam masę przyjaciół i lubię wszystkie sporty, które nie polegają na rzucaniu i łapaniu piłek, i uczę się całkiem solidnie. Ale, papo, to nie jest nadzwyczajne życie.

- Tak samo zawsze uważałem - odrzekł Thomas Hudson. - Ale się je ożywia, jak można.

- Tak jest. Ożywiam je, jak mogę, i dalej w tym tkwię. Tylko że czasem bywa trudno.

Thomas Hudson spojrzał za rufę, gdzie wart rysował się ostro na gładkim morzu, a obie przynęty u wysięgników były ciągnione w wodzie; wart opadając i wznosząc się w załamaniach fal kłębił się przecinając gładką wodę. David i Andrew siedzieli na krzeselkach rybackich trzymając wędki. Thomas Hudson widział ich plecy. Twarze mieli zwrócone ku rufie i obserwowali przynęty. Spojrzał przed siebie na wyskakujące bonity, które nie młóciły i nie kotłowały wody, tylko wypryskiwały w górę i opadały na powrót pojedynczo i parami, prawie nie mącąc powierzchni, kiedy wzbijały się lśniąc w słońcu i wracały ciężkimi głowami do dołu, aby wpaść w wodę niemal bez rozbryzgu.

- Ryba! - usłyszał Thomas Hudson okrzyk młodego Toma. - Ryba! Ryba! Wypływa! Za tobą, Dave! Uważaj!

Thomas Hudson zobaczył olbrzymią kipieli w wodzie, lecz nie mógł dojrzeć ryby. David osadził koniec wędziska w uchwycie i patrzył na spinacz na lince wysięgnika. Thomas Hudson ujrzał linkę spadającą z wysięgnika długą, powolną pętlą, która ściągnęła się uderzając o powierzchnię i teraz wylatywała skosem, tnąc wodę.

- Daj mu, Dave! Daj mu mocno! - zawołał Eddy ze schodni.

- Daj mu, Dave. Na miłość boską, daj mu - prosił Andrew.

- Zamknij się - odparł David. - Trzymam go.

Jeszcze nie szarpnął i linka stale wylatywała pod tym samym kątem, wędka wygięła się, a chłopak ją przytrzymał, gdy linka się wysuwała. Thomas Hudson przymknął przepustnice silników, tak że zaledwie się obracały.

- Na miłość boską, daj mu - błagał Andrew. - Albo pozwól mnie to zrobić.

David tylko przytrzymał wędkę i patrzył na linkę wysuwającą się wciąż pod tym samym kątem. Poluzował naprężenie.

- To marlin, papo - powiedział nie podnosząc wzroku. - Widziałem jego miecz, kiedy brał.

- Jak Boga kochasz? - zapytał Andrew. - O rany!

- Uważam, że powinieneś go teraz szarpnąć. - Roger stanął przy chłopcu. Wyjął oparcie krzesła i zapinał rzemienie na kołowrotku. - Szarpnij go, Dave, a dobrze.

- Myśli pan, że ma już dość? - zapytał David. - Nie myśli pan, że tylko trzyma hak w pysku i tak z tym płynie?

- Uważam, że powinieneś szarpnąć, nim go wypluje.

David zaparł się stopami, prawą ręką wzmocnił dobrze napięcie i szarpnął silnie ogromny ciężar. Pociągał tak wciąż od nowa, wyginając wędzisko jak łuk. Linka wylatywała ciągle. Nie zrobił na rybie żadnego wrażenia.

- Jeszcze raz, Dave - powiedział Roger. - Wbij mu porządnie.

David szarpnął znów z całej siły, a linka wylatywała ze świstem, wędzisko zaś wygięło się tak, że ledwo mógł je utrzymać.

- O Boże - powiedział nabożnie. - Chyba już mu wbiłem.

- Poluzuj trochę - rzekł Roger. - Obracaj z nim, Tom, i obserwuj linkę.

- Obracać z nim i obserwować linkę - powtórzył Thomas Hudson. - Wszystko dobrze, Dave?

- Świetnie, papo - odrzekł Dave. - O Boże, żebym tylko mógł dostać tę rybę.

Thomas okręcił kuter nieomal na rufie. Linka Dave'a zniknęła z kołowrotka i Thomas Hudson przybliżył kuter do ryby.

- Teraz napnij i wybieraj linkę - powiedział Roger. - Obrabiaj go, Dave.

David podnosił i nawijał opuszczając, podnosił i nawijał z regularnością maszyny, i wybierał sporo linki na kołowrotek.

- Nikt z naszej rodziny nie złowił jeszcze marlina - powiedział Andrew.

- Och, przestań o nim gadać - odparł David. - Nie mów o nim.

- Nie będę - rzekł Andrew. - Odkąd go złapałeś, nie robię nic innego, tylko się modłę.

- Myślisz, że utrzyma to w pysku? - szepnął młody Tom do ojca, który stał przy kole sterowym i patrzył za rufę śledząc skos białej linki w ciemnej wodzie.

- Mam nadzieję. Dave nie jest dość silny, żeby go ostro załatwić.

- Zrobię wszystko, jeżeli go dostaniemy - powiedział młody Tom. - Każdą rzecz. Wszystkiego się wyrzeknę. Wszystko obiecuję. Przyniesz mu trochę wody, Andy.

- Mam wodę - rzekł Eddy. - Dave, trzymaj go, stary.

- Nie dopuszczać go bliżej! - zawołał Roger. Był świetnym wędkarzem i rozumieli się doskonale z Thomasem Hudsonem na statku.

- Wezmę go za rufę - zawołał Thomas Hudson i obrócił kuter bardzo łagodnie i miękko, tak że rufa prawie nie zamąciła spokojnej wody.

Ryba opuszczała się teraz w dół i Thomas Hudson cofnął kuter bardzo powoli, żeby złuzować napięcie linki, ile się dało. Ale przy najlżejszym cofnięciu, gdy rufa zbliżała się wolno do ryby, linka całkiem utraciła skos, koniec wędziska skierował się prosto w dół, linka zaczęła wysuwać się równomiernymi targnięciami, a wędzisko wyginało się za każdym razem w rękach Davida. Thomas Hudson ruszył kutrem odrobinę naprzód, żeby chłopiec nie miał linki tak pionowo w wodzie. Wiedział, jak bardzo napina mu plecy w tej pozycji, ale musiał zachować tyle linki, ile się dało.

- Nie mogę bardziej ciągnąć, bo pęknie - powiedział David. - Co on teraz robi, panie Rogerze?

- Będzie dalej schodził w dół, póki go nie zatrzymasz - odrzekł Roger. - Albo póki sam się nie zatrzyma. Wtedy będziesz musiał spróbować go podciągnąć.

Linka dalej wysuwała się w dół i w dół, i w dół. Wędzisko było tak wygięte, iż wydawało się, że musi pęknąć, a linka naprężona jak nastrojona struna wiolonczeli, i na kołowrotku nie pozostało jej już wiele.

- Co mogę zrobić, papo?

- Nic. Robisz to, co trzeba.

- Czy on nie pójdzie na dno? - zapytał Andrew.

- Tu nie ma dna - odpowiedział mu Roger.

- Trzymaj go, Davy - rzekł Eddy. - Będzie miał tego dość i wypłynie.

- Te przekłete pasy mnie zabijają - powiedział David. - Odrzynają mi ramiona.

- Chcesz, żebym go wziął? - zapytał Andrew.

- Nie, ty głupi - odparł David. - Zwyczajnie powiedziałem, co mi robią. Nie dbam o to.

- Zobacz, czy nie da się założyć mu pasów plecowych - zawołał Thomas Hudson do Eddy'ego. - Można podwiązać je linką, jeżeli są za długie.

Eddy założył chłopcu na krzyże szeroką pikowaną podkładkę i przymocował grubym sznurem do kołowrotka pierścienie na przytrzymujących ją parcianych pasach.

- Tak jest dużo lepiej - powiedział David. - Bardzo ci dziękuję, Eddy.

- Teraz możesz go przytrzymywać i plecami, i ramionami - powiedział mu Eddy.

- Ale zabraknie linki - rzekł David. - Ach, żeby go szlag trafił, dlaczego on musi wciąż iść w dół?

- Panie Tom! - zawołał Eddy. - Niech pan da trochę na północo-zachód. Zdaje mi się, że się rusza.

Thomas Hudson przekręcił koło sterowe i ruszył statkiem miękko, powoli, miękko ku pełnemu morzu. Przed nimi była wielka płachta żółtych wodorostów, a na niej ptak, woda zaś gładka i tak błękitna i przezroczysta, że patrząc w nią widziało się światełka niby odbłaski pryzmatu.

- Widzisz? - powiedział Eddy do Davida. - Już nie tracisz linki.

Chłopiec nie mógł podnieść wędki, ale linka nie wyszarpywała się już w wodę. Była wciąż naprężona, a na kołowrotku nie zostało nawet pięćdziesiąt jardów. Ale już nie wylatywała. David trzymał rybę, a kuter był na jej kursie. Thomas Hudson widział ledwie dostrzegalny skos białej linki głęboko w błękitnej wodzie, gdy kuter ledwie się posuwał, a jego silniki pracowały tak cicho, że nie było ich słychać.

- Widzisz, Davy, on poszedł w dół tam, gdzie mu się podobało, a teraz rusza tam, dokąd chce iść. Niedługo odbierzesz mu trochę linki.

Opalony grzbiet chłopca był naprężony, wędka wygięta, linka sunęła powoli w wodzie, statek płynął wolno po powierzchni, a ćwierć mili poniżej płynęła wielka ryba. Mewa zerwała się z płachty wodorostów i nadleciała ku statkowi. Zatoczyła krąg dokoła głowy Thomasa Hudsona, który sterował, po czym odfrunęła ku innej plamie żółtych wodorostów na wodzie.

- Teraz spróbuj go trochę pociągnąć - powiedział chłopcu Roger. - Jeżeli go zdołasz utrzymać, możesz trochę wybrać.

- Niech pan da jeszcze odrobinę naprzód - zawołał Eddy w stronę pomostu i Thomas Hudson ruszył kutrem do przodu najdelikatniej, jak mógł.

David podciągał i podciągał, ale wędzisko tylko się wyginało, a linka tylko napinała. Było to tak, jakby zaczepił o ruchomą kotwicę.

- Mniejsza z tym - powiedział mu Roger. - Dostaniesz ją później. Jak się czujesz, Davy?

- Doskonale - odrzekł David. - Z tymi pasami na plecach jest świetnie.

- Myślisz, że go utrzymasz? - spytał Andrew.

- Zamknij się - odparł David. - Eddy, mógłbym dostać trochę wody?

- Gdzież ja ją postawiłem? - odrzekł Eddy. - Pewnie rozlałem.

- Ja przyniosę. - Andrew zeszedł pod pokład.

- Czy mogę coś zrobić, Dave? - zapytał młody Tom. - Idę na górę, żeby tu nie zawadzać.

- Nie, Tom. Psiakrew, dlaczego nie mogę go podciągnąć?

- To strasznie duża ryba - powiedział Roger. - Z nią nie ma żartów. Musisz ją prowadzić i spróbować przekonać, gdzie ma iść.

- Niech pan mi powie, co mam robić, a ja to będę robił, póki nie skonam - rzekł David. - Ufam panu.

- Nie mów o skonaniu - odparł Roger. - To nie jest sposób mówienia.

- Ja mówię serio - rzekł David. - Naprawdę serio.

Młody Tom wrócił na pomost do ojca. Patrzyli na Davida, zgiętego i przytroczonego do swojej ryby, na stojącego przy nim Rogera i Eddy'ego, który przytrzymał krzesło. Andrew przytknął Davidowi do warg szklanekę wody. Ten nabrał jej w usta i wypluł.

- Polej mi przeguby rąk, dobrze Andy? - poprosił.

- Papo, czy myślisz, że on naprawdę utrzyma tę rybę? - zapytał Tom ojca bardzo cicho.

- Jest strasznie duża jak na niego.

- Mnie to przeraża - powiedział Tom. - Kocham Davida i wcale nie chcę, żeby go zabiła jakaś cholerna ryba.

- Ani ja, ani Roger, ani Eddy.

- No to musimy go pilnować. Gdyby z nim było naprawdę niedobrze, powinien wziąć rybę pan Davis albo ty.

- Jeszcze daleko do tego, żeby z nim było niedobrze.

- Ale ty jego nie znasz tak jak my. On by się zabił, byleby dostać tę rybę.

- Nie martw się, Tom.

- Nic na to nie poradzę - odrzekł młody Tom. - Jestem w rodzinie tym, który zawsze się martwi. Mam nadzieję, że mi to przejdzie.

- Nie martwiłbym się teraz - powiedział Thomas Hudson.

- Ale jakże taki chłopak jak David ma wyciągnąć taką rybę? Nie złapał nigdy nic większego od żaglicy czy serioli.

- Ryba się zmęczy. To ona ma hak w pysku.

- Ale jest potworna - odparł Tom. - A Dave jest do niej uwiązany tak samo jak ona do Dave'a. Gdyby ją dostał, to byłoby takie wspaniałe, że wprost nie mógłbym uwierzyć, ale wolałbym, żebyś to ty albo pan Davis ją trzymał.

- Dave dobrze daje sobie radę.

Przez cały czas wypływali coraz dalej na morze i ciągle była płaska gładź. Teraz widzieli wiele płacht wodorostów, tak spalonych przez słońce, że były żółte na fioletowej wodzie, i czasem sunąca wolno, napięta biała linka przecinała kępę wodorostów, a Eddy wychylał się i zdejmował te, które do niej przywarły. Kiedy przechylał się przez zrębnięć i ściągał żółte wodorosty z linki, i odrzucał je precz, Thomas Hudson widział jego pomarszczony, czerwono-brązowy kark i stary filcowy kapelusz, i słyszał, jak mówił do Dave'a:

- On właściwie holuje statek, Davy. Jest tam daleko w dole i męczy się, i męczy przez cały czas.

- Mnie także męczy - odrzekł David.

- Głowa cię nie boli? - zapytał Eddy.

- Nie.

- Dajcie mu czapkę - powiedział Roger.

- Nie chcę czapki, proszę pana. Wolałbym trochę wody na głowę.

Eddy zaczerpnął w wiadro wody morskiej i ostrożnie zwilżył chłopcu głowę, nabierając wody w dłoń, polewając mu głowę i odgarniając włosy z oczu.

- Powiedz, jakby cię rozboleła głowa - rzekł.

- Czuję się doskonale - odparł David. - Niech pan mi powie, co mam robić, panie Rogerze.

- Zobacz, czy nie da się odebrać mu trochę linki - rzekł Roger.

David próbował, próbował i próbował znowu, ale nie mógł podciągnąć ryby nawet na cal.

- W porządku. Oszczędzaj siły - powiedział mu Roger. A potem do Eddy'ego: - Namocz czapkę i nałóż mu na głowę. Dzień jest cholernie gorący przy tej ciszy.

Eddy zanurzył czapkę z długim daszkiem w wiadrze słonej wody i włożył ją chłopcu na głowę.

- Ta słona woda ścieka mi do oczu, panie Rogerze. Naprawdę. Bardzo przepraszam.

- Zmyję ją słodką - odparł Eddy. - Poproszę o jakąś chustkę, panie Rogerze. Andy, przynieś trochę wody z lodu.

Podczas gdy chłopiec trzymał się, zaparty nogami, cały wygięty z wysiłku, kuter powoli płynął dalej na morze. W kierunku zachodnim ławica bonitów czy albakorów maciła gładką powierzchnię i zaczynały nadlatywać rybitwy nawołując się w locie. Ale ławica ryb zanurzyła się, a rybitwy siadły na spokojnej wodzie, czekając, aż znowu wypłynie. Eddy otarł twarz chłopca, namoczył chustkę w szklance mrożonej wody i rozkładał mu ją na karku. Potem ochłodził mu nią przeguby rąk, a następnie, namoczywszy znów chustkę w lodowatej wodzie, wyjął ją przyciskając do karku Davida.

- Powiedz, jakby cię rozbolała głowa - rzekł. - To nie będzie wysiadka. Po prostu rozsądek. Przy takiej ciszy słońce jest cholernie gorące.

- Nic mi nie jest - odparł David. - Bolał mnie tylko paskudnie ramiona i ręce.

- To naturalne - powiedział Eddy. - To z ciebie zrobi mężczyznę. Nie chcemy tylko, żebyś dostał porażenia czy zerwał coś sobie w środku.

- Co ta ryba będzie teraz robiła, panie Rogerze? - zapytał David. Jego głos brzmiał sucho.

- Może to samo co w tej chwili. A może zacznie krążyć. Albo wypłynie.

- Diabelna szkoda, że się zanurzyła tak głęboko na początku, że już nie mamy linki, aby nią manewrować - powiedział Thomas Hudson do Rogera.

- Najważniejsze, że David ją zatrzymał - odrzekł Roger. - Już niedługo zmieni zamiar. Wtedy nad nią popracujemy. Spróbuj tylko raz, czy nie da się trochę wyciągnąć.

David spróbował, ale nie mógł podciągnąć ryby ani trochę.

- Wypłynie - rzekł Eddy. - Zobaczysz. Raptem wszystko będzie całkiem proste, Davy. Chcesz popłukać usta?

David kiwnął głową. Doszedł już do stadium oszczędzania tchu.

- Wypluj - powiedział Eddy. - Połknij tylko trochę. - Obrócił się do Rogera. - Równo godzina - rzekł. - Głowa w porządku, Davy?

Chłopiec kiwnął głową.

- Co myślisz, papo? - zapytał młody Tom ojca. - Tak naprawdę?

- Wygląda mi całkiem dobrze - odparł ojciec. - Eddy nie pozwoliłby, żeby mu się coś stało.

- Chyba nie - przyznał Tom. - Chciałbym zrobić coś pożytecznego. Pójdę przynieść Eddy'emu drinka.

- I mnie też, proszę.

- O, dobrze. Zrobię także dla pana Davisa.

- Chyba nie ma ochoty.

- To go zapytam.

- Spróbuj jeszcze raz, Davy - powiedział Roger bardzo spokojnie, a chłopiec pociągnął z całej siły, przytrzymując z boku rękami szpulę kołowrotka.

- Wybrałeś cał - rzekł Roger. - Nawiń i zobacz, czy da się więcej.

Teraz zaczęła się właściwa walka. Dotychczas David tylko trzymał rybę, która odpływała ku pełnemu morzu, a kuter posuwał się razem z nią. Ale teraz chłopiec musiał pociągać, czekać, aż wędzisko się naprostuje po wybraniu kawałka linki, potem zaś opuszczać je powoli, kiedy nawijał.

- Nie próbuj robić tego za prędko - powiedział Roger. - Nie śpiesz się. Tylko równo.

Chłopiec pochylał się w przód i ciągnął zaparty stopami, wykorzystując za każdym pociągnięciem cały opór i cały ciężar własnego ciała, a potem, opuszczając wędkę, nawijał szybko linkę prawą ręką.

- David łowi bardzo ładnie - powiedział młody Tom. - Łowił ryby od małego, ale nie wiedziałem, że potrafi tak dobrze. Zawsze kpi z siebie, bo nie umie grać w różne gry. Ale popatrzcie na niego teraz.

- Do diabła z grami - powiedział Thomas Hudson. - Coś ty mówił, Rogerze?

- Trochę naprzód do niego! - zawołał Roger.

- Trochę naprzód do niego - powtórzył Thomas Hudson i kiedy posuwali się wolno do przodu, David za następnym pociągnięciem znów wybrał trochę linki.

- Ty też nie lubisz gier, papo? - zapytał Tom.

- Dawniej lubiłem. Bardzo. Ale teraz już nie.

- Ja lubię tenisa i szermierkę - rzekł Tom. - Czemu nie lubię, to gier, w których się rzuca i łapie piłkę. Pewnie to skutek wychowania w Europie. Założę się, że David mógłby być świetnym szermierzem, gdyby chciał się uczyć, bo jest taki zmyślny. Ale nie chce się uczyć. Tylko by czytał, łowił ryby, strzelał i wiązał muchy wędkarskie. W polu strzela lepiej od Andy'ego. A umie też pięknie wiązać muchy. Nie przeszkadza ci, że tyle mówię, papo?

- Jasne, że nie.

Tom trzymał się relingu pomostu i patrzył ku rufie razem z ojcem, ten zaś położył mu dłoń na ramieniu. Było pokryte solą, bo zanim ryba chwyciła, chłopcy oblewali się wzajemnie wiadrami wody morskiej na rufie. Sól była bardzo drobna i z lekka chropawa pod dłonią.

- Widzisz, ja tak się denerwuję patrząc na Davida, że gadam, aby o tym nie myśleć. Dałbym wszystko na świecie, żeby dostał tę rybę.

- To diabelna ryba. Poczekaj, aż ją zobaczymy.

- Widziałem jedną taką, jak łowiłem z tobą kilka lat temu. Uderzyła swoim mieczem dużą makrełę, którą mieliśmy na przynętę, wyskoczyła i wyrzuciła hak. Była ogromna i nieraz mi się śniła. Zejdę na dół i zrobię drinki.

- Nie ma gwałtu - odpowiedział mu ojciec.

Poniżej, na osadzonym na obrotowej podstawie wędkarskim krzeselku z wyjętym oparciem, David zapierał się stopami o rufę i podciągał wędkę rękami, grzbietem, krzyżem i udami, po czym opuszczał ją, nawijał linkę i podciągał znowu. Powoli, po calu, po dwa, trzy cale naraz, wybierał coraz więcej i więcej linki na kołowrotek.

- Głowa w porządku? - zapytał go Eddy, który przytrzymał krzesło za poręcz, żeby się nie ruszało.

David kiwnął głową. Eddy pomacał dłonią jego czapkę.

- Jeszcze wilgotna - powiedział. - Dajesz mu cholerną szkołę, Davy. Całkiem jak maszyna.

- Teraz jest łatwiej niż tylko go trzymać - rzekł David głosem wciąż suchym.

- Jasne - odparł Eddy. - Teraz coś idzie. Przedtem to było tylko wyrywanie sobie pleców z korzeniami.

- Nie pracuj szybciej, niż możesz - powiedział Roger. - Dajesz sobie radę wspaniale.

- Czy go weźmiemy osęką, jak teraz wypłynie? - zapytał Andrew.

- Proszę cię, przestań o nim pyskować - powiedział David.

- Wcale nie chciałem pyskować.

- Bądź cicho, Andy, błagam. Przepraszam cię.

Andrew wdrapał się na górę. Na głowie miał czapkę z długim daszkiem, ale ojciec widział, że pod nim oczy ma wilgotne, a chłopiec odwrócił głowę, bo wargi mu drgały.

- Nie powiedziałaś nic złego - rzekł Thomas Hudson.

Andrew odrzekł z odwróconą głową:

- Teraz, jeżeli go straci, będzie uważał, że go zapyskowałem - powiedział z goryczą. - A ja tylko chciałem pomóc wszystko przygotować.

- To naturalne, że Dave jest zdenerwowany - rzekł ojciec. - Stara się być uprzejmy.

- Wiem o tym - odpowiedział Andrew. - Walczy z nim tak samo dobrze, jak by walczył pan Davis. Tylko mi przykro, że mógł tak pomyśleć.

- Wielu ludzi jest rozdrażnionych przy dużej rybie. A David spotyka się z taką pierwszą raz.

- Ty zawsze jesteś uprzejmy i pan Davis także.

- Dawniej nie byliśmy. Kiedy się razem uczyliśmy łowić duże ryby, bywaliśmy podnieceni, szorstcy i sarkastyczni. Obaj nieraz byliśmy okropni.

- Naprawdę?

- Jasne. Naprawdę. Męczyliśmy się i postępowali tak, jakby wszyscy byli przeciwko nam. To całkiem naturalne. Ale kiedy człowiek się nauczy, naturalna jest dyscyplina i zdrowy rozsądek. Zaczęliśmy być uprzejmi, bo przekonaliśmy się, że nie da się złowić dużej ryby, kiedy się jest szorstkim i podnieconym. A jeżeli nawet złowiliśmy, nie było w tym żadnej przyjemności. Jednakże bywaliśmy naprawdę okropni, podnieceni, rozdrażnieni, niezrozumiani, i to wcale nie było zabawne. Dlatego teraz zawsze walczymy z nimi uprzejmie. Obgadaliśmy to i postanowili, że będziemy uprzejmi, żeby nie wiem co.

- Ja też będę uprzejmy - powiedział Andrew. - Ale z Dave'em czasem jest ciężko. Papo, myślisz, że on naprawdę może go dostać? Żeby to nie jakiś sen albo co?

- Nie mówmy o tym.

- Znowu powiedziałem coś złego?

- Nie. Tylko takie mówienie zawsze podobno przynosi pecha. Wiemy to od starych rybaków. Nie mam pojęcia, skąd się to wzięło.

- Będę uważał.

- Masz drinka, papo - powiedział młody Tom podając go spod pokładu. Szklanka była owinięta trzema warstwami ręczników papierowych, z gumową opaską, która je przyciskała mocno do szkła, aby lód nie topniał. - Dodałem soku limonowego i angostury, bez cukru. Czy tak chciałeś? Czy może coś zmienić?

- Tak jest świetnie. Zrobiłeś to z sokiem kokosowym?

- Tak, a dla Eddy'ego whisky. Pan Davis nic nie chciał. Zostajesz tam, Andy?

- Nie. Schodzę.

Tom wdrapał się na górę, a Andrew zeszedł.

Spojrząwszy za rufę Thomas Hudson spostrzegł, że linka podnosi się w wodzie.

- Uważaj, Roger! - zawołał. - Zdaje się, że wypływa.

- Wypływa! - wrzasnął Eddy. Też spostrzegł skos linki. - Uwaga na ster.

Thomas Hudson rzucił okiem na szpulkę kołowrotka, żeby sprawdzić, ile jest linki do manewrowania. Szpulka nie była jeszcze zapełniona nawet do jednej czwartej i kiedy

patrzył, linka jęła się odwijać, więc zaczął cofać skręcając ostro ku niej i był już bliżej, gdy Eddy wrzasnął:

- Cofać na niego, panie Tom! Drań wypływa! Nie ma linki do skręcania.

- Trzymaj wędkę do góry - powiedział Roger Davidowi. - Nie pozwól mu ściągnąć jej w dół. - A potem do Thomasa Hudsona: - Cofaj na niego, ile możesz, Tom. Idziesz dobrze. Cofaj, ile się da.

I wtedy, za rufą kutra i nieco w prawo, gładkość oceanu rozwarła się i wyprysnęła zeń wielka ryba lśniąca granatowo i srebrnie, wynurzając się z wody rzekłbyś bez końca, niewiarygodna, kiedy jej długość i masa wzbijała się z morza w powietrze i jakby tam zawisała, po czym opadła z rozbryzgiem, który wyrzucił wodę wysoko i białą.

- O Boże - powiedział David. - Widzieliście?

- Miecz ma taki długi jak ja cały - powiedział Andrew z podziwem.

- Jaki on piękny - rzekł Tom. - O wiele lepszy od tego, co mi się śnił.

- Cofaj dalej na niego - powiedział Roger do Thomasa Hudsona. A potem do Davida: - Próbuj wybrać trochę linki z tego zwoju. On wypłynął z bardzo głęboka i w wodzie jest duży zwój linki, i możesz coś z niego wybrać.

Thomas Hudson, cofając się szybko ku rybie, powstrzymał wylatywanie linki i teraz David podciągał, opuszczał i nawijał, a linka wracała całymi kawałami na kołowrotek, tak prędko, jak nadążał kręcić korbką.

- Zwolnij - powiedział Roger. - Nie powinniśmy napłynąć na niego.

- Drań waży z tysiąc funtów - rzekł Eddy. - Nawin tę luźną linkę, Davy.

Ocean był płaski i pusty w miejscu, gdzie ryba wyskoczyła, ale kręgi tam, gdzie rozwarła wodę, nadal się poszerzały.

- Widziałeś, papo, ile wody wyrzucił, kiedy wyskoczył? - zapytał młody Tom ojca. - Jakby całe morze się rozerwało.

- Zauważyłeś, że on jakby piał się w górę i w górę? Widziałeś kiedy taki granat i to cudowne srebro na nim?

- Miecz ma też granatowy - powiedział młody Tom. - Z wierzchu jest cały granatowy. Czy on naprawdę może ważyć tysiąc funtów, Eddy? - zawołał.

- Myślę, że tak. Trudno powiedzieć. Ale będzie ważył strasznie dużo.

- Wybierz tyle linki, ile możesz teraz, kiedy jest łatwiej - powiedział Roger Davidowi. - Idzie ci doskonale.

Chłopiec znowu pracował jak maszyna, wybierając linkę z dużego zwoju w wodzie, a statek cofał się tak powoli, że jego ruch był ledwie dostrzegalny.

- Co on teraz zrobi? - zapytał Tom ojca.

Thomas Hudson śledził skos linki w wodzie i myślał, że byłoby bezpieczniej posunąć się trochę naprzód, ale wiedział, jak Roger się martwił, że tyle linki wyleciało. Rybie wystarczyłoby raz ruszyć ostro, aby wyciągnąć z kołowrotka całą linkę i urwać się, i teraz Roger ryzykował, żeby mieć jej zapas. Thomas Hudson obserwując linkę zauważył, że David ma kołowrotek zapełniony już prawie do połowy i że nawija nadal.

- Coś ty mówił? - zapytał Thomas Hudson swojego syna Toma.

- Jak myślisz, co on teraz zrobi?

- Chwileczkę - odrzekł ojciec i zawołał do Rogera: - Boję się, że napłyniemy na niego, chłopcze!

- To daj trochę naprzód - powiedział Roger.

- Trochę naprzód - powtórzył Thomas Hudson. David już nie wybierał tyle linki, ale ryba była w pewniejszej pozycji.

A potem linka zaczęła znów wylatywać i Roger zawołał: - Wyłącz! - i Thomas Hudson wyrzucił przekładnie i wyłączył motory.

- Zgaszone - powiedział. Roger pochylał się nad Davidem, a chłopiec zaparłszy się przytrzymał wędkę, lecz linka wysuwała się wciąż.

- Przyciągnij go trochę, Davy - powiedział Roger. - Zmusimy go, żeby popracował.

- Nie chcę, żeby się urwał - odrzekł David, ale wzmocnił naprężenie.

- Nie urwie się - powiedział Roger. - Nie przy takim napięciu.

Linka dalej wylatywała, wędzisko wygięło się mocniej, a chłopiec odchyłał się do tyłu zapierając się bosymi stopami o deski rufy. A potem linka przestała wylatywać.

- Teraz możesz trochę wybrać - powiedział Roger chłopcu. - On krąży i w tej chwili nawraca. Wybieraj, ile się da.

Chłopiec opuszczał wędkę i nawijał, a potem podnosił, pozwalał jej się naprostować, opuszczał i nawijał. Znowu pięknie wybierał linkę.

- Dobrze to robię? - zapytał.

- Wspaniale - odpowiedział Eddy. - Hak siedzi głęboko. Widziałem to, kiedy wyskoczył.

A potem, kiedy chłopiec podciągał, linka zaczęła wylatywać znowu.

- Psiakrew - powiedział David.

- W porządku - rzekł Roger. - Tak powinno być. On teraz odpływa. Zrobił krąg do ciebie i wybrałeś linkę. Teraz ci ją odbiera.

Powoli, równomiernie, podczas gdy David przytrzymał marlina napinając linkę do ostateczności, ten odebrał mu całą, jaką dopiero co odzyskał, i jeszcze trochę więcej. Wreszcie chłopiec go zatrzymał.

- Dobra. Bierz się do niego - powiedział Roger spokojnie. - Trochę poszerzył krąg, ale teraz nawraca.

Thomas Hudson włączał motory tylko od czasu do czasu, żeby utrzymać rybę za rufą. Starał się robić dla syna wszystko, do czego statek był zdolny, i powierzał chłopca i całą walkę Rogerowi. Tak jak to widział, nie było nic innego do zrobienia.

Za kolejnym okrążeniem ryba znowu zyskała trochę linki. Za następnym zyskała także. Ale chłopiec miał jeszcze prawie połowę linki na kołowrotku. Nadal pracował dokładnie tak, jak należało, i za każdym razem wykonywał to, czego Roger zażądał. Ale zaczynał być bardzo zmęczony, a pot i słona woda tworzyły plamy soli na jego opalonych plecach i ramionach.

- Równo dwie godziny - powiedział Eddy do Rogera. - Jak głowa, Davy?

- W porządku.

- Nie boli?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Tym razem lepiej wypij trochę wody - rzekł Eddy.

David kiwnął głową i napił się, kiedy Andy przyłożył mu szklanekę do warg.

- Jak się naprawdę czujesz, Davy? - zapytał Roger pochylając się nad nim.

- Świetnie. Tylko te plecy, nogi i ręce. - Zamknął na chwilę oczy i przytrzymał wyginające się wędzisko, gdy silnie naciągnięta linka zaczęła odwijać się znowu.

- Nie chcę rozmawiać - powiedział.

- Teraz możesz mu trochę odebrać - rzekł Roger i chłopiec znów wziął się do dzieła.

- David jest święty i męczennik - powiedział Tom do ojca. - Chłopcy nie miewają takich braci jak David. Nie przeszkadza ci, że mówię, papo? Okropnie się tym denerwuję.

- Proszę, mów, Tommy. Obaj się martwimy.

- Wiesz, on zawsze był wspaniały - powiedział Tom. - Nie jest żaden cholerny geniusz ani sportowiec jak Andy. Po prostu jest wspaniały. Wiem, że go kochasz najbardziej, i słusznie, bo on jest z nas najlepszy, i wiem, że to musi być dla niego dobre, bo inaczej nie pozwoliłbyś mu tego robić. Ale ja się tym denerwuję.

Thomas Hudson objął go za ramię i patrząc ku rufie sterował trzymając koło tylko jedną ręką.

- Rzecz w tym, co by czuł, gdybyśmy go zmusili, żeby dał za wygraną. Roger i Eddy doskonale wiedzą, co robią, wiem, że go kochają i że nie pozwoliliby mu robić czegoś, czego nie może.

- Ale z nim nie ma żadnych granic, papo. Naprawdę. Zawsze robi coś, czego nie może zrobić.

- Zaufaj mi, ja zaufam Rogerowi i Eddy'emu.

- Dobrze. Ale teraz się za niego pomodłę.

- Pomódl się - odrzekł Thomas Hudson. - Dlaczego powiedziałeś, że kocham go najbardziej?

- Bo powinienes.

- Ciebie kocham najdłużej.

- Nie myślmy o tobie ani o mnie. Pomódlmy się obaj za Davy'ego.

- Dobrze - powiedział Thomas Hudson. - A teraz posłuchaj. Złapaliśmy rybę w południe. Zaraz będzie trochę cienia. Chyba nawet już jest. Obrócę kuter bardzo ostrożnie i przesunę Davy'ego w cień.

Thomas Hudson zawołał do Rogera:

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym obrócić powoli i dać Davy'ego w cień. To chyba nic nie zmieni, jeżeli idzie o rybę, skoro tak kołuje, a będziemy na jej właściwym kursie.

- Świetnie - odparł Roger. - Powinienem był o tym pomyśleć.

- Do tej pory nie było cienia - powiedział Thomas Hudson. Obrócił kuter tak wolno, okręcając go tylko na rufie, że prawie wcale nie utracili linki przez ten manewr. Głowa i ramiona Davida znalazły się w cieniu tylnej części pokładówki. Eddy wycierał ręcznikiem szyję i ramiona chłopca i smarował mu spirytusem plecy i kark.

- No jak, Dave? - zawołał do niego Tom.

- Świetnie - odrzekł David.

- Teraz jestem o niego spokojniejszy - powiedział młody Tom. - Wiesz, ktoś w szkole powiedział, że David jest moim bratem przyrodnim, a nie prawdziwym, a ja mu powiedziałem, że w naszej rodzinie nie ma nieprawdziwych braci. Chciałbym się tak nie martwić, papo.

- To ci przejdzie.

- W takiej rodzinie jak nasza ktoś musi się martwić - powiedział młody Tom. - Ale o ciebie już się nie martwię. Teraz o Davida. Chyba zrobię jeszcze coś do picia. Będę mógł pomodlić się przy tym. Chcesz drinka, papo?

- Z przyjemnością.

- Eddy'emu pewnie bardzo się przyda - powiedział chłopiec. - To już chyba prawie trzy godziny. Eddy wypił tylko jednego przez trzy godziny. Naprawdę bardzo się zaniedbałem. Dlaczego myślisz, że pan Davis nie chciałby się napić?

- Zdawało mi się, że nie będzie chciał pić, kiedy David to wszystko przechodził.

- Może zechce teraz, jak David jest w cieniu. W każdym razie spróbuję.

Zeszedł na dół.

- Chyba nie, Tommy - usłyszał Thomas Hudson głos Rogera.

- Cały dzień pan nic nie pił - nalegał Tom.

- Dziękuję ci - odrzekł Roger. - Wypij za mnie butelkę piwa. - A potem zawołał w stronę steru: - Daj trochę naprzód, Tom. On lepiej idzie przy tym kursie.

- Trochę naprzód - powtórzył Thomas Hudson.

Ryba krążyła nadal głęboko, ale przy kierunku, jaki obrał statek, skracała okrążenia. Był to kierunek, w którym chciała płynąć. Teraz było też łatwiej dojrzeć skos linki. Można było go dojrzeć znacznie głębiej w ciemnej wodzie mając słońce z tyłu i Thomas Hudson poczuł się pewniej sterując za rybą. Myślał, jak się szczęśliwie złożyło, że dzień jest spokojny, bo wiedział, że David nigdy by nie wytrzymał udręczenia, jakie by go czekało, gdyby miał na haku taką rybę nawet przy umiarkowanie rozkołysanym morzu. Teraz, kiedy David był w cieniu, a morze nadal spokojne, wszystko zaczynało wyglądać lepiej.

- Dziękuję, Tommy - usłyszał głos Eddy'ego, po czym chłopiec wdrapał się na górę z owiniętą papierem szklanką i Thomas Hudson posmakował, wypił łyk i poczuł chłód, który miał ostrość limony, aromatyczny, glazurowy smak angostury i dżinu wzmacniającego lekki, lodowato zimny sok kokosa.

- Dobrze, papo? - zapytał chłopiec. Trzymał wyjętą z lodówki butelkę piwa, która na słońcu pociła się zimnymi kroplami.

- Wyborne - odpowiedział mu ojciec. - I dałeś dużo dżinu.

- Musiałem - odrzekł młody Tom - bo lód topnieje tak prędko. Powinniśmy mieć jakieś izolowane pojemniczki na szklanki, żeby nie topniał. Wymyślę coś w szkole. Chyba można by je zrobić z korka. Może ci zrobię takie na Gwiazdkę.

- Spójrz na Davida - powiedział ojciec.

David pracował nad rybą tak, jakby dopiero co rozpoczął walkę.

- Patrz, jaki on jest chudzielec - powiedział młody Tom. - Piers i plecy ma jak z jednego kawałka. Wygląda, jakby był sklejonny. Ale ma najdłuższe mięśnie ramion, jakie widziałem. Tak samo długie na rękach od tyłu, jak od przodu. To znaczy bicepsy i

trójgłowe. Naprawdę jest dziwnie zbudowany. To dziwny chłopak i najfajniejszy brat, jakiego można mieć.

W kokpicie Eddy wychylił swoją szklanę i znów wycierał ręcznikiem plecy Davida. Potem wytarł mu pierś i długie ręce.

- W porządku, Davy?

David kiwnął głową.

- Posłuchaj - powiedział Eddy. - Widziałem dorosłego chłopca, silnego, bary jak u byka, a spietrał się i wysiadł po połowie takiej roboty, jaką już wsadziłeś w tę rybę.

David pracował dalej.

- Kawał chłopca. Twój tata i Roger go znają. Wytrenowany do tego. Cały czas łowił. Złapał największą cholerną rybę, jaką ktokolwiek wziął na hak, a spietrał się i wysiadł tylko dlatego, że go bolało. Bolało go, jak ciągnął rybę, więc dał spokój. Tylko się trzymaj, Davy.

David nie mówił nic. Oszczędzał dech, pociągał, opuszczał wędkę, podnosił i nawijał.

- Ta cholerna ryba dlatego jest taka silna, że to jest on - powiedział mu Eddy. - Gdyby to była ona, już dawno by wysiadła. Pękłyby jej bebechy albo serce, albo ikra. U tego gatunku ryb samiec jest silniejszy. U innych silniejsza jest ona. Ale nie u marlinów. On jest okropnie silny, Davy. Ale ty go dostaniesz.

Linka znowu zaczęła się odwijać i David przymknął oczy na chwilę, zaparł się bosymi stopami o deski, odchylił do tyłu przytrzymując wędkę i wypoczywał.

- Tak trzeba, Davy - powiedział Eddy. - Pracuj tylko wtedy, kiedy pracujesz. On tylko krąży. Ale opór zmusza go do wysiłku, a to go cały czas męczy.

Eddy obrócił głowę i zajął pod pokład, a Thomas Hudson widząc, jak mruży oczy, poznał, że patrzy na duży mosiężny zegar na ścianie kabiny.

- Pięć po trzeciej, panie Rogerze - powiedział. - Jesteś z nim trzy godziny i pięć minut, chłopaku.

Przyszędł już moment, kiedy David powinien był zacząć odzyskiwać linkę. Ale miast tego ciągle się odwijala.

- Znów schodzi w dół - powiedział Roger. - Uważaj na siebie, Davy. Tom, widzisz dobrze linkę?

- Widzę dobrze - odrzekł Thomas Hudson. Skos nie był jeszcze zbyt ostry i z wierzchu pokładówki widział ją głęboko w wodzie.

- Możliwe, że zechce zejść w dół i tam zdechnąć - powiedział cicho do najstarszego syna. - To by wykończyło Dave'a.

Młody Tom potrząsnął głową i przygryzł wargi.

- Trzymaj go z całej siły, Dave - usłyszał Thomas Hudson głos Rogera. - Przyciągnij go i rób, co się da.

Chłopiec wzmógł naprężenie niemal do punktu pęknięcia wędziska i linki, po czym przytrzymał zapierając się, aby możliwie najlepiej znieść ciężki wysiłek, a linka wylatywała i wylatywała na zewnątrz i w dół.

- Jeżeli go teraz zatrzymasz, to chyba już go pobijeś - powiedział Roger Davidowi. - Wyłącz motory, Tom.

- Wyłączone - odparł Thomas Hudson. - Ale myślę, że mógłbym trochę się cofnąć.

- Okej. Spróbuj.

- Cofam się - powiedział Thomas Hudson. Cofając się odzyskali trochę linki, ale niewiele; biegła coraz bardziej pionowo w dół. Na kołowrotku było jej teraz mniej niż poprzednio w najgorszym momencie.

- Będziesz musiał podejść na koniec rufy, Davy - powiedział Roger. - Trzeba trochę poluzować, żebyś mógł wyciągnąć koniec wędziska.

David poluzował napięcie.

- Teraz wetknij w podpórkę. Przytrzymaj go wpół, Eddy.

- O Boże - powiedział młody Tom. - On teraz ściąga na samo dno.

David klęczał na niskiej rufie, z wędziskiem wygiętym tak, że czubek znajdował się pod wodą, a dolny koniec był osadzony w skórzanej tulejce podpórki przymocowanej w pasie. Andrew przytrzymywał jego stopy, a Roger klęczał obok śledząc linkę w wodzie oraz tę jej resztkę, która została na kołowrotku. Potrząsnął głową patrząc na Thomasa Hudsona.

Na kołowrotku nie było już nawet dwudziestu jardów, Davida ściągało w dół, a połowa wędziska była pod wodą. Potem na kołowrotku zostało ledwie piętnaście jardów. Potem nawet nie dziesięć. Wreszcie linka przestała się odwijać. Chłopiec był wciąż wychylony daleko za rufę, a wędzisko prawie całe w wodzie. Ale linka już się nie odwijiała.

- Posadź go z powrotem na krzesło, Eddy. Pomalutku - powiedział Roger. - Znaczy, jak będziesz mógł. Zatrzymaj go.

Eddy pomógł Davidowi wrócić na krzesło przytrzymując go wpół, żeby ryba nagłym szarpnięciem nie wyciągnęła go za burtę. Posadził go w krzesło, a David wetknął koniec wędziska w uchwyt, zaparł się stopami i zaczął ciągnąć. Ryba podniosła się nieco.

- Ciągnij tylko wtedy, jak będziesz mógł wybrać trochę linki - powiedział Roger do Davida. - Przez resztę czasu niech ciągnie on. Staraj się odpoczywać w przerwach, kiedy nad nim nie pracujesz.

- Masz go, Davy - powiedział Eddy. - Cały czas zyskujesz nad nim przewagę. Tylko ciągnij powoli i spokojnie, a zabijesz go.

Thomas Hudson ruszył kutrem nieco naprzód, żeby ryba znalazła się dalej za rufą. Teraz na całej rufie był dobry cień. Kuter powoli płynął dalej na morze, a żaden powiew nie mącił powierzchni.

- Papo, jak robiłem drinki, spojrzałem na jego stopy - powiedział młody Tom do ojca. - Są pokrwawione.

- Poobcierał je sobie zapierając się o deski.

- Nie myślisz, że mógłbym mu podłożyć poduszkę? Żeby mógł oprzeć stopy?

- Zejdź i zapytaj Eddy'ego - odrzekł Thomas Hudson. - Ale Dave'owi nie przerywaj.

Była to już czwarta godzina walki. Statek wciąż posuwał się ku pełnemu morzu, a David, któremu Roger przytrzymał krzesło, powoli podciągał rybę. Wydawał się teraz silniejszy niż przed godziną, ale Thomas Hudson widział na jego piętach krew, która ciekła z podeszew stóp. W słońcu wyglądała jak lakier.

- Jak twoje stopy? - zapytał Eddy.

- Nie bolą - odrzekł David. - Bolą mnie ręce, ramiona i plecy.

- Mógłbym ci podłożyć poduszkę pod nogi.

David potrząsnął głową.

- Pewnie by się przylepiły - odparł. - Bo są lepkie. Nie bolą. Naprawdę.

Młody Tom wszedł na górę i powiedział:

- On sobie całkiem zdziera stopy od spodu. Z rękami też jest źle. Miał pęcherze i teraz mu się pootwierały. Ojej, papo, już nic nie wiem.

- To jest to samo, co gdyby musiał wiosłować pod ostry prąd, Tommy. Albo gdyby musiał wspinać się na górę czy utrzymać się na koniu, kiedy by już był strasznie zmęczony.

- Wiem. Ale jeżeli tylko się patrzy, a samemu tego nie robi, to jest jakieś okropne, kiedy idzie o brata.

- Rozumiem, Tommy. Ale przychodzi taka pora, gdy chłopcy muszą robić pewne rzeczy, jeżeli mają kiedyś być mężczyznami. Teraz to przyszło dla Dave'a.

- Tak, papo. Ale jak patrzę na jego nogi i ręce, to już sam nie wiem.

- Gdybyś to ty trzymał rybę, chciałbyś, żebym ja albo Roger ci ją odebrał?

- Nie. Chciałbym z nią zostać, póki bym nie skonał. Ale patrzeć na Dave'a to co innego.

- Musimy pamiętać, co on czuje - powiedział mu ojciec. - I co jest dla niego ważne.

- Wiem - odrzekł Tom z przygnębieniem. - Tylko że dla mnie to jest po prostu Davy. Chciałbym, żebyś świat był inny i żeby braciom nie musiało się dziać nic złego.

- Ja też - powiedział Thomas Hudson. - Ty jesteś strasznie dobry chłopak, Tommy. Ale proszę cię, zrozum, że dawno bym to przerwał, gdybym nie wiedział, że jeśli David złowi tę rybę, będzie miał w sobie coś na całe życie i to ułatwi mu wszystko inne.

W tej chwili odezwał się Eddy. Znowu zaglądał za siebie do kabiny.

- Równo cztery godziny, panie Rogerze - powiedział. - Napij się trochę wody, Davy. Jak się czujesz?

- Doskonale - odrzekł David.

- Wiem, co teraz zrobię pożytecznego - powiedział młody Tom. - Drinka dla Eddy'ego. Chcesz także, papo?

- Nie. Ten przepuszczę - odrzekł Thomas Hudson.

Młody Tom zszedł pod pokład, a Thomas Hudson patrzył, jak David pracuje, powoli, ze zmęczeniem, ale uparcie; Roger pochylał się nad nim i mówił coś zniżonym głosem, a Eddy stał na rufie obserwując skos linki w wodzie. Thomas Hudson usiłował sobie wyobrazić, jak jest tam w dole, gdzie płynął marlin. Oczywiście jest ciemno, ale ryba zapewne widzi tak samo jak koń. I pewnie jest bardzo zimno.

Zastanowił się, czy ryba jest sama, czy może płynie z nią jakaś inna. Nie widzieli żadnej innej ryby, ale to nie dowodziło, że ta jest sama. Mogła być przy niej i druga w tym mroku i zimnie.

Thomas Hudson zastanawiał się, dlaczego ryba się zatrzymała, kiedy zeszła tak głęboko ostatnim razem. Czy osiągnęła swą maksymalną możliwą głębokość, tak jak samolot osiąga swój pułap? Czy też zmaganie się z wygiętą wędką, ciężkie ciągnięcie za linkę i opór jej tarcia w wodzie tak zniechęciły rybę, że teraz płynęła spokojnie w kierunku, który sobie obrała? Czy podnosiła się tylko trochę, powoli, kiedy David ją podciągał - podnosiła się ulegle, by poluzować niemiłe napięcie, które ją hamowało? Thomas Hudson pomyślał, że pewno jest właśnie tak, i że David może z nią jeszcze mieć duże kłopoty, jeżeli ryba jest nadal silna.

Młody Tom przyniósł Eddy'emu jego własną butelkę i Eddy pociągnął z niej długi łyk, a potem poprosił Toma, żeby ją wstawił do skrzynki z przynętami, aby była w chłodzie.

- I pod ręką - dodał. - Jeżeli jeszcze dłużej popatrzę, jak Davy walczy z tą rybą, zrobię się cholernym pijakiem.

- Przyniosę ci, jak tylko będziesz chciał - powiedział Andrew.

- Nie przynoś, jak będę chciał - odparł Eddy. - Przynieś jak o to poproszę.

Najstarszy chłopiec podszedł z Thomasem Hudsonem i razem patrzyli, jak Eddy pochyła się nad Davidem i bacznie zagląda mu w oczy. Roger przytrzymał krzesło i obserwował linkę.

- Teraz posłuchaj, Davy - powiedział Eddy do chłopca patrząc mu w twarz. - Twoje ręce i stopy są całkiem nieważne. Bolą i wyglądają paskudnie, ale są w porządku. Takie muszą być ręce i stopy rybaka i następnym razem będą twardsze. Ale czy z tą twoją cholerną głową jest dobrze?

- Świetnie - odrzekł David.

- To niech ci Bóg błogosławi i trzymaj tego drania, bo już niedługo będziemy go mieli.

- Davy - przemówił do chłopca Roger. - Nie chciałbyś, żebym go wziął?

David potrząsnął głową.

- Teraz to nie byłaby wsiadka - mówił Roger. - Po prostu coś sensownego. Mógłbym go wziąć ja albo twój ojciec.

- Czy robię coś niedobrze? - zapytał David z goryczą.

- Nie. Robisz to doskonale.

- To dlaczego miałbym go oddać?

- On ci daje straszliwą szkołę, Davy - mówił Roger. - Nie chcę, żeby ci zrobił krzywdę.

- To on ma hak w swoim cholernym pysku - powiedział David przerywanym głosem.

- Nie on mi daje szkołę. Ja jemu daję szkołę. Drań jeden.

- Mów, co tylko chcesz - powiedział Roger.

- Przeklęty drań. Parszywy drań.

- On płacze - powiedział Andrew, który wszedł na górę i stał z młodym Tomem i ojcem. - Mówi tak, żeby się z tego otrząsnąć.

- Zamknij się, koniarzu - rzekł młody Tom.

- Wszystko mi jedno, niech mnie drań zabije - mówił David. - O psiakrew. Ja go nie nienawidzę. Uwielbiam go.

- Teraz ty się zamknij - powiedział mu Eddy. - Oszczędzaj dech.

Spojrzał na Rogera, a Roger wzruszył ramionami na znak, że nie wie, co myśleć.

- Jeżeli będę widział, że tak się podkręcasz, to ci go odbiorę - rzekł Eddy.

- Ja jestem zawsze podkręcony - odparł David. - Tylko nikt tego nie wie, bo nic nie mówię. Teraz mi wcale nie gorzej. Tylko tak gadam.

- Więc się zamknij i zachowaj spokój - powiedział Eddy. - Jak będziesz spokojny i opanowany, nie puścimy go nigdy.

- Utrzymam go - odrzekł David. - Żałuję, że tak go nawazywałem. Nie chcę nic mówić przeciwko niemu. Uważam, że jest najwspanialszy na świecie.

- Andy, daj mi tę butelkę spirytusu - powiedział Eddy. - Rozluźnię mu ręce, ramiona i nogi - wyjaśnił Rogerowi. - Nie chcę więcej używać tej lodowatej wody, bo się boję, żeby nie dostał kurczów.

Zajrzał do kabiny i powiedział:

- Równo pięć i pół, panie Rogerze. - Obrócił się do Davida. - Nie czujesz się zanadto rozgrzany, co, Davy?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Tego prostopadłego słońca w południe najbardziej się obawiałem - powiedział Eddy. - Teraz już nic ci nie będzie, Davy. Tylko spokojnie i bij to rybsko. Musimy je pobić przed zmrokiem.

David kiwnął głową.

- Papo, widziałeś kiedy, żeby ryba tak walczyła? - zapytał młody Tom.

- Owszem - odrzekł Thomas Hudson.

- Dużo razy?

- Nie wiem, Tommy. W tym prądzie są różne straszne ryby. A są też wielkie, olbrzymie, które łatwo złapać.

- Czemu niektóre są łatwiejsze?

- Pewnie dlatego, że robią się stare i tłuste. Niektóre są chyba dość stare, żeby już zdechnąć. No i oczywiście niektóre największe wykańczają się tymi skokami.

Od dawna nie było nigdzie widać łodzi, robiło się późne popołudnie i znajdowali się daleko na morzu, pomiędzy wyspą a wielką latarnią Izaaka.

- Spróbuj jeszcze raz, Davy - powiedział Roger.

Chłopiec napiął grzbiet, pociągnął zaparłszy się stopami i wędka, zamiast stawić opór, podniosła się z wolna.

- Już ci podchodzi - rzekł Roger. - Nawiń tę linkę i spróbuj jeszcze raz.

Chłopiec pociągnął i znowu odzyskał linkę.

- Idzie do góry - powiedział Roger Davidowi. - Ciągnij go równo i dobrze.

David zabrał się do roboty jak maszyna albo bardzo zmęczony chłopiec pracujący jak maszyna.

- Teraz przysłała pora - powiedział Roger. - Naprawdę wypływa. Daj odrobinę naprzód, Tom. Trzeba go wziąć z prawej burty, jeżeli się uda.

- Odrobina naprzód - powiedział Thomas Hudson.

- Rób wedle własnego rozeznania - rzekł Roger. - Trzeba podciągnąć go powoli, tak, żeby Eddy mógł go chwycić osęką i żeby założyć mu pętlę. Ja zajmę się przyponem. Tommy, chodź tutaj przytrzymać krzesło i uważaj, żeby linka nie zaplątała się na wędzisku, kiedy złapię przypon. Przez cały czas pilnuj linki, gdybym musiał go puścić. Andy, ty pomóż Eddy'emu, jakby o coś prosił, i podaj mu pętlę i pałkę, kiedy zażąda.

Ryba wciąż podchodziła do góry, a David nie przerywał rytmu pociągania.

- Tom, lepiej zejść do dolnego koła! - zawołał Roger.

- Właśnie miałem zejść - odpowiedział mu Thomas Hudson.

- Przepraszam. Davy, pamiętaj, gdyby uciekał i musiałbym go puścić, trzymaj wędkę do góry i uważaj, żeby się nic nie splątało. Poluzuj, jak tylko złapię przypon.

- Nawijaj równo - powiedział Eddy. - Uważaj, żeby ci się nie zacięło.

Thomas Hudson opuścił się z pomostu do kokpitu i stanął przy znajdującym się tam kole sterowym. Tutaj nie było tak łatwo zaglądać w wodę jak z pomostu, ale dogodniej w razie jakiegoś niebezpieczeństwa i łatwiej się porozumiewać. "Dziwnie jest znaleźć się na tym samym poziomie, kiedy obserwowano się wydarzenia z góry przez tyle godzin" - pomyślał. Przypominało to zejście z łoży na scenę lub stanie przy samym ringu czy barierze na torze wyścigowym. Wszyscy wydawali się więksi i bliżsi, byli wyżsi i nie skróceni.

Widział pokaleczone dłonie Davida i jakby polakierowane, okrwawione stopy, widział na plecach pręgi od pasów i niemal beznadziejny wyraz jego twarzy, kiedy obracał głowę przy końcu pociągnięcia. Zerknął do kabiny; na mosiężnym zegarze była za dziesięć szósta. Morze wyglądało teraz inaczej, kiedy był tak blisko niego i patrzył na nie z cienia i zza wygiętej wędki Davida; biała linka biegła skosem w ciemną wodę, a wędzisko opuszczało się i podnosiło równomiernie. Eddy klęczał na rufie z osęką w pokrytych plamami od słońca, piegowatych rękach i spoglądał w dół, w niemal fioletową wodę, usiłując wypatrzeć rybę. Thomas Hudson zauważył węzły linki wokoło drzewca osęki i linę uwiązaną do pala na rufie, a potem znów spojrzął na plecy Davida, jego rozstawione nogi i długie ręce trzymające wędkę.

- Widzisz go, Eddy? - zapytał Roger, który przytrzymał krzesło.

- Jeszcze nie. Trzymaj go, Davy, równo i mocno.

David wciąż podnosił, opuszczał i nawijał; kołowrotek był teraz ciężki od linki, której kawał przybywał za każdym obrotem.

Raz ryba zatrzymała się na moment i wędzisko wygięło się ku wodzie, a linka zaczęła wylatywać.

- Nie, to niemożliwe - powiedział David.

- Możliwe - odparł Eddy. - Nigdy nie wiadomo.

Ale David pociągnął z wolna, zmagając się z ciężarem, i po pierwszym powolnym pociągnięciu linka zaczęła znowu nawijać się tak samo łatwo i równo jak przedtem.

- Zatrzymał się tylko na minutę - rzekł Eddy. Zsunąwszy swój stary filcowy kapelusz na tył głowy wpatrywał się w przezroczystą, ciemnofioletową wodę.

- Jest - powiedział.

Thomas Hudson szybko się cofnął od koła, aby wyrzeć za rufę. Widać było rybę głęboko za statkiem; wydawała się malutka i skrócona, ale przez tę chwilę, gdy na nią patrzył, wciąż rosła. Nie było to takie szybkie, jak kiedy rośnie nadlatujący ku nam samolot, ale równie nieprzerwane.

Thomas Hudson położył dłoń na ramieniu Davida, po czym wrócił do koła sterowego. Wtedy usłyszał, jak Andrew mówi: - O, patrz na niego - i tym razem zobaczył marlina głęboko w wodzie i dobrze za rufą, brunatnego i już znacznie dłuższego i potężniejszego.

- Trzymaj tak jak teraz - powiedział Roger nie oglądając się, a Thomas Hudson odrzekł:

- Tak jak teraz.

- O Boże, patrzcie - powiedział młody Tom.

Teraz był naprawdę ogromny, większy od wszystkich marlinów, jakie Thomas Hudson widział kiedykolwiek. Na całej swej wielkiej długości był błękitnofioletkowy, już nie brunatny, i płynął wolno i równo w tym samym kierunku co kuter, za jego rufą i po prawej ręce Davida.

- Przyciągaj go cały czas Davy - rzekł Roger. - Podchodzi akurat jak trzeba.

- Odrobinę naprzód - powiedział Roger obserwując rybę.

- Odrobinę naprzód - powtórzył Thomas Hudson.

- Nawijaj dalej - powiedział Eddy Davidowi. Thomas Hudson widział już krętlik przyponu nad wodą.

- Naprzód jeszcze trochę - powiedział Roger.

- Idę naprzód jeszcze trochę - powtórzył Thomas Hudson. Śledził rybę i naprowadzał rufę na kurs, którym płynęła. Widział już całą jej ogromną fioletową długość,

wielki, szeroki miecz z przodu, krającą wodę płetwą osadzoną na rozłożystym grzbiecie oraz potężny ogon, który napędzał rybę prawie się nie poruszając.

- Jeszcze odrobinę naprzód - rzekł Roger.

- Odrobinę naprzód.

David miał już przypon w zasięgu ręki.

- Gotowy jesteś, Eddy? - zapytał Roger.

- Jasne.

- Obserwuj go, Tom - powiedział Roger, wychylił się i schwycił kabel przyponu. - Poluzuj napięcie - rzekł do Davida i zaczął z wolna podnosić rybę, przytrzymując i podciągając ciężki kabel, żeby ją doprowadzić w zasięg osęki.

Ryba wypływała, długa i szeroka jak wielki pień drzewa w wodzie. David śledził ją zerkając na czubek wędziska, by się upewnić, czy linka się nie oplątała. Po raz pierwszy od sześciu godzin nie miał naprężonych pleców, ramion i nóg i Thomas Hudson widział, że mięśnie nóg drgają mu i dygoczą. Eddy wychylił się z osęką za burtę, a Roger podciągał rybę wolno i równo.

- Będzie miał przeszło tysiąc - powiedział Eddy. A potem bardzo spokojnie: - Panie Rogerze, hak trzyma się tylko na włosku.

- Możesz go dosięgnąć? - zapytał Roger.

- Jeszcze nie - odparł Eddy. - Niech pan go ciągnie pomału, pomału.

Roger podciągał kabel, a wielka ryba zbliżała się wciąż do statku.

- Przerzynał mu się - rzekł Eddy. - Trzyma się na niczym.

- Teraz możesz dosięgnąć? - zapytał Roger. Jego ton się nie zmienił.

- Jeszcze nie całkiem - odrzekł Eddy równie spokojnie. Roger podciągał tak delikatnie i miękko, jak mógł. A potem nagle wyprostował się, już bez żadnego napięcia, trzymając oburącz luźny przypon.

- Nie. Nie. Boże, błagam, nie - odezwał się młody Tom.

Eddy dźgnął osęką w wodę, po czym wyskoczył za burtę, aby spróbować wbić ją w rybę, jeżeli mu się uda jej dosięgnąć.

Nie zdało się to na nic. Olbrzymia ryba zawisła w wodnej głębinie, gdzie była niby ogromny ciemnofioletowy ptak, po czym zaczęła z wolna osuwać się w dół. Wszyscy patrzyli, jak opada, coraz mniejsza i mniejsza, aż wreszcie znikła im z oczu.

Kapelusz Eddy'ego unosił się na spokojnej wodzie, on sam zaś trzymał się drzewca osęki. Osęka była na lince uwiązanej do słupka na rufie. Roger objął Davida i Thomas Hudson widział, że ramiona chłopca drgają. Jednakże pozostawił go Rogerowi.

- Wyłóż drabinkę, żeby Eddy mógł wejść na pokład - powiedział do młodego Toma. - Andy, weź wędkę Davy'ego. Zdejmij hak.

Roger dźwignął chłopca z krzesła, zaniósł go na koję przy prawej burcie kokpitu i ułożył na niej. Objął ramionami Davida, który leżał płasko na koi, twarzą do dołu.

Eddy wdrapał się na pokład, przemoczony i ociekający wodą, i zaczął się rozbierać. Andrew wyłowił osęką jego kapelusz, a Thomas Hudson zszedł na dół, żeby przynieść Eddy'emu koszulę i drelichowe spodnie oraz koszulkę i szorty dla Davida. Z zaskoczeniem stwierdził, że nie czuje nic oprócz litości i miłości dla Davida. Wszystkie inne uczucia odpłynęły z niego podczas walki.

Kiedy podszedł, David leżał nagi, twarzą do dołu na koi, a Roger nacierał go spirytusem.

- Bolał mnie ramiona i siedzenie - powiedział David. - Ostrożnie, bardzo proszę, panie Rogerze.

- Masz tam obtarcia - powiedział Eddy. - Ojciec nasmaruje ci ręce i stopy merkurochromem. To nie będzie bolało.

- Włóż tę koszulkę, Davy, bo zziębnieś - powiedział Thomas Hudson. - Tom, przynieś mu jakiś najlżejszy koc.

Thomas Hudson nasmarował merkurochromem te miejsca, gdzie pasy obtarły chłopcu plecy, i pomógł mu włożyć koszulkę.

- Nic mi nie jest - powiedział David bezbarwnym głosem. - Mógłbym się napić Coca-Coli, papo?

- Oczywiście - odrzekł Thomas Hudson. - Eddy zaraz ci przyniesie trochę zupy.

- Nie jestem głodny - powiedział David. - Jeszcze nie mógłbym jeść.

- Zaczekamy chwilę - odrzekł Thomas Hudson.

- Wiem, co czujesz, Dave - powiedział Andrew, kiedy przyniósł Coca-Colę.

- Nikt nie wie, co czuję - odparł David.

Thomas Hudson podał najstarszemu synowi kurs według kompasu, żeby posterował z powrotem na wyspę.

- Zsynchronizuj motory na trzysta, Tommy - powiedział. - Zobaczymy latarnię, jak się ściemni, a wtedy podam ci poprawkę.

- Sprawdzaj mnie co jakiś czas, dobrze, papo? Czy też się czujesz tak okropnie jak ja?

- Nie ma na to żadnej rady.

- Eddy naprawdę próbował - rzekł młody Tom. - Nie każdy skoczyłby do tego oceanu za rybą.

- Prawie mu się udało - powiedział ojciec. - Mogłoby być paskudnie, gdyby był w wodzie z osęką wbitą w tę rybę.

- Eddy by się wydostał - odparł młody Tom. - Czy dobrze zsynchronizowane?

- Przysłuchaj się - odpowiedział mu ojciec. - Nie wystarczy patrzeć na tachometry.

Thomas Hudson podszedł do koi i usiadł przy Davidzie. Chłopiec był owinięty lekkim kocem, a Eddy opatrywał mu rękę, Roger zaś stopy.

- Cześć, papo - powiedział i spojrzał na Thomasa Hudsona, po czym odwrócił wzrok.

- Strasznie mi przykro, Davy - rzekł ojciec. - Walczyłeś z nim tak dobrze, że nikt nie umiałby lepiej, Roger czy ktokolwiek inny.

- Bardzo dziękuję, papo. Proszę cię, nie mów o tym.

- Czy mogę ci coś przynieść?

- Chciałbym jeszcze jedną Colę - powiedział David.

Thomas Hudson znalazł butelkę zimnej Coca-Coli na lodzie w skrzynce do przynęt i otworzył ją. Usiadł przy Davidzie, a chłopiec pił trzymając butelkę tą ręką, którą Eddy opatrywał.

- Zaraz będę miał gotową zupę. Już się podgrzewa - powiedział Eddy. - Zagrać trochę chile, panie Tom? Mamy sałatkę z mięczaków.

- Zagrzejmy chile - odrzekł Thomas Hudson. - Nic nie jedliśmy od śniadania. Roger przez cały dzień nic nie pił.

- Przed chwilą wypilem butelkę piwa - odparł Roger.

- Eddy - odezwał się David. - Ile on by naprawdę ważył?

- Tysiąc z górą - odrzekł Eddy.

- Bardzo ci dziękuję, żeś skoczył za burtę - powiedział David. - Bardzo dziękuję, Eddy.

- Cholera - powiedział Eddy. - Co można było zrobić innego?

- Naprawdę ważyłby tysiąc, papo? - zapytał David.

- Jestem tego pewny - odrzekł Thomas Hudson. - Nigdy w życiu nie widziałem większej ryby, czy to miecznika, czy marlina.

Słońce się zniżyło, a kuter sunął po gładkim morzu tętniąc silnikami, prac szybko po tych samych wodach, po których płynęli tak powoli przez wszystkie te godziny.

Andrew też usiadł na krawędzi szerokiej koi.

- Cześć, koniarzu - powiedział David do niego.

- Gdybyś go złapał - rzekł Andrew - byłbyś chyba najślawniejszym chłopcem na świecie.

- Nie chcę być sławny - odparł David. - Ty możesz sobie być sławny.

- Bylibyśmy sławni jako twoi bracia - powiedział Andrew. - Mówię serio.

- Ja byłbym sławny jako twój przyjaciel - dodał Roger.

- A ja, bo sterowałem - rzekł Thomas Hudson. - I Eddy, bo go uderzył osęką.

- Eddy powinien być sławny tak czy owak - powiedział Andrew. - Tommy byłby sławny, bo przyniósł tyle drinków. Dostarczał ich przez całą tę straszną bitwę.

- A co z rybą? Czy nie byłaby sławna? - zapytał David. Teraz już czuł się dobrze. Albo przynajmniej dobrze mówił.

- Byłaby najślawniejsza ze wszystkich - powiedział Andrew. - Byłaby nieśmiertelna.

- Mam nadzieję, że nic jej się nie stało - rzekł David. - Mam nadzieję, że nic jej nie jest.

- Na pewno - powiedział Roger. - Po tym, jak tkwił hak i jak walczyła, wiem, że nic jej się nie stało.

- Kiedyś wam opowiem, jak to było - rzekł David.

- Opowiedz teraz - nalegał Andy.

- Teraz jestem zmęczony, a poza tym to brzmiałoby głupio.

- Opowiedz teraz. Chociaż troszeczkę - poprosił Andy.

- Nie wiem, czy powinienem. Powiedzieć, papo?

- Mów - odrzekł Thomas Hudson.

- Ano - powiedział David z zaciśniętymi oczyma - w najgorszych chwilach, kiedy byłem najbardziej zmęczony, nie mogłem rozeznaczyć, który jest nim, a który mną.

- Rozumiem - powiedział Roger.

- A potem zacząłem go kochać nad wszystko w świecie.

- Jak to, naprawdę kochać? - zapytał Andrew.

- Aha. Naprawdę kochać.

- O rany - powiedział Andrew. - Tego już nie rozumiem.

- Kiedy zobaczyłem, jak wypływa, kochałem go tak bardzo, że nie mogłem tego wytrzymać - mówił David, wciąż z zamkniętymi oczami. - Chciałem tylko jednego: zobaczyć go bardziej z bliska.

- Wiem - rzekł Roger.

- Teraz mnie głównie obchodzi, że go straciłem - powiedział David. - Nie dbam o rekordy. Tylko mi się tak zdawało. Cieszę się, że nic mu nie jest i że mnie nic się nie stało. Nie jesteśmy wrogami.

- Cieszę się, że nam to powiedziałeś - rzekł Thomas Hudson.

- Bardzo dziękuję, panie Rogerze, za to, co pan powiedział, kiedy go zgubiłem - rzekł David wciąż z zamkniętymi oczami.

Thomas Hudson nie dowiedział się nigdy, co mówił mu Roger.

X

Tego wieczora, wśród ciężkiej ciszy przed zerwaniem się wiatru, Thomas Hudson siedział w swoim fotelu i usiłował czytać. Wszyscy już byli w łózkach, ale wiedział, że nie będzie mógł zasnąć, i zamierzał poczytać, aż zachce mu się spać. Jednakże nie mógł czytać i rozmyślał o tym dniu. Rozmyślał o nim od początku do końca i wydawało mu się, że wszystkie jego dzieci prócz Toma bardzo się oddaliły od niego albo też on oddalił się od nich.

David zbliżył się do Rogera. Thomas Hudson pragnął, żeby wziął wszystko, co można, od Rogera, który był równie piękny i rozsądny w działaniu, jak niepiękny i nierozsądny w swym życiu i pracy. David zawsze był dla ojca tajemnicą. Był bardzo kochaną tajemnicą. Natomiast Roger rozumiał go lepiej niż własny ojciec. Thomas Hudson był rad, że rozumieją się tak dobrze, ale tego wieczora czuł się przez to jakoś samotny.

Poza tym nie podobał mu się sposób zachowania Andrewa, choć wiedział, że Andrew to Andrew i mały chłopiec i że byłoby niesprawiedliwie go osądzać. Nie zrobił nic złego i właściwie zachowywał się całkiem dobrze. Ale było w nim coś, co nie budziło zaufania.

“Jakież to nędzny, samolubny sposób myślenia o tych, których się kocha - pomyślał. - Czemu nie wspominasz tego dnia zamiast go analizować i rozrywać na kawałki? Połóż się teraz do łóżka - powiedział sobie - i zmusz się, żeby zasnąć. Do diabła ze wszystkim innym. A rano podejmij rytm swojego życia. Chłopców masz już nie na długo. Postaraj się, żeby spędzili ten czas jak najszczęśliwiej. Próbowałem - powiedział do siebie. - Próbowałem naprawdę, i dla Rogera także. I sam byłeś szczęśliwy - mówił do siebie. - Tak, oczywiście. Ale coś mnie w dzisiejszym dniu przestraszyło.” A potem powiedział do siebie: “Właściwie w każdym dniu jest coś, co cię przestrasza. Połóż się, a może będziesz spał dobrze. Pamiętaj, że chcesz, aby jutro byli zadowoleni.”

W nocy przyszedł silny wiatr południowo-zachodni, a o świcie dał z siłą nieomal sztormu. Wyginał palmy, okiennice trzaskały, papiery fruwały, a na plaży piętrzył się przybój.

Rogera już nie było, gdy Thomas Hudson zszedł zjeść śniadanie. Chłopcy jeszcze spali, więc przeczytał korespondencję, która przyszła z lądu na statku przywożącym raz w tygodniu lód, mięso, świeże warzywa, benzynę i inne zapasy. Wiało tak silnie, że stawiał na liście filiżankę do kawy, by go przycisnąć, kiedy go kładł na stole.

- Chce pan, żebym pozamykał drzwi - zapytał Joseph.

- Nie. Tylko jakby coś zaczęło się tłuc.

- Pan Roger poszedł przejść się po plaży - powiedział Joseph. - Szedł w stronę końca wyspy.

Thomas Hudson dalej czytał korespondencję.

- Tu jest gazeta - rzekł Joseph. - Rozprasowałem ją.

- Dziękuję.

- Panie Tom, czy to prawda z tą rybą? To, co mi mówił Eddy?

- A co mówił?

- Jaka była wielka i że już ją miał pod osęką.

- Prawda.

- Boże wszechmocny. Gdyby nie przyszedł ten statek i gdybym nie musiał zostać, żeby nosić lód i zapasy, byłbym z wami. Znurkowałbym za nim i złapał go osęką.

- Eddy znurkował - powiedział Thomas Hudson.

- Nic mi nie mówił - rzekł stropiony Joseph.

- Poproszę jeszcze kawę i drugi kawałek papawy - powiedział Thomas Hudson. Był głodny, a wiatr zaostrzał mu jeszcze bardziej apetyt. - Czy statek nie przywiózł bekonu?

- Chyba coś się znajdzie - odparł Joseph. - Dobrze pan dzisiaj je.

- Poproś Eddy'ego, żeby tu przyszedł.

- Eddy poszedł do domu opatrzeć sobie oko.

- A co się stało? - Ktoś władował mu pięść w oko.

Thomasowi Hudsonowi wydało się, że wie, dlaczego to mogło się zdarzyć.

- Ma jeszcze jakieś inne obrażenia?

- Jest dość paskudnie pobity - odrzekł Joseph. - Na to konto, że ludzie mu nie wierzyli w różnych barach. Nigdy nie uwierzą w to, co opowiada. A naprawdę szkoda.

- Gdzież się bił?

- Wszędzie. Wszędzie tam, gdzie mu nie chcieli uwierzyć. Do tej pory nikt mu nie wierzy. Późno w nocy nie chcieli mu uwierzyć tacy, co nawet nie wiedzieli, o co chodzi, po prostu żeby go zmusić do bójki. Musiał się bić ze wszystkimi zabijakami na wyspie. Dzisiaj wieczorem, jak dwa, a dwa cztery, zjadą się ludzie z Middle Key tylko po to, żeby wątpić o jego słowie. Teraz na Middle Key jest kilku naprawdę paskudnych awanturników na tej budowie.

- Lepiej, żeby z nim poszedł pan Roger - powiedział Thomas Hudson.

- O rany. - Josephowi rozjaśniła się twarz. - To dziś wieczorem będzie zabawa.

Thomas Hudson wypił kawę i zjadł zimną papawę pokropioną sokiem świeżej limony oraz jeszcze cztery plasterki bekonu, które mu przyniósł Joseph.

- Widzę, że pan ma melodię do jedzenia - powiedział Joseph. - A jak to widzę, mam ochotę to wykorzystać.

- Jem bardzo dużo.

- Czasami - powiedział Joseph.

Wrócił z następną filiżanką kawy i Thomas Hudson zaniósł ją sobie na biurko, żeby odpisać na dwa listy, bo musiał wysłać odpowiedź statkiem pocztowym.

- Pójdź do domu Eddy'ego i każ mu zrobić listę rzeczy, które musimy sprowadzić statkiem - powiedział Josephowi. - A potem przynieś mi do sprawdzenia. Jest kawa dla pana Rogera?

- Już pił - odrzekł Joseph.

Thomas Hudson skończył obydwie listy przy biurku na górze, a Eddy zjawiał się z listą zamówień na następny tydzień. Eddy wyglądał dość paskudnie. Oko nie zareagowało na opatrunek, a usta i policzki miał opuchnięte. Spuchnięte było też jedno ucho. Nasmarował sobie usta merkurochromem, tam gdzie je miał przecięte, i jaskrawy kolor nadawał mu bardzo nietragiczny wygląd.

- Nie działałem nic dobrego wczoraj wieczorem - powiedział. - Chyba wszystko tu jest spisane.

- Może byś wziął sobie wolny dzień, poszedł do domu i odsapnął?

- W domu czuję się jeszcze gorzej. Dzisiaj położę się wcześniej.

- Nie wdawaj się więcej w bójki z tego powodu - powiedział Thomas Hudson. - To nic nie daje.

- Mówi pan do właściwego człowieka - powiedział Eddy poprzez szkarłat swoich rozciętych i napuchniętych warg. - Czekałem, żeby prawda i słuszność zwyciężyła, a tu ktoś coraz to obalał prawdę i słuszność na tyłek.

- Joseph mówił, że było tego dużo.

- Póki ktoś mnie nie odwiózł do domu - odrzekł Eddy. - Zdaje się, Wielkoduszny Benny. On i konstabl pewnie uratowali mnie od uszkodzenia.

- To nie jesteś uszkodzony?

- Szkodzili mi, ale nie uszkodzili. Psiakrew, żałuję, że pana tam nie było.

- Cieszę się, że mnie nie było. Czy ktoś próbował ci zrobić coś naprawdę złego?

- Chyba nie. Tylko udowadniali mi, że się mylę. Konstabl mi uwierzył.

- Naprawdę?

- Tak jest. On i Bobby. Jedyni, co mi wierzyli. Konstabl powiedział, że zamknie każdego, kto mnie pierwszy uderzył. Dziś rano pytał, czy któryś uderzył mnie pierwszy. Powiedziałem, że tak, ale że ja pierwszy na nich naskoczyłem. To była niedobra noc dla prawdy i słuszności, panie Tom. Bardzo niedobra.

- Naprawdę chcesz gotować obiad?

- Czemu nie? Przywieźli nam statkiem befsztyki. Prawdziwe polędwicowe befsztyki. Warto, żeby pan obejrzał. Pomyślałem, że zrobię je z tłuczonymi kartoflami, sosem i fasolą. Jako dodatek mamy zieloną sałatę i świeże grejpfruty. Chłopcy chętnie zjedliby placka, a z tymi jeżynami w puszkach można zrobić pierwszorzędny placek. Na wierzch da się lody, które przysły statkiem. Co pan na to? Muszę nakarmić tego cholernego Davida.

- Coś ty miał zamiar zrobić, kiedy znurkowałeś z osęką?

- Chciałem wbić hak pod płetwę, tam, gdzie by go zabiło, jakby naciągnął linę, a potem wiać z powrotem na pokład.

- Jak on wyglądał pod wodą?

- Szeroki jak łódź. Cały fiołkowy, a ślepie takie wielkie jak cała pańska ręka. Były czarne, on srebrny od spodu, a na ten jego miecz strach było patrzeć. Wciąż schodził w dół, osiadał powoli i nie mogłem się do niego dostać, bo to duże drzewce osęki nie chciało się zanurzyć. Nie mogłem się z nim opuścić głębiej. Więc nic z tego nie wyszło.

- Patrzył na ciebie?

- Nie mogłem rozeznaczyć. Wyglądało na to, że po prostu tam jest i nic go nie obchodzi.

- Myślisz, że był zmęczony?

- Chyba był wykończony. Myślę, że postanowił dać za wygraną.

- Nigdy więcej nie zobaczymy czegoś podobnego.

- Nie. Do końca życia. I teraz już na tyle zmądrzałem, że nie będę próbował zmuszać ludzi, aby w to uwierzyli.

- Namaluję z tego obraz dla Davida.

- Niech pan to pokaże dokładnie tak, jak było. Niech pan tego nie robi na komicznie, tak jak te niektóre komiczne rzeczy, co pan maluje.

- Namaluję to wierniej od fotografii.

- Właśnie lubię jak pan tak maluje.

- Będzie strasznie trudno namalować to, co się działo pod wodą.

- Czy to będzie takie jak ta trąba wodna u Bobby'ego?

- Nie, inne, ale mam nadzieję, że lepsze. Dziś porobię do tego szkice.

- Mnie się podoba ten obraz z trąbą wodną - powiedział Eddy. - Bobby za nim przepada i potrafi wmówić każdemu, kto go ogląda, że wtedy było tyle trąb powietrznych. Ale będzie cholernie trudno to namalować z rybą w wodzie.

- Myślę, że potrafię - powiedział Thomas Hudson.

- Nie mógłby pan jej też namalować wyskakującej?

- Chyba tak.

- Niech pan namaluje jedno i drugie. Wyskakującą rybę, a potem z panem Rogerem, jak ją wyciąga za przypon, i Davidem na krześle, i ze mną na rufie. Można z tego porobić fotografie.

- Zacznę te szkice.

- Jak by pan czegoś ode mnie chciał, to będę w kuchni - powiedział Eddy. - Chłopaki jeszcze śpią?

- Wszyscy trzej.

- Psiakrew - powiedział Eddy. - Po tej rybie niczym się już nie przejmuję. Ale musimy zjeść dobry obiad.

- Szkoda, że nie mam pijawki na to oko.

- Guzik mnie ono obchodzi. Widzę nim doskonale.

- Pozwolę chłopcom spać, jak długo będą mogli.

- Joe mi powie, jak wstaną, to im dam śniadanie. Jakby się obudzili późno, nie dam im za dużo, żeby nie zepsuć obiadu. Nie obejrzał pan tego mięsa, cośmy dostali?

- Nie.

- Jasne jak słońce, że kosztuje pieniądze, ale to piękne mięso, proszę pana. Nikt na tej wyspie nie jadł takiego mięsa przez całe życie. Ciekawe, jak wygląda bydło, które daje to mięso.

- Jest przysadkowate - odrzekł Thomas Hudson - i prawie tak samo szerokie, jak długie.

- O rany, ale musi być tłuste - powiedział Eddy. - Chciałbym je kiedy zobaczyć na żywo. Tutaj nikt nie szlachtuje krowy, dopóki już prawie nie zdycha z głodu. I mięso jest gorzkie. Tutejsi ludzie by powariowali, gdyby dostali takie mięso jak my. Nie wiedzieliby, co to takiego. Pewnie by się od niego pochorowali.

- Muszę skończyć te listy - powiedział Thomas Hudson.

- Przepraszam pana.

Kiedy skończył korespondencję, odpowiedział na dwa inne listy w sprawach zawodowych, które pierwotnie zamierzał odłożyć do przybycia statku w przyszłym tygodniu, sprawdził spis zamówień na następny tydzień i wypisał czek za otrzymane zapasy plus okrągłe dziesięć procent, które rząd pobierał za wszystkie dostawy z łądu stałego, a potem zszedł do statku, który załadowywano przy Nabrzeżu Rządowym. Kapitan przyjmował od mieszkańców wyspy zamówienia na zapasy, tkaniny, lekarstwa, artykuły żelazne, części zamienne i wszystkie rzeczy, które dostawiano na wyspę z łądu. Statek załadowywał żywe raki i małże oraz cały transport muszli i pustych bębnow po benzynie i oleju dieslowskim, a wyspiarze stali na gwałtownym wietrze czekając w kolejce do kabiny.

- Wszystko było w porządku, Tom? - zawołał przez iluminator kabiny kapitan Ralph do Thomasa Hudsona. - Ty, chłopak, wylaż stąd i przyjdź w swojej kolejności - powiedział do rosłego Murzyna w słomianym kapeluszu. - Kilka rzeczy musiałem zastąpić innymi. Jak mięso?

- Eddy mi mówił, że wspaniale.

- Dobra. Poproszę te listy i spis. Na morzu jest sztorm. Chcę przejść nad ławicą przy najbliższym przyplądzie. Przykro mi, że taki jestem zajęty.

- Zobaczymy się w przyszłym tygodniu, Ralph. Nie chcę cię zatrzymywać. Bardzo dziękuję, stary.

- Postaram się mieć wtedy wszystko. Potrzeba ci pieniędzy?

- Nie. Zostało mi jeszcze z zeszłego tygodnia.

- Mam dużo, jakbyś potrzebował. Okej. No, Lucius, a ty jakie masz kłopoty? Na co teraz wydajesz pieniądze?

Thomas Hudson zawrócił nabrzeżem ku miejscu, gdzie stali Murzyni naśmiewając się z tego, co wiatr wyprawiał z bawełnianymi spódnicami dziewczyn i kobiet, a potem ruszył koralową drogą do "Ponce de Leon".

- Wejdz, Tom, i siadaj - powiedział pan Bobby. - Jak Boga kocham, gdzie ty się podziewałeś? Przed chwilą tu zamietliśmy i teraz jest oficjalnie otwarte. Chodź wypić tego najlepszego w całym dniu.

- Trochę za wcześnie.

- Bzdura. Jest dobre importowane piwo. Mamy też porter "Psi Łeb". - Sięgnął do wiadra z lodem, otworzył butelkę Pilsnera i podał ją Thomasowi Hudsonowi. - Nie potrzeba ci szklanki, prawda? Chlapij to i namyśl się, czy chcesz drinka czy nie.

- Wtedy nie będę pracował.

- A kogo to obchodzi? I tak za dużo pracujesz. Masz wobec siebie obowiązki, Tom. To jest twoje jedno jedyne życie. Nie możesz w kółko malować przez cały czas.

- Wczoraj byliśmy na morzu i nie pracowałem.

Thomas Hudson patrzył na duże płótno przedstawiające trąby wodne, które wisiało na ścianie w głębi baru. "To dobry obraz - pomyślał. - Nie gorszy, niż mógłbym namalować dzisiaj."

- Muszę go wyżej powiesić - rzekł Bobby. - Jeden pan podkreślił się wczoraj wieczorem i próbował wsiąść do tej łodzi. Powiedziałem mu, że będzie go kosztowało dziesięć tysięcy dolarów, jeżeli wsadzi w nią nogę. Konstabl powiedział mu to samo. Konstabl ma pomysł do obrazu i chciałby, żebyś mu go namalował do zawieszenia w domu.

- A co takiego?

- Nie chciał powiedzieć. Tylko że ma jeden bardzo cenny pomysł, który zamierza z tobą przedyskutować.

Thomas Hudson uważnie popatrzał na płótno. Wykazywało pewne ślady uszkodzeń.

- Jak Boga kocham, ono jest wytrzymałe - powiedział Bobby z dumą. - Przedwczoraj jeden pan wrzasnął i cisnął pełnym kuflem piwa w jedną z tych trąb wodnych, żeby ją obalić. Nikt by nie poznał, że została trafiona. Nic się nie wgniotło. Piwo spłynęło po niej jak woda. Nie ma dwóch zdań, że namalowałeś to solidnie, Tom, jak mi Bóg miły.

- Ale obraz nie wszystko wytrzyma.

- Jak Boga kocham, jeszcze nie widział, żeby go coś naruszyło. Mimo to zawieszę go wyżej. Ten pan wczoraj mnie zaniepokoił.

Podał Thomasowi Hudsonowi następną butelkę lodowatego Pilsnera.

- Tom, chcę ci powiedzieć, jak mi przykro z powodu tej ryby. Znam Eddy'ego od dzieciaka i nigdy nie słyszał, żeby kłamał. To znaczy w czymś ważnym. Jeżeli się go poprosiło, żeby powiedział prawdę.

- To była cholerna sprawa. Nie będę o tym nikomu opowiadał.

- I słusznie - rzekł Bobby. - Chciałem tylko, żebyś wiedział, jak mi przykro. Może byś dokończył tego piwa i wziął się do drinka? Nie trzeba zaczynać się smucić o takiej wczesnej porze. Co by ci dobrze zrobiło?

- Czuję się całkiem dobrze. Dziś po południu będę pracował i nie chcę być ociężały.

- Ach, jak nie mogę złamać ciebie, to może tu przyjdzie ktoś, kto da się namówić. Popatrz na ten cholerny jacht. Musiał dostać szkołę płynąc przy takim płytkim zanurzeniu.

Thomas Hudson spojrział przez otwarte drzwi i zobaczył ładny biały statek typu kajutowego nadpływający kanałem. Był to jeden z takich, jakie się wynajmuje w portach kontynentu, aby przepłynąć się między florydzkimi wysepkami, i w taki spokojny i cichy dzień jak wczoraj mógłby przejść przez Golfsztrom bez trudności. Natomiast dzisiaj musiał dostać szkołę przy swoim płytkim zanurzeniu i takiej dużej nadbudówce. Thomas Hudson zdziwił się, że zdołał przepłynąć nad ławicą przy takiej fali.

Statek wszedł nieco dalej do przystani, by rzucić kotwicę, i Thomas Hudson z Bobbym obserwowali go z drzwi, całego z bieli i mosiądzu, i wszystkich widocznych na nim, ubranych na biało ludzi.

- Klienci - powiedział pan Bobby. - Mam nadzieję, że jacyś przyzwoici ludzie. Nie było u nas porządnego jachtu, odkąd skończył się ciąg tuńczyków.

- Co to za jeden?

- Nigdy go nie widziałem. Ale ładny statek. Tylko z pewnością nie zbudowany na Golfsztrom.

- Pewnie wypłynął o północy, kiedy było spokojnie, i to go złapało po drodze.

- Chyba tak - powiedział Bobby. - Musiała być niezła huśtawka i łomot. Bo dmie nie na żarty. No, niedługo zobaczymy, co to za jedni. Tom, coś ci zrobię, chłopcze. Denerwuje mnie, że nie pijesz.

- No dobrze. Niech będzie dzin i tonik.

- Toniku nie ma. Joe zabrał do domu ostatnią skrzynkę.

- To whisky sour.

- Z irlandzkiej whisky i bez cukru - rzekł Bobby. - Trzy takie. Idzie Roger.

Thomas Hudson zobaczył go przez otwarte drzwi.

Roger wszedł. Był boso, miał na sobie spłowiałe drelichowe spodnie i starą pasiastą koszulę rybacką, która skurczyła się od prania. Kiedy się pochylał w przód i oparł łokciami o bar, widać było pod nią grające mięśnie pleców. W półmroku lokalu Bobby'ego jego skóra była bardzo ciemna, a włosy pojaśniałe od soli i słońca.

- Jeszcze śpią - powiedział do Thomasa Hudsona. - Ktoś pobił Eddy'ego. Widziałeś?

- Naparzał się przez całą noc - rzekł Bobby. - Ale to nie było nic wielkiego.

- Nie lubię, jak coś się dzieje Eddy'emu - powiedział Roger.

- Nie było nic strasznego - zapewnił go Bobby. - Popijał i napażał się z tymi, co nie chcieli mu wierzyć. Nikt mu nic złego nie zrobił.

- Żał mi Davida - powiedział Roger do Thomasa Hudsona. - Nie powinniśmy mu byli na to pozwolić.

- Chyba już wszystko w porządku - odrzekł Thomas Hudson. - Spał dobrze. Ale to moja wina. Ja powinienem był to przerwać.

- Nie. Zaufałeś mnie.

- Odpowiedzialny jest ojciec - powiedział Thomas Hudson. - A ja to przerzuciłem na ciebie, kiedy nie miałem prawa. Takiej rzeczy się nie przekazuje.

- Ale ja to przyjąłem - odparł Roger. - Nie uważałem, żeby mu to mogło zaszkodzić. Ani Eddy.

- Wiem - powiedział Thomas Hudson. - Ja także nie. - Uważałem, że tu idzie o coś innego.

- Ja to samo - powiedział Roger. - Ale teraz czuję się samolubny i winny jak cholera.

- Ja jestem jego ojcem - rzekł Thomas Hudson. - To była moja wina.

- Diabelnie paskudna sprawa z tą rybą - odezwał się Bobby podając im whisky sour i sobie też biorąc szklanke. - Wypijmy za jeszcze większą.

- Nie - odparł Roger. - Nie chciałbym nigdy zobaczyć większej.

- Co ci jest, Roger? - zapytał Bobby.

- Nic.

- Namaluję Davidowi kilka obrazów z tą rybą.

- To świetnie. Myślisz, że uda ci się to pokazać?

- Może, jeżeli mi się poszczęści. Widzę to i chyba potrafię zrobić.

- Potrafisz doskonale. Potrafisz zrobić wszystko. Ciekawe, kto jest na tym jachcie.

- Słuchaj, Roger, oprowadzałeś swoje wyrzuty sumienia po całej wyspie...

- Na bosaka.

- A ja tylko przyniosłem swoje tutaj zajrzawszy po drodze na statek kapitana Ralpa.

- Nie mogłem pozbyć się swoich, a z pewnością nie będę próbował ich zapić - powiedział Roger. - Ale to jednak ogromnie przyjemny napój, Bobby.

- Tak jest - odrzekł Bobby. - Zrobię ci jeszcze jednego. Popędź te swoje wyrzuty sumienia.

- Nie miałem prawa ryzykować z dzieciakiem - powiedział Roger. - Synem kogoś innego.

- To zależy po co ryzykowałeś.

- Nie, nie zależy. Nie powinno się ryzykować z dziećmiakami.

- Wiem. Wiem, dlaczego ja ryzykowałem. I tu nie chodziło o rybę.

- Jasne - powiedział Roger. - Ale akurat temu chłopcu nie musiało się tego robić. Nie trzeba było dopuścić, żeby się to zdarzyło właśnie jemu.

- Będzie w porządku, jak się obudzi. Zobaczycie. To bardzo twardy chłopak.

- Jest moim cholernym bohaterem - powiedział Roger.

- To bez porównania lepiej, niż jak sam byłeś swoim własnym cholernym bohaterem.

- Prawda? - powiedział Roger. - Ale jest także twoim.

- Wiem o tym - odrzekł Thomas Hudson. - Wystarczy dla nas obu.

- Roger - powiedział Bobby. - Czy ty i Tom jesteście jacyś krewni?

- Dlaczego?

- Tak sobie myślałem. Jesteście trochę podobni.

- Dziękuję - odrzekł Thomas Hudson. - Podziękuj mu też, Roger.

- Bardzo ci dziękuję, Bobby - powiedział Roger. - Naprawdę uważasz, że jestem podobny do tej kombinacji człowieka i malarza?

- Wyglądacie na półprzyrodnich braci, a chłopcy są podobni do was obu.

- Nie jesteśmy krewni - powiedział Thomas Hudson. - Po prostu mieszkaliśmy w tym samym mieście i czasem popełnialiśmy te same błędy.

- A, cholera z tym - powiedział pan Bobby. - Wypijcie i dajcie spokój z tym gadaniem o wyrzutach sumienia. To nie jest dobre o tej porze dnia w barze. Wysłuchuję wyrzutów sumienia Murzynów, oficerów z czarterowanych statków, kucharzy z jachtów, milionerów i ich żon, wielkich przemytników rumu, facetów ze sklepów spożywczych, jednookich typków z łodzi żółwiowych, łobuzów, najróżniejszych takich. Nie miejmy wyrzutów sumienia z samego rana. Duży wiatr to pora do picia. Koniec z wyrzutami. To jest w ogóle staroświeckie. Odkąd jest radio, każdy po prostu słucha BBC. Nie ma czasu ani miejsca na wyrzuty sumienia.

- Ty też słuchasz, Bobby?

- Tylko Big Bena. Reszta mnie denerwuje.

- Bobby - powiedział Roger. - Jesteś wspaniały i dobry facet.

- Ani jedno, ani drugie. Ale na pewno miło mi widzieć, żeś poweselał.

- Tak - odrzekł Roger. - Jak myślisz, co za ludzi będziemy mieli z tego jachtu?

- Klientów - odparł Bobby. - Wypijmy jeszcze po jednej, żebym nabrał ochoty ich obsłużyć, jacykolwiek są.

Podczas, gdy Bobby wyciskał limony i przyrządzał drinki, Roger powiedział do Thomasa Hudsona:

- Wcale nie chciałem mazać się nad Davidem.

- I nie mazałeś się.

- Szło mi o to. A, do licha, spróbuję to ująć prosto. Zrobiłeś słuszny dowcip o tym, że kiedyś sam byłem dla siebie bohaterem.

- Nie powinienem robić dowcipów.

- I owszem, jeżeli o mnie idzie. Sęk w tym, że w życiu od tak diablo dawna nie ma nic prostego, a ja wciąż się staram, żeby było proste.

- Teraz zaczniesz pisać rzetelnie, prosto i dobrze. To jest początek.

- A jeżeli nie jestem rzetelny, prosty i dobry? Myślisz, że potrafię tak pisać?

- Pisz tak, jak czujesz, ale rzetelnie.

- Muszę spróbować lepiej to zrozumieć.

- Tak jest. Pamiętasz, jak cię ostatni raz widziałem przed latem, w Nowym Jorku, z tą dziwką od niedopałków?

- Odebrała sobie życie - powiedział Roger.

- Kiedy?

- Jak byłem w górach. Zanim pojechałem na Wybrzeże i napisałem ten scenariusz.

- Przepraszam - powiedział Thomas Hudson.

- Cały czas do tego zmierzała - mówił Roger. - Rad jestem, że wysiadłem w porę.

- Ty byś nigdy tego nie zrobił.

- Czy ja wiem - odparł Roger. - Nieraz wydawało mi się to bardzo logiczne.

- Jednym z powodów, że byś nie zrobił, jest to, że byłoby fatalnym przykładem dla chłopców. Co by pomyślał Dave?

- Pewnie by zrozumiał. W każdym razie, jak już się w to zabrniesz tak daleko, niewiele się myśli o przykładach.

- Teraz się mażesz.

Bobby podsunął im drinki.

- Roger, kiedy zaczniesz gadać takie rzeczy, przygnębiasz nawet mnie. Biorę pieniądze za to, żeby słuchać wszystkiego, co ludzie mówią. Ale nie chcę słyszeć, jak tak gadają moi przyjaciele. Przestań, Roger.

- Już przestałem.

- Dobra - powiedział Bobby. - Wypijcie. Bywał tu u nas jeden pan z Nowego Jorku, co mieszkał w Zajeździe i przychodził tutaj popijać prawie przez cały dzień. W kółko

opowiadał, jak to on się zabije. Przez pół zimy wszystkich denerwował. Konstabl go ostrzegł, że to jest czyn nielegalny. Próbowałem namówić konstabla, aby go ostrzegł, że gadanie o tym jest też nielegalne, ale powiedział, że musiałby dostać w tej sprawie opinię z Nassau. Po pewnym czasie ludzie jakoś przywykli do tego projektu i potem sporo pijących zaczęło brać jego stronę. Szczególnie jednego dnia, jak gadał z Dużym Harrym i powiedział mu, że ma zamiar się zabić i że chciałby zabrać kogoś ze sobą.

- "Dobrześ pan trafił - powiedział mu Duży Harry. - Jestem ten, którego pan szukałeś." I zaczął go namawiać, żeby pojechali do Nowego Jorku, naprawdę się schlali, tak żeby już nie mogli wytrzymać, i żeby wtedy wyskoczyli z najwyższego miejsca w mieście prościutko w zapomnienie. Myślę, że Duży Harry wyobrażał sobie, że zapomnienie to jest jakieś przedmieście. Pewnie irlandzkie przedmieście.

No i ten pan od samobójstwa odniósł się życzliwie do tego pomysłu, i omawiali to dzień w dzień. Inni próbowali się wtrącić i proponowali, żeby zorganizować wycieczkę poszukiwaczy śmierci i najpierw pojechać tylko do Nassau na wstępne działania. Ale Duży Harry upierał się przy Nowym Jorku i w końcu zwierzył się temu samobójczemu panu, że nie może dłużej znieść tego życia i jest gotów jechać.

Duży Harry musiał wybrać się na kilka dni na langusty, bo miał zamówienie od kapitana Ralpa, i kiedy go nie było, samobójczy pan zaczął za dużo popijać. Potem brał jakiś taki amoniak z północy, od którego trzeźwiał, i znowu tu przychodził pić. Ale to się w nim jakoś gromadziło.

Wtedy już wszyscy nazywaliśmy go Samobójec i powiedziałem mu: "Panie Samobójec, lepiej daj pan spokój, bo nigdy nie dożyjesz do tego zapomnienia."

"Już jestem w drodze do niego - odpowiedział. - Jestem en route. Właśnie się wybieram. Bierz pan pieniądze za te napoje. Powziąłem moją straszną decyzję."

"Tu jest reszta" - powiedziałem mu.

"Nie chcę reszty. Zatrzymaj ją pan dla Dużego Harry'ego, żeby sobie wypił, nim do mnie dołączy."

No i wyleciał pędem, i rzucił się z nabrzeża Johnny'ego Blacka do kanału, a był akurat odpływ, ciemno i bez księżyca, i nikt go więcej nie zobaczył, dopóki go nie wyrzuciło na przylądek po dwóch dniach. A tamtej nocy wszyscy go porządnie szukali. Myślę, że musiał rąbnąć głową o jakiś beton i poszedł z odpływem. Duży Harry wrócił i opłakiwał go, dopóki nie przepił całej tej reszty. A to była reszta z banknotu dwudziestodolarowego. I wtedy Duży Harry powiedział do mnie: "Wiesz co, Bobby, ja myślę, że ten Samobójec był wariat." I miał rację, bo kiedy rodzina przysłała po ciało, ten, co przyjechał, wyjaśnił

komisarzowi, że Samobójca cierpiał na coś, co się nazywa mania depresyjna. Tyś tego nigdy nie miał, co, Roger?

- Nie - odrzekł Roger. - I teraz myślę, że nie będę miał nigdy.

- To jest mowa - powiedział Bobby. - I więcej się nie wygłupiaj z tym całym zapomnieniem.

- Pieprzę zapomnienie - powiedział Roger.

XI

Obiad był wyśmienity. Befszyk był z wierzchu przyrumieniony i poznaczony pręgami od rusztu. Nóż przekrawał gładko część zewnętrzną, a w środku mięso było miękkie i soczyste. Wszyscy zbierali sos z talerzy i polewali nim tłuczone kartofle tworząc jeziorka na ich kremowej bieli. Fasola ugotowana na maśle była jędrna, sałata krucha i chłodna, a grejfruty zimne.

Wszyscy byli głodni od wiatru i kiedy jedli, zjawił się Eddy i zajrzał do środka. Twarz jego wyglądała bardzo niedobrze i zapytał:

- No, jak wam się widzi to mięso?

- Wspaniale - odrzekł młody Tom.

- Gryźcie dobrze - powiedział Eddy. - Nie marnujcie go jedząc za prędko.

- Nie można go zanadto gryźć, bo się rozpląwa w ustach - powiedział młody Tom.

- Mamy coś na deser, Eddy? - zapytał David.

- Jasne. Placek i lody.

- O rany - powiedział Andrew. - Po dwa kawałki?

- Wystarczy, żebyś pękł. Lody twarde jak kamień.

- Jaki placek?

- Z jeżynami.

- A lody?

- Kokosowe.

- Skąd się wzięły?

- Przywiózł je statek pocztowy.

Do obiadu mieli mrożoną herbatę, a po deserze Roger i Thomas Hudson napili się kawy.

- Eddy jest wspaniałym kucharzem - powiedział Roger.

- Trochę to sprawia apetyt.

- Ten befszyk to nie był apetyt. Ani sałatka. Ani ten placek.

- Jest świetnym kucharzem - przyznał Thomas Hudson. - Dobra ta kawa?

- Wyborna.

- Papo - zapytał młody Tom - czy jak ci z jachtu przyjdą do pana Bobby'ego, moglibyśmy tam pójść i pozgrywać przed nimi, że Andy jest pijakiem?

- To mogłoby się nie podobać panu Bobby'emu. Mógłby mieć przykrości od konstabla.

- Pójdę i powiem panu Bobby'emu, i pomówię z konstablem. To nasz przyjaciel.

- No dobrze. Powiedz panu Bobby'emu i uważaj, kiedy się zjawią ci z jachtu. A co zrobimy z Davidem?

- Nie moglibyśmy go zanieść? To by dobrze wyglądało.

- Włożę pantofle Toma i pójdę - powiedział David. - Obmyśliłeś to sobie, Tommy?

- Możemy obmyślić po drodze - powiedział młody Tom. - Jeszcze potrafisz wywracać powieki do góry?

- No pewnie.

- Nie rób tego teraz, proszę cię - powiedział Andrew. - Nie chcę, żeby mi się zrobiło niedobrze po jedzeniu.

- Za dziesiątaka mogę tak zrobić, że się od razu zerzygasz, koniarzu.

- Nie, proszę cię. Później nie będę miał nic przeciwko temu.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - zapytał Roger młodego Toma.

- Z przyjemnością - odrzekł młody Tom. - Możemy obmyślić to sobie razem.

- No to chodźmy - powiedział Roger. - Może byś się zdrzemnął, Davy?

- I owszem - odrzekł David. - Poczytam, póki nie zasnę. Co będziesz robił, papo?

- Popracuję na werandzie.

- Położę się tam na łóżku i popatrzę, jak pracujesz. Nie będzie ci przeszkadzało?

- Nie. Będzie mi się lepiej pracowało.

- Niedługo wrócimy - powiedział Roger. - A ty, Andy?

- Chętnie bym poszedł się przyjrzeć. Ale chyba lepiej nie, bo ci ludzie mogą już tam być.

- Bardzo mądrze - powiedział młody Tom. - Mądry jesteś, koniarzu.

Odeszli, a Thomas Hudson pracował przez całe popołudnie. Andy przyglądał się jakiś czas, a potem gdzieś wyszedł, David zaś przypatrywał się, czytał i nic nie mówił.

Thomas Hudson chciał najpierw namalować wyskakującą rybę, bo namalowanie jej w wodzie miało być znacznie trudniejsze, i zrobił dwa szkice, z których żaden mu się nie spodobał, i wreszcie trzeci, który uznał za dobry.

- Uważasz, że to jakoś oddałem, Davy?
- O, wygląda wspaniale, papo. Ale woda wytryskuje razem z nim, jak się wynurza, prawda? To znaczy nie tylko wtedy, kiedy spada na powrót?
- Musi - potwierdził ojciec. - Bo on przecież rozwiera powierzchnię.
- Wynurzał się tak długo. Musiało wytrysnąć dużo wody. Wydaje mi się, że w rzeczywistości ona z niego ocieka czy spływa, gdyby ktoś zdążył to dojrzeć. Czy on tu idzie do góry, czy w dół?
- To tylko szkic. Wyobrażałem go sobie w najwyższym punkcie.
- Wiem, że to tylko szkic. Wybacz mi, że się wtrącam, papo. Wcale nie chciałem się mądrzyć.
- Lubię, jak coś mi mówisz.
- Kto by wiedział, to Eddy. On ma oko szybsze niż kamera i pamięta. Nie uważasz, że Eddy jest wspaniały?
- Jasne, że tak.
- Właściwie nikt nic o nim nie wie. Oczywiście Tom wie. Lubię Eddy'ego bardziej niż kogokolwiek poza tobą i panem Davisem. Gotuje tak, jakby to kochał, i tyle wie, i umie wszystko zrobić. Popatrz, co zrobił z tym rekinem i jak wczoraj wyskoczył za rybą.
- A wczoraj wieczorem pobili go, bo nie chcieli mu wierzyć.
- Ale Eddy nie robi z tego tragedii.
- Nie. Jest uszczęśliwiony.
- Nawet dziś, po tym pobiciu, był uszczęśliwiony. I na pewno też wtedy, kiedy skoczył za rybą.
- Oczywiście.
- Chciałbym, żeby pan Davis był taki szczęśliwy jak Eddy.
- Pan Davis jest bardziej skomplikowany od niego.
- Wiem o tym. Ale pamiętam, jak bywał beztrosko szczęśliwy. Ja bardzo dobrze znam pana Davisa, papo.
- Teraz też jest dosyć szczęśliwy. Ale wiem, że beztroskę utracił.
- Nie miałem na myśli niedobrej beztroski.
- Ja też nie. Ale utracił jakąś pewność.
- Wiem o tym - powiedział David.
- Chciałbym, żeby ją odnalazł. Może odnajdzie, jak znowu zacznie pisać. Widzisz, Eddy jest szczęśliwy, bo robi coś dobrze i robi to co dzień.
- Zdaje się, że pan Davis nie potrafi robić swego co dzień, tak jak ty i Eddy.

- Tak. I są też inne sprawy.

- Wiem. Za dużo wiem jak na młodego chłopaka. Tommy wie dwadzieścia razy więcej niż ja, i to najgorsze rzeczy, i wcale się nimi nie przejmuję. A ja przejmuję się wszystkim, co wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego tak musi być.

- Znaczy, że to odczuwasz.

- Odczuwam i to mi coś robi. Trochę tak jak zastępcze odczucie grzechu. Jeżeli jest coś takiego.

- Rozumiem.

- Papo, przepraszam, że mówię tak serio. Wiem, że to nie jest uprzejmie. Ale czasami lubię, bo tylu rzeczy nie wiemy, a potem, jak się dowiadujemy, wszystko idzie tak szybko, że się przewala nad nami jak fala. Tak jak te fale dzisiaj.

- Zawsze możesz mnie o wszystko zapytać, Davy.

- Wiem. Dziękuję ci bardzo. Ale z pewnymi rzeczami chyba zaczekam. Są takie, których można nauczyć się tylko samemu.

- Uważasz, że powinniśmy urządzić u Bobby'ego tę "pijacką" historię z Tomem i Andym? Pamiętaj, że miałem nieprzyjemności, jak tamten gość powiedział, że stale jesteś pijany.

- Pamiętam... chociaż mnie widział upitego winem dwa razy w ciągu trzech lat. Ale nie mówmy o tym. To u pana Bobby'ego będzie dobrym alibi, na wypadek gdybym kiedyś naprawdę pił. Jeżeli to zrobiłem dwa razy z tym gościem, to mogę i trzeci. Myślę, że warto, papo.

- A ostatnio odgrywaliście tę scenę z udawaniem pijaństwa?

- Tom i ja robimy to wcale nieźle. Ale z Andym wychodzi dużo lepiej. Andy ma do tego jakąś smykałkę. Potrafi wyprawiać okropne numery. Moje są dość specjalne.

- A coście ostatnio robili? - Thomas Hudson rysował dalej.

- Widziałeś kiedy, jak robię brata-głupka? Takiego mongolskiego głupka?

- Nigdy. - No, jak ci się teraz podoba, Davy? - pokazał mu szkic Thomas Hudson.

- Świetne - odrzekł David. - Teraz widzę, o co ci chodziło. Kiedy on jest tak zawieszony w powietrzu, na chwilę zanim spadnie. Naprawdę będę mógł dostać ten obraz?

- Oczywiście.

- Będę o niego dbał.

- Zrobię ich dwa.

- Zabiorę tylko jeden do szkoły, a drugi będę miał w domu, u mamy. Czy może wolałbyś zatrzymać go tutaj?

- Nie. Może jej się spodoba. Opowiedz mi, coście jeszcze robili - rzekł Thomas Hudson.

- Robiliśmy różne okropne hece w pociągach. Pociągi są najlepsze, chyba ze względu na rodzaj ludzi. Takich ludzi nie spotyka się w kupie prawie nigdzie, tylko w pociągach. A poza tym nie mogą uciec.

Thomas Hudson usłyszał głos Rogera w sąsiednim pokoju, więc zaczął uprzątać i składać swoje przybory. Wszedł młody Tom i zapytał:

- No jak tam, papo? Dobrze ci się pracowało? Mogę obejrzeć?

Thomas Hudson pokazał mu szkice, a chłopiec powiedział:

- Podobają mi się obydwu.

- Wolisz któryś z nich dwóch? - zapytał go David.

- Nie. Oba są doskonale - odrzekł. Thomas Hudson widział, że mu się spieszy i że ma myśli czymś zaprzątnięte.

- Jak się zapowiada? - zapytał David.

- Fantastycznie - odparł młody Tom. - Będzie coś wspaniałego, jeżeli to dobrze zrobimy. Oni już wszyscy tam są i obrabialiśmy ich całe popołudnie. Widzieliśmy się z panem Bobbym i konstablem, jeszcze zanim przyszli. Tak jak to wygląda do tej pory, pan Davis się zalewa, a ja mu próbuję to wyperswadować.

- Nie przesadziliście?

- Nie, skąd - odrzekł młody Tom. - Trzeba ci było widzieć pana Davisa. Zmieniał się po każdej szklance. Ale niedostrzegalnie.

- Co pił?

- Herbatę. Bobby jej nalał do butelki po rumie. Ma też wodę w butelce po dżinie dla Andy'ego.

- Jak próbowałeś perswadować panu Davisowi?

- Błagałem go. Ale tak, że nie mogli dosłyszeć. Pan Bobby też bierze w tym udział, tyle że pije prawdziwy alkohol.

- Lepiej tam chodźmy - powiedział David - zanim pan Bobby zanadto się zaprawi. A jak pan Davis?

- Doskonale. To świetny, świetny artysta.

- Gdzie Andy?

- Na dole. Ćwiczy kawałek tego przed lustrem.

- Czy Eddy też weźmie udział?

- Obaj, i Eddy, i Joseph.

- Nigdy nie zapamiętają.

- Mają do powiedzenia tylko jedno zdanie.

- Eddy potrafi zapamiętać jedno zdanie, ale nie wiem jak Joseph.

- On je tylko powtarza za Eddym.

- Czy konstabl jest wtajemniczony?

- Jasne.

- Ilu jest tamtych?

- Pięciu i dwie dziewczyny. Jedna przystojna, a druga cudna. Już teraz współczuję panu Davisowi.

- O rany - powiedział David. - Chodźmy.

- Jak ty tam zajdziesz? - zapytał młody Tom.

- Ja go zaniosę - powiedział Thomas Hudson.

- Proszę cię, papo, pozwól mi włożyć pantofle - poprosił David. - Pozwól mi włożyć te pantofle Toma. Będę stąpał bokami stóp, to nic im się nie stanie, a będzie fajnie wyglądało.

- No dobrze. Możemy iść. Gdzie Roger?

- Pije z Eddym jednego na chybicka, dla sztuki - powiedział młody Tom. - Już długo wlewał w siebie tę herbatę, papo.

Na dworze wiatr wciąż dał silnie, kiedy wchodzili do "Ponce de Leon". Ludzie z jachtu siedzieli przy barze i popijali cocktaile rumowe. Wyglądali przyjemnie, byli opaleni i ubrani na biało, i uprzejmie zrobili im miejsce przy barze. Dwaj mężczyźni i jedna dziewczyna siedzieli przy tym końcu, gdzie stał automat do płyt, a trzech z drugą dziewczyną przy przeciwległym, koło drzwi. Od strony automatu była ta ładna. Ale i druga też była bardzo przystojna. Roger, Thomas Hudson i chłopcy weszli równym krokiem. David nawet starał się nie kuleć.

Pan Bobby spojrzał na Rogera i spytał:

- Znów tutaj?

Roger z przygnębieniem kiwnął głową, a Bobby postawił przed nim na barze butelkę rumu i szklanę.

Roger sięgnął po nią nic nie mówiąc.

- Pan pije, Hudson? - zwrócił się Bobby do Thomasa Hudsona. Twarz miał surową i urażoną. Thomas Hudson kiwnął głową. - Powinieneś pan dać z tym spokój - rzekł Bobby. - Wszystko ma swoje granice, do diabła.

- Chcę tylko troszeczkę rumu.

- Tego samego co on?

- Nie. Bacardi.

Pan Bobby napełnił szklanke i podał ją Thomasowi Hudsonowi.

- Bierz pan - powiedział. - Chociaż pan wiesz, że nie powinienem panu podawać.

Thomas Hudson wypił jednym łykiem, a rum go rozgrzał i pobudził.

- Jeszcze jednego - powiedział.

- Za dwadzieścia minut - odparł Bobby. Spojrzał na zegar za barem.

Teraz tamci zaczynali im się już trochę przyglądać, ale uprzejmie.

- A ty co pijesz, spryciarzu? - zapytał pan Bobby Davida.

- Doskonale pan wie, że to rzuciłem - odpowiedział mu David surowo.

- Odkąd?

- Od wczoraj, świetnie pan wie.

- Przepraszam - powiedział pan Bobby. Łyknął jednego szybkiego. - Jakże, u licha, mam się z wami połapać, cholerne łobuzy? Proszę tylko, żebyście zabrali stąd tego Hudsona, kiedy mam przyzwoitych klientów.

- Ja piję spokojnie - powiedział Thomas Hudson.

- Radzę panu. - Pan Bobby zakorkował stojącą przed Rogerem butelkę i odstawił ją na półkę.

Młody Tom kiwnął doń głową z aprobatą i szepnął coś do Rogera. Roger opuścił głowę na dłonie. Potem ją podniósł i wskazał palcem butelkę. Młody Tom potrząsnął głową. Bobby wziął butelkę, odkorkował ją i postawił przed Rogerem.

- Zapij się pan na śmierć - powiedział. - Nie spędzi mi to snu z powiek.

Teraz już obydwie grupki obserwowały ich dosyć bacznie, lecz nadal uprzejmie. Przypatrywali się z zaciekawieniem, ale zachowywali się grzecznie i wydawali się sympatyczni.

Wtedy Roger przemówił po raz pierwszy.

- Daj pan coś wypić temu małemu szurkowi - powiedział do Bobby'ego.

- Co będziesz pił, synku? - zapytał Bobby Andy'ego.

- Dżin.

Thomas Hudson pilnował się, żeby nie spojrzeć na tamtych. Ale ich wyczuwał.

Bobby postawił przed Andym butelkę, a obok niej szklanke. Andy nalał do pełna i przepił do Bobby'ego.

- Pańskie zdrowie, panie Bobby - powiedział. - Pierwszy od początku dnia.

- Pij - odrzekł Bobby. - Późno przyszedłeś.

- Papa zabrał mu pieniądze - rzekł David. - Te, które dostał na urodziny od matki.

Młody Tom spojrział w twarz ojcu i zaczął płakać. Uważał, żeby się nie popłakać naprawdę, ale wyglądało to smutnie i nie było przeszarżowane.

Nikt się nie odzywał, aż wreszcie Andy powiedział:

- Poproszę jeszcze dżinu, panie Bobby.

- Należę sobie - powiedział Bobby. - Biedne, nieszczęsne dziecko. - Potem obrócił się do Thomasa Hudsona. - Hudson - powiedział. - Wypij pan jeszcze jednego i zabieraj się stąd.

- Mogę siedzieć, póki się zachowuję spokojnie - odparł Thomas Hudson.

- Jak pana znam, nie będziesz pan spokojny zbyt długo - powiedział Bobby ze złością.

Roger wskazał palcem butelkę, a młody Tom uwiesił mu się u rękawa. Pohamował łyzy, był dzielny i dobry.

- Proszę pana - powiedział. - Przecież pan nie musi.

Roger nic nie odpowiedział, a pan Bobby znowu postawił przed nim butelkę.

- Ma pan pisać dziś wieczorem - powiedział młody Tom. - Obiecał pan dziś pisać.

- A ty myślisz, że po co piję? - zapytał go Roger.

- Ale pan nie musiał tyle pić, kiedy pan pisał "Burzę".

- Może byś się zamknął? - odpowiedział Roger.

Młody Tom był cierpliwy, dzielny i wyrozumiały.

- Dobrze, proszę pana. Robię to tylko dlatego, że pan mnie prosił. Nie moglibyśmy wrócić do domu?

- Poczciwy z ciebie dzieciak, Tom - powiedział Roger. - Ale zostaniemy tutaj.

- Jeszcze bardzo długo?

- Do cholernego końca.

- Myślę, że nie musimy - rzekł młody Tom. - Naprawdę. Przecież pan wie, że jak się pan tak zaprawi, że nie będzie widział na oczy, to nie będzie pan mógł pisać.

- Będę dyktował - powiedział Roger. - Jak Milton.

- Wiem, że pan pięknie dyktuje - odparł młody Tom. - Ale dziś rano, jak panna Phelps chciała to zdjąć z maszyny, okazało się, że to była głównie muzyka.

- Bo ja piszę operę - powiedział Roger.

- Na pewno pan napisze wspaniałą operę. Ale nie myśli pan, że najpierw powinniśmy skończyć tę powieść? Wziął pan na nią dużą zaliczkę.

- Dokończ ją sam - powiedział Roger. - Do tej pory powinieneś już znać fabułę.

- Znam, proszę pana, i bardzo jest ładna, ale tam jest ta sama dziewczyna, którą pan uśmiercił w tej drugiej książce, i ludziom może się to pokreć.

- Dumas robił to samo.

- Nie męcz go - powiedział Thomas Hudson do młodego Toma. - Jak może pisać, kiedy mu dokuczasz przez cały czas?

- Czy pan nie mógłby sobie wziąć jakiejś naprawdę dobrej sekretarki, żeby to napisała za pana? Słyszałem, że powieściopisarze tak robią.

- Nie. Za kosztowne.

- Roger, chcesz, żebym ci pomógł? - zapytał Thomas Hudson.

- Owszem. Możesz to namalować.

- Wspaniale - powiedział młody Tom. - Naprawdę tak zrobisz, papo?

- Namaluję to w jeden dzień - powiedział Thomas Hudson.

- Namaluj do góry nogami, tak jak Michał Anioł - rzekł Roger. - Namaluj takie duże, żeby król Jerzy mógł to przeczytać bez okularów.

- Namalujesz, papo? - zapytał David.

- Tak.

- Dobrze - powiedział David. - To jest pierwsza sensowna rzecz, jaką słyszałem.

- Nie będzie za trudne, papo?

- Skąd. Pewnie za proste. Kim jest ta dziewczyna?

- Ta, co zawsze u pana Davisa.

- Namaluję ją w pół dnia - powiedział Thomas Hudson.

- Namaluj ją do góry nogami - rzekł Roger.

- Zachowaj przyzwoitość - powiedział Thomas Hudson.

- Panie Bobby, mogę sobie jeszcze golnąć? - zapytał Andy.

- Ileś już wypił, synu? - spytał go Bobby.

- Tylko dwa.

- To wal - rzekł Bobby i podał mu butelkę. - Słuchaj pan, Hudson, kiedy zabierzesz stąd ten obraz?

- Nie miał pan żadnych ofert na niego?

- Nie - odrzekł Bobby. - I zagraca mi lokal. Poza tym cholernie mnie denerwuje. Chcę go się pozbyć.

- Przepraszam bardzo - powiedział do Rogera jeden z mężczyzn z jachtu. - Czy to płótno jest na sprzedaż?

- Kto się do pana odzywał?

- Nikt - odrzekł mężczyzna. - Pan jest Roger Davis, prawda?

- Pewnie, że jestem.

- Jeżeli pański przyjaciel namalował ten obraz i on jest do sprzedania, to chciałbym omówić cenę - powiedział mężczyzna obracając się. - A pan jest Thomas Hudson, prawda?

- Tak się nazywam.

- Czy obraz jest do sprzedania?

- Nie - odparł Thomas Hudson. - Bardzo żałuję.

- Ale barman mówił...

- On jest wariat - powiedział Thomas Hudson. - Strasznie porządny gość. Ale wariat.

- Panie Bobby, mogę dostać jeszcze dzinu? - zapytał Andrew bardzo uprzejmie.

- Ma się rozumieć, mały człowieczku - odrzekł Bobby i nalał mu. - Wiesz, co powinno się zrobić? Powinno się umieścić tę twoją zdrową, uroczą buzię na etykietach butelek dzinu zamiast tej idiotycznej kolekcji jagód. Hudson, może byś pan zaprojektował odpowiednią nalepkę na butelki dzinu, która by odtwarzała dziecięcy urok twarzy młodego Andy'ego?

- Moglibyśmy wylansować gatunek - powiedział Roger. - Jest dzin "Stary Tom". Dlaczego nie mielibyśmy wypuścić "Wesołego Andrewa"?

- Wyłożę na to pieniądze - rzekł Bobby. - Możemy pędzić ten dzin tu, na wyspie. Chłopcy będą go butelkować i naklejać etykiety. Możemy go sprzedawać hurtowo i detalicznie.

- To byłby powrót do rzemiosła - powiedział Roger. - Tak jak zrobił William Morris.

- Z czego byśmy robili ten dzin, panie Bobby? - Zapytał Andrew.

- Z białorybów - odparł Bobby. - I z mięczaków.

Ludzie z jachtu nie patrzyli teraz na Rogera ani na Thomasa Hudsona, ani na chłopców. Obserwowali Bobby'ego i wyglądali na zaniepokojonych.

- W sprawie tego płótna - odezwał się ów mężczyzna.

- O jakim płótnie pan mówi, dobry człowieku? - zapytał Bobby łykając następnego szybkiego.

- Tym dużym z trzema trąbami wodnymi i człowiekiem w dinghy.

- Gdzie? - zapytał Bobby.

- Tam - odpowiedział mężczyzna.

- Uprzejmie pana przepraszam, ale zdaje się, że pan ma już dosyć. To jest przyzwoity lokal. My tu nie prowadzimy trąb wodnych ani ludzi w łódkach.

- Mnie idzie o ten obraz.

- Niech pan mnie nie prowokuje. Tu nie ma żadnego obrazu. Gdyby był jakiś, wisiałby nad barem, tam gdzie jest miejsce na obrazy, i przedstawiałby gołą panią wyciągniętą na całą długość, tak jak należy.

- Idzie mi o ten obraz, o tam.

- Jaki obraz i gdzie?

- Tam.

- Z przyjemnością przygotuję panu wody selcerskiej z bromem, proszę pana. Albo też nazwę pana rikszą - odparł Bobby.

- Rikszą?

- Tak. Cholerną rikszą, jeżeli pan chce to usłyszeć prosto w oczy. Jesteś pan rikszą. I masz pan dosyć.

- Panie Bobby - odezwał się Andy bardzo uprzejmie. - Czy pan uważa, że ja też mam dosyć?

- Skąd, chłopcze drogi. Oczywiście, że nie. Obsłuż się.

- Dziękuję panu - powiedział Andy. - To będzie czwarty.

- Niechby było i sto - rzekł Bobby. - Jesteś dumą mojego serca.

- Może byśmy się stąd zabrali, Hal - powiedział jeden z mężczyzn do tego, który chciał kupić obraz.

- Chciałbym wziąć to płótno - odrzekł tamten. - Jeżeli będę mógł je dostać za godziwą cenę.

- Ja bym chciał stąd wyjść - nalegał pierwszy. - Zabawa zabawą i w ogóle, ale patrzeć, jak dzieci piją, to trochę za wiele.

- Czy pan naprawdę podaje dzin temu chłopcykowi? - spytała Bobby'ego ładna blondynka z końca baru od strony drzwi. Była wysoka, miała bardzo jasne włosy i przyjemne piegi. Nie były to piegi osoby rudowłosej, ale takie, jakich dostają blondynki, jeżeli mają cerę, która się opala, a nie przypieka.

- Tak, proszę pani.

- Uważam, że to haniebne - powiedziała. - Obrzydliwe, haniebne i zbrodnicze.

Roger starał się nie patrzeć na dziewczynę, a Thomas Hudson miał oczy spuszczone.

- A co by pani chciała, żeby pił? - zapytał Bobby.

- Nic. Nie powinien dostawać nic do picia.

- To nie bardzo przyzwoicie - rzekł Bobby.

- Co to znaczy, przyzwoicie? Uważa pan, że jest przyzwoicie zatruwać dziecko alkoholem?

- Widzisz, papo? - odezwał się Tom. - Ja uważałem, że to źle, że Andy pije.

- On jest jedynym pijącym z nich trzech, proszę pani. Odkąd tu obecny Spryciarz przestał - próbował perswadować jej Bobby. - Uważa pani za przyzwoite pozbawiać jednego z trzech braci tej drobnej przyjemności, jaką ma?

- Przyzwoite! - powiedziała dziewczyna. - Uważam, że pan jest potwór. A pan drugi - zwróciła się do Rogera. - I pan jest także potworem - powiedziała do Thomasa Hudsona. - Jesteście wszyscy okropni i nienawidzę was.

Miała łzy w oczach, odwróciła się tyłem do chłopców i pana Bobby'ego i powiedziała do towarzyszących jej mężczyzn:

- Czy żaden z was nic nie zrobi?

- Moim zdaniem to jest kawał - odrzekł jeden z mężczyzn. - Taki sam jak z tym ordynarnym lokajem, którego się wynajmuje na przyjęcia. Albo jak bełkotanie wymyślonych słów.

- Nie, to nie kawał. Ten straszny człowiek daje mu dżin. To jest okropne i tragiczne.

- Panie Bobby - zapytał Tom. - Czy pięć to jest mój limit?

- Na dzisiaj - odparł Bobby. - Nie chciałbym, żebyś robił coś, co mogłoby zgorszyć tę panią.

- Och, zabierzcie mnie stąd - powiedziała dziewczyna. - Nie będę na to patrzała.

Rozpląkała się i dwaj mężczyźni z nią wyszli, a Thomas Hudson, Roger i chłopcy poczuli się całkiem paskudnie.

Podeszła druga dziewczyna, ta naprawdę ładna. Miała piękną twarz, jasnobrązową cerę i płowe włosy. Ubrana była w spodnie, ale zbudowana cudownie, o ile Thomas Hudson mógł się zorientować, i miała jedwabiste włosy, które kołysały się, kiedy szła. Czuł, że już ją gdzieś widział.

- To nie jest dżin, prawda? - zapytała Rogera.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Pójdę i powiem jej - rzekła. - Jej naprawdę jest strasznie przykro.

Odeszła i wychodząc uśmiechnęła się do nich. Wyglądała prześlicznie.

- No, to już koniec, papo - powiedział Andy. - Możemy się napić Coca-Coli?

- Ja bym chciał piwa. Jeżeli to nie urazi tej pani - powiedział młody Tom.

- Nie sądzę, żeby piwo ją raziło - powiedział Thomas Hudson. - Czy mogę coś dla pana zamówić? - zapytał mężczyznę, który chciał kupić obraz. - Przykro mi, jeżeli się zanadto wygłupialiśmy.

- Nie, nie - odrzekł tamten. - To bardzo interesujące. Cała rzecz była dla mnie bardzo interesująca. Fascynująca. Zawsze interesowałem się pisarzami i artystami. Czy wyście wszyscy improwizowali?

- Tak - powiedział Thomas Hudson.

- No, a co do tego płótna...

- Jest własnością pana Saundersa - wyjaśnił mu Thomas Hudson. - Namalowałem mu to w prezencie. Nie sądzę, żeby chciał je sprzedać. Ale jest jego i może z nim robić, co mu się podoba.

- Chcę je zachować - powiedział Bobby. - Niech pan mi nie oferuje za nie masy pieniędzy, bo tylko byłoby mi przykro.

- Naprawdę chciałbym je mieć.

- Ja też, psiakrew - odparł Bobby. - I mam je.

- Ale, proszę pana, to jest za cenny obraz, żeby go trzymać w takim miejscu.

Bobby zaczynał być zły.

- Zostaw mnie pan w spokoju, dobrze? - powiedział. - Zabawialiśmy się pysznie, tak że nie można lepiej, to kobieta musi się popłakać i wszystko spieprzyć. Wiem, że miała dobre intencje. Ale co, u diabła? Dobre intencje prędzej dokuczają niż wszystko inne. Moja stara ma dobre intencje i dobrze postępuje, a co dzień cholera mnie bierze. Do licha z dobrymi intencjami. A pan tu przyjechał i już pan myśli, że może zabrać mój obraz tylko dlatego, że pan ma na niego ochotę.

- Panie Saunders, przecież sam pan mówił, że pan chce się pozbyć tego obrazu i że jest na sprzedaż.

- To wszystko była lipa - powiedział Bobby. - To było, jakeśmy się zabawiali.

- Więc obraz nie jest do sprzedania?

- Nie, nie jest do sprzedania ani do wynajęcia, ani do czarterowania.

- No cóż - powiedział mężczyzna. - Tu jest mój bilet wizytowy, na wypadek gdyby był kiedyś na sprzedaż.

- Świetnie - rzekł Bobby. - Może Tom ma coś u siebie, co by chciał sprzedać. No jak, Tom?

- Chyba nie - powiedział Thomas Hudson.

- Chętnie bym przyszedł obejrzeć - rzekł mężczyzna.

- Nic teraz nie pokazuję - odparł Thomas Hudson. - Podam panu adres galerii w Nowym Jorku, jeżeli pan chce.

- Dziękuję. Mógłby pan zapisać go tutaj?

Mężczyzna miał przy sobie wieczne pióro i zapisał adres na odwrocie jednego ze swoich biletów wizytowych, a drugi dał Thomasowi Hudsonowi. Potem mu podziękował i zapytał, czy mógłby go poczęstować drinkiem.

- Czy zechciałby pan mnie zorientować co do cen większych płócien?

- Nie - odrzekł Thomas Hudson. - Ale sprzedawca to zrobi.

- Zobaczę się z nim zaraz po powrocie. To płótno jest niezmiernie interesujące.

- Dziękuję panu - powiedział Thomas Hudson.

- Na pewno nie może być sprzedane?

- O Jezu - powiedział Bobby. - Przestań pan, dobrze? To mój obraz. Ja miałem do niego pomysł i Tom namalował go dla mnie.

Mężczyzna miał taką minę, jak gdyby to, co nazywał w myśli "szaradami", zaczynało się znowu, więc się uśmiechnął bardzo życzliwie.

- Nie chcę być natrętny...

- A jesteś pan mniej więcej taki natrętny jak jakiś cholerny tuman - powiedział mu Bobby. - No, wypij pan na mój koszt i dajmy z tym spokój.

Chłopcy rozmawiali z Rogerem.

- To było wcale niezłe, póki trwało, prawda, proszę pana? - spytał młody Tom. - Nie przesadziłem zanadto?

- Było doskonale - odrzekł Roger. - Ale David niewiele pokazał.

- Właśnie się szykowałem do zrobienia potwora - powiedział David.

- Chyba byś ją zabił - rzekł młody Tom. - I tak było jej już dostatecznie przykro. Chciałeś zrobić potwora?

- Już sobie wywracałem powieki i miałem się pokazać - powiedział David. - Schyliłem się i przygotowywałem, kiedyśmy przerwali.

- Pech, że to taka miła pani - powiedział Andy. - Jeszcze nie zacząłem się rozkręcać. Teraz pewno nie będziemy mieli okazji zrobić tego znowu.

- A pan Bobby nie był wspaniały? - zapytał młody Tom. - O rany, fajny pan był.

- Na pewno szkoda było przerywać - rzekł Bobby. - I konstabl nawet jeszcze nie przyszedł. Dopiero zaczynałem się rozgrzewać. Rozumiem, co muszą czuć wielcy aktorzy.

W drzwiach ukazała się dziewczyna. Kiedy wchodziła, wiatr oblepił na niej sweter i rozwiał włosy; obróciła się do Rogera.

- Ona nie chce tu wrócić. Ale już w porządku. Już wszystko dobrze.

- Napije się pani z nami? - zapytał Roger.

- Bardzo chętnie.

Roger przedstawił jej wszystkich, ona zaś powiedziała, że nazywa się Audrey Bruce.

- Czy mogłabym przyjść obejrzeć pana obrazy?

- Oczywiście - powiedział Thomas Hudson.

- Chętnie bym przyszedł z panną Bruce - powiedział ten uparty.

- Czy pan jest ojcem pani? - zapytał go Roger.

- Nie. Ale bardzo dawnym przyjacielem.

- Nie może pan przyjść - odparł Roger. - Musi pan poczekać na Dzień Bardzo Dawnych Przyjaciół. Albo dostać kartę od komitetu.

- Proszę, niech pan nie będzie dla niego taki szorstki - powiedziała dziewczyna do Rogera.

- Obawiam się, że już byłem.

- Niech pan więcej nie będzie.

- Świetnie.

- Bądźmy dla siebie mili.

- Dobrze.

- Podobało mi się, co Tom powiedział o tej samej dziewczynie we wszystkich pana książkach.

- Naprawdę się panu podobało? - zapytał młody Tom. - To właściwie nie jest ściśle. Przekomarzałem się z panem Davisem.

- Uważałam, że było dość ściśle.

- Proszę, niech pani zajdzie do naszego domu - powiedział Roger.

- Mam przyprowadzić przyjaciół?

- Nie.

- Żadnego z nich?

- Czy bardzo pani tego chce?

- Nie.

- To dobrze.

- Mniej więcej o której mam przyjść?

- Każdej chwili - powiedział Thomas Hudson.

- I mam zostać na obiad?

- Naturalnie - rzekł Roger.

- To mi wygląda na wspaniałą wyspę - powiedziała. - Tak się cieszę, że wszyscy zachowujemy się miło.

- David może pani pokazać, jak miał zrobić potwora, kiedyśmy to odwołali - powiedział Andy.

- Ojej - odrzekła. - Więc będzie absolutnie wszystko.

- Jak długo pani tu zostaje? - zapytał młody Tom.

- Nie wiem.

- A jak długo zostaje jacht? - spytał Roger.

- Nie wiem.

- To co pani wie? - spytał Roger. - Ja pytam o to miło.

- Niewiele. A pan?

- Uważam, że pani jest śliczna - powiedział Roger.

- O - powiedziała. - Bardzo dziękuję.

- Zostanie pani jakiś czas?

- Nie wiem. Możliwe.

- Nie przyszłaby pani teraz do nas na drinka zamiast go pić tutaj? - zapytał Roger.

- Wypijmy tutaj - odrzekła. - Strasznie tu jest przyjemnie.

XII

Następnego dnia wiatr ucichł i Roger z chłopcami pływali na plaży, a Thomas Hudson pracował na górnej werandzie. Eddy powiedział, że jego zdaniem nie zaszkodzi stopom Davida pływanie w słonej wodzie, jeżeli potem nałoży nowy opatrunek. Poszli więc wszyscy do wody, a Thomas Hudson od czasu do czasu spoglądał na nich malując. Zastanawiał się nad Rogerem i tamtą dziewczyną, ale to tak rozpraszało jego uwagę, że przestał o tym myśleć. Natomiast nie mógł się oprzeć myśli, jak bardzo ta dziewczyna przypomina mu matkę Toma, z czasów kiedy ją poznał. Jednakże wiele dziewczyn wyglądało tak, że mu ją przypominały, więc pracował dalej. Był pewny, że niedługo zobaczy tę dziewczynę, i miał zupełną pewność, że będą ją często widywali. To było dosyć jasne. No cóż, była dekoracyjna i wydawała się bardzo miła. Jeżeli przypominała mu matkę Toma, to tym gorzej. Ale na to nie było rady. Przechodził to już dostatecznie dużo razy. Pracował dalej.

Czuł, że ten obraz będzie dobry. Naprawdę trudny miał być następny, przedstawiający rybę w wodzie. "Może powinienem był zacząć od niego - pomyślał. - Nie, lepiej zrobić ten. Zawsze mogę popracować nad tym drugim po ich wyjeździe."

- Pozwól, że cię przeniosę, Davy - usłyszał głos Rogera. - Żebyś sobie nóg nie zapiaszczył.

- Dobrze - odpowiedział David. - Ale najpierw je sobie obmyję w oceanie.

Roger poniósł go przez plażę na fotel przy drzwiach wychodzących na ocean. Kiedy przechodzili pod werandą w drodze do fotela, Thomas Hudson usłyszał, jak David pyta:

- Myśli pan, że ona się zjawia?

- Nie wiem - odrzekł Roger. - Mam nadzieję.

- Nie uważa pan, że jest piękna?

- Śliczna.

- Myślę, że nas polubiła. Proszę pana, co taka dziewczyna robi?

- Nie mam pojęcia. Nie pytałem jej.

- Tommy zakochał się w niej. Tak samo Andy.

- A ty?

- Sam nie wiem. Nie zakochuję się w kimś tak jak oni. W każdym razie chciałbym ją częściej widywać. To nie jest dziwka, prawda, proszę pana?

- Nie wiem. Nie wygląda na to. A dlaczego?

- Tommy mówił, że jest w niej zakochany, ale że to pewnie zwykła dziwka. Andy powiedział, że mu to obojętne.

- Nie wygląda na dziwkę - powiedział Roger.

- Prawda, że ci mężczyźni z nią są jacyś dziwnie spokojni?

- Niewątpliwie.

- A co tacy robią?

- Spytamy jej, jak przyjdzie.

- Myśli pan, że przyjdzie?

- Tak - odrzekł Roger. - Nie martwiłbym się o to na twoim miejscu.

- To Tommy i Andy się martwią. Ja jestem zakochany w kimś innym. Pan wie. Mówiłem panu.

- Pamiętam. Ta dziewczyna jest do niej podobna - rzekł Roger.

- Może widziała ją w kinie i stara się wyglądać jak ona - powiedział David.

Thomas Hudson pracował dalej.

Roger opatrywał stopy Davidowi, kiedy się ukazała idąc plażą. Była boso, w kostiumie kąpielowym z nałożoną nań spódniczką z tego samego materiału, i niosła torbę plażową. Thomas Hudson z zadowoleniem zauważył, że nogi ma równie ładne jak twarz, i równie ładne jak piersi, które przedtem widział pod swetrem. Miała też śliczne ramiona i cała była opalona. Nie była umalowana, poza pomadką na wargach, i miała ładne usta, które chętnie zobaczyłyby bez niej.

- Hello - powiedziała. - Bardzo się spóźniłam?

- Nie - odrzekł Roger. - Byliśmy już w wodzie, ale idę znowu.

Roger przeniósł fotel Davida na skraj plaży i Thomas Hudson widział, jak pochyliła się nad stopami chłopca, i dojrzał małe podkręcone kędziorki na karku, gdy włosy opadły jej do przodu. Na tle brązowej skóry te małe loczki były srebrzyste w słońcu.

- Co ci się stało? - spytała. - Biedne stopy.

- Poobcierałem je sobie ciągnąc rybę - powiedział David.

- Duża była?

- Nie wiemy. Urwała się.

- Strasznie mi przykro.

- Nieważne - rzekł David. - Nikt już się tym nie martwi.

- A możesz z tym pływać?

Roger smarował obtarte miejsca merkurochromem. Wyglądały już dobrze i czysto, ale ciało było trochę pomarszczone od słonej wody.

- Eddy mówi, że to dobrze robi.

- Kto to jest Eddy?

- Nasz kucharz.

- A czy wasz kucharz jest także waszym doktorem?

- On zna się na takich rzeczach - wyjaśnił David. - Pan Davis też mówił, że można.

- Czy pan Davis jeszcze coś mówi? - spytała Rogera.

- Cieszy się, że panią widzi.

- To miło. Szaleliście, panowie, tej nocy?

- Nie bardzo - odrzekł Roger. - Graliśmy w pokera, potem czytałem i poszedłem spać.

- Kto wygrał w pokera?

- Andy i Eddy - odrzekł David. - A pani co robiła?

- Graliśmy w backgammona.

- Dobrze pani spała? - zapytał Roger.

- Tak. A pan?

- Doskonale.

- Z nas wszystkich tylko Tommy gra w backgammona - powiedział David. - Nauczył go jeden paskudny facet, który okazał się pederastą.

- Naprawdę - co za smutna historia.

- Tak jak Tommy opowiada, nie była wcale smutna - rzekł David. - Nie stało się nic złego.

- Uważam, że wszyscy pederastaści są strasznie smutni - powiedziała. - Biedacy.

- Ale to było właściwie zabawne - mówił David. - Bo ten facet, co uczył Tommy'ego backgammona, wyjaśniał mu, co to znaczy być pederastą, i opowiadał o Grekach, o Damonie i Pytiaszu, o Dawidzie i Jonatanie. Wie pani, coś w tym rodzaju, jak kiedy opowiadają w szkole o rybie i ikrze, i mleczu, o pszczołach przenoszących pyłek i tak dalej, a Tommy go zapytał, czy kiedy czytał jedną książkę Gide'a. Jak ona się nazywała, panie Rogerze? Nie "Corydon". Ta druga. Tam gdzie jest o Oskarze Wilde.

- "Si le grain ne meurt" - powiedział Roger.

- To dość okropna książka, którą Tommy czytywał chłopakom w szkole. Naturalnie nie mogli zrozumieć jej po francusku, więc Tommy im tłumaczył. Całe kawałki są strasznie nudne, ale robi się dosyć okropna, jak Gide przyjeżdża do Afryki.

- Czytałam ją - powiedziała dziewczyna.

- A, świetnie - odrzekł David. - To pani wie, o jakie rzeczy mi idzie. No więc ten, co uczył Tommy'ego backgammona i okazał się pederastą, strasznie się zdziwił, jak Tommy wspomniał o tej książce, ale był też dość zadowolony, bo wobec tego miał z głowy to całe mówienie o pszczołkach i kwiatkach, więc powiedział: "Tak się cieszę, że wiesz", czy coś w tym rodzaju, i wtedy Tommy mu odpowiedział dokładnie tak, bo zapamiętałem: "Proszę pana, moje zainteresowanie homoseksualizmem jest wyłącznie akademickie. Bardzo dziękuję, że pan mnie nauczył grać w backgammona, i muszę pana pożegnać."

- Tommy miał wtedy wspaniałe maniery - powiedział David. - Dopiero co przyjechał z Francji, gdzie mieszkał z papą, i był świetnie wychowany.

- Ty też mieszkałeś we Francji?

- Wszyscy tam mieszkaliśmy w różnych okresach. Ale jeden Tommy pamięta to dokładnie. Zresztą on ma najlepszą pamięć. I pamięta naprawdę. Czy pani kiedy mieszkała we Francji?

- Przez długi czas.

- Chodziła tam pani do szkoły?

- Tak. Pod Paryżem.

- Niech pani poczeka, aż przyjdzie Tommy - powiedział David. - On zna Paryż i okolice Paryża tak, jak ja znam tutejsze rafy czy płycizny. Możliwe nawet, że nie znam ich tak dobrze, jak Tommy zna Paryż.

Siedziała w cieniu werandy przesypując piasek między palcami stóp.

- Opowiedz mi o tych rafach i płyciznach - rzekła.

- Lepiej, żebym je pani pokazał - powiedział David. - Zawiozę panią łódką na płycizny i będziemy mogli połowić ryby pod wodą, jeżeli pani zechce. To jest jedyny sposób, żeby poznać rafy.

- Popłynęłabym z rozkoszą.

- Kto jest na waszym jachcie? - zapytał Roger.

- Różni. Nie podobaliby się panu.

- Wydali mi się bardzo mili.

- Musimy rozmawiać w ten sposób?

- Nie - odparł Roger.

- Poznał pan tego upartego. Jest najbogatszy i najnudniejszy. Nie moglibyśmy po prostu nie mówić o nich? Wszyscy są dobrzy i wspaniali, i piekielnie nudni.

Zjawił się młody Tom, a za nim Andrew. Pływali dalej przy plaży i kiedy wyszli z wody i zobaczyli dziewczynę przy fotelu Davida, puścili się pędem po twardym piasku, i Andrew został w tyle. Nadbiegł bez tchu.

- Mogłeś poczekać - powiedział do młodego Toma.

- Przepraszam, Andy - odrzekł Tom. A potem powiedział: - Dzień dobry. Czekaliśmy na panią, ale w końcu poszliśmy do wody.

- Przepraszam, że się spóźniłam.

- Nie spóźniła się pani. Wszyscy znowu idziemy do wody.

- Ja zostanę - powiedział David. - Wy idźcie. I tak już za dużo gadałem.

- Nie musi się pani bać prądu powrotnego - powiedział młody Tom. - Tu jest długi, stopniowy spadek.

- A rekiny i barrakudy?

- Rekiny podpływają tylko w nocy - powiedział jej Roger. - Barrakudy nigdy nikogo nie niepokoją. Mogą zaatakować, tylko jak woda jest zmacona czy błotnista.

- Jakby zobaczyły przeblysk czegoś i nie wiedziały, co to takiego, mogłyby zaatakować przez pomyłkę - wyjaśnił David. - Ale nie gryzą ludzi w czystej wodzie. Tam, gdzie pływamy, są prawie zawsze barrakudy.

- Widzi się je pływające nad piaskiem tuż obok - powiedział młody Tom. - Są ogromnie ciekawskie. Ale zawsze odpływają.

- Tylko że jak się złapie rybę - mówił David - na przykład kiedy się łowi pod wodą i ma się rybę na drucie albo w worku, to pójda za nią i mogą ugryźć przypadkiem, bo takie są szybkie.

- Albo jakby pani płynęła między stadem barwen czy dużą ławicą sardynek - powiedział młody Tom. - Wtedy mogłyby panią zaatakować goniąc za tymi rybami.

- Niech pani płynie między Tomem a mną - powiedział Andy. - W ten sposób nic się pani nie stanie.

Fale załamywały się ciężko na plaży i brodźce oraz siewki uciekały spiesznie na twarde, świeżo zmoczony piasek, gdy woda cofała się przed załamaniem następnej fali.

- Myślicie, że można pływać, kiedy morze jest takie wzburzone i nic nie widać?

- Och, tak - powiedział David. - Niech pani tylko patrzy pod nogi, nim pani zacznie płynąć. Ale chyba jest za duża fala, żeby płaszczka leżała w piasku.

- Pan Davis i ja będziemy pani pilnowali - rzekł młody Tom.

- Ja będę pani pilnował - powiedział Andy.

- Jeżeli pani się natknie na jakieś ryby w przyboju, to będą prawdopodobnie małe pompanos - powiedział David.

- Podchodzą z przyływem, żeby żerować na robaczkach. Są strasznie ładne w wodzie, ciekawe i przyjazne.

- To wszystko brzmi trochę jak pływanie w akwarium - odrzekła.

- Andy nauczy panią, jak się wypuszcza powietrze z płuc, żeby się utrzymać głęboko - powiedział David. - A Tom pokaże, jak unikać kłopotów z murenami.

- Nie próbuj pani nastraszyć, Dave - powiedział młody Tom. - My nie jesteśmy tacy wielcy podwodni królowie jak on. Ale tylko dlatego że jest podwodnym królem, proszę pani...

- Mówcie mi: Audrey.

- Audrey - powiedział Tom i urwał.

- Więc co mówiłeś, Tommy?

- Już nie wiem - odrzekł młody Tom. - Chodźmy popływać.

Thomas Hudson pracował jeszcze jakiś czas. Potem zszedł na dół, usiadł koło Davida i przypatrywał się im czworgu w falach przyboju. Dziewczyna pływała bez czepka, a nurkowała gładko jak foka. Pływała równie dobrze jak Roger, tyle że nie była tak silna. Kiedy wyszli na plażę i ruszyli ku domowi po twardym piasku, dziewczyna miała włosy mokre i ściągnięte do tyłu z czoła, tak że nic nie odmieniało kształtu jej głowy i Thomas Hudson pomyślał, że nigdy nie widział twarzy ładniejszej czy wspanialszego ciała. "Z wyjątkiem jednej kobiety" - pomyślał. Z wyjątkiem tej jednej najładniejszej i najwspanialszej. "Nie myśl o tym - powiedział sobie. - Po prostu patrz na tę dziewczynę i ciesz się, że jest tutaj."

- Jak było? - zapytał jej.

- Cudownie. - Uśmiechnęła się do niego. - Ale nie widziałam w ogóle żadnych ryb - powiedziała do Davida.

- Pewnie pani nie mogła przy takiej fali - odrzekł David. - Chyba żeby pani się z nimi zderzyła.

Siadła na piasku oplótłszy rękami kolana. Wilgotne włosy zwisały jej na ramiona, a obaj chłopcy siedzieli przy niej. Roger leżał przed nią na piasku, z czołem opartym na skrzyżowanych rękach. Thomas Hudson otworzył drzwi siatkowe i wszedł do domu, a potem na górną werandę, by popracować nad obrazem. Uznał, że to najlepsze, co może zrobić.

W dole, na piasku, gdzie już ich nie widział, dziewczyna patrzyła na Rogera.

- Pan jest smutny?

- Nie.

- Zamyślony?

- Może trochę. Nie wiem.

- W taki dzień miło jest nie myśleć w ogóle.

- Dobrze. Nie myślmy. Czy wolno mi popatrzeć na fale?

- Fale są bezpłatne.

- Chce pani znów pójść do wody?

- Później.

- Kto panią nauczył pływać? - zapytał Roger.

- Pan.

Roger podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Nie pamięta pan plaży w Cap d'Antibes? Tej małej. Nie Eden Roc. Przyglądałam się, jak pan nurkował na Eden Roc.

- Co pani tu robi, u licha, i jakie jest pani prawdziwe nazwisko?

- Przyjechałam zobaczyć się z panem - odpowiedziała. - A moje nazwisko brzmi chyba Audrey Bruce.

- Czy mamy sobie pójść, panie Rogerze? - zapytał młody Tom.

Roger nawet mu nie odpowiedział.

- Jak się pani naprawdę nazywa?

- Nazywałam się Audrey Raeburn.

- A dlaczego pani przyjechała zobaczyć się ze mną?

- Bo miałam ochotę. Czy to źle?

- Chyba nie - odrzekł Roger. - Kto powiedział, że jestem tutaj?

- Jeden okropny człowiek, którego poznałam na cocktailu w Nowym Jorku. Pobił się pan z nim tutaj. Mówił, że pan jest włóczęgą.

- Ano nawłóczyłem się dość - odrzekł Roger patrząc na morze.

- Mówił także o panu parę innych rzeczy. Żadna nie była zbyt pochlebna.

- Z kim pani była wtedy w Antibes?

- Z mamą i Dickiem Raeburnem. Teraz pan pamięta?

Roger siadł i spojrzał na nią. Potem podszedł, objął ją i pocałował.

- Niech mnie licho porwie - powiedział.

- Dobrze, że przyjechałam? - spytała.

- Ty smarkulo - powiedział Roger. - To naprawdę ty?

- Czy mam to udowodnić? Nie możesz po prostu uwierzyć?

- Nie przypominam sobie żadnych tajemnych znaków szczególnych.

- Teraz mnie lubisz?

- Teraz cię kocham.

- Nie mogłeś wymagać, żebym wciąż wyglądała jak żrebak. Pamiętasz, jak wtedy w Auteuil powiedziałaś, że wyglądam jak żrebak, a ja się popłakałam?

- To był komplement. Powiedziałem, że wyglądasz jak żrebak Tenniela z "Alicji w krainie czarów".

- Płakałam.

- Panie Rogerze - odezwał się Andy. - I Audrey. My sobie pójdziemy po Coca-Colę. Chcą państwo też?

- Nie, Andy. A ty, smarkulo?

- Owszem. Bardzo chętnie.

- Chodź, Dave.

- Nie. Ja chcę posłuchać.

- Czasami jesteś drań, nie brat - powiedział młody Tom.

- Przynies mi też - odrzekł David. - Niech pan dalej mówi, panie Rogerze, wcale nie będę przeszkadzał.

- Mnie nie przeszkadzasz, Davy - powiedziała dziewczyna.

- Ale dokądże pojechałaś i dlaczego jesteś teraz Audrey Bruce?

- To trochę skomplikowane.

- Tak przypuszczam.

- Mama w końcu wyszła za jednego pana nazwiskiem Bruce.

- Znałem go.

- Ja go lubiłam.

- Pasuje - powiedział Roger. - Ale skąd Audrey?

- To moje drugie imię. Przybrałam je, bo nie lubiłam tego imienia matki.

- Ja nie lubiłem matki.

- Ani ja. Lubiłam Dicka Raeburna i Billa Bruce'a, a kochałam ciebie i Toma Hudsona. On też mnie nie poznał, prawda?

- Nie wiem. Jest dziwny i mógł nie powiedzieć. Wiem, że mu przypominasz matkę Tommy'ego.

- Chciałabym.

- Jesteś dostatecznie podobna.

- Naprawdę tak - powiedział David. - To jest coś, na czym się znam. Przepraszam, Audrey. Powinienem się zamknąć i pójść sobie.

- Nie kochałaś mnie i nie kochałaś Toma.

- O tak, kochałam. Nigdy nie będziesz wiedział.

- Gdzie jest teraz matka?

- Wyszła za człowieka, który nazywa się Geoffrey Townsend i mieszka w Londynie.

- Dalej używa narkotyków?

- Oczywiście. I jest piękna.

- Naprawdę?

- Tak. Naprawdę. Nie mówię tylko z miłości rodzinnej.

- Kiedyś miałaś dużo tej miłości.

- Wiem. Modliłam się za wszystkich. Każda rzecz rozdzierała mi serce. Odprawiałam nowennę na intencję mamy, żeby dostała łaski szczęśliwej śmierci. Nawet nie wiesz, jak się modliłam za ciebie, Roger.

- Żałuję, że to nie dało więcej dobrego - powiedział Roger.

- Ja też - odparła.

- Nigdy nie wiadomo, Audrey. Nigdy się nie wie, kiedy może dać - powiedział David.

- To nie znaczy, że panu Davisowi potrzeba modlitw. Po prostu mam na myśli modlitwę w zasadzie.

- Dzięki, Dave - powiedział Roger. - A co się stało z Bruce'em?

- Umarł. Nie pamiętasz?

- Nie. Pamiętam, że umarł Dick Raeburn.

- Wyobrażam sobie, że to pamiętasz.

- Tak.

Młody Tom i Andy wrócili z Coca-Colą i Andy podał zimną butelkę dziewczynie, a drugą Davidowi.

- Dziękuję - powiedziała. - Zimna i pyszna.

- Audrey - powiedział młody Tom. - Już sobie przypominam. Przychodziłaś do studia z panem Raeburnem. Nigdy nic nie mówiłaś. Ty, ja, papa i pan Raeburn chodziliśmy do rozmaitych cyrków, a także na wyścigi. Ale wtedy nie byłaś taka piękna.

- Oczywiście, że była - rzekł Roger. - Zapytaj ojca.

- Przykro mi, że pan Raeburn umarł - mówił młody Tom. - Doskonale pamiętam, jak to się stało. Zabił go bobslej, który wyleciał wysoko na zakręcie i wpadł w tłum. Pan Raeburn był bardzo chory i chodziliśmy odwiedzać go z papą. Później mu się poprawiło i poszedł na te wyścigi bobslejowe, chociaż nie powinien był tego robić. Nie byliśmy przy tym, jak zginął. Przepraszam, jeżeli mówienie o tym sprawia ci przykrość, Audrey.

- To był miły człowiek - powiedziała Audrey. - Nie, nie sprawia mi przykrości, Tommy. To było dawno temu.

- Znałaś kogoś z nas dwóch? - zapytał Andy.

- Jakże by mogła, koniarzu? Jeszcze nas na świecie nie było - odparł David.

- Skąd mogę wiedzieć - spytał Andy. - Nic nie zapamiętałem z Francji i nie myślę, żebyś ty dużo pamiętał.

- Wcale tego nie udaję. Tommy zapamiętał Francję za nas wszystkich. Później będę pamiętał tę wyspę. I pamiętam wszystkie obrazy papę, jakie widziałem.

- Przypominasz sobie te z wyścigami? - spytała Audrey.

- Każdy, jaki widziałem.

- Byłam na niektórych - powiedziała Audrey. - Z Longchamps i z Auteuil, i z St. Cloud. Tylko że zawsze widać było tył mojej głowy.

- Pamiętam tył twojej głowy - rzekł młody Tom. - Włosy miałaś do pasa, a ja siedziałem o dwa stopnie wyżej, żeby lepiej widzieć. Dzień był mglisty, taki jak na jesieni, kiedy jest jakby niebiesko przydymiony, i siedzieliśmy na górnej trybunie, na wprost przeszkody wodnej, a na lewo mieliśmy płotek z rowem i murek. Meta była po tej stronie bliżej nas, a wodna przeszkoda na wewnętrznym przebiegu toru. Zawsze siedziałem z tyłu nad tobą, żeby lepiej widzieć, chyba że schodziliśmy na tor.

- Wydawałeś mi się wtedy zabawnym chłopczykiem.

- Pewnie taki byłem. A ty nigdy nic nie mówiłaś. Może dlatego, że byłem taki młody. Ale Auteuil to piękny tor, nie?

- Cudowny. Byłam tam w zeszłym roku.

- Może pojedziemy w tym roku, Tommy - powiedział David. - Panie Rogerze, czy pan też chodził z nią na wyścigi?

- Nie - powiedział Roger. - Byłem tylko jej nauczycielem pływania.

- Byłeś moim bohaterem.

- A papa nigdy nie był twoim bohaterem? - zapytał Andrew.

- Naturalnie, że był. Ale nie mogłam go zrobić swoim bohaterem tak, jak bym chciała, bo był żonaty. Kiedy rozwiódł się z matką Tommy'ego, napisałam do niego list. Był bardzo przejmujący i pisałam, że jestem gotowa zastąpić matkę Tommy'ego, jak tylko potrafię. Ale nigdy go nie wysłałam, bo papa ożenił się z matką Davy'ego i Andy'ego.

- Sprawy są niewątpliwie skomplikowane - powiedział młody Tom.

- Opowiedz nam jeszcze o Paryżu - poprosił David. - Powinniśmy się dowiedzieć, ile tylko można, jeżeli mamy tam teraz pojechać.

- Pamiętasz, Audrey, jak stawaliśmy przy barierze i kiedy konie przeszły ostatnią przeszkodę, pędziły prosto na nas i jak się robiły coraz większe i większe, i z jakim dudnieniem przelatywały po torze, kiedy nas mijaly?

- I jak bywało zimno i wtedy stawaliśmy przy tych wielkich koszach z węglem, żeby się ogrzać, i jedliśmy sandwicze z baru?

- Uwielbiałem jesień - powiedział młody Tom. - Wracaliśmy do domu otwartym powozem, pamiętasz? Przez Bois, a potem wzdłuż rzeki, kiedy zaczynało się ściemniać, i ten zapach palonych liści, i holowniki ciągnące barki na rzece.

- Naprawdę tak dobrze to pamiętasz? Byłeś wtedy bardzo mały.

- Pamiętam każdy most na rzece od Suresnes po Charenton - odpowiedział jej Tommy.

- Niemożliwe.

- Nie potrafię wymienić ich nazw. Ale mam je w głowie.

- Nie wierzę, żebyś pamiętał wszystkie. A część rzeki jest brzydka i wiele mostów też.

- Wiem. Ale byłem tam w długi czas po tym, kiedy ciebie znałem, i chodziłem z papą wzdłuż całej rzeki. Tych brzydkich części i tych pięknych, i często tam łowiłem ryby z różnymi moimi przyjaciółmi.

- Naprawdę łowiłeś ryby w Sekwanie?

- Oczywiście.

- Papa też łowił?

- Nie tyle. Czasami łowił w Charenton. Ale po pracy chciał się przespacerować, więc chodziliśmy, póki się zanadto nie zmęczyłem, a wtedy wracaliśmy jakimś autobusem. Jak już mieliśmy trochę pieniędzy, braliśmy taksówkę albo dorożkę.

- Musieliście mieć pieniądze, kiedy chodziliśmy na wyścigi.

- Zdaje się, że w tamtym roku mieliśmy - powiedział Tommy. - Już nie pamiętam. Raz mieliśmy pieniądze, a raz nie.

- Myśmy zawsze mieli - powiedziała Audrey. - Mama nigdy nie wychodziła za kogoś, kto nie miał całej masy pieniędzy.

- Czy ty jesteś bogata, Audrey? - zapytał Tommy.

- Nie - odrzekła dziewczyna. - Kiedy ojciec ożenił się z matką, wydawał pieniądze i stracił je, a żaden z moich ojczymów mnie nie zabezpieczył.

- Nie musisz mieć pieniędzy - powiedział Andrew.

- Dlaczego nie zamieszkasz z nami? - zapytał młody Tom. - Byłoby ci z nami dobrze.

- To byłoby miło. Ale muszę zarabiać na życie.

- Jedziemy do Paryża - powiedział Andrew. - Jedź z nami. Będzie cudownie. Możemy razem pozwiedzać wszystkie arrondissements.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedziała dziewczyna.

- Chcesz, to ci zrobię drinka, żeby ci ułatwić decyzję - rzekł David. - Tak zawsze robią w książkach pana Davisa.

- Nie oszałamiaj mnie alkoholem.

- To stara sztuczka handlarzy białymi niewolnicami - powiedział młody Tom. - Potem, zanim się połapią, już są w Buenos Aires.

- Muszą im dawać coś strasznie mocnego - rzekł David. - To długa podróż.

- Nie myślę, żeby było coś wiele mocniejszego od tych martini, które robi pan Davis - powiedział Andrew. - Niech pan jej zrobi martini, panie Rogerze.

- Chcesz, Audrey? - zapytał Andrew.

- Owszem. Jeżeli nie jest za daleko do obiadu.

Roger wstał, by przyrządzić napoje, a młody Tom podszedł i usiadł przy Audrey. Andrew siedział u jej stóp.

- Uważam, że nie powinnaś tego pić - powiedział. - To pierwszy krok. Pamiętaj: ce n'est que le premier pas qui compte (tylko pierwszy krok się liczy).

Na werandzie Thomas Hudson malował nadal. Nie mógł nie słyszeć ich rozmowy, ale nie patrzył na nich, odkąd wrócili po pływaniu. Trudno mu było pozostać wewnątrz tego pancerza pracy, który zbudował sobie dla własnej ochrony, i myślał: "Jeżeli teraz nie

popracuję, mogę to zgubić.” Ale potem pomyślał, że będzie czas pracować, kiedy już wszyscy wyjadą. Jednakże wiedział, że musi pracować dalej, bo inaczej utraci to zabezpieczenie, które dla siebie stworzył pracą. “Zrobię dokładnie tyle, ile bym zrobił, gdyby ich nie było - pomyślał. - Potem posprzątam, zejdem na dół i do diabła z rozmyślaniami o Raeburnie czy o dawnych czasach, czy o czymkolwiek.” Jednakże pracując poczuł, że już przenika w niego samotność. W następnym tygodniu mieli wyjechać. “Pracuj - powiedział sobie. - Rób to, co trzeba, i przestrzegaj swoich zwyczajów, bo będą ci potrzebne.”

Kiedy zakończył pracę i wszedł do nich, wciąż jeszcze myślał o obrazie i powiedział do dziewczyny: “Cześć”, po czym odwrócił wzrok. A później spojrzął na nią.

- Mimo woli słyszałem wszystko. Czy podsłuchałem. Cieszę się, że jesteśmy starymi znajomymi.

- Ja też. Wiedziałaś?

- Może - odrzekł. - Chodźmy na obiad. Wyszłaś już, Audrey?

- Przebiorę się po prysznicu - powiedziała. - Mam bluzkę i spódnicę do niej.

- Powiedz Josephowi i Eddy'emu, że jesteśmy gotowi - rzekł Thomas Hudson do młodego Toma. - Pokażę ci, gdzie jest prysznic, Audrey.

Roger wszedł do domu.

- Uważałam, że nie powinnam tu być pod fałszywymi pozorami - powiedziała Audrey.

- Nie byłaś.

- Nie sądzisz, że mogłabym mu się na coś przydać?

- Mogłabyś. Potrzebna mu jest solidna praca dla ocalenia duszy. Nic nie wiem o duszach. Ale swoją zagubił za pierwszym razem, kiedy wyjechał na Wybrzeże.

- Ale teraz ma napisać powieść. Wspaniałą powieść.

- Skąd to wiesz?

- Było w którymś felietonie. Chyba Cholly'ego Knickerbockera.

- O - powiedział Thomas Hudson. - W takim razie to musi być prawda.

- Naprawdę nie myślisz, że mogłabym mu się przydać?

- Możliwe.

- Są pewne komplikacje.

- Jak zawsze.

- Mam ci powiedzieć teraz?

- Nie - odrzekł Thomas Hudson. - Lepiej się ubierz, uczesz i przyjdź tutaj. Może napotkać inną kobietę, gdy będzie czekał.

- Dawniej nie byłeś taki. Uważałam cię za najmilszego ze wszystkich ludzi, jakich znałam.

- Strasznie przepraszam, Audrey. I cieszę się, że tu jesteś.

- Przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda?

- Oczywiście - odparł. - Przebierz się, ogarnij i przyjdź tutaj.

Odwrócił wzrok, a dziewczyna zamknęła drzwi od prysznicu. Nie wiedział, co sprawiło, że doznał takiego uczucia, ale radość lata zaczęła z niego odpływać, podobnie jak woda zmienia się na pływaczach, gdy rozpoczyna się odpływ kanałem wiodącym do morza. Patrzył na morze i linię plaży i zauważył, że się zmieniła, a nadbrzeżne ptaki krzątają się pracowicie już dużo dalej na pochyłości nowego, mokrego piasku. Fale były coraz mniejsze, w miarę jak się cofały. Popatrzał daleko wzdłuż brzegu, a potem wszedł do domu.

XIII

Dobrze im było przez te ostatnie kilka dni. Tak samo dobrze jak cały czas przedtem i nie było żadnego przedwyjazdowego smutku. Jacht odpłynął, a Audrey wynajęła sobie pokój nad "Ponce de Leon." Jednakże mieszkała u nich i sypiała na składanym łóżku na werandzie w drugim końcu domu, i korzystała z pokoju gościnnego.

Nie mówiła już więcej o tym, że kocha się w Rogerze. Roger powiedział o niej Thomasowi Hudsonowi tylko tyle, że "jest żoną jakiegoś łobuza".

- Nie mogłeś wymagać, żeby czekała na ciebie całe życie, prawda?

- W każdym razie to jest łobuz.

- Czy tak nie bywa zawsze? Dowiesz się, że ma swoje dobre strony.

- Bogaty jest.

- To prawdopodobnie ta jego dobra strona - powiedział Thomas Hudson. - Zawsze wychodzą za jakiegoś łobuza i on zawsze ma jakąś ogromnie dobrą stronę.

- W porządku - odrzekł Roger. - Nie mówmy o tym.

- Napiszesz tę książkę, co?

- Jasne. Ona chce, żebym to zrobił.

- Czy zrobisz to tylko dlatego?

- Odstaw się, Tom - powiedział Roger.

- Chciałbyś zamieszkać w domku kubańskim? To zwykła buda. Ale byłbyś z dala od ludzi.

- Nie. Chcę pojechać na zachód.

- Na Wybrzeże?

- Nie. Nie na Wybrzeże. Mógłbym posiedzieć jakiś czas na ranczu?
- Tam jest tylko ten jeden domek na dalszej plaży. Resztę wydzierżawiłem.
- Byłoby świetnie.

Dziewczyna i Roger chodzili na długie spacerunki po plaży i pływali we dwoje oraz z chłopcami. Chłopcy łowili albule i zabierali Audrey na połów pod wodą przy rafie. Thomas Hudson pracował usilnie i kiedy pracował, a chłopcy byli na płycznach, miał zawsze to przyjemne poczucie, że niedługo wrócą do domu i będą razem jedli obiad albo kolację. Niepokoił się, kiedy łowili pod wodą, ale wiedział, że Roger i Eddy przypilnują, żeby zachowali ostrożność. Raz wszyscy wybrali się na cały dzień łowić z łodzi, aż do najdalszej latarni na końcu ławicy, i poszło im wspaniale, bo złowili bonity, delfiny i trzy duże wahu. Namalował wahu, z jego dziwną, spłaszczoną głową i pasami na wydłużonym, stworzonym do szybkości ciele, dla Andrewa, który złowił największego. Namalował go na tle wielkiej, pajęczonogiej latarni morskiej, z letnimi obłokami i zielenią brzegów.

A potem pewnego dnia stary samolot-amfibia "Sikorski" okrążył raz dom i zwodował w zatoce, i odwieźli doń trzech chłopców w dinghy. Joseph popłynął drugą dinghy z ich bagażami. Młody Tom powiedział:

- Do widzenia, papo. To było naprawdę fajne lato.

David powiedział:

- Do widzenia, papo. Było naprawdę cudownie. Nic się nie martw. Będziemy uważali.

Andrew powiedział:

- Do widzenia, papo. Dziękuję za cudne, cudne lato i za podróż do Paryża.

Wdrapali się do kabiny i wszyscy pomachali z drzwiczek do Audrey, która stała na nabrzeżu, i zawołali:

- Do widzenia! Do widzenia, Audrey!

Roger pomagał im wsiąść i powiedzieli:

- Do widzenia, panie Rogerze. Do widzenia, papo. - A potem bardzo głośno, wołając ponad wodą: - Do widzenia, Audrey!

Potem zamknięto i zaryglowano drzwi, i byli już tylko twarzami wyglądającymi przez małe szybki, a później twarzami spryskanymi wodą, kiedy ten stary młynek do kawy ruszył. Thomas Hudson cofnął łódkę spod bryzgów piany, a staroświecki, brzydki samolot oddalił się i wystartował pod słaby wiatr, zatoczył jedno koło i naprostował kurs lecąc równo, brzydsko, powoli nad zatoką.

Thomas Hudson wiedział, że Roger i Audrey też mają wyjechać, a ponieważ statek pocztowy przychodził nazajutrz, zapytał Rogera, kiedy odjeżdża.

- Jutro, stary - powiedział Roger.

- Z Wilsonem?

- Tak. Prosiłem go, żeby tu wrócił.

- Chciałem tylko wiedzieć w związku z zamówieniami dla statku.

Tak więc nazajutrz odjechali również. Thomas Hudson ucałował dziewczynę na pożegnanie, a ona ucałowała jego. Płakała, gdy wyjeżdżali chłopcy, i płakała tego dnia, i objęła go, i przycisnęła mocno.

- Uważaj na niego i uważaj na siebie.

- Postaram się. Byłeś dla nas strasznie dobry, Tom.

- Bzdura.

- Napiszę - powiedział Roger. - Czy chciałbyś, żebym tam coś załatwił?

- Baw się dobrze. Możesz mi dać znać, jak wszystko wygląda.

- Na pewno. I ona też napisze.

Więc odjechali także i Thomas Hudson wstąpił do Bobby'ego po drodze do domu.

- Będzie cholernie smutno - powiedział Bobby.

- Tak - odrzekł Thomas Hudson. - Będzie cholernie smutno.

XIV

Thomas Hudson poczuł się nieszczęśliwy, gdy tylko chłopcy odjechali. Uważał jednak, że jest to normalna tęsknota za nimi, więc po prostu pracował dalej. Koniec czyjegoś świata nie przychodzi tak jak na którymś z tych wielkich malowideł projektowanych przez pana Bobby'ego. Przychodzi wraz z chłopcem z wyspy, który niesie radiogram drogą od miejscowego urzędu pocztowego i mówi:

- Proszę podpisać na oddzieranej części koperty. Bardzo nam przykro, panie Tom.

Dał chłopcu szylinga. Ale chłopiec spojrzał nań i położył go na stole.

- Nie trzeba napiwku, panie Tom - powiedział i wyszedł.

Przeczytał. Potem schował to do kieszeni, wyszedł i usiadł na werandzie nad morzem. Wyjął blankiet radiowy i przeczytał ponownie. "Pańscy synowie David i Andrew zginęli z matką w wypadku samochodowym pod Biarritz załatwiamy wszystko przed pańskim przybyciem wyrazy najgłębszego współczucia". Podpisane to było przez paryski oddział jego nowojorskiego banku.

Podszedł Eddy. Dowiedział się od Josepha, który to usłyszał od jednego z chłopców z baraku radiowego. Siadł przy nim i powiedział:

- Cholera jasna, jak może się zdarzyć coś podobnego?

- Nie wiem - odrzekł Thomas Hudson. - Pewnie w coś uderzyli albo coś wpadło na nich.

- Założę się, że Davy nie prowadził - powiedział Eddy.

- Ja też. Ale to już nieważne.

Thomas Hudson patrzył na płaskość błękitnego morza i na ciemniejszy błękit Prądu. Słońce było nisko i wkrótce miało zająć za chmury.

- Myśli pan, że prowadziła ich matka?

- Prawdopodobnie. A może mieli szofera. Co za różnica?

- A mógł to być Andy?

- Możliwe. Matka mogła mu pozwolić.

- Jest dostatecznie pewny siebie - powiedział Eddy.

- Był - odrzekł Thomas Hudson. - Teraz chyba już nie jest pewny siebie.

Słońce się zniżyło i przesłaniały je chmury.

- Zadepesujemy do Wilkinsona za ich następnym nadaniem radiowym, żeby szybko przyjechał i żeby mi zamówił telefonicznie miejsce w samolocie do Nowego Jorku.

- Co mam robić, kiedy pana nie będzie?

- Po prostu doglądaj tu wszystkiego. Zostawię ci parę czeków na każdy miesiąc. Gdyby przysły wichury, zorganizuj sobie pomoc dla opieki nad kutrem i domem.

- Wszystko załatwię - powiedział Eddy. - Ale teraz już mnie to gównem obchodzi.

- Mnie też - rzekł Thomas Hudson.

- Mamy jeszcze młodego Toma.

- Na razie - powiedział Thomas Hudson i po raz pierwszy spojrzał wprost w długą i doskonałą perspektywę pustki, którą miał przed sobą.

- Jakoś pan da radę - powiedział Eddy.

- Jasne. A kiedy nie dawałem?

- Może pan jakiś czas posiedzieć w Paryżu, potem pojechać do tego kubańskiego domku, a młody Tom może dotrzymać panu towarzystwa. Może pan tam dobrze malować i to będzie jakaś odmiana.

- Jasne - powiedział Thomas Hudson.

- Może pan podróżować, to panu dobrze zrobi. Popływać na tych wielkich statkach, na których zawsze chciałem pływać. Popodróżować na nich wszystkich. Niech pana wożą, gdziekolwiek idą.

- Pewnie.

- Gówno - powiedział Eddy. - Dlaczego, u jasnej cholery, zabijają takiego Davy'ego?

- Zostawmy to, Eddy - rzekł Thomas Hudson. - To znacznie przekracza rzeczy, o których nam wiadomo.

- Pieprzę wszystko - powiedział Eddy i zsunął kapelusz na tył głowy.

- Rozegramy to tak, jak potrafimy - powiedział mu Thomas Hudson. Ale teraz wiedział, że nie ma już wielkiego zainteresowania grą.

XV

Płynąc na wschód na "Ile de France" Thomas Hudson dowiedział się, że piekło niekoniecznie jest takie, jak opisywał je Dante czy któryś inny z wielkich opisywaczy piekła, ale że może też być komfortowym, przyjemnym i ulubionym statkiem, wiozącym nas do kraju, do którego zawsze płynęło się z emocją. Miało ono wiele kręgów, nie tak ustalonych jak u wielkiego florenckiego egotysty. Wsiadł na statek wcześniej, uważając go, jak teraz wiedział, za schronienie przed miastem, gdzie obawiał się spotkań z ludźmi, którzy mówiliby o tym, co się stało. Myślał, że na statku zdoła dojść jakoś do ładu ze swoim bólem, nie wiedząc jeszcze, że z bólem do ładu dojść nie można. Może uleczyć go śmierć i mogą stępić albo znieczulić rozmaite rzeczy. Czas także podobno go leczy. Ale jeżeli uleczy go cokolwiek innego niż śmierć, niewykluczone jest, że nie był prawdziwym bólem.

Jedną z rzeczy, które go stępią chwilowo przez stępienie wszystkiego innego, jest picie, a drugą rzeczą, która może oderwać od niego myśli, jest praca. Thomas Hudson wiedział o obydwóch tych lekarstwach. Ale wiedział też, że picie zniweczyłoby zdolność do wykonywania zadowalającej pracy, a swoje życie już od tak dawna budował na pracy, iż zachowywał ją sobie jako jedyną rzecz, której nie wolno mu stracić.

Ponieważ jednak wiedział, że teraz przez jakiś czas nie będzie mógł pracować, zamierzał pić, czytać i używać ruchu, dopóki nie zmęczy się dostatecznie, by spać. Spał w samolocie. Ale w Nowym Jorku nie sypiał.

Teraz siedział w swojej kajucie, przy której był salonik, a tragarze przynieśli jego walizki i dużą paczkę czasopism i gazet, które kupił. Myślał, że najłatwiej będzie zacząć od nich. Dał swój bilet stewardowi i poprosił go o butelkę wody Perrier i trochę lodu. Kiedy je przyniesiono, wyjął z jednej z walizek małą flaszkę dobrego Scotcha, otworzył ją i zrobił

sobie drinka. Potem rozciął sznurek na wielkiej paczce magazynów i gazet i porozkładał je na stole. Magazyny wyglądały świeżo i dziewiczo w porównaniu do ich wyglądu, gdy przychodziły na wyspę. Wziął "New Yorkera". Na wyspie zawsze odkładał go sobie na wieczór, a już od dawna nie miał w ręku "New Yorkera" z tego tygodnia, w którym się ukazywał, ani takiego, który by nie był zwinięty. Zasiadł w głębokim, wygodnym fotelu, popijał trunek i przekonał się, że niepodobna czytać "New Yorkera", kiedy ci, których kochamy, dopiero co umarli. Popróbował "Time'u" i udało mu się go przeczytać, włącznie z rubryką "Kamienie milowe", gdzie znalazł wzmiankę o zmarłych chłopcach razem z ich wiekiem, wiekiem ich matki, nie całkiem ścisłym, jej stanem cywilnym oraz stwierdzeniem, że rozeszła się z nim w 1933 roku.

"Newsweek" podawał te same fakty, ale czytając krótką wzmiankę Thomas Hudson doznał dziwnego wrażenia, iż ten, co ją napisał, ubolewał, że chłopcy nie żyją.

Zrobił sobie następnego drinka i pomyślał, o ile lepszy jest Perrier od wszystkiego, co można dolać do whisky, a potem przeczytał w całości zarówno "Time", jak "Newsweek". "Co ona, u diabła, robiła w Biarritz? - zastanowił się. - Mogła przynajmniej pojechać do St. Jean-de-Luz."

Po tym poznał, że whisky zaczyna mu robić dobrze.

"Daj sobie z nimi spokój - powiedział do siebie. - Po prostu pamiętaj, jacy byli, i spisz ich na straty. Będziesz musiał wcześniej czy później. Zrób to teraz."

"Poczytaj jeszcze" - powiedział. W tej chwili statek ruszył. Poruszał się bardzo wolno, a Thomas Hudson nie wyjrzał przez iluminator saloniku. Siedział w wygodnym fotelu, wczytywał się w stos gazet i magazynów i popijał Scotcha z Perrier.

"Nie masz żadnego problemu - powiedział do siebie. - Zrezygnowałeś z nich, a teraz ich nie ma. Przede wszystkim nie trzeba było tak strasznie ich kochać. Nie trzeba było kochać ich i nie trzeba było kochać ich matki. Posłuchaj, jak ci whisky gada - mówił do siebie. - Jakże rozwiązuje nasze problemy. Wszystko rozwiązująca alchemia, co w mgnieniu oka nasze lite złoto przemienia w gówno. To nawet nie ma rytmu. Lepiej będzie: nasze lite złoto w gówno przemienia.

Ciekawe, gdzie Roger jest z tą dziewczyną - pomyślał. - Bank będzie wiedział, gdzie jest Tommy. Ja wiem, gdzie sam jestem. Jestem tutaj z butelką Old Parr. Jutro wypoczę z siebie to wszystko w sali gimnastycznej. Pójdę do parówki. Popedałuję na jednym z tych rowerów, które jadą donikąd, i pojeżdżę na mechanicznym koniu. Tego mi potrzeba. Dobrej przejażdżki na mechanicznym koniu. A potem wezmę porządny masaż. Później

spotkam kogoś w barze i pogadam o innych rzeczach. To tylko sześć dni. Sześć dni to drobiazg.”

Usnął tego wieczora, a kiedy obudził się w nocy, usłyszał szum statku sunącego po morzu i w pierwszej chwili, gdy poczuł zapach morza, wydało mu się, że jest w domu na wyspie i że się zbudził ze złego snu. A potem już wiedział, że to nie jest zły sen, i poczuł zapach gęstego smaru na krawędziach otwartego iluminatora. Zapalił światło i napił się wody Perrier. Miał silne pragnienie.

Na stoliku stała taca z sandwiczami i owocami, którą przyniósł steward poprzedniego wieczora, i było jeszcze trochę lodu w wiaderku, w którym tkwiła butelka Perrier.

Czuł, że powinien coś zjeść, i spojrzął na zegar wiszący na ścianie. Była trzecia dwadzieścia nad ranem. Morskie powietrze było chłodne i zjadł sandwicza i dwa jabłka, a potem wyjął trochę lodu z wiaderka i zrobił sobie drinka. Old Parr już się prawie skończył, ale miał drugą butelkę i w chłodzie wczesnego poranka usiadł w wygodnym fotelu, popijał i czytał “New Yorkera”. Stwierdził, że teraz może już go czytać i że picie w nocy sprawia mu przyjemność.

Od lat było jego bezwzględną regułą nie pić w nocy i nigdy nie pić przed zakończeniem pracy, z wyjątkiem tych dni, gdy nie pracował. Jednakże teraz, zbudziwszy się w nocy, doznał prostej radości łamania nawyków. Było to pierwszym powrotem jakiejś czysto fizycznej radości czy też zdolności do jej odczuwania, jakiej zaznał, odkąd do domu przyszła depesza.

“- “New Yorker” jest bardzo dobry - pomyślał. - I najwyraźniej jest to pismo, które można czytać czwartego dnia po tym, gdy coś się zdarzyło. Nie pierwszego, ani drugiego, ani trzeciego. Ale czwartego. Przyda się to wiedzieć.” Po “New Yorkerze” przeczytał “Ring”, a potem wszystko, co nadawało się do czytania w “Atlantic Monthly”, i parę rzeczy, które się nie nadawały. Następnie zrobił sobie trzeciego drinka i czytał “Harpera”. “Widzisz? - powiedział do siebie. - To nic takiego.”

Część II - Kuba

Kiedy wszyscy odeszli, położył się na włókiennych matach na podłodze i słuchał wiatru. Dął sztorm z północo-zachodu; rozłożył koce na podłodze, oparł poduszki o wyściełany tył fotela, który przysunął do nogi stołu w salonie, i nałożywszy czapkę z długim daszkiem dla osłonięcia oczu, czytał korespondencję w dobrym świetle dużej lampy stojącej na stole. Jego kot ułożył mu się na piersi, więc naciągnął lekki koc na niego i siebie, otwierał i czytał listy, i popijał whisky z wodą ze szklanki, którą odstawiał na podłogę między jednym a drugim łykiem. Ręka jego odnajdowała szklankę, kiedy jej chciał.

Kot mruczał, ale nie słyszał go, bo mruczenie było ciche; w jednej ręce trzymał list, a palcami drugiej dotykał gardła kota.

- Ty masz mikrofon krtaniowy, Boise - powiedział. - Kochasz mnie?

Kot delikatnie ugniatał mu pierś pazurkami, ledwie zahaczając o wełnę grubego granatowego swetra; poczuł na sobie długi, miłośnie przytulony ciężar kota, a pod palcami jego mruczenie.

- To dziwka, Boise - powiedział i otworzył następny list.

Kot wetknął mu łepkę pod brodę i ocierał się o nią.

- Podrapiesz się paskudnie - powiedział mężczyzna pocierając głowę kota szczecina swego zarostu. - Kobiety tego nie lubią. Szkoda, że nie pijesz, Boyu. Poza tym robisz prawie wszystko.

Kot został pierwotnie nazwany od jachtu "Boise", ale już od dawna mężczyzna nazywał go w skrócie "Boy".

Przeczytał drugi list bez komentarzy, po czym wyciągnął rękę i napił się whisky z wodą.

- No cóż - powiedział. - Nic nam to nie daje. Coś ci powiem, Boy. Ty czytaj listy, a ja położę ci się na piersi i będę mruczał. Co ty na to?

Kot podsunął głowę, aby się otrzeć o brodę mężczyzny, a ten go potarł szczecina zarostu między uszami, wzdłuż tyłu głowy i między łopatkami, otwierając następny list.

- Martwiłeś się o nas, Boise, jak przyszła ta wieja? - zapytał. - Trzeba ci było widzieć, jak wchodziliśmy do portu, a fale przewalały się przez Morro. Wystraszyłyś się, Boy. Przyplłynęliśmy na piekielnych, olbrzymich, rozhuśtanych falach jak jakaś cholerna deska do surfingu.

Kot leżał zadowolony, oddychając zgodnym rytmem z człowiekiem. "To duży kot, długi i kochający - pomyślał mężczyzna - i wynędział po tyłu nocnych łowach."

- Zdziałałeś coś, kiedy mnie nie było, Boy? - Odłożył list i gładził kota pod kocem. - Dużo ich nałapałeś?

Kot przekręcił się na bok i nadstawił brzuch do głaskania, tak jak to robił będąc małym kotkiem w czasach, gdy on sam był szczęśliwy. Mężczyzna objął go i przycisnął do piersi, a duży kot ułożył się na boku, z głową pod jego brodą. Pod naciskiem rąk mężczyzny obrócił się nagle i położył płasko na nim, wpijając pazurki w sweter i przytulając się mocno. Teraz już nie mruczał.

- Przepraszam, Boyu - powiedział mężczyzna. - Strasznie cię przepraszam. Pozwól mi przeczytać ten następny cholerny list. Nie możemy nic zrobić. Ty nie wiesz, co by zrobić, prawda?

Kot leżał na nim, ciężki, milczący i zdesperowany. Mężczyzna gładził go i czytał list.

- Tylko spokojnie, Boy - powiedział. - Nie ma żadnego wyjścia. Jeżeli kiedyś znajdę jakieś wyjście, to ci powiem.

Kiedy skończył czytać trzeci i najdłuższy list, duży czarno-biały kot już spał. Spał w pozycji sfinksa, ale z głową opuszczoną na pierś mężczyzny.

“Strasznie się cieszę - myślał mężczyzna. - Powinienem się rozebrać, wziąć kąpiel i położyć do łóżka, tak jak należy, ale nie będzie gorącej wody, a dzisiaj nie zasnęłbym w łóżku. Za dużo było kołysania. Łóżko by mnie wyrzuciło. Pewnie i tutaj nie zasnę z tą starą bestią na sobie.”

- Boy - powiedział. - Muszę cię zdjąć, żeby się móc położyć na boku.

Podniósł ciężkie, bezwładne ciało kota, które nagle ożyło w jego rękach, a potem znowu zwiotczało, i ułożył go przy sobie, po czym przekręcił się i oparł na prawym łokciu. Kot leżał przy jego plecach. Miał za złe, że go ruszono, ale teraz spał znowu, skulony przy człowieku. Mężczyzna wziął wszystkie trzy listy i przeczytał je po raz drugi. Postanowił nie czytać gazet, wyciągnął rękę, zgasił światło i ułożył się na boku czując kota przytulonego do jego pośladków. Leżał obejmując obiema rękami jedną poduszkę, z głową na drugiej. Na dworze wiatr dął silnie, a podłoga pokoju wciąż jeszcze miała coś z rozkołysania pomostu na statku. Był na pomoście przez dziewiętnaście godzin, nim dopłynęli.

Leżał i starał się zasnąć, ale nie mógł. Oczywiście miał bardzo zmęczone i nie chciał zapalać światła ani czytać, więc tylko leżał i czekał na rano. Przez koce czuł pod sobą matę zrobioną na wymiary dużego pokoju, a przywiezioną z Samoa na jachcie na sześć miesięcy przed Pearl Harbor. Pokrywała całą wykładaną płytkami podłogę pokoju, a tam, gdzie wysokie drzwi wychodziły na patio, była poddarta i zagięta przez ich otwieranie, i czuł, jak wiatr dostaje się pod spód i wzdyma ją przenikając przez szparę pod framugą.

Przypuszczał, że ten wiatr będzie wiał z północo-zachodu co najmniej jeszcze jeden dzień, po czym odejdzie na północ i w końcu wydmucha się z północnego wschodu. Tak się przesuwał w zimie, ale mógł się utrzymać wiejąc silnie z północnego wschodu przez kilka dni, nimby opadł w brisa, co było miejscową nazwą północno-wschodniego pasatu. Wiejąc z siłą sztormu z północo-wschodu ku Golsztromowi wytwarzał dużą falę, jedną z największych, jakie mężczyzna oglądał gdziekolwiek, jasne więc było, że żaden Szkop nie wynurzy się wtedy na powierzchnię. “Wobec tego - pomyślał - będziemy na lądzie co najmniej cztery dni. Potem pokażą się na pewno.”

Pomyślał o tej ostatniej wyprawie i o tym, jak wieja złapała ich o sześćdziesiąt mil dalej, a trzydzieści od brzegów, i o ciężkiej drodze powrotnej, kiedy się zdecydował zawinąć do Hawany zamiast do Bahia Honda. Dał niewątpliwie szkołę statkowi. Dał mu ciężką szkołę i musiał teraz posprawdzać kilka rzeczy. Zapewne byłoby lepiej zawinąć do Bahia Honda. Ale ostatnio za często tam bywali. Poza tym był na morzu dwanaście dni, podczas gdy przewidywał nie więcej niż dziesięć. Zaczynało mu brakować pewnych rzeczy, a nie mógł mieć żadnej pewności, jak długo potrwa ta wieja; dlatego zdecydował się wpłynąć do Hawany i dostał takie cięgi. Rano wykąpie się, ogoli, oczyści i pójdzie złożyć raport attache morskiemu. Możliwe, że chcieli, aby pozostał tam przy wybrzeżach. Jednakże wiedział, że nic się nie wynurzy w taką pogodę; to było dla nich niepodobieństwem. Do tego wszystko się w gruncie rzeczy sprowadzało. Jeżeli miał słuszność, reszta byłaby okej, choć sprawy nie zawsze były takie proste. Z pewnością nie.

Podłoga stwardniała pod jego prawym biodrem i udem, i prawym ramieniem, więc się położył na wznak i oparł na mięśniach barków, podciągnawszy kolana pod kocem i przyciskając go piętami. To nieco złagodziło znużenie jego ciała; położył lewą dłoń na kocie i począł go gładzić.

- Ty się wspaniale odprężasz, Boy, i dobrze śpisz - powiedział do kota. - Z tego widzę, że nie jest najgorzej.

Przyszło mu na myśl, żeby wypuścić kilka innych kotów, aby miał do tego przemawiać i dla towarzystwa, teraz kiedy Boise spał. Jednakże zdecydował, że tego nie zrobi. To by sprawiło przykrość Boisemu i obudziłoby jego zazdrość. Boise stał przed domem i czekał na nich, gdy zajechali półciężarówką. Był strasznie podniecony i plątał się pod nogami podczas rozładowywania, witając wszystkich i wślizgując się i wymykając za każdym otwarciem drzwi. Zapewne czekał na dworze każdego wieczora, odkąd wyjechali. Z chwilą kiedy przychodził rozkaz wyjazdu, kot zaraz o tym wiedział. Z pewnością nie wiedział nic o rozkazach, ale znał pierwsze objawy przygotowań, i w miarę jak przechodzili

przez poszczególne fazy aż do końcowego rozgardiaszu, powodowanego przez ludzi nocujących w domu (zawsze im nakazywał spać u niego od północy, gdy wyruszali przed świtem), kot był coraz bardziej niespokojny i nerwowy, aż wreszcie, podczas załadunku przed odjazdem, wpadał w desperację i musieli pamiętać, żeby go zamknąć, aby nie pogonił za nimi drogą do wioski i dalej na szosę.

Kiedyś na Szosie Centralnej zobaczył uderzonego przez samochód kota, który, świeżo przejechany i zabity, wyglądał zupełnie jak Boy. Grzbiet miał czarny, a gardło, piersi i przednie łapy białe, i czarną maskę na pyszczku. Wiedział, że to nie może być Boy, bo od farmy było co najmniej sześć mil, ale coś go ścisnęło w środku, zatrzymał wóz, wrócił, podniósł kota i upewnił się, że to nie Boy, po czym położył go z boku drogi, żeby go już nic więcej nie przejechało. Kot był w dobrej kondycji, wiedział więc, że do kogoś należy, i zostawił go przy drodze, ażeby go znaleźli i dowiedzieli się, zamiast się o niego niepokoić. Gdyby nie to, zabrałby kota do samochodu i kazał go zakopać na farmie.

Kiedy tego wieczora wracał na farmę, kota nie było już tam, gdzie go zostawił, więc domyślił się, że właściciele musieli go znaleźć. Wieczorem, gdy siedział w dużym fotelu i czytał, mając Boisego przy swoim boku, pomyślał, że nie wie, co by zrobił, gdyby Boise został zabity. Sądząc po jego postępowaniu i desperacjach, przypuszczał, że kot czuje to samo w stosunku do niego.

“Przejmuje się jeszcze bardziej niż ja. Dlaczego tak jest, Boy? Gdybyś się mniej przejmował, byłoby ci dużo lepiej. Ja biorę wszystko najspokojniej, jak mogę - powiedział do siebie. - Naprawdę. Ale Boise tego nie potrafi.”

Na morzu rozmyślał o Boise, o jego dziwnych nawykach i desperackiej, beznadziejnej miłości. Pamiętał, jak go pierwszy raz zobaczył, kiedy Boise był małym kotkiem igrającym ze swoim odbiciem, w szklanym blacie kontuaru w barze w Cojimar, który był zbudowany na skałach ponad portem. Przyszli do tego baru w pogodny poranek Bożego Narodzenia. Było tam kilku pijaków, którzy pozostali po świętowaniu poprzedniego wieczora, ale wiatr wiał tak rzeźwo ze wschodu przez otwarte drzwi restauracji i baru, światło było tak jasne, a powietrze wydawało się takie świeże i chłodne, że nie był to poranek dla pijaków.

- Zamknij pan drzwi, bo wieje - powiedział jeden z nich do właściciela.

- Nie - odrzekł właściciel. - Mnie tak jest przyjemnie. Idź pan znaleźć sobie gdzieś osłonięte miejsce, jak panu tu za świeżo.

- Płacimy za to, żebyśmy byli zadowoleni - powiedział jeden z niedobitków nocnej pijatyki.

- Nie. Płacicie za to co pijecie. Znajdźcie sobie inne miejsce, jak chcecie być zadowoleni.

Mężczyzna popatrzał nad otwartym tarasem na morze, szafirowe z białymi grzywami fal i rybackimi łodziami żeglującymi po nim w różne strony i łowiącymi delfiny. Kilku rybaków stało przy barze i siedziało przy dwóch stolikach na tarasie. Byli to ci, którym dobrze poszło poprzedniego dnia albo którzy uważali, że ładna pogoda i prąd się utrzymają, i zaryzykowali pozostanie na święta. Żaden z rybaków znanych mężczyźnie, który nazywał się Thomas Hudson, nie chodził nigdy do kościoła, nawet w Boże Narodzenie, i żaden nie ubierał się świadomie jak rybak. Byli to najbardziej nie po rybacku wyglądający rybacy, jakich widział, a należeli do najlepszych. Mieli stare słomiane kapelusze albo gołe głowy. Nosili stare odzienie, czasem chodzili boso, a czasami w butach. Można było odróżnić rybaka od chłopca, czyli guajiro, bo ci przyjeżdżali do miasta w odświętnych plisowanych koszulach, wielkich kapeluszach, obcisłych spodniach i butach do konnej jazdy, i prawie wszyscy mieli maczety, gdy tymczasem rybacy nosili resztki starej odzieży, jaka im została, i byli weseli i pewni siebie. Ludzie ze wsi byli nieśmiali i pełni rezerwy, chyba że pili. Rybaka można było na pewno rozpoznać tylko po jego rękach. Ręce starych mężczyzn były sękaty i smagłe, nakrapiane plamami od słońca, a dłonie od wewnątrz i palce głęboko porżnięte i poznaczone bliznami od lin. Ręce młodych nie były sękaty, ale większość miała też plamy od słońca i głębokie blizny, a włosy na dłoniach i przedramionach wszystkich oprócz najbardziej ciemnoskórych były zjaśniałe od słońca i soli.

Thomas Hudson przypominał sobie, jak owego gwiazdkowego poranka, w pierwsze wojenne Boże Narodzenie, właściciel baru zapytał go: "Chciałby pan zjeść krewetek?" i przyniósł kopiaty talerz świeżo ugotowanych krewetek, i postawiwszy go na barze pokrajał żółtą limonę i poukładał plasterki na spodku. Krewetki były ogromne i różowe, a ich czułki zwisały przez krawędź baru na długość stopy z górą, i wziął jedną z nich, rozłożył długie wąsy na całą szerokość i powiedział, że są dłuższe niż wąsy japońskiego admirała.

Thomas Hudson odłamał głowę krewetki - admirała japońskiego, po czym otworzył kciukami skorupę od spodu i wyłuskał krewetkę, która była tak świeża i jedwabista pod zębami i miała taki aromat po ugotowaniu w morskiej wodzie, ze świeżym sokiem limonowym i całymi ziarnkami czarnego pieprzu, iż pomyślał, że nigdy nie jadł lepszej, nawet w Maladze czy Tarragonie, czy w Walencji. Wtedy to kotek podbiegł do niego po barze, otarł się o jego dłoń i poprosił o krewetkę.

- Za duże są dla ciebie, kociaczkę - powiedział. Ale oderwał kawałek jednej kciukiem i palcem wskazującym i dał go kotkowi, który odbiegł z nim na kontuar, gdzie sprzedawano tytoń, i zaczął jeść szybko i łapczywie.

Thomas Hudson popatrzał na kotka, ładnie znaczonego czarno i białą, z białą piersią i przednimi łapkami, i czarną jakby maseczką na oczach i czole, zjadającego krewetkę i mruczącego, i spytał właściciela baru, czy jest.

- Pański, jeżeli pan chce.

- Mam już dwa w domu. Perskie.

- Dwa to jest nic. Bierz pan tego. Doda im trochę krwi cojimarskiej.

- Papo, nie moglibyśmy go wziąć? - zapytał jeden z jego synów, o którym już teraz nie myślał, a który przyszedł ze schodków tarasu, skąd przypatrywał się przyplwającym łodziom rybackim i ludziom, którzy wyjmowali maszty, wyladowywali zwoje linek i wyrzucali na brzeg złowione ryby. - Papo, proszę cię, nie moglibyśmy go wziąć? To piękny kot.

- Myślisz, że byłoby mu dobrze z dala od morza?

- Na pewno, papo. Tutaj niedługo będzie nieszczęśliwy. Nie widziałeś jakie nieszczęśliwe są koty na ulicach? A pewnie kiedyś były takie same jak on.

- Bierz go pan - powiedział właściciel. - Będzie mu dobrze na farmie.

- Słuchaj, Tomas - powiedział jeden z rybaków, który przysłuchiwał się tej rozmowie od stolika. - Jeżeli chcesz kota, to mogę ci przywieźć angorskiego, prawdziwego angorskiego z Guanabacoa. Prawdziwego tygrysię angorczyka.

- Samca?

- Nie gorszego od ciebie - powiedział rybak. Siedzący przy stoliku roześmieli się.

Prawie wszystkie hiszpańskie dowcipy miały tę samą podstawę.

- Tyle że z futerkiem - rybak popróbował wywołać następny śmiech i osiągnął to.

- Papo, proszę cię, czy można wziąć tego kota? - poprosił chłopiec. - To samiec.

- Jesteś pewny?

- Tak, papo. Wiem na pewno.

- To samo mówiłeś o tych dwóch perskich.

- Perskie to co innego. Pomyliłem się co do nich, przyznaję. Ale teraz wiem, papo.

Teraz naprawdę wiem.

- Słuchaj, Tomas. Chcesz tego angorskiego tygrysa z Guanabacoa?

- A co on jest? Zaczarowany kot?

- Guzik tam, zaczarowany. Ten kot nawet nigdy nie słyszał o świętej Barbarze. Jest bardziej chrześcijański od ciebie.

- Es muy posible (bardzo możliwe) - powiedział inny rybak i wszyscy się roześmieli.

- Ile kosztuje to sławne zwierzę? - zapytał Thomas Hudson.

- Nic. To jest prezent. Prawdziwy tygrys angorski. Prezent na Gwiazdkę.

- Chodź do baru, napij się czegoś i opisz mi go.

Rybak podszedł do baru. Miał okulary w rogowej oprawie i czystą, spłowiałą niebieską koszulę, która wyglądała na to, że nie przetrzyma następnego prania. Na plecach między ramionami była cienka jak pajęczyna i materiał zaczynał pękać. Rybak miał na sobie spłowiałe zielonkawe spodnie i był boso w Boże Narodzenie. Twarz i ręce miał opalone na kolor ciemnego drewna, położył poznaczone bliznami dłonie na barze i powiedział do właściciela:

- Whisky z piwem imbirowym.

- Od tego piwa mnie mdli - powiedział Thomas Hudson. - Poproszę z wodą mineralną.

- Mnie robi doskonale - rzekł rybak. - Lubię Canada Dry. Inaczej whisky mi nie smakuje. Słuchaj, Thomas. Ten kot to poważna rzecz.

- Papo - odezwał się chłopiec. - Możemy wziąć tego kota, zanim zaczniesz pić z tym panem?

Uwiązał skorupkę krewetki na białej bawełnianej nitce i bawił się z kotkiem, który stawał na tylnych łapach niczym heraldyczny lew, boksując się z przynętą podrzucaną mu przez chłopca.

- A chcesz go?

- Wiesz, że chcę.

- Możesz go wziąć.

- Bardzo ci dziękuję. Zaniosę go do samochodu, żeby go oswoić.

Thomas Hudson patrzył na chłopca przechodzącego przez ulicę z kotkiem w objęciach i sadowiącego się z nim na przednim siedzeniu. Dach samochodu był opuszczony i od baru widział chłopca, z ciemnymi włosami przygładzonymi przez wiatr, siedzącego w otwartym wozie w jaskrawym świetle słonecznym. Kotka nie widział, bo chłopiec położył go na siedzeniu i wcisnąwszy się w nie dla osłony od wiatru gładził go.

Teraz chłopca już nie było, a kotek wyrósł na starego kota i przeżył chłopca. Thomas Hudson pomyślał, że zważywszy to, co obecnie czuli on sam i Boise, żaden nie chciałby przeżyć drugiego. "Nie wiem, ile ludzi i zwierząt było dotychczas w sobie zakochanych -

pomyślał. - To pewnie jest bardzo komiczna sytuacja. Ale ja jej wcale nie uważam za komiczną.”

“Nie - myślał. - Nie uważam tego za komiczne, tak samo jak nie jest komiczne, żeby kot jakiego chłopca przeżył.” Z pewnością jest także wiele rzeczy komicznych, jak wtedy gdy Boise mruknął, a potem wydał ten nagły, tragiczny krzyk i wyprężył się na całą długość, przywierając do swego pana. Służący mówili, że czasem nie chciał nic jeść przez kilka dni, gdy jego pan wyjechał, ale głód zawsze zmuszał go do tego. Chociaż zdarzały się takie dni, kiedy próbował wyżywić się z polowania i nie wracał z innymi kotami, zawsze w końcu przychodził i wyskakiwał z pokoju nad grzbietami innych cisnących się kotów, kiedy otwierał drzwi posługacz, który przynosił tacę mielonego mięsa - a później dawał z powrotem susa nad nimi wszystkimi, kiedy kłębiły się wokoło chłopaka, który przyniósł jedzenie. Zawsze jadł bardzo prędko, a gdy tylko skończył, zaraz chciał wyjść z izby dla kotów. Nie było kota, którego by lubił z jakiegokolwiek powodu.

Od dawna już mężczyzna przypuszczał, że Boise uważa się za istotę ludzką. Nie popijał ze swoim panem, jak by to robił niedźwiedź, ale jadał wszystko to co on, zwłaszcza wszelkie takie rzeczy, których koty nie chcą tknąć. Thomas Hudson pamiętał ubiegłe lato, kiedy jedli razem śniadanie i poczęstował Boisego plasterkiem świeżego, mrożonego mango. Boise zjadł go ze smakiem i co rano dostawał mango, kiedy Thomas Hudson przebywał na łodzi i póki trwał sezon na mango. Musiał podawać mu plasterki, żeby kot mógł wziąć je do pyszczka, bo były za śliskie, aby je brał z talerza, i przyszło mu do głowy, że trzeba będzie zrobić jakąś podstawkę, taką jak na grzanki, żeby mógł brać je nie musząc się spieszyć.

Później, kiedy drzewa avocado odmiany “aligator”, te duże, ciemnozielone aguacates o owocach tylko trochę ciemniejszych i bardziej błyszczących od listowia zaczęły owocować, wówczas gdy we wrześniu przebywał na łodzi dla przeprowadzenia napraw, gotując się do wyjazdu na Haiti, dał Boisemu łyżeczkę miąższu z wydrążenia po pestce, wypełnionego sosem z oliwy i octu, i kot to zjadł, a później przy każdym posiłku zjadał połówkę aguacate.

- Czemu nie włazisz na drzewa i nie zrywasz ich sobie? - zapytał Thomas Hudson kota, kiedy się razem przechadzali po pagórkach na posiadłości. Ale Boise oczywiście nie odpowiedział.

Któraś wieczora znalazł go na drzewie “aligator”, gdy wyszedł o zmierzchu przejść się i popatrzeć na stado kosów lecące w stronę Hawany, gdzie ściągały co wieczór z całej okolicy na południe i wschód, obsiadając hałaśliwie wielkimi stadami hiszpańskie drzewa

laurowe w Prado. Thomas Hudson lubił obserwować kosy lecące nad wzgórzami i pierwsze nietoperze pojawiające się wieczorem, i małe sówki, które rozpoczynały swoje nocne loty, kiedy słońce osuwało się w morze za Hawanę, a światła zaczynały zapalać się na wzgórzach. Tego wieczora brak mu było Boisego, który prawie zawsze z nim chodził, więc zabrał ze sobą na spacer Wielkiego Kozła, jednego z synów Boisego, pleczystego, grubokarkiego, szerokomordego, wąsatego czarnego kota bojowego. Kozioł nigdy nie polował. Był wojownikiem i rozplodowcem i to mu wypełniało czas. Ale był wesoły, kiedy nie wchodziła w grę jego robota, i lubił spacerować, zwłaszcza jeżeli Thomas Hudson zatrzymywał się od czasu do czasu i trącał go mocno stopą, żeby położył się płasko na boku. Wtedy Thomas Hudson gładził go stopą po brzuchu. Trudno byłoby głaskać Kozła za mocno czy za szorstko i równie chętnie dawał się głaskać butem, jak bosą stopą.

Thomas Hudson właśnie się schylił i poklepał go - kot lubił, gdy go klepano równie mocno, jak klepie się dużego psa - kiedy podniósłszy głowę zobaczył Boisego wysoko na drzewie. Kozioł spojrzał w górę i też go zobaczył.

- Co ty tam robisz, stary draniu? - zawołał Thomas Hudson. - Zacząłeś wreszcie zjadać je na drzewie?

Boise spojrzał na nich i spostrzegł Kozła.

- Zleż, to pójdziemy na spacer - powiedział Thomas Hudson. - Dam ci aguacate na kolację.

Boise patrzył na Kozła i nic nie mówił.

- Strasznie przystojnie wyglądasz między tymi ciemnozielonymi liśćmi. Siedź sobie tam, jeżeli chcesz.

Boise odwrócił od nich wzrok, a Thomas Hudson i duży czarny kot poszli dalej między drzewami.

- Myślisz, że on jest wariat, Kozle? - zapytał mężczyzna. A potem, chcąc się przypodobać kotu, zapytał: - Pamiętasz tę noc, kiedy nie mogliśmy znaleźć lekarstwa?

Lekarstwo było dla Kozła słowem magicznym, toteż gdy tylko je usłyszał, położył się na boku do głaskania.

- Pamiętasz lekarstwo? - zapytał mężczyzna, a kocur przeciągnął się w swym zaborczym, szorstkim zachwycie.

Lekarstwo stało się dla niego magicznym słowem pewnej nocy, gdy jego pan był pijany, naprawdę pijany, i Boise nie chciał z nim spać. Princessa też nie chciała z nim sypiać, gdy był pijany, a Willy to samo. Żaden kot nie chciał z nim sypiać, kiedy się upił, z wyjątkiem Odludka, co było pierwszym imieniem Wielkiego Kozła, i Brata Odludka, który

w rzeczywistości był jego siostrą i kotem nieszczęśliwym, mającym wiele zmartwień oraz rzadkie uniesienia. Kozioł wolał Thomasa Hudsona po pijanemu niż na trzeźwo, czy może wydawało się tak dlatego, że sypiał z nim tylko wtedy, gdy Hudson był pijany. Jednakże wtedy Thomas Hudson przebywał na łądzie od blisko czterech dni i upił się naprawdę. Zaczęło się to w południe, we "Floridicie", i pił najpierw z kubańskimi politykami, którzy tam wpadli spragnieni jednego szybkiego, z plantatorami trzciny cukrowej i plantatorami ryżu, z funkcjonariuszami rządu kubańskiego, którzy pili przez całą przerwę obiadową, z drugimi i trzecimi sekretarzami ambasady pilotującymi kogoś do "Floridity", z nieuniknionymi ludźmi z FBI, którzy byli sympatyczni i wszyscy tak bardzo starali się wyglądać na przeciętnych, schludnych młodych Amerykanów, że wyodrębniali się równie wyraźnie, jak gdyby nosili naramienne odznaki swojego urzędu na białych płóciennych czy bawełnianych ubraniach. Pił podwójne mrożone daiquiri, te duże, które robił Constante i które nie miały smaku alkoholu, i kiedy się je piło, dawały takie poczucie jak wówczas, gdy zjeżdża się na nartach z lodowca po śnieżnym puchu, a po szóstym i ósmym przypominały taki zjazd, kiedy się szusuje bez ubezpieczenia. Weszli jacyś marynarze, których znał, więc też z nimi wypił, a potem z członkami tak zwanej naówczas Chuligańskiej Marynarki, czyli Straży Przybrzeżnej. To już zaczynało być zbyt blisko spraw, którymi się zajmował i od których chciał uciec pijąc, więc przeniósł się na drugi koniec baru, gdzie siedziały stare, szanowne kurwy, wspaniałe stare kurwy, z którymi każdy stały bywalec "Floridity" przespał się kiedyś w ciągu ostatnich lat dwudziestu - i usiadł z nimi na stołku, zjadł klubowego sandwicza i wypił jeszcze parę podwójnych mrożonych.

Kiedy tej nocy wrócił na farmę, był bardzo pijany i żaden z kotów nie chciał z nim spać oprócz Kozła, który nie był uczulony na zapach rumu, nie miał uprzedzeń do pijaństwa i lubował się w bujnym zapachu kurw, tak esencjonalnym jak dobry gwiazdkowy tort z owocami. Spali razem ciężkim snem, Kozioł mrucał głośno, ilekroć się budził, a w końcu Thomas Hudson ocknąwszy się i wspomniawszy, ile wypił, powiedział do niego:

- Musimy wziąć lekarstwo.

Kozłowi spodobał się dźwięk tego słowa, które symbolizowało całe bogate życie, w jakim uczestniczył, więc zamruczał mocniej niż kiedykolwiek.

- Gdzie jest lekarstwo, Kozle? - zapytał Thomas Hudson. Chciał zapalić lampę przy łóżku, ale nie działała. Podczas burzy, która go przetrzymała na łądzie, zerwały się albo spaliły przewody, jeszcze ich nie naprawiono i nie było elektryczności. Pomacał po nocnym stoliku szukając dużej, podwójnej kapsułki seconalu, ostatniej, jaką miał, która by go uśpiła, a potem pozwoliła obudzić się rano bez kaca. Sięgając po ciemku zrzucił ją ze

stolika i nie mógł jej znaleźć. Macał starannie po całej podłodze, ale nie znalazł. Nie miał przy łóżku zapalek, ponieważ nie palił, a bateria latarki została zużyta przez służących, kiedy go nie było, i była wyczerpana.

- Koźle - powiedział. - Musimy znaleźć lekarstwo.

Wstał z łóżka, Koziół zeskoczył na podłogę i zaczęli szukać lekarstwa. Koziół wlaź pod łóżko nie wiedząc, na co poluje, ale robił, co mógł, a Thomas Hudson powiedział mu:

- Lekarstwo, Koźle. Poszukaj lekarstwa.

Koziół popiskiwał pod łóżkiem i przetrząsał cały teren. W końcu wyszedł mrucząc, a Thomas Hudson, macając po podłodze, dotknął kapsułki. Wyczuł palcami, że jest zakurzona i oblepiona pajęczyną. Znalazł ją Koziół.

- Znalazłeś lekarstwo - powiedział do Kozła. - Jesteś kot-cudo.

Opłukał na dłoni kapsułkę wodą z karafki stojącej przy łóżku, połknął ją i popił wodą, po czym położył się czując, jak powoli zaczyna działać, i chwalił Kozła, a duży kot mruczał na te pochwały i odtąd zawsze lekarstwo było dla niego słowem magicznym.

Na morzu rozmyślał zarówno o Koźle, jak o Boiem. Ale w Koźle nie było nic tragicznego. Aczkolwiek przechodził niegdyś naprawdę złe chwile, był absolutnie nienaruszony i nawet gdy został pobity w swoich najstraszliwszych walkach, nie był nigdy żalony. Nawet jeżeli nie mógł dojść do domu i kładł się pod drzewem mango poniżej tarasu, zasapany i mokry od potu, tak że widziało się, jaki masywny ma grzbiet, a jakie chude i zapadłe boki, gdy leżał tak, zbyt zmordowany, aby się ruszyć, usiłując nabrać powietrza w płuca, nie był nigdy żalony. Miał szeroką głowę lwa i był równie niepokonany. Lubiał Thomasa Hudsona, a on lubił jego, szanował go i kochał. Jednakże nie było mowy, żeby Koziół był zakochany w nim czy on w Koźle, tak jak to zdarzyło się z Boiem.

Boise robił się po prostu coraz gorszy i gorszy. Tego wieczora, kiedy znaleźli go na drzewie "aguacate", nie wrócił do późna i nie przyszedł, kiedy jego pan kładł się do łóżka. Thomas Hudson sypiał wtedy na dużym łóżku w sypialni na drugim końcu domu, gdzie były wielkie okna z trzech stron pokoju, a w nocy przewiew. Kiedy się zbudził, słuchał głosów nocnych ptaków, czuwał i nasłuchiwał, gdy wtem usłyszał Boisego wskakującego na parapet okienny. Boise był kotem bardzo cichym. Ale odezwał się do człowieka, gdy tylko się znalazł na parapecie, i Thomas Hudson podszedł i otworzył siatkową zasłonę. Boise wskoczył do środka. Miał w pysku dwie myszy polne.

W świetle księżyca, które wpadając przez okno rzucało cień pnia drzewa ceiba na szerokie białe łóżko, Boise bawił się myszami. Skacząc i zawracając, podrzucając je po podłodze, a potem odnosząc jedną, aby przycupnąć i rzucić się na drugą, bawił się tak

dziko jak wówczas, kiedy był małym kotkiem. Następnie zaniósł je do łazienki, a potem Thomas Hudson poczuł jego ciężar, gdy wskoczył na łóżko.

- Więc nie zjadałeś mango z drzewa? - zapytał. Boise potarł o niego głową.

- Polowałeś i pilnowałeś posiadłości? Mój stary kocie i bracie Boise. Nie zjesz ich teraz, kiedy je masz?

Boise tylko pocierał o niego głową i mruczał tym swoim cichym mruczeniem, a potem, ponieważ był zmęczony po polowaniu, usnął. Jednakże spał niespokojnie, a rano nie okazał żadnego zainteresowania martwymi myszami.

Teraz już dniało i Thomas Hudson, który nie mógł zasnąć, patrzył, jak się rozwidnia, a popielate pnie palm królewskich majaczą w szarówce brzasku. Najpierw widział tylko pnie i zarysy koron. Potem, gdy pojaśniało, dojrzał korony palm rozwiane na wietrze, a kiedy słońce zaczęło wychodzić zza wzgórz, pnie palm stały się białawoszare, ich rozwiane liście jasnozielone, trawa na pagórkach brunatna po zimowej suszy, a wapienne szczyty dalekich wzgórz nadawały im taki wygląd, jak gdyby były pokryte śniegiem.

Wstał z podłogi, włożył mokasyny i starą wełnianą kurtkę i zostawiwszy Boisego, który spał zwinięty na kocu, przeszedł przez salon do jadalni, a stamtąd do kuchni. Kuchnia była w północnym końcu jednego ze skrzydeł domu; na dworze szalał wiatr przyginając do ścian i okien nagie gałęzie drzewa flamboyan. W lodówce nie było nic do jedzenia, a osłonięte siatką schowanko ogołocone ze wszystkiego z wyjątkiem przypraw, puszki amerykańskiej kawy, drugiej z herbatą Liptona oraz blaszanki oleju z orzeszków ziemnych do gotowania. Chińczyk, który gotował, kupował na targu żywność na każdy dzień. Nie spodziewali się powrotu Thomasa Hudsona i Chińczyk zapewne już poszedł na targ, żeby zakupić na ten dzień jedzenie dla służby. "Jak przyjdzie któryś z chłopaków, pošlę go do miasta po jajka i owoce" - pomyślał Thomas Hudson.

Zagotował trochę wody i zrobił sobie dzbanek herbaty, i zabrał go wraz z filiżanką i spodkiem do salonu. Słońce już weszło, w pokoju było widno i usiadł w dużym fotelu, popijał gorącą herbatę i przypatrywał się obrazom na ścianach w świeżym, jasnym, zimowym świetle słonecznym. "Może trzeba by niektóre pozmienić - pomyślał. - Najlepsze są w mojej sypialni, a teraz już wcale tam nie przebywam."

Po pobycie na statku salon wydawał się z fotela ogromny. Nie wiedział, jaka jest jego długość. Pamiętał, kiedy zamawiał maty, ale później zapomniał. Bez względu na to, jaki był długi, wydawał się trzy razy dłuższy tego rana. To była jedna z właściwości powrotu na ląd, to oraz fakt, że w lodówce niczego nie było. Uczucie kołysania statku na wielkich wzburzonych falach, które spiętrzył wiatr północno-zachodni dmąc poprzez ostry prąd, już

całkiem przeszło. Teraz było od niego równie dalekie jak samo morze. Spoglądając przez otwarte drzwi białego pokoju i przez okna widział morze za porośniętymi kępami drzew pagórkami, które przecinała szosa, za dalszymi gołymi wzgórzami, na których wznosiły się stare fortyfikacje miejskie, za portem oraz białością miasta. Ale morze było jedynie błękitem za tą daleką, białą połącią miasta. Było w tej chwili odległe jak wszystkie rzeczy minione i chciał, aby takie pozostało teraz, kiedy już przeszło to kołysanie, dopóki nie przyjdzie pora wypłynąć na nie znowu.

“Szkopy mogą mieć spokój na cztery najbliższe dni - pomyślał. - Ciekaw jestem, czy ryby trzymają się blisko pod nimi i czy się kręcą dokoła, kiedy są zanurzeni przy takiej pogodzie. Ciekawe, jak daleko w głąb sięga ruch morza. W tych wodach są ryby na każdej głębokości, na którą tamci się zanurzają. Ryby pewnie bardzo się tym interesują. Spód niektórych okrętów podwodnych musi być porządnie obrośnięty i ryby na pewno uganiają się dokoła. Chociaż może nie jest zanadto obrośnięty przy tak ruchliwej służbie. Ale ryby i tak muszą być wkoło nich.” Chwilę pomyślał o morzu i o tym, jakie musi być dzisiaj z dala od brzegu, z górami błękitnej wody i bielą dymiącą z ich grzyw, a potem odsunął to od siebie.

Kot śpiący na kocu obudził się, kiedy człowiek wyciągnął rękę i pogładził go. Ziewnął, rozprostował przednie łapy, po czym zwinął się znowu.

- Nigdy nie miałem dziewczyny, która budziłaby się razem ze mną - powiedział mężczyzna. - A teraz nie mam nawet kota, który by to robił. Śpij dalej, Boy. Zresztą to jest cholerne kłamstwo. Miałem dziewczynę, która budziła się, kiedy ja się budziłem, a nawet przede mną. Nigdy jej nie znałeś, nie znałeś nigdy kobiety, która byłaby coś warta. Miałeś pecha, Boise. Do diabła z tym.

Wiesz co? Powinniśmy mieć jakąś dobrą kobietę. Moglibyśmy zakochać się w niej obaj. Gdybyś potrafił ją utrzymywać, mógłbyś ją mieć. Tylko że nigdy nie widziałem takiej, która potrafiłaby żywić się przez dłuższy czas myszami.

Herbata na chwilę stępiła jego głód, ale teraz był głodny znowu. Na morzu zjadłby solidne śniadanie już godzinę temu, a jeszcze godzinę przedtem pewnie wypiłby kubek herbaty. W powrotnej drodze zanadto huštało, żeby coś gotować, więc zjadł na pomoście kilka sandwiczów z wołowiną i grubymi plasterkami surowej cebuli. Ale teraz był bardzo głodny i zły, że w kuchni nic nie ma. “Muszę kupić trochę konserw i trzymać je tutaj na moment powrotu - pomyślał. - Ale trzeba będzie mieć kredens z zamkiem, żeby tego nie pozjadali, a nie cierpię zamykać żywności w domu.”

W końcu nalał sobie szkockiej whisky z wodą, zasiadł w fotelu, czytał dzienniki, które się nagromadziły, i czuł, jak trunek uśmierza głód i łagodzi nerwowość wywołaną powrotem do domu. “Dziś możesz popić, jeżeli chcesz - powiedział sobie. - Gdy tylko się zameldujesz. Przy takim zimnie nie będzie dużo ludzi we “Floridzie”. Jednak miło będzie znaleźć się tam znowu.” Nie wiedział, czy zjeść coś tam, czy w “Pacífico”. “W “Pacífico” też będzie zimno - pomyślał. - Ale włożę sweter i kurtkę, a jest tam stolik pod ścianą przy barze, gdzie nie będzie wiało.”

- Szkoda, że nie lubisz podróżować, Boy - powiedział do kota. - Moglibyśmy fajnie spędzić dzień w mieście.

Boise nie lubił podróżować. Był przerażony, że to oznacza odwożenie do weterynarza. Nadal bał się weterynarzy. “Z Kozła byłby dobry kot samochodowy - pomyślał Thomas Hudson. - Pewnie byłby też doskonałym kotem okrętowym, gdyby nie pryskająca woda. Powinienem wypuścić wszystkie koty. Szkoda, że nie mogłem im przywieźć jakiegoś prezentu. Kupię w mieście kocimiętki, jeżeli jest, i dzisiaj upiję nią Kozła, Willa i Boya. Powinno jeszcze być jej trochę na półce w izbie dla kotów, jeżeli zanadto nie wyschła i nie utraciła mocy.” W tropikach traciła moc bardzo prędko, a kocimiętka, którą się hodowało w ogrodzie, nie miała jej wcale. “Szkoda, że my, nie-koty, nie mamy czegoś, co byłoby równie nieszkodliwe jak kocimiętka, a dawało taki sam skutek. Czemu nie mamy czegoś takiego, czym moglibyśmy się upijać?”

Koty były bardzo dziwne, jeżeli idzie o kocimiętkę. Boise, Willy, Kozioł, Brat Odludka, Malec, Futrzarz i Komandos przepadały za nią. Princessa, bo takie imię nadała służba niebieskiej perskiej kotce Baby, nigdy nie tykała kocimiętki, tak samo jak Wuj Wilczek, szary pers. U Wujka Wilczka, który był równie głupi, jak piękny, mogła to być głupota albo wyspiarskość. Wuj Wilczek nie chciał nigdy spróbować niczego nowego i obwąchiwał ostrożnie każdy nowy pokarm, dopóki nie zjadły go inne koty, wtedy zaś nic dla niego nie zostawało. A Princessa, babka wszystkich kotów, która była inteligentna, delikatna, z wzniosłymi zasadami, arystokratyczna i ogromnie kochająca, bała się zapachu kocimiętki i uciekała od niej jak od zarazy. Princessa była kotką tak delikatną i arystokratyczną, dymnoszarą ze złotymi oczami, świetnymi manierami oraz tak wielką godnością, że jej okresy grzania się były jak wstęp, wyjaśnienie i w końcu ujawnienie wszystkich skandali domów królewskich. Odkąd zobaczył grzejącą się Princessę, nie za tym pierwszym, tragicznym razem, ale kiedy już była dorosła i piękna, i tak raptownie przeszła od całej swojej godności i zrównoważenia do wyuzdania, Thomas Hudson wiedział, że nie chciałby umrzeć nie posiadłszy jakiejś księżniczki równie ślicznej jak Princessa.

Powinna by być równie poważna, delikatna i piękna jak Princessa, zanimby zakochali się w sobie i zostali kochankami, a wtedy musiałyby być równie bezwstydna i wyuzdana w łóżku jak ona. Niekiedy śnił w nocy o tej księżniczce i żadna rzecz, która by się zdarzyła, nie mogła być lepsza od owych snów, ale pragnął tego rzeczywiście i naprawdę i był zupełnie pewny, że będzie to miał, jeżeli taka księżniczka istnieje.

Sęk w tym, że jedyna księżna, jaka została jego kochanką, poza księżniczkami włoskimi, które się nie liczyły, była całkiem zwyczajną kobietą o grubawych kostkach i niezbyt dobrych nogach. Miała jednak piękną północną cerę i lśniące starannie wyczesane włosy, i lubił jej twarz i oczy, i lubił ją, i dobrze mu było trzymać jej dłoń w swojej, gdy stali przy relingu płynąc kanałem ku światłom Ismailii. Lubili się wzajem bardzo i byli już bliscy zakochania się w sobie, na tyle bliscy, że musiała uważać na ton, jakim mówili w obecności innych ludzi; na tyle bliscy, że teraz kiedy trzymali się za ręce oparci w ciemnościach o reling, wyczuwał bez żadnej wątpliwości, co dzieje się między nimi. Wyczuwając to i mając pewność, mówił z nią o tym i zapytał o coś, ponieważ kładli ogromny nacisk na całkowitą wzajemną szczerłość we wszystkim.

- Chciałabym tego bardzo - odpowiedziała. - Jak wiesz. Ale nie mogę. Jak wiesz.

- Przecież jest jakiś sposób - powiedział wtedy Thomas Hudson. - Zawsze jest jakiś sposób.

- Masz na myśli łódź ratunkową? - spytała. - Nie chciałabym, żeby to się stało w takiej łodzi.

- Posłuchaj - rzekł i położył dłoń na jej piersi czując, jak się pręży i ożywa pod jego palcami.

- To miłe - przerwała. - Ale ich jest dwie.

- Wiem.

- Bardzo miłe - powiedziała. - Wiesz, ja cię kocham. Przekonałam się właśnie dzisiaj.

- Jak?

- Po prostu się przekonałam. To nie było takie strasznie trudne. A ty nie przekonałeś się o czymś?

- Nie musiałem się przekonywać - skłamał.

- To dobrze - powiedziała. - Ale łódź ratunkowa nie jest dobra. Twoja kabina nie jest dobra. I moja też.

- Moglibyśmy pójść do kabiny barona.

- W kabinie barona zawsze ktoś jest. Ten zepsuty baron. Prawda, że miło mieć zepsutego barona jak za dawnych czasów?

- Tak - powiedział. - Ale mógłbym przypilnować, żeby tam nikogo nie było.

- Nie. To na nic. Po prostu kochaj mnie mocno tak jak jest. Czuj, że mnie kochasz ze wszystkich sił, i rób to, co robisz w tej chwili.

Zrobił to, a potem jeszcze coś.

- Nie - powiedziała. - Tego nie. Tego nie mogłabym wytrzymać.

Wtedy sama zrobiła coś i spytała:

- Możesz to wytrzymać?

- Tak.

- Dobrze. Wytrzymam tak doskonale. Nie. Nie całuj mnie. Jeżeli mnie pocałujesz tu, na pokładzie, to równie dobrze możemy zrobić wszystko inne.

- Dlaczego nie robimy wszystkiego innego?

- Gdzie, Thomas? Gdzie? Powiedz mi, gdzie?

- Powiem ci czemu.

- To wiem dobrze. Problemem jest gdzie.

- Kocham cię bardzo.

- O tak. Ja też cię kocham. I nic dobrego z tego nie wyjdzie poza tym, że się kochamy, co jest dobre.

Wtedy coś zrobił, a ona powiedziała:

- Proszę cię. Jeżeli będziesz to robił, będę musiała odejść.

- Usiądźmy.

- Nie. Postójmy tak jak teraz.

- Podoba ci się to, co robisz?

- Tak. Bardzo. Masz coś przeciwko temu?

- Nie. Ale tak nie można bez końca.

- Dobrze - powiedziała, obróciła głowę, pocałowała go szybko, a potem znów popatrzała na pustynię, wzdłuż której płynęli wśród nocy. Była zima, noc chłodna i stali przytuleni patrząc prosto przed siebie. - W takim razie możesz to zrobić. Futro nurkowe w końcu na coś się przyda w tropikach. Ale nie będziesz tego miał przede mną?

- Nie.

- Obiecujesz?

- Tak.

- Och, proszę cię. Teraz.

- Chcesz?

- Och, tak. Z tobą każdej chwili. Teraz. Teraz. Och, tak. Teraz.

- Naprawdę?

- Tak. Wierz mi, teraz.

Potem znowu tam stali, światła były znacznie bliżej, a brzegi kanału i przestrzeń za nimi przesuwały się nadal.

- Teraz się mnie wstydzisz? - spytała.

- Nie. Bardzo cię kocham.

- Ale to dla ciebie niedobre, a ja byłam samolubna.

- Nie. Nie uważam, żeby było niedobre. A ty nie jesteś samolubna.

- Nie myśl, że to było zmarnowane. Nie było. Dla mnie naprawdę nie.

- W takim razie nie było zmarnowane. Pocałuj mnie, dobrze?

- Nie. Nie mogę. Tylko obejmij mnie mocno.

Później spytała:

- Nie masz mi za złe, że taka jestem do niego przywiązana?

- Nie, On jest bardzo dumny.

- Powiem ci sekret.

Powiedziała mu sekret, który nie był dla niego wielką niespodzianką.

- Czy to jest bardzo rozwiąże?

- Nie - odrzekł. - To jest miłe.

- Och, słuchaj - powiedziała. - Kocham cię bardzo. Proszę cię, idź i odpocznij, a później wróć do mnie tutaj. Może byśmy wypili butelkę szampana u "Ritza"?

- Byłoby cudownie. A co z twoim mężem?

- Dalej gra w bridża. Widzę go przez okno. Jak skończy, poszuka nas i przyłączy się do nas.

Poszli więc do "Ritza", który znajdował się na rufie statku, i wypili butelkę Perrier-Jouet Brut 1915, a potem drugą, i po jakimś czasie przyłączył się do nich książę. Książę był bardzo miły i Hudson go lubił. Polowali w Afryce Wschodniej, tak samo jak on, i spotkał się już z nimi w Klubie Muthaiga i u Torra w Nairobi, i wsiedli na ten sam statek w Mombasie. Był to statek wycieczkowy płynący dookoła świata i zatrzymał się w Mombasie po drodze do Suez, na Morze Śródziemne, a w końcu do Southampton. Był superluksusowym statkiem, na którym wszystkie kabiny były prywatnymi apartamentami. Został wynajęty na podróż dookoła świata, tak jak wynajmowano statki w owych latach, ale część pasażerów wysiadła w Indiach, a jeden z tych ludzi, co wiedzą wszystko, powiedział Thomasowi Hudsonowi w Klubie Muthaiga, że statek wraca z paroma wolnymi miejscami i że można nim popłynąć za całkiem umiarkowaną cenę. Powtórzył to księciu i księżnej,

którym nie przypadł do gustu lot do Kenii w owych czasach, kiedy samoloty Handley-Page były takie powolne, a lot tak długi i męczący, i zachwycili się pomysłem takiej podróży oraz ceną.

- Będziemy mieli przemiłą podróż, a pan jest wspaniały, że się o tym dowiedział - oświadczył książę. - Zadzwoń do nich jutro w tej sprawie.

Podróż była rzeczywiście przemiła, Ocean Indyjski błękitny, statek wypłynął powoli z nowego portu, a potem została w tyle Afryka i stare, białe miasto z wielkimi drzewami i całą zielenią za nim, fale rozbijały się o rafę, gdy ją mijali, a później statek nabrał szybkości i znalazł się na otwartym oceanie, i latające ryby wypryskiwały z wody przed dziobem. Afryka zmalowała do długiej błękitnej linii za nimi, steward uderzał w gong, a Thomas Hudson, książę, księżna i baron, który był ich starym przyjacielem i mieszkał tam, i był naprawdę zepsuty, popijali w barze dry martini.

- Nie zwracajcie uwagi na ten gong, zjemy lunch u "Ritza" - powiedział baron. - Zgadza się?

Thomas Hudson nie spał z księżną na statku, chociaż zanim dotarli do Hajfy, robili już tyle innych rzeczy, że oboje doszli do jakiejś ekstazy desperacji, która była tak przemożna, że prawo powinno by wymagać, by spali ze sobą, ile by tylko zdołali, po prostu dla uspokojenia nerwów, jeżeli już nie z żadnej innej przyczyny. Zamiast tego zrobili z Hajfy wycieczkę samochodem do Damaszku. Jadąc tam Thomas Hudson siedział na przednim siedzeniu obok szofera, a oni dwoje z tyłu. Thomas Hudson zobaczył wtedy niewielką część Ziemi Świętej, niewielką część krainy T.E. Lawrence'a, wiele chłodnych wzgórz i sporo pustyni, a w drodze powrotnej siedzieli z tyłu, książę zaś na przedzie, obok szofera. Jadąc z powrotem Thomas Hudson widział tył głowy księcia oraz tył głowy szofera i pamiętał, że droga z Damaszku do Hajfy, gdzie statek stał na kotwicy, biegnie wzdłuż rzeki. Rzeka płynie przez stromy wąwóz, który jednakże jest bardzo niewielki, taki jaki byłby na mapie plastycznej w małej skali, a w tym wąwozie jest wyspa. Wyspę zapamiętał najlepiej z całej podróży.

Wycieczka do Damaszku niewiele pomogła i kiedy opuścili Hajfę i statek płynął przez Morze Śródziemne, a oni stali na pokładzie łodziowym, gdzie było zimno od północno-wschodniego wiatru, który wywoływał falę, tak że statek zaczynał powoli kołysać, powiedziała do niego:

- Musimy coś zrobić.
- Lubisz niedomówienia?
- Nie. Chcę iść do łóżka i zostać w nim przez tydzień.

- Tydzień to nie bardzo długo.
- No to miesiąc. Ale musimy zrobić to zaraz, a zaraz nie możemy.
- Możemy zejść do kabiny barona.
- Nie. Nie chcę tego robić, dopóki nie będziemy mogli naprawdę bez niepokoju.
- Co teraz czujesz?
- Tak jakbym dostawała obłądu i była już w tym daleko posunięta...
- W Paryżu możemy się kochać w łóżku.
- Ale jak zdołam się wyrwać? Nie mam w tym żadnego doświadczenia.
- Idziesz na zakupy.
- Przecież zakupy muszę robić z kimś.
- Możesz pójść z kimś. Nie masz nikogo, komu mogłabyś zaufać?
- Owszem. Ale tak bardzo nie chciałam musieć tego robić.
- To nie rób.
- Nie, muszę. Wiem, że muszę. Ale przez to wcale nie staję się lepsze.
- Nigdy dotąd go nie zdradziłaś?
- Nie. I myślałam, że nigdy nie zdradzę. Ale teraz chcę jedynie tego. Tylko boli mnie to, że ktoś mógłby wiedzieć.
- Coś wymyślimy.
- Proszę cię, obejmij mnie i przyciśnij mocno do siebie - powiedziała. - Proszę cię, nie rozmawiajmy, nie myślmy, nie martwmy się. Proszę cię, tylko obejmij mnie mocno i kochaj mnie bardzo, bo teraz cała jestem obolała.
- Po chwili powiedział do niej:
- Słuchaj, kiedykolwiek to zrobisz, będzie dla ciebie równie złe jak teraz. Nie chcesz być niewierna i nie chcesz, żeby ktoś wiedział. Ale tak będzie, kiedykolwiek się to zdarzy.
- Chcę tego. Ale nie chcę go zranić. Muszę to zrobić. To już wymknęło mi się z rąk.
- Więc zrób. Teraz.
- Kiedy teraz jest strasznie niebezpiecznie.
- Myślisz, że na tym statku jest ktokolwiek, kto nas widzi, słyszy i zna, i nie uważa, że już ze sobą spaliśmy? Myślisz, że to, cośmy robili, różni się czymkolwiek od tego?
- Oczywiście że tak. Jest wielka różnica. Po tym, co robiliśmy, nie można mieć dziecka.
- Jesteś cudowna - powiedział. - Naprawdę.

- Ale jeżeli będziemy mieli dziecko, będę się cieszyła. On bardzo chce dziecka, a nigdy go nie mieliśmy. Oddam mu się zaraz potem i nigdy nie będzie wiedział, że jest nasze.

- Nie robiłbym tego zaraz potem.

- No, może nie. Ale następnej nocy.

- Jak dawno temu z nim spałaś?

- O, śpiam z nim co noc. Muszę. Jestem taka podniecona, że muszę. Pewnie to jedna z przyczyn, że teraz grywa w bridża do tak późna. Woli, żebym już spała, kiedy przychodzi. Mam wrażenie, że zaczyna być trochę zmęczony, odkąd myśmy się w sobie zakochali.

- Czy jesteś zakochana pierwszy raz, odkąd za niego wysłałaś?

- Nie. Przykro mi, ale nie. Kochałam się kilka razy. Ale nigdy go nie zdradziłam ani nawet nie brałam tego pod uwagę. On jest taki dobry i miły, i jest takim dobrym mężem, i tak go lubię, a on mnie kocha i zawsze jest dla mnie czuły.

- Chyba lepiej chodźmy do "Ritza" i napijmy się szampana - powiedział Thomas Hudson. Zaczynał mieć bardzo mieszane uczucia.

W "Ritzu" było pusto i kelner przyniósł im wino do jednego ze stolików pod ścianą. Teraz już stale trzymali tam na lodzie Perrier-Jouet Brut 1915, więc po prostu zapytał:

- To samo wino, proszę pana?

Przepili do siebie i księżna powiedziała:

- Uwielbiam to wino. A ty?

- Bardzo.

- O czym myślisz?

- O tobie.

- Naturalnie. Ja też myślę tylko o tobie. Ale co ze mną będzie?

- Myślę, że powinniśmy pójść teraz do mojej kabiny. Za dużo mówimy, za dużo czasu marnujemy, a nie robimy nic. Która jest u ciebie?

- Dziesięć po jedenastej.

- Która godzina? - zawołał do stewarda.

- Jedenasta piętnaście, proszę pana. - Steward spojrzął na zegar za barem.

Kiedy nie mógł ich słyszeć, Thomas Hudson zapytał:

- Jak długo będzie grał w bridża?

- Mówił, że pogra do późna i żebym na niego nie czekała.

- Dokończymy tego wina i pójdziemy do kabiny. Mam tam jeszcze jakieś.

- Ale, słuchaj, to bardzo niebezpieczne.

- Zawsze będzie niebezpieczne - odpowiedział Thomas Hudson. - Ale nierobienie tego zaczyna być o wiele niebezpieczniejsze.

Tej nocy miał ją trzy razy, a kiedy ją odprowadzał do jej kabiny, powiedziała, że nie powinien, na co odparł, że tak będzie znacznie lepiej wyglądało, bo księżę jeszcze gra w bridża. Potem wrócił do "Ritza", gdzie bar był jeszcze czynny, zamówił następną butelkę tego samego wina i czytał gazety, które przyszły na pokład w Hajfie. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy od dawna ma czas przeczytać gazety, i czuł się bardzo odprężony i bardzo zadowolony, że je czyta. Kiedy skończyła się partia bridża, księżę przechodząc zajrzał do "Ritza" i Thomas Hudson zaprosił go na kieliszek wina przed położeniem się do łóżka, i lubił księcia bardziej niż kiedykolwiek, i czuł z nim silną więź.

On i baron wysiedli w Marsylii. Większość pasażerów pozostała na resztę rejsu, który kończył się w Southampton. W Marsylii poszedł z baronem do restauracji ulicznej w Vieux Port, gdzie zjedli "moules marines" i wypili karafkę "Vin rose". Thomas Hudson był bardzo głodny i pamiętał, że był głodny prawie przez cały czas, odkąd wypłynęli z Hajfy.

"Teraz też jestem piekielnie głodny - pomyślał. - Gdzie są, u diabła, ci służący? Choć jeden powinien był się pokazać." Na dworze wiatr był zimniejszy niż kiedykolwiek. Przypomniawszy mu się tamten zimny dzień na stromej uliczce w Marsylii, która zbiegała do portu, i to, jak siedzieli z postawionymi kołnierzami przy stoliku i jedli "moules" z cienkich czarnych muszelek, które się wyjmowało z gorącego, pieprzonego, mlecznego bulionu, z płynącym na wierzchu roztopionym masłem, popijali wino z Tavel, które smakuje tak, jak wygląda Prowansja, patrzyli, jak wiatr podwiewa spódnicę rybaczek, pasażerek ze statku i lichy odzianych kurw portowych, kiedy wspinały się po wyłożonej brukowcami uliczce, smagane mistralem.

- Był pan bardzo niegrzecznym chłopcem - mówił baron. - Naprawdę niegrzecznym.

- Chce pan jeszcze "moules"?

- Nie. Chciałbym coś solidnego.

- Może byśmy zjedli też "bouillabaisse"?

- Dwie zupy?

- Jestem głodny. I nie wrócimy tu przez długi czas.

- Ja myślę, że pan może być głodny. Dobrze. Zjemy sobie "bouillabaisse", a potem dobrego "chateaubrianda", mocno niedopieczzonego. Odkarmię pana, hultaju.

- Co pan ma zamiar zrobić?

- Pytanie, co pan ma zamiar zrobić. Kocha ją pan?

- Nie.

- To dużo lepiej. Dla pana lepiej będzie teraz wyjechać. Znacznie lepiej.

- Obiecałem, że spędzę z nimi jakiś czas na rybach.

- Może byłoby warto, gdyby chodziło o polowanie - powiedział baron. - Kiedy się teraz łowi ryby, jest bardzo zimno i bardzo nieprzyjemnie, a ona nie powinna robić głupca ze swego męża.

- On musi o tym wiedzieć.

- Nie wie. Wie, że jest w panu zakochana. Nic więcej. Jest pan dżentelmenem, więc wszystko, co pan robi, jest w porządku. Ale ona nie powinna robić głupca ze swojego męża. Pan by się z nią nie ożenił, prawda?

- Nie.

- Zresztą i tak nie mogłaby wyjść za pana, a nie ma potrzeby go unieszczęśliwiać, chyba że pan jest w niej zakochany.

- Nie jestem. Teraz to wiem.

- W takim razie uważam, że pan powinien z tym skończyć.

- Jestem tego zupełnie pewny.

- Bardzo się cieszę, że pan się zgadza. A teraz niech pan mi powie naprawdę, jak ona się z tym czuje?

- Bardzo dobrze.

- Niech pan nie będzie niemądry. Znałem jej matkę. Trzeba było panu znać jej matkę.

- Żałuję, że jej nie znałem.

- I słusznie. Nie mam pojęcia, jakim sposobem pan się zadał z takimi pocziwymi, nudnymi ludźmi. Chyba nie jest panu potrzebna do pańskiego malowania czy czegoś takiego, prawda?

- Nie. Tego tak się nie robi. Lubię ją bardzo. Nadal ją lubię. Ale nie jestem w niej zakochany i to się staje bardzo skomplikowane.

- Cieszę się, że pan się zgadza. Jak pan myśli, dokąd pan teraz pojedzie?

- Dopiero co wróciliśmy z Afryki.

- Właśnie. Może by pan pojechał na jakiś czas na Kubę albo na Wyspy Bahama? Mógłbym do pana dołączyć, jeżeli wydostanę w kraju jakieś pieniądze.

- Myśli pan, że w kraju pan je wydostanie?

- Nie.

- Chyba posiedzę jakiś czas w Paryżu. Dawno już nie byłem w tym mieście.

- Paryż nie jest miastem. Miastem jest Londyn.

- Chciałbym zobaczyć, co się dzieje w Paryżu.

- Mogę panu powiedzieć, co tam się dzieje.

- Nie. Mnie idzie o to, że chciałbym zobaczyć obrazy i pewnych ludzi, pójść na sześciodniówkę, pojechać do Auteuil i Enghien, i Le Tremblay. Może by pan został?

- Nie lubię wyścigów, a nie stać mnie na hazard.

“Po co to ciągnąć? - pomyślał teraz. - Baron nie żyje, Paryż mają Szkopy, a księżna nie urodziła dziecka. Nie będzie mojej krwi w żadnym królewskim domu - myślał - chyba żebym kiedyś dostał krwotoku z nosa w pałacu Buckingham, co wydaje się niezmiernie mało prawdopodobne.” Jeżeli ktoś ze służby nie zjawi się w ciągu dwudziestu minut - zdecydował - to sam pójdzie do wsi po jajka i trochę chleba. “Cholerna rzecz być głodnym we własnym domu - pomyślał. - Ale jestem zanadto zmordowany, żeby iść.”

W tej chwili usłyszał kogoś w kuchni i nacisnął brzęczyk przymocowany do spodu dużego stołu, i usłyszał dwa razy jego dźwięk w kuchni.

Wszedł drugi posługacz ze swoją lekko pederastyczną, chytrą, przebiegłą, wyrozumiałą twarzą, nieco przypominającą świętego Sebastiana, i zapytał:

- Pan dzwonił?

- A ty myślisz, że co, u diabła? Gdzie Mario?

- Poszedł po pocztę.

- Jak koty?

- Doskonale. Nic nowego. Wielki Kozioł walczył z El Gordo. Ale opatrzyliśmy rany.

- Boise jest chudy.

- Dużo chodzi po nocy.

- Jak Princessa?

- Była trochę smutna. Ale teraz je dobrze.

- Mielście trudności z dostaniem mięsa?

- Dostaliśmy od Cotorra.

- Jak psy?

- Wszystkie w porządku. Negrita znów ma szczeniaki.

- Nie mogliście jej trzymać w zamknięciu?

- Próbowaliśmy, ale się wymknęła.

- Stało się jeszcze coś?

- Nie. Jaka była podróż?

- Bez wydarzeń.

Kiedy tak rozmawiał, z irytacją i zwięźle jak zawsze z tym chłopakiem, którego dwukrotnie zwalniał i oba razy przyjął z powrotem, gdy ojciec przyszedł wstawić się za nim, zjawił się Mario, pierwszy posługacz, niosąc gazety i listy. Uśmiechał się, a jego śniada twarz była wesoła, miła i pełna oddania.

- Jak podróż?

- Trochę huśtało pod koniec.

- "Figurate". Wyobrażam sobie. To silny północny wiatr. Jadł pan coś?

- Nie ma nic do jedzenia.

- Przyniosłem jajka, mleko i chleb. "Tu" - zwrócił się do drugiego posługacza. - Idź przygotować śniadanie dla cabarella. Jak zrobić jajka?

- Tak jak zwykle.

- "Los huevos como siempre" - powiedział Mario. - Czy Boise tu czekał na pana?

- Tak.

- Tym razem bardzo cierpiał. Bardziej niż kiedykolwiek.

- A reszta?

- Tylko jedna paskudna bójka Kozła z Tłuściochem. - Wymawiał z dumą nazwy angielskie. - Princessa była trochę smutna, Ale nic takiego.

- "Y tu"?

- Ja? - uśmiechnął się nieśmiało, bardzo zadowolony. - Doskonale, dziękuję panu.

- A rodzina?

- Wszyscy dobrze, dziękuję. Tata znowu pracuje.

- Cieszę się.

- On też. Żaden z tych innych panów nie spał dziś tutaj?

- Nie. Wszyscy poszli do miasta.

- Muszą być zmęczeni.

- Tak jest.

- Były telefony od różnych znajomych. Mam wszystkie zapisane. Mam nadzieję, że pan je potrafi rozpoznać. Nie mogę dać sobie rady z angielskimi nazwiskami.

- Zapisuj je tak, jak brzmią.

- Ale nie brzmią tak samo dla mnie, jak dla pana.

- Pułkownik dzwonił?

- Nie, proszę pana.

- Przynieś mi whisky z wodą mineralną - powiedział Thomas Hudson. - I mleka dla kotów, dobrze?

- Do jadalnego czy tutaj?

- Whisky tutaj. Mleko dla kotów do jadalnego.

- Natychmiast - powiedział Mario. Poszedł do kuchni i wrócił niosąc whisky z wodą mineralną. - Myślę, że jest dość mocna - powiedział.

“Ogolić się teraz czy zaczekać, aż zjem śniadanie? - zastanowił się Thomas Hudson. - Powiniennem się ogolić. Po to kazałem przynieść whisky, żeby mi pomogła przebrnąć przez golenie. No dobrze, idź i ogol się. Do diabła z tym - pomyślał. - Nie. Idź i ogol się. To ci dobrze zrobi na twoje cholerne morale, a po śniadaniu musisz jechać do miasta.”

Goląc się pociągał trunek podczas mydlenia, po namydleniu i w trakcie procesu ponownego namydlenia, i trzy razy zmieniał ostrza, aby usunąć dwutygodniową szczecinę z policzków, brody i gardła. Kot chodził dookoła, obserwował go, gdy się golił, i ocierał się o jego nogi. A potem nagle wypadł z pokoju i Thomas Hudson domyślił się, że usłyszał brzęk misek z mlekiem stawianych na wyłożonej płytkami podłodze w jadalni. Sam nie usłyszał brzęku ani żadnego wołania. Ale Boise dosłyszał.

Thomas Hudson skończył się golić, nalał sobie na prawą dłoń wspaniałego, dziewięćdziesięcioprocentowego, czystego alkoholu, który był równie tani na Kubie, jak marny spirytus do nacierania w Stanach, i zmoczył nim sobie twarz czując, jak jego zimne szczypanie usuwa pieczenie po goleniu.

“Nie używam cukru i nie palę tytoniu - pomyślał - ale, jak mi Bóg miły, czerpię przyjemność z tego, co destylują w tym kraju.”

Dolne części okien w łazience były zamalowane, ponieważ wykładane kamieniem patio biegło dookoła całego domu, natomiast górne połowy były z przezroczystego szkła, więc widział gałęzie palm roztrzepotane na wietrze. “Wieje nawet silniej, niż myślałem. Chyba jeszcze czas wypływać. Ale nie wiadomo. Wszystko zależy od tego, co robi wiatr, kiedy odejdzie na północny wschód. Z pewnością miło było nie myśleć o morzu przez kilka ostatnich godzin. Niech tak będzie - pomyślał. - Nie myślmy o morzu ani o tym, co jest na nim czy pod nim, ani o niczym, co się z nim wiąże. Nie róbmy nawet listy rzeczy, o których nie mamy myśleć w związku z nim. Nie myślmy o nim w ogóle. Niech morze sobie po prostu będzie i na tym koniec. I tamte inne sprawy - pomyślał. - O nich też nie będziemy myśleli.”

- Gdzie senor chciałby zjeść śniadanie? - zapytał Mario.

- Gdziekolwiek, byle z dala od tej “puta” (kurwy), morza.

- W salonie czy w sypialni senora?

- W sypialni. Przynieś wiklinowy fotel i postaw przy nim śniadanie na stoliku.

Wypił gorącą herbatę i zjadł jajecznicę i kilka grzanek z marmoladą pomarańczową.

- Owoców nie ma?

- Tylko banany.

- Przynieś mi kilka.

- A one nie szkodzą przy alkoholu?

- To przesąd.

- Ale jak pana nie było, jeden ze wsi umarł, bo jadł banany, kiedy pił rum.

- Skąd wiesz, czy nie był po prostu jedzącym banany pijakiem, który umarł z przepicia?

- Nie, senor. Ten człowiek zmarł całkiem nagle od wypicia odrobiny rumu po zjedzeniu dużej ilości bananów. To były jego własne banany, z jego ogrodu. Mieszkał na wzgórzu za wsią i jeździł na autobusach numer siedem.

- Niech odpoczywa w spokoju - powiedział Thomas Hudson. - Przynieś mi parę bananów.

Mario przyniósł banany, małe, żółte, dojrzałe, z drzewa w ogrodzie. Po obraniu ze skórki były niewiele większe od palca i wyśmienite. Thomas Hudson zjadł ich pięć.

- Obserwuj, jakie będę miał objawy - powiedział. - I przyprowadź Princessę, żeby zjadła drugie jajko.

- Dałem jej jajko dla uczczenia pańskiego powrotu - rzekł chłopak. - Dałem też jajka Boisemu i Willowi.

- A Kozioł?

- Ogrodnik mówił, że dla Kozła nie jest dobrze dużo jeść, dopóki nie zaleczą mu się rany. A rany miał ciężkie.

- Co to była za bójka?

- Bardzo poważna. Walczyły ze sobą na długości prawie mili. Straciliśmy je z oczu w tych krzakach cierniowych za ogrodem. Biły się bez żadnego hałasu, tak jak teraz się biją. Nie wiem, który wygrał. Ale pierwszy wrócił Kozioł i opatrzyliśmy mu rany. Przyszedł do patio i położył się przy studni. Nie mógł już na nią wskoczyć. Tłuscioch wrócił w godzinę później i też opatrzyliśmy mu rany.

- Pamiętasz, jak się kochali, kiedy byli braćmi?

- Oczywiście. Ale teraz się boję, że Tłuscioch zabije Kozła, Musi ważyć prawie funt więcej.

- Kozioł jest kotem bardzo bojowym.

- Tak, senor. Ale niech pan sam pomyśli, co to znaczy funt więcej.

- Nie sędzę, żeby znaczył tyle u kotów, co u walczących kogutów. Ty myślisz o każdej rzeczy pod kątem widzenia walki kogutów. U ludzi znaczy niewiele, chyba że ktoś musi się osłabić, żeby utrzymać wagę. Jack Dempsey ważył tylko sto osiemdziesiąt pięć funtów, kiedy zdobył mistrzostwo świata. Willard ważył dwieście trzydzieści. I Kozioł, i Tłuscioch to duże koty.

- Przy takiej walce funt daje straszną przewagę - odrzekł Mario. - Gdyby walka była na pieniądze, nikt nie pozbyłby się funta. Nie pozbyłby się nawet uncji.

- Przynieś mi jeszcze bananów.

- Ależ, senior...

- Naprawdę wierzysz w te brednie?

- To nie są brednie, senior.

- Więc przynieś mi jeszcze jedną whisky z wodą mineralną.

- Jeżeli pan każe.

- Proszę cię o to.

- Kiedy pan prosi, to jest rozkaz.

- Więc przynieś.

Chłopak przyniósł whisky z lodem i zimną, gazowaną wodę mineralną, a Thomas Hudson wziął ją i powiedział:

- Obserwuj, jakie będę miał objawy.

Jednakże zmartwiony wyraz ciemnej twarzy chłopca kazał mu zaprzestać tego przekomarzania, więc dodał:

- Ja naprawdę wiem, że się od tego nie pochoruję.

- Senior sam wie, co robi, ale moim obowiązkiem było zaprotestować.

- W porządku. Zaprotestowałeś. Czy Pedro już przyszedł?

- Nie, senior.

- Jak przyjdzie, powiedz mu, żeby Cadillac był gotowy, bo zaraz jadę do miasta.

“Teraz weź kąpiel - powiedział Thomas Hudson do siebie. - Potem się przebierz do Hawany. Potem pojedziesz do miasta zobaczyć się z pułkownikiem. Co się z tobą dzieje? Obfitość różnych rzeczy - pomyślał. - Obfitość. Kraina obfitości. Morze obfitości. Powietrze obfitości.”

Zasiadł w koszykowym fotelu, oparł stopy na przedłużeniu, które się wyciągało spod siedzenia, i patrzył na obrazy w sypialni. W głowach łóżka, taniego łóżka z lichym materacem, kupionego dla oszczędności, ponieważ nigdy na nim nie sypiał, chyba w przypadku kłótni, wisiał “Grający na gitarze” Juana Gris. “Nostalgia hecha hombre” -

pomyślał po hiszpańsku. Ludzie nie wiedzą, że się na to umiera. Po przeciwległej stronie pokoju, nad półką z książkami, wisiał "Monument in Arbeit" Paula Klee. Nie lubił tego obrazu tak bardzo jak "Grającego na gitarze", ale lubił nań patrzeć i pamiętał, jaki mu się wydawał rozwiązy, kiedy go kupił w Berlinie. Kolor był równie nieprzyzwoity jak na ilustracjach w książkach medycznych jego ojca, ukazujących rozmaite odmiany szankrów i wrzodów wenerycznych, i pamiętał, jak przerażał jego żonę, dopóki nie nauczyła się godzić z jego rozwiążnością i widzieć w nim tylko malarstwo. Nie wiedział o tym obrazie nic więcej teraz niż wówczas, kiedy go po raz pierwszy zobaczył w galerii Flechtheima w domu nad rzeką, tamtej cudownej, zimnej jesieni w Berlinie, kiedy byli tacy szczęśliwi. Ale był to dobry obraz i lubił na niego patrzeć.

Nad drugą półką z książkami wisiał jeden z lasów Massona. Ten był z Ville d'Avray i uwielbiał go tak samo jak "Grającego na gitarze". Obrazy miały tę wspaniałą właściwość, że można je było kochać bez żadnej beznadziejności. Można je było kochać bez smutku, a dobre dawały szczęście, ponieważ dokonywały tego, czego zawsze usiłowało się dokonać. Tak zatem dokonywało się i to było w porządku, nawet jeżeli nie powiodło się nam samym.

Boise wszedł do pokoju i wskoczył mu na kolana. Skakał pięknie i potrafił bez widocznego wysiłku wskoczyć na wysoką komodę w sypialni. Teraz po tym umiarkowanym i zręcznym susie usadowił się na kolanach Thomasa Hudsona i zaczął go miłośnie trącać przednimi łapami.

- Przyglądam się obrazom, Boise. Byłoby ci lepiej, gdybyś lubił obrazy.

"Kto wie, może skakanie i nocne łowy dają mu tyle samo, co mnie obrazy - myślał Thomas Hudson. - Ale piekielna szkoda, że nie może ich widzieć. Zresztą kto wie. Może by miał okropny gust co do obrazów."

- Ciekaw jestem, co ty byś lubił, Boy. Pewnie malarstwo holenderskie, kiedy to malowali takie wspaniałe martwe natury z rybami, ostrygami i zwierzyną. No, daj mi spokój. Teraz jest dzień. Nie powinienes robić takich rzeczy za dnia.

Boise nadal czynił swoje miłosne zabiegi i Thomas Hudson przewrócił go na bok, żeby się uspokoił.

- Musisz przestrzegać pewnej przyzwoitości, Boy - powiedział. - Jeszcze nawet nie poszedłem zobaczyć się z innymi kotami, żeby ci się przypodobać.

Boise był uszczęśliwiony i Thomas Hudson wyczuwał pod palcami mruczenie w jego gardle.

- Muszę się wykąpać, Boy. Ty spędzasz na tym połowę czasu. Tyle że robisz to językiem. Wtedy nie zwracasz na mnie żadnej uwagi. Kiedy się myjesz, jesteś jak jakiś

cholerny businessmen w swoim gabinecie. To jest biznes. Nie wolno tego przerywać. No więc teraz ja muszę się wykąpać. A zamiast tego siedzę tu i popijam od rana jak jakiś pijaczyna. To jedna z różnic między nami. Ty byś nie mógł sterować przez osiemnaście godzin. A ja mogę. Dwanaście każdej chwili. Osiemnaście, jak muszę. Dziewiętnaście wczoraj i dziś rano. Za to nie umiem skakać i polować nocą tak jak ty. Tylko że i my robimy nocami niezłe, frymuśne polowania. Ale ty masz radar w tych swoich wąsach. A gołąb pewnie ma swój w tej narośli nad dziobem. Zresztą wszystkie gołębie pocztowe to mają. Jakie ty masz ultrawysokie częstotliwości, Boy?

Boise leżał ocieężały, masywny i długi, mrużąc cicho, ogromnie zadowolony.

- Co mówi twój odbiornik nastawny, Boyu? Jaka jest twoja szerokość impulsów? A jaka częstotliwość ich powtarzania? Ja mam wbudowany magnetron. Ale nie mów nikomu. Przy wynikającej stąd wyższej częstotliwości osiągananej przez UHF można wykrywać nieprzyjacielskie kurwy z większej odległości. To są mikrofałe, Boy, i w tej chwili je wymruczasz.

“Więc tak dotrzymujesz postanowienia, żeby o tym nie myśleć, dopóki nie wyruszymy znowu. To nie o morzu chciałeś zapomnieć. Wiesz, że kochasz morze i nie chciałbyś być nigdzie indziej. Wyjdź na werandę i popatrz na nie. Nie jest okrutne ani nieczułe, ani nic z całego tego “Quatsch” (niem. - bzdury). Po prostu jest i wiatr nim porusza, i prąd nim porusza, i walczą na jego powierzchni, ale tam w głębi nic z tego nie jest ważne. Bądź wdzięczny, że znowu na nie wypływasz, i dziękuj mu, że jest twoim domem. Bo jest twoim domem. Nie mów ani nie myśl żadnych bzdur na jego temat. Nie ono jest twoim zmartwieniem. Teraz mówisz trochę bardziej do sensu - powiedział do siebie. - Chociaż na łodzi nie jesteś zanadto sensowny. W porządku - powiedział. - Powinienem postępować tak sensownie na morzu, żebym nie musiał tego robić na łodzi.

Na łodzi jest bardzo miło - myślał. - Dziś przekonamy się, jak miło może być. Kiedy już się zobaczę z tym cholernym pułkownikiem. Ano, zawsze lubię się z nim widzieć, bo to podbudowuje moje morale. Nie wnioskujmy w pułkownika - pomyślał. - To jedna z tych rzeczy, które pominiemy, skoro mamy miły dzień przed sobą. Pójdę się z nim zobaczyć. Ale nie będę w niego wnikał. Dość już wniknęło w niego rzeczy, które nigdy nie wyleżą. A wylazło dość rzeczy, które więcej nie wrócą. Aha, podobno miałeś w niego nie wnikać. Nie. Po prostu zobaczę się z nim i zdam raport.”

Dokończył drinka, zdjął kota z kolan, wstał i popatrzał na trzy obrazy, po czym wszedł do łazienki i wziął prysznic. Grzejnik włączono dopiero wówczas, gdy rano przyszli posługacze, i ciepłej wody było niewiele. Ale namydlił się, wymył, wyszorował sobie głowę i

na zakończenie opłukał się zimną wodą. Włożył białą flanelową koszulę, ciemny krawat, flanelowe spodnie, wełniane skarpetki i swoje stare, dziesięcioletnie angielskie buty, pulower kaszmirowy i starą tweedową marynarkę. Zadzwoił na Maria.

- Pedro już jest?

- Tak, senor. Jest z wozem przed domem.

- Zrób mi na drogę Toma Collinsa z sokiem kokosowym i angosturą. Włóż szklanekę do korkowej oprawki.

- Tak, senor. Nie chce pan płaszcz?

- Wezmę płaszcz na drogę powrotną, gdyby zrobiło się zimno.

- Wróci pan na obiad?

- Nie. Ani na kolację.

- Chce pan zobaczyć któreś koty, nim pan odjedzie? Wszystkie siedzą na słońcu, osłonięte od wiatru.

- Nie. Zobaczą je wieczorem. Chcę przywieźć im prezent.

- Idę przygotować cocktail. Z kokosem to chwilę potrwa.

“Dlaczego, u diabła, nie chciałeś pójść do kotów?” - zapytał sam siebie. - Nie wiem - odpowiedział. - Tego w ogóle nie rozumiem. To coś nowego.”

Boise szedł za nim, nieco zmartwiony tym wyjazdem, ale bez paniki, jako że nie było bagażów ani pakowania.

- Może zrobiłem to dla ciebie, Boy - powiedział Thomas Hudson. - Nie martw się. Wrócę wieczorem albo rano. Odpuściwszy sobie soki, mam nadzieję. Jak należy, mam nadzieję. A wtedy może będziemy się tutaj zachowywali trochę sensowniej. “Vamonos a limpiar la escopeta.” (Chodźmy przeczyścić sobie strzelbę.)

Wyszedł z długiego, jasnego salonu, który wciąż wydawał się olbrzymi, a potem kamiennymi schodkami w jeszcze większą jasność zimowego kubańskiego poranka. Psy skakały mu koło nóg, a smętny pointer podbiegł skulony chwiejąc opuszczoną głową.

- Ty biedne, nieszczęsne stworzenie - powiedział do pointera. - Poglaskał go, a pies zaczął się łąsić do niego. Inne psy, kundle, były wesołe i rozskakane z podniecenia wywołanego zimnem i wiatrem. Z drzewa “ceiba”, rosnącego za patio, wiatr odłamał kilka suchych gałęzi, które leżały na schodkach, gdzie spadły. Zza samochodu wyszedł kierowca, dygocząc przesadnie, i powiedział:

- Dzień dobry panu. Jaki był rejs?

- Możliwy. Jak wozy?

- Wszystkie w doskonałym stanie.

- Mam nadzieję - powiedział Thomas Hudson po angielsku. A potem do Maria, który schodził po schodkach niosąc ciemny, rdzawy napój owinięty płatem korka, który sięgał prawie po krawędź szklanki: - Weź sweter dla Pedra. Taki zapinany z przodu. Z rzeczy pana Toma. Każ uprzątnąć te śmiecie ze schodów.

Thomas Hudson podał napój szoferowi do potrzymania i schylił się, aby pogłaskać psy. Boise siedział na schodkach obserwując je ze wzdargą. Była tam Negrita, mała, czarna suczka siwiejąca ze starości, z ogonem zakręconym nad grzbiet, drobnymi łapkami i delikatnymi nogami, które aż migały, gdy się bawiła, z pyskiem zaostrzonym jak u foksteriera oraz kochającymi, inteligentnymi oczami.

Zobaczył ją pewnego wieczora w barze, jak wychodziła za jakimiś ludźmi, i zapytał, co to za rasa.

- Kubańska - odpowiedział kelner. - Jest tu od czterech dni. Wychodzi za wszystkimi, ale zawsze zamykają jej drzwi samochodu przed nosem.

Zabrali ją do domu, na "finca" (farmę), i przez dwa lata nie miała cieczi, i Thomas Hudson myślał, że jest za stara, żeby mieć szczenięta. A potem któregoś dnia musiał rozłączyć ją z psem policyjnym i później już miała szczenięta z psem policyjnym, szczenięta z buldogiem, szczenięta z pointerem oraz wspaniałego szczeniaka nieznanego pochodzenia, który był jasnorudy i wyglądał tak, jakby jego ojciec mógł być seterem irlandzkim, tyle że miał pierś i grzbiet buldoga, a ogon zakręcony na plecy tak jak Negrita.

Teraz ją otaczali jej synowie i znowu była szczenna.

- Który ją pokrył? - zapytał szofera Thomas Hudson.

- Nie wiem.

Mario przyszedł ze swetrem i dał go szoferowi, który zdjął postrzępioną kurtkę mundurową, aby go włożyć. Mario powiedział:

- Ojcem jest jeden bojowy pies ze wsi.

- No, to do widzenia, pieski - rzekł Thomas Hudson. - Do widzenia, Boyu - powiedział do kota, który podbiegł skacząc między psami do samochodu. Thomas Hudson, siedząc w wozie i trzymając owinięty korkiem napój, wychylił się przez okno i dotknął kota, który wspiął się na tylne łapy i nadstawił głowę pod jego palce. - Nie martw się, Boy. Niedługo wrócę.

- Biedny Boise - powiedział Mario. Podniósł kota i wziął go na rękę, a ten patrzył za samochodem, który zakręcił okrążając klomb, po czym odjechał nierówną, wypłukaną deszczami aleją i zniknął za stokiem wzgórza i wysokimi drzewami mango. Wtedy Mario

zaniósł kota do domu i postawił go na podłodze, a kot wskoczył na parapet okna i dalej patrzył tam, gdzie aleja znikwała za wzgórzem.

Mario pogłodził go, ale kot się nie odprężył.

- Biedny Boise - powiedział wysoki młody Murzyn. - Biedny, biedny Boise.

Thomas Hudson i szofer zjechali w dół aleją, szofer wyskoczył z wozu i otworzył bramę z łańcucha, po czym wsiadł z powrotem i przejechał przez nią. Drogą nadchodził jakiś murzyński chłopak, więc zawołał do niego, by zamknął bramę, a chłopak wyszczerzył zęby i kiwnął głową.

- To młodszy brat Maria.

- Wiem - odpowiedział Thomas Hudson.

Przejechali przez nędzną boczną uliczkę wsi i skręcili na Szosę Centralną. Minęli domy wsi, dwa otwarte od ulicy składy spożywcze z barami i rzędami butelek, obok których były półki konserw, a potem ostatni bar i ogromne drzewo laurowe, którego gałęzie sięgały aż na drugą stronę drogi, i zjechali ze stoku starą kamienną szosą. Szosa biegła w dół na długości trzech mil, obrzeżona z obu stron dużymi starymi drzewami. Były tam wylegarnie, małe farmy i duże farmy z niszczącymi domami w hiszpańskim stylu kolonialnym, teraz parcelowane, ponieważ ich dawne podgórskie pastwiska poprzecinano drogami, które kończyły się przy stokach wzgórz porośniętych trawą zrudziałą od suszy. Obecnie jedyna zieleń w tym kraju tak wielorakiej zieleni znajdowała się wzdłuż szlaków wodnych, gdzie rosły wysokie, szare palmy królewskie o zielonych pióropuszcach przygiętych przez wiatr. Wiatr był suchy, północny, ostry i zimny. Cieśninę Florydzką ochłodziły inne wiatry północne, które przyszły przedtem, i ten nie przyniósł mgły ani deszczu.

Thomas Hudson wypił łyk lodowatego płynu, w którym czuło się smak świeżego soku zielonej limony zmieszanego z neutralnym sokiem kokosowym, jednak o wiele esencjonalniejszym od wszelkiej gazowanej wody, i który wzmacniał prawdziwy dżin Gordona, ożywiający napój na języku tak, że było przyjemnie go łykać, a wszystko to zaprawione angosturą nadającą kolor. "Smakuje tak dobrze, jak dobry jest ciągnący żagiel - pomyślał. - To doskonały drink."

Korkowa oprawka na szklance zapobiegała topnieniu lodu i rozcieńczeniu napoju i Thomas Hudson trzymał go z lubością w ręce, i patrzył na okolicę, kiedy wjeżdżali do miasta.

- Dlaczego tu nie zjedziesz z wyłączonym motorem, żeby oszczędzić benzyny?

- Zrobię tak, jeżeli pan każe - odrzekł kierowca. - Ale to jest benzyna rządowa.

- Spróbuj dla wprawy - powiedział Thomas Hudson. - Wtedy będziesz wiedział, jak to robić, kiedy będzie nasza benzyna, a nie rządowa.

Znaleźli się na równinie, gdzie po lewej ciągnęły się pola hodowców kwiatów, a po prawej były domy koszykarzy.

- Muszę zamówić koszykarza, żeby przyszedł naprawić tę dużą matę w salonie, tam gdzie się przetała.

- Si, senior.

- Znasz jakiegoś?

- Si, senior.

Kierowca, którego Thomas Hudson bardzo nie lubił za jego ogólne nierozgarnięcie i głupotę, zarozumiałstwo, nieznamość silników, fatalną opiekę nad samochodami oraz generalne lenistwo, odpowiadał krótko i oficjalnie z powodu reprimendy na temat benzyny. Przy wszystkich swoich wadach był znakomitym kierowcą, to znaczy umiał wybornie manewrować wozem, ze świetnym refleksem w nielogicznym i nerwowym kubańskim ruchu ulicznym. Poza tym za dużo wiedział o ich operacjach, aby go zwolnić.

- Ciepło ci w tym swetrze?

- Si, senior.

“Cholera z tobą - pomyślał Thomas Hudson. - Zachowuj się tak dalej, to cię porządnie opieprzę.”

- Bardzo było zimno w nocy u was w domu?

- Okropnie. To było horroroso. Nie może pan sobie wyobrazić.

Pokój został zawarty i przejeżdżali teraz przez most, gdzie niegdyś znaleziono tułów dziewczyny, którą jej kochanek-policjant poćwiartował na sześć części i owinięte w brązowy papier rozrzucił wzdłuż Szosy Centralnej. Rzeka była obecnie wyschnięta. Ale tamtego wieczora płynęła nią woda, a samochody stały jeden za drugim w deszczu na długości pół mili, podczas gdy kierowcy oglądali to historyczne miejsce.

Nazajutrz gazety opublikowały na pierwszych stronach zdjęcie torsu, a jeden z reportaży podkreślał, że była to niewątpliwie turystka z Północnej Ameryki, ponieważ żadna kobieta w tym wieku, żyjąca w tropikach, nie mogła być tak słabo rozwinięta fizycznie. Jakim sposobem zdążyli już dociec jej dokładnego wieku, tego Hudson nie mógł pojąć, gdyż głowę odnaleziono dopiero później w porcie rybackim Batabano. Natomiast tors pokazany na pierwszych stronicach raczej nie dorównywał najlepszym fragmentom rzeźby greckiej. Jednakże nie była amerykańską turystką; okazało się, że te powaby, jakie posiadała, rozwinęły się u niej w tropikach. Ale Thomas Hudson musiał na jakiś czas

zaprzestać treningu na drogach w okolicy poza finca, ponieważ każdemu, kogo zobaczono biegnącego czy choćby szybko idącego groziło ściganie przez pospólstwo wykrzykujące: “O, idzie! To on! To ten, co ją porąbał!”

Minęli most i wjeżdżali na górę do Luyano, skąd był po lewej widok na El Cerro, który zawsze przypominał Thomasowi Hudsonowi Toledo. Nie Toledo El Greca, ale część samego miasta widoczną z bocznego wzgórza. Wjeżdżali tam teraz i kiedy wóz wspinał się na ostatni odcinek pochyłości, dojrzał to znów wyraźnie, i przez chwilę było to doprawdy Toledo, po czym wzgórze opadło i z obu stron otoczyła ich Kuba.

To była część drogi do miasta, której nie lubił. Ta właśnie część, na którą zabrał ze sobą drinka. “Piję przeciwko nędzy, brudowi, czterechsetletniemu kurzowi, zasmarkaniu dzieci, spękanym liściom palm, dachem zrobionym ze sklepanych młotkiem puszek, powłóczeniu nogami wskutek nie leczonego syfilisu, ściekom w dawnych łożyskach potoków, wszom na wyliniałych szyjach zarobaczonego drobiu, złuszczonej skórze na karkach starych mężczyzn, smrodowi starych kobiet i ryczącemu radiu - pomyślał. - Dużo w ten sposób działasz! Powinieneś przypatrzeć się temu z bliska i coś temu zaradzić. A zamiast tego masz swój trunek, tak jak za dawnych czasów nosili sole trzeźwiące. Nie, niezupełnie tak - pomyślał. - Coś w rodzaju kombinacji tego i picia na Gin Lane Hogartha. Pijesz także przeciwko zobaczeniu się z pułkownikiem - pomyślał. - Zawsze teraz pijesz przeciwko czemuś lub za coś. Gdzie tam. Wiele razy po prostu pijesz. Dziś będziesz to robił na potęgę.”

Pociągnął długi łyk trunku i poczuł w ustach jego czysty, zimny i świeży smak. To była najgorsza część drogi, gdzie przechodziła linia tramwajowa, a samochody stały zderzak w zderzak na skrzyżowaniu z torami kolejowymi, gdy opuszczono szlabany. W przedzie, za sznurem nieuruchomionych wozów i ciężarówek, widział wzgórze z zamkiem Atares, gdzie na czterdzieści lat przed jego urodzeniem rozstrzelali pułkownika Crittendena i innych po niepowodzeniu ekspedycji w Bahia Honda i gdzie pod wzgórzem rozstrzelali stu dwudziestu dwóch amerykańskich ochotników. Dalej niósł się prosto po niebie dym z wysokich kominów Havana Electric Company, a szosa biegła po starych brukowcach pod wiaduktem, równoległe do górnego krańca portu, gdzie woda była tak czarna i oleista, jak odcieki wypompowane z dna zbiorników tankowca naftowego. Podniesiono szlabany, ruszyli znowu i znaleźli się poza zasięgiem północnego wiatru, a drewniane kadłuby statków żalosnej i groteskowej floty handlowej okresu wojennego stały przy ochlapanych kreozotem palach drewnianych nabrzeży, zaś brudy portowe unosiły się wokół ich burt, czarniejsze od kreozotu na palach i cuchnące jak nie oczyszczony ściek.

Rozpoznał różne znajome statki. Jeden z nich, stara barka, okazał się dostatecznie duży, by zajął się nim okręt podwodny, który go ostrzelał. Barka była załadowana drzewem i płynęła po ładunek cukru. Thomas Hudson widział, gdzie wtedy została trafiona, choć była już naprawiona, i pamiętał żywych Chińczyków i zabitych Chińczyków na jej pokładzie, gdy podpłynęli do niej na morzu. "Podobno miałeś nie myśleć dzisiaj o morzu."

"Muszę na nie popatrzeć - rzekł do siebie. - Ci, co są na nim, mają o wiele lepiej od tych, którzy mieszkają tam, gdzieś przed chwilą przejeżdżali. A zresztą ten port, zapaskudzony od trzystu czy czterystu lat, nie jest morzem. I nie jest taki zły u wylotu. Ani od strony Casablanki. Zaznałeś dobrych nocy w tym porcie i wiesz o tym."

- Popatrz - powiedział. Kierowca, który widział, że się przygląda, zaczął zatrzymywać samochód. Ale kazał mu jechać dalej. - Jedźmy do ambasady - rzekł.

Spojrzał na parę staruszków mieszkających w przybudówce z desek i liści palmowych, którą dostawili do muru dzielącego tory kolejowe od placu, gdzie spółka elektryczna magazynowała węgiel wyładowywany w porcie. Mur był czarny od pyłu węgla, który przerzucano górą za pomocą dźwigu, i znajdował się niespełna cztery stopy od torów kolejowych. Przybudówka stała skośnie i było w niej ledwie tyle miejsca, by dwoje ludzi mogło się położyć. Mieszkająca w niej para siedziała na progu gotując kawę w blaszance. Byli to Murzyni, niechlujni, złuszczeni ze starości i brudu, mający na sobie odzienie uszyte ze starych worków po cukrze, i byli bardzo starzy. Psa nie mógł nigdzie dostrzec.

- Y el perro? - zapytał szofera.

- Nie widziałem go od dawna.

Mijali tych ludzi już od kilku lat. Niegdyś dziewczyna, której listy czytał ubiegłej nocy, wykrzykiwała, co to za hańba, ilekroć przejeżdżali koło przybudówki.

- Dlaczego więc czegoś nie zrobisz? - zapytał jej. - Dlaczego wciąż mówisz, że coś jest straszne, i piszesz tak dobrze, jakie jest straszne, a nigdy nic nie robisz, żeby temu zaradzić?

To ją rozniewało, zatrzymała wóz, wysiadła i podeszła do przybudówki, dała starej kobiecie dwadzieścia dolarów i powiedziała, że to ma jej pomóc w znalezieniu lepszego mieszkania i zakupieniu czegoś do jedzenia.

- Si, seniorita - powiedziała stara kobieta. - Pani jest bardzo łaskawa.

Kiedy przejeżdżali tamtędy następnym razem, starzy mieszkali w tym samym miejscu i pomachali im radośnie rękami. Kupili sobie psa. Pies ten był biały, mały i kudłaty, prawdopodobnie nie hodowany do obcowania z pyłem węglowym - pomyślał Thomas Hudson.

- Jak myślisz, co się stało z tym psem? - zapytał szofera Thomas Hudson.

- Pewnie zdechł. Oni nie mają nic do jedzenia.

- Musimy im znaleźć innego psa - powiedział Thomas Hudson.

Za przybudówką, która została daleko w tyle, minęli po lewej błotnistej koloru tynkowane mury siedziby sztabu generalnego armii kubańskiej. Kubański żołnierz, mający trochę białej krwi, stał tam niedbale, lecz dumnie, w zielonkawym mundurze wyblakłym od prania przez żonę, w czapce polowej znacznie schludniejszej niż czapka generała Stillwella, ze Springfieldem opartym pod najwygodniejszym kątem na licho okrytych kościach ramienia. Popatrzał z roztargnieniem na samochód. Thomas Hudson widział, że mu zimno na północnym wietrze. "Pewnie mógłby się rozgrzać przechadzając się na warcie - pomyślał. - Ale jeżeli pozostanie w tej samej pozycji i nie będzie trwonił energii, niedługo padnie na niego słońce i to go rozgrzeje. Musi być w wojsku od niezbyt dawna, skoro jest taki chudy - myślał. - Na wiosnę, jeżeli jeszcze będziemy tędy jeździli wiosną, pewnie go nie poznam. Ten Springfield musi być dla niego okropnie ciężki. Szkoda, że nie może stać na warcie z lekkim karabinem z plastyku, tak jak teraz matadorzy używają drewnianej szpady pracując muletą, żeby im się kiście rąk nie męczyły."

- Co z tą dywizją, którą generał Benitez miał poprowadzić do walki w Europie? - zapytał szofera. - Czy już odjechała?

- Todavía no - odparł szofer. - Jeszcze nie. Ale generał uczy się jeździć na motocyklu. Ćwiczy wcześniej rano na Malecon.

- W takim razie to musi być dywizja zmotoryzowana - powiedział Thomas Hudson. - Co to za paczki noszą żołnierze i oficerowie, kiedy wychodzą z Estado Mayor?

- Ryż - odpowiedział szofer. - Przyszedł transport ryżu.

- Trudno go dostać?

- Nie sposób. Jest gdzieś w obłokach.

- Źle teraz jadasz?

- Bardzo źle.

- Dlaczego? Jadasz u mnie. Płacę za wszystko, bez względu na to, jak rosną ceny.

- Ja mówię o jedzeniu w domu.

- A kiedy ty jadasz w domu?

- W niedziele.

- Muszę ci kupić psa - powiedział Thomas Hudson.

- My mamy psa - odrzekł szofer. - Naprawdę pięknego i inteligentnego. Kocha mnie nad wszystko w świecie. Nie mogę krokiem się ruszyć, żeby nie chciał iść ze mną. Ale pan,

który ma wszystko, nie może sobie wyobrazić ani ocenić, jakie cierpienia oznacza ta wojna dla ludu kubańskiego.

- Musi być duży głód.

- Nie może pan sobie wyobrazić

“Nie, nie mogę - pomyślał Thomas Hudson. - Zupełnie nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie mogę pojąć, dlaczego w tym kraju ma kiedykolwiek być głód. A ciebie, draniu jeden, powinno się rozstrzelać za to, jak się opiekujesz samochodami, a nie karmić.”

Jednakże powiedział:

- Zobaczę, co uda mi się zrobić, żebyś dostał trochę ryżu dla rodziny.

- Bardzo panu dziękuję. Nie ma pan pojęcia, jakie ciężkie jest teraz życie dla nas, Kubańczyków.

- Musi być rzeczywiście źle - powiedział Thomas Hudson. - Szkoda, że nie mogę zabrać cię na morze na wypoczynek i urlop.

- Na morzu też musi być bardzo ciężko.

- Chyba tak - rzekł Thomas Hudson. - Chyba czasem bywa, nawet w taki dzień jak dzisiaj.

- Wszyscy musimy nosić swój krzyż.

- Chętnie wzięłbym mój krzyż i wsadził go w culo (zadek) wielu ludziom, których znam.

- Trzeba wszystko przyjmować ze spokojem i cierpliwością, proszę pana.

- Muchas gracias (bardzo dziękuję) - odrzekł Thomas Hudson.

Skręcili w ulicę San Isidro pod głównym dworcem kolejowym, naprzeciw wejścia do dawnych doków towarzystwa żeglugowego P and O, gdzie dokowały statki z Miami i Key West i gdzie linie lotnicze Pan American miały swój dworzec dojazdowy, kiedy jeszcze kursowały stare klipery. Teraz było tam pusto, odkąd marynarka wojenna przejęła statki P and O, a Pan American wysyłał samoloty DC-2 i DC-3 na lotnisko Rancho Boyeros, i odkąd Straż Przybrzeżna i marynarka kubańska miały swoje niszczyciele przycumowane tam, gdzie dawniej wodowały samoloty.

Tę część Hawany Thomas Hudson najlepiej pamiętał z dawnych czasów. Część, którą lubił obecnie, była wtedy po prostu drogą do Matanzas; brzydka połać miasta, zamek Atares, przedmieście, którego nazwy nie znał, a potem klinkierowa szosa z nanizanymi na nią miasteczkami. Pędziło się przez nie tak, że nie sposób było odróżnić jednego od drugiego. Wtedy znał każdy bar i szynk w tej części miasta, a San Isidro było wielką ulicą burdeli dzielnicy portowej. Teraz ulica była wymarła, żaden z tych zakładów nie

funkcjonował, odkąd je pozamykano i odesłano wszystkie kurwy z powrotem do Europy. Ów wielki transport był odwrotnością tego, co działo się w Villefranche, kiedy odpływały amerykańskie okręty stacjonowane na Morzu Śródziemnym, a wszystkie dziewczyny machały rękami na pożegnanie. Gdy statek francuski opuszczał Hawanę z dziewczętami na pokładzie, cała dzielnica portowa była zatłoczona i żegnali go nie tylko mężczyźni machający z brzegu, z mola i falochronu. Były także dziewczyny w wynajętych szalupach i łodziach, które krążyły dokoła statku i płynęły przy nim, kiedy wychodził z kanału. Pamiętał, że było wtedy ogromnie smutno, choć wiele osób uważało to za bardzo zabawne. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego kurwy miałyby być zabawne. Mimo to transport uważano za bardzo komiczny. Ale kiedy statek odpłynął, wielu ludzi posmutniało, a ulica San Isidro nigdy już nie przyszła do siebie. Pomyślał, że ta nazwa ciągle go wzrusza, chociaż ulica jest teraz nudna i rzadko widuje się tam białego mężczyznę czy kobietę, z wyjątkiem kierowców ciężarówek i ludzi popychających wózki z dostawami. W Hawanie były wesołe ulice, gdzie mieszkali sami Murzyni, i kilka bardzo groźnych ulic i groźnych dzielnic, takich jak Jesus y. Maria, która się znajdowała niedaleko. Ale ta część miasta była tak samo smutna jak zawsze, od czasu gdy kurwy odjechały.

Wóz wjechał do samego portu, gdzie przybijał prom pływający do Regli i gdzie cumowały statki kursujące wzdłuż wybrzeży. Woda w porcie była ciemna i wzburzona, lecz napływające fale nie miały białych grzyw, bo była zbyt brunatna. Ale była świeża i jasnobura w porównaniu z czarnym brudem wewnętrznych części zatoki. Spoglądając poza nią widział gładkość zatoki, osłoniętej od wiatru przez wzgórza nad Casablanką, i stały tam na kotwicy statki do przewozu ryb, szare kanonierki marynarki kubańskiej, i wiedział, że jest też zakotwiczony jego własny kuter, choć z tego miejsca nie mógł go widzieć. Po drugiej stronie zatoki dojrzał stary, żółty kościół i rozrzucone domy Regli, różowe, zielone i żółte, oraz zbiorniki i kominy rafinerii Belota, za nimi zaś szare wzgórza w stronie Cojimar.

- Czy pan widzi statek? - zapytał kierowca.

- Stąd nie.

Byli tu po nawietrznej od dymiących kominów Electric Company i poranek był jasny i świeży, a powietrze tak czyste i obmyte jak na wzgórzach na farmie. Wszyscy ludzie chodzący po nabrzeżach wyglądali na zziębniętych od północnego wiatru.

- Jedźmy najpierw do "Floridity" - powiedział szoferowi Thomas Hudson.

- Jesteśmy tylko o cztery ulice od ambasady.

- Tak. Ale powiedziałem, że najpierw chcę jechać do "Floridity".

- Jak pan sobie życzy.

Wjechali prosto do miasta i znaleźli się poza zasięgiem wiatru, a Thomas Hudson mijając składy i magazyny poczuł woń mąki w workach i pyłu mącznego, zapach świeżo otwartych skrzyń, zapach palonej kawy, będący silniejszym doznaniem niż picie z rana, i przyjemny zapach tytoniu, który doleciał najsilniej, na chwilę zanim wóz skręcił w prawo, w kierunku "Floridity". Była to jedna z ulic, za którymi przepadał, ale nie lubił nią spacerować w dzień, bo chodniki były zbyt wąskie, a ruch za duży, natomiast w nocy, kiedy ruchu nie było, nie palono kawy, a okna składów były pozamykane, tak że nie czuło się tytoniu.

- Zamknięte - powiedział szofer. Żelazne żaluzje były spuszczone po obu stronach kawiarni.

- Tak przypuszczałem. Jedź teraz przez Obispo do ambasady.

Tą ulicą chodził tysiące razy za dnia i w nocy. Nie lubił nią jeździć, bo kończyła się tak prędko, ale nie miał usprawiedliwienia na dalsze odwlekanie raportu, więc dopił resztki trunku i patrzył na wozy w przedzie, ludzi na chodnikach i poprzeczny ruch pojazdów w ulicach biegnących na północ i południe, i odkładał sobie tę ulicę na później, kiedy będzie mógł przejść się nią pieszo. Samochód zatrzymał się przed budynkiem ambasady i konsulatu i Thomas Hudson wszedł do środka.

Wewnątrz należało wypisać swoje nazwisko i adres oraz cel wizyty przy stoliku, gdzie smutny urzędnik z wyskubanymi brwiami i wąsikami na samym brzegu górnej wargi podniósł głowę i podsunął mu papier. Thomas Hudson nie spojrzał nań i poszedł do windy. Urzędnik wzruszył ramionami i przygładził brwi. Być może trochę zanadto je uwydatnił. Ale w ten sposób wyglądały czystiej i schludniej, niż gdyby były grube i krzaczaste, i pasowały do wąsików. Uważał, że ma najwęższe wąsiki, jakie można zapuścić, tak żeby jednak mieć wąsy. Węższych nie miał nawet Errol Flynn, nawet Pincho Gutierrez, nawet Jorge Negrete. Ale ten drań, Hudson, nie miał prawa tak sobie wchodzić i nie zwracać na niego uwagi.

- Co za maricones (pedryli) macie teraz przy wejściu? - zapytał Thomas Hudson windziarza.

- To nie jest maricon. To jest nic.

- Co u was słyhać?

- Wszystko dobrze. Doskonale. Tak samo jak zawsze.

Wysiadł na trzecim piętrze i ruszył korytarzem. Wszedł w środkowe z trojga drzwi i zapytał starszego podoficera piechoty morskiej, czy zastał pułkownika.

- Dziś rano poleciał do Guantanamo.

- Kiedy wraca?
- Mówił, że może polecieć na Haiti.
- Jest coś dla mnie?
- Ja nie mam nic.
- Zostawił mi jakąś wiadomość?
- Kazał powiedzieć, żeby pan był pod ręką.
- Jak się czuł?
- Fatalnie.
- A jak wyglądał?
- Okropnie.
- Był na mnie zły?
- Chyba nie. Kazał tylko powiedzieć, żeby pan był pod ręką.
- Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?
- Nie wiem. A jest?
- Daj pan spokój.
- Okej. Przypuszczam, że było panu dość ciężko. Ale pan nie pracuje u niego w tym biurze. Wypływa pan na morze. Niech mnie cholera, jeżeli...
- Tylko spokojnie.
- Siedzi pan teraz na wsi?
- Tak. Ale dziś i przez noc będę w mieście.
- On nie wróci dziś ani w nocy. Zadzwoń do pana na wieś, jak przyjedzie.
- Na pewno nie jest na mnie zły?
- Ja wiem, że nie. A o co idzie? Ma pan nieczyste sumienie?
- Nie. Czy ktoś inny jest na mnie zły?
- O ile wiem, nawet admirał nie jest. Niech pan idzie upić się za mnie.
- Najpierw upiję się za siebie.
- Ale i za mnie.
- A dlaczego? Przecież pan jest co wieczór pijany, nie?
- To nie dosyć. Jak się sprawiał Henderson?
- Dobrze. A bo co?
- Nic.
- Czemu?
- Nic, nic. Tylko pytałem. Ma pan jakieś zażalenia?
- My nie zgłaszamy zażaleń.

- Co za człowiek! Co za przywódca!
- Formułujemy zarzuty.
- Nie może pan. Jest pan cywilem.
- Idź pan do diabła.
- Nie muszę. Już tam jestem.
- Niech pan zadzwoni, jak on tylko przyjedzie. I proszę pozdrowić pułkownika i powiedzieć mu, że się zameldowałem.
- Rozkaz.
- Po co to?
- Uprzejmość.
- Do widzenia, panie Hollins.
- Do widzenia, panie Hudson. Słuchaj pan. Niech pan zatrzyma swoich ludzi tam gdzie pan będzie mógł szybko ich znaleźć.
- Bardzo dziękuję.

Na korytarzu komandor porucznik, którego znał, wychodził właśnie z pokoju szyfrów. Twarz miał opaloną od gry w golfa i od przesiadywania na plaży w Jaimanitas. Wyglądał zdrowo i nie było po nim widać przygnębienia. Był młodym człowiekiem i świetnym znawcą Dalekiego Wschodu. Thomas Hudson znał go z czasów, kiedy miał agencję samochodową w Manili i oddział agencji w Hongkongu. Mówił po malajsku i dobrze po kantońsku. Naturalnie mówił też po hiszpańsku. Dlatego był w Hawanie.

- Cześć, Tommy - powiedział. - Kiedy wróciłeś?
- Wczoraj wieczorem.
- Jakie były drogi?
- Przeciętnie piaszczyste.
- Kiedyś wywalisz ten swój cholerny samochód.
- Jestem ostrożnym kierowcą.
- Zawsze byłeś - powiedział komandor porucznik, który nazywał się Fred Archer. Objął Thomasa Hudsona. - Niechże cię uścisknę.
- Dlaczego?
- Podnosisz mnie na duchu. Czuję się podniesiony na duchu, kiedy cię ściskam.
- Jadałeś ostatnio w "pacifico"?
- Od kilku tygodni nie. Może byśmy poszli?
- Każdej chwili.
- Na obiad nie dam rady, ale możemy tam zjeść wieczorem. Masz coś na dzisiaj?

- Nie. Dopiero później.
- Ja później też. Gdzie się spotkamy? We “Floridicie”?
- Przyjdź tam, jak zamkniesz sklepik.
- Dobrze. Później muszę tu wrócić. Więc nie możemy znowu popić.
- Nie mów mi, że wy, dranie, pracujecie po nocach.
- Ja tak - powiedział Archer. - To nie jest popularne posunięcie.
- Strasznie się cieszę, że cię widzę, Freddy - rzekł Thomas Hudson. - Ty mnie też podnosisz na duchu.
- Ciebie nie trzeba podnosić na duchu, bo go masz - powiedział Fred Archer.
- Chcesz powiedzieć, że miałem.
- Miałeś. I masz znowu. I masz dubeltowo.
- Nie w pikach.
- Piki na nic ci się nie przydadzą, bracie. A masz to nadal.
- Wypisz mi to kiedyś, Freddy. Chętnie bym sobie poczytał z samego rana.
- Wciąż masz nią głowę nabitą?
- Nie. Tam gdzie była głowa, są śmiecie warte około trzydziestu pięciu tysięcy dolarów, które podpisałem.
- Wiem. Widziałem w sejfie. To, co podpisałeś.
- W takim razie są tam cholernie nieostrożni.
- Możesz to powiedzieć jeszcze raz.
- Czy wszyscy są nieostrożni?
- Nie. I sprawy wyglądają dużo lepiej. Naprawdę, Tommy.
- To dobrze - powiedział Thomas Hudson. - To jest myśl na dzień dzisiejszy.
- Nie chciałbyś wejść? Jest tam kilku nowych gości, którzy by ci się podobali. Dwóch naprawdę sympatycznych. Jeden naprawdę zharatany.
- Nie. Czy oni coś wiedzą o tym, co robimy?
- Oczywiście że nie. Wiedzą tylko, że tu jesteś, i chcieliby cię poznać. Spodobaliby ci się. Mili goście.
- Poznamy się innym razem - odrzekł Thomas Hudson.
- Okej, wodzu - rzekł Archer. - Przyjdę do tego twojego lokalu po zamknięciu interesu.
- Do “Floridity”.
- Właśnie mówię.
- Widać głupieję.

- To tylko szaleństwo pasterza owiec - powiedział Archer. - Chcesz, żebym przyprowadził któregoś z tych typków?

- Nie. Chyba że ci na tym bardzo zależy. Ktoś z mojej hałastry może tam być.

- Przypuszczam, że wy, łobuzy, nie macie ochoty widywać się na lądzie.

- Oni czasami czują się trochę samotni.

- Powinno się ich wszystkich zgarnąć i pozamykać.

- To by się wydostali.

- No idź - powiedział Archer - bo się spóźnisz.

Fred Archer wszedł w drzwi naprzeciw pokoju szyfrów, a Thomas Hudson ruszył korytarzem i na dół po schodach zamiast zjeżdżać windą. Na dworze był taki blask, że raził go w oczy, i nadal wiał silny wiatr z północo-północo-zachodu.

Wsiadł do samochodu i kazał szoferowi jechać przez O'Reilly do "Floridity". Zanim okrążyli plac przed budynkiem ambasady i Ayuntamiento i skręcili w O'Reilly, zdążył dojrzeć wielkie fale w wylocie portu oraz ciężko wznoszącą się i opadającą boję na kanale. W wylocie portu morze było dzikie i wzburzone, przezroczyste, zielona woda przelewała się przez skałę u stóp Morra, a grzywy fal dymiły biało w słońcu.

"To wygląda wspaniale - powiedział do siebie. - Nie tylko wygląda, jest wspaniale. Wypiję pod to. Boże - pomyślał - chciałbym być taki twardy, jak sądzi Freddy Archer. Jestem, psiakrew. Zawsze jestem gotów popłynąć i zawsze mam na to ochotę. Czego więcej chcą, u diabła? Żebyś jadał Torpex na śniadanie? Albo wtykał go sobie pod pachy jak tytoń? To byłby diablo dobry sposób, żeby dostać żółtaczki - pomyślał. - Skąd ci to przyszło do głowy? Zaczynasz się pietrać, Hudson? Nie - odpowiedział. - Mam pewne nieuniknione reakcje. Wiele z nich nie zostało sklasyfikowanych. Zwłaszcza przeze mnie. Wolałbym być taki twardy, jak myśli Freddy, zamiast być ludzki. Przypuszczam, że ma się więcej satysfakcji jako ludzka istota, choć to o wiele boleśniesz. W tej chwili jest piekielnie bolesne. Ale dobrze byłoby być takim, jak oni sądzą. No, już w porządku. O tym też nie myśl. Jeżeli o tym nie myślisz, to to nie istnieje. Akurat, psiakrew. Ale to jest system, którym się kieruję" - pomyślał.

"Floridita" była teraz otwarta i kupił obydwie gazety, które już się ukazały, "Crisol" i "Alerta", i zabrał je do baru. Zasiadł na wysokim stołku przy lewym końcu baru. Siedział plecami do ściany od ulicy, a od lewej był osłonięty ścianą za barem. Zamówił podwójne mrożone daiquiri bez cukru u barmana Pedrico, na co ten uśmiechnął się swoim uśmiechem, który nieomal przypominał skurcz na twarzy człowieka zmarłego wskutek nagłego złamania kręgosłupa, lecz mimo to był prawdziwym i rzetelnym uśmiechem - i

zaczął czytać "Crisol". Walki toczyły się teraz we Włoszech. Nie znał okolic, w których walczyła Piąta Armia, ale znał te po drugiej stronie, gdzie była Ósma Armia, i myślał o nich, kiedy do baru wszedł Ignacio Natera Revello i stanął koło niego.

Pedrico postawił butelkę Victoria Vat, szklanek z dużymi kawałkami lodu i flaszkę wody sodowej Canada Dry przed Ignaciem Natera Revello, który pospiesznie przyrządził sobie napój, po czym obrócił się do Thomasa Hudsona i spojrzał na niego przez swoje zielono zabarwione okulary w rogowej oprawie udając, że dopiero teraz go zobaczył.

Ignacio Natera Revello był wysoki i chudy, ubrany w białą płócienną wiejską koszulę, białe spodnie, czarne jedwabne skarpetki i dobrze wyczyszczone, stare brązowe buty angielskie, i miał rumianą twarz, żółte szczoteczki wąsy i krótkowzroczne, nabiegłe krwią oczy, chronione przez te zielone szkła. Włosy miał płowe i gładko zaczesane. Widząc skwapliwość, z jaką brał się do drinka, można by przypuścić, że jest to pierwszy w tym dniu. Tak jednakże nie było.

- Wasz ambasador robi z siebie durnia - powiedział do Thomasa Hudsona.

- Jestem niepokojony - odrzekł Thomas Hudson.

- Nie, nie. Mów pan poważnie. Coś panu powiem. Tylko to absolutnie między nami.

- Wypij pan. Nie chcę o tym słyszeć.

- Cóż, kiedy pan powinien. I powinien pan coś z tym zrobić.

- Nie zimno panu? - zapytał Thomas Hudson. - W tej koszuli i cienkich spodniach?

- Nigdy mi nie jest zimno.

"I nigdy nie jesteś trzeźwy - pomyślał Thomas Hudson. - Zaczynasz pić w tym małym barze koło domu i kiedy tu przychodzisz na pierwszą dzienną kolejkę, już jesteś wstawiony. Pewno nawet nie zauważyłeś, jaka jest pogoda, kiedy się ubierałeś. Tak - pomyślał. - A ty sam? O jakiej to porze dnia wypileś dziś rano swojego pierwszego drinka i ile było przedtem? Nie rzucaj pierwszy kamieniem w pijaków. Tu nie idzie o pijaków - pomyślał. - Nie to mam mu za złe, że jest pijakiem. Tylko to, że jest piekielnym nudziarzem. Nie musisz litować się nad nudziarzami i nie musisz być dla nich miły. Daj spokój. Dziś masz się zabawić. Odpręż się i ciesz tym."

- Rzucimy kości o tę kolejkę - powiedział.

- Doskonale - odrzekł Ignacio. - Wal pan.

Thomas Hudson wyrzucił trzy króle za jednym razem, naturalnie pozostał przy nich i wygrał.

To było przyjemne. Dzięki temu trunkowi smakował najlepiej, jak można. I było przyjemnie wyrzucić trzy króle za jednym zamachem, i cieszył się, że wygrał z Ignacio

Natera Revello, ponieważ ten był snobem i nudziarzem i wygranie z nim nadawało mu jakąś wartość i sens.

- A teraz rzucimy o następną - powiedział Ignacio Natera Revello.

“Jest tym typem snoba i nudziarza, o którym zawsze się myśli wszystkimi trzema częściami nazwiska - pomyślał Thomas Hudson - tak samo jak go się uważa za snoba i nudziarza. To pewnie tak jak ci ludzie, co stawiają trójkę rzymską po swoim nazwisku. Thomas Hudson Trzeci. Thomas Hudson Śmieci.”

- Pan nie jest przypadkiem Ignacio Natera Revello Trzeci?

- Oczywiście że nie. Przecież pan doskonale zna imię mojego ojca.

- Słusznie. Jasne, że znam.

- Zna pan imiona moich obydwu braci. Zna pan imię mojego dziadka. Nie bądź pan niemądry.

- Postaram się - odrzekł Thomas Hudson. - Bardzo się postaram.

- Właśnie - powiedział Ignacio Natera Revello. - To panu wyjdzie na dobre.

Skupiony, potrząsając skórzanym kubkiem w swojej najlepszej formie, wykonując najcięższą i najlepszą robotę tego rana, wyrzucił cztery walety.

- Mój biedny drogi przyjacielu - powiedział Thomas Hudson. Potrząsnął kośćmi w ciężkim skórzanym kubku, rozkoszując się ich grzechotem. - Takie miłe, dobre kości. Takie wartościowe, chwalebne kości - rzekł.

- No, rzucaj pan i nie mów głupstw.

Thomas Hudson wyrzucił na lekko wilgotny bar trzy króle i dwie dziesiątki.

- Chce pan o coś stawiać?

- Już postawiliśmy - powiedział Ignacio Natera Revello. - O drugą kolejkę.

Thomas Hudson znowu potrząsnął z lubością kośćmi i wyrzucił damę i waleta.

- A teraz pan coś stawia?

- Ma pan ciągle ogromne szanse na swoją korzyść.

- Okej. To tylko wezmę drinki.

Wyrzucił króla i asa czując, jak wylatują z kubka ciężko i dumnie.

- Ma pan szczęście.

- Jeszcze jedno podwójne mrożone daiquiri bez cukru i co tam chce pan Ignacio - powiedział Thomas Hudson. Zaczynał go lubić. - Niech pan posłucha, Ignacio - rzekł. - Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś patrzył na świat przez zielone okulary. Różowe, owszem. Zielone nie. Czy to nie nadaje wszystkiemu jakiegoś trawiastego koloru? Nie czuje się pan

tak, jakby pan był na trawniku? Nigdy pan nie ma takiego uczucia, jakby pana wypuścili na pastwisko?

- To jest najbardziej łagodzący kolor dla oczu. Udowodnili to najwięksi okuliści.

- A pan się często zadaje z największymi okulistami? To musi być dość rozhukana banda.

- Nie znam osobiście żadnego poza moim własnym. Ale on jest zaznajomiony z ustaleniami innych. Jest najlepszy w Nowym Jorku.

- Chciałbym poznać najlepszego w Londynie.

- Znam najlepszego okulistę w Londynie. Ale najlepszy ze wszystkich jest w Nowym Jorku. Chętnie dam panu kartkę do niego.

- Zagrajmy o następną.

- Proszę bardzo. Pan rzuca.

Thomas Hudson wziął skórzany kubek i poczuł solidny, ufny ciężar dużych kości z "Floridity". Ledwie nimi potrząsnął, aby nie drażnić ich łaskawości i szczodrobliwości, i wyrzucił trzy króle, dziesiątkę i damę.

- Trzy króle jednym rzutem. Clasico.

- Jednak pan jesteś drań - powiedział Ignacio Natera Revello, po czym wyrzucił asa, dwie damy i dwa walety.

- Jeszcze jedno podwójne mrożone daiquiri, absolutnie bez cukru, i to, co sobie życzy Don Ignacio - powiedział Thomas Hudson do Pedrika. Pedrico obdarzył ich uśmiechem i drinkiem. Postawił przed Thomasem Hudsonem mikser, w którym na dnie była co najmniej jeszcze jedna cała porcja daiquiri.

- Mógłbym panu to robić cały dzień - powiedział Thomas Hudson do Ignacia.

- Straszne jest to, że chyba pan mógł.

- Kości mnie kochają.

- Dobrze, że chociaż coś pana kocha.

Thomas Hudson poczuł to lekkie mrowienie na skórze głowy, którego doznał wiele razy w ciągu ostatniego miesiąca.

- Co pan przez to rozumie? - zapytał bardzo uprzejmie.

- Że ja na pewno nie, jak pan mi zabiera wszystkie pieniądze.

- Aha - powiedział Thomas Hudson. - Pańskie zdrowie.

- Żebyś pan zdechł - powiedział Ignacio Natera Revello.

Thomas Hudson znów poczuł mrowienie na skórze. Wyciągnął lewą rękę na barze tak, że Ignacio Natera Revello nie mógł jej widzieć, i lekko postukał trzy razy czubkami palców.

- To miło z pana strony - powiedział. - Chce pan zagrać o jeszcze jedną kolejkę?

- Nie - odrzekł tamten. - Już do pana przegrałem całkiem dosyć pieniędzy jak na jeden dzień.

- Nie przegrał pan pieniędzy. Tylko drinki.

- Ja tu płacę rachunek.

- Ignacio - powiedział Thomas Hudson. - To już trzecia trochę cięta rzecz, jaką pan powiedział.

- Bo jestem cięty. Jakby ktoś był dla pana taki piekielnie niegrzeczny jak wasz cholerny ambasador dla mnie...

- W dalszym ciągu nie chcę o tym słyszeć.

- No proszę. I pan mówi, że jestem cięty. Posłuchaj pan. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Znam pana i pańskiego chłopaka, Toma, od lat. A właśnie, co się z nim dzieje?

- Nie żyje.

- Przepraszam. Nie wiedziałem.

- Nie szkodzi - powiedział Thomas Hudson. - Postawię panu drinka.

- Bardzo mi przykro. Proszę, niech pan wierzy, że strasznie mi przykro. Jak zginął?

- Jeszcze nie wiem - odrzekł Thomas Hudson. - Dam panu znać, jak się dowiem.

- Gdzie to się stało?

- Też nie wiem. Wiem, gdzie latał, ale nic poza tym.

- Czy dojechał do Londynu i widział się z kimś z naszych znajomych?

- O, tak. Jeździł tam kilkakrotnie i za każdym razem był u White'a i widział się ze wszystkimi, którzy tam byli.

- No, to przynajmniej jakaś pociecha.

- Że co?

- To znaczy, miło jest wiedzieć, że widywał naszych przyjaciół.

- Oczywiście. Jestem pewny, że dobrze się bawił. Zawsze umiał świetnie się bawić.

- Wypijemy za niego?

- Nie, psiakrew - powiedział Thomas Hudson. Czuł, że wszystko znowu powraca; to wszystko, o czym nie myślał, cały ból, który odsunął i odgrodził od siebie, o którym ani razu nie myślał podczas wyprawy ani przez całe to rano. - Nie wypijemy.

- Uważam, że należy to zrobić - powiedział Ignacio Natera Revello. - Uważam, że to jest wysoce właściwe i że tak trzeba postąpić. Ale muszę postawić tę kolejkę.

- No dobrze. Wypijemy za niego.

- Jaki miał stopień?

- Kapitana.

- Pewnie teraz byłby podpułkownikiem albo przynajmniej majorem.

- Zostawmy jego stopień.

- Jak pan sobie życzy - powiedział Ignacio Natera Revello. - Za mego drogiego przyjaciela, a pańskiego syna, Toma Hudsona. Dulce est morire pro patria. (Słodko jest umierać za ojczyznę.)

- Świni w dupę - rzekł Thomas Hudson.

- O co chodzi? Czy moja łacina była niedobra?

- Nie mam pojęcia, Ignacio.

- Pan znał łacinę doskonale. Wiem od ludzi, którzy chodzili z panem do szkoły.

- Moja łacina jest mocno zdezelowana - odparł Thomas Hudson. - Razem z moją greką, moją angielszczyzną, moją głową i moim sercem. Teraz umiem tylko powiedzieć: mrożone daiquiri. Tu hablas (Ty mówisz) mrożone daiquiri tu?

- Uważam, że moglibyśmy wykazać trochę więcej szacunku dla Toma.

- Tom był wcale niezłym żartownisiem.

- Na pewno. Miał takie świetne i delikatne poczucie humoru jak rzadko. I był jednym z najprzystojniejszych i najlepiej wychowanych chłopców. I znakomitym sportowcem. Jako sportowiec był pierwsza klasa.

- Tak jest. Rzucił dyskiem na sto czterdzieści dwie stopy. Grał jako tylny obrońca ofensywny i umiał kryć przeciwnika w obronie. Dobrze grał w tenisa, pierwszorzędnie strzelał do pióra i dobrze łowił na muchę.

- Był wspaniałym zawodnikiem, świetnym sportowcem. Uważam go za jednego z najlepszych.

- Tylko jedno jest w nim naprawdę niedobre.

- A co?

- Że nie żyje.

- Niechże pan nie będzie makabryczny. Musi pan go zapamiętać takim, jakim był. Jego wesołość, jego promienność i to, jak cudownie się zapowiadał. Nie ma sensu być makabrycznym.

- Żadnego sensu - odpowiedział Thomas Hudson. - Nie bądźmy makabryczni.

- Rad jestem, że pan się zgadza. Wspaniale było móc o nim pomówić. Straszna rzecz, taka wiadomość. Ale wiem, że pan będzie się trzymał, tak samo jak ja, chociaż dla pana to tysiąc razy gorsze jako dla ojca. Na czym on latał?

- Na Spitfire'ach.

- "Spitties". Więc będę go sobie wyobrażał w takim "Spitty".

- Z tym będzie sporo trudności.

- Nie, wcale nie. Widziałem je w kinie. Mam kilka książek o RAF-ie i dostajemy publikacje Brytyjskiego Biura Informacyjnego. Wie pan, oni mają świetne materiały. Wiem dokładnie, jak by wyglądał. Pewnie w takiej kamizelce "Mae West" i ze spadochronem, w mundurze lotniczym i w tych dużych butach. Mogę go sobie dokładnie wyobrazić. No, muszę się zbierać do domu na obiad. Pójdzie pan ze mną? Lutecja na pewno byłaby zachwycona.

- Nie. Muszę się tu z kimś spotkać. Bardzo dziękuję.

- Do zobaczenia, kochany - powiedział Ignacio Natera Revello. - Wiem, że pan to przyjmie tak, jak pan powinien.

- Bardzo pan był dobry, że mi pan dopomógł.

- Nie, wcale nie byłem dobry. Kochałem Toma. Tak jak pan. Jak my wszyscy.

- Dziękuję za te drinki.

- Odbiorę je sobie od pana innego dnia.

Wyszedł. Zza niego, z głębi baru, jeden z załogi ich kutra zbliżył się do Thomasa Hudsona. Był to śniady chłopak o krótko przyciętych, kręconych czarnych włosach, z lekko opadającą powieką na lewym oku; to oko miał sztuczne, ale nie było tego widać, ponieważ rząd obdarował go czterema różnymi oczami, przekrwionym, lekko przekrwionym, prawie czystym i czystym. Miał teraz to lekko przekrwione i był już trochę pijany.

- Cześć, Tom. Kiedy przyjechałeś?

- Wczoraj. - A potem, mówiąc powoli i prawie nie poruszając wargami: - Daj spokój. Nie bądź pieprzonym komediantem.

- Nie jestem. Po prostu się upijam. Jakby mnie rozkrajali, znaleźliby ubezpieczenie wypisane na wątrobie. Jestem król ubezpieczeń. Wiesz o tym. Słuchaj, Tom, stałem obok tego lipnego Anglika i chcąc niechcąc słyszałem. To twojego Tommy'ego zabili?

- Uhm.

- O, cholera - powiedział chłopak. - O, cholera.

- Nie chcę o tym mówić.

- Jasne, że nie. Ale kiedy się dowiedziałeś?

- Przed ostatnim rejssem.

- Cholera.

- Co dzisiaj robisz?

- Idę coś zjeść do "Baru Baskijskiego" z paroma typkami, a potem wszyscy idziemy na dziwki.

- Gdzie będziesz jutro jadł obiad?

- W "Barze Baskijskim".

- Poproś Paco, żeby do mnie jutro zadzwonił z obiadu, dobrze?

- Jasne. Do domu?

- Tak. Do domu.

- Chcesz pójść z nami na dziwki? Wybieramy się do Domu Grzechu Henry'ego.

- Może wpadnę.

- Henry lata teraz za dziewczynkami. Lata tak od śniadania. Już parę razy sobie popieprzył. Ale chce załatwić te dwie dziwki, któreśmy mieli. Wzięliśmy je sobie z Kursaalu i w świetle dziennym wyglądają dosyć paskudnie. Nie mogliśmy znaleźć ni cholery. To miasto naprawdę schodzi na psy. Te dwie ma już w domu na wszelki wypadek i szuka innych z Uczciwą Lil. Mają samochód.

- Poszło im jakoś?

- Chyba nie. Henry chce tej małej. Tej, którą stale widuje we "Frontonie". Uczciwa Lil nie może jej namówić, bo mała boi się go dlatego, że taki jest masywny. Mówiła, że może ją skombinować dla mnie, ale nie dla Henry'ego, bo ona się boi jego rozmiaru i wagi, i różnych rzeczy, które słyszała. Ale Henry nie chce nikogo innego, bo te dwie dziwki mu się przejadły. Więc teraz jest tylko ta mała i on jest w niej zakochany. Po prostu. Zakochany. Pewnie już o tym zapomniał i teraz znowu rżnie te dziwki. Ale musi coś zjeść, więc mamy się spotkać w "Barze Baskijskim".

- Namów go do jedzenia - powiedział Thomas Hudson.

- Nie można go do niczego namówić. Ty możesz, ale ja nie. Ale poproszę go, żeby coś zjadł. Będę go błagał, żeby jadł. Dam mu przykład jedząc samemu.

- Powiedz Pacowi, żeby go namówił.

- To jest myśl. Paco to pewnie potrafi.

- Nie uważasz, że po tym powinien być głodny?

- A ty uważasz?

W tej chwili najmasywniejszy mężczyzna, jakiego znał Thomas Hudson, a także najweselszy, z najszerszymi ramionami i najlepszymi manierami, stanął w drzwiach baru z

uśmiechem na twarzy uperlonej potem nawet w ten zimny dzień. Wyciągnął rękę na powitanie. Był tak ogromny, że wszyscy w barze wydali się przy nim karłowaci, i miał miły uśmiech. Ubrany był w stare granatowe spodnie, koszulę kubańskiego wieśniaka i pantofle na sznurkowej podeszwie.

- Tom, draniu jeden - powiedział. - Szukaliśmy ślicznotek.

Jego przystojna twarz pocila się jeszcze bardziej, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wiatru.

- Pedrico, ja też się tego napiję. Podwójny. Albo większy, jeżeli takie robisz. Że też cię tu widzę, Tom. Aha, zapomniałem. Jest Uczciwa Lil. Chodź tu, moja pięknotko.

Uczciwa Lil weszła drugimi drzwiami. Wyglądała najlepiej, kiedy siedziała przy końcu baru i widziało się tylko jej ładną, smagłą twarz, a otyłość ciała przesłaniała politurowane drzewo blatu. Teraz, podchodząc do baru od drzwi, nie mogła ukryć swego ciała, więc poniosła je, rozkołysane, najszybciej jak mogła bez widomego pośpiechu, i siadła na stołku, który przedtem zajmował Thomas Hudson. Przez to musiał się przenieść o jeden stołek w prawo i odstąpić jej swoje miejsce osłonięte od lewej strony.

- Jak się masz, Tom - powiedziała i ucałowała Thomasa Hudsona. - Henry jest okropny.

- Wcale nie jestem okropny, moja pięknotko - rzekł Henry.

- Jesteś okropny - odparła. - Za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś coraz okropniejszy. Broń mnie przed nim, Thomas.

- W czym jest taki okropny?

- Chce małej, malutkiej dziewczynki, dla której oszalał, a ta mała, malutka dziewczynka nie może z nim iść. A zresztą i tak by nie chciała, bo się go boi dlatego, że jest taki ogromny i waży dwieście trzydzieści funtów.

Henry Wood zarumienił się, spocił w sposób widoczny i pociągnął duży łyk napoju.

- Dwieście dwadzieścia pięć - powiedział.

- Nie mówiłem? - odezwał się smagły chłopak. - Nie mówiłem ci dokładnie tego samego?

- A bo to twój interes gadać komuś cokolwiek? - zapytał go Henry.

- Dwie szmaty. Dwie dziwki. Dwie wykończone dziwki portowe ze złamanym sercem. Dwie picze z jedną jedyną myślą: forsa. Leżymy z nimi. Zamieniamy się i kładziemy na nowo. Wyłącznie przez pijaństwo. Jeżeli powiem jedno życziwe, wyrozumiałe słowo, to nie będę dzentelmenem.

- Rzeczywiście nie były takie strasznie fajne, prawda? - zapytał Henry rumieniąc się znowu.

- Strasznie fajne? Trzeba nam było oblać je benzyną i podpalić.

- Coś okropnego - powiedziała Uczciwa Lil.

- Słuchaj no, paniusiu - rzekł smagły chłopak. - Ja jestem okropny.

- Willie - powiedział Henry. - Chcesz wziąć klucz od Domu Grzechu i pójść zobaczyć, czy wszystko w porządku?

- Nie chcę - odparł smagły chłopak. - Mam klucz, o czym najwyraźniej zapomniałeś, i wcale nie chcę tam chodzić i patrzeć, czy wszystko w porządku. Jedyne sposob, żeby wszystko było w porządku, to żebyś ty czy ja wykopał te dupy na ulicę.

- A jak nie znajdziemy nic innego?

- Musimy znaleźć coś innego. Lilian, może byś się ruszyła z tego stołka i poszła do telefonu? Dajmy spokój z tą małą karliczką. Wybierz sobie z głowy tego pokurcza, Henry. Jak będziesz tak dalej wyprawiał, zrobisz się psychiczny. Ja to wiem. Sam byłem psychiczny.

- Teraz też jesteś - powiedział mu Thomas Hudson.

- Może jestem, Tom. Ty powinieneś wiedzieć. Ale ja nie rżnę gnomów. Jeżeli Henry musi mieć gнома, to jego sprawa. Ale nie wierzę, żeby musiał, tak samo jak nie musi mieć baby z jedną ręką czy jedną nogą. Niech przestanie myśleć o tej cholernej karliczce i pośle Lilian do telefonu.

- Wezmę każdą porządną dziewczynę, jaką nam uda się znaleźć - powiedział Henry.

- Mam nadzieję, że ci się wszystko nie pokręciło, Willie.

- Nie potrzeba nam porządnych dziewczyn - odrzekł Willie. - Tylko tak zacznij, to się zrobisz psychiczny na inny sposób. Nie mam racji, Tommy? Porządne dziewczyny to najniebezpieczniejsze ze wszystkiego. Poza tym wtedy człowieka przyskrzynią za przyczynianie się do przestępczości albo za gwałt czy usiłowanie gwałtu. Do licha z porządnymi dziewczynami. Nam potrzeba kurw. Miłych, czystych, przystojnych, interesujących, niedrogich kurw. Które umieją się rżnąć. Lilian, czemu nie idziesz do tego telefonu?

- Po pierwsze, jakiś gość teraz rozmawia, a drugi czeka przy kontuarze tytoniowym, aż tamten skończy - odpowiedziała Uczciwa Lil. - Jesteś niedobry chłopak, Willie.

- Jestem okropny - rzekł Willie. - Jestem najgorszy chłopak, jakiego znasz. Ale chciałbym, żebyśmy byli lepiej zorganizowani niż teraz.

- Wypijemy sobie po jednym - powiedział Henry. - Potem Lilian na pewno znajdzie kogoś, kogo zna. Prawda, pięknoto?

- Oczywiście - odrzekła Uczciwa Lil po hiszpańsku. - Czemu nie? Ale chcę zatelefonować z budki. Nie stąd. Nie jest właściwe ani odpowiednie dzwonić stąd.

- Zwłoka - powiedział Willie. - W porządku. Zgadzam się. Jeszcze jedna zwłoka. No, to wypijmy.

- A coś ty robił, do diabła? - zapytał Thomas Hudson.

- Tommy, ja cię uwielbiam - powiedział Willie. - A ty sam co robiłeś, do diabła?

- Wypiłem kilka z Ignacio Natera Revello.

- To brzmi jak nazwa włoskiego krążownika - rzekł Willie. - Nie było włoskiego krążownika, który by tak się nazywał?

- Chyba nie.

- Tak to brzmi w każdym razie.

- Muszę obejrzeć rachunek - powiedział Henry. - Ile tego było, Tom?

- Ignacio go zabrał. Wygrałem od niego w kości.

- Ile było naprawdę? - zapytał Henry.

- Zdaje się, cztery.

- Co piłeś przedtem?

- Toma Collinsa, jak tu przyszedłem.

- A w domu?

- Dużo.

- Jesteś po prostu cholerny moczymorda - powiedział Willie. - Pedrico, jeszcze trzy podwójne mrożone daiquiri i to, co zechce ta dama.

- Un highbalito con agua mineral (whisky z wodą mineralną) - powiedziała Uczciwa Lil. - Tommy, chodź usiąść ze mną przy drugim końcu baru. Nie lubią, jak siedzę z tego końca.

- Do diabła z nimi - rzekł Willie. - Tacy wielcy przyjaciele jak my, co nigdy się nie widują, i raptem nie możemy wypić z tobą przy tym końcu baru. Cholera z tym.

- Z całą pewnością możesz tu siedzieć, pięknoto - powiedział Henry. A potem zobaczył dwóch znajomych plantatorów dalej przy barze i poszedł pomówić z nimi nie czekając na napój.

- Już go nie ma - rzekł Willie. - Teraz zapomni o tej karliczce.

- Bardzo jest roztargniony - powiedziała Uczciwa Lil. - Okropnie roztargniony.

- To przez to życie, które prowadzimy - rzekł Willie. - Wciąż bezustanna pogoń za przyjemnościami dla samych przyjemności. Do licha, powinniśmy gonić za przyjemnościami w sposób poważny.

- Tom nie jest roztargniony - powiedziała Uczciwa Lil. - Tom jest smutny.

- Daj spokój z tym pieprzeniem - powiedział jej Willie. - Co się przychrzaniasz? Najpierw ktoś jest roztargniony. Potem ktoś jest smutny. Przedtem ja byłem okropny. No to co? Skąd taka picza jak ty bierze się do ciągłego krytykowania ludzi? Nie wiesz, że masz być wesoła?

Uczciwa Lil zaczęła płakać prawdziwymi łzami, większymi i wilgotniejszymi niż wszelkie łzy w filmach. Zawsze potrafiła płakać prawdziwymi łzami, ilekroć tego chciała czy potrzebowała albo kiedy była dotknięta.

- Ta picza płacze większymi łzami niż moja mama - powiedział Willie.

- Willie, nie powinienes mnie tak nazywać.

- Uspokój się, Willie - powiedział Thomas Hudson.

- Willie, jesteś złym, okrutnym chłopakiem i nie cierpię ciebie - rzekła Uczciwa Lil. - Nie mam pojęcia, dlaczego tacy ludzie jak Thomas Hudson i Henry zadają się z tobą. Jesteś zły i mówisz parszywie.

- Ty jesteś dama - odparł Willie. - Nie powinnaś mówić takich rzeczy. "Parszywie" to niedobre słowo. Całkiem jak ślina na końcu cygara.

Thomas Hudson położył mu dłoń na ramieniu.

- Pij, Willie. Nikomu nie jest za dobrze.

- Henry'emu jest dobrze. Mógłbym powtórzyć mu, co powiedziałaś, to wtedy poczułby się okropnie.

- Sam mnie spytałeś.

- Nie o to mi idzie. Dlaczego się nie podzieliś tym swoim żalem? Dlaczego zachowywałeś to przy sobie przez te ostatnie dwa tygodnie?

- Żalem nie można się dzielić.

- Ciułacz żalu - rzekł Willie. - Nigdy nie myślałem, że będziesz jakimś cholernym ciułaczem żalu.

- Nie potrzeba mi tego, Willie - powiedział Thomas Hudson. - Ale dziękuję ci bardzo. Nie musisz nade mną pracować.

- Okej, Ciułaj sobie. Ale to ci nic dobrego nie da. Powiadam ci, że wychowałem się na tym draństwie.

- Ja też - odrzekł Thomas Hudson. - Bez bujdy.

- Naprawdę? To może twój system jest najlepszy. Tylko że zaczynałeś wyglądać parszywie.

- Po prostu od picia i ze zmęczenia, i dlatego, że jeszcze się nie odgiałem.

- Miałeś wiadomości od swojej kobity?

- Jasne. Trzy listy.

- Jak to wygląda?

- Nie może być gorzej.

- Ano, proszę - powiedział Willie. - Więc możesz sobie to ciuć, żeby coś mieć.

- Ja mam coś.

- Jasne. Twój kot Boise cię kocha. Wiem o tym. Widziałem. Jak się ma ten parszywy stary drań?

- Tak samo.

- On ze mnie gównem wybija - powiedział Willie. - Naprawdę.

- Nie ma dwóch zdań, że się przejmuję.

- Prawda? Gdybym tak cierpiał jak ten kot, tobym dostał fioła. Co pijesz, Thomas?

- Jeszcze jednego takiego.

Willie objął ramieniem obfitą kibić Uczciwej Lil.

- Słuchaj, Lilly - powiedział. - Ty jesteś dobra dziewczyna. Nie chciałem ci zrobić przykrości. To była moja wina. Byłem podhecowany.

- Nie będziesz więcej tak mówił?

- Nie. Chyba że się podhecuje.

- Twoje zdrowie - powiedział do niego Thomas Hudson. - Twoje zdrowie, draniu jeden.

- Teraz gadasz do rzeczy - rzekł Willie. - teraz masz tego swojego fiuta skierowanego na północ. Szkoda, że nie ma tu tego kota, Boisego. Byłby z ciebie dumny. Teraz rozumiesz, co miałem na myśli przez dzielenie się tym?

- Tak - odparł Thomas Hudson. - Rozumiem.

- W porządku - powiedział Willie. - Dajmy z tym spokój. Wystaw wiadro na śmieci, bo właśnie śmieciarz tu leci. Popatrz na tego cholernego Henry'ego. Przyjrzyj mu się dobrze. Jak myślisz, dlaczego tak się poci w taki zimny dzień jak dzisiaj?

- Przez dziewczyny - odrzekła Uczciwa Lil. - Ma na ich punkcie obsesję.

- Obsesję - powiedział Willie. - Wywierć mu dziurę w głowie półcalowym świdrem, gdzie tylko chcesz, to zaczną z niej wylatywać baby. Obsesję. Czemu nie znajdziesz słowa, które by pasowało?

- Obsesja to mocne słowo po hiszpańsku.

- Obsesja? Obsesja to jest nic. Jeżeli będę miał czas dziś po południu, wymyślę odpowiednie słowo.

- Tom, chodź na tamten koniec baru, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.
Postawisz mi sandwicza? Przez całe rano latałam z Henrym.

- Ja idę do "Baru Baskijskiego" - powiedział Willie. - Przyrowadź go tam, Lil.

- Dobrze - odrzekła Uczciwa Lil. - Albo go przyślę.

Ruszyła majestatycznie na drugi koniec baru, zagadując do wielu mijanych mężczyzn i uśmiechając się do innych. Wszyscy odnosili się do niej z szacunkiem. Prawie każdy, do kogo się odezwała, kochał się z nią w jakimś momencie podczas ostatnich dwudziestu pięciu lat. Thomas Hudson poszedł na drugi koniec baru zabierając rachunki, gdy tylko Uczciwa Lil tam zasiadła i uśmiechnęła się do niego. Miała piękny uśmiech, wspaniałe czarne oczy i śliczne czarne włosy. Kiedy zaczynały siwieć u korzonek nad czołem i wzdłuż rozdziałka, prosiła Thomasa Hudsona o pieniądze na fryzjera i gdy wracała po ufarbowaniu włosów, były lśniące, naturalne i tak ładne jak włosy młodej dziewczyny. Skórę miała gładką jak kość słoniowa oliwkowej barwy, gdyby taka kość słoniowa istniała, z lekko przydymionym, różowym odcieniem. Ten koloryt zawsze przypominał Thomasowi Hudsonowi dostate drzewo mahagua, kiedy jest świeżo ścięte, potem po prostu wypolerowane na gładko i lekko nawoskowane. Nigdzie indziej nie widział tej przydymionej, nieomal zielonkawej barwy. Tylko że mahagua nie miała takiego różowego odcienia. Odcień różowy był tym kolorem, którego używała, ale cera była prawie tak gładka jak u chińskiej dziewczyny. Ta ładna twarz spoglądała na niego znad baru, coraz ładniejsza w miarę jak się zbliżał. A potem znalazł się przy niej, i oto było to tęgie ciało i różowy kolor był teraz sztuczny, i nie miał w sobie nic tajemniczego, aczkolwiek twarz była nadal ładna.

- Pięknie wyglądasz, Lil - powiedział.

- Och, Tom, taka jestem teraz gruba. Wstyd mi.

Położył dłoń na jej masywnych udach i powiedział:

- Jesteś ładną grubą.

- Wstydzę się przejść przez bar.

- Robisz to pięknie. Jak okręt.

- Jak tam nasz wspólny przyjaciel?

- Doskonale.

- Kiedy go zobaczę?

- Każdej chwili. Teraz?

- O nie. Tom, o czym to mówił Willie? To, czego nie mogłam zrozumieć?

- Po prostu się wygłupiał.

- Nie. To było o tobie i jakimś zmartwieniu. Czy to chodziło o ciebie i twoją senorę?

- Nie. Pieprzę moją senorę.

- Życzyłabym ci tego. Ale nie możesz, bo jest daleko.

- Aha. O tym się przekonałem.

- Więc co to za zmartwienie?

- Nic takiego. Po prostu zmartwienie.

- Powiedz mi. Proszę.

- Nie ma nic do powiedzenia.

- Wiesz, że mnie możesz powiedzieć. Henry mówi mi o swoich zmartwieniach i płacze w nocy. Willie opowiada mi okropne rzeczy. To są nie tyle zmartwienia, co rzeczy straszne. Możesz mi powiedzieć. Każdy mi mówi. Tylko ty nie.

- Mówienie nigdy nie dało mi nic dobrego. Mówienie jest dla mnie gorsze od niemówienia.

- Tom, Willie mówi takie paskudne rzeczy. Czy on nie wie, że mi przykro słuchać takich słów? Nie wie, że nigdy ich nie używam i że nigdy nie zrobiłam niczego świńskiego ani zwyrodniałego?

- Dlatego cię nazywamy Uczciwą Lil.

- Gdybym miała zostać bogatą robiąc rzeczy zwyrodniałe albo biedną robiąc rzeczy normalne, to wolałabym być biedną.

- Wiem. Co z tym sandwiczem?

- Jeszcze nie jestem głodna.

- Chcesz wypić następnego?

- Tak. Proszę cię, Tom, powiedz mi. Willie mówił, że jest jakiś kot, który się w tobie kocha. To chyba nieprawda?

- Owszem. Prawda.

- Uważam, że to okropne.

- Wcale nie. Ja także kocham tego kota.

- Straszne rzeczy mi mówisz. Nie drażnij się ze mną, Tom, proszę cię. Willie tak się drażnił, że się popłakałam.

- Kocham tego kota - powiedział Thomas Hudson.

- Nie chcę o tym słyszeć. Tom, kiedy mnie zabierzesz do baru wariatów?

- Któregoś dnia.

- Czy oni tam naprawdę przychodzą tak jak zwyczajni ludzie, żeby się spotkać i popić?

- Tak jest. Jedyna różnica, to że mają koszule i spodnie zrobione z worków od cukru.

- Czyś ty naprawdę grał w drużynie wariatów przeciwko trędowatym?

- Naprawdę. Byłem najlepszym pitcherem, jakiego wariaci mieli.

- Jakim sposobem ich poznałeś?

- Po prostu zatrzymałem się tam kiedyś wracając z Rancho Boyeros i spodobało mi się to miejsce.

- Naprawdę mnie zabierzesz do ich baru?

- Jasne. Jeżeli nie będziesz się bała.

- Będę się bała. Ale nie za bardzo, jeżeli będę z tobą. Dlatego właśnie chcę tam pójść.

Żeby się bać.

- Tam jest paru wspaniałych wariatów. Spodobają ci się.

- Mój pierwszy mąż był wariat. Ale z tych uciążliwych.

- Myślisz, że Willie jest wariat?

- O nie. Po prostu ma trudny charakter.

- Dużo przecierpiał.

- A kto nie cierpiał? Willie wykorzystuje swoje cierpienia.

- Nie sądzę. Wiem o nim dużo. Wierz mi.

- To pomówmy o czymś innym. Widzisz tego gościa, który rozmawia przy barze z Henrym?

- Tak.

- On lubi w łóżku tylko świńskie rzeczy.

- Biedny człowiek.

- Wcale nie biedny. Jest bogaty. Ale lubi tylko porquerias.

- A ty nigdy nie lubiłaś porquerias?

- Nigdy. Zapytaj, kogo chcesz. I nigdy w życiu nie robiłam niczego z dziewczynami.

- Uczciwa Lil - powiedział Thomas Hudson.

- Nie wolisz, że jestem taka? Ty nie lubisz porquerias. Lubisz położyć się z kimś, wygodzić sobie i iść spać. Ja cię znam.

- Todo el mundo me conoce. (Wszyscy mnie znają.)

- Nie, nie znają cię. Mają o tobie najrozmaitsze wyobrażenia. Ale ja ciebie znam.

Pił następne lodowate daiquiri bez cukru i podniósł szklanke, ciężką i oszronioną, popatrzał na klarowną część pod zamrożonym wierzchem i przypomniało mu się morze. Zamrożona część napoju była jak szlak okrętu, a klarowna wyglądała jak woda, kiedy przecina ją dziób na płycznach z marglowym dnem. Był to prawie dokładnie ten kolor.

- Chciałbym, żeby był trunek koloru wody morskiej, kiedy ma się głębokość ośmiuset sążni i jest martwa gładź, słońce pada pionowo, a morze jest pełne planktonu - powiedział.

- Co?

- Nic. Wypijmy ten drink płytkowodny.

- Tom, co się stało? Masz jakiś problem?

- Nie.

- Jesteś okropnie smutny i dziś wyglądasz troszkę staro. - To ten północny wiatr.

- Przecież zawsze mówiłeś, że północny wiatr dodaje ci pieprzu i że cię rozwesela. Ile razy się kochaliśmy, bo wiał północny wiatr?

- Masę.

- Zawsze go lubiłeś i kupiłeś mi ten płaszcz, żebym go nosiła, jak będzie wiał.

- To ładny płaszcz.

- Mogłam go sprzedać dziesięć razy - powiedziała Uczciwa Lil. - Nie wyobrażasz sobie, ile osób za nim szalało.

- Teraz jest dobry wiatr na niego.

- Bądź wesół, Tom. Zawsze się robisz wesoły, jak pijesz. Wypij tego drinka i zamów sobie następny.

- Kiedy piję za prędko, boli mnie przód czoła.

- To pij powoli i równo. Ja sobie wypiję jeszcze jednego highbalito.

Zrobiła go sama, z butelki, którą Serafin zostawił przed nią na barze, i Thomas Hudson popatrzał na napój i powiedział:

- To jest drink słodkowodny. Ma kolor wody w Rzece Ogniowej, nim się połączy z Gibbonem, by się przemienić w Madison. Gdybyś dołała trochę więcej whisky, mogłabyś nadać mu kolor potoku, który wypływa z cedrowego bagna i wpada do Rzeki Niedźwiedziej pod miejscowością zwaną Wab-Mi-Mi.

- Wab-Mi-Mi to zabawne - odrzekła. - Co to znaczy?

- Nie wiem. To nazwa indiańska. Powinienem wiedzieć, co znaczy, ale zapomniałem. To jest w języku Odżibwejów.

- Opowiedz mi o Indianach - rzekła Uczciwa Lil. - Lubię słuchać o Indianach jeszcze bardziej niż o wariatach.

- Na wybrzeżu jest całkiem sporo Indian. To są Indianie morscy i łowią i suszą ryby, i wypalają węgiel drzewny.

- Nie chcę słuchać o Indianach kubańskich. Oni są wszyscy mulatos.

- Wcale nie. Niektórzy są prawdziwymi Indianami. Ale możliwe, że ich pochwymano za dawnych czasów i przywieziono z Jukataniu.

- Nie lubię yucatecos.

- Ja lubię. Bardzo.

- Opowiedz mi o tym Wabmimi. Czy to jest na Dalekim Zachodzie?

- Nie. Na północy. W tych stronach, które są blisko Kanady.

- Znam Kanadę. Kiedyś przypłynęłam rzeką do Montrealu na statku "Princess". Ale padało i nie mogliśmy nic obejrzeć, i tego samego wieczora odjechaliśmy pociągiem do Nowego Jorku.

- Cały czas padało na rzece?

- Cały czas. A przedtem, zanim wpłynęliśmy na rzekę, była mgła i od czasu do czasu padał śnieg. Daj spokój z Kanadą. Opowiedz mi o Wabmimi.

- To była zwykła wioska z tartakiem nad rzeką i przejeżdżały przez nią pociągi. Przy torach kolejowych zawsze były ogromne sterty trocin. Mieli na rzece wysięgniki do przytrzymywania kłoców drzewnych, które na niej leżały prawie od brzegu do brzegu. Rzeka była pokryta kłocami na długiej przestrzeni powyżej wsi. Kiedyś łowiłem tam ryby i chciałem przedostać się na drugi brzeg, i poczołgałem się po tych kłocach. Jeden przekreślił się pod mną i wpadłem do wody. Kiedy podpłynąłem do góry, miałem nad sobą same kłocce i nie mogłem wydostać się między nimi. Pod spodem było ciemno i wymacywałem rękami tylko ich korę. Nie mogłem ich rozsunać, żeby się wydobyć na powietrze.

- I co zrobiłeś?

- Utonąłem.

- Och, nie mów tak. Powiedz mi prędko, co zrobiłeś?

- Myślałem bardzo usilnie i wiedziałem, że muszę się przedostać jak najprędzej. Pomacałem bardzo ostrożnie spód jednego kłoca, aż natrafiłem na miejsce, gdzie był przyciśnięty do drugiego. Wtedy wetknąłem tam obie dłonie, zacząłem rozpychać i kłocce trochę się rozstąpiły. Wówczas przepchnąłem na zewnątrz dłonie, potem przedramiona i łokcie, i rozsunałem łokciami kłocce, aż wreszcie wytknąłem głowę i oparłem się o nie rękami. Ogromnie kochałem oba te kłocce i długo tak wisiałem między nimi. Woda tam była od nich brunatna. Ta woda, która przypomina to, co pijesz, była w małym potoku wpadającym do tej rzeki.

- Nie myślę, że bym zdołała precyzyjnie się przedostać między tymi kłocami.

- Ja też przez dłuższy czas nie myślałem, że zdołam.

- Jak długo byłeś pod wodą?

- Nie wiem. Odpoczywałem długo z rękami na klocach, zanim popróbowiałem coś zrobić.

- Podoba mi się ta historia. Ale będę po niej miała złe sny. Opowiedz mi coś wesołego, Tom.

- Dobrze. Niech się zastanowię.

- Nie. Powiedz coś od razu, bez zastanowienia.

- Dobrze - powiedział Thomas Hudson. - Kiedy młody Tom był małym dzieckiem...

- Que muchacho mas guapo! - przerwała Uczciwa Lil. - Que noticias tienes de el?

- Muy buenas.

- Me alegro - powiedziała Uczciwa Lil ze łzami w oczach na myśl o młodym Tomie-lotniku. - Siempre tengo su fotografia en uniforme con el sagrado corazon de Jesus arriba de la fotografia y al lado la Virgen del Cobre. (Co za przystojny chłopak!... Jakie masz od niego wiadomości?)

- Bardzo dobre.

- Cieszę się... Jego fotografia w mundurze zawsze u mnie wisi, a nad nią Serce Jezusa i obok Najświętsza Paniienka z Cobre.)

- Masz wielką wiarę w Virgen del Cobre?

- Absolutnie ślepą.

- Powinnaś ją zachować - powiedział Thomas Hudson.

- I ona się opiekuje Tomem dzień i noc.

- To dobrze - powiedział Thomas Hudson. - Serafin, poproszę jeszcze jeden taki duży. Chcesz posłuchać tej wesołej historii?

- Tak, proszę - odrzekła Uczciwa Lil. - Proszę cię, opowiedz mi tę wesołą historię. Znowu zrobiło mi się smutno.

- Pues el wesoła historia es muy sencillo (No więc ta... jest bardzo prosta) - powiedział Thomas Hudson. - Jak pierwszym razem zabraliśmy Toma do Europy, miał tylko trzy miesiące, statek był bardzo stary, mały i powolny, a morze wzburzone prawie przez cały czas. Statek cuchnął zeną, olejem i smarem na miedzi iluminatorów, ustępami i środkiem dezynfekcyjnym, który był w dużych różowych kostkach w pisuarach...

- Pues, to nie jest zbyt wesoła historia.

- Si, mujer. (Tak kobieto.) Grubo się mylisz. To historia wesoła, muy wesoła. Jadę dalej. Więc statek pachniał też kąpielami, które trzeba było brać o regularnej porze, bo inaczej steward kąpielowy patrzył na człowieka z góry, i gorącą wodą morską, która lała się z mosiężnych kranów nad wanną, i mokrą drewnianą kratką na podłodze, i

wykrochmaloną kurtką kąpielowego. Pachniał też tanią kuchnią angielską, co jest zapachem zniechęcającym, i niedopałkami Woodbine'ów, Playersów i Gold Flake'ów w palarni i wszędzie tam, gdzie je rzucano. Nie było ani jednego przyjemnego zapachu, a tak jak znasz Anglików, zarówno mężczyźni, jak kobiety mają szczególną woń, nawet dla siebie samych, podobnie jak my dla Murzynów, i dlatego muszą się kąpać bardzo często. Anglik nigdy nie pachnie słodko, tak jak oddech krowy, a Anglik palący fajkę nie tłumi swojego zapachu, tylko jeszcze coś do niego dodaje. Ich tweedy pachną przyjemnie, tak samo skóra ich butów i wszystkie ich wyroby siodlarskie. Ale na statku nie ma siodła, a tweedy są przesiąknięte zapachem wygasłych fajek. Jedynym sposobem uzyskania miłego zapachu na tym statku było wetknąć głęboko nos w wysoką szklankę wytrawnego musującego jabłeczniaka z Devonu. To pachniało cudownie i trzymałem w tym nos, ile tylko było mnie stać. Może więcej.

- Pues, to już trochę weselsze.

- Teraz będzie ta część wesoła. Nasza kabina była tak nisko, nad samą linią wodną, że musiało się trzymać iluminator zamknięty przez cały czas i widziało się sunące fale, a potem zwartą zieloność, gdy morze sięgało nad iluminator. Zbudowaliśmy barykadę z kufrów i walizek powiązanych sznurem, żeby Tom nie wypadł z koi, i kiedy jego matka i ja schodziliśmy na dół, żeby zobaczyć, co się z nim dzieje, za każdym razem śmiał się, jeżeli nie spał.

- Naprawdę śmiał się mając trzy miesiące?

- Śmiał się przez cały czas. Nigdy nie słyszałem, żeby płakał, kiedy był niemowlęciem.

- Que muchacho mas lindo y mas guapo! (Jaki to piękny i przystojny chłopak!)

- Tak - powiedział Thomas Hudson. - Muchacho bardzo wysokiej klasy. Chcesz, żebym opowiedział ci o nim inną wesołą historię?

- Dlaczego rzuciłeś jego śliczną matkę?

- Bardzo dziwna kombinacja okoliczności. Chcesz jeszcze jedną wesołą historię?

- Tak. Ale bez tyłu zapachów.

- To mrożone daiquiri, tak dobrze wymieszane, wygląda jak morze, kiedy fale rozwierają się przed dziobem statku robiącego trzydzieści węzłów. Jak myślisz, że wyglądałyby mrożone daiquiri, gdyby były fosforyzujące?

- Można dodać do nich fosforu. Ale nie sądzę, żeby to było zdrowe. Ludzie na Kubie czasami popełniają samobójstwo zjadając fosfor z łebków zapalek.

- I pijąc tinta rapida. Co to jest ten "szybki atrament"?

- To taka farba do czernienia butów. Ale najczęściej dziewczyny zawiedzione w miłości albo takie, których narzeczeni nie dotrzymali obietnic, robili im te rzeczy, a potem odjechali nie ożeniwszy się, popełniają samobójstwo oblewając się spirytusem i podpalając. To jest klasyczny sposób.

- Wiem - powiedział Thomas Hudson. - Auto da fe.

- To bardzo pewne - mówiła Uczciwa Lil. - Prawie zawsze umierają. Oparzenia są przede wszystkim na głowie, a zwykle na całym ciele. Szybki atrament to jest bardziej gest. Jodyna też au fond jest gestem.

- O czym mówicie, wy dwa upiory? - zapytał barman Serafin.

- O samobójstwach.

- Hay mucho (Dużo ich jest) - powiedział Serafin. - Szczególnie wśród biedoty. Nie przypominam sobie, żeby bogaty Kubańczyk popełnił samobójstwo. A ty?

- Owszem - odrzekła Uczciwa Lil. - Znam kilka przypadków. I to porządni ludzie.

- Powinnaś znać - powiedział Serafin. - Senor Tomas, chce pan coś zjeść do tego drinka? Un poco de pescado? Puerco frito? (Kawałek ryby? Smażoną wieprzowinę?) Zimne mięsa?

- Si - odrzekł Thomas Hudson. - Cokolwiek jest.

Serafin podał półmisek z kawałkami wieprzowiny przypieczonej i kruchej i drugi z czerwonym snapperem opiekany w mące, tak że miał żółtą skorupkę na różowoczerwonej skórcie, a w środku białe, słodkie mięso. Serafin był wysokim chłopakiem, z natury szorstkim w mowie, i stąpał twardo w drewnianych chodakach, które nosił z powodu wilgoci i rozlanych płynów za barem.

- Chce pan zimne mięsa?

- Nie. To wystarczy.

- Bierz wszystko, co ci dają, Tom - powiedziała Uczciwa Lil. - Znasz ten lokal.

- Bar miał opinię, że nigdy nie stawia klientom napojów. Natomiast co dzień podawano tam bezpłatnie niezliczone porcje gorących potraw; nie tylko smażone ryby i wieprzowinę, ale półmiski małych, gorących pierożków z mięsem i sandwicze z osmażonego chleba z serem i szynką. Poza tym barmani mieszały daiquiri w ogromnym shakerze i po rozlaniu zawsze zostawało w nim co najmniej półtorej porcji.

- Teraz już ci mniej smutno? - spytała Uczciwa Lil.

- Tak.

- Powiedz mi, Tom. Co cię smuci?

- El mundo entero.

- Kogo nie smuci cały świat? Robi się coraz gorszy. Ale nie można spędzać czasu na martwieniu się tym.

- Nie ma żadnego prawa, które by tego zakazywało.

- Nie musi być zakazu prawnego, żeby coś było złe.

“Dyskusje etyczne z Uczciwą Lil nie są tym, czego mi trzeba - pomyślał Thomas Hudson. - A czego ci trzeba, ty draniu? Trzeba ci się upić, co prawdopodobnie robisz, choć ci się tak nie wydaje. Nie ma sposobu, żebyś dostał to, czego ci trzeba, a już nigdy nie będziesz miał tego, czego chcesz. No, dalej. Zastosuj jeden z nich.”

- Voy a tomar otro de estos grandes sin azucar (Wezmę drugi z tych dużych bez cukru) - powiedział do Serafina.

- En seguida (zaraz), Don Tomas - odrzekł Serafin. - Czy pan ma zamiar pobić rekord?

- Nie. Po prostu piję ze spokojem.

- Pił pan ze spokojem, kiedy pan ustanowił rekord - powiedział Serafin. - Ze spokojem i męstwem, od rana aż do nocy. I wyszedł pan na własnych nogach.

- Do diabła z rekordem.

- Ma pan szansę go pobić - powiedział Serafin. - Pijąc tak jak teraz i jedząc przy tym trochę, ma pan ogromną szansę.

- Tom, spróbuj pobić rekord - rzekła Uczciwa Lil. - Jestem tu jako świadek.

- Panu nie potrzeba świadków - powiedział Serafin. - Ja jestem świadkiem. Jak będę odchodził, podam obliczenie Constantowi. Już teraz jest pan bardziej zaawansowany niż tego dnia, kiedy pan ustanowił rekord.

- Do diabła z rekordem.

- Jest pan w dobrej formie. Pije się panu doskonale i równo, i nic po panu nie widać.

- Pieprzę rekord.

- Proszę bardzo. Como usted quiere. (Jak pan chce.) Prowadzę obliczenie, na wypadek gdyby pan zmienił zdanie.

- Będzie dobrze obliczał - powiedziała Uczciwa Lil. - Ma kopie rachunków.

- Czego ty chcesz, kobieto? Prawdziwego rekordu czy lipnego?

- Żadnego. Chcę highbalito z agua mineral.

- Como siempre - powiedział Serafin.

- Pijam też koniak.

- Wolę tu nie być, jak będziesz piła koniak.

- Tom, czy ty wiesz, że przewróciłam się wsiadając do tramwaju i o mało nie zginęłam?

- Biedna Uczciwa Lil - powiedział Serafin. - Niebezpieczne i pełne przygód życie.

- Lepsze niż twoje sterczenie przez cały dzień w drewniakach za barem i obsługiwane pijaków.

- To mój zawód - odparł Serafin. - Jest przywilejem obsługiwać takich wybitnych pijaków jak wy.

Podszedł Henry Wood. Przystanął, wysoki i spocony, i świeżo podniecony zmianą planów. "Nic mu nie sprawia takiej przyjemności - pomyślał Thomas Hudson - jak nagła zmiana planów."

- Idziemy do Domu Grzechu Alfreda - powiedział. - Chcesz iść, Tom?

- Willie czeka na ciebie w "Barze Baskijskim".

- Nie sądzę, żebyśmy tym razem chcieli go brać ze sobą.

- To powinienes mu powiedzieć.

- Zadzwoń do niego. Nie chcesz pójść? To będzie bardzo fajne.

- Powinienes coś zjeść.

- Zjem dobrą, sutą kolację. Jak ci się wiedzie?

- Doskonale - odrzekł Thomas Hudson. - Naprawdę doskonale.

- Będziesz próbował pobić rekord?

- Nie.

- Zobaczymy się wieczorem?

- Nie sądzę.

- Przyjdę zanoć u ciebie, jeżeli chcesz.

- Nie. Zabaw się. Ale zjedz coś.

- Zjem wyborną kolację. Słowo honoru.

- Tylko na pewno zadzwoń do Willa.

- Zadzwoń. Możesz być całkiem pewny.

- Gdzie jest Dom Grzechu Alfreda?

- To absolutnie przepiękny lokal. Wychodzi na port, jest dobrze umeblowany i naprawdę zachwycający.

- Mnie idzie o adres.

- Nie znam go, ale podam Willowi.

- Nie myślisz, że będzie urażony?

- Nic na to nie poradzę, Tom. Naprawdę nie mogę go tym razem zaprosić. Wiesz, jak go lubię. Ale są rzeczy, na które po prostu nie mogę go prosić. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- W porządku. Ale zadzwoń do niego.

- Słowo honoru, że zadzwonię. I słowo honoru, że zjem pierwszorzędną kolację.

Uśmiechnął się, poklepał Uczciwą Lil po ramieniu i wyszedł. Poruszał się bardzo pięknie jak na takiego masywnego mężczyznę.

- A co z tymi dziewczynami, które są u niego? - zapytał Thomas Hudson.

- Już pewnie sobie poszły - odrzekła Uczciwa Lil. - Tam nie ma nic do jedzenia. I nie sądzę, żeby było dużo do picia. Chcesz tam iść czy też wolałbyś pójść do mnie?

- Do ciebie - powiedział Thomas Hudson. - Ale później.

- Opowiedz mi jeszcze jakąś wesołą historię.

- Dobrze. O czym?

- Serafin - powiedziała Lil. - Daj Tomasowi jeszcze jednego podwójnego mrożonego bez cukru. Tengo todavía mi highbalito. (Jeszcze mam moją whisky.) - A potem, do Thomasa Hudsona: - O najszcześniejszych chwilach, jakie pamiętasz. I bez zapachów.

- Muszą w tym być zapachy - rzekł Thomas Hudson. Patrzył, jak Henry Wood wsiada po drugiej stronie placu do sportowego samochodu bardzo bogatego plantatora trzciny cukrowej imieniem Alfred. Henry Wood był za tęgi na ten wóz. Jest za tęgi prawie na wszystko, pomyślał. Ale znał parę rzeczy, na które nie był za tęgi. "Nie - powiedział do siebie. - To jest twój wolny dzień. Weź sobie wolny dzień."

- O czym ma być ta historia?

- O tym, co ci mówiłam.

Patrzył, jak Serafin nalewał napój z shakera do wysokiego kieliszka i jak płyn przelał się przez krawędź na bar. Serafin wsunął podstawkę kieliszka w kartonowy ochraniacz, a Thomas Hudson podniósł go czując, jaki jest ciężki i zimny nad cienką nóżką, którą trzymał w palcach, pociągnął duży łyk i zanim przełknął, przytrzymał go w ustach, zimny na języku i zębach.

- No dobrze - powiedział. - Najszcześniejszym dniem, jaki miałem, był każdy z tych, kiedy jako mały chłopiec budziłem się rano i nie musiałem iść do szkoły ani do pracy. Budząc się z rana byłem zawsze głodny i czułem zapach rosy na trawie, i słyszałem wiatr w wysokich gałęziach świerków, jeżeli był wiatr, a jeśli go nie było, słyszałem ciszę lasu i milczenie jeziora i nasłuchiwałem pierwszych porannych odgłosów. Czasami pierwszym odgłosem był krzyk zimorodka lecącego nad wodą, która była taka spokojna, że się w niej

odbijał, i podczas lotu wydawał brzękliwy głos. Niekiedy była to wiewiórka popiskująca nad jednym z drzew przed domem, która potrząsała kitą za każdym piśnięciem. Często było to wołanie siewki na zboczu wzgórza. Ale ilekroć się obudziłem i usłyszałem, że nie będę musiał iść do szkoły ani do pracy, byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek indziej.

- Bywałem bardzo szczęśliwy z kobietami. Rozpaczliwie szczęśliwy. Nieznośnie szczęśliwy. Taki szczęśliwy, że nie mogłem w to uwierzyć, że było to tak, jak gdybym się upił albo oszalał. Ale nigdy nie taki szczęśliwy jak z moimi dziećmi, kiedy nam było dobrze razem, ani jak wczesnym rankiem.

- Ale jakże mogłeś być równie szczęśliwy sam jeden jak z kimś?

- To wszystko jest bez sensu. Prosiłaś mnie, żebym ci powiedział, cokolwiek przyjdzie mi na myśl.

- Nie, wcale nie. Prosiłam cię, żebyś mi opowiedział radosną historię o najszczęśliwszych chwilach, jakie pamiętasz. A to nie była historia. Po prostu budziłeś się i byłeś szczęśliwy. Opowiedz mi prawdziwą historię.

- O czym?

- Daj do niej trochę miłości.

- Jakiej? Niebiańskiej czy ziemskiej?

- Po prostu dobrej i przyjemnej.

- Znam dobrą historię na ten temat.

- To mi opowiedz. Chcesz jeszcze drinka?

- Nie, dopóki nie skończę tego. No dobrze. Więc naówczas byłem w Hongkongu, który jest wspaniałym miastem, gdzie było mi bardzo dobrze i gdzie prowadziłem szalone życie. Jest tam piękna zatoka, a po stronie lądu stałego jest miasto Kowloon. Sam Hongkong leży na pagórkowatej wyspie, pięknie zalesionej, i są tam kręte drogi na szczyty wzgórz i domy zbudowane wysoko na pagórkach, a miasto jest u podnóża tych wzgórz, co są naprzeciw Kowloonu. Jeździ się tam i z powrotem szybkimi nowoczesnymi promami. Ten Kowloon jest ładnym miastem i bardzo by ci się spodobał. Jest czysty i dobrze rozplanowany, a las podchodzi do skraju miasta i jest tam bardzo dobre polowanie na dzikie gołębie zaraz za terenem więzienia dla kobiet. Strzelaliśmy tam gołębie, które były duże i ładne, ze ślicznymi, mieniącymi się fiołkowo piórkami na szyi, i miały silny, szybki lot, kiedy zapadały o pierwszym zmroku na olbrzymim drzewie laurowym, które rosło tuż za bielonym murem terenu więzienia. Czasem takiego gołębia, nadlatującego wysoko i bardzo szybko z wiatrem, trafiałem wprost nad sobą i wtedy spadał za mur więzienny i słyszałem kobiety, które krzyczały i piszczwały z radości wydzierając sobie ptaka, a potem

darły się i wrzeszczały, kiedy odpędzał je strażnik Sikh i odbierał gołębia, którego następnie odnosił nam sumiennie przez furtkę wartowni więzienia.

Łąd dookoła Kowloonu nazywano Nowym Terytorium i był górzysty i zalesiony, i było tam dużo dzikich gołębi, i wieczorami słyszeliśmy, jak się wzajemnie nawoływały. Kobiety i dzieci często wykopywały ziemię przy drogach i wsypywały ją do koszyków. Kiedy zobaczyły kogoś ze strzelbą, uciekały i kryły się w lesie. Dowiedziałem się, że wykopywały ziemię, ponieważ był w niej wolfram, ruda tungstenu. Wtedy był na to duży popyt.

- Es un poco pesada esta historia.

- Nie, Lil. Wcale nie jest ciężka. Poczekaj, to zobaczysz. Sam wolfram jest pesado. Ale to bardzo dziwna sprawa. Tam, gdzie istnieje, jest najłatwiejszą rzeczą do wydobywania. Po prostu wykopuje się ziemię i wywozi ją. Albo się zbiera kamienie i odnosi. W Estremadurze, w Hiszpanii, są całe wioski zbudowane z kamieni mających bardzo wysoką zawartość rudy wolframowej, a kamienne ogrodzenia na chłopskich polach są całe z tej rudy. Mimo to chłopcy są bardzo ubodzy. W owym czasie była tak cenna, że używaliśmy samolotów DC-2, takich transportowców jak te, co latają stąd do Miami, żeby przewozić ją z pola pod Nam Yung w Wolnych Chinach na lotnisko Kai Tak pod Kowloonem. Stamtąd wysyłano ją do Stanów. Uważano ją za bardzo rzadką i mającą zasadnicze znaczenie dla naszych przygotowań do wojny, ponieważ była potrzebna do hartowania stali, a przecież każdy mógł pójść na wzgórze Nowego Terytorium i nakopać jej tyle, ile on czy ona mogli ponieść w płaskim koszyku na głowie do wielkiej szopy, gdzie ją potajemnie kupowano. Wykryłem to polując na dzikie gołębie i powiadomiłem ludzi zakupujących wolfram we wnętrzu kraju. Nikt się tym zbytnio nie zainteresował, więc wielokrotnie zwracałem na to uwagę osób wyższej rangi, aż wreszcie któregoś dnia pewien bardzo wysoki oficer, wcale nie interesujący się tym, że wolfram można z łatwością wykopywać na Nowym Terytorium, powiedział mi: "Słuchaj, stary, bądź co bądź to, co się zorganizowało w Nam Yung, jakoś funkcjonuje." Ale kiedy wieczorami polowaliśmy koło więzienia dla kobiet i widzieliśmy starego dwusilnikowego Douglasa nadlatującego zza wzgórz i schodzącego ku lotnisku, i kiedy się wiedziało, że jest załadowany wolframem w workach i dopiero co przeleciał nad liniami japońskimi, dziwnie było pomyśleć, że wiele kobiet siedzi w tym więzieniu za wykopywanie wolframu bez zezwolenia.

- Si, es raro - powiedziała Uczciwa Lil. - Ale kiedy będzie o miłości?

- Kiedy tylko zechcesz - odrzekł Thomas Hudson. - Ale spodoba ci się bardziej, jeżeli będziesz znała miejsce, gdzie się zdarzyło.

Wokoło Hongkongu jest wiele wysp i zatok, a woda jest czysta i piękna. Nowe Terytorium jest w rzeczywistości zalesionym i górzystym półwyspem, który odchodzi od lądu stałego, a wyspa, na której jest zbudowany Hongkong, znajduje się na wielkiej, błękitnej, głębokiej zatoce, która sięga od Południowego Morza Chińskiego aż po Kanton. W zimie klimat jest mniej więcej taki jak dzisiaj, kiedy wieje północny wiatr, z deszczem i niepogodą, i można spać w chłodzie.

Rano budziłem się i nawet jeśli padało, szedłem na targ rybny. Ich ryby są prawie te same co u nas, a główną rybą jadalną jest czerwony granik. Ale mają też bardzo tłuste i lśniące pompano i olbrzymie krewetki, największe, jakie widziałem. Targ rybny był cudowny wczesnym rankiem, kiedy zwożono błyszczące, świeżo złowione ryby, i było trochę takich, których nie znałem, ale niewiele, i mieli na sprzedaż dzikie kaczkę, które łapali w sidła. Widywało się rożeńce, cyranki, świstuny, zarówno kaczkę, jak kaczory w zimowym upierzeniu, i były też takie, których nigdy nie widziałem, o upierzeniu tak delikatnym i skomplikowanym jak nasze kaczki leśne. Oglądałem je i to ich niewiarygodne upierzenie, i piękne oczy, a także lśniące, tłuste, świeżo złowione ryby, i piękne warzywa nawożone w ogrodach ludzkimi odchodami; nazywali to tam "nocną glebą", a warzywa były równie piękne jak węże. Chodziłem na targ co rano i co rano była to rozkosz.

Poza tym z rana zawsze przewozili ulicami zmarłych na pochowanie, z żałobnikami ubranymi na biało i orkiestrą grającą wesołe melodie. Melodią, którą tamtego roku grali najczęściej podczas pogrzebów, była "Znów powróciły szczęsne dni". W ciągu dnia słyszało się ją prawie bez przerwy, bo ludzi umierało wielu; powiadano też, że na wyspach mieszka czterystu milionerów nie licząc tych, co mieszkają w Kowloonie.

- Millonarios chinos?

- Głównie chińskich milionerów. Ale byli i najróżniejsi inni. Sam znałem wielu milionerów i jadaliśmy razem obiady w doskonałych restauracjach chińskich. Mieli tam kilka restauracji tak świetnych jak rzadko gdzie na świecie, a kuchnia kantońska jest znakomita. Do moich najlepszych przyjaciół tamtego roku należało dziesięciu milionerów, których znałem tylko z ich pierwszych dwóch inicjałów, H. M., M. Y., T. V., H. J. i tak dalej. Wszystkich wybitnych Chińczyków znało się w ten sposób. A także byli trzej chińscy generałowie, z których jeden pochodził z Whitechapel w Londynie i był naprawdę wspaniałym człowiekiem, inspektorem policji, ze sześciu pilotów z chińskich państwowych linii lotniczych, którzy robili bajeczne pieniądze i zasługiwali na to, a nawet na więcej; jeden policjant, częściowo obłąkany Australijczyk, paru brytyjskich oficerów i... Ale nie

będę cię nudził pozostałymi. W Hongkongu miałem więcej przyjaciół, bliskich i serdecznych przyjaciół, niż kiedykolwiek przedtem czy potem.

- Cuando viene el amor? (Kiedy przychodzi miłość?)

- Zastanawiam się, który amor wsadzić tu najpierw. No dobrze, idzie trochę amor.

- Opowiedz to dobrze, bo już jestem nieco zmęczona Chinami.

- Nie byłabyś zmęczona. Zakochałabyś się w nich tak samo jak ja.

- To dlaczego tam nie zostałeś?

- Nie można było zostać, bo lada chwila mogli przyjść Japońce i zająć je.

- Todo esta jodido por la guerra. (Wszystko jest zgnojone przez wojnę.)

- Tak - powiedział Thomas Hudson. - Zgadzam się. - Nigdy nie słyszał, żeby Uczciwa Lil użyła tak mocnego słowa, i był zaskoczony.

- Me cansan con la guerra. (Męczą mnie tą wojną.)

- Mnie też - odrzekł. - Mam jej ogromnie dość. Ale nigdy nie mam dość myślenia o Hongkongu.

- To mi o nim opowiedz. To jest bastante interesante (bardzo interesujące). Tylko że chciałam posłuchać o miłości.

- Właściwie wszystko było takie interesujące, że nie miało się wiele czasu na miłość.

- Z kim się kochałeś najpierw?

- Z bardzo wysoką i piękną chińską dziewczyną, która była ogromnie europejska i wyemancypowana, ale nie chciała iść spać ze mną do hotelu, bo mówiła, że wszyscy się o tym dowiedzą, a nie chciała spać ze mną u siebie w domu, bo mówiła, że dowie się służba. Jej policyjny pies już o tym wiedział. Bardzo nam utrudniał sprawę.

- Więc gdzie się kochaliście?

- Tak jak to się robi w dzieciństwie; gdziekolwiek udało mi się ją namówić, a zwłaszcza w samochodach i pojazdach.

- To musiało być bardzo niedobre dla naszego przyjaciela, pana X.

- Było.

- I tylko tyle miałeś tej miłości? Nigdy nie przespaliście razem całej nocy?

- Nigdy.

- Biedny Tom. A ona była warta całego tego zachodu?

- Nie wiem. Chyba tak. Powinienem był wynająć dom zamiast mieszkać w hotelu.

- Powinieneś był wynająć sobie Dom Grzechu, tak jak wszyscy to robią tutaj.

- Nie lubię takich domów.

- Wiem. Ale ostatecznie, jeżeli chciałeś tej dziewczyny...

- Problem został rozwiązany w inny sposób. Nie nudzi cię to?

- Nie, Tom, proszę cię. Teraz już nie. Jakże został rozwiązany?

- Któregoś wieczora zjadłem kolację z tą dziewczyną, a potem długo pływalismy łódką i to było wspaniałe, ale niedogodne. Miała ciało cudowne w dotyku i wszystkie wstępne zabiegi miłosne bardzo ją podniecały, a usta jej były wąskie, ale nabrzmiałe miłością. Potem poszliśmy z łódki do jej domu, ale tam był ten pies policyjny i wynikł problem, żeby nikogo nie zbudzić, więc w końcu wróciłem sam do hotelu, nie czułem się dobrze z tym wszystkim, miałem dość namawiania i wiedziałem, że ona ma rację, ale zastanawiałem się, po diabła cała ta wielka emancypacja, jeżeli ktoś nie może pójść do łóżka. Uważałem, że jak mamy być wyemancypowani, to trzeba wyemancypować prześcieradła. Tak czy owak, byłem ponury i frustrado.

- Nigdy cię nie widziałam frustrado. Musisz być zabawny, jak jesteś frustrado.

- Wcale nie. Jestem po prostu zły i tamtego wieczora byłem zły i zniechęcony.

- Opowiadaj dalej tę historię.

- No więc wziąłem swój klucz w recepcji, ogromnie frustrado i w ogóle do diabła ze wszystkim. To był bardzo duży, bogaty i bogato ponury hotel i pojechałem windą do tego mojego dużego, bogatego, ponurego i samotnego pokoju, w którym nie było żadnej pięknej, wysokiej Chinki. Poszedłem korytarzem, otworzyłem masywne drzwi mojego gigantycznego, ponurego pokoju i wtedy zobaczyłem, co tam było.

- A co było?

- Trzy absolutnie przepiękne chińskie dziewczyny, tak piękne, że moja piękna Chinka, której nie mogłem namówić na pójście do łóżka, wydawała się w porównaniu z nimi szkolną nauczycielką. Były tak piękne, że wprost nie do wytrzymania, i żadna nie mówiła po angielsku.

- Skąd się tam wzięły?

- Przysłał je jeden z tych moich milionerów. Jedna miała dla mnie list na bardzo grubym papierze, w pergaminowej kopercie. Było tam napisane tylko: "Pozdrowienia od C. W."

- I co zrobiłeś?

- Nie znałem ich zwyczajów, więc uściskałem im dłonie i każdą ucałowałem, a potem powiedziałem, że według mnie najlepszym sposobem zaznajomienia się jest wziąć razem prysznic.

- Jak im to powiedziałeś?

- Po angielsku.

- I zrozumiały?

- Wyjaśniłem im tak, że zrozumiały.

- A potem co zrobiłeś?

- Byłem bardzo zakłopotany, bo jeszcze nigdy nie uprawiałem miłości z trzema dziewczynami. Dwie to przyjemne, chociaż ty tego nie lubisz. Nie jest dwa razy lepsze niż jedna dziewczyna, ale inne, a w każdym razie zabawne, kiedy się jest pijanym. Ale trzy dziewczyny to już masa dziewczyn i byłem zakłopotany. Więc zapytałem, czy nie chciałyby czegoś się napić, ale nie chciały. Wobec tego wypiliśmy sam i usiedliśmy na łóżku, które na szczęście było bardzo szerokie, choć one wszystkie były drobne, i zgasilem światło.

- Przyjemnie było?

- Cudownie. Było cudownie znaleźć się w łóżku z chińską dziewczyną tak samo gładką jak ta, którą znałem, a nawet dużo gładszą, zarazem nieśmiałą i bezwstydną, i wcale nie wyemancypowaną, a potem pomnożyć to przez trzy i mieć to wszystko w ciemnościach. Nigdy przedtem nie trzymałem w objęciach trzech dziewczyn. Ale można to zrobić. Były wyszkolone i znały wiele rzeczy, których ja nie znałem, i wszystko działo się po ciemku, i nie miałem ochoty już nigdy iść spać. Ale w końcu usnąłem, a kiedy obudziłem się rano, wszystkie trzy spały i wyglądały równie ślicznie jak wtedy, gdy wszedłem do pokoju. To były najpiękniejsze dziewczyny, jakie widziałem.

- Piękniejsze ode mnie wtedy, jak mnie poznałeś dwadzieścia pięć lat temu?

- Nie, Lil. No puede ser. (To niemożliwe.) To były Chinki, a wiesz, jaka piękna może być chińska dziewczyna. A zresztą uwielbiałem Chinki.

- No es perverso.

- Nie, to na pewno nie jest perwersja.

- Ale aż trzy?

- Trzy to jest kilka. A przyznaję, że miłość jest przeznaczona na to, żeby uprawiać ją z jedną.

- W każdym razie cieszę się, że je miałeś. Nie myśl, że jestem zazdrosna. Nie szukałeś tego, a poza tym to był prezent. Nie cierpię tamtej od psa policyjnego, co nie chciała iść do łóżka. Ale, Tom, nie czuleś się rano wyczerpany?

- Nie możesz sobie wyobrazić jak bardzo. Naprawdę pusty w środku. I czułem się znieprawiony od stóp do głów, plecy miałem odrętwiałe, a w krzyżu mnie bolało.

- Więc wypiliśmy sobie drinka.

- Wypiliśmy sobie i poczułem się trochę lepiej, i byłem bardzo zadowolony.

- Co zrobiłeś potem?

- Patrzałem na nie wszystkie, jak spały, i żałowałem, że nie mogę zrobić ich zdjęcia. Piękne byłoby takie zdjęcie ich śpiących. Byłem piekielnie głodny i pusty w środku, i wyjrzałem zza zasłon, jaka jest pogoda. Padał deszcz. Więc pomyślałem sobie, że to świetnie, bo zostaniemy w łóżku przez cały dzień. Ale musiałem zjeść jakieś śniadanie i pomyśleć o śniadaniu dla nich. Więc wziąłem prysznic przy zamkniętych drzwiach, a potem ubrałem się po cichu i wyszedłem zamykając za sobą drzwi tak, że nawet nie szczęknęły. Na dole, w sali śniadaniowej hotelu, zjadłem obfite śniadanie, złożone z wędzonych ryb, bułek z marmoladą, grzybów i bekonu. Wszystko to bardzo smaczne. Wypiłem duży dzbanek herbaty, wziąłem sobie do śniadania podwójną whisky z wodą sodową i wciąż czułem tę pustkę w środku. Czytałem poranną angielską gazetę wychodzącą w Hongkongu i dziwiłem się, że one tak długo śpią. W końcu podszedłem do drzwi frontowych i wyjrzałem na dwór, i ciągle mocno padało. Poszedłem do baru, ale jeszcze nie był otwarty. Whisky do śniadania przynieśli mi z baru służbowego. Wreszcie nie mogłem już dłużej czekać, wróciłem do pokoju i otworzyłem drzwi. Nie było żadnej.

- To okropne.

- Tak właśnie sobie pomyślałem.

- I co zrobiłeś? Pewnie coś wypileś.

- Tak. Wypiłem, a następnie poszedłem do łazienki i wymyłem się jeszcze raz porządnie dużą ilością mydła i wody, a potem zacząłem mieć podwójne wyrzuty sumienia.

- Un doble remordimiento?

- Nie. Dwa wyrzuty. Po pierwsze, że spałem z trzema dziewczynami. A po drugie, że sobie poszły.

- Pamiętam, że miewałeś wyrzuty sumienia po tym, jak byłeś ze mną. Ale je przezwyciężałeś.

- Wiem. Zawsze przezwyciężam wszystko. I zawsze byłem człowiekiem mającym wielkie wyrzuty sumienia. Ale tamtego rana w hotelu były gigantyczne, dubeltowe.

- Więc wypileś jeszcze jednego.

- Jak tyś to zgadła? I zadzwoniłem do mojego milionera. Ale nie było go w domu. Ani w biurze.

- Musiał być w swoim Domu Grzechu.

- Niewątpliwie. I tam poszły do niego dziewczyny, żeby mu opowiedzieć o tej nocy.

- Ale skąd oni wzięli trzy takie piękne dziewczyny? Dzisiaj w całej Hawanie nie można by dostać trzech naprawdę pięknych dziewczyn. Wiem, jakie miałam trudności ze

znalezieniem czegokolwiek bodaj możliwego dla Henry'ego i Willa dziś rano. Chociaż to naturalnie jest niedobra pora dnia.

- O, ci milionerzy z Hongkongu mieli wywiadowców w całym kraju. Wszędzie w Chinach. Zupełnie jak drużyna baseballowa Dodgerów z Brooklynu poszukująca zawodników. Jak tylko wynaleźli piękną dziewczynę w jakimś mieście czy wsi, ich agenci ją kupowali, po czym ją przysyłano, szkolono, pielęgnowano i otaczano opieką.

- Ale jak mogły wyglądać tak pięknie z rana, jeżeli miały uczesania muy estilizado (bardzo stylowe), takie jak noszą Chinki? Im bardziej estilizado było uczesanie, tym gorzej musiały wyglądać rano po takiej nocy.

- Nie były tak uczesane. Nosiły włosy do ramion tak samo jak amerykańskie dziewczyny tamtego roku i tak jak wiele jeszcze teraz. I miały je lekko zaondulowane. Tak lubił C. W. Był w Ameryce i naturalnie oglądał filmy.

- Nie miałeś ich nigdy więcej?

- Tylko po jednej. C. W. przysyłał mi po jednej naraz jako prezent. Ale nigdy nie przysłał wszystkich trzech. Były nowe i naturalnie chciał je mieć dla siebie. A poza tym mówił, że nie chce robić niczego, co byłoby szkodliwe dla mojej moralności.

- Wygląda mi na porządnego człowieka. Co się z nim stało?

- Zdaje się, że go zastrzelili.

- Biedak. Ale to była ładna historia i bardzo delikatna jak na taką opowieść. Poza tym wydajesz mi się weselszy.

“Chyba jestem - pomyślał Thomas Hudson. - Ano, o to mi przecież chodziło. Czy może nie?”

- Posłuchaj, Lil - powiedział. - Nie myślisz, że wypiliśmy już raczej dosyć?

- A jak się czujesz?

- Lepiej.

- Zrób Tomasowi jeszcze jedno podwójne mrożone, bez cukru. Ja zaczynam być trochę pijana. Nie chcę niczego.

“Czuję się lepiej - myślał Thomas Hudson. - To najzabawniejsze. Zawsze czujesz się lepiej i zawsze przewyciężasz swoje wyrzuty sumienia. Jest tylko jedna rzecz, której nie możesz przewyciężyć, a jest nią śmierć.”

- Czy ty kiedyś umarłaś? - zapytał Lil.

- Oczywiście że nie.

- Yo tampoco (Ja też nie).

- Po co to powiedziałaś? Przestraszasz mnie, kiedy tak mówisz.

- Nie chcę cię straszyć, kochanie. Nie chcę nigdy straszyć nikogo.

- Lubie, jak do mnie mówisz: kochanie.

“To do niczego nie prowadzi - myślał Thomas Hudson. - Czy nie możesz robić czegoś innego, co dałoby ten sam efekt, zamiast siedzieć z tą steraną, starą Uczciwą Lil w “La Floridita” przy końcu baru przeznaczonym dla starych dziwek i upijać się? Jeżeli masz tylko cztery dni, nie możesz ich lepiej wykorzystać? Gdzie? - pomyślał. - W Domu Grzechu Alfreda? Dobrze ci tu, gdzie jesteś. Picie nie mogłoby być nigdzie na świecie lepsze ani nawet równie dobre, a teraz wzięłeś się do picia, chłopie, więc brnij w nie tak daleko, jak możesz. Teraz masz tylko to i staraj się to lubić, lubić na wszystkich częstotliwościach. Wiesz, że to zawsze lubieś i uwielbiaeś, a teraz to masz, więc lepiej ciesz się tym.”

- Uwielbiam to - powiedział na głos.

- Co?

- Picie. Nie każde picie. Picie tych podwójnych mrożonych bez cukru. Gdyby ktoś wypił ich tyle z cukrem, toby go zemdliło.

- Ya lo creo (Tak myślę). A gdyby ktoś inny wypił ich tyle bez cukru, toby umarł.

- Możliwe, że umrę.

- Nie, nie umrzesz. Po prostu pobijesz rekord, a potem pójdziemy do mnie i położysz się spać, i najgorsze, co może się zdarzyć, to to, że będziesz chrapał.

- Czy ostatnim razem chrapałem?

- Horrores. I w nocy nazywaeś mnie dziesięcioma różnymi imionami.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Dla mnie to było zabawne. Dowiedziałam się paru rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Czy inne twoje dziewczyny nie denerwują się nigdy, kiedy je nazywasz tyloma różnymi imionami?

- Nie mam innych dziewczyn. Tylko żonę.

- Usilnie się staram ją polubić i dobrze o niej myśleć, ale to bardzo trudne. Naturalnie nigdy nikomu nie pozwalałam źle o niej mówić.

- Ja będę o niej mówił źle.

- Nie, nie rób tego. To wulgarne. Dwóch rzeczy nienawidzę. Mężczyzn, kiedy płaczą. Wiem, że muszą płakać. Ale nie lubię tego. I nie cierpię słuchać, jak mówią źle o swoich żonach. A jednak prawie wszyscy to robią. Więc nie rób tego, bo jest nam tak przyjemnie.

- Dobrze. Do diabła z nią. Nie będziemy o niej mówili.

- Proszę cię, Tom. Wiesz, że uważam ją za bardzo piękną. Bo jest. Naprawdę. Pero no es mujer para ti. (Ale to nie jest kobieta dla ciebie.) Ale nie mówmy o niej źle.

- Zgoda.

- Opowiedz mi jeszcze jakąś wesołą historię. Nawet nie musi w niej być miłości, jeżeli ci będzie przyjemnie ją opowiadać.

- Nie sędzę, żebym znał jakieś wesołe historie.

- Nie bądź taki. Znasz ich tysiące. Weź sobie jeszcze jednego drinka i opowiedz mi którąś.

- Dlaczego sama trochę nie popracujesz?

- Nad czym?

- Nad tym cholernym podbudowaniem morale.

- Tu tienes la moral muy baja. (Ty masz bardzo kiepskie morale.)

- Jasne. Doskonale to sobie uświadamiam, Ale dlaczego nie opowiesz paru historyjek, żeby je podbudować?

- Sam musisz to zrobić. Wiesz o tym. Zrobię poza tym wszystko, co tylko zechcesz. To także wiesz.

- Okej - powiedział Thomas Hudson. - Naprawdę chcesz jeszcze jedną wesołą historię?

- Proszę cię. Masz swojego drinka. Jeszcze jedna wesoła historia i jeszcze jeden drink, a poczujesz się dobrze.

- Gwarantujesz to?

- Nie - odpowiedziała i rozplakała się spojrzawszy na niego, rozplakała tak swobodnie i naturalnie, jak woda wzbiera w studni. - Tom, dlaczego nie możesz mi powiedzieć, co się stało? Teraz boję się spytać. Czy właśnie to?

- Tak, to - powiedział Thomas Hudson.

Wtedy zaczęła płakać gorzko i musiał ją objąć i starać się pocieszyć przy wszystkich tych ludziach w barze. Teraz nie płakała już pięknie. Płakała zwyczajnie i niszcząco.

- O mój biedny Tom - powiedziała. - Mój biedny Tom.

- Opanuj się, mujer, i napij się koniaku. Teraz będziemy weseli.

- Och, nie chcę być teraz wesoła. Już nigdy więcej nie będę wesoła.

- Słuchaj - powiedział Thomas Hudson. - Widzisz, co dobrego daje mówienie ludziom pewnych rzeczy?

- Będę wesoła - odrzekła. - Tylko daj mi minutę czasu. Pójdę do toalety i zaraz będę w porządku.

“Lepiej bądź, psiakrew - pomyślał Thomas Hudson. - Bo czuję się naprawdę okropnie i jeżeli nie przestaniesz płakać czy będziesz o tym mówiła, to zabiorę się stąd do

diabła. Ale jeżeli zabiorę się stąd do diabła, to gdzie, u licha, będę mógł pójść?” Był świadom ograniczonych możliwości, a niczyj Dom Grzechu nie stanowił rozwiązania.

- Poproszę jeszcze jedno podwójne mrożone daiquiri bez cukru. No se lo que pasa con esta mujer. (Nie wiem co się dzieje z tą kobietą.)

- Płacze jak z konewki - odrzekł barman. - Powinni ją wziąć zamiast akweduktu.

- A co słyhać z tym akweduktem? - zapytał Thomas Hudson.

Siedzący na lewo od niego przy barze mężczyzna, niski, o wesołej twarzy, ze złamanym nosem, którego znał dobrze z widzenia, ale którego nazwisko oraz poglądy polityczne wymykały mu się z pamięci, powiedział:

- Ci cabrones (Łobuzy). Zawsze mogą brać pieniądze za wodę, bo woda jest jedyną rzeczą ogromnie potrzebną. Wszystko inne też jest potrzebne. Ale wody nie da się niczym zastąpić i nie można się bez niej obejść. Dlatego mogą zawsze brać pieniądze za dostarczanie wody. I dlatego nigdy nie będzie porządnego akweduktu.

- Nie jestem pewien, czy pana całkiem rozumiem.

- Si, hombre. Zawsze mogą dostać pieniądze na akwedukt, bo akwedukt jest absolutnie konieczny. Dlatego nie mogą sobie na niego pozwolić. Zarznąłbyś pan gęś, która znosi złote akwedukty?

- Dlaczego nie mają zbudować akweduktu, zarobić na nim trochę pieniędzy i wynaleźć sobie innego truco?

- Nie ma takiego triku jak woda. Zawsze można dostać pieniądze za obietnicę dostarczania wody. Żaden polityk nie zmarnowałby takiego truco budując porządny akwedukt. Kandydaci na polityków czasem strzelają do siebie wzajemnie na najniższych szczeblach. Ale żaden polityk nie biłby w prawdziwą podstawę ekonomii politycznej. Pozwólcie, że wzniosę toast za Urząd Celny, za szwindel z loterią, za szwindel z grą liczbową, za stałe ceny cukru oraz za wieczny brak akweduktu.

- Prosit - powiedział Thomas Hudson.

- Pan nie jesteś Niemiec, co?

- Nie. Amerykanin.

- To wypijmy za Roosevelta, Churchilla, Batistę i za brak akweduktu.

- Za Stalina.

- Jasne. Za Stalina, za Central Hershey, marihuanę i za brak akweduktu.

- Za Adolfa Luque.

- Za Adolfa Luque, za Adolfa Hitlera, za Filadelfię, za Gene'a Tunneya, za Key West i za brak akweduktu.

Podczas gdy rozmawiali, Uczciwa Lil wróciła do baru z toalety. Poprawiła sobie twarz i już nie płakała, ale widać było, że jest wstrząśnięta.

- Znasz tego pana? - zapytał Thomas Hudson przedstawiając swojego nowego znajomego czy też nowo odnalezionego starego znajomego.

- Tylko z łóżka - powiedział mężczyzna.

- Callate - rzekła Uczciwa Lil. - On jest polityk - wyjaśniła Thomasowi Hudsonowi. - Muy hambriento en este momento. (Cicho bądź... w tej chwili bardzo głodny.)

- Spragniony - skorygował polityk. - I do pańskich usług - powiedział do Thomasa Hudsona. - Co pan wypije?

- Podwójne mrożone daiquiri bez cukru. Może zagramy o nie w kości?

- Nie. Niech pan pozwoli, że ja postawię. Mam tutaj nieograniczony kredyt.

- To porządny gość - szepnęła Uczciwa Lil do Thomasa Hudsona, podczas gdy tamten starał się zwrócić na siebie uwagę najbliższego barmana. - Polityk. Ale bardzo uczciwy i bardzo wesoły.

Mężczyzna objął Lil.

- Co dzień jesteś chudsza, mi vida - powiedział. - Powinniśmy należeć do tej samej partii politycznej.

- Za akwedukt - rzekł Thomas Hudson.

- Mój Boże, nie! Co pan chce zrobić? Odjąć nam chleb od ust i wlać w nie wodę?

- Wypijmy za to, żeby ta puta guerra się skończyła - powiedziała Lil.

- Pijmy.

- Za czarny rynek - powiedział mężczyzna. - Za brak cementu. Za tych, co opanowali dostawę czarnej fasoli.

- Pijmy - powiedział Thomas Hudson i dodał: - Za ryż.

- Za ryż - rzekł polityk. - Pijmy.

- Lepiej ci teraz? - spytała Uczciwa Lil.

- Jasne.

Spojrzał na nią i zauważył, że znowu zbiera jej się na płacz.

- Popłacz się - powiedział - to złamię ci szczękę.

Za barem wisiał litografowany plakat przedstawiający polityka w białym ubraniu, ze sloganem "Un Alcalde Mejor" - lepszy burmistrz. Był to duży plakat i lepszy burmistrz patrzył każdemu pijącemu prosto w oczy.

- Za Alcalde Peor - rzekł polityk. - Za gorszego burmistrza.

- Pan będzie kandydował? - zapytał Thomas Hudson.

- Bezwzględnie.

- Cudownie.

- Cudownie - powiedziała Uczciwa Lil. - Ustalmy naszą platformę wyborczą.

- To nietrudne - rzekł kandydat. - Un Alcalde Peor. Mamy przebojowe hasło. Po co nam platforma?

- Powinniśmy ją mieć - powiedziała Lil. - Nie uważasz, Tomas?

- Myślę, że tak. Może: Precz z wiejskimi szkołami?

- Precz - powiedział kandydat.

- Menos guaguas y peores - zaproponowała Uczciwa Lil.

- Doskonale. Mniej liczne i gorsze autobusy.

- Dlaczego w ogóle nie skasować komunikacji? - zaproponował kandydat. - Es mas sencillo. (To prostsze).

- Okej - powiedział Thomas Hudson. - Cero transporte.

- Krótko i szlachetnie - powiedział kandydat. - I to dowodzi, że jesteśmy bezstronni. Ale moglibyśmy to rozwinąć: Może: Cero transporte aereo, terrestre, y marítimo? (Żadnego transportu powietrznego, ziemskiego i morskiego).

- Cudownie. Zaczynamy mieć prawdziwą platformę. Jakie jest nasze stanowisko w sprawie trądu?

- Por una lepra mas grande para Cuba - powiedział kandydat.

- Por el cancer cubano - dodał Thomas Hudson.

- Por una tuberculosis ampliada, adecuada, y permanente para Cuba y los cubanos (- W imię największego trądu dla Kuby... - W imię raka kubańskiego... - W imię gruźlicy odpowiedniej, trwałej i powszechnej dla Kuby i Kubańczyków) - powiedział kandydat. - To trochę długie, ale będzie dobrze brzmiało przez radio. A jakie jest nasze stanowisko w sprawie syfilisu, moi współwyznawcy?

- Por una sifilis criolla cien por cien. (W imię stuprocentowego kreolskiego syfilisu.)

- Dobrze - powiedział kandydat. - Precz z penicyliną i innymi sztuczkami jankeskiego imperializmu.

- Precz - rzekł Thomas Hudson.

- Wydaje mi się, że chyba powinniśmy coś wypić - powiedziała Uczciwa Lil. - A wam jak się zdaje, correligionennarios? (współwyznawcy?)

- Wspaniała myśl - rzekł kandydat. - Kto poza tobą potrafiłby wpaść na to?

- Ty - odparła Uczciwa Lil.

- Atakujcie mój kredyt - powiedział kandydat. - Przekonajmy się, jak mój kredyt się trzyma pod naprawdę ciężkim ostrzałem. Barowiec, panie barman, chłopcze, to samo dla wszystkich. A dla tego mojego politycznego współnika - bez cukru.

- To jest pomysł na hasło - rzekła Uczciwa Lil. - Kubański cukier dla Kubańczyków.

- Precz z Kolosem Północy - powiedział Thomas Hudson.

- Precz - powtórzyli pozostali.

- Potrzeba nam haseł bardziej wewnętrznych, bardziej municypalnych. Nie powinniśmy zanadto wkraczać w dziedzinę międzynarodową, skoro prowadzimy wojnę i nadal jesteśmy sprzymierzeńcami.

- Mimo to uważam, że powinniśmy obalić Kolosa Północy - powiedział Thomas Hudson. - Teraz naprawdę jest idealny moment, kiedy Kolos toczy światową wojnę. Uważam, że powinniśmy go obalić.

- Obalimy go, jak mnie wybiorą.

- Za Un Alcalde Peor - rzekł Thomas Hudson.

- Za nas wszystkich. Za partię - powiedział Alcalde Peor. Podniósł kieliszek.

- Musimy pamiętać o okolicznościach założenia partii i wypisać manifest. A w ogóle którego dziś jest?

- Dwudziestego. Mniej więcej.

- Dwudziestego czego?

- Dwudziestego mniej więcej lutego. El grito de la "Floridita". (Krzyk z "Floridity".)

- To uroczysty moment - powiedział Thomas Hudson. - Umiesz pisać, Uczciwa Lil?

Możesz to wszystko uwiecznić?

- Pisać umiem. Ale w tej chwili nie mogę.

- Jest jeszcze kilka problemów, co do których musimy zająć stanowisko - powiedział Alcalde Peor. - Słuchaj, Kolosie Północy, dlaczego nie postawisz tej kolejki? Widziałeś pan, jaki waleczny jest mój kredyt i jak wytrzymuje ataki. Ale nie ma potrzeby zabijać biedaka, kiedy wiemy, że przegrywa. No, Kolosie?

- Nie nazywaj mnie pan Kolosem. Jesteśmy przeciw temu przekłętemu Kolosowi.

- Dobra, szefie. A w ogóle czym pan się zajmuje?

- Jestem naukowcem.

- Sobre todo en la cama (Głównie w łóżku) - powiedziała Uczciwa Lil. - Przeprowadzał gruntowne studia w Chinach.

- Ano, czymkolwiek pan jesteś, postaw tę kolejkę - rzekł Alcalde Peor. - I jedźmy dalej z tą platformą.

- Co z rodziną?

- To temat uświęcony. Rodzina cieszy się równym poszanowaniem jak religia. Musimy być ostrożni i subtelni. Może tak: Abajo los padres de familias? (Precz z ojcami rodziny?)

- Jest w tym godność. Ale czemu nie po prostu: Precz z domem rodzinnym?

- Abajo el dom. Uczucie jest piękne, ale wielu może się to pomylić z baseballem.

- Co z Małymi Dziećmi?

- Dopusćcie dziatkom przychodzić do mnie, jak tylko osiągną wiek wyborczy - powiedział Alcalde Peor.

- A rozwody? - zapytał Thomas Hudson.

- Jeszcze jeden delikatny problem - odrzekł Alcalde Peor. - Bastante espinoso. (Dosyć drażliwy.) Jaki jest pański pogląd na rozwody?

- Może nie powinniśmy zajmować się rozwodami. To sprzeczne z naszą kampanią na rzecz rodziny.

- Dobrze, zostawmy je. Teraz niech się rozejrzę...

- Nie możesz - powiedziała Uczciwa Lil. - Jesteś zamroczony.

- Nie krytykuj mnie, kobieto - odparł Alcalde Peor. - Jedną rzecz musimy zrobić.

- Co?

- Orinar. (Wysiusiać się.)

- Zgadzam się z tym - usłyszał własny głos Thomas Hudson. - To podstawowe.

- Równie podstawowe jak brak akweduktu. Bo opiera się na wodzie.

- Opiera się na alkoholu.

- Tylko w niewielkim procencie w porównaniu z wodą. Woda jest podstawowa. Pan jesteś naukowiec. Ile mamy w sobie procent wody?

- Osiemdziesiąt siedem i trzy dziesiąte - odrzekł Thomas Hudson ryzykując i wiedząc, że się myli.

- Otóż to - powiedział Alcalde Peor. - Pójdziemy, póki jeszcze możemy się ruszać?

W ubikacji dla mężczyzn spokojny i dostoyny Murzyn czytał broszurę Różokrzyżowców. Przerabiał tygodniowy wykład z kursu, na który uczęszczał. Thomas Hudson pozdrowił go z godnością, a pozdrowienie zostało mu odwzajemnione tak samo.

- Całkiem chłodny dzień, proszę pana - zauważył obsługa z religijną literaturą.

- Istotnie chłodny - odrzekł Thomas Hudson. - Jak idą studia?

- Doskonale, proszę pana. Lepiej nie można się spodziewać.

- Ogromnie się cieszę - powiedział Thomas Hudson. A potem do Alcalde Peor, który miał pewne trudności: - Kiedyś należałem w Londynie do jednego klubu, gdzie połowa stowarzyszonych usiłowała się odlewać, a druga połowa powstrzymać się od tego.

- Doskonale - powiedział Alcalde Peor kończąc swoje zabiegi. - Jak się nazywał? El Club Mundial?

- Nie. Szczerze mówiąc, zapomniałem nazwy.

- Zapomniał pan nazwy swojego klubu?

- Tak. Czemu nie?

- Myślę, że trzeba iść jeszcze coś wypić. Ile kosztuje to urynowanie?

- Co pan uważa.

- Ja to załatwię - rzekł Thomas Hudson. - Lubię za to płacić. To tak jak kwiaty.

- Czy to nie mógł być Automobilklub Królewski? - zapytał Murzyn podając ręcznik.

- Nie, nie mógł być.

- Bardzo przepraszam - powiedział uczeń Różokrzyżowców. - Wiem, że to jeden z największych klubów w Londynie.

- Tak jest - rzekł Thomas Hudson. Jeden z największych. A teraz proszę kupić sobie za to coś bardzo ładnego. - Wręczył mu dolara.

- Dlaczego pan mu to dał? - zapytał Alcalde Peor, kiedy znaleźli się za drzwiami, z powrotem w hałasie baru, restauracji i ruchu ulicznego.

- Właściwie nie mam co z tym zrobić.

- Hombre - powiedział Alcalde Peor. - Czy z panem wszystko w porządku? Czuje się pan okej?

- Całkowicie - odparł Thomas Hudson. - Jestem zupełnie okej, dziękuję bardzo.

- Jak się odbyła podróż? - spytała Uczciwa Lil ze swego stołka przy barze. Thomas Hudson spojrzał na nią i jakby znowu zobaczył ją po raz pierwszy. Wydało mu się, że ma znacznie ciemniejsze włosy i że jest dużo tęższa.

- Podróż była przyjemna - odpowiedział. - Kiedy się podróżuje, zawsze poznaje się ciekawych ludzi.

Uczciwa Lil położyła mu dłoń na udzie i ścisnęła je, a on, odwrócony od niej, spoglądając poza bar, za kapelusze panama, kubańskie twarze i potrząsane przez pijących kubki do gry w kości, i przez otwarte drzwi w jaskrawe światło placu, zobaczył zajeżdżający samochód i portiera otwierającego z czapką w rękę tylne drzwiczki, z których wysiadła ona.

To była ona. Nikt inny nie wysiadał z samochodu w ten sposób, sprawnie, swobodnie i pięknie, a zarazem tak jakby robiła ulicy wielką łaskę stając na niej. Od wielu

lat wszystkie kobiety starały się wyglądać tak jak ona i niektóre były tego całkiem bliskie. Ale kiedy się ją widziało, te wszystkie, co wyglądały podobnie do niej, stawały się tylko imitacjami. Była teraz w mundurze i uśmiechnęła się do portiera, zadała mu jakieś pytanie, na które odpowiedział z zadowoleniem i kiwnął głową, a ona ruszyła przez chodnik do baru. Za nią szła druga kobieta w mundurze.

Thomas Hudson wstał i poczuł, że coś jakby ścisnęło mu pierś, tak że nie mógł odetchnąć. Dojrzała go i szła ku niemu przejściem między siedzącymi przy barze, a stolikami. Druga kobieta postępowwała za nią.

- Przepraszam - powiedział do Uczciwej Lil i Alcalde Peor. - Muszę pomówić z moją znajomą.

Spotkali się w połowie wolnego przejścia pomiędzy barem a stolikami i wziął ją w ramiona. Obejmowali się tak mocno i czule, jak tylko można, i całował ją chciwie i gorąco, a ona całowała jego i dotykała dłońmi jego ramion.

- Och, ty. Ty - powiedziała.

- Diablico - odrzekł. - Skąd się tu wzięłaś?

- Z Camaguey, oczywiście.

Ludzie patrzyli na nich, on zaś podniósł ją w górę, przycisnął do siebie i pocałował raz jeszcze, a potem postawił na powrót, wziął ją za rękę i ruszył do stolika w kącie.

- Nie możemy tu tego robić - powiedział. - Zaaresztują nas.

- Niech aresztują - odrzekła. - To jest Ginny. Moja sekretarka.

- Cześć, Ginny - powiedział Thomas Hudson. - Posadźmy tę szaloną kobietę przy tym stoliku.

Ginny była miłą, brzydką dziewczyną. Obie miały na sobie ten sam mundur: bluzy oficerskie bez insygniów, koszule i krawaty, spódnice, pończochy i półbuty. Miały czapki polowe oraz odznaki na lewym ramieniu, których przedtem nie zauważył.

- Zdejmij czapkę, diablico.

- Nie wolno mi.

- Zdejmij.

- Dobrze.

Zdjęła czapkę, podniosła twarz i otrząsnęła włosy, tak że się rozsypały, i popatrzała na niego, a on zobaczył wysokie czoło, czarodziejską falistość włosów, które miały ten sam kolor dojrzałej pszenicy co zawsze, wydatne kości policzkowe z zakłębłościami poniżej, zakłębłościami mogącymi złamać czyjeś serce, zobaczył lekko spłaszczony nos i usta, od

których oderwał się przed chwilą i które były nieco rozmazane od całowania, i śliczną brodę i linię szyi.

- Jak wyglądam?

- Sama wiesz.

- Czy całowałeś kiedy kogoś w takim stroju? Albo czy podrapałeś się o wojskowe guziki?

- Nie.

- Kochasz mnie?

- Zawsze cię kocham.

- Nie. Czy kochasz mnie teraz? W tej chwili?

- Tak - odpowiedział i gardło mu się ścisnęło.

- To dobrze - powiedziała. - W przeciwnym razie to byłoby dla ciebie dość straszne.

- Na jak długo przyjechałaś?

- Tylko na dziś.

- Muszę cię pocałować.

- Mówiłeś, że nas zaaresztują.

- To możemy poczekać. Czego chcesz się napić?

- Mają tu dobrego szampana?

- Tak. Ale jest też ogromnie dobry drink miejscowy.

- Widzę, że musi być. Ile mniej więcej ich wypiliśmy?

- Nie wiem. Z tuzin.

- Tylko po oczach widać, że jesteś wstawiony. Kochasz się w kimś?

- Nie. A ty?

- Zobaczymy. Gdzie jest ta dziwka, twoja żona?

- Na Pacyfiku.

- Chciałabym, żeby była w nim. Na jakieś tysiąc sążni głęboko. Och, Tommy, Tommy, Tommy, Tommy.

- Kochasz się w kimś?

- Obawiam się, że tak.

- Jesteś podła.

- Prawda, że to okropne? Pierwszy raz spotykamy się, odkąd odeszłam, i ty nie kochasz się w nikim, a ja jestem w kimś zakochana.

- Odeszłaś?

- To właśnie ta moja historia.

- Miły jest?
- Ten jest miły, tak jak miłe są dzieci. Jestem mu bardzo potrzebna.
- Gdzie jest?
- To tajemnica wojskowa.
- I ty tam jedziesz?
- Tak.
- Czym jesteście?
- Jesteśmy w USO (United Services Organization - wojskowa służba rekreacyjna).
- Czy to to samo co OSS? (Office of Strategic Services - biuro służb strategicznych).
- Nie, gapciu. Nie udawaj głupiego i nie bądź zły dlatego, że kogoś kocham. Ty nigdy nie zasięgasz moich rad, kiedy się w kimś zakochujesz.
- Bardzo go kochasz?
- Nie mówiłam, że go kocham. Powiedziałam, że jestem zakochana. A nawet nie będę w nim dziś zakochana, jeżeli nie chcesz. Jestem tu tylko na jeden dzień. Nie chcę być nieuprzejma.
- Niech cię licho - powiedział.
- Może bym wzięła samochód i pojechała do hotelu? - spytała Ginny.
- Nie, Ginny. Najpierw napijemy się szampana. Masz wóz? - spytała Thomasa Hudsona.
- Uhm. Na placu.
- Możemy pojechać do ciebie?
- Oczywiście. Możemy tu zjeść, a potem pojechać. Albo mogę zabrać coś do zjedzenia na miejscu.
- Prawda, jakie miałyśmy szczęście, że mogłyśmy tu wpaść?
- Tak - odrzekł Thomas Hudson. - Skąd wiedziałaś, że tu ktoś jest?
- Jeden chłopak na lotnisku w Camaguey powiedział mi, że możesz tu być. Gdybyśmy cię nie zastały, miałyśmy zwiedzić Hawanę.
- Możemy zwiedzić Hawanę.
- Nie - odparła. - Ginny może ją zwiedzić. Znasz kogoś, kto mógłby z nią pojechać?
- Oczywiście.
- Musimy wrócić do Camaguey dziś wieczorem.
- O której odlatuje wasz samolot?
- Zdaje się, że o szóstej.
- Wszystko załatwimy - powiedział Thomas Hudson.

Do stolika podszedł jakiś mężczyzna. Był to jeden z miejscowych młodych ludzi.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Czy mógłbym dostać pani autograf?

- Oczywiście.

Podał jej kartę z fotografią, na której Constante stał za barem przyrządzając cocktail, a ona ją podpisała tym zamaszystym, teatralnym charakterem pisma, który Thomas Hudson znał tak dobrze.

- To nie jest dla mojej małej córeczki ani dla syna, który chodzi do szkoły - powiedział tamten. - To dla mnie.

- Dobrze - odrzekła i uśmiechnęła się do niego. - Bardzo miło, że pan mnie poprosił.

- Widziałem wszystkie pani filmy - powiedział mężczyzna. - Uważam, że pani jest najpiękniejszą kobietą na świecie.

- To cudownie - odrzekła. - Proszę, żeby pan dalej tak myślał.

- Pozwoliłaby pani zaprosić się na drinka?

- Piję tu z przyjacielem.

- Ja go znam - odrzekł spiker radiowy. - Znam go od wielu lat. Mogę się przysiąc, Tom? Ta druga pani nie ma towarzystwa.

- Pan Rodriguez - przedstawił go Thomas Hudson. - Jak pani nazwisko, Ginny?

- Watson.

- Panna Watson.

- Bardzo mi przyjemnie panią poznać - powiedział do niej spiker radiowy. Był przystojnym mężczyzną, ciemnowłosym i opalonym, o przyjemnych oczach, ładnym uśmiechu i masywnych, dobrych rękach baseballisty. Niegdyś był zarazem szulerem i grywał w baseball i pozostało mu coś z urody współczesnego hazardzisty.

- Czy cała wasza trójka mogłaby zjeść ze mną obiad? - zapytał. - Już prawie pora obiadowa.

- Pan Hudson i ja musimy wyjechać za miasto - odpowiedziała.

- Ja z przyjemnością zjem z panem obiad - rzekła Ginny. - Uważam, że pan jest przemiły. Czy temu panu można zaufać? - spytała Thomasa Hudsona.

- Pierwszorzędny człowiek. Lepszego nie znaleźć w tym mieście.

- Bardzo ci dziękuję, Tom - powiedział mężczyzna. - Na pewno, państwo, nie zjecie ze mną obiadu?

- Naprawdę musimy jechać - odrzekła. - Już jesteśmy spóźnieni. Potem zobaczymy się w hotelu, Ginny. Bardzo dziękuję, panie Rodriguez.

- Pani naprawdę jest najpiękniejszą kobietą na świecie - powiedział Rodriguez. - Gdybym tego zawsze nie wiedział, wiedziałbym teraz.

- Proszę, żeby pan dalej tak myślał - odrzekła, po czym wyszli na ulicę.

- Ano - powiedziała. - Nie poszło najgorzej. Poza tym on się spodobał Ginny, a jest miłym człowiekiem.

- Jest miły - powiedział Thomas Hudson, a szofer otworzył im drzwiczki samochodu.

- Ty jesteś miły - rzekła. - Wolałabym, żebyś tyle nie wypił. Dlatego dałam spokój z szampanem. Kto to był, ta twoja czarnowłosa znajoma przy końcu baru?

- Po prostu moja czarnowłosa znajoma przy końcu baru.

- Chcesz coś wypić? Możemy zatrzymać się gdzieś na drinka.

- Nie. A ty?

- Wiesz, że nigdy nie muszę. Ale wina napiłabym się chętnie.

- Mam wino w domu.

- To cudownie. Teraz możesz mnie pocałować. Teraz nas nie zaaresztują.

- Adonde vamos? (Dokąd jedziemy?) - zapytał szofer patrząc prosto przed siebie.

- A la finca - odrzekł Thomas Hudson.

- Och, Tommy, Tommy, Tommy - powiedziała. - Całuj mnie. Co za różnica, czy on nas widzi?

- Żadna. Można mu obciąć język, jeżeli chcesz.

- Nie, nie chcę. Ani w ogóle nic brutalnego. Ale miło, że to zaproponowałeś.

- To nie byłaby zła myśl. Jaka teraz jesteś, mój domu miłości od zawsze?

- Ta sama.

- Naprawdę ta sama?

- Taka sama jak się jest zawsze. W tym mieście jestem twoja.

- Dopóki samolot nie odleci.

- Właśnie - odpowiedziała i poprawiła się na siedzeniu samochodu. - Patrz, minęliśmy tę część błyskotliwą i teraz wszystko jest brudne i zadymione. Kiedy tak nie bywało z nami?

- Czasem.

- Tak - powiedziała. - Czasem.

Popatrzyli na to, co było brudne i zadymione, i jej bystre oczy i żywa inteligencja dostrzegły natychmiast wszystko to, na co jemu potrzeba było tylu lat.

- Teraz zaczyna być lepiej - powiedziała. Nie skłamała mu nigdy w życiu, a i on starał się nigdy jej nie kłamać. Ale to mu się całkiem nie wiodło.

- Kochasz mnie jeszcze? - spytała. - Powiedz mi prawdę bez upiększeń.

- Tak. Powinnaś to wiedzieć.

- Wiem - odrzekła obejmując go, ażeby to udowodnić, jeżeli było do udowodnienia w ten sposób.

- Kim jest ten człowiek?

- Nie mówmy o nim. Nie podobałby ci się.

- Może nie - powiedział i przycisnął ją do siebie tak mocno, iż zdawało się, że coś musi pęknąć, jeżeli oboje traktują to naprawdę poważnie. Była to ich stara gra i poddała się, a to poddanie było całkowite.

- Nie masz piersi - powiedziała. - I zawsze wygrywasz.

- Nie mam takiej twarzy, żeby ci złamać serce. Ani tego, co ty masz, i tych ślicznych długich nóg.

- Masz coś innego.

- Tak - odrzekł. - Wczorajszej nocy kochałem się z poduszką i kotem.

- Zastąpię ci kota. Jeszcze daleko?

- Jedenaście minut.

- Za daleko w tym stanie rzeczy.

- Mam wziąć od niego kierownicę i przejechać w osiem?

- Nie, proszę cię, i pamiętaj, czego cię uczyłam o cierpliwości.

- To była najinteligentniejsza i najgłupsza lekcja, jakiej się nauczyłem. Powtórz mi coś z niej teraz.

- Czy muszę?

- Nie. Już tylko osiem minut.

- Czy tam będzie ładnie, a łóżko będzie duże?

- Zobaczymy - powiedział Thomas Hudson. - Znowu zaczynasz mieć swoje dawne wątpliwości?

- Nie - odrzekła. - Chcę dużego, dużego łóżka. Żeby całkiem zapomnieć o wojsku.

- Jest duże łóżko. Może nie takie duże jak wojsko.

- Nie musisz być przykry - powiedziała. - Wszyscy ci pięknie kończą na pokazywaniu zdjęć swoich żon. Powinieneś znać tych napowietrznych.

- Cieszę się, że nie znam. Jesteśmy trochę nawodnieni. Ale nigdy nie byliśmy nawodni ani tego nie mówiliśmy.

- Możesz mi coś powiedzieć na ten temat? - spytała wsunawszy mu dłoń do kieszeni.

- Nie.

- Nigdy byś nie powiedział i uwielbiam cię za to. Ale mnie to zaciekawia, ludzie mnie wypytyują i martwię się.

- Bądź po prostu ciekawa - odparł. - I nie martw się nigdy. Nie pamiętasz, że ciekawość zabiła kota? Ja mam kota, który jest dość ciekawy. - Pomyślał o Boisem. Potem powiedział: - Ale martwienie się zabija wielkich biznesmenów w samym kwiecie wieku. Czy powinienem martwić się o ciebie?

- Tylko jako o aktorkę. Więc nie za bardzo. Teraz jeszcze tylko dwie minuty. Ładnie tu jest i podoba mi się. Możemy zjeść obiad w łóżku?

- A potem możemy pospać?

- Tak. To nie grzech, jeżeli tylko nie spóźnimy się na samolot.

Wóz wspinał się stromo po starej, wybrukowanej kamieniami drodze z dużymi drzewami po obu stronach.

- Masz coś ważnego?

- Ciebie - odpowiedział.

- Idzie mi o służbę.

- Czy wyglądam tak, jakbym był na służbie?

- Możliwe, że jesteś. Jesteś wspaniałym aktorem. Najgorszym jakiego widziałam. Kocham cię, mój drogi wariacie - powiedziała. - Oglądałam cię we wszystkich twoich wielkich rolach. Najbardziej mi się podobałeś, kiedy grałeś Wiernego Męża i robiłeś to znakomicie, a na twoich spodniach widać było dużą plamę naturalnych soków, która się powiększała, ile razy na mnie spojrzales. To było bodaj u Ritza.

- Wtedy najlepiej zagrałem Wiernego Męża - odrzekł. - Niczym Garrick w Old Bailey.

- Coś ci się myli - powiedziała. - Uważam, że najlepiej zagrałeś to na "Normandie".

- Kiedy ją spalili, nic innego nie obchodziło mnie przez sześć dni.

- To nie jest twój rekord.

- Nie - powiedział.

Zatrzymali się przed bramą i szofer ją otwierał.

- Naprawdę tu mieszkamy?

- Tak. Tam na wzgórzu. Przykro mi, że podjazd jest w takim kiepskim stanie.

Samochód wjechał pod górę między drzewami mango i nie kwitnącymi flamboyanes, minął szopy dla bydła i znalazł się na okrągłym podjeździe przed domem.

Thomas Hudson otworzył drzwiczki, a ona wysiadła tak, jak gdyby udzielała ziemi czułych i szcudrobliwych łask.

Popatrzyła na dom i zobaczyła otwarte okna sypialni. Okna te były duże i w jakiś sposób przypominały jej "Normandie".

- Spóźnię się na samolot - powiedziała. - Nie mogę zachorować? Wszystkie inne kobiety chorują.

- Znam dwóch dobrych lekarzy, którzy przysięgną, że jesteś chora.

- Cudownie - powiedziała wchodząc na schody. - Nie będziemy musieli prosić ich na kolację, prawda?

- Nie - odrzekł otwierając drzwi. - Zadzwońię do nich i pošlę szofera po zaświadczenia.

- Jestem chora - powiedziała. - Zdecydowałam się. Niech żołnierze raz się sami zabawią.

- Pojedziesz.

- Nie. Będę zabawiała ciebie. Czy ostatnio zabawiano cię jak należy?

- Nie.

- Ja to samo. Czy też należy powiedzieć: mnie też nie?

- Nie wiem. - Objął ją mocno, spojrział jej w oczy, a potem odwrócił wzrok. Otworzył drzwi dużej sypialni. Lepiej powiedzieć: mnie też nie - rzekł po namyśle.

Okna były otwarte i do pokoju wpadł wiatr. Ale teraz przy słońcu, było przyjemnie.

- Tu naprawdę jest jak na "Normandie". Czy urządziłeś to jak "Normandie" dla mnie?

- Oczywiście, kochanie - skłamał. - A ty co myślałaś?

- Kłamiesz gorzej ode mnie.

- Nawet nie szybciej.

- Nie mówmy kłamstw. Udawajmy, że urządziłeś to dla mnie.

- Urządziłem to dla ciebie - powiedział. - Tylko wydawało się, że to był ktoś inny.

- Czy obejmujesz mnie teraz najmocniej, jak potrafisz?

- Bez złamania czegoś. - A potem dodał: - Bez położenia się razem.

- Kto jest przeciwny położeniu się?

- Nie ja - odparł, wziął ją na ręce i poniósł do łóżka. - Zapuszczę żaluzje. Nie mam ci za złe, że zabawiasz żołnierzy. Ale dla zabawiania służących mamy tu radio. Nas nie potrzebują.

- Chodź - powiedziała.

- Tak.
- Teraz przypomnij sobie wszystko, czego cię nauczyłam.
- A nie pamiętam?
- Chwilami.
- Tak - powiedział. - Gdzieśmy go znali.
- Poznaliśmy go. Nie pamiętasz?
- Słuchaj, nie pamiętajmy o niczym i nie mówmy, nie mówmy, nie mówmy.

Później powiedziała:

- Ludzie bywają głodni nawet na "Normandie".
- Zadzwoń na stewarda.
- Ale ten steward nas nie zna.
- To pozna.
- Nie. Chodźmy obejrzyć dom. Co namalowałaś?
- W ogóle nic.
- Nie masz czasu?
- Jak myślisz?
- Ale nie możesz malować, jak jesteś na łodzi?
- Co to znaczy na łodzi?
- Tom - powiedziała. Siedzieli teraz w salonie, w dużych, starych fotelach, i zdjęła buty, żeby czuć pod stopami maty na podłodze. Usadowiła się skulona w fotelu, przyczesła włosy, żeby mu sprawić przyjemność i dlatego, że wiedziała, jak na niego działają, i siedziała tak, że kołysały się niczym ciężka jedwabista masa, ilekroć poruszyła głową.

- Można cię przekląć - powiedział. - Kochanie - dodał.
- Dość mnie naprzeklinałeś.
- Nie mówmy o tym.
- Dlaczego się z nią ożeniłeś, Tom?
- Bo ty byłaś zakochana.
- To nie był zbyt dobry powód.
- Nikt nigdy nie mówił, że był. Zwłaszcza ja. Ale chyba nie muszę popełniać błędów, żałować ich, a potem jeszcze o nich dyskutować?
- Jeżeli o to proszę.

Duży czarno-biały kot wszedł i otarł się o jej nogę.

- Pomyliliśmy mu się - powiedział Thomas Hudson. - Albo może nabiera rozumu.

- Czyżby to był...?

- Jasne. Oczywiście. Boy! - zawołał.

Kot podszedł do niego i wskoczył mu na kolana. Obojętne mu było na czyje.

- Możemy obaj ją kochać, Boy. Przyjrzyj jej się dobrze. Nigdy już nie zobaczysz takiej kobiety.

- Czy to ten, z którym sypiasz?

- Tak. A czy jest jakiś powód, żebym tego nie robił?

- Nie ma żadnego. Wolę go od tego mężczyzny, z którym teraz sypiam, a jest mniej więcej równie smutny.

- Czy musimy o nim mówić?

- Nie. I nie musisz udawać, że nie byłeś na morzu, kiedy masz spieczone oczy i białe kreski w ich kącikach, a włosy takie zjaśniałe od słońca, jak gdybyś używał jakiegoś środka...

- I chodzę rozkołysanym krokiem, noszę papugę na ramieniu i grzmoce ludzi moją drewnianą nogą. Słuchaj, kochanie, czasem wypływam na morze, bo maluję faunę morską dla Muzeum Historii Naturalnej. Nawet wojna nie powinna przeszkadzać nam w studiach.

- Studia są rzeczą świętą - powiedziała. - Zapamiętam to kłamstwo i będę się go trzymała. Tom, czy ona naprawdę jest ci zupełnie obojętna?

- Zupełnie.

- I jeszcze mnie kochasz?

- Czy nie dawałem żadnych tego dowodów?

- To mogła być rola. Zawsze wiernego kochanka, bez względu na to, z jakimi kurwami cię zastaję. "Nie byłeś mi wierny, Cynaro, na swój sposób". [Aluzja do znanego poematu Ernesta Dowsona pt. "Cynara"; każda zwrotka kończy się tam słowami: "Byłem ci wierny, Cynaro, na swój sposób."]

- Zawsze ci mówiłem, że jesteś zanadto czytana, żeby ci to wyszło na dobre. Ja skończyłem z tym poematem, kiedy miałem dziewiętnaście lat.

- Tak, a ja ci zawsze mówiłam, że gdybyś malował i pracował nad tym, tak jak powinienes, zamiast mieć fantazje i kochać się w różnych osobach...

- Chcesz powiedzieć: żenić się z nimi.

- Nie. Żenienie się jest dostatecznie złe. Ale ty się w nich zakochujesz, a wtedy nie mam dla ciebie szacunku.

- To jest to śliczne stare powiedzonko, które pamiętam. "A wtedy nie mam dla ciebie szacunku". Kupuję to za każdą cenę, jaką postawisz, i wycofuję z obiegu.

- Mam dla ciebie szacunek. A jej nie kochasz, prawda?
- Kocham ciebie i mam dla ciebie szacunek, a jej nie kocham.
- To cudownie. Tak się cieszę, że jestem taka chora i że spóźniłam się na samolot.
- Wiesz, ja cię naprawdę szanuję i szanuję każde przekłete głupstwo, jakie robisz czy zrobiłaś.
- I traktujesz mnie cudownie, i dotrzymujesz wszystkich swoich obietnic.
- Jaka była ostatnia?
- Nie pamiętam. Jeżeli to była obietnica, to ją złamałeś.
- Nie chciałabyś tego pominąć, moja piękności?
- Chętnie byłabym to pominęła.
- Może by nam się udało. Ominęła nas większość rzeczy.
- Nie, to nieprawda. Na to są widome dowody. Ale ty uważasz, że wystarczy pójść z kobietą do łóżka. Nigdy nie myślisz o tym, że chciałaby być z ciebie dumna. Ani o drobnych czułościach.
- Ani o tym, żeby być niemowłędem, tak jak ci mężczyźni, których kochasz i lubisz.
- Nie mógłbyś być bardziej bezradny, żebym ci była potrzebna, a nie taki piekielnie “chcesz, to daj, nie chcesz, to nie dawaj, nie jestem głodny”?
- Po co myśmy tu przyszli? Na nauki moralne?
- Przyszliśmy tutaj, bo cię kocham i chcę, żebyś był siebie godny.
- I godny ciebie, i Boga, i wszystkich innych abstrakcji. Nie jestem nawet abstrakcyjnym malarzem. Ty byś kazała Toulouse-Lautrekowi trzymać się z daleka od burdela, Gauguinowi nie dostawać syfilisu, a Baudelaire'owi wracać wcześniej do domu. Nie jestem taki dobry jak oni, ale niech cię licho.
- Nigdy nie byłam taka.
- Jasne, że byłaś. Razem z twoją pracą. Twoimi cholernymi godzinami pracy.
- Byłabym się tego wyrzekła.
- Jasne, wiem, że tak. I śpiewałabyś w nocnych lokalach, a ja mógłbym być wykidajłą. Pamiętasz, jak to sobie planowaliśmy?
- Jakie masz wiadomości od Toma?
- Wszystko świetnie - odpowiedział i poczuł to dziwne mrowienie na skórze.
- Nie pisał do mnie od trzech tygodni. Można by się spodziewać, że napisze do swojej matki. Zawsze tak chętnie pisywał.
- Wiesz, jak to bywa z chłopakami na wojnie. A może zatrzymują całą pocztę. Czasem tak robią.

- Pamiętasz, jak jeszcze nie umiał mówić po angielsku?

- I jak miał tę swoją paczkę w Gstaad? I w Engadynie, i w Zug?

- Masz jakieś nowe jego zdjęcia?

- Tylko tamto co ty.

- Moglibyśmy się czegoś napić? Co tu się pije?

- Co tylko chcesz. Pójdę poszukać służącego. Wino jest w piwnicy.

- Proszę cię, nie odchodź na długo.

- Zabawna rzecz mówić sobie coś podobnego.

- Proszę cię, nie odchodź na długo - powtórzyła. - Słyszałeś już to? Ale nigdy cię nie prosiłam, żebyś wcześniej wracał. Nie w tym był sęk, wiesz doskonale.

- Wiem - odrzekł. - I nie odejdę na długo.

- Może służący mógłby też zrobić coś do jedzenia.

- Może - powiedział Thomas Hudson. A potem do kota: - Zostań z nią, Boise.

“Ech - pomyślał. - Dlaczego tak powiedziałem? Dlaczego skłamałem? Dlaczego poszedłem na to stopniowe wyjawianie? Czy chciałem zachować swój ból dla siebie, jak mówił Willie? Czy jestem takim rodzajem człowieka?”

Ano, tak zrobiłeś - myślał. - Jakże się mówi matce, że syn jej nie żyje, kiedy przed chwilą było się z nią w łóżku? Jak się mówi samemu sobie, że własny syn nie żyje? Kiedyś znałeś odpowiedzi na wszystko. Odpowiedz mi na to.

Nie ma żadnej odpowiedzi. Powinieneś już to wiedzieć. Nie ma w ogóle żadnej odpowiedzi.”

- Tom - usłyszał jej głos. - Jestem samotna, a ten kot nie jest tobą, chociaż tak mi się zdaje.

- Postaw go na podłodze. Chłopak poszedł do wsi, a ja właśnie wyjmuję lód.

- Nie mam ochoty na drinka.

- Ani ja - powiedział i wrócił do pokoju idąc po wykładanej płytkami podłodze, aż poczuł pod stopami maty. Spojrzał na nią i nadal tam była.

- Ty nie chcesz o nim mówić - powiedziała.

- Nie.

- Dlaczego? Myślę, że byłoby lepiej.

- Znadto jest do ciebie podobny.

- To nie to - odparła. - Powiedz mi. Nie żyje?

- Tak.

- Proszę, obejmij mnie mocno. Teraz naprawdę jestem chora. - Zauważył, że cała dygocze, ukląkł przy fotelu, objął ją i wyczuł jej drzenie. Potem powiedziała: - I biedny ty. Biedny, biedny ty.

Po jakimś czasie powiedziała:

- Żałuję wszystkiego, co kiedykolwiek zrobiłam czy mówiłam.

- Ja też.

- Biedny jesteś i ja jestem biedna.

- Wszyscy są biedni - odrzekł i nie dodał: Biedny Tom.

- Co możesz mi powiedzieć?

- Nic. Tylko tyle.

- Pewnie nauczymy się z tym godzić.

- Może.

- Chciałabym się załamać, ale po prostu jestem pusta i chora.

- Wiem.

- Czy to się zdarza każdemu?

- Chyba tak. W każdym razie nam może się zdarzyć tylko raz.

- I teraz jest tak jak w domu umarłych.

- Żałuję, że ci nie powiedziałem, kiedy cię zobaczyłem.

- Mniejsza z tym. Zawsze wszystko odkładasz. Ja nie żałuję.

- Chciałem cię tak piekielnie i byłem samolubny i głupi.

- Nie byłeś samolubny. Zawsze się kochaliśmy. Tylko popełnialiśmy błędy.

- Ja popełniałem najgorsze.

- Nie. Popełnialiśmy je oboje. Ale nie kłóćmy się nigdy więcej. - Coś się z nią działo i w końcu się rozplakała. - Och, Tommy, nagle po prostu nie jestem w stanie tego wytrzymać.

- Wiem - odpowiedział. - Moja słodka, dobra, śliczna. Ja także nie.

- Byliśmy tacy młodzi i głupi, i oboje byliśmy piękni, a Tommy był taki piękny...

- Jak jego matka.

- I teraz już nigdy nie będzie żadnego widomego dowodu.

- Moje biedne, najdroższe kochanie.

- I co zrobimy?

- Ty będziesz robiła swoje, a ja swoje.

- Nie moglibyśmy być razem przez jakiś czas?

- Tylko jeżeli ten wiatr się utrzyma.

- To niechże wieje. Myślisz, że spanie ze sobą jest złe?

- Nie sądzę, żeby Tom to potępił.

- Nie. Na pewno nie.

- Pamiętasz, jak jeździłeś na nartach trzymając go na ramionach i jak śpiewaliśmy wracając o zmierzchu przez ten sad za zajazdem?

- Pamiętam wszystko.

- Ja też - powiedziała. - Dlaczego byliśmy tacy głupi?

- Byliśmy zarówno rywalami, jak kochankami.

- Wiem o tym, a nie powinniśmy byli być. Ale nie kochasz nikogo innego, prawda?

Teraz, kiedy to jest wszystkim, co mamy?

- Nie. Naprawdę.

- Ja w gruncie rzeczy też nie. Myślisz, że moglibyśmy wrócić do siebie?

- Nie wiem, czy to by wyszło. Moglibyśmy spróbować.

- Jak długo potrwa wojna?

- Zapytaj jej właściciela.

- Czy wiele lat?

- W każdym razie kilka.

- Czy ty też możesz zginąć?

- Owszem.

- To niedobrze.

- A jeżeli nie zginę?

- Sama nie wiem. Teraz, kiedy Toma już nie ma, chyba nie zaczęlibyśmy znowu być zgryźliwi i źli?

- Mógłbym spróbować nie być. Nie jestem zgryźliwy, a nauczyłem się dawać sobie radę z tym, co złe. Naprawdę.

- Co? Z kurwami?

- Chyba tak. Ale nie potrzebowałbym ich, gdybyśmy byli razem.

- Zawsze tak ładnie ujmujesz pewne rzeczy.

- Widzisz? Nie zaczynajmy znowu.

- Nie. Nie w domu umarłych.

- Już raz to powiedziałaś.

- Wiem - odrzekła. - Przepraszam. Ale nie wiem, jak to powiedzieć inaczej, żeby znaczyło to samo. Już zaczyna się odrętwienie.

- Będzie drętwiało bardziej. Odrętwienie jest równie złe jak na początku. Ale potem się zwiększy.

- Powiesz mi wszystko najgorsze, co ci o tym wiadomo, żebym mogła odrętwieć szybciej?

- Dobrze - odrzekł. - Boże, jak ja cię kocham!

- Zawsze mnie kochałeś. A teraz mi powiedz.

Siedział u jej stóp i nie patrzył na nią. Spoglądał na kota Boisego, który leżał na macie w plamie słonecznego światła.

- Został zestrzelony przez okrętową artylerię przeciwlotniczą podczas zwykłego lotu niedaleko Abbeville.

- Wyskoczył?

- Nie. Ten jego latawiec się spalił. Tom musiał zostać trafiony.

- Mam nadzieję, że tak - powiedziała. - Tak bardzo mam nadzieję, że tak.

- Jestem tego prawie pewny. Miał czas wyskoczyć.

- Mówisz mi prawdę? Spadochron mu się nie spalił?

- Nie - skłamał uważając, że na dziś dosyć.

- Od kogo się dowiedziałeś?

Podał jej nazwisko tego człowieka.

- W takim razie to prawda - rzekła. - Nie mam już syna i ty też nie masz. Pewnie można się z tym pogodzić. Wiesz jeszcze coś?

- Nie - odpowiedział możliwie jak najprawdziwiej.

- A my będziemy po prostu ciągnęli to dalej?

- Tak jest.

- Z czym?

- Z niczym - odparł.

- Nie mogłabym tu zostać i być z tobą?

- Nie sądzę, żeby to coś dało, bo muszę wypłynąć, gdy tylko pogoda będzie możliwa. Nie jesteś gadatliwa i zachowujesz przy sobie wszystko, co ci mówię. Więc zachowaj i to.

- Ale mogłabym być z tobą do tego czasu i czekać, aż wrócisz.

- To na nic - odpowiedział. - Nigdy nie wiem, kiedy wrócimy, a dla ciebie byłoby gorzej nie pracować. Jeżeli chcesz, zostań, dopóki nie odpłyniemy.

- Dobrze - powiedziała. - Zostanę do tego czasu i będziemy myśleli o Tomie, ile tylko zechcemy. I będziemy znów kochankami, gdy tylko uznasz, że można.

- Tom nie miał nigdy nic wspólnego z tym pokojem.

- A ja wyegzoryczuję każdego, kto miał.

- Teraz naprawdę powinniśmy coś zjeść i wypić kieliszek wina.

- Butelkę - powiedziała. - Prawda, jaki Tom był uroczy? I taki zabawny i dobry.

- Z czego ty jesteś zrobiona?

- Z tego, co lubisz - odparła. - Z dodatkiem stali.

- Nie wiem, co się stało ze służącymi - powiedział Thomas Hudson. - Nie spodziewali się dzisiaj mojego powrotu. Ale jeden z chłopaków powinien siedzieć przy telefonie. Przyniosę wino. Już jest zimne.

Otworzył butelkę i napełnił dwa kieliszki. Było to dobre wino, które chował na powroty do domu, gdy już ochłonie, i musowało gęsto, równo i wiernie.

- Za nas i za wszystkie nasze błędy i nasze straty, i za to, co zyskamy.

- Zyskaliśmy - powiedział.

- Zyskaliśmy - powtórzyła, a potem dodała: - Jedyną rzeczą, której byłeś zawsze wierny, jest dobre wino.

- To pięknie z mojej strony, prawda?

- Przepraszam cię za to, co powiedziałam o twoim picu dziś rano.

- Te rzeczy dobrze mi robią. Zabawne, ale tak jest.

- Mówisz o tym, co piłeś? Czy o krytykowaniu?

- O tym, co piłem. O tych dużych, mrożonych.

- Może i tak. I teraz już nic nie krytykuję prócz tego, że strasznie trudno dostać coś do zjedzenia w tym domu.

- Bądź cierpliwa. Powtarzałaś mi to dostatecznie często.

- Jestem cierpliwa - odrzekła. - Po prostu chce mi się jeść. Teraz już wiem, dlaczego ludzie jadają czuwając przy zmarłych i przed pogrzebami.

- Bądź twarda, bo to ci dobrze zrobi.

- Nie martw się. Będę. Czy ciągle będziemy mówić, że żałujemy wszystkiego? Już raz to powiedziałam.

- Słuchaj - odparł. - Ja to mam o trzy tygodnie dłużej od ciebie i może jestem już w innej fazie.

- Twoja faza jest inna i bardziej interesująca - powiedziała. - Ja ciebie znam. Czemu po prostu nie wrócisz do swoich kurw?

- Nie zechciałabyś przestać?

- Nie. Po tym lepiej się czuję.

- Kto to powiedział: "Mario, lituj się nad niewiastami"?

- Jakiś mężczyzna - odparła. - Jakiś wstrętny mężczyzna.

- Chcesz usłyszeć cały ten poemat?

- Nie. Już mam dość ciebie i tego, że wiedziałeś o trzy tygodnie wcześniej, i w ogóle.

Tylko dlatego, że nie walczę, a ty robisz coś tak tajnego, że musisz sypiać z kotem, żebyś nie gadał...

- I ty wciąż jeszcze nie rozumiesz, dlaczego zerwaliśmy ze sobą?

- Zerwaliśmy, bo miałam cię dość. Zawsze mnie kochałeś i nie mogłeś nic na to poradzić, i teraz też nie możesz.

- To prawda.

Usługujący w domu chłopak stał w pokoju jadalnym. Nieuchronnie widywał już i słyszał kłótnie w salonie i wtedy jego brunatna twarz pociła się ze zmartwienia. Kochał swojego pana i koty, i psy, z uszanowaniem podziwiał piękne kobiety i czuł się okropnie, gdy wynikały kłótnie. Pomyślał, że jeszcze nie widział takiej pięknej pani, a caballero kłócił się z nią, ona zaś mówiła mu gniewne słowa.

- Przepraszam, senor - powiedział. - Czy mógłbym pomówić z panem w kuchni?

- Przepraszam cię na chwilę, kochanie.

- Pewnie coś tajemniczego - powiedziała i napełniła sobie kieliszek winem.

- Senor - powiedział chłopak. - Porucznik mówił po castellano (kastylijsku) i kazał, żeby pan przyszedł natychmiast, powtórzył: natychmiast. Mówił, że pan będzie wiedział gdzie i że to sprawa służbowa. Nie chciałem dzwonić z naszego aparatu, więc zatelefonowałem ze wsi. Wtedy mi powiedzieli, że pan jest tutaj.

- Dobrze - odrzekł Thomas Hudson. - Bardzo ci dziękuję. Proszę, ugotuj jajka dla seniority i dla mnie i powiedz kierowcy, żeby miał wóz gotowy.

- Tak jest - odrzekł chłopak.

- Co to było, Tom? - zapytała. - Coś złego?

- Muszę iść do roboty.

- Przecież mówiłeś, że nie będziesz musiał przy tym wietrze.

- Wiem o tym. Ale to nie ode mnie zależy.

- Chcesz, żebym tu została?

- Możesz zostać i poczytać listy Toma, jeżeli chcesz, a szofer odwiezie cię na samolot.

- Dobrze.

- Możesz też zabrać listy, jeżeli masz ochotę, i jakieś obrazy, i cokolwiek znajdziesz.

Przejrzyj moje biurko.

- Jednak się zmieniłeś.

- Może trochę - powiedział.

- Idź do studia i obejrzyj sobie obrazy - rzekł. - Jest tam kilka dobrych, namalowanych, zanim zaczęliśmy to przedsięwzięcie. Weź sobie, co chcesz. Jest jeden niezły twój portret.

- Wezmę go - powiedziała. - Jesteś strasznie dobry, kiedy jesteś dobry.

- Przeczytaj listy od niej, jeżeli masz chęć. Niektóre to muzealne okazy. Weź sobie te, które są dostatecznie komiczne.

- Mówisz tak, jak gdybym podróżowała z kufrem.

- Możesz je przeczytać, a potem wrzucić do klozetu w samolocie.

- Dobrze.

- Postaram się wrócić, zanim odjedziesz. Ale nie licz na to. Jeżeli będę potrzebował szofera, przyślę taksówkę, która cię odwiezie do hotelu albo na lotnisko.

- Dobrze.

- Ten chłopak zajmie się tobą. Może ci coś odprasować, a możesz też wziąć, co chcesz z mojego ubrania czy wszystko, co znajdziesz.

- Dobrze. Postarasz się kochać mnie, Tom, i nie pozwolić, żeby to psuły takie rzeczy jak to ostatnie?

- Na pewno. One są bez znaczenia, a sama podkreśliłaś, że nie mam na to rady.

- Staraj się nie mieć na to rady.

- To nie zależy ode mnie. Weź wszystkie książki, jakie chcesz, czy cokolwiek znajdziesz w lokalu, i daj Boisemu te jajka, które miały być dla mnie, a w każdym razie jedno. Lubi drobno pokrajane. No, muszę lecieć. Już i tak jest opóźnienie.

- Do widzenia, Tom - powiedziała.

- Do widzenia, diablico, i uważaj na siebie. To zresztą pewno nic ważnego.

Wyszedł. Ale kot wymknął się za nim i patrzył na niego.

- W porządku, Boise. Wrócę, nim odpłyniemy.

- Gdzie jedziemy? - zapytał kierowca.

- Do miasta.

“Nie wierzę, żeby było coś do roboty przy tak wzburzonym morzu. Tylko że może coś znaleźli. Może któryś jest gdzieś w opałach. Boże, mam nadzieję, że tym razem nam się uda. Muszę pamiętać, żeby spisać taki kieszonkowy testament i zostawić jej dom. Trzeba pamiętać, żeby to poświadczyć w ambasadzie i zostawić w sejfie. Niewątpliwie przyjęła to bardzo dobrze. Ale jeszcze jej naprawdę nie uderzyło. Chciałbym móc jej dopomóc, kiedy ją

uderzy. Chciałbym móc zrobić dla niej coś naprawdę dobrego. Może i zdołam, jeżeli przeżyjemy ten raz i następny, i następny.

Najpierw przeżyjmy ten. Ciekawe, czy ona weźmie te rzeczy. Mam nadzieję, że tak i że nie zapomni dać Boisému jajka. Zaczyna być głodny, kiedy jest zimno.

Chłopaków nie będzie trudno odnaleźć, a statek może przetrzymać jeszcze jedno ciągi, zanim go odremontujemy. W każdym razie jeszcze jedno. Jedne na pewno. Możemy się założyć. Są części zapasowe prawie na każdą rzecz. Co znaczą jedno ciągi więcej, jeżeli musimy to zakończyć? Miło byłoby zostać w domu. Może by i było. Gdzie tam, do diabła.

Podsumujmy to sobie. Syna straciłeś. Miłość straciłeś. Honoru nie ma już od dawna. Obowiązek spełniasz.

Jasne, a co jest twoim obowiązkiem? To, co przyrzekłem zrobić. A te wszystkie inne rzeczy, które przyrzekałeś zrobić?”

W sypialni wiejskiego domu, w pokoju, który przypominał “Normandie”, leżała na łóżku mając obok siebie kota imieniem Boisé. Nie była w stanie zjeść jajek, a szampan nie miał smaku. Pokrajała wszystkie jajka dla Boiségo. Otworzyła szufladę biurka, zobaczyła na niebieskich kopertach pismo syna i stempel cenzora i wtedy odeszła, i położyła się na łóżku twarzą do dołu.

- Obaj - powiedziała do kota, który delektował się jajkami oraz zapachem leżącej przy nim kobiety.

- Obaj - powtórzyła. - Powiedz mi, Boisé. Co my zrobimy?

Kot zamruczał niedosłyszalnie.

- Ty także nie wiesz - powiedziała. - I nie wie tego nikt inny.

Część III - Na morzu

I

Była tam długa biała plaża, a za nią palmy kokosowe. Rafa leżała w poprzek wejścia do przystani i silny wschodni wiatr rozbijał o nią fale, tak że wejście łatwo było dojrzeć, kiedy się podpłynęło. Na plaży nie było nikogo, a piasek był tak biały, że oczy bolały, kiedy się nań patrzyło.

Mężczyzna na pomoście nawigacyjnym obserwował brzeg. Nie było chat tam, gdzie powinny były być, i nie widział żadnych łodzi zakotwiczonych na lagunie.

- Byłeś tu już - powiedział do swojego zastępcy.

- Tak.

- Przecież były tam chaty?

- Były i na mapie jest pokazana wioska.

- Pewne jest jak cholera, że teraz ich nie ma - powiedział mężczyzna. - Możesz dojrzeć jakieś łodzie między mangrowcami?

- Niczego nie widzę.

- Wprowadzę statek i zakotwiczę - powiedział mężczyzna. - Znam to przejście. Jest mniej więcej osiem razy głębsze, niż się wydaje.

Spojrzał w zieloną wodę i zobaczył zarys cienia swojego statku na dnie.

- Na wschód od tego miejsca, gdzie była wioska, jest dobry grunt kotwiczny - powiedział jego zastępca.

- Wiem. Naszykuj prawą kotwicę i bądź gotów. Ja tam stanę. Przy tym wietrze wiejącym dzień i noc nie będzie owadów.

- Tak jest.

Rzucili kotwicę i kuter, nie dość duży, by go nazywać statkiem, co najwyżej w myślach człowieka, który był jego dowódcą, stanął dziobem do wiatru, a fale rozbijały się biało i zielono o rafę.

Mężczyzna na pomoście czuwał, żeby kuter się dobrze obrócił i przytrzymał mocno. Potem popatrzał na brzeg i wyłączył motory. Patrzył dalej na brzeg i zupełnie nie mógł tego zrozumieć.

- Zabierz trzech ludzi i rozejrzyj się - powiedział. - Ja się na chwilę położę. Pamiętajcie, że jesteście naukowcami.

Kiedy byli naukowcami, nie mieli na wierzchu żadnej broni, tylko maczety i szerokie słomiane kapelusze, takie, jakie noszą poławiacze gąbek z Bahamy. Załoga nazywała je sombreros científicos. Im były większe, tym bardziej je uważano za naukowe.

- Ktoś mi ukradł mój naukowy kapelusz - powiedział barczysty Bask z gęstymi brwiami, które schodziły mu się nad nosem. - Dajcie mi worek granatów dla dobra nauki.

- Weź mój naukowy kapelusz - odrzekł inny Bask. - Jest dwa razy bardziej naukowy od twojego.

- Jakież to naukowy kapelusz! - powiedział najbardziej barczysty z Basków. - Czuję się w nim jak Einstein. Thomas, możemy pobrać próbki?

- Nie - odrzekł mężczyzna. - Antonio wie, czego od niego chcę. A wy miejcie otwarte te wasze cholerne naukowe oczy.

- Rozejrzę się za wodą.

- Jest za tym miejscem, gdzie była wioska - powiedział mężczyzna. - Zobaczcie, jaka jest. Chyba lepiej będzie jej nabrać.

- H;O - powiedział Bask. - To naukowe. Ty poroniony naukowcze. Ty złodzieju kapeluszy. Daj nam cztery pięciogalonowe dzbany, żebyśmy nie jeździli na darmo.

Drugi Bask włożył do dinghy cztery oplecione wikliną dzbany.

Mężczyzna słyszał, jak rozmawiali.

- Nie grzmotnij mnie w plecy tym cholernym naukowym wiosłem.

- Ja to robię tylko dla nauki.

- Pieprz naukę i jej brata.

- Jej siostrę.

- Na imię ma Penicylina.

Mężczyzna patrzył, jak wiosłowali ku zbyt białej plaży. "Powiniennem być też popłynąć - myślał. - Ale byłem na nogach całą noc i sterowałem przez dwanaście godzin. Antonio potrafi się rozeznąć tak samo dobrze jak ja. Ciekawe, co się, u diabła, stało."

Spojrzał na rafę, potem na brzeg i na prąd czystej wody uderzający o burty i tworzący pod nią małe wiry. Później zamknął oczy, przekręcił się na bok i zasnął.

Obudził się, kiedy łódka przybiła do burty, i kiedy zobaczył ich twarze, wiedział, że coś niedobrego. Jego zastępca pocił się, jak zawsze wówczas, kiedy były jakieś kłopoty czy złe nowiny. Był z natury suchy i nie pocił się łatwo.

- Ktoś spalił te chaty - powiedział. - Ktoś próbował ich przepędzić i w zgłiszczach są trupy. Stąd ich nie czuć, bo wiatr wieje od nas.

- Ile trupów?

- Naliczyliśmy dziewięć. Może być więcej.

- Mężczyźni czy kobiety?

- I to, i to.

- Są jakieś ślady?

- Nic. Od tej pory padało. Duży deszcz. Piasek jest jeszcze po nim podziurkowany.

Barczysty Bask, który na imię miał Ara, powiedział:

- Tak czy owak, nie żyją już od tygodnia. Ptaki ich nie obrobiły, ale teraz obrabiają ich ziemne kraby.

- Skąd wiesz, że nie żyją od tygodnia?

- Nie można powiedzieć dokładnie - odrzekł Ara. - Ale pozabijali ich mniej więcej przed tygodniem. Sądząc po śladach krabów, deszcz padał ze trzy dni temu.

- Jaka była woda?

- Wyglądała na dobrą.

- Przywieźliście ją?

- Tak.

- Nie widzę powodu, żeby mieli zatrucić wodę - powiedział Ara. - Zapach miała dobry, więc spróbowałem i przywiozłem ją.

- Nie powinienes był próbować.

- Pachniała dobrze i nie było powodu przypuszczać, że jest zatruta.

- Kto pozabijał tych ludzi?

- A bo ja wiem.

- Nie sprawdzaliście?

- Nie. Wróciliśmy, żeby ci powiedzieć. Ty jesteś szyprem.

- W porządku - powiedział Thomas Hudson. Zszedł pod pokład i przypasał rewolwer. Po drugiej stronie pasa, tej, która była wyżej, miał nóż w pochwie, a ciężar rewolweru spoczywał na jego nodze. Wstąpił do kuchni, wziął łyżkę i włożył ją do kieszeni.

- Ara, ty i Henry chodźcie na brzeg. Willie, popłyn dinghy i zobacz, czy ci się uda znaleźć jakieś mięczaki. Peters niech śpi. - Do swojego zastępcy powiedział: - Proszę sprawdzić motory i wszystkie zbiorniki.

Woda była czysta i śliczna nad białym piaszczystym dnem i mógł dojrzeć każdą fałdę i zmarszczkę w piasku. Kiedy łódka zgruntowała na mieliźnie i brodzili do brzegu, poczuł drobne rybki igrające mu koło palców stóp i spojrzawszy w dół zobaczył, że to maleńkie pompano. "Może to nie są prawdziwe pompano - pomyślał. - Ale wyglądają dokładnie jak one i są bardzo przyjazne."

- Henry - powiedział, kiedy znaleźli się na brzegu. - Ty weź tę plażę od nawietrznej i przejdź nią aż do mangrowców. Rozglądaj się za śladami i wszystkim innym. Spotkamy się tutaj. Ara, ty weźmiesz drugą plażę i zrobisz to samo.

Nie musiał pytać, gdzie są zwłoki. Widział prowadzące do nich tropy i słyszał chrzęst ziemnych krabów w suchych krzakach. Popatrzał na swój statek i linię przyboju, i Willa siedzącego na rufie łódki z lunetą wodną, rozglądającego się przez burtę za mięczakami, podczas gdy łódka dryfowała.

“Ponieważ muszę to zrobić, lepiej to już załatwić” - pomyślał. Ale ten dzień nadawał się do czegoś innego. “Dziwne, że mieli tu taki deszcz, kiedy nie był potrzebny, a my nie mieliśmy go wcale. Od jak dawna już widzimy deszcze przechodzące bokami i nie dostajemy ani kropli?”

Wiatr wiał silnie i dał tak dzień i noc już od przeszło pięćdziesięciu dni. Stał się jego częścią i nie działał mu na nerwy. Wzmacniał go i dawał mu siłę, więc miał nadzieję, że nigdy nie ustanie.

“Zawsze czekamy na coś, co nie przychodzi - pomyślał. - Ale łatwiej jest czekać przy wietrze niż podczas ciszy czy kapryśnych i złośliwych szkwałów. Zawsze jest gdzieś woda. Niech będzie dalej susza. Wodę zawsze znajdziemy. Na wszystkich tych wysepkach jest woda, jeżeli tylko umie się jej poszukać.

- No - pomyślał sobie. - Idź tam i załatw to.”

Wiatr dopomógł mu to załatwić. Kiedy przykucnął pod osmalonymi krzakami gronodrzewu i przesypywał piasek obiema garściami, wiatr zdmuchiwał zapach tego, co było wprost przed nim. Nie znalazł nic w piasku i to go zaskoczyło, ale przeszukał piasek wszędzie od nawietrznej strony spalonych chat, zanim tam podszedł. Miał nadzieję znaleźć łatwiejszym sposobem to, czego szukał. Ale nie było nic.

A potem, mając wiatr w plecy, tak że obracał się, aby go łyknąć, po czym znów wstrzymywał oddech, zaczął pracować nożem, sondując zwęglone szczątki, na których zerowały ziemne kraby. Wymacał nagle coś twardego, co osunęło się po kości, i wydłubał to łyżką. Położył ów przedmiot łyżką na piasku i dalej sondował i szukał, aż znalazł jeszcze trzy takie same. Wtedy obrócił się do wiatru i oczyścił nóż i łyżkę w piasku. Wziął wszystkie cztery kule w garść piasku i z nożem i łyżką w lewej ręce ruszył z powrotem przez krzaki.

Duży krab, obrzydliwie biały, cofnął się i podniósł na niego kleszcze.

- Idziesz tam, chłopie? - zapytał go mężczyzna. - Ja idę stamtąd.

Krab nie ustępował, kleszcze miał podniesione wysoko, a szpice ich ostro rozwarte.

- Robisz się trochę za ważny - powiedział mężczyzna. Powoli schował nóż do pochwy, a łyżkę do kieszeni. Potem przełożył garść piasku z czterema kulami do lewej ręki. Prawą otarł starannie o szorty. Następnie wyciągnął pociemniały od potu, dobrze naoliwiony Magnum 357.

- Masz jeszcze szansę - powiedział do kraba. - Nikt cię nie potępia. Robisz sobie przyjemność i spełniasz swój obowiązek.

Krab się nie ruszył i kleszcze trzymał podniesione. Był to duży krab, długi prawie na stopę, i mężczyzna strzelił mu między oczy, a krab się rozpadł.

- Teraz trudno dostać te cholerne trzysta pięćdziesiątki siódemki, bo dekonwicy z FBI muszą ich używać do polowania na dekujących się od poboru - powiedział mężczyzna. - Ale człowiek musi czasem wystrzelić, bo inaczej nie wie, jak strzela.

“Biedny stary krab - pomyślał. - Wykonywał tylko swoje rzemiosło. Ale powinien był odpełznąć.”

Wyszedł na plażę i zobaczył swój statek na wodzie i równą linię przyboju, i Willa zakotwiczonego teraz i nurkującego za mięczakami. Oczyszczył porządnie nóż, przetaił i obmył łyżkę, a potem opłukał cztery kule. Trzymając je na dłoni popatrzył na nie tak jak człowiek, który poszukuje złota i spodziewa się tylko płatków, mógłby popatrzeć na cztery bryłki na swojej płuczce. Cztery kule miały czarne czubki. Teraz, kiedy nie było na nich mięsa, krótki skręt gwintu był wyraźnie widoczny. Były to standardowe dziewięćmilimetrowe pociski do pistoletu maszynowego Schmeisser.

Bardzo ucieszyły mężczyznę.

“Pozbierali wszystkie łuski - pomyślał. - Ale to zostawili, równie jasne jak bilety wizytowe. Teraz muszę spróbować przemyśleć to sobie. Wiemy dwie rzeczy. Nie zostawili nikogo na Cay, a żadnych łodzi nie ma. Zaczynaj od tego, chłopie. Podobno potrafisz myśleć.”

Jednakże nie myślał. Zamiast tego wyciągnął się na piasku przesunawszy pistolet tak, że leżał mu między nogami, i zaczął się przypatrywać rzeźbie, którą wiatr i piasek zrobiły z kawałka drewna wyrzuconego na brzeg. Było szare i zapiaszczone, i osadzone w białym, mączystym piasku. Wyglądało tak, jakby było na wystawie. Powinno by się znaleźć w Salon d'Automne.

Słyszał huk fal rozbijających się o rafę i pomyślał: “Chciałbym to namalować.” Leżał i patrzył w niebo, na którym nie było nic oprócz wschodniego wiatru; cztery kule miał w zapiętej kieszonce szortów. Wiedział, że są resztą jego życia. Ale nie chciało mu się myśleć o nich w tej chwili ani dokonywać całego tego praktycznego rozumowania, które musiał przeprowadzić. “Będę się rozkoszował tym szarym drewnem - myślał. - Teraz wiemy, że mamy naszych wrogów i że nie mogą się wymknąć. Ani my. Ale nie ma potrzeby rozmyślać o tym, dopóki Ara i Henry nie wrócą. Ara coś znajdzie. Jest coś do znalezienia, a on nie jest głupi. Plaża opowiada wiele kłamstw, ale gdzieś zawsze jest wypisana prawda”. Pomacał

kule w kieszonce, a potem przesunął się na łokciach tam, gdzie piasek był suchszy i jeszcze bielszy, jeżeli mogło być jakieś porównanie takiej bieli, i ułożył się z głową opartą o szary kawałek drewna i pistoletem między nogami.

- Od jak dawna jesteś moją dziewczyną? - powiedział do pistoletu.

- Nie odpowiadaj - rzekł znów do pistoletu. - Leż sobie tam wygodnie, a ja już dopilnuję, żebyś zabił coś lepszego niż kraby, jak przyjdzie pora.

II

Leżał tam spoglądając na linię przyboju i przemyślał już sobie właściwie wszystko, kiedy zobaczył Arę i Henry'ego nadchodzących plażą. Dojrzał ich, a potem odwrócił wzrok i znów popatrzał na morze. Próbował o tym nie myśleć i odprężyć się, ale było to niemożliwe. Teraz odpręży się, dopóki nie podejda, i nie będzie myślał o niczym poza falami na rafie. Ale nie było na to czasu. Nadeszli za szybko.

- Coś znalazł? - zapytał Arę, który usiadł przy szarym drewnie. Henry siadł obok niego.

- Znalazłem jednego. Młody chłop. Zabity.

- To był Niemiec, na pewno - powiedział Henry. - Miał tylko szorty i bardzo długie blond włosy, zjaśniałe od słońca, i leżał twarzą w piasku.

- Gdzie był strzelony?

- W nasadę kręgosłupa i w kark - powiedział Ara. - Rematado (wykończony). Tu są kule. Wymyłem je.

- Tak - powiedział Thomas Hudson. - Mam cztery takie.

- To są dziewięćmilimetrowe do Lugera, prawda? - zapytał Henry. - Ten sam kaliber co nasze trzydziestki ósemki.

- Te z czarnymi czubkami są do pistoletu maszynowego - powiedział Thomas Hudson. - Dziękuję, żeś je wydłubał, doktorze.

- Na twoje rozkazy - rzekł Ara. - Ta w kark przeszła na wylot i znalazłem ją w piasku. Henry wykrajał tę drugą.

- Nie zrobiło mi to różnicy - powiedział Henry. - Wiatr i słońce jakoś go wysuszyły. To było tak jak krajanie placka. On nie był taki jak ci, co są tam. Dlaczego go zabili, Tom?

- Nie wiem.

- Jak myślisz? - zapytał Ara. - Czy oni tu przyplłynęli, żeby coś naprawić?

- Nie. Stracili swój okręt.

- Tak - powiedział Ara. - Zabrali łodzie.

- Dlaczego zabili tego marynarza? - zapytał Henry. - Wybacz mi, Tom, jeżeli nie mówię zbyt inteligentnie. Ale wiesz, jak bardzo chcę zrobić, co potrafię, i taki jestem zadowolony, że mamy kontakt.

- Nie mamy kontaktu - odpowiedział Thomas Hudson. - Ale, rany boskie, mamy za to śliczny zapach.

- Aż zatyka, co? - zapytał Henry z nadzieją.

- Nie wspominaj mi o tym.

- Ale, Tom, kto zabił tego marynarza i dlaczego?

- Nieporozumienie rodzinne - odpowiedział Thomas Hudson. - Widziałeś kiedyś człowieka strzelonego w nasadę kręgosłupa z dobroci? Za to później ten, co to zrobił, był dobry i strzelił go w kark.

- Może było ich dwóch - rzekł Ara.

- Znaleźliście łuski?

- Nie - odpowiedział Ara. - Rozglądałem się tam, gdzie mogły być. Jeżeli nawet to był pistolet maszynowy, nie wyrzuciłby ich dalej, niż szukałem.

- To mógł być ten sam metodyczny drań, który pozbierał tamte.

- Gdzie oni mogli odejść? - zapytał Ara. - Dokąd mogli popłynąć tymi łodziami?

- Muszą płynąć na południe - powiedział Thomas. - Wiesz doskonale, że nie mogą kierować się na północ.

- A my?

- Staram się myśleć ich głową - powiedział Thomas Hudson. - Nie mam za wielu faktów, żeby się na nich oprzeć.

- Masz zabitych i to, że łodzie zniknęły - rzekł Henry. - Możesz to przemyśleć, Tom.

- I jedną znaną broń, ale gdzie stracili swój okręt podwodny i ilu ich jest? Zmieszać to wszystko, dodać, że wczoraj wieczorem nie mogliśmy złapać Guantanamo i to, ile jest wysepek na południe stąd, plus kiedy musimy napęłnić nasze zbiorniki. Dorzucić Petersa i podać na stół.

- Wszystko będzie dobrze, Tom.

- Jasne - powiedział Thomas Hudson. - Wszystko dobrze i wszystko źle to identyczne bliźniaki w tym interesie.

- Ale jesteś przekonany, że ich dostaniemy, prawda?

- Oczywiście - powiedział Thomas Hudson. - A teraz idź, daj znać chorągiewką Willowi, żeby wracał, i niech Antonio bierze się do swoich mięczaków. Będziemy mieli zupę rybną. Ara, ty załaduj tyle wody, ile zdołasz w ciągu najbliższych trzech godzin.

Powiedz Antoniowi, żeby sprawdził motory. Chcę stąd wypłynąć przed zmrokiem. Na wyspie nic nie było? Żadnych świń ani drobiu?

- Nic - powiedział Ara. - Zabrali wszystko.

- Ano, będą musieli je zjeść. Nie mają dla nich żadnej karmy ani lodu. To Niemcy, więc są zmyślni i mogą nałapać żółwi w tych miesiącach. Przypuszczam, że ich znajdziemy przy Lobos. Jest logiczne, żeby wybrali Lobos. Każ Willowi napęłnić mięczakami zbiornik z lodem, a wody weźmiemy tylko tyle, ile trzeba do następnej wyspy.

Przerwał i namyślił się.

- Nie, przepraszam. Źle mówię. Bierzcie wodę aż do zachodu słońca, a wypłyniemy, jak wszędzie księżyc. Stracimy trzy godziny, a później zyskamy sześć.

- Próbowałeś tej wody? - zapytał Ara.

- Tak - odrzekł. - Była czysta i smaczna. Miałaś pełną rację.

- Dziękuję - powiedział Ara. - Teraz pójdę zawołać Willa. Dużo się nanurkował.

- Tom - zapytał Henry. - Chcesz, żebym został z tobą czy nosił wodę, czy co?

- Noś wodę, póki się zanadto nie zmęczysz, a potem się prześpij. Chcę, żebyś dziś w nocy był ze mną na pomoście.

- Może ci przynieść koszulę albo sweter? - zapytał Henry.

- Przynieś mi koszulę i jeden z tych bardzo lekkich koców - powiedział Thomas Hudson. - Teraz mogę pospać na słońcu, a piasek jest suchy. Ale później zrobi się chłodno przy tym wietrze.

- Czy ten piasek nie jest wspaniały? Nigdy nie widziałem takiego suchego i sypkiego piasku.

- Wiatr chłostał go przez wiele lat.

- Czy my ich dostaniemy, Tommy?

- Oczywiście - odrzekł Thomas Hudson. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Proszę cię, wybac mi, jeżeli bywam głupi - powiedział Henry.

- Wybaczone ci, kiedy się narodziłeś - rzekł Thomas Hudson. - Jesteś bardzo dzielny chłopakiem, Henry, lubię cię i ufam tobie. A głupi wcale nie jesteś.

- Naprawdę myślisz, że będziemy mieli walkę?

- Jestem pewny. Nie myśl o tym. Myśl o szczegółach. Myśl o tym wszystkim, co powinienesz zrobić, i o tym, że na statku powinno być wesoło, dopóki nie zaczniemy walczyć. Ja pomyślę o walce.

- Pójdę i wykonam swój obowiązek najlepiej, jak potrafię - powiedział Henry. - Szkoda, że nie możemy przećwiczyć walki, żebym mógł lepiej robić, co do mnie należy.

Thomas Hudson powiedział:

- Zrobisz to dobrze. Nie widzę żadnego sposobu, żeby nas to mogło ominąć.

- To już tak długo trwa - powiedział Henry.

- Wszystko trwa długo - odrzekł Thomas Hudson. - A pościg najdłużej.

- Prześpij się trochę - powiedział Henry. - Ty teraz już wcale nie sypiasz.

- Prześpię się - odrzekł Thomas Hudson.

- Jak przypuszczasz, Tom, gdzie oni stracili swój okręt? - zapytał Ara.

- Zabrali tutaj łodzie i rozwalili tych ludzi, powiedzmy, jakiś tydzień temu. Więc muszą być z tego okrętu, o którym wspominało Camaguey. Ale musieli dociągnąć gdzieś blisko stąd, nim go stracili. Nie płynęli na żadnych gumowych łódkach przy tym wietrze.

- To musieli go stracić na wschód stąd.

- Naturalnie. I musieli mieć zupełną swobodę ruchów, kiedy go stracili - powiedział Thomas Hudson.

- Ale jednak mieli kawał drogi do domu - powiedział Henry.

- Teraz będą mieli większy kawał drogi do domu - rzekł Ara.

- To dziwni ludzie - powiedział Thomas Hudson. - Wszyscy są odważni, a niektórzy tacy cholernie wspaniali. A mają takich łajdaków jak ci.

- Lepiej chodźmy załatwić naszą robotę - powiedział Ara. - Możemy pogadać dziś w nocy na wachcie, żeby nie usnąć. Odpocznij sobie trochę, Tom.

- Prześpij się - rzekł Henry.

- Odpoczynek jest tak samo dobry jak sen.

- Wcale nie - powiedział Ara. - Ty potrzebujesz snu, Tom.

- Spróbuję się przespać - rzekł Thomas Hudson. Ale kiedy odeszli, nie mógł zasnąć.

“Dlaczego musieli tu zrobić taką parszywą rzecz? - myślał. - I tak ich dostaniemy. Tamci ludzie mogli najwyżej powiedzieć nam, ilu ich było i jak byli uzbrojeni. Pewnie z ich punktu widzenia to wystarczyło, żeby tamtych pozabijać. Zwłaszcza jeżeli myśleli o tych ludziach jako o Murzynach. Ale to wszystko coś o nich mówi. Żeby tak zabijać, musieli mieć jakiś plan i jakąś nadzieję, że ktoś ich stąd zabierze. A także musiała wyniknąć różnica zdań co do planu, bo inaczej nie zamordowałyby tego marynarza. Tylko że to mogła być egzekucja za byle co. Mógł dopuścić, żeby okręt poszedł na dno, kiedy można go było utrzymać na powierzchni, żeby dokonać próby powrotu do domu.

Do czego nas to prowadzi? - myślał. - Nie można na tym bazować. To jest tylko możliwość. Ale gdyby tak było, znaczyłoby, że okręt poszedł na dno, kiedy już widać było

ład, i że zatonął szybko. Znaczyłoby, że nie mieli wiele paliwa. Może ten chłopak wcale tego nie zrobił i został fałszywie oskarżony.

Nie wiadomo, ile mają łodzi, bo jakaś tutejsza łódź czy dwie łodzie mogły wypłynąć na żółwie. Nie ma innego sposobu, tylko pominąć to w rozumowaniu i sprawdzić wyspy.

A może przepłynęli Stary Kanał Bahamski i dotarli do brzegów Kuby? Jasne - pomyślał. - Dlaczego przedtem nie przyszło ci to do głowy? To najlepsza rzecz, jaką mogą zrobić.

Jeżeli tak zrobią, mogą odpłynąć do domu na jakimś hiszpańskim statku z Hawany. W Kingstonie jest kontrola. Ale to mniejsze ryzyko i wiesz, że wielu tamtędy zwiąło. Ten cholerny Peters ze swoim nawalonym radiem. FCC (First Class Certificate - zaświadczenie I klasy) - pomyślał. - Fatalnie Ciemny Cap. I dostaliśmy to piękne, duże, i okazało się, że on nie umie dać sobie rady z takim radiem. Nie mam pojęcia, jak je spieprzył. Ale wczoraj wieczorem nie mógł złapać Guantanamo o naszej godzinie wzywania i jeżeli nie złapie dzisiaj, będziemy zdani na siebie. Do diabła z tym - pomyślał. - Są gorsze sytuacje, niż być zdany na siebie. A teraz idź spać - powiedział sobie. - Teraz nie masz do roboty nic rozsądniejszego.”

Wcisnął ramiona w piasek i zasnął przy huku fal przyboju o rafę.

III

Kiedy Thomas Hudson spał, przyśniło mu się, że jego syn Tom nie zginął, że z pozostałymi chłopcami wszystko jest dobrze i że wojna się skończyła. Śniło mu się, że matka Toma śpi z nim i że śpi na nim, tak jak to czasem lubiła robić. Czuł to wszystko i dotyk jej nóg na swoich nogach, jej ciała na swoim, jej piersi na swoich piersiach, a usta jej igrały z jego ustami. Włosy jej opadły i leżały ciężko i jedwabiście na jego oczach i policzkach, i odsunął wargi od jej chciwych warg, pochwycił ustami włosy i przytrzymał je. A potem zwilżył jedną ręką Magnum 357 i wsunął go gładko, śpiąc twardo, tam, gdzie powinien był być. I znowu leżał pod jej ciężarem, z jedwabistymi włosami jak zasłoną na twarzy, i poruszał się z wolna i rytmicznie.

Wtedy to Henry przykrył go lekkim kocem i Thomas Hudson powiedział przez sen:

- Dziękuję ci, że jesteś taka wilgotna i śliczna i że tak mocno mnie przyciskasz. Dziękuję ci, że wróciłaś tak prędko i że nie jesteś za chuda.

- Biedne chłopisko - powiedział Henry i przykrył go starannie. Odszedł niosąc na ramionach dwa oplatane pięciogalonowe gąsiory.

“Myślałam, że chciałeś, abym była chuda, Tom - powiedziała kobieta we śnie. - Mówiłeś, że kiedy jestem chuda, przypominam ci młodą kozę, a nie ma nic miłszego w dotyku niż młoda koza.”

“Ach ty - powiedział. - Kto będzie kochał kogo?”

“Oboje razem - odrzekła. - Chyba że chcesz inaczej.”

“Rób to ty. Ja jestem zmęczony.”

“Jesteś po prostu leniwy. Pozwól mi zdjąć ten pistolet i położyć go przy twojej nodze. Pistolet zawsze zawadza”.

“Połóż go przy łóżku - powiedział. - I rób wszystko tak jak trzeba.”

A potem wszystko było całkiem jak trzeba i zapytała:

“Czy ja powinnam być tobą, czy ty mną?”

“Masz pierwszeństwo wyboru.”

“Będę tobą.”

“Ja nie potrafię być tobą. Ale mogę spróbować.”

“To przyjemne. Spróbuj. Nie próbuj się wcale oszczędzać. Postaraj się stracić wszystko i wszystko wziąć”.

“Dobrze.”

“Robisz to?”

“Tak - powiedział. - To cudowne.”

“Wiesz teraz, co mamy?”

“Tak - odrzekł. - Tak, wiem. Łatwo jest to oddać.”

“Oddałbyś wszystko? Cieszysz się, że przywiozłam chłopców i że przychodzę i jestem diabolicą w nocy?”

“Tak. Cieszę się ze wszystkiego i proszę cię, zarzuć mi włosy na twarz i daj mi usta, i trzymaj mnie tak mocno, żeby mnie to zabijało.”

“Oczywiście. A ty zrobisz to dla mnie?”

Kiedy się zbudził, dotknął koca i przez chwilę nie wiedział, że to był sen. Potem ułożył się na boku, poczuł kaburę pistoletu między nogami i uświadomił sobie, co było naprawdę, i cała pustka w nim była podwójnie pusta, i przyszła nowa po tym śnie. Zauważył, że jeszcze jest widno, zobaczył dinghy wiozącą wodę na statek i białe kotłowisko fal na rafie. Obrócił się na bok, otulił kocem i zasnął z głową na rękach. Spał, kiedy przyszli go zbudzić, i przez cały ten czas nic mu się nie śniło.

Sterował przez całą tę noc i na pomoście nawigacyjnym miał przy sobie do północy Arę, a potem Henry'ego. Płynęli przy silnej poprzecznej fali i pomyślał, że sterowanie przypomina zjeżdżanie konno po zboczu wzgórza. Tu jest wciąż w dół po zboczu, a czasem w poprzek zbocza. Morze to wiele wzgórz, a tutaj jest teren wyboisty niczym rozłogi.

- Rozmawiaj ze mną - powiedział do Ary.

- O czym, Tom?

- O czymkolwiek.

- Peters znów nie mógł złapać Guantanamo. Zmarnował aparat. Ten duży, nowy.

- Wiem - powiedział Thomas Hudson i popróbował prowadzić statek jak najrówniej po zboczu wzgórza. - Spalił tam coś, czego nie może naprawić.

- Nasłuchuje - rzekł Ara. - Willie pilnuje, żeby nie zasnął.

- A kto pilnuje, żeby nie zasnął Willie?

- On czuwa - powiedział Ara. - Nie sypia lepiej od ciebie.

- A ty?

- Ja jestem dobry na całą noc, jeżeli zechcesz. Nie chciałbyś, żebym posterował?

- Nie. Nie mam nic innego do roboty.

- Tom, bardzo ci jest źle?

- Czy ja wiem? Jak źle może być człowiekowi?

- To nie ma sensu - powiedział Ara. - Chciałbyś bukłak z winem?

- Nie. Przynieś mi butelkę zimnej herbaty i skontroluj Petersa i Willa. Sprawdź wszystko.

Ara zszedł na dół i Thomas Hudson został sam na sam z nocą i morzem, i dalej jechał po nim jak na koniu zbiegającym za szybko ze wzgórza po wyboistym gruncie.

Przyszedł Henry z butelką zimnej herbaty.

- Jak nam idzie, Tom? - zapytał.

- Doskonale.

- Peters złapał przez stare radio komendę policji w Miami. Wszystkie wozy patrolowe. Willie chce z nimi gadać. Ale powiedziałem mu, że nie wolno.

- Słusznie.

- Na UHF (Ultrawysoka częstotliwość) Peters ma coś bełkoczącego po niemiecku, ale powiada, że to te podwodne wilki gdzieś daleko.

- To by ich nie mógł słyszeć.

- Bardzo zabawna noc, Tom.

- Nie taka zabawna.

- Nie wiem. Po prostu tak mówię. Podaj mi kurs, pozwól posterować, a sam zejdz na dół.

- Czy Peters wpisał to do dziennika?

- Oczywiście.

- Powiedz Juanowi, żeby mi podał położenie, i każ to zapisać Petersowi. Kiedy tamten drań bełkotał?

- Jak przyszedłem.

- Każ Juanowi podać pozycję i zaraz wpisać.

- Dobrze, Tom.

- Jak tam wszystkie te nasze komiczne typki?

- Śpią. Gil też.

- Wyciągnij szmatę i każ Petersowi zapisać położenie.

- Chcesz je dostać?

- Wiem aż za dobrze, gdzie jesteśmy.

- Tak, Tom - powiedział Henry. - Nie przejmuj się, jeżeli możesz.

Henry wrócił, ale Thomas Hudson nie miał ochoty rozmawiać i Henry stanął przy nim na pomoście nawigacyjnym zapierając się przeciwko kołysaniu. Po godzinie powiedział:

- Widać światło, Tom. O jakieś dwadzieścia stopni w prawo od dziobu.

- Tak jest.

Kiedy znaleźli się na wysokości światła, zmienił kurs i fale napływały od rufy.

- No, teraz płynie sobie do domu na pastwisko - powiedział do Henry'ego. - Jesteśmy już na kanale. Obudź Juana, przyprowadź go tutaj i miej oczy naprawdę otwarte. Spóźniłeś się z tym światłem.

- Przepraszam, Tom. Przyprowadzę Juana. Nie chciałbyś czteroosobowej wachty?

- Dopiero przed samym świtem - odpowiedział Thomas Hudson. - Dam ci znać.

“Mogli ściąć przez ławice - myślał Thomas Hudson. - Ale nie sądzę, żeby to zrobili. Nie chcieliby przeprowiać się nocą, a za dnia ławice nie wyglądałyby dobrze dla pełnomorskich marynarzy. Skręciliby tam gdzie ja. A potem posuwaliby się spokojnie, tak jak i my popłyniemy, i pewnie trafiliby do najwyższej widocznej części wybrzeża kubańskiego. Nie chcą wchodzić do żadnego portu, więc popłyną z wiatrem. Będą się trzymali z daleka od Confites, bo wiedzą, że tam jest radiostacja. Ale muszą gdzieś dostać żywność i muszą dostać wodę. Właściwie byłoby dla nich najlepiej dotrzeć możliwie jak najbliżej Hawany, wylądować gdzieś koło Bacuranao i stamtąd penetrować w głąb. Nadam

sygnał z Confites. Nie będę pytał, co robić. To by nas zatrzymało, jeżeli jego tam nie ma. Powiem mu, o co idzie i co robię. Może wydać swoje dyspozycje. Guantanamo może wydać swoje, Camaguey swoje, La Fe swoje i FBI swoje i może za tydzień coś z tego wyjdzie.

Do diabła - myślał. - Dostanę ich w tym tygodniu. Muszą się zatrzymać, żeby wziąć wodę i ugotować to, co mają, zanim zwierzęta pozdychają im z głodu i zgniją. Jest duże prawdopodobieństwo, że będą płynąć tylko nocami, a stać za dnia. To byłoby logiczne. Tak bym zrobił na ich miejscu. Staraj się myśleć jak inteligentny niemiecki marynarz mający te problemy co ten dowódca okrętu podwodnego.

Ma rzeczywiście problemy - myślał Thomas Hudson. - A jego najgorszym problemem jesteśmy my i nawet o nas nie wie. Nie wyglądamy dla niego niebezpiecznie. Wyglądamy dla niego dobrze.

Nie podchodź do tego w jakiś krwiożerczy sposób - myślał. - Żadna z tych rzeczy niczego nie przywróci. Rusz głową i ciesz się, że masz coś do zrobienia i dobrych ludzi, z którymi możesz to zrobić.”

- Juan - powiedział. - Co widzisz, chłopcze?

- Cały cholerny ocean.

- A wy, dżentelmeni, widzicie coś?

- Ni cholery - odrzekł Gil.

- Mój cholerny brzuch widzi kawę. Ale ona wcale się nie zbliża - powiedział Ara.

- Ja widzę ziemię - odezwał się Henry. Zobaczył ją w tej chwili, niską, prostokątną plamę, jak gdyby ktoś rozmazał kciukiem rzadki atrament na rozjaśniającym się niebie.

- To jest za Romano - powiedział Thomas Hudson. - Dziękuję ci, Henry. A teraz wy, typki, zejźcie na kawę i przyślijcie tu czterech innych desperatów, żeby obejrżeli dziwne i zabawne rzeczy.

- Chcesz kawy, Tom? - zapytał Ara.

- Nie. Napiję się herbaty, jak będzie gotowa.

- Jesteśmy na wachcie dopiero parę godzin - powiedział Gil. - Nie musimy schodzić, Tom.

- Zejźcie na dół, weźcie sobie kawy i dajcie tym innym desperatom szansę dostąpienia chwały.

- Tom, czy nie mówiłeś, że twoim zdaniem są koło Lobos?

- Tak. Ale zmieniłem zdanie.

Tamci zeszli pod pokład, a czterej inni wchodzili na górę.

- Panowie - powiedział Thomas Hudson. - Podzielcie cztery kwadranty między siebie. Czy na dole jest kawa?

- Cała masa - powiedział jego zastępca. - I herbata. Silniki są w porządku i statek nie nabral więcej wody, niż można się spodziewać przy bocznej fali.

- Jak tam Peters?

- Pił w nocy swoją whisky. Tę z tym małym barankiem na butelce. Ale czuwał. Willie nie dawał mu zasnąć i pił jego whisky - powiedział zastępca.

- Musimy wziąć na Confites benzynę i wszystko, co tylko jest.

- Potrafią szybko ładować, a ja mogę zarżnąć świnie, opalić ją i oskrobać - powiedział jego zastępca. - Dam ćwiartkę tym z radiostacji, żeby mi pomogli, i mogę pokrajać mięso, jak będziemy płynęli. Ty prześpij się trochę, kiedy będziemy ładowali. Chciałbyś, żebym posterował?

- Nie. Muszę tylko nadać trzy sygnały na Confites, wy ładujcie, a ja się prześpię. Potem ruszymy w pościg.

- W stronę domu?

- Oczywiście. Przez jakiś czas mogą nas unikać. Ale nie mogą nam się wymknąć. Pogadamy o tym później. Jacy oni są?

- Ty ich znasz. Później o tym porozmawiamy. Posteruj trochę bliżej, Tom. Skrócisz to przy tym przeciwprądzie.

- Dużo straciłeś przez kołysanie?

- Nic wielkiego. Ale to była drańska boczna fala - powiedział jego zastępca.

- Ya lo creo - rzekł Thomas Hudson. - Tak uważam.

- W tych stronach powinni być ludzie tylko z tego jednego okrętu podwodnego. To na pewno ten, o którym twierdzili, że zatonął. Teraz one są przy La Guayra, powyżej Kingstonu, i na wszystkich szlakach naftowych. A także z innymi wilkami.

- Czasem bywają i tutaj.

- Tak, za nasze grzechy.

- I za swoje.

- Tym razem będziemy ścigać dobrze i inteligentnie.

- Już to zacznijmy - powiedział Thomas Hudson.

- Nie było żadnego opóźnienia.

- Dla mnie to idzie powoli.

- Tak - powiedział jego zastępca. - Ale prześpij się w Confites, a ręczę ci, że wszystko pójdzie szybciej, niż byś się mógł spodziewać.

V

Thomas Hudson zobaczył wieżę obserwacyjną na piaszczystej wysepce i wysoki maszt sygnalizacyjny. Były pomalowane na białe i widziało się je najpierw. A potem zobaczył przysadziste maszty radiowe i wysoki, przechylony wrak statku, który leżał na skałach i przesłaniał widok na barak radiowy. Wysepka nie wyglądała ładnie od tej strony.

Słońce miał z tyłu i łatwo było odnaleźć pierwsze duże przejście między rafami, a potem, wymijając mielizny i cyple koralowe, podejść od zawietrznej. Znajdowała się tam piaszczysta plaża w kształcie półksiężyca, a wyspa z tej strony była porośnięta suchą trawą, zaś skalista i płaska od nawietrznej. Woda nad piaskiem była czysta i zielona i Thomas Hudson podpłynął blisko do środka plaży, i rzucił kotwicę prawie dotykając dziobem brzegu. Słońce było wysoko i flaga kubańska powiewała nad barakiem radiowym i dobudówkami. Maszt sygnalizacyjny stał nagi na wietrze. Nie było widać nikogo, a flaga kubańska, nowa i bardzo czysta, trzepotała na wietrze.

- Może przysłali im zmianę - powiedział Thomas Hudson. - Stara flaga była mocno podniszczona, kiedyśmy odpływali.

Popatrzał i zobaczył swoje bębny z benzyną tam, gdzie je zostawił, i ślady kopania na piasku, gdzie powinny były być zagrzebane jego bloki lodu. Piasek był usypany wysoko jak świeże groby, a nad wyspą unosiły się z wiatrem ciemnobrunatne rybitwy. Gnieździły się między skałami na nawietrznym krańcu, niektóre zaś w trawie po zawietrznej. Latały teraz zniżając się z wiatrem, zawracały weń ostro i opuszczały się ku trawie i skałom. Wszystkie wydawały smutne i rozpaczliwe krzyki.

“Widocznie ktoś zbiera jajka na śniadanie” - pomyślał Thomas Hudson. W tej chwili poczuł zapach szynki smażącej się w kuchni, więc poszedł na rufę i zawołał, że zje śniadanie na pomoście. Uważnie obserwował wyspę. “Oni mogą tu być - pomyślał. - Mogli wybrać właśnie tę.”

Ale kiedy ścieżką biegnącą od baraku radiowego do plaży nadszedł mężczyzna w szortach, okazało się, że to porucznik. Był bardzo smagły i wesoły, miał włosy nie strzyżone od trzech miesięcy i zawołał:

- Jak wam poszła podróż?

- Dobrze - odpowiedział Thomas Hudson. - Wejdzie pan na pokład napić się piwa?

- Później - powiedział porucznik. - Dwa dni temu przywieźli dla pana lód, zapasy i trochę piwa. Lód zakopaliśmy. Reszta jest w baraku.

- Jakie pan ma wiadomości?

- Podobno lotnictwo zatopiło dziesięć dni temu okręt podwodny przy Guinchos. Ale to było, zanim pan odpłynął.

- Tak - powiedział Thomas Hudson. - To było przed dwoma tygodniami. Czy to ten sam?

- Tak.

- Są jeszcze jakieś wiadomości?

- Inny okręt podwodny jakoby zestrzelił przedwczoraj balon obserwacyjny przy Cayo Sal.

- Czy to jest potwierdzone?

- Tak słyszeliśmy. No i była ta pańska świnia.

- Co?

- Tego dnia, kiedy to się stało z tym balonem, przywieźli dla pana świnie razem z zapasami i następnego rana wypłynęła w morze i utonęła. A karmiliśmy ją.

- Que puerco mas suicida! (Co za samobójcza świnia!) - powiedział Thomas Hudson.

Porucznik roześmiał się. Miał bardzo wesołą śniadą twarz i nie był głupi. Grał swoją rolę, ponieważ to go bawiło. Miał rozkaz robić wszystko, co może, dla Hudsona i nie pytać go o nic. Thomas Hudson miał rozkaz korzystać ze wszelkich udogodnień, jakich mogła dostarczyć mu stacja, i nie mówić nic nikomu.

- Są jeszcze inne wiadomości? - zapytał. - Widzieliście tu może jakieś łodzie z Bahama łowiące gąbki albo żółwie?

- A co oni by tu robili, kiedy tam mają wszystkie gąbki i żółwie? Ale w tym tygodniu przeszły tędy dwie bahamskie łodzie żółwiowie. Opłynęły przylądek i zrobiły zwrot, żeby tu przybić. Ale zamiast tego ruszyły na Cayo Cruz.

- Ciekawe, co one tu robiły.

- Nie wiem. Pan pływa po tych wodach dla celów naukowych. Dlaczego łodzie żółwiowe miałyby opuszczać najlepsze żółwiowe tereny, żeby przyplwać tutaj?

- Ilu ludzi dojrzeliscie?

- Widzieliśmy tylko tych przy sterach. Te łodzie miały gałęzie palmowe rozpostarte nad pokładami. Były z nich porobione jakby szalasy. Możliwe, że po to, aby dać cień żółwiom.

- Czy ci sternicy byli biali, czy czarni?

- Biali i opaleni.

- Mogliście rozeznaczyć jakieś numery czy nazwy na łodziach?

- Nie. Były za daleko. Postawiłem wyspę w stan pogotowia obronnego tamtej nocy, następnego dnia i następnej nocy, ale nic nie było.

- Kiedy oni tu przepływali?

- Na dzień przed przywiezieniem pańskiego lodu, zapasów i tej pańskiej samobójczej świni. W jedenaście dni po tym, kiedy doniesiono o zatopieniu okrętu podwodnego przez wasze lotnictwo. Na trzy dni przed pana przybyciem. Czy to jacyś pańscy przyjaciele?

- Oczywiście dawał pan im sygnały?

- Naturalnie. I nic nie usłyszałem.

- Może pan nadać ode mnie trzy depesze?

- Ma się rozumieć. Proszę je przysłać, jak tylko będą gotowe.

- Zacznę ładować benzynę i lód i przenosić zapasy na pokład. Jest tam coś, co by się panu przydało?

- Nie wiem. Jest spis. Pokwitowałem go, ale nie umiałem odczytać po angielsku.

- Nie przysłali jakichś kur albo indyków?

- Owszem - powiedział porucznik. - Zachowałem je jako niespodziankę.

- Podzielimy się nimi - rzekł Thomas Hudson. - Podzielimy się także piwem.

- Moi ludzie pomogą wam załadować lód i benzynę.

- Dobrze. Bardzo panu dziękuję. Chciałbym odpłynąć za dwie godziny.

- Rozumiem. Naszą zmianę odłożyli jeszcze o miesiąc.

- Znowu?

- Znowu.

- Jak pańscy ludzie to przyjęli?

- Oni wszyscy są tutaj na zasadzie dyscyplinarnej.

- Dziękuję panu bardzo za pomoc. Cały świat nauki jest panu wdzięczny.

- Guantanamo też?

- Guantanamo, Ateny wiedzy.

- Myślę, że tamci pewnie gdzieś się zaszyli.

- Ja też tak myślę - powiedział Thomas Hudson.

- Te budy były z palm kokosowych i jeszcze zielone.

- Niech pan mi powie, co było poza tym.

- Nie wiem nic poza tym. Proszę mi przysłać te depesze. Nie chcę wchodzić na pokład, żeby panu nie zabierać czasu i nie przeszkadzać.

- Jakby przyszło coś nietrwałego, kiedy mnie nie będzie, niech pan to zużyje, zanim się zepsuje.

- Dziękuję panu. Przykro mi, że ta pańska świnia popełniła takie samobójstwo.

- Dziękuję - odrzekł Thomas Hudson. - Wszyscy mamy nasze małe problemy.

- Powiem ludziom, żeby nie wchodzili na pokład, tylko pomagali ładować od rufy i przy burcie.

- Dziękuję - powiedział Thomas Hudson. - Przypomina pan sobie coś jeszcze o tych łodziach żółwiowych?

- One były typowe. Jedna prawie dokładnie taka sama jak druga. Wyglądały tak, jakby je zbudował ten sam człowiek. Opłynęły cypel rafy i zrobiły zwrot, żeby tu przybić. A potem ruszyły pełnym wiatrem na Cayo Cruz.

- Od tej strony rafy?

- Tak, dopóki nie zniknęły nam z oczu.

- A ten okręt podwodny przy Cayo Sal?

- Płynął po powierzchni i strzelał do balonu.

- Na pana miejscu utrzymałbym stan pogotowia.

- Tak robię - odpowiedział porucznik. - Dlatego pan tu nikogo nie widział.

- Widziałem latające ptaki.

- Biedne te ptaki - powiedział porucznik.

VI

Płynęli na zachód między rafami, mając wiatr od rufy. Zbiorniki napełniono, lód poukładano i pod pokładem jedna wachta skubała i patroszyła kury. Druga czyściła broń. Przymocowano brezent, który osłaniał do wysokości pasa pomost nawigacyjny, a dwie długie deski, oznajmiające dwunastocalowymi, grubymi literami o naukowym zadaniu statku, były na swoim miejscu. Spoglądając przez burtę w głębinę wody Thomas Hudson widział kłębki kurzego pierza, które wylatywały na toczące się za statkiem fale.

- Prowadź najbliżej brzegu, jak można nie wjeżdżając na te ławice piaskowe - powiedział do Ary. - Znasz ten brzeg.

- Wiem, że jest niedobry - odrzekł Ara. - Gdzie się zakotwiczymy?

- Chcę sprawdzić cypel Cayo Cruz.

- Możemy sprawdzić, ale nie myślę, żeby to wiele dało. Chyba nie przypuszczasz, że się tam zatrzymali, co?

- Nie. Ale mogą tam być rybacy, którzy ich widzieli. Albo węglarze.

- Chciałbym, żeby ten wiatr ustał - powiedział Ara. - Chciałbym mieć parę dni gładzi i ciszy.

- Nad Romano są szkwały.

- Wiem. Ale ten wiatr dmucha tędy jak przez przełęcz w górach. Nigdy ich nie złapiemy, jeżeli wiatr się utrzyma.

- Do tej pory szło nam dobrze - powiedział Thomas Hudson. - I może będziemy mieli trochę szczęścia. Mogli dostać się na Lobos i skorzystać z tamtejszego radia, żeby wezwać ten drugi okręt podwodny, aby ich zabrał.

- To dowodzi, że nie wiedzieli, że ten drugi tam był.

- Możliwe. One przez dziesięć dni mogą zrobić kawał drogi.

- Jeżeli chcą - powiedział Ara. - Przestańmy myśleć, Tom. Głowa mnie boli od tego. Już wolę tacać bębny z benzyną. Myśl ty i powiedz mi, gdzie chcesz, żebym sterował.

- Tak jak idzie, i uważaj na tę paskudną Minervę. Trzymaj się przy brzegu, z daleka od tych piaskowych cyplów.

- Dobrze.

“Myślisz, że stracili radio, kiedy oberwali? - zastanawiał się Thomas Hudson. - Musieli mieć radio zapasowe, którym się mogli posłużyć. Ale Peters ani razu nie złapał ich na UHF po tym, jak dostali. Tylko że to niekoniecznie musi czegoś dowodzić. Nic nie dowodzi niczego poza tym, że te dwie łodzie widziano przed trzema dniami na tym samym kursie, którym płyniemy. Czy ja go spytałem, czy mieli dinghy na pokładzie? Nie, zapomniałem. Ale musieli mieć, bo mówił, że to były zwyczajne bahamskie łodzie żółwiowe, z wyjątkiem tych osłon, które porobili z gałęzi palmowych.

Ilu ludzi? Nie wiesz. Jacyś ranni? Nie wiesz. Jak są uzbrojeni? Wiesz tylko o pistolecie maszynowym. Ich kurs? Jesteśmy dotychczas na nim.

Może coś znajdziemy między Cayo Cruz i Megano - pomyślał. - Prawdopodobnie znajdziesz na piasku całą masę tropów bekasów i iguan prowadzących do dołka z wodą.

Ano, to odwraca myśli od różnych rzeczy. Jakich rzeczy? Nie ma już żadnych rzeczy. I owszem są. Jest ten statek i ludzie na nim, i morze, i te dranie, których ścigasz. Później obejrzyś swoje zwierzęta, pojedziesz do miasta, upijesz się, ile wlezie, odpuścisz sobie trochę soku i będziesz gotów wypłynąć i zacząć od nowa.

Może tym razem dopadniesz tych facetów. Nie zniszczyłeś ich okrętu podwodnego, ale trochę się przyczyniłeś do jego zniszczenia. Jeżeli zdołasz wyłapać załogę, będzie to niezmiernie pożyteczne.

Więc dlaczego o nic nie dbasz? - zapytał siebie. - Dlaczego nie myślisz o nich jako o mordercach i nie masz tego poczucia własnej słuszności, które powinieneś mieć? Dlaczego tylko walisz i walisz za nimi jak koń bez jeźdźca biegnący dalej w wyścigu? Bo wszyscy

jesteśmy mordercami - odpowiedział sobie. - Wszyscy, po obu stronach, jeżeli jesteśmy coś warci, a nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Tylko że musisz to zrobić. Jasne - powiedział do siebie. - Ale nie muszę być z tego dumny. Muszę tylko zrobić to dobrze. Nie nająłem się po to, żeby to lubić. W ogóle nawet się nie najmowałeś - powiedział sobie. - To jeszcze pogarsza sprawę.”

- Daj mi ster, Ara - powiedział.

Ara oddał mu koło.

- Obserwuj dobrze w prawo. Tylko żeby cię słońce nie oślepiło.

- Wezmę okulary. Słuchaj, Tom, czemu nie dasz mi posterować i nie postawisz tu dobrego czteroosobowego posterunku obserwacyjnego? Jesteś zmęczony, a na wyspie wcale nie odpocząłeś.

- Nie potrzeba nam tutaj czteroosobowego posterunku. Później owszem.

- Ale jesteś zmęczony.

- Nie jestem śpiący. Słuchaj, jeżeli oni płyną tutaj nocami blisko brzegu, to będą mieli kłopoty. Wtedy będą musieli zatrzymać się, żeby przeprowadzić naprawy, i my ich znajdziemy.

- To nie jest powód, żebyś wcale nie odpoczywał, Tom.

- Nie robię tego, żeby się popisywać - powiedział Thomas Hudson.

- Nikt tak nie myślał.

- Co sądzisz o tych draniach?

- Tylko tyle, że ich złapiemy, zabijemy, ilu trzeba, a resztę przywieziemy.

- A ta masakra?

- Nie mówię, że my zrobilibyśmy to samo. Ale oni uważali to za potrzebne. Nie robili tego dla przyjemności - powiedział Ara.

- A ten ich zabity?

- Henry parę razy chciał zabić Petersa. Ja też miałem czasem ochotę go zabić.

- Tak - zgodził się Thomas Hudson. - To nie jest niezwykle uczucie.

- Nie zastanawiam się nad żadną z tych rzeczy i dlatego się nie gryzę. Może i ty przestałbyś się gryźć, odsapnął i poczytał, tak jak to zawsze robiłeś?

- Dzisiejszej nocy będę spał. Kiedy staniemy na kotwicy, poczytam i potem usnę. Uzyskaliśmy cztery dni przewagi nad nimi, choć tego nie widać. Teraz musimy szukać starannie.

- Dopadniemy ich albo wpędzimy w ręce innych - powiedział Ara. - Co za różnica? Mamy swoją dumę, ale mamy i inną, o której ludzie nie wiedzą.

- O tym zapomniałem - powiedział Thomas Hudson.

- To jest duma bez próżności - ciągnął Ara. - Porażka jest jej siostrą, gównem bratem, a śmierć żoną.

- To musi być wielka duma.

- I jest - rzekł Ara. - Nie powinieneś o niej zapominać, Tom, i nie wolno ci niszczyć siebie. Każdy na statku ma taką dumę, z Petersem włącznie. Chociaż nie lubię Petersa.

- Dziękuję, żeś mi powiedział - rzekł Thomas Hudson. - Czasami czuję pieprzone zniechęcenie do wszystkiego.

- Tom - powiedział Ara. - Wszystkim, co człowiek ma, jest duma. Czasem ma się jej tak dużo, że to jest grzechem. Wszyscy robiliśmy przez dumę rzeczy, o których wiedzieliśmy, że są niemożliwe. Nie dbaliśmy o nic. Ale człowiek musi dopełniać swoją dumę inteligencją i rozwagą. Teraz, kiedy przestałeś uważać na siebie, muszę cię prosić, żebyś to robił. Dla nas i dla statku.

- Dla jakich "nas"?

- Nas wszystkich.

- Okej - powiedział Thomas Hudson. - Każ sobie przynieść te twoje ciemne okulary.

- Tom, zrozum mnie, proszę.

- Rozumiem. Dziękuję bardzo. Zjem porządną kolację i będę spał jak dziecko.

Ara nie uznał tego za zabawne, a zawsze uważał, że zabawne rzeczy są zabawne.

- Postaraj się, Tom - powiedział.

VII

Stanęli na kotwicy po zawietrznej przy Cayo Cruz, w piaszczystej zatoce między dwiema wysepkami.

- Rzucimy drugą kotwicę, żeby się tu zatrzymać - powiedział Thomas Hudson do swego zastępcy. - Nie podoba mi się to dno.

Jego zastępca wzruszył ramionami i pochylił się nad drugą kotwicą, a Thomas Hudson cofnął wolno statek pod falę przyływu, patrząc, jak trawy brzegów przesuwały się w prądzie. Cofał go, dopóki druga kotwica nie zaczepiła się dobrze. Statek zatrzymał się dziobem do wiatru, a fale przepływały obok niego. Wiatr był silny nawet w tym osłoniętym miejscu i Hudson wiedział, że kiedy przyływ się zmieni, statek ustawi się burtą do fal.

- Cholera z tym - powiedział. - Niech się kołysz.

Ale jego zastępca już spuścił dinghy i wykładali kotwicę rufową. Thomas Hudson patrzył, jak rzucali tę małą Danfortha tam, gdzie mogła utrzymać statek na wietrze, kiedy przyływ nadejdzie w całej pełni.

- Czemu nie rozrzucicie jeszcze paru? - zawołał. - Wtedy moglibyśmy sprzedać ten statek jako cholernego pajaka.

Zastępca wyszczerzył do niego zęby.

- Zamontujcie motorek. Płynę na ląd.

- Nie, Tom - powiedział jego zastępca. - Niech popłyną Ara i Willie. Zabiorę ich, a drugą grupę na Megano. Chcesz, żeby wzięli ninos?

- Nie. Bądźcie naukowcami.

“Zgadzą się, żeby mną dyrygowali - pomyślał. - To musi znaczyć, że naprawdę potrzebuję odpoczynku. Rzecz w tym, że nie jestem ani zmęczony, ani śpiący.”

- Antonio - powiedział.

- Tak? - odrzekł jego zastępca.

- Wezmę sobie nadymany materac, dwie poduszki i dużego drinka.

- Jakiego drinka?

- Dżin i sok kokosowy z angosturą i limoną.

- Czyli “Tomini”? - zapytał jego zastępca, rad, że znowu pije.

- Podwójną ilość.

Henry wrzucił na pokład nadymany materac i wylazł za nim z książką i czasopiśmem.

- Tu będziesz osłonięty od wiatru - powiedział. Chcesz, żebym odchylił ten brezent dla przewiewu?

- Odkąd zasłużyłem sobie na to wszystko?

- Tom, myśmy o tym rozmawiali i wszyscy się zgodziliśmy, że potrzeba ci trochę odpoczynku. Pędzałeś siebie bardziej, niż człowiek może wytrzymać. Teraz masz to za sobą.

- Gówno - odpowiedział Thomas Hudson.

- Możliwe - rzekł Henry. - Mówiłem, że moim zdaniem jesteś okej i że możesz znieść jeszcze dużo więcej i utrzymać tempo. Ale inni byli zaniepokojeni i przekonali mnie. Możesz mnie odprzekonać. Ale uważaj na siebie, Tom.

- Nigdy nie czułem się lepiej. Po prostu się nie przejmuję.

- O to właśnie idzie. Za nic nie chcesz zejść z pomostu. Chcesz tam tkwić przez wszystkie wachty i sterować. I nie przejmujesz się ni cholery.

- Okej - powiedział Thomas Hudson. - Teraz mam pełny obraz. Ale ja tu dalej dowodzę.

- Naprawdę nie mówiłem tego w żadnym złym sensie.

- Nie myśl o tym - powiedział Thomas Hudson. - Odpoczywam. Potrafisz przeszukać wyspę, nie?

- Powiniennem.

- Zobacz, co jest na Megano.

- To dla mnie. Willie i Ara już popłynęli. Ja tylko czekam z drugą grupą, żeby Antonio wrócił z dinghy.

- Jak tam Peters?

- Przez całe popołudnie pracował ostro nad tym dużym radiem. Uważa, że je dobrze wyreperował.

- To byłoby wspaniale. Gdybym zasnął, obudź mnie, jak tylko wrócicie.

- Dobrze, Tom.

Henry sięgnął pod pokład i odebrał coś, co mu podano. Była to duża szklanka napełniona lodem i płynem rdzawego koloru i owinięta podwójnym ręcznikiem papierowym, przytrzymanym gumową opaską.

- Podwójny "Tomini" - powiedział Henry. - Wypij go sobie, poczytaj i idź spać. Możesz postawić szklanekę w którymś z tych dużych gniazdek na granaty.

Thomas Hudson pociągnął długi łyk.

- Smakuje mi - powiedział.

- Zawsze ci smakowało. Wszystko będzie dobrze, Tom.

- Wszystko, co możemy zrobić, musi być dobrze, psiakrew.

- Wypocznij sobie porządnie.

- Wypocznę.

Henry zszedł na dół, a Thomas Hudson usłyszał zbliżający się terkot przyczepnego motoraka. Ucichł, potem była jakaś rozmowa i usłyszał, że terkot się oddala. Przeczekał chwilę nasłuchując. Następnie wziął napój i chlusnął nim wysoko przez burzę, a wiatr go zniósł ku rufie. Wstawił szklanekę w ten otwór w potrójnym stojaku, do którego najlepiej pasowała, i położył się na brzuchu na gumowym materacu, obejmując go obiema rękami.

"Pewnie mieli rannych pod tymi budami - pomyślał. - Oczywiście mogły także być po to, żeby pod nimi ukryć wielu ludzi. Ale nie zdaje mi się. Przybiliby tutaj pierwszej nocy. Powiniennem być popłynąć na brzeg. Odtąd już tak będę robił. Ale Ara i Henry są doskonali, a Willie jest bardzo dobry. I ja muszę się starać być bardzo dobry. Postaraj się mocno dziś

wieczorem - powiedział sobie. - I ścigaj ich dobrze i twardo bez pomyłek, i aby ich nie przegoń.”

VIII

Poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Był to Ara, który powiedział:

- Mamy jednego, Tom. Willie i ja.

Thomas Hudson opuścił się na dół, a Ara za nim. Niemiec leżał na rufie, owinięty w koc. Pod głową miał dwie poduszki. Przy nim siedział na pokładzie Peters ze szklanką wody.

- Patrzcie, co mamy - powiedział.

Niemiec był chudy, a na szczękach i zapadniętych policzkach miał blond brodę. Włosy jego były długie i nie czesane i w świetle późnego popołudnia, przy słońcu, które już prawie zaszło, wyglądał jak święty.

- Nie może mówić - powiedział Ara. - Próbowaliśmy z Willem. A poza tym lepiej podejdź do niego od strony wiatru.

- Już to poczułem schodząc - powiedział Thomas Hudson. - Zapytaj go, czy czegoś chce - rzekł do Petersa.

Radiooperator przemówił do niego po niemiecku, a Niemiec spojrzał nań, ale się nie odezwał ani nie poruszył głową. Thomas Hudson usłyszał terkot przyczepnego motorka, spojrzał na zatoczkę i zobaczył dinghy wynurzającą się z blasku zachodzącego słońca. Była obciążona aż po linię wodną. Znów popatrzał na Niemca.

- Zapytaj go, ilu ich jest. Powiedz mu, że musimy wiedzieć, ilu ich jest. Powiedz mu, że to ważne.

Peters przemówił do Niemca cicho i jak się wydawało Thomasowi Hudsonowi, nieomal czule.

Niemiec z wielkim wysiłkiem wypowiedział trzy słowa.

- Mówi, że nic nie jest ważne - rzekł Peters.

- Powiedz mu, że się myli. Muszę wiedzieć. Zapytaj, czy chce morfiny.

Niemiec popatrzał życzliwie na Thomasa Hudsona i powiedział trzy słowa.

- Mówi, że już go nie boli - rzekł Peters. Znów powiedział coś szybko po niemiecku i znowu Thomas Hudson wychwycił ten czuły ton, ale może to było tylko takie brzmienie języka.

- Zamknij się, Peters - powiedział Thomas Hudson. - Tłumacz tylko dokładnie to, co mówię. Słyszysz?

- Tak jest - odrzekł Peters.

- Powiedz mu, że mogę zmusić go do mówienia.

Peters przemówił do Niemca, a ten obrócił oczy ku Thomasowi Hudsonowi. Były to oczy teraz stare, ale były w twarzy młodego człowieka, która zrobiła się stara jak drewno wyrzucone na brzeg i prawie równie popielata.

- Nein - powiedział Niemiec powoli.

- Mówi, że nie - przetłumaczył Peters.

- Tak, tyle zrozumiałem - rzekł Thomas Hudson. - Daj mu trochę ciepłej zupy, Willie, i przynieś koniaku. Peters, zapytaj go, czy naprawdę nie chciałby morfiny, jeżeli nie będzie musiał mówić. Powiedz, że mamy jej dużo.

Peters przetłumaczył to, a Niemiec spojrział na Thomasa Hudsona i uśmiechnął się bladym, północnym uśmiechem.

Powiedział coś prawie niedosłyszalnie do Petersa.

- Mówi, że panu dziękuje, ale że mu niepotrzebna i że lepiej ją oszczędzać.

Potem Niemiec powiedział coś cicho do Petersa, który przetłumaczył:

- Mówi, że w zeszłym tygodniu byłaby mu się przydała.

- Powiedz mu, że go podziwiam - rzekł Thomas Hudson.

Antonio, jego zastępca, przybił do burty łódką razem z Henrym i resztą grupy z Megano.

- Wejdźcie ostrożnie na pokład - powiedział im Thomas Hudson. - Trzymajcie się z daleka od rufy. Mamy na rufie konającego Szkopa i chcę, żeby umarł spokojnie. Coście znaleźli?

- Nic - odparł Henry. - Kompletnie nic.

- Peters - rzekł Thomas Hudson. - Gadaj z nim, ile chcesz. Może coś wydobędziesz. Ja idę na dziób z Arą i Willem, żeby się czegoś napić.

Na dole zapytał:

- Jak tam zupa, Willie?

- Pierwsza, na jaką natrafiłem, była ślimakowa - odrzekł Willie. - Już jest chyba dość ciepła.

- Dlaczego mu nie dasz zupy z wołowego ogona albo z curry? - zapytał Thomas Hudson. - Byłyby bardziej zabójcze w jego stanie. Gdzie, u diabła, jest rosół z kury?

- Nie chciałem mu dawać rosołu. Rosół jest Henry'ego.

- Całkiem słusznie - powiedział Henry. - Dlaczego mielibyśmy się z nim cackać?

- Naprawdę nie uważam, żebyśmy się cackali. Kiedy kazałem to podać, myślałem, że trochę zupy i drink pomoże mu mówić. Ale on nie będzie mówił. Daj mi dzinu, Ara, dobrze?

- Tamci zrobili mu osłonę i miał porządne leże z gałęzi i dużo wody i jedzenia w dzbanie. Starali się, żeby mu było wygodnie, i wykopali rowki w piasku dla osuszenia. Jest tam dużo wyraźnych śladów idących od plaży i powiedziałbym, że było ich ośmiu czy dziesięciu. Nie więcej. Willie i ja nieśliśmy go bardzo ostrożnie. Obie rany ma zgangrenowane, a gangrena jest bardzo silna w prawym udzie. Może nie trzeba go było przywozić, tylko przyjechać po ciebie i Petersa, żebyście go wypytali w tym jego schronie. Jeżeli tak, to moja wina.

- Miał jakąś broń?

- Nie. I żadnego znaku rozpoznawczego.

- Dajcie mi mojego drinka - powiedział Thomas Hudson. - Kiedy, twoim zdaniem, poćcinano gałęzie na tę osłonę?

- Chyba nie później niż wczoraj rano. Ale nie jestem pewny.

- Czy coś w ogóle mówił?

- Nie. Wyglądał jak zrobiony z drewna, kiedy nas zobaczył z pistoletami. Raz jakby przestraszył się Willa. Pewnie jak zobaczył to jego oko. A potem uśmiechnął się, kiedyśmy go podnosili.

- Żeby pokazać, że może - powiedział Willie.

- Potem zemdłał - mówił Ara. - Jak myślisz, Tom, długo to potrwa, nim umrze?

- Nie wiem.

- No, chodźmy tam i zabierzmy drinki - powiedział Henry. - Nie ufam Petersowi.

- Zjedzmy tę zupę ze ślimaków - powiedział Willie. - Głodny jestem. Mogę mu podgrzać puszkę rosółu, jeżeli Henry się zgodzi.

- Jeżeli to pomoże, żeby gadał, to oczywiście - rzekł Henry.

- Pewno nie - powiedział Willie. - Ale to dosyć gówniane dawać mu zupę ze ślimaków, kiedy jest w takim stanie. Przynieś mu koniaku, Henry. Może naprawdę go lubi, tak jak ty i ja.

- Dajcie mu spokój - rzekł Thomas Hudson. - To dobry Szkop.

- Jasne - odparł Willie. - Wszystkie Szkopy są dobre, jak wykorkują.

- On nie wykorkował - powiedział Thomas Hudson. - Po prostu umiera.

- Z dużym fasonem - rzekł Ara.

- Ty też się robisz miłośnik Szkopów? - zapytał Willie. - To znaczy jest was dwóch z Petersem.

- Zamknij się, Willie - powiedział Thomas Hudson.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał go Willie. - Jesteś wyczerpanym przywódcą małej grupki zagorzałych miłośników Szkopów.

- Chodź na dziób, Willie - powiedział Thomas Hudson. - Ara, zanieś zupę na rufę, póki ciepła. Reszta niech idzie przyglądać się, jak Szkop umiera, jeżeli macie ochotę. Ale nie naciskajcie go.

Antonio ruszył za Thomasem Hudsonem i Willem, gdy odchodzili na dziób, ale Hudson potrząsnął głową i masywny mężczyzna zawrócił do kuchni.

Byli w przednim kokpicie i było prawie ciemno. Thomas Hudson ledwie widział twarz Willa. W tym świetle wyglądała lepiej, a znajdował się od strony jego zdrowego oka. Popatrzał na Willa, potem na dwie liny kotwiczne i na drzewo, które jeszcze mógł dojrzeć na plaży. "Tu jest zdradzieckie, piaszczyste dno" - pomyślał i rzekł:

- No dobrze, Willie. Teraz powiedz resztę.

- Ach, ty - odrzekł Willie. - Biczujesz się na śmierć, dlatego że twój chłopak nie żyje. Nie wiesz, że dzieci umierają każdemu?

- Wiem. Co jeszcze?

- Ten pieprzony Peters i pieprzony Szkop, który zasmradza rufę, i w ogóle co to za statek, gdzie kucharz jest zastępcą dowódcy?

- A jak gotuje?

- Gotuje wspaniale i lepiej umie się obchodzić z małym statkiem niż my wszyscy razem wzięci, z tobą włącznie.

- O wiele lepiej.

- Psiakrew, Tom, mnie wcale krew nie zalewa. Nie mam takiej krwi, żeby mnie zalewała. Tylko jestem przyzwyczajony inaczej podchodzić do rzeczy. Podoba mi się na tym statku i lubię tu wszystkich poza tą piczą Petersem. Tylko przestańże się biczować.

- Naprawdę tego nie robię - odparł Thomas Hudson. - Nie myślę o niczym poza naszą pracą.

- Jesteś taki szlachetny, że powinno się ciebie wypchać i ukrzyżować - powiedział Willie. - Pomyśl trochę o dupie.

- Zmierzamy w jej kierunku.

- Tak trzeba mówić.

- Willie, teraz jesteś już okej?

- Pewnie. Dlaczego nie miałbym być, do cholery? Tylko ten Szkop mnie zeźlił. Tamci go urządzili tak ładnie jak my byśmy nie urządzili nikogo. Chyba żebyśmy mieli czas. A oni się nie spieszyli. Nie wiedzą, jak blisko jesteśmy. Ale muszą się połapać, że ktoś ich goni. Teraz wszyscy ich szukają. A urządzili go tak fajnie, że nie można nikogo urządzić lepiej w takim stanie.

- Jasne - powiedział Thomas Hudson. - Tych ludzi na tamtej wyspie też ładnie urządzili.

- Aha - rzekł Willie. - To jest najgorsza cholera w tym wszystkim.

W tej chwili wszedł Peters. Zawsze trzymał się jak żołnierz piechoty morskiej, nawet jeżeli nie był w najlepszej formie, i był najbardziej dumny z tej prawdziwej dyscypliny bez formalności dyscypliny, która stanowiła regułę na statku. On właśnie najbardziej z niej korzystał. Teraz zatrzymał się, stanął na baczność, zasalutował, co wskazywało, że jest pijany, i powiedział:

- Tom, to znaczy, panie komendancie. On umarł.

- Kto umarł?

- Jeniec, panie komendancie.

- Okej - powiedział Thomas Hudson. - Włącz prądnicę i zobacz, czy ci się uda złapać Guantanamo.

“Powinni coś dla nas mieć” - pomyślał.

- Czy jeniec coś mówił? - zapytał Petersa.

- Nie, panie komendancie.

- Willie - zapytał. - Jak się czujesz?

- Świetnie.

- Weź żarówki błyskowe i zrób dwa zdjęcia jego twarzy, z profilu, tak jak leży na rufie. Potem zdejmij koc, zdejmij mu szorty i zrób jedno w całej długości. Jedno zdjęcie głowy na wprost i jedno na leżąco.

- Tak jest - powiedział Willie.

Thomas Hudson wszedł na pomost nawigacyjny. Słyszał, jak uruchomiono silnik prądnic, i widział nagle błyski żarówek. “Ci w ONI, [Office of Naval Intelligence - Biuro Wywiadu Marynarki Wojennej.] co przeprowadzają oceny, nie uwierzą, żeśmy złapali nawet takiego Szkopa. Nie ma żadnego dowodu. Ktoś będzie twierdził, że to jakiś sztywny, którego tamci zepchnęli z pokładu, a my wyłowiliśmy. Powinienem był sfotografować go wcześniej. Cholera z nimi. Może dostaniemy tych innych jutro.”

Na mostek wszedł Ara.

- Tom, kto ma go zawieźć na brzeg i zakopać?

- A kto dziś najmniej pracował?

- Wszyscy pracowali ciężko. Zabiorę Gila i załatwimy to. Możemy pochować go w piasku zaraz nad linią najwyższej wody.

- Może trochę wyżej.

- Przyślę tu Willa, to mu powiesz, co ma wypisać na desce. Mam w magazynie deskę ze skrzynki.

- Przyślij Willa.

- Czy go zaszyjemy?

- Nie. Po prostu zawińcie go w jego własny koc. Przyślij tu Willa.

- Czego chciałeś? - zapytał Willie.

- Wypisz na desce: "Nieznany żołnierz niemiecki", i postaw pod spodem datę.

- Dobra, Tom. Chcesz, żebym pojechał z tymi, co go mają pogrzebać?

- Nie. Popłyną Ara i Gil. Wypisz to na desce, nie przejmuj się i napij się czegoś.

- Jak tylko Peters złapie Guantanamo, dam ci znać. Nie chcesz zejść na dół?

- Nie. Mnie tutaj dobrze.

- Jak to jest stać na pomoście takiego wielkiego statku, być pełnym odpowiedzialności i innych bzdur?

- Mniej więcej tak samo jak wypisywać litery na tej desce.

Kiedy nadszedł sygnał z Guantanamo, brzmiał on po rozszyfrowaniu: "Prowadzić dalej staranne poszukiwania w kierunku zachodnim".

"To my" - powiedział do siebie Thomas Hudson. Położył się i zasnął natychmiast, a Henry przykrył go lekkim kocem.

IX

Na godzinę przed świtem był już na dole i sprawdził barometr. Spadł o cztery dziesiąte; Thomas Hudson obudził swego zastępcę i pokazał mu go.

Zastępca spojrzął i kiwnął głową.

- Widziałeś wczoraj szkwały nad Romano - szepnął. - To idzie na południe.

- Zrób mi herbatę, dobrze? - poprosił Thomas Hudson.

- Mam trochę zimnej w butelce na lodzie.

Poszedł na rufę, znalazł kwacz i kubek i zaczął szorować pokład. Był już przedtem wyszorowany, ale go wymył na nowo i opłukał kwacz. Potem zabrał butelkę zimnej herbaty na pomost nawigacyjny i czekał, aż się rozwidni.

Zanim się rozwidniło, jego zastępca podniósł kotwicę rufową, a potem z Arą prawą kotwicę i obaj wraz z Gilem wciągnęli dinghy na pokład. Następnie wypompował wodę z dna statku i sprawdził motory.

Wytknął głowę i powiedział:

- Każdej chwili.

- Dlaczego nabrał tyle wody?

- To ta dławnica. Docisnąłem ją trochę. Ale wolę, żeby nabierał trochę wody niż żeby się zagrzał.

- W porządku. Przyślij mi Arę i Henry'ego. Ruszamy.

Wciągnęli kotwicę, po czym obrócił się do Ary.

- Pokaż mi jeszcze raz to drzewo.

Ara wskazał mu je tuż nad linią plaży, od której odpływali, i Thomas Hudson zrobił ołówkiem mały krzyżyk na mapie.

- Peters nie złapał już więcej Guantanamo?

- Nie. Spalił to znowu.

- Ano, jesteśmy za nimi, innych mają przed sobą, a my dostaliśmy rozkazy.

- Tom, myślisz, że wiatr naprawdę odejdzie na południe? - zapytał Henry.

- Barometr wskazuje, że tak. Będziemy lepiej wiedzieli, jak zacznie iść w górę.

- Spadł prawie całkiem około czwartej.

- Pogryzły cię mustyki?

- Dopiero o świcie.

- Mógłbyś zejść na dół i wyflitować je. Nie ma sensu wozić ich ze sobą.

Dzień był ładny i oglądając się na zatoczkę, gdzie przedtem stali na kotwicy, na plażę i karłowate drzewa Cayo Cruz, które obaj znali tak dobrze, Thomas Hudson i Ara widzieli wysokie, spiętrzone obłoki nad lądem. Cayo Romano wznosiła się tak, że wyglądała jak ląd stały, a wysoko nad nią były chmury niosące zapowiedź południowego wiatru lub ciszy i szkwałów lądowych.

- Co byś sobie myślał, gdybyś był Niemcem, Ara? - zapytał Thomas Hudson. - Co byś pomyślał, gdybyś to zobaczył i wiedział, że utracisz wiatr?

- Próbowałbym dostać się na ląd - odrzekł Ara. - Myślę, że tak bym zrobił.

- Na to potrzebowałbyś przewodnika.

- Wziąłbym sobie przewodnika - powiedział Ara.

- Skąd byś go wziął?

- Od rybaków na Anton albo na Romano. Czy też na Coco. Teraz jacyś rybacy muszą tam solić ryby. Na Anton może nawet być statek przewozowy.

- Poprobujemy Anton - powiedział Thomas Hudson. - Przyjemnie jest obudzić się rano i sterować mając słońce z tyłu.

- Gdyby się zawsze sterowało mając słońce z tyłu, i to w taki dzień, jak dobrze byłoby na oceanie!

Dzień był zupełnie letni, a rano szkwały jeszcze nie zaczęły wzbierać. Ten dzień był wszystkim łagodną obietnicą, morze gładkie i czyste. Widzieli wyraźnie dno, dopóki nie wypłynęli na głębie, a potem daleko, dokładnie tam, gdzie powinna była być, ukazała się Minerva i fale rozbijające się spokojnie na jej koralowych skałach. Było to rozkołysanie, które pozostało po dwóch miesiącach nieustannego silnego pasatu. Ale fale łamały się łagodnie i łaskawie, z bierną regularnością.

“To jest tak, jakby ocean mówił, że wszyscy jesteśmy teraz przyjaciółmi i że już nigdy więcej nie będzie żadnych zaburzeń ani szaleństw - myślał Thomas Hudson. - Dlaczego jest taki nieuczciwy? Rzeka potrafi być zdradziecka i okrutna, łagodna i przyjazna. Potok może być zupełnie przyjazny i można mu ufać przez całe życie, jeżeli go się nie nadużywa. A ocean zawsze musi nam skłamać, zanim to zrobi.”

Popatrzał znowu na jego łagodne wzdymanie się i opadanie, które ukazywało Minervy tak regularnie i powabnie, jak gdyby ocean usiłował je sprzedać jako luksusowy obiekt.

- Mógłbyś mi zrobić sandwicza? - zapytał Arę. - Solona wołowina z surową cebulą albo jajko na szynce i surowa cebula. Po śniadaniu przyprowadź tu czterech ludzi na wachtę i sprawdź wszystkie lornetki. Wychodzę w morze, zanim podejdziemy do Anton.

- Dobrze, Tom.

“Ciekawe, co bym zrobił bez tego Ary - pomyślał Thomas Hudson. - Wypałeś się wspaniale - powiedział do siebie - i czujesz się znakomicie. Mamy rozkazy, depczemy im po piętach i pchamy w stronę innych. Wykonujesz rozkaz, a patrz, jaki masz piękny poranek na jego wykonywanie. Tylko że wszystko wygląda zanadto cholernie dobrze.”

Płynęli kanałem obserwując bacznie, ale nie było nic prócz spokojnego, wczesnoporannego morza i jego przyjaznego falowania, i długiej, zielonej linii Romano z licznymi wysepkami przed nią.

- Daleko nie poześlują przy tej pogodzie - powiedział Henry.

- Nie poześlują w ogóle - rzekł Thomas Hudson.

- Przybijamy na Anton?

- Jasne. I obrobimy ją całą.

- Lubię Anton - powiedział Henry. - Tam jest dobre miejsce, żeby stanąć, jeżeli będzie cisza, żeby komary nas nie zjadły.

- Na łodzi by cię porwały - rzekł Ara.

W przedzie ukazał się mały hydroplan lecący nisko ku nim. Był biały i drobniutki w słońcu.

- Samolot - powiedział Thomas Hudson. - Każ wywiesić dużą flagę.

Samolot zbliżał się, aż wreszcie przeleciał tuż nad nimi. Potem okrążył ich dwukrotnie i odleciał na wschód.

- Nie poszłoby mu tak gładko, gdyby natrafił na tamtych - powiedział Henry. - Zestrzeliliby go.

- Mógł podać położenie, a na Cayo Frances by to odebrali.

- Możliwe - powiedział Ara. Dwaj inni Baskowie nie mówili nic. Stali plecami do siebie i obserwowali swoje kwadranty.

Po chwili Bask, którego nazywano George, ponieważ na imię miał Eugenio, a Peters nie zawsze mógł wymówić "Eugenio", powiedział:

- Samolot wraca na wschód między zewnętrznymi wysepkami a Romano.

- Leci do domu na śniadanie - rzekł Ara.

- Zaraportuje o nas - powiedział Thomas Hudson. - Tak że za jakiś miesiąc wszyscy będą wiedzieli, gdzie byliśmy dziś o tej porze.

- Jeżeli nie pokręci tego położenia na mapie - powiedział Ara. - Paredon Grande, Tom. Mniej więcej dwadzieścia stopni w lewo od dziobu.

- Masz dobre oczy - rzekł Thomas Hudson. - To on, rzeczywiście. Lepiej tam posteruję i odszukam ten kanał do Anton.

- Skręć w lewo o dziewięćdziesiąt stopni, a myślę, że będziesz go miał.

- W każdym razie podejść do brzegu, a potem możemy popłynąć wzdłuż niego, dopóki nie znajdziemy tego cholernego kanału.

Zbliżyli się do linii zielonych wysepek, które wyglądały jak czarne żywopłoty sterczące z wody, po czym nabrały kształtu i zieloności, aż w końcu pokazały się piaszczyste plaże. Thomas Hudson niechętnie opuścił otwarty kanał, pełne obietnic morze i piękno poranka na głębokich wodach, aby się zająć przeszukiwaniem wewnętrznych wysepek. Jednakże fakt, że samolot badał wybrzeże w tym kierunku i zawrócił, aby przelecieć nad nim mając słońce za sobą, powinien był oznaczać, że nikt nie wypatrzył łodzi w stronie wschodniej. Mogło to także być zwykłe patrolowanie. Ale biorąc logicznie, powinno było

oznaczać to pierwsze. Zwyczajne patrolowanie przeprowadziliby nad kanałem w obydwie strony.

Widział, jak wyspa Anton, dobrze zalesiona i przyjemna, rośnie przed nim, i wypatrywał znajomych punktów zbliżając się do brzegu. Musi odnaleźć to najwyższe drzewo na cyplu wyspy i wpasować je równo w tamto małe siodło na Romano. Mógł iść na ten zamiar, nawet gdyby miał słońce w oczy, a woda lśniła jak płonące szkło.

Dziś tego nie potrzebował. Ale zrobił to dla wprawy i kiedy odnalazł swoje drzewo myśląc: "Powiniennem mieć coś bardziej stałego jako punkt orientacyjny na wybrzeżu, gdzie bywają huragany" - przesunął się wzdłuż brzegu, dopóki nie ulokował drzewa dokładnie we wcięciu siodła, i wtedy zrobił ostry zwrot. Był na kanale między margłowymi brzegami, ledwie przykrytymi wodą, i powiedział do Ary:

- Poproś Antonia, żeby rzucił przynętę. Może złapiemy coś do jedzenia. Ten kanał ma na dnie wspaniałe bar.

Posterował teraz prosto na swój zamiar. Kusilo go, żeby nie patrzeć na brzegi, tylko przeć prosto przed siebie. Wiedział jednak, że to jest właśnie jeden z tych przypadków zbyt wielkiej dumy, o których mówił Ara, więc pilotował starannie do prawego brzegu, po czym zrobił zwrot w prawo, kiedy brzegi znalazły się blisko, nie kierując się na drugi punkt orientacyjny, który miał. Przypominało to jazdę regularnymi ulicami nowego osiedla, a przyływ nadchodził szybko. Najpierw przyszedł brunatny, potem jasny i czysty. Na chwilę zanim Thomas Hudson dotarł do miejsca, które sobie upatrzył na dokonanie obrotu i w którym zamierzał rzucić kotwicę, usłyszał krzyk Willa: "Ryyba! Ryyba!" Spojrzawszy za rufę zobaczył targającego się w słońcu tarpona. Pysk miał rozarty, był ogromny, a słońce błyszczało na jego srebrzystych łuskach i długim zielonym biczu płetwy grzbietowej. Szarpnął się rozpaczliwie w słońcu i opadł wśród bryzgów wody.

- Sabalo! - zawołał Antonio z odrazą.

- Bezwartościowy sabalo - powiedzieli Baskowie.

- Mogę się z nim pobawić, Tom? - zapytał Henry. - Chciałbym go złapać, chociaż nie nadaje się do jedzenia.

- Weź go od Antonia, jeżeli Willie go jeszcze nie trzyma. Powiedz Antoniowi, żeby poszedł na dziób, psiakrew. Będę rzucał kotwicę.

Szamotanie i skoki wielkiego tarpona trwały nadal za rufą, ale nie zwracali na niego uwagi, tylko uśmiechali się zakotwicząc statek.

- Chcecie rzucić jeszcze jedną kotwicę? - zawołał Thomas Hudson w stronę dziobu.

Jego zastępca potrząsnął głową. Kiedy stanęli mocno na kotwicy, wszedł na pomost.

- Teraz utrzyma się w każdych warunkach - powiedział. - W każdym szkwale. W czymkolwiek. I to nieważne, że się obraca; ruszyć się nie może.

- Kiedy przyjdą szkwały?

- Po drugiej - odpowiedział jego zastępca spoglądając na niebo.

- Spuście dinghy - rzekł Thomas Hudson. - I dajcie mi dodatkową bańkę benzyny i motorek. Musimy brać się do roboty, psiakrew.

- Kto płynie z tobą?

- Tylko Ara, Willie i ja. Chcę płynąć prędko.

X

Wszyscy trzej w łódce mieli ninos owinięte płaszczami nieprzemakalnymi. Były to pistolety maszynowe Thompsony w długich futerałach z owczej skóry. Futerały te skrajał i uszył Ara, który nie był krawcem, a Thomas Hudson zaimpregnował przystrzyżoną wełnę po wewnętrznej stronie olejem ochronnym o lekko karbolowym zapachu. Właśnie dlatego, że pistolety były tak otulone w swoich wyściełanych wełną kolebkach i ponieważ kolebki te kołysały się, kiedy je zawieszano otwarte wewnątrz pomostu nawigacyjnego, Baskowie przezwali je ninos - "maluchy".

- Daj nam butelkę z wodą - powiedział Thomas Hudson do swego zastępcy.

Kiedy Antonio ją przyniósł, ciężką i zimną, z szerokim zakręcanym kapsłem, podał ją Willowi, który postawił butelkę na przedzie łódki. Ara uwielbiał sterować z przyczepnym motorkiem, więc siedział na rufie. Thomas Hudson był pośrodku, a Willie przycupnął na dziobie.

Ara skierował dinghy prosto ku wysepce, a Thomas Hudson spoglądał na obłoki piętrzące się nad lądem.

Kiedy wpłynęli na płytką wodę, dojrzał szarawe wypukłości muszli wystających z piasku. Ara pochylił się do przodu i zapytał:

- Chcesz rzucić okiem na plażę, Tom?

- Może lepiej to zrobić przed deszczem.

Ara wprowadził dinghy na brzeg podnosząc motorek w ostatniej chwili. Przyplływ podciął tu piasek tworząc mały kanałek na cyplu i Ara wjechał weń łódką, i osadził ją przechyloną na piasku.

- Znów w domu - powiedział Willie. - Jak ta cholera się nazywa?

- Anton.

- Nie Anton Grande ani Anton Chico czy Anton El Cabron?

- Po prostu Anton. Pójdiesz do tego cypla na wschodzie, a potem dalej. Podbierzemy cię. Ja pójde prędko tą plażą, a Ara zostawi dinghy gdzieś za następnym cyplem i posunie się dalej. Zabiorę go do dinghy i wrócimy po ciebie.

Willie wziął swojego nino owiniętego w płaszcz deszczowy i założył go sobie na ramię.

- Jak znajdę jakichś Szkopów, mogę ich pozabijać?

- Pułkownik powiedział, że wszystkich oprócz jednego - odrzekł Thomas Hudson. - Postaraj się zachować jakiegoś rozgarniętego.

- Poddam ich wszystkich testom na inteligencję, zanim otworzę ogień.

- Sam siebie poddaj.

- Mój wypada cholernie słabo, bo inaczej nie byłbym tutaj - powiedział Willie i odszedł. Stąpał niedbale, ale obserwował plażę i teren przed sobą tak bacznie, jak to tylko było możliwe.

Thomas Hudson powiedział Arze po hiszpańsku, co mają robić, po czym zepchnął dinghy na wodę. Ruszył plażą ze swoim nino pod pachą i czuł piasek między bosymi palcami stóp. Przed nim łódka okrążała mały cypel.

Rad był, że przypląnął na brzeg, i szedł najszybciej, jak mógł, badając zarazem plażę. Była to przyjemna plaża i nie miał co do niej żadnych złych przeczuc tak jak przedtem tego dnia na morzu.

“Byłem zestrachany dziś rano - myślał. - Może to po prostu ta cisza.” Przed sobą widział gromadzące się wciąż chmury. Ale jeszcze nic nie padało. Nie było teraz w gorącym słońcu mustyków ani komarów i ujrzał przed sobą wysoką białą czapkę, która stała wpatrując się w płytką wodę, z nastawioną głową, szyją i dziobem. Nie odleciała, kiedy Ara przepływał łódką.

“Musimy to przeszukać starannie, chociaż nie sądzę, żeby tu coś było - myślał. - Dzisiaj unieruchomił ich brak wiatru, więc nic nie tracimy, a byłoby zbrodnią ich przegonić. Dlaczego nie wiem o nich czegoś więcej? - pomyślał. - To moja własna wina. Powinienem był popłynąć i obejrzeć ten szałas, który zbudowali, i ślady. Wypytałem Willa i Arę, a oni obaj są naprawdę dobrzy. Ale powinienem był sam popłynąć.

To jest ta niechęć do spotkania się z nimi, którą czuję - myślał. - Taki jest mój obowiązek i chcę ich dostać, i dostanę. Ale mam w stosunku do nich jakieś uczucie koleżeństwa z celi skazańców. Czy ludzie, którzy są w celi skazańców, nienawidzą się wzajemnie? Nie sądzę, żeby tak było, chyba że są obłąkani.”

W tej chwili czapla poderwała się i odleciała dalej na plażę. Hamując zamasyście wielkimi białymi skrzydłami przebiegła niezdarnie parę kroków i wylądowała. “Przykro mi, że jej przeszkodziłem” - pomyślał Thomas Hudson.

Sprawdził całą plażę powyżej linii przyływu. Nie było jednak żadnych tropów poza miejscami, gdzie dwukrotnie pełzał jeden żółw. Zostawił szeroki ślad do morza i z powrotem i wygniecione zagłębienie tam, gdzie leżał.

“Nie mam czasu pogrzebać i poszukać jajek” - pomyślał Thomas Hudson. Chmury zaczynały ciemnieć i napływać.

Gdyby tamci byli po tej stronie wysepki, na pewno szukaliby jajek. Popatrzał przed siebie, lecz nie mógł dojrzeć dinghy, bo był tam jeszcze jeden zaokrąglony cypel.

Doszedł do miejsca, gdzie piasek był twardy od wilgoci przyływu, i zobaczył kraby-pustelniki, niosące na grzbietach muszle, i kraby piaskowe, które przemykały po połąci piasku do wody. Po prawej, w płytkim kanale, dojrzał szarość ławicy barwen oraz ich cień na piaszczystym dnie, kiedy się przesuwają. Zobaczył cień bardzo dużej barrakudy, która czaiła się na barweny, a potem zarysy ryb, podłużne, jasne i szare, i na pozór nieruchome. Szedł ciągle dalej i wkrótce minął ryby i znowu zbliżał się do czapli.

“Zobaczę, czy zdołam ją minąć nie podrywając jej” - pomyślał. Ale właśnie kiedy prawie zrównał się z czaplą, wyprysnęła sztywno z wody ławica barwen, wielkookich, z tępo zakończonymi głowami, srebrzystych w słońcu, ale nie pięknych. Thomas Hudson obrócił się, by na nie popatrzeć, i popróbował dojrzeć barrakadę, która między nie wtargnęła. Nie widział drapieżnej ryby, tylko dzikie skoki przestraszonych barwen. A potem zobaczył, że ławica uformowała się na nowo w szarą ruchomą masę, kiedy zaś obrócił głowę, czapli już nie było. Dostrzegł ją lecącą na białych skrzydłach ponad zieloną wodą, a dalej była żółta piaszczysta plaża i linia drzew wzdłuż cypla. Chmury zaczynały ciemnieć za Romano, więc ruszył prędzej, aby obejść cypel i zobaczyć, gdzie Ara zostawił dinghy.

Od przyspieszonego chodu doznał erekcji i pomyślał, że nie może tu być żadnych Szkopów. To by mu się nie zdarzyło, gdyby tu były Szkopy. “Czy ja wiem - pomyślał. - Mogłoby się zdarzyć, gdybyś się całkiem mylił i nic o tym nie wiedział.”

Na końcu cypla był kawałek jaskrawobiałego piasku i pomyślał: “Chętnie bym się tu położył. To byłoby dobre miejsce.” Potem zobaczył dinghy na końcu długiej plaży i pomyślał: “Cholera z tym. Będę spał dziś w nocy i kochał gumowy materac na pokładzie. Równie dobrze mogę kochać pokład. Jesteśmy ze sobą dostatecznie długo, aby się pobrać. Pewnie teraz dużo się plotkuje o tobie i tym pomoście nawigacyjnym. Powinieneś go wziąć sobie za żonę. A ty tylko po nim depczesz i stoisz na nim. Cóż to za sposób postępowania? I

jeszcze rozlewasz na niego zimną herbatę. To nieładnie. Na co w ogóle go przeznaczyłeś? Żeby na nim umrzeć? Z pewnością by to docenił. Chodzić po nim, stać na nim i umrzeć na nim. Naprawdę ślicznie go traktujesz. Jedyna praktyczna rzecz, jaką możesz teraz zrobić, to skończyć z tymi bzdurami, sprawdzić plażę i zabrać Arę.”

Poszedł dalej plażą i usiłował w ogóle nie myśleć, tylko uważać na wszystko. Znał doskonale swoje obowiązki i starał się nigdy od nich nie uchylać. Ale dzisiaj przyplłynął na brzeg, kiedy równie dobrze mógł to zrobić ktoś inny, tylko że jeśli zostawał na pokładzie, a ludzie nic nie znajdowali, czuł się winny. Obserwował teraz wszystko. Ale nie mógł się powstrzymać od myślenia.

“Może po stronie Willa jest goręcej. A może Ara na coś natrafił. Wiem diablo dobrze, że na miejscu tamtych przyplłynąłbym tutaj. To jest pierwsze dobre miejsce. Ale mogli je minąć i płynąć prosto dalej. Albo też mogli zakręcić między Paredon a Cruz. Ale nie sądzę, żeby to zrobili, bo mógłby ich zobaczyć ktoś z latarni, a nie zdołaliby podplłynąć i przedostać się tędy, z przewodnikiem czy bez. Myślę, że posunęli się dalej. Może ich znajdziemy przy Coco. Może ich znajdziemy zaraz za tym miejscem. Tam jest jeszcze jedna wysepka, którą powinniśmy zbadać. Muszę pamiętać, że oni zawsze kierują się według mapy. To znaczy, jeżeli nie wzięli tu sobie jakiegoś rybaka. Nie widziałem żadnego dymu, który wskazywałby, że ktoś tu wypala węgiel drzewny. Ano, cieszę się, że opracujemy tę wysepkę przed deszczem. Uwielbiam to robić - pomyślał. - Nie lubię tylko zakończenia.”

Zepchnął dinghy na wodę i wsiadając splukał piasek ze stóp. Położył nino w gumowym płaszczu tak, żeby mieć go pod ręką, i uruchomił motorek. Nie przepadał za przyczepnym motorkiem tak jak Ara i uruchamiając go zawsze pamiętał, żeby przedmuchać i przessać zatkane przewody paliwowe, pamiętał o zwartych stykach i innych przyjemnościach małego motoru. Natomiast Ara nigdy nie miał kłopotów z zapłonem. Kiedy motor źle funkcjonował, Ara przyjmował to tak jak gracz w szachy, który podziwiałby znakomity ruch swojego przeciwnika.

Thomas Hudson posterował wzdłuż plaży, lecz Ara był daleko w przedzie, więc nie mógł go dojrzeć. “Musi być na połowie drogi do Willa” - pomyślał. Ale kiedy go zobaczył, Ara był przy zatoczce z mangrowcami, gdzie piasek się kończył, a mangrowce, gęste i zielone, zarastały aż w wodę i widać było ich korzenie, przypominające splątane, brunatne palki.

Wtedy to zauważył maszt sterczący spomiędzy mangrowców. Zobaczył tylko tyle. Ale widział, że Ara leży za małą wydumą piaskową, tak aby móc wyglądać ponad jej wierzchołkiem.

Poczuł mrowienie na skórze głowy, podobnie jak wówczas, kiedy się nagle napotyka samochód jadący szybko po niewłaściwej stronie drogi. Ara usłyszał motor, obrócił głowę i dał mu znak, żeby się zbliżył. Thomas podpłynął skosem za Arę.

Bask wsiadł do łodzi trzymając owiniętego w płaszcz nino lufą do przodu, na prawym ramieniu starej, pasiastej koszuli plażowej. Minę miał zadowoloną.

- Dopłyn kanałem najdalej, jak możesz - powiedział. - Poszukamy Willa.

- Czy to jedna z tych łodzi?

- Jasne - odrzekł Ara. - Ale jestem pewny, że jest porzucona. Będzie padało, Tom.

- Widziałeś coś?

- Nie.

- Ja też nic.

- Ładna wysepka. Znalazłem stary szlak do wody. Ale nie był używany.

- W stronie Willa także jest woda.

- O, jest Willie - powiedział Ara. Willie siedział na piasku. Nogi miał podkurczone, a swojego nino trzymał na kolanach. Thomas Hudson skierował dinghy do niego. Willie patrzył na nich, czarne włosy, mokre od potu, zwisały mu na czoło, a jego zdrowe oko było niebieskie i złe.

- Gdzieście się podziewali, pierdoły? - zapytał.

- Kiedy oni tu byli, Willie?

- Wczoraj, sądząc po gównach - odparł Willie. - Czy też może powinienem powiedzieć: po ich ekskrementach?

- Ilu ich jest?

- Ośmiu, którzy mogli ekskrementować, z czego trzech na rzadko.

- Co jeszcze?

- Mają przewodnika czy pilota, czy jaki tam jest jego stopień.

Przewodnik, którego sobie znaleźli, był rybakiem mającym szałas kryty liśćmi palmowymi i solił na stojaku kawałki barrakud, aby je potem sprzedawać Chińczykom zakupującym ryby dla chińskich kupców detalicznych, którzy w swych sklepach sprzedawali te suszone ryby jako sztokfisz. Sądząc po wyglądzie stojaka, musiał nasolić i wysuszyć sporą ilość ryb.

- Teraz Szkopy zażerać kupa sztokfiszów - powiedział Willie.

- Cóż to za język?

- Mój własny - odparł Willie. - Każdy ma tutaj swój osobisty język, na przykład baskijski albo coś. Masz zastrzeżenia, że mówię swoim?

- Powiedz mi resztę.

- Oni tu spać jeden dym - powiedział Willie. - Jeść mięso świńskie. Wszyscy te samiutki z Wyspy Masakry. Pan Szkop nie mieć jedzenia w puszkach albo je zachować.

- Skończ z tymi bzdetami i gadaj zwyczajnie.

- Stary pan Hudson stracić i tak całe popołudnie przez ogromny deszcz z towarzyszeniem wiatrów szkwałowych. Może równie dobrze posłuchać Willie, sławnego zwiadowcy z Pampasów. Willie opowiadać na swój sposób.

- Daj już spokój.

- Słuchaj, Tom, a kto znalazł Szkopów dwa razy?

- Co z tą łodzią?

- Łódź, ona być wykończona. Ona mieć za dużo zgniłych desek. Jedna wylecieć przy rufie.

- Musieli w coś uderzyć podpływając przy złym świetle.

- Chyba tak. No, skończę z bzdetami. Poszli prosto ku zachodowi słońca. Ośmiu ludzi i przewodnik. Może dziewięciu, jeżeli kapitan nie mógł srać z uwagi na swoją wielką odpowiedzialność, podobnie jak czasem ma z tym kłopoty nasz własny przywódca. A teraz zaczyna padać deszcz. Łódź, którą zostawili, była zasmrodzona i obfajdana przez świnię, kury i tego towarzysza, któregośmy pochowali. Jest tam jeszcze jeden ranny, ale to nie wygląda źle, sądząc po opatrunku.

- Z ropą?

- Tak. Ale czystą ropą. Chcesz to wszystko obejrzeć czy wierzysz mi na słowo?

- Wierzę ci na słowo we wszystkim, ale chcę to zobaczyć.

Obejrzał wszystko, ślady, resztki ogniska, miejsce, gdzie spali i gotowali, opatrunek, tę część zarośli, której używali jako latryny, i wyżłobienie, które żółwiowa łódź pozostawiła w piasku, gdy ją wciągali na brzeg. Padało teraz mocno i nadlatywały pierwsze poddmuchy szkwału.

- Włóżcie płaszcze i wsadźcie ninos pod nie - powiedział Ara. - I tak muszę je dzisiaj znieść na dół.

- Pomogę ci - rzekł Willie. - Tom, my im siedzimy na karkach.

- To strasznie duży kawał kraju, a oni teraz mają kogoś, kto zna te strony.

- Myśl sobie dalej tak jak teraz - powiedział Willie. - Czy on może lepiej znać te strony niż my?

- Na pewno zna je bardzo dobrze.

- Cholera z nim. Wymyję się mydłem na rufie. O Jezu, chciałbym już poczuć na sobie tę słodką wodę i mydło.

Deszcz padał teraz tak mocno, że trudno było dojrzeć statek, gdy wypłynęli z za przylądka. Szkwał przesunął się nad ocean i był taki gwałtowny, a deszcz tak gęsty, że próba dojrzenia statku przypominała patrzenie na coś z za wodospadu. "Zbiorniki napełnią się jak nic od tego - pomyślał Thomas Hudson. - Pewnie w tej chwili woda już leje się z kranów w kuchni i wierzchem."

- Ile dni nie padało, Tom? - zapytał Willie.

- Trzeba sprawdzić w dzienniku. Coś ponad pięćdziesiąt.

- Wygląda na to, że zaczyna się ten cholerny monsun - powiedział Willie. - Dajcie mi tykwę do wylewania wody.

- Uważaj, żeby twój nino nie zamókł.

- Kolbę trzymam w pachwinie, a wylot pod lewym ramieniem płaszcz - powiedział Willie. - W życiu nie było mu lepiej. Dajcie tę tykwę.

Na rufie wszyscy kąpali się nago. Namydlali się stojąc to na jednej, to na drugiej nodze, zgięci pod smagającym deszczem, kiedy się namydlali, a potem odchylali się do tyłu pod nim. W rzeczywistości byli opaleni, ale wydawali się biali w tym dziwnym świetle. Thomasowi Hudsonowi przypomniało to obraz Cezanne'a z kąpiącymi się postaciami i pomyślał, iż chciałby, żeby to namalował Eakins. Potem przyszło mu do głowy, że powinien by namalować to sam, ze statkiem na tle huczącej bieli przyboju, co napływał poprzez sunącą szarość, z czernią nowego szkwału, który nadciągał, i ze słońcem, które prześwitywało chwilami, srebrzyło siekący deszcz i lśniło na kąpiących się na rufie.

Podciągnął dinghy, Ara rzucił linkę i byli w domu.

XI

Tej nocy, kiedy deszcz ustał, a Thomas Hudson sprawdził wszystkie przecieki po długim okresie suszy i dopilnował, by podstawiono pod nie naczynia i zakreślono ołówkiem punkt właściwego przecieku, a nie kapania, wachty zostały wyznaczone, zadania przydzielone i wszystko przedyskutowane i uzgodnione z jego zastępcą i Arą. A potem, kiedy skończyli kolację i rozpoczęła się gra w pokera, poszedł na pomost nawigacyjny. Zabrał ze sobą spryskiwacz do flitu, nadymany materac i lekki koc.

Sądził, że się położy i nie będzie o niczym myślał. Czasem to potrafił. Czasem potrafił rozmyślać o gwiazdach nie zastanawiając się nad nimi i o oceanie bez żadnych problemów, i o wschodzie słońca, nie o tym co przyniesie.

Czuł się czysty od stóp do głów po wymyciu się mydłem w tym deszczu, który smagał rufę, i pomyślał: “Po prostu się tu połóżę i będę czuł się czysty.” Wiedział, że nie ma co rozmyślać o kobiecie, która była matką Toma, ani o wszystkich rzeczach, które robili, czy o miejscach, w których bywali, ani o tym, jak zerwali ze sobą. Nie było warto myśleć o Tomie. Skończył z tym, gdy tylko się dowiedział.

Nie było warto myśleć o innych. Utracił ich także i nie było sensu o nich rozmyślać. Wymienił ich nie bez skrupułów na innego konia, na którym teraz jeździł. “Więc połóż się tu teraz, czuj się czysty po tym mydle i deszczu i zajmij się porządnie niemyśleniem. Nauczyłeś się robić to wcale nieźle przez jakiś czas. Może zaśniesz i będziesz miał zabawne czy przyjemne sny. Po prostu leż spokojnie, przypatruj się nocy i nie myśl. Ara albo Henry cię obudzą, jeżeli Peters coś złapie.”

Po krótkiej chwili zasnął. Znowu był chłopcem i jechał konno stromym kanionem. Kanion rozwierał się i była tam ławica piaskowa nad czystą rzeką, tak czystą, że mógł dojrzeć kamyki na dnie, a potem obserwować mordercze pstrągi u krańca sadzawki, kiedy wypływały za muchami unoszącymi się z prądem. Siedział na koniu i przyglądał się wypływającym pstrągom, kiedy obudził go Ara.

Polecenie brzmiało: “Nadal szukać starannie w kierunku zachodnim”, z szyfrowym hasłem na końcu.

- Dziękuję - powiedział. - Dajcie mi znać, jakby jeszcze coś było.

- Oczywiście. Śpij dalej, Tom.

- Miałem wspaniały sen.

- Nie opowiadaj mi go - powiedział Ara - to może się sprawdzi.

Zasnął na powrót, a kiedy usnął, uśmiechnął się, bo wydało mu się, że wykonuje rozkaz i dalej prowadzi poszukiwania w kierunku zachodnim. “Posunęliśmy się dość daleko na zachód - myślał. - Chyba oni nie chcieli, żeby aż tak daleko.”

Spał i przyśniło mu się, że chatę spalono i że ktoś zabił jego kozłaka, który wyrósł na młodego kozła. Ktoś zabił jego psa; znalazł go pod drzewem i obudził się spocony.

“Zdaje się, że sny nie są rozwiązaniem - powiedział do siebie. - Lepiej to brać tak jak zawsze, bez żadnej nadziei na znieczulenie. No, przemyśl to sobie.

Masz teraz tylko problem zasadniczy i swoje problemy pośrednie. To jest wszystko, co masz, więc niech ci się to podoba. Już nigdy nie będziesz miał miłych snów, więc równie dobrze możesz nie spać. Po prostu odpoczywaj i ruszaj głową, dopóki potrafi pracować, a kiedy zaśniesz, spodziewaj się koszmarów. To właśnie koszmary wygrałeś w tej wielkiej grze w kości, którą prowadzą. Postawiłeś swoją stawkę, zdobyłeś punkt i grałeś dalej, i w

końcu wyciągnął z tego dar niespokojnego, nieprzyjemnego snu. Diabło mało brakowało, żebyś wyciągnął w ogóle bezsenność. Ale wymieniałeś to na to, co masz, więc lepiej niech ci się podoba. Teraz jesteś śpiący. Więc śpij i przygotuj się na przebudzenie w potach. I co z tego? Nic a nic. A pamiętasz, jak sypiałeś całą noc z tą dziewczyną i zawsze ci było dobrze, i nie budziłeś się nigdy, chyba że ona cię obudziła, żeby się kochać? Wspomnij to i zobacz, czy ci dobrze zrobi.

Ciekawe, ile oni mają opatrunków dla tego drugiego rannego typu? Jeżeli mieli czas zabrać opatrunki, to mieli czas wziąć i inne rzeczy. Jakie rzeczy? Jak myślisz, co oni mają poza tym, co wiesz, że mają? Nie sądzę, żeby tego było dużo. Może rewolwery i parę pistoletów maszynowych. Może jakieś ładunki burzące, z których mogli coś zrobić. Muszę zakładać, że mają karabin maszynowy. Ale nie przypuszczam. Chyba nie chcą się bić. Chcą wynieść się stąd do diabła i dostać na jakiś hiszpański statek. Gdyby byli w formie do walki, wróciliby tamtej nocy i zajęli Confites. A może i nie. Może coś obudziło ich podejrzenia, zobaczyli te nasze bębny na plaży i pomyśleli, że możemy tam mieć swoją bazę na noc. Nie mogli wiedzieć, czym jesteśmy. Ale jak zobaczyli bębny, mogli wyobrazić sobie, że jest tu coś, co spala dużo benzyny. Poza tym pewnie nie chcieli walczyć mając ze sobą rannych. Tylko że łódź z rannymi mogła w nocy zatrzymać się z daleka od brzegu, a oni przypląć i zająć radiostację, jeżeli chcieli zabrać się stąd na tamtym drugim okręcie podwodnym. Ciekawe, co się z nim stało. Jest w tym coś bardzo dziwnego.

Pomyśl o czymś wesołym. Pomyśl o tym, że zaczynasz mając słońce z tyłu. I pamiętaj, że mają teraz kogoś, kto zna te strony, że mają wszystkie te solone ryby i że będziesz musiał ruszać głową.”

Zasnął i spał zupełnie dobrze, i dopiero na dwie godziny przed świtem zbudziły go mustyki. Rozmyślanie o tych problemach sprawiło, że poczuł się lepiej i spał bez snów.

XII

Ruszyli przed wschodem słońca i Thomas Hudson posterował korytem, które przypominało kanał, z widocznymi po obu stronach szarymi brzegami. Kiedy weszło słońce, przedostał się już przez przejście między mieliznami i sterował prosto na północ, aby wypłynąć na błękitną wodę, za niebezpieczne skalne cyple zewnętrznej rafy. Była to trochę dłuższa droga niż po stronie wewnętrznej, ale o wiele bezpieczniejsza.

Kiedy słońce wstało, nie było wiatru i dostatecznego spiętrzenia wody, by fale rozbiły się na którejkolwiek ze skał. Wiedział, że zapowiada się dzień gorący i parny, a po południu będą szkwały.

Jego zastępca wszedł na pomost i rozejrzał się dookoła. Potem popatrzał uważnie na ląd i wzdłuż niego ku miejscu, gdzie widać było wysoką, brzydką wieżę latarni.

- Mogliśmy z łatwością przepłynąć od strony wewnętrznej.

- Wiem o tym - odpowiedział Thomas Hudson. - Ale uważałem, że tak będzie lepiej.

- Taki sam dzień jak wczoraj. Tylko gorętszy.

- Nie mogą wiele zyskać na czasie.

- Nic nie mogą zyskać. Są gdzieś unieruchomieni. Sprawdzisz w latarni, czy weszli w to przejście między Paredon a Coco, prawda?

- Jasne.

- Ja popłynę. Znam latarnika. Możesz stanąć zaraz za tą wysepką u krańca. To nie potrwa długo - powiedział Antonio.

- Nawet nie muszę rzucać kotwicy.

- Masz dość ludzi o silnych barach, żeby podnieść kotwicę.

- Przyślij mi Arę i Willa, jeżeli już zjedli. Tak blisko latarni nie powinno się nic pokazać, a patrząc pod słońce nie widzi się ni cholery. Ale przyślij też George'a i Henry'ego. Trzeba zrobić to, jak należy.

- Pamiętaj, że skały podchodzą tu do samej tej twojej niebieskiej wody, Tom.

- Pamiętam i widzę je.

- Chcesz herbatę na zimno?

- Bardzo proszę. I sandwicza. Ale najpierw przyślij mi ludzi.

- Zaraz tu będą. Przyślę herbatę i przygotuję wszystko do zejścia na ląd.

- Uważaj, co będziecie z nimi mówili.

- Dlatego właśnie jadę.

- Wyłóż też kilka linek na ryby. To będzie lepiej wyglądało, jak popłyniecie do latarni.

- Tak - powiedział jego zastępca. - Może złapiemy coś, co moglibyśmy im dać.

Czterej ludzie weszli na pomost i zajęli swoje zwykłe stanowiska, a Henry zapytał:

- Tom, widziałeś coś?

- Jednego żółwia, dokoła którego latała mewa. Myślałem, że mu siądzie na grzbiecie. Ale nie siadła.

- Mi capitan (Panie kapitanie) - odezwał się George, Bask wyższy od Ary i dobry sportowiec oraz świetny żeglarz, ale nawet w przybliżeniu nie taki mocny jak Ara pod wieloma względami.

- Mi senior obispo (Księżę biskupie) - odrzekł Thomas Hudson.

- Okej, Tom - powiedział George. - Mam ci dać znać, jeżeli zobaczę jakieś naprawdę duże okręty podwodne?

- Jeżeli zobaczysz taki duży, jak widziałeś tamtym razem, zachowaj to przy sobie.

- On mi się śni po nocach - powiedział George.

- Nie mów o nim - rzekł Willie. - Dopiero co zjadłem śniadanie.

- Kiedy się zbliżaliśmy, czułem jak cojones podjeżdżają mi w górę niczym winda - powiedział Ara. - A ty jak się naprawdę czułeś, Tom?

- Spietrany.

- Widziałem, jak podchodził - rzekł Ara. - I w tej chwili usłyszałem, że Henry mówi: "Tom, to lotniskowiec."

- Bo tak wyglądał - odparł Henry. - Nic na to nie poradzę. Następnym razem powiedziałbym to samo.

- Życie mi zwichnęło - rzekł Willie. - Od tamtej pory nie byłem już ten sam. Za piątką nie wypłynąłbym nigdy więcej na morze.

- Masz - powiedział Henry. - Weź te dwadzieścia centów i wysiądź w Paredon Grande. Może wydadzą ci resztę.

- Nie chcę reszty. Zgodzę się na przeniesienie.

- Naprawdę? - zapytał Henry. Było między nimi trochę złej krwi od czasu ich dwóch ostatnich bytności w Hawanie.

- Słuchaj no, ty kosztowny - powiedział Willie. - Nie bijemy się z okrętami podwodnymi, bo inaczej nie wyszedłbyś na pokład nie golnawszy sobie przedtem na chybicka. Po prostu gonimy Szkopów półotwartym kutrem, żeby ich pozabijać. Nawet ty powinieneś to potrafić.

- Tak czy owak, weź te dwadzieścia centów - rzekł Henry. - Przydadzą ci się kiedyś.

- Żeby sobie wsadzić w...

- Przestańcie, wy dwaj. Przestańcie - powiedział Thomas Hudson. Popatrzał na nich.

- Przykro mi, Tom - powiedział Henry.

- Mnie nie przykro - rzekł Willie. - Ale przepraszam.

- Patrz, Tom - powiedział Ara. - Prawie na trawersie, przy brzegu.

- To ta skała, co ledwie wystaje z wody - powiedział Thomas Hudson. - Na mapie jest pokazana dalej w kierunku wschodnim.

- Nie. Ja mówię o tym, co jest około pół mili dalej.

- To człowiek łowiący langusty albo holujący pułapki na ryby.

- Myślisz, że należałoby z nim pomówić?

- On jest z latarni i Antonio jedzie pogadać tam z nimi.
- Ryyba! Ryyba! - zawołał jego zastępca, a Henry spytał:
- Mogę ją łapać, Tom?
- Jasne. Przyślij tu Gila.

Henry zszedł na dół, a po chwili ryba wyskoczyła i okazało się, że to barrakuda. Potem, trochę później, usłyszał stęknienie Antonia, kiedy uderzał ją osęką, następnie zaś dosłyszał tępe uderzenia pałki po jej głowie. Czekał na chluśnięcie ryby odrzucanej z powrotem i patrzył na wart, żeby zobaczyć, czy jest duża. Nie było chluśnięcia i przypomniał sobie, że barrakudy jada się na tej części wybrzeża i widocznie Antonio zatrzymał ją, aby ją zabrać do latarni. W tejże chwili usłyszał podwójny okrzyk: "Ryyba", i tym razem nie było żadnego wyskakiwania, a linka wylatywała ze świstem. Skręcił dalej na niebieską wodę i zwolnił obydwa silniki. A potem, kiedy linka ciągle wylatywała, wyłączył jeden silnik i zrobił pół obrotu w stronę ryby.

- Wahu - zawołał jego zastępca. - Duży.

Henry przyciągnął rybę i wyjrzawszy za rufę zobaczyli ją, długą i dziwacznie spiczastą, z pasami wyraźnie widocznymi w błękicie głębokiej wody. Kiedy była już prawie w zasięgu osęki, obróciła łeb, znowu pomknęła szybko w głąb i znikła w przezroczystej wodzie szybciej, niż człowiek zdążyłby strzelić palcami.

- One zawsze robią ten jeden skok - powiedział Ara. - Idą jak kula.

Henry przyciągnął szybko rybę i patrzyli za rufę, jak ją uderza osęką i wrzuca na pokład, sztywną i dygoczącą. Jej pasy były jasnoniebieskie, a szczęki, które mogły ciąć jak brzytwy, rozwierały się i zamykały spazmatycznie i daremnie. Antonio położył ją na rufie, a ogon ryby uderzał o pokład.

- Que peto mas hermoso (Jaka piękna łuska) - powiedział Ara.

- Piękny wahu - przyznał Thomas Hudson. - Ale spędzimy tu całe rano, jeżeli tak dalej pójdzie. Zostawcie linki w wodzie, ale zdejmijcie przypony - powiedział swemu zastępcy. Posterował prosto pod latarnię stojącą na wysokim skalnym cyplu i usiłował nadrobić stracony czas, a jednocześnie udawać, że łowią. Wędki wyginały się od tarcia linek o wodę.

Henry wszedł na pomost i powiedział:

- Piękna ryba, co? Wspaniale byłoby złowić ją lekkim sprzętem. Prawda, jaki one mają niezwykły kształt głowy?

- Ile może ważyć? - zapytał Willie.

- Antonio mówi, że ze sześćdziesiąt. Przykro mi, że nie miałem czasu cię zawołać. W gruncie rzeczy powinna być twoja.

- W porządku - odparł Willie. - Złapałeś ją szybciej, niż ja bym potrafił, a musimy płynąć dalej. Założę się, że wszędzie tutaj moglibyśmy złowić kupę dobrych ryb.

- Przyjedziemy kiedyś po wojnie.

- No pewnie - powiedział Willie. - Po wojnie będę w Hollywood i zostanę doradcą technicznym, jak być dupą wołową na morzu.

- Będiesz w tym dobry.

- Powinienem. Studiuję to już od przeszło roku jako przygotowanie do mojej kariery.

- Co ci się dzisiaj nazbierało tyle żółci, Willie? - zapytał Thomas Hudson.

- Nie wiem. Obudziłem się z tym.

- Ano, to zejźdź do kuchni, zobacz, czy ta butelka herbaty jest zimna, i przynieś ją tutaj. Antonio ćwiartuje rybę. Więc zrób mi sandwicza, dobrze?

- Jasne. Jakiego sandwicza?

- Masło orzechowe i cebula, jeżeli jest dosyć cebuli.

- Rozkaz. Masło orzechowe i cebula.

- I postaraj się pozbyć tej swojej żółci.

- Rozkaz... Żółci już nie ma.

Kiedy odszedł, Thomas Hudson powiedział:

- Nie złość się na niego, Henry. Potrzebuję drania, a jest świetny w swojej robocie. Po prostu ma żółć.

- Staram się być dla niego dobry. Ale on jest trudny.

- To postaraj się trochę bardziej. Szpilowałeś go z tymi dwudziestoma centami.

Thomas Hudson popatrzał przed siebie na gładkie morze i niewinnie wyglądającą zabójczość rafy na lewo od dziobu. Uwielbiał przepływać obok groźnej rafy mając słońce za sobą. To mu wynagradzało momenty, kiedy musiał sterować pod słońce, i wynagradzało jeszcze parę innych rzeczy.

- Przepraszam, Tom - powiedział Henry. - Będę uważał, co mówię i myślę.

Willie wrócił z butelką po rumie pełną herbaty i owiniętą papierowym ręcznikiem z dwiema gumowymi opaskami, aby się ręcznik nie zsuwał.

- Zimna jest, szefie - powiedział. - I zrobiłem na niej izolację.

Podał Thomasowi Hudsonowi sandwicza owiniętego kawałkiem papierowego ręcznika i powiedział:

- Jeden ze szczytów sztuki robienia sandwichów. Nazywamy to "Mount Everest Special". Tylko dla dowódców.

W bezwietrznym powietrzu na pomoście Thomas Hudson poczuł zapach jego oddechu.

- Nie myślisz, że to trochę za wczesna pora, Willie?

- Nie, panie kapitanie.

Thomas Hudson popatrzał na niego w zamyśleniu.

- Coś ty powiedział, Willie?

- Nic, panie kapitanie. Nie słyszał pan kapitan?

- Okej - powiedział Thomas Hudson. - Słyszałem dwa razy. A ty posłuchaj raz. Zejdź na dół. Sprzątnij porządnie kuchnię, a potem idź na dziób, gdzie będę mógł cię zobaczyć, i naszykuj się do rzucenia kotwicy.

- Tak jest - odrzekł Willie. - Nie czuję się dobrze, panie kapitanie.

- Pieprzę to, jak się czujesz, ty morski adwokacie. Jeżeli nie czujesz się dobrze, będziesz się czuł diablo gorzej.

- Tak jest, panie kapitanie - powiedział Willie. - Nie czuję się dobrze. Powinienem pójść do lekarza okrętowego.

- Znajdziesz go na dziobie. Przechodząc zapukaj do drzwi na przodzie i zobacz, czy tam jest.

- O to właśnie mi idzie, panie kapitanie.

- O co ci idzie?

- O nic, panie kapitanie.

- Pijany jak bela - powiedział Henry.

- Nie, wcale nie - rzekł Thomas Hudson. - Pije. Ale jest bliższy wariactwa.

- Od dłuższego czasu jest jakiś dziwny - powiedział Ara. - Ale zawsze był dziwny. Nikt z nas nie przecierpiał tyle co on. Ja w ogóle nigdy nie cierpiałem.

- Tom cierpiał - powiedział Henry. - I pije zimną herbatę.

- Nie mówmy o rzeczach przykrych i nie mówmy o rzeczach mokrych - odrzekł Thomas Hudson. - Nigdy nie cierpiałem i lubię zimną herbatę.

- Dawniej nigdy nie lubiłeś.

- Ciągłe uczymy się czegoś nowego, Henry.

Podpływał prosto do latarni, dojrzał skałę, którą powinien był teraz wyminąć, i pomyślał że to jest beznadziejna rozmowa.

- Idź na przód, Ara, i zobacz, co on porabia. Trzymaj się blisko niego. Henry, powciągaj linki. George zejź na dół i pomóż Antoniowi z dinghy. Popłyn z nim, jeżeli będzie chciał.

Kiedy został sam na pomoście, poczuł zapach ptasich odchodów dolatujący ze skały, okrążył cypel i rzucił kotwicę na wodzie głębokości dwóch sążni. Dno było czyste, a przyływ nadchodził dużą falą. Popatrzał na biało pomalowany dom, na wysoką staroświecką latarnię, a potem za wyniosłą skałę, ku zielonym wysepkom porośniętym mangrowcami i ku niskiemu, skalistemu, jałowemu czubkowi Cayo Romano za nimi. Od tak dawna już widywali wciąż od nowa tę podłużną, dziwną i rojącą się od owadów wyspę i znali część jej tak dobrze, i tyle razy podpływali kierując się na jej punkty orientacyjne, i to w takich dobrych i złych okolicznościach, że zawsze doznawał emocji, kiedy ją dojrzał lub kiedy znikala mu z oczu. Teraz ukazała się w całej swojej nagości i jałowości, stercząca z morza niby porośnięta karłowatymi krzakami pustynia.

Na tej dużej wyspie były zdziczałe konie, zdziczałe bydło i zdziczałe świnie i zastanowił się, ilu ludzi miało złudzenia, że mogliby ją skolonizować. Były tam również bogate w trawę wzgórza z pięknymi dolinami i bujnymi kępami drzew i niegdyś znajdowała się osada nazwana Versailles w miejscu, gdzie Francuzi dokonali próby osiedlenia się na Romano.

Teraz wszystkie drewniane budynki były opuszczone z wyjątkiem jednego dużego domu i gdy pewnego razu Thomas Hudson pojechał tam po wodę, znalazł psy z chat skupione razem ze świniami, które grzebały się w błocie, i zarówno psy, jak świnie były szare od zwartej pokrywy moskitów, które je obsiadły. Była to wspaniała wyspa, kiedy wschodni wiatr wiał dzień i noc, i mogłeś tam chodzić dwa dni ze strzelbą będąc ciągle w dobrym terenie. Był to kraj tak nie naruszony jak wówczas, kiedy Kolumb zawinął do tych wybrzeży. Potem, gdy wiatr ustawał, Moskity nadlatywały chmurami z moczarów. "Powiedzenie, że nadlatywały chmurami - pomyślał - nie jest przenośnią. Naprawdę przychodziły chmurami i mogły wykrwawić człowieka na śmierć. Ci, których szukamy, pewno nie zatrzymali się na Romano. Przynajmniej przy tej ciszy. Musieli posunąć się dalej wzdłuż wybrzeża."

- Ara - zawołał.

- A co, Tom? - zapytał Ara. Zawsze podciągał się jednym rzutem na pomost i lądował lekko jak akrobata, ale z ciężarem stali.

- Co słyhać?

- Willie jest nieswój, Tom. Zabrałem go ze słońca, zrobiłem mu drinka i kazałem się położyć. Teraz jest spokojny, ale ma zbyt nieruchomy wzrok.

- Może było za dużo słońca na tę jego chorą głowę.

- Możliwie. A może to coś innego.

- Co jeszcze?

- Gil i Peters śpią. Gil miał obowiązek pilnować zeszłej nocy, żeby Peters nie zasnął.

Henry śpi, a George pojechał z Antoniem.

- Powinni niedługo wrócić.

- Wróć.

- Nie można puszczać Willa na słońce. Głupio postąpiłem, że go posłałem na dziób. Ale zrobiłem to dla dyscypliny, bez zastanowienia.

- Rozkładałem i czyszczyłem te duże sztuki, a sprawdziłem też po wczorajszej wilgoci i deszczu wszystkie zapalniki tych innych rzeczy. Wczoraj wieczorem po pokerze rozłożyliśmy, przeczyścili i naoliwili wszystko.

- Teraz, przy tej wilgoci, musimy sprawdzać codziennie bez względu na to, czy się z czegoś strzelało, czy nie.

- Wiem - powiedział Ara. - Powinniśmy wysadzić Willa na ląd. Ale nie można zrobić tego tutaj.

- Cayo Frances?

- Możliwe. Ale Hawana byłaby lepsza i można by go stamtąd odesłać. On będzie gadał, Tom.

Thomasowi Hudsonowi przyszło coś na myśl i pożałował tego.

- Nie powinniśmy byli go w ogóle zabierać, kiedy dostał lekarskie zwolnienie, i z tą jego chorą głową - powiedział Ara.

- Wiem. Aleśmy go zabrali. Ileż to cholernych błędów się popełniło?

- Nie za wiele - powiedział Ara. - A teraz mogę zejść na dół i dokończyć mojej roboty?

- Tak - odrzekł Thomas Hudson. - Bardzo ci dziękuję.

- A sus ordenes - powiedział Ara.

- Cholernie bym chciał, żeby to były lepsze rozkazy - odparł Thomas Hudson.

Antonio i George podpłynęli w dinghy i Antonio natychmiast wszedł na pokład zostawiając George'a i Henry'ego, aby wciągnęli na pokład łódkę i motor.

- No? - zapytał Thomas Hudson

- Musieli przejść tędy w nocy ostatkiem wiatru - powiedział Antonio. - Widzieliby ich z latarni, gdyby wpłynęli w to przejście. Ten stary, co ma łódź i pułapki na ryby, nie widział żadnej łodzi żółwiowej. Latarnik mówił, że on gada o wszystkim i wspominałby o tym. Myślisz, że powinniśmy wrócić i sprawdzić u niego?

- Nie. Myślę, że są na Puerto Coco albo też na Guillermo.

- Mniej więcej tam by dociągnęli tym wiatrem, który mieli.

- Jesteś pewny, że nie mogli przepłynąć przejściem w nocy?

- Nawet z najlepszym pilotem, jaki żył kiedykolwiek.

- W takim razie musimy ich znaleźć przy Coco albo przy Guillermo. Podnośmy kotwicę i ruszajmy.

Było to bardzo paskudne wybrzeże, więc trzymał się z dala od wszystkiego i płynął skrajem stusążniowego łuku. Od strony wyspy był niski, skalisty brzeg i rafy, i duże połączone plaży, które ukazywały się suche po odpływie. Wystawili czteroosobową wachtę, a Gil był po lewej ręce Thomasa Hudsona. Hudson popatrzył w stronę brzegu, zobaczył początek zieleni mangrowców i pomyślał: "Cholerna rzecz być w takim miejscu teraz przy tej ciszy". Chmury już się spiętrzyły wysoko i pomyślał, że szkwały przyjdą wcześniej. "Są ze trzy miejsca za Puerto Coco, które muszę przeszukać - pomyślał. - Trzeba podciągnąć trochę bardziej i dojść tam."

- Henry - powiedział. - Steruj na 285, dobrze? Chcę zejść na dół i pogadać z Willem. Wołaj, jakbyś coś zobaczył. Gil, nie musisz obserwować brzegu. Zabierz prawoburtową wachtę naprzód. Po stronie brzegu jest wszędzie za płytko, żeby tam byli.

- Chciałbym poobserwować brzeg - odrzekł Gil. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Tam jest ten zwariowany kanał, który idzie w głąb prawie przy samej plaży, i przewodnik mógł ich tam zabrać i wyprowadzić między mangrowce.

- Dobrze - powiedział Thomas Hudson. - Przyślę Antonia.

- Zobaczyłbym maszt w mangrowcach przez tę dużą lornetkę.

- Cholernie w to wątpię. Ale może.

- Proszę cię, Tom. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Już się zgodziłem.

- Przepraszam cię. Ale pomyślałem, że przewodnik mógł ich tam poprowadzić. Myśmy tam kiedyś byli.

- I musieliśmy wyjść tą samą drogą, cośmy weszli.

- Wiem. Ale jeżeli wiatr im się skończył i musieli na gwałt gdzieś się schować? Przecież nie chcemy ich przegonić.

- Słusznie. Ale jesteśmy jeszcze za daleko, żebyś zobaczył maszt. Poza tym prawdopodobnie naścinaliby mangrowców, żeby masztu nie było widać z powietrza.

- Wiem - powiedział Gil z hiszpańskim uporem. - Ale mam bardzo dobre oczy, ta lornetka jest dwunastokrotna, a jest cisza, więc widzę dobrze i...

- Już powiedziałem, że w porządku.

- Wiem, ale musiałem wytłumaczyć.

- Wytłumaczyłeś - rzekł Thomas Hudson. - I jeżeli znajdziesz maszt, możesz mi wsadzić go w dupę, z orzeszkami ziemnymi na wierzchu.

Gil poczuł się tym trochę urażony, lecz uznał to za zabawne, zwłaszcza jeżeli idzie o orzeszki, i zaczął przepatrywać mangrowce tak usilnie, że wielka lornetka o mało nie wysłała mu oczu z głowy.

Na dole Thomas Hudson rozmawiał z Willem obserwując morze i ląd. Zawsze było to dziwne, że o tyle mniej się widzi zeszedłszy z pomostu, toteż jeżeli na dole wszystko szło dobrze, uważał, że jest głupio przebywać gdziekolwiek poza swoim posterunkiem. Zawsze starał się utrzymywać niezbędny kontakt i unikać idiotyzmu, jakim była niekontrolująca kontrola. Przekazywał jednak coraz więcej władzy Antoniowi, który był o wiele lepszym marynarzem od niego, i Arze, który był o wiele lepszy w ogóle. "Oni obaj są lepsi ode mnie - pomyślał - ale mimo to powinienem nadal dowodzić wykorzystując ich wiedzę, zdolności i zalety charakteru."

- Willie - powiedział. - Jak ty się naprawdę czujesz?

- Przykro mi, że zachowałem się jak głupiec. Ale ze mną jest coś kiepsko, Tom.

- Znasz przepisy co do picia - powiedział Thomas Hudson. - Nie ma żadnych. Nie chcę używać takich kretyńskich słów, jak poczucie humoru.

- Ja wiem - rzekł Willie. - Wiesz, że nie jestem pijakiem.

- Nie bierzemy na pokład pijaków.

- Z wyjątkiem Petersa.

- Myśmy go nie wzięli. Dali go nam. On także ma swoje problemy.

- Stara Szkocka to jego problem - powiedział Willie. - A te jego przekłete problemy za szybko się stają naszymi.

- Dajmy sobie z nimi spokój - rzekł Thomas Hudson. - Masz jeszcze coś, co cię gryzie?

- Tylko ogólnie.

- To znaczy?

- Ano, ja jestem półwariat, ty jesteś półwariat i jeszcze mamy tę załogę półświętych i desperatów.

- Nie jest źle być półświętym i półdesperatem.

- Wiem o tym. To wspaniałe. Ale byłem przyzwyczajony, żeby wszystko szło bardziej regularnie.

- Willie, ciebie w gruncie rzeczy nic nie gryzie. Słońce źle ci robi na głowę, a jestem pewny, że picie też nie jest dla niej dobre.

- Ja także jestem pewny - odparł Willie. - Nie usiłuję być żadnym pierdołą, Tom. Ale czyś ty kiedy naprawdę dostał wariacji?

- Nie. Zawsze mi tego brakowało.

- Jest z tym masa kłopotu - powiedział Willie. - I bez względu na to, jak długo trwa, zawsze trwa za długo. Ale przestanę pić.

- Nie. Tylko pij umiarkowanie, tak jak to zawsze robiłeś.

- Stosowałem picie, żeby się jakoś nie dać.

- Zawsze stosujemy picie w jakimś celu.

- Jasne. Ale to nie była żadna bujda. Myślisz, że bym ci skłamał, Tom?

- Wszyscy kłamiemy. Ale nie myślę, żebyś kłamał celowo.

- Idź na swój pomost - powiedział Willie. - Widzę, że cały czas obserwujesz wodę, jakby to była dziewczyna, która chce od ciebie odejść. Nie będę pił niczego, może poza wodą morską, i pomogę Arze rozłożyć wszystko na części i złożyć na powrót.

- Nie pij, Willie.

- Jeżeli powiedziałem, że nie będę, to nie będę.

- Wiem.

- Słuchaj, Tom. Mogę cię o coś zapytać?

- O co chcesz.

- Czy z tobą jest bardzo źle?

- Chyba dość źle.

- Możesz sypiać?

- Niewiele.

- A zeszłej nocy?

- Owszem.

- To po tym chodzeniu po plaży - powiedział Willie. - Idź na górę i nie myśl o mnie. Zajmę się z Arą naszą robotą.

XIII

Zbadali plażę na Puerto Coco w poszukiwaniu śladów, a potem mangrowce za nią, płynąc w dinghy. Było tam kilka naprawdę dobrych miejsc, gdzie mogłaby się ukryć łódź żółwiowa. Ale nic nie znaleźli, a szkwały przyszły wcześniej z rześnistym deszczem, od którego morze wyglądało tak, jakby wystrzelało w powietrze białymi, tryskającymi fontannami.

Thomas Hudson przeszedł plażę, a potem w głąb lądu na lagunę. Znalazł miejsce, gdzie zlatywały się podczas przypływu flamingi, i widział wiele leśnych ibisów, owych "coco", od których wyspa brała swą nazwę, oraz parę różanych łyżkodziobów grzebiących w marglu na skraju laguny. Były piękne z tą swoją ostrą różowością na tle szarego marglu i delikatnymi, szybkimi, pomykającymi ruchami, i miały straszną, wygłodniałą bezosobowość niektórych ptaków brodzących. Nie mógł przypatrywać im się długo, bo chciał sprawdzić na wszelki wypadek, czy ludzie których szukali, nie zostawili łodzi między mangrowcami i nie obozowali na wzniesieniu, aby uniknąć moskitów.

Nie znalazł nic oprócz starego paleniska do węgla drzewnego i po pierwszym uderzeniu szkwału wyszedł na plażę skąd Ara zabrał go do dinghy.

Ara uwielbiał manewrować przyczepnym motorkiem w deszcz i ostry szkwał i powiedział Thomasowi Hudsonowi, że żaden z poszukiwaczy niczego nie znalazł. Wszyscy już byli na pokładzie z wyjątkiem Willa, który wybrał najdalszy odcinek plaży, za mangrowcami.

- A ty? - zapytał Ara.

- Ja nic.

- Ten deszcz ostudzi Willa. Popłynę po niego, kiedy cię odwiozę na pokład. Jak myślisz, Tom, gdzie oni są?

- Na Guillermo. Ja bym tam był.

- Ja również. Willie też tak uważa.

- Jak się zachowywał?

- Stara się bardzo, Tom. Znasz Willa.

- Tak - powiedział Thomas Hudson. Dopłynęli do burty i wdrapał się na pokład.

Patrzył, jak Ara obraca dinghy na rufie i odpływa w biały szkwał. Potem zawołał, żeby mu podali z dołu ręcznik, i wytarł się na rufie.

Henry zapytał:

- Nie chciałbyś czegoś się napić, Tom? Zmokłeś porządnie.

- Chętnie.

- Chcesz czystego rumu?

- Świetnie - odrzekł Thomas Hudson. Zszedł na dół po trykotową koszulkę i szorty i zastał wszystkich w wesołym nastroju.

- Napiliśmy się wszyscy czystego rumu - powiedział Henry i przyniósł mu napełnioną do połowy szklankę. - Myślę, że w ten sposób, jeżeli się szybko osuszyć, nikt się nie przeziębii. Prawda?

- Cześć, Tom - powiedział Peters. - Dołączasz do naszej grupki pijących dla zdrowia?

- Kiedy się obudziłeś? - zapytał go Thomas Hudson.

- Jak usłyszałem bulgotanie.

- Którejś nocy zrobię bulgotanie i zobaczę, czy cię to zbudzi.

- Nie martw się, Tom. Willie robi to dla mnie co noc.

Thomas Hudson postanowił nie pić rumu. Ale potem, widząc, że wszyscy sobie popili i są weseli i radośni na niewesołej wyprawie, doszedł do wniosku, że byłoby pretensjonalne i purytańskie nie wypić go. Zresztą miał na niego ochotę.

- Podziel się tym ze mną - powiedział do Petersa. - Jesteś jedynym znanym mi draniem, który potrafi lepiej spać ze słuchawkami na uszach niż bez nich.

- Takie dzielenie to na nic - odrzekł Peters obwarowując się w odwrocie od formalnej dyscypliny. - Takie dzielenie nie daje nic żadnemu z nas.

- To sobie weź osobny - powiedział Thomas Hudson. - Lubię to draństwo tak samo jak ty.

Reszta obserwowała ich i Thomas Hudson widział, że Henry'emu drgają mięśnie szczęk.

- Wypij sobie - powiedział - i obsługuj dziś w nocy te wszystkie swoje tajemnicze maszyny najlepiej jak potrafisz. Dla samego siebie i dla nas.

- Dla nas wszystkich - powiedział Peters. - Kto na tym statku pracuje najciężej?

- Ara - odrzekł Thomas Hudson i pociągnął pierwszy łyk rumu rozglądając się dookoła. - I każdy inny pieprzony facet na pokładzie.

- Twoje zdrowie, Tom - powiedział Peters.

- Twoje zdrowie - odrzekł Thomas Hudson i poczuł, jak te słowa zamierają mu zimne i zwietrzałe w ustach. - Za króla słuchawek - powiedział, aby odzyskać coś, co utracił.

- Za wszystkie bulgoczące odgłosy - dodał nabierając rozmachu, tak jak powinien był od początku.

- Za mojego dowódcę - powiedział Peters, zanadto naciągając strunę.

- Jak tylko sobie życzysz - odparł Thomas Hudson. - Nie ma przepisów, które by to u nas regulowały. Ale zgodzę się na to. Powiedz jeszcze raz.

- Twoje zdrowie, Tom.

- Dziękuję - powiedział Thomas Hudson. - Ale będę żalonym draniem, jeżeli wypiję twoje zdrowie, zanim wszystkie te twoje radia i ty sam będziecie funkcjonowali.

Peters popatrzył na niego i na twarzy pojawił mu się wyraz zdyscyplinowania, a ciało, które było w złej formie, przybrało taką postawę, jaką ma człowiek, który przesłużył trzy okresy w czymś, w co wierzył i co porzucił dla czegoś innego, podobnie jak Willie, i powiedział automatycznie i bez wewnętrznych zastrzeżeń:

- Tak jest.

- Wypij za siebie - rzekł Thomas Hudson - i puść w ruch wszystkie te twoje pieprzone cuda.

- Tak, Tom - powiedział Peters bez żadnego oszukiwaństwa i bez zastrzeżeń.

“Ano, chyba wystarczy - pomyślał Thomas Hudson. - Lepiej zostawię to tak, jak jest, wrócę na rufę i popatrzę, jak moje drugie trudne dziecko wraca na pokład. Nie mogę odnosić się do Petersa tak jak cała reszta. Mam nadzieję, że znam jego wady równie dobrze jak oni. Ale w nim coś jest. Przypomina fałsz posunięty tak daleko, że staje się prawdą. Pewne jest, że nie nadaje się do załatwienia tego, co mamy przed sobą. Ale może nadaje się do znacznie lepszych rzeczy.

Willie jest taki sam - myślał. - Jeden jest pod pewnym względem równie niedobry jak drugi. Powinni już tu być.”

Zobaczył dinghy nadpływającą przez deszcz i białą nanoszoną wodę, która marszczyła się zdmuchiwana smaganiem wiatru. Obaj byli przemoczeni do nitki, kiedy weszli na pokład. Nie włożyli płaszców nieprzemakalnych, bo mieli nimi owinięte swoje ninos.

- Cześć, Tom - powiedział Willie. - Nie mamy nic prócz mokrych tyłków i wygłodniałych kiszek.

- Weź te dzieciaki - powiedział Ara i podał owinięte karabiny automatyczne na pokład.

- Nic?

- Nic pomnożone przez dziesięć - powiedział Willie. Stał na rufie ociekając wodą i Thomas Hudson zawołał do Gila, żeby przyniósł dwa ręczniki.

Ara przyciągnął dinghy za cumę i wdrapał się na pokład.

- Nic a nic a nic - powiedział. - Tom, czy my dostaniemy dodatek za deszcz?

- Trzeba od razu wyczyścić tę broń - rzekł Willie.
- Najpierw się osuszymy - odparł Ara. - Ja jestem dostatecznie przemoczony. Z początku ani rusz nie mogłem zmoknąć, a teraz mam gęsią skórę nawet na tyłku.
- Tom - powiedział Willie. - Wiesz, że te dranie mogą płynąć przy takich szkwałach, jeżeli zrefują i będą mieli na to dość ikry.
- Też o tym myślałem.
- Przypuszczam, że stoją za dnia podczas ciszy, a potem płyną przy tych popołudniowych szkwałach.
- Gdzie byś ich umieścił?
- Nie dalej niż Guillermo. Ale mogą być i za nią.
- Wyruszamy o świcie i jutro przyłapiemy ich przy Guillermo.
- Może ich znajdziemy, a może ich nie będzie.
- Pewnie.
- Dlaczego, u licha, nie mamy radaru?
- A co by nam dał w tej chwili? Co byś zobaczył na ekranie, Willie?
- Ja się zamknę, psiakrew - powiedział Willie. - Wybacz, Tom. Ale ścigać na UHF coś, co nie ma radia...
- Wiem - odrzekł Thomas Hudson. - Ale czy chciałbyś ścigać lepiej, niż ścigaliśmy?
- Owszem. Czy to jest okej?
- Okej.
- Chcę złapać drani i pozabijać ich co do jednego.
- A co by to dało?
- Nie pamiętasz o tej masakrze?
- Nie pieprz mi o masakrze, Willie. Na to jesteś za stary wyjadacz.
- Okej. Po prostu chcę ich pozabijać. W porządku?
- Lepsze to niż z masakra. Ale chcę dostać takich jeńców z okrętu podwodnego operującego na tych wodach, którzy będą mogli gadać.
- Ostatni, którego miałeś, gdybyś był jedną nogą w grobie tak jak on.
- Dobra - powiedział Willie. - Mogę sobie golnąć łyk legalnego?
- Pewnie. Włóż suche szorty i koszulę i nie rób awantur.
- Z nikim?
- Wydorosłej - powiedział Thomas Hudson.
- Żebyś zdechł - odparł Willie i wyszczerzył zęby.
- Teraz mi się podobasz - powiedział Thomas Hudson. - Bądź dalej taki.

XIV

Tej nocy były silne błyskawice i grzmoty i padało prawie do trzeciej nad ranem. Peters nie mógł nic złapać przez radio i wszyscy spali w gorącu i duchocie, dopóki po deszczu nie przyleciały mustyki i nie pobudziły ich jednego po drugim. Thomas Hudson napompował flitu pod pokład, co wywołało kaszlanie, ale potem było już mniej niespokojnego wiercenia się i otrzepywania rękami.

Obudził Petersa flitując go gruntownie, a Peters potrząsnął głową z nałożonymi słuchawkami i powiedział cicho:

- Próbowałem usilnie, Tom, przez cały czas. Ale nic nie ma.

Thomas Hudson oświetlił latarką barometr, który szedł w górę. "To im da bryzę - pomyślał. - Ano, nie mogę powiedzieć, żeby znowu nie mieli szczęścia. Teraz muszę się zastanowić."

Wrócił na rufę i rozpylił w kabinie tyle flitu, ile mógł nie budząc ludzi.

Zasiadł na rufie, patrzył, jak noc blednie, i flitował się od czasu do czasu. Brakowało im środka zabezpieczającego od owadów, za to flitu mieli pod dostatkiem. Piekł w miejscach zapoconych, ale był lepszy od mustyków. Różniły się od komarów tym, że nie słyszało się ich, nim zaatakowały, a po ugryzieniu od razu następowało swędzenie. Ukąszenia powodowały obrzęk wielkości ziarnka grochu. W niektórych miejscach na wybrzeżu i na wysepkach mustyki były bardziej zjadliwe niż w innych. Przynajmniej ich ukąszenia wydawały się o wiele przykrzejsze. "Ale - pomyślał - to może być stan naszej skóry i to, że jest taka spalona i stwardniała. Nie mam pojęcia, jak miejscowi ludzie to znoszą. Muszą być wytrzymali, skoro mogą żyć na tym wybrzeżu i na Bahamach, kiedy nie więcej pasaty."

Siedział na rufie, obserwował i słuchał. Wysoko na niebie widział dwa samoloty i przysłuchiwał się pulsacji ich silników, dopóki nie ucichła.

"Duże bombowce, które idą do Camaguey w drodze do Afryki albo przelatują gdzieś prosto i nie mają z nami nic wspólnego. Ano, im nie dokuczają mustyki - pomyślał. - Ani mnie. Cholera z nimi. Cholera z nimi i niech mnie cholera, jeżeli mi nie dokuczają. Ale chciałbym, żeby się rozwidniło, i chciałbym się stąd wynieść. Sprawdziliśmy wszystko aż do końca cypla dzięki Willowi i teraz popłynę tym małym kanałem przy samym brzegu. Tam jest tylko jedno niedobre miejsce, ale w porannym świetle będę je widział doskonale nawet podczas ciszy. A potem będziemy przy Guillermo."

O świcie byli już w drodze i Gil, który miał najlepsze oczy, obserwował przez dwunastokrotną lornetkę zieloną linię brzegu. Byli tak blisko, że mogli dojrzeć uciętą gałąź mangrowca. Thomas Hudson sterował. Henry wypatrywał od strony morza. Willie pomagał Gilowi.

- Tu ich już w każdym razie nie ma - powiedział Hudson.

- Ale musimy sprawdzić - rzekł Ara. Obserwował wraz z Henrym.

- Jasne - powiedział Willie. - Ja tylko mówię, co uważam.

- Gdzie jest poranny patrol z tego cholernego okrętu na Cayo Frances?

- Oni nie patrolują w niedziele, prawda? - zapytał Willie. - Dziś musi być niedziela.

- Będzie bryza - powiedział Ara. - Popatrzcie na te cirrusy.

- Jednego się boję - powiedział Thomas Hudson. - Że popłynęli tym przejściem koło Guillermo.

- Trzeba będzie sprawdzić.

- Zakręcajmy i pływamy tam, psiakrew - rzekł Willie. - To mi działa na nerwy.

- Takie mam czasem wrażenie - powiedział Henry.

Willie spojrział na niego i splunął przez burtę.

- Dziękuję ci, Henry - powiedział. - Właśnie takie wrażenie chciałem wywołać.

- Przestańcie - odezwał się Thomas Hudson. - Widzicie po sterborcie ten duży koralowy cypel, co ledwie wystaje z wody? Musimy uważać, żeby na niego nie wjechać. A po wewnętrznej stronie, panowie, jest Guillermo. Widzicie, jaka zielona i pełna obietnic?

- Jeszcze jedna cholerna wyspa - powiedział Willie.

- Możesz dojrzeć jakiś dym od palenia węgla drzewnego? - zapytał Thomas Hudson.

Gil przepatrzył brzeg bardzo starannie i powiedział:

- Nie, Tom.

- Po takim deszczu jak wczoraj nie może być dymu - rzekł Willie.

- Przynajmniej raz się pomyliłeś, chłopcze - powiedział Thomas Hudson.

- Możliwe.

- Nie. Deszcz mógłby padać jak diabli przez całą noc, a nie wygasić dużego paleniska. Widziałem już, jak padał trzy dni i nic takiemu nie zrobił.

- Znasz się na tym lepiej ode mnie - powiedział Willie. - W porządku. Mógłby być dym. Mam nadzieję, że jest.

- To paskudna mielizna - powiedział Henry. - Nie sądzę, żeby mogli tędy przepłynąć w tym szkwale.

W porannym świetle widzieli cztery rybitwy i dwie mewy latające dokoła mielizny. Znalazły coś i zniżyły się. Rybitwy krzyczały, a mewy wrzeszczały.

- Na co one dybią, Tom? - zapytał Henry.

- Nie wiem. Wygląda, że to ławica ryb, która jest za głęboko, żeby się do niej dobrały.

- Te biedne drańskie ptaki muszą wstawać rano wcześniej od nas, żeby sobie zdobyć utrzymanie - powiedział Willie. - Ludzie nie doceniają pracy, jaką one w to wkładają.

- Jak będziesz płynął, Tom? - zapytał Ara.

- Możliwie najbliżej brzegu i prosto do cypla wyspy.

- Sprawdzisz tę półkolistą wysepkę, gdzie jest wrak?

- Okrążę ją z bliska, a wszyscy niech patrzą przez lornetki. Potem zakotwiczę się w tej zatoczce przy czubku Guillermo.

- My się zakotwiczymy - powiedział Willie.

- To się rozumie. Dlaczego jesteś taki dokuczliwy od samego rana?

- Wcale nie jestem dokuczliwy. Podziwiam sobie ocean i to piękne wybrzeże, na którym po raz pierwszy spoczęły oczy Kolumba. Mam szczęście, że nie służyłem pod tym Kolumbem.

- A ja zawsze myślałem, że służyłeś - powiedział Thomas Hudson.

- Czytałem książkę o nim w szpitalu w San Diego - odparł Willie. - Jestem autorytetem na jego temat, a miał gorzej zapieprzony zespół niż ten.

- To nie jest zapieprzony zespół.

- Nie - odparł Willie. - Jeszcze nie.

- Okej, chłopcze Kolumba. Widzisz ten wrak około dwudziestu stopni po sterbortcie?

- Niech go widzi twoja wachta sterbortowa - powiedział Willie. - Ale ja widzę go doskonale tym moim jednym okiem, które działa, i to, że siedzi na nim ptak, gap z Wysp Bahama. Pewnie przyleciał, żeby nas wesprzeć.

- Dobra - powiedział Thomas Hudson. - Jego nam właśnie potrzeba.

- Prawdopodobnie mogłem zostać wielkim ornitologiem - powiedział Willie. - Moja babcia chowała kury.

- Tom - powiedział Ara. - Nie myślisz, że moglibyśmy podejść trochę bliżej? Jest teraz przypływ.

- Jasne - odrzekł Thomas Hudson. - Poproś Antonia, żeby poszedł na dziób i dał mi znać, ile mam wody.

- Masz masę wody, Tom - zawołał Antonio. - Aż do samego brzegu. Znasz ten kanał.

- Wiem. Chciałem się tylko upewnić.

- Chcesz, żebym posterował?

- Dziękuję - odrzekł Thomas Hudson. - Nie chcę.

- Teraz pięknie widać tę wyniosłość - powiedział Ara. - Przejrzyj ją całą, Gil. Ja tylko będę ci pomagał. Przypatrz się przez lornetkę naprawdę dobrze.

- Kto bierze pierwszą ćwierć morza? - zapytał Willie. - A w ogóle dlaczego przeniosłeś się do mnie?

- Kiedy Tom cię poprosił, żebyś popatrzał na wrak. Przenosimy się automatycznie. Kiedy poszedłeś na sterbort, ja poszedłem na bakbort.

- To dla mnie za dużo marynarskie - powiedział Willie. - Jak chcesz być marynarski, mów prosto albo wcale. Dlaczego nie powiesz na prawo czy na lewo, tak samo jak przy sterowaniu?

- To ty powiedziałaś: wachta sterbortowa - rzekł Henry.

- Słusznie. Więc od tej pory będę mówił na górze i na dole, na przodzie i na tyle statku.

- Willie, przejdź do Gila i Ary i zbadajcie przez lornetki plażę, dobrze? - powiedział Thomas Hudson. - Plażę i aż do jednej trzeciej wyspy.

- Dobrze, Tom - odrzekł Willie.

Łatwo było dojrzeć, czy ktoś mieszka na Cayo Guillermo po tej stronie, która była nawietrzną prawie przez cały rok. Ale nic się nie pokazywało, kiedy płynęli blisko przy brzegu. Dotarli na wysokość cypla i Thomas Hudson powiedział:

- Opłynę tę półkolistą wysepkę możliwie jak najbliżej, a wy wszyscy obserwujcie ją przez lornetki. Jeżeli zauważycie cokolwiek, możemy się przygotować i posłać tam dinghy.

Bryza się wzmaciała i morze zaczynało się wzdymać, lecz fale jeszcze nie rozbijały się na mieliznach z uwagi na przyływ. Thomas Hudson popatrzał przed siebie na małą, skalistą wysepkę. Wiedział, że na jej zachodnim krańcu jest zatopiony wrak, ale w czasie przyływu widoczny był tylko jako czerwono-brunatna wypukłość. Po wewnętrznej stronie wysepki była płycizna i piaszczysta plaża, ale plażę mógł zobaczyć dopiero po okrążeniu wraku.

- Ktoś mieszka na tej wyspie - powiedział Ara. - Widzę dym.

- Zgadza się - powiedział Willie. - Jest po stronie zawietrznej i wiatr go znosi na zachód.

- Ten dym jest mniej więcej pośrodku miejsca, gdzie powinna być plaża - rzekł Gil.

- Widzisz jakiś maszt?

- Żadnego masztu - odparł Gil.

- Mogą za dnia zdejmować ten cholerny maszt - powiedział Willie.

- Idźcie na swoje posterunki - rzekł Thomas Hudson. - Ara, ty zostań tu ze mną. Willie, powiedz Petersowi, żeby się przełączył na rozmowę bez względu na to, czy go ktoś może usłyszeć, czy nie.

- Co myślisz? - zapytał Ara, kiedy tamci odeszli.

- Myślę, że gdybym łowił i suszył ryby, przyplłynąłbym tu z Guillermo, kiedy przysła cisza, a z nią moskity.

- Ja też.

- Na tej wysepce nie palą żadnego węgla drzewnego, a dym jest mały. Czyli że to musi być świeże ognisko.

- Chyba że dogasa jakieś większe.

- Przyszło mi to do głowy.

- Ano, zobaczymy za pięć minut.

Opłynęli wrak, na którym siedział drugi gap, i Thomas Hudson pomyślał: "Nasi sojusznicy zbierają się szybko." Potem dotarli do zawietrznej strony wysepki i Thomas Hudson ujrzał piaszczystą plażę, zieleń za nią i szalas z dobywającym się zeń dymem.

- Bogu dzięki - powiedział.

- Tak jest - rzekł Ara. - Ja też się bałem, że to będzie tamto drugie.

Nie było śladu jakichkolwiek łodzi.

- Myślę, że jesteśmy naprawdę blisko nich. Popłyn tam prędko z Antoniem i powiedz mi, co znalazłeś. Zatrzymam się niedaleko brzegu. Powiedz ludziom, żeby zostali na posterunkach i zachowywali się naturalnie.

Dinghy obróciła się i ruszyła ku plaży. Thomas Hudson patrzył jak Antonio i Ara szli ku krytemu strzechą szalasu. Szli najszybciej, jak mogli iść nie biegnąc. Zawołali w stronę szalasu i wyszła z niego kobieta. Była ciemnoskóra jak nadmorska Indianka i bosa, a długie włosy zwisały jej prawie do pasa. Kiedy coś mówiła, wyszła z szalasu druga kobieta. Była też smagła i długowłosa i niosła dziecko na ręku. Gdy tylko skończyli rozmawiać, Ara i Antonio uścisnęli dłonie obu kobietom i wrócili do łódki. Zepchnęli ją, włączyli motor i odpłynęli.

Antonio i Ara weszli na pomost nawigacyjny, podczas gdy wciągano dinghy na pokład.

- Tam były dwie kobiety - powiedział Antonio. - Mężczyźni wypłynęli na połów. Kobieta z dzieckiem widziała łódź żółtą wchodzącą do kanału, który prowadzi w głąb. Wpłynęła tam, kiedy nadeszła ta bryza.

- To znaczy jakieś półtorej godziny temu - powiedział Thomas Hudson. - Przyptyw teraz opada.

- Bardzo mocno - rzekł Antonio. - Opada bardzo prędko, Tom.

- Kiedy całkiem zejdzie, nie będzie dosyć wody, żebyśmy tamtędy przepłynęli.

- Nie.

- Co uważasz?

- To twój statek.

Thomas Hudson przełożył mocno ster, podkreślił oba motory do dwóch tysięcy siedmiuset obrotów i ruszył prosto na cypel wysepki.

- Oni też mogą sięść na mieliźnie - powiedział. - Cholera z tym.

- Możemy rzucić kotwicę, jakby już było źle - rzekł Antonio. Tu jest marglowe dno, jeżeli wejdziemy na mieliznę. Margiel i błoto.

- I miejsca skaliste - powiedział Thomas Hudson. - Daj mi tu Gila, żeby wypatrywał pali. Ara, sprawdź z Willem całą broń. Proszę, zostań tutaj, Antonio.

- Ten kanał jest drański - powiedział Antonio. - Ale nie nieprzebyty.

- Jest nieprzebyty przy niskiej wodzie. Ale może tamten sukinsyn też siędzie albo też może wiatr ucichnie.

- Wiatr nie ucichnie - powiedział Antonio. - Jest teraz mocny i stały przed pasatem.

Thomas Hudson popatrzał na niebo i zobaczył długie białe kłęby obłoków wschodniego wiatru. Potem spojrzął przed siebie na cypel głównej wyspy, na plamkę małej wysepki i na mielizny, które zaczynały się pokazywać. Wiedział, że tam zaczną się dla niego kłopoty. Popatrzał na rojowisko wysepek w przedzie wyglądających jak zielone plamki na wodzie.

- Gil, możesz już dojrzeć pal? - zapytał.

- Nie, Tom.

- To pewnie tylko gałąź czy jakiś patyk.

- Ja jeszcze nic nie widzę.

- Powinien być na wprost przed nami.

- Już widzę, Tom. To jest wysoki kij. Prościutko tak jak płyniemy.

- Dziękuję ci - powiedział Thomas Hudson.

Mielizny po obu stronach były białozółte w słońcu, a prąd odpływu, który wylewał się z kanału, niósł zieloną wodę z wewnętrznej laguny. Nie była zabrudzona ani zmętniała od marglu brzegów, ponieważ wiatr nie zdążył wywołać fali, która by je podmyła. To ułatwiało pilotowanie.

A potem zobaczył, jak wąskie jest przejście za palem, i poczuł mrowienie na skórze głowy.

- Dasz radę, Tom - powiedział Antonio. - Trzymaj się blisko prawego brzegu. Zobaczą przejście, jak się roztworzy.

Trzymał się blisko prawego brzegu i płynął wolno naprzód. Raz spojrzął na lewy brzeg i spostrzegł, że jest bliżej niż prawy, więc powoli przesunął się w prawo.

- Wyrzuca błoto?

- Całe chmury.

Dotarli do niedobrego zakrętu i okazał się nie taki zły, jak myślał. Ta wąska część, przez którą przeszli, była gorsza. Wiatr wzmógł się teraz i Thomas Hudson czuł, jak mu dmucha mocno w ramię, kiedy płynęli bokiem do niego przez przejście.

- Pal jest na wprost przed nami - powiedział Gil. - To zwykła gałąź.

- Mam go.

- Trzymaj się tuż przy prawym brzegu, Tom - powiedział Antonio. - Jedno już mamy z głowy.

Thomas Hudson posuwał się przy samym prawym brzegu, tak jakby parkował wóz przy krawężniku. Tylko to nie wyglądało jak krawężnik, ale jak poorany, błotnisty teren starego pola bitwy, na którym walczone wielkimi koncentracjami artylerii i które nagle wyłoniło się z dna oceanu i rozpościerało niby mapa warstwicowa po prawej.

- Dużo błota wyrzucamy?

- Mnóstwo. Możemy rzucić kotwicę, jak się przedostaniemy przez to przejście. Po tej stronie Contrabando. Albo po zawietrznej Contrabando - zaproponował Antonio.

Thomas Hudson obrócił głowę i zobaczył Cayo Contrabando, małą, zieloną i wesołą, i powiedział:

- Do diabła z tym. Gil, przepatrz tę wyspę i kanał, który widać, czy nie ma tam jakiej łodzi żółwiowej. Widzę następne dwa pale.

Kanał ten był łatwy. Ale dalej widział po prawej ławicę piaskową, która zaczynała się odsłaniać. Im bliżej byli Cayo Contrabando, tym węższy stawał się kanał.

- Trzymaj się na lewo od tego pala - powiedział Antonio.

- Tak właśnie robię.

Minęli pal, który był po prostu suchą gałęzią. Była brunatna i przygięta wiatrem i Thomas Hudson pomyślał, że przy tak wiejącym wietrze mogą mieć znacznie mniejszą głębokość niż na płycznach.

- Jak tam nasze błoto? - zapytał Antonio.

- Cała masa, Tom.

- Widzisz coś, Gil?

- Tylko pale.

Woda zaczynała stawać się teraz mleczna od fal, które wezbrały pod wpływem wiatru, i niepodobna było dojrzeć dno czy brzegi, poza chwilami gdy statek przepływając odciągał z nich wodę.

“To niedobrze - pomyślał Thomas Hudson. - Ale jest niedobrze i dla nich. A muszą w tym halsować. To muszą być prawdziwi marynarze. Teraz powinienem rozstrzygnąć, czy wybrali stary kanał, czy nowy. To zależy od ich pilota. Jeżeli jest młody, prawdopodobnie wybrał nowy. To znaczy ten, który wydmuchał huragan. Jeżeli jest stary, zapewne wybrał ten dawny, z przyzwyczajenia i dlatego, że jest bezpieczniejszy.

- Antonio - powiedział. - Chcesz płynąć starym kanałem czy nowym?

- Obydwa są złe. Nie ma wielkiej różnicy.

- A co byś zrobił?

- Stanąłbym na kotwicy przy Contrabando i czekał na przypływ.

- Nie będzie dostatecznego przypływu, żebyśmy dali radę przy świetle dziennym.

- To właśnie jest problem. Pytałeś mnie tylko, co bym zrobił.

- Będę próbował tego draństwa.

- To twój statek, Tom. Ale jak my ich nie złapiemy, zrobi to ktoś inny.

- Ale dlaczego Cayo Frances nie patroluje tu wszędzie z powietrza przez cały czas?

- Wysłali patrol dziś rano. Nie widziałeś go?

- Nie. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Myślałem, żeś go widział. Jeden z tych malutkich hydroplanów.

- Psiakrew - powiedział Thomas Hudson. - To musiało być wtedy, jak byłem na dziobie, a generator pracował.

- Ano, teraz już wszystko jedno - rzekł Antonio. - Ale, Tom, nie ma dwóch następnych pali.

- Widzisz dwa następne pale, Gil?

- Nie widzę żadnych.

- Niech to diabli - powiedział Thomas Hudson. - Muszę tylko trzymać się przy tej następnej zafajdanej małej wysepce i z daleka od tego piaszczystego języka, który biegnie na północ i południe od niej. Następnie spenetrujemy tę większą wysepkę z mangrowcami, a potem spróbujemy starego albo nowego kanału.

- Ten wschodni wiatr wydmuchuje całą wodę.

- Do diabła ze wschodnim wiatrem - rzekł Thomas Hudson. Kiedy wypowiedział te słowa, zabrzmiały jak istotniejsze i starsze bluźnierstwo niż wszystkie te, które mogły się wiązać z religią chrześcijańską. Wiedział, że przemawia przeciw jednemu z wielkich przyjaciół wszystkich ludzi wypływających na morze. Ponieważ jednak wyrzekł to bluźnierstwo, nie przeproszał za to. Powtórzył je.

- Nie myślisz tak naprawdę, Tom - powiedział Antonio.

- Wiem o tym - odparł Thomas Hudson. A potem powiedział do siebie, czyniąc akt skruchy, choć niedokładnie pamiętał ów wiersz: "Wiej, wiej, zachodni wietrze, aby deszcz mały mógł spaść. Chryste, mieć moją miłość w ramionach i znowu w łóżko się kłaść". To ten sam cholerny wiatr, tylko pod inną szerokością geograficzną - pomyślał. - One pochodzą z odmiennych kontynentów. Ale obydwaj są lojalne, przyjazne i dobre." Potem powtórzył do siebie znowu: "Chryste, mieć moją miłość w ramionach i znowu w łóżko się kłaść."

Woda była teraz tak błotnista, że mógł sterować tylko na wycucie odległości i według zasysania wody z brzegów przez statek. George stał na dziobie z sondą. Ara zaś miał długi drąg. Mierzyli głębokość i podawali ją sternikowi.

Thomas Hudson doznał wrażenia, że to już się przedtem zdarzyło w złym śnie. Przepłynęli wiele trudnych kanałów. Ale to było coś innego, co wydarzyło mu się kiedyś w życiu. Może działo się przez całe jego życie. Ale teraz następowało z tak wzmożoną siłą, że czuł się jednocześnie panem i więźniem tego.

- Możesz coś dojrzeć, Gil? - zapytał.

- Nic.

- Chcesz, żeby Willie tu przyszedł?

- Nie. Widzę to samo, co widziałby Willie.

- Uważam, że w każdym razie powinien tu być.

- Jak sobie życzysz, Tom.

W dziesięć minut potem siedli na mieliźnie.

XV

Utknęli na połaci błota i piaszczystego dna, która powinna była być oznaczona palem. Odpływ trwał ciągle. Wiatr dął silnie i woda była błotnista. Przed sobą mieli zieloną wysepkę średniej wielkości, która wydawała się jakby nisko osadzona w wodzie, po lewej zaś rozrzucone bardzo małe wysepki. Na lewo i prawo były skrawki nagiego brzegu, które zaczynały się odsłaniać, gdy woda opadała. Thomas Hudson patrzył na stada ptaków krążące i siadające na brzegach, aby żerować.

Antonio spuścił dinghy i razem z Arą rzucili kotwicę dziobową oraz dwie lekkie kotwice rufowe.

- Myślisz, że nam potrzeba jeszcze jednej kotwicy dziobowej? - zapytał Antonia Thomas Hudson.

- Nie, Tom. Nie sędzę.

- Jeżeli wiatr zacznie wiać silniej, może nas zepchnąć pod przyływ, kiedy nadejdzie.

- Nie przypuszczam. Ale to możliwe.

- Rzućmy małą od nawietrznej, a tę dużą przenieśmy dalej na zawietrzną. Wtedy nie będziemy musieli o nic się martwić.

- Zgoda - powiedział Antonio. - Wolę to zrobić niż znowu sięść w jakimś niedobrym miejscu.

- Tak - powiedział Thomas Hudson. - Już przedtem omówiliśmy to wszystko.

- Jednak dobrze jest rzucić kotwicę.

- Właśnie. Prosiłem cię tylko, żeby rzucić jeszcze jedną małą i przynieść tę dużą.

- Tak jest - powiedział Antonio.

- Ara lubi podnosić kotwice.

- Nikt nie lubi podnosić kotwic.

- Ara.

Antonio uśmiechnął się i powiedział:

- Może. W każdym razie zgadzam się z tobą.

- Zawsze zgadzamy się z sobą wcześniej czy później.

- Tylko nie powinniśmy robić tego za późno.

Thomas Hudson obserwował manewr, a potem popatrzał przed siebie na zieloną wysepkę, która teraz, gdy woda opadła, była ciemna u korzeni mangrowców. "Oni mogą być na zatoczce po południowej stronie tej wyspy - pomyślał. - Wiatr będzie wiał do drugiej czy trzeciej nad ranem i mogą spróbować się wyrwać i popłynąć jednym czy drugim kanałem za dnia, kiedy zacznie się przyływ. A potem mogą wejść na tę dużą jak jezioro zatokę, gdzie już nie będzie żadnych kłopotów przez całą noc. Mają światła i dobry kanał po drugiej stronie, którym się mogą wydostać. Wszystko zależy od wiatru."

Odkąd wjechali na mieliznę, doznał w jakiś sposób ulgi. Kiedy statek siadł, odczuł ten ciężki wstrząs, tak jakby uderzano jego samego. W chwili uderzenia wiedział, że dno nie jest skaliste. Wyczuł to w dłoniach i przez podeszwy stóp. Ale utknięcie statku było dla niego jak osobista rana. A później przyszło to uczucie ulgi, które rana przynosi. Nadal miał wrażenie, że to zły sen i że zdarzyło się to już przedtem. Ale nie zdarzyło się w taki sposób i

teraz, gdy siedli na mieliźnie, miał to chwilowe uczucie ulgi. Wiedział, że jest tylko chwilowe, ale dzięki niemu mógł się odprężyć.

Ara wszedł na pomost i powiedział:

- Tu jest dobry grunt kotwiczny, Tom. Mamy je dobrze zamocowane, z linką pomocniczą przy tej dużej. Jak podniesiemy dużą, możemy prędko wypłynąć. Do obu kotwic rufowych przywiązaliśmy linki pomocnicze.

- Widziałem. Dziękuję ci.

- Nie martw się, Tom. Dranie mogą być zaraz za tamtą drugą wysepką.

- Nie martwię się. Idzie mi tylko o zwłokę.

- To nie to samo co rozbić samochód czy stracić statek. Po prostu siedzimy na mieliźnie i czekamy na przyływ.

- Wiem.

- Obydwa koła są w porządku. Tyle że statek tkwi po dupę w błocie.

- Wiem. Sam go w nie wsadziłem.

- Zejdzie równie łatwo, jak wszedł.

- Pewnie, że tak.

- Tom, czy ty się czymś martwisz?

- A czym miałbym się martwić?

- Niczym. Tylko martwiłem się, czy się nie martwisz.

- Do licha ze zmartwieniami - powiedział Thomas Hudson. - Zejdź na dół z Gilem. Dopilnuj, żeby się wszyscy dobrze najedli i byli weseli. Później odpłyniemy i sprawdzimy tę wysepkę. Nie ma nic więcej do zrobienia.

- Mogę zaraz popłynąć z Willem. Nie musimy jeść.

- Nie. Ja później popłynę z Willem i Petersem.

- Nie ze mną?

- Nie. Peters mówi po niemiecku. Nie mów mu, że ma popłynąć. Tylko go obudź i dopilnuj, żeby wypił dużo kawy.

- Dlaczego nie mogę też się zabrać?

- Dinghy jest za mała.

Gil zostawił mu dużą lornetkę i zszedł na dół z Arą. Thomas Hudson starannie zbadał wysepkę przez dużą lornetkę i stwierdził, że mangrowce są za wysokie, aby mógł wypatrzeć, co jest wewnątrz. Na stałej części wysepki były też inne drzewa przemieszane z mangrowcami, co jeszcze bardziej zwiększało wysokość, tak że żadną miarą nie mógł dojrzeć, czy nie widać jakiegoś masztu w osłoniętym miejscu o kształcie podkowy po

przeciwnie stronie. Od dużej lornetki rozbolały go oczy, więc schował ją do futerału, zaczepił pasek na haku, a futerał z lornetką położył płasko na stojaku do granatów.

Cieszył się, że jest znowu sam na pomoście nawigacyjnym, i odprężył się na ten krótki czas zwłoki. Przyglądał się ptakom nadbrzeżnym łączącym po mieliznach i przypominał sobie, co dla niego znaczyły, kiedy był małym chłopcem. Teraz już nie mógł odnosić się od nich tak samo i nigdy nie miał ochoty ich zabijać. Ale pamiętał, jak za dawnych czasów zasiadał z ojcem w kryjówce na jakimś piaszczystym przesmyku, rozstawiwszy blaszane bałwanki, jak ptaki się zlatywały, kiedy odpływ odsłaniał mielizny, i jak zwabiał stado świstaniem, kiedy krążyło. Było to smętne świstanie i zaświstał teraz, i ściągnął jedno stado. Ale skręciło w bok od nieuruchomionego statku i odleciało daleko na żer.

Znowu omiół horyzont dużą lornetką, ale nie było śladu jakiegokolwiek łodzi. “Może się przedostali przez nowy kanał na to wewnętrzne przejście - pomyślał. - Byłoby ładnie, gdyby ktoś inny ich złapał. Teraz nie możemy ich złapać bez walki. Nie poddadzą się jakiejś tam dinghy.”

Tak długo rozmyślał ich głową, że był tym zmęczony. “Wreszcie jestem naprawdę zmęczony - pomyślał. - Ano, wiem, co mam robić, więc to jest proste. Obowiązek to wspinała rzecz. Nie mam pojęcia, co bym robił bez obowiązków, od czasu kiedy młody Tom zginął. Mógłbyś malować - powiedział do siebie. - Albo zrobić coś pożytecznego. Możliwe - pomyślał. - Obowiązek jest prostszy.

To też jest pożyteczne - myślał. - Nie myśl o tym niechętnie. Pomaga ci załatwić tę sprawę. To wszystko, do czego dążymy. Bóg wie, co jest poza tym. Ścigaliśmy tych typów zupełnie dobrze, więc teraz zrób sobie dziesięciminutową pauzę, a potem bierz się do swoich obowiązków. Gdzie tam, zupełnie dobrze - pomyślał. - Ścigaliśmy ich bardzo dobrze.”

- Nie chcesz jeść, Tom? - zawołał z dołu Ara.

- Nie jestem głodny, chłopcze - odpowiedział Thomas Hudson. - Chciałbym tę butelkę z zimną herbatą, co jest na lodzie.

Ara podał mu butelkę, a Thomas Hudson ją wziął i oparł się wygodnie w rogu pomostu nawigacyjnego. Popijał zimną herbatę z butelki i przypatrywał się największej wysepce, która była przed nimi. Teraz widać było wyraźnie korzenie mangrowców i wysepka wyglądała tak, jakby była na szczudłach. A potem zobaczył stado flamingów nadlatujące z lewej. Leciały nisko nad wodą, piękne w słonecznym świetle. Długie szyje miały skośnie opuszczone, a nieporadne nogi wyprostowane, i wydawały się nieruchome,

podczas gdy ich różowe i czarne skrzydła machały niosąc je ku błotnistemu brzegowi w przedzie po prawej. Thomas Hudson przyglądał im się i podziwiał zniżone, czarno-białe dzioby i tę różowość na tle nieba, która sprawiała, że osobliwa budowa poszczególnych ptaków była nieważna, choć każdy z nich budził w nim emocje. A potem, gdy nadleciały nad zieloną wysepkę, zobaczył, że wszystkie zboczyły ostro w prawo zamiast przelecieć nad nią.

- Ara! - zawołał.

Ara wyszedł na pokład i powiedział:

- Słucham.

- Weź trzy ninos z sześcioma magazynkami na sztukę i włóż je do łódki razem z tuzinem granatów i tą średnią apteczką. Przyślij mi, proszę, Willa.

Flamingi siadły na brzegu daleko po prawej i żerowały zawzięcie. Thomas Hudson przyglądał im się, gdy Willie powiedział:

- Popatrz na te cholerne flamingi.

- Złękły się czegoś przelatując nad wyspą. Jestem prawie pewny, że tam, w środku, jest ta łódź czy jakaś inna. Chcesz popłynąć ze mną, Willie?

- Ma się rozumieć.

- Skończyłeś jeść?

- Skazaniec spożył obfity posiłek.

- To pomóż Arze.

- Czy Ara płynie z nami?

- Zabieram Petersa, bo mówi po niemiecku.

- Nie można wziąć Ary zamiast niego? Nie mam ochoty być razem z Petersem w walce.

- Możliwe, że Peters zdoła obgadać to tak, że unikniemy walki. Posłuchaj, Willie. Chcę dostać jeńców i nie chcę, żeby ich pilot był zabity.

- Stawiasz masę warunków jak na to, że ich jest ośmiu czy nawet dziewięciu, a nas trzech. Kto, u diabła, może wiedzieć, że my wiemy o ich pilocie?

- My sami.

- Nie bądźmy tacy pieprzenie szlachetni.

- Pytałem cię, czy chcesz popłynąć.

- Płynę - odparł Willie. - Tylko ten Peters.

- Peters będzie się bił. Przyślij tu Antonia i Henry'ego, dobrze?

- Tom, myślisz, że oni tam są? - spytał Antonio.

- Jestem prawie pewny.

- Nie mógłbym popłynąć z tobą? - zapytał Henry.

- Nie. Zmieści się tylko trzech. Jakby nam się coś stało, spróbujcie przygwoździć łódź pięćdziesiątkami, gdyby się chciała wydostać za pierwszym przypływem. Później znajdziecie ją na tej długiej zatoce. Będzie uszkodzona. Prawdopodobnie nawet nie zdoła się wydostać. Weźcie jeńca, jeżeli wam się uda, płyńcie na Cayo Frances i zameldujcie się tam.

- Nie mógłbym popłynąć zamiast Petersa?

- Nie, Henry. Bardzo żałuję. Ale on mówi po niemiecku. Masz dobrą załogę - powiedział Thomas Hudson do Antonia. - Jeżeli nam wszystko dobrze pójdzie, zostawię na pokładzie Willa i Petersa z tym co tam znajdziemy, i przywiozę tu jeńca w dinghy.

- Nasz poprzedni jeniec nie utrzymał się zbyt długo.

- Postaram się przywieźć dobrego, silnego i zdrowego. Zejdź na dół i sprawdź, czy wszystko zabezpieczone. Chcę chwilę popatrzeć na te flamingi.

Stał na pomoście i przyglądał się flamingom. "To nie tylko ich kolor - myślał. - To nie tylko ta czerń na różowości. Ważne są ich rozmiary i to, że są brzydkie w szczegółach, a jednak perwersyjnie piękne. Muszą być bardzo starymi ptakami z najdawniejszych czasów."

Nie obserwował ich przez lornetkę, bo nie chciał teraz szczegółów. Chciał widzieć tę różaną masę na szarobrunatnej mieliźnie. Nadleciały też dwa inne stada i brzegi były teraz ubarwione tak, że nie ośmieliłby się tego namalować. "A może ośmieliłbym się namalować i namalowałbym - pomyślał. - Miło jest widzieć flamingi przed wyruszeniem w tę podróż. Lepiej nie dawać ludziom czasu na martwienie się czy rozmyślanie zbyt wiele."

Zszedł z pomostu i powiedział:

- Gil, wejdź na górę i nie spuszczaaj lornetki z wyspy. Henry, gdybyś usłyszał dużo hałasu i gdyby potem łódź żółwiowa wypłynęła z wyspy, odstrzel jej ten pieprzony dziób. Wszyscy niech wejdą na górę i wypatrują przez lornetki tych, co ocaleją, to będziecie mogli wyłapać ich jutro. Zatkajcie dinghy, jeżeli będzie przestrelona, i użyjcie jej. Łódź żółwiowa ma czółno i możecie je także zatkać i użyć, jeżeli go zanadto nie uszkodzimy.

Antonio zapytał:

- Masz jeszcze jakieś rozkazy?

- Tylko żebyście mieli dobry stolec i starali się prowadzić czyste życie. Wrócimy niedługo. No, chodźcie, wy dwaj panowie bękarty. Jedziemy.

- Babcia zawsze twierdziła, że nie jestem bękartem - powiedział Peters. - Mówiła, że jestem najładniejszym, najbardziej prawowitym dzieciaczkiem w całym okręgu.

- Moja mama też twierdziła, że nie jestem bękartem - powiedział Willie. - Gdzie mamy siadać, Tom?

- Najlepiej trzyma równowagę, jak siedzisz na dziobie. Ale mogę tam usiąść, jeżeli chcecie.

- Wsiadaj i steruj - powiedział Willie. - Teraz masz naprawdę dobry statek.

- Trzymam rękę na pulsie - powiedział Thomas Hudson. - Rozkręcam się. Prosimy na pokład, panie Peters.

- Miło mi być na pokładzie, panie admirale - odrzekł Peters.

- Szczęśliwych łowów - powiedział Henry.

- Żebyś zdechł! - zawołał Willie.

Motor zaskoczył i ruszyli ku zarysowi wysepki, która teraz wydawała im się osadzona niżej w wodzie, ponieważ byli na mniejszej wysokości.

- Podpłynę do burty i wskoczmy na pokład bez zapowiedzi.

Obaj mężczyźni, jeden pośrodku, a drugi na dziobie, kiwnęli głowami.

- Zawieście sobie to wasze żelastwo. Teraz mnie gównu obchodzi, czy je widać - powiedział Thomas Hudson.

- Nawet nie wiem, gdzie bym to schował - odparł Peters. - Czuję się jak jeden z mułów mojej babci.

- To bądź mułem. Cholernie dobry zwierzak.

- Tom, czy muszę pamiętać o wszystkich tych bzdetach co do pilota?

- Pamiętaj, ale postępuj mądrze.

- No - powiedział Peters. - Przynajmniej już nie mamy żadnych pieprzonych kłopotów.

- Teraz lepiej się przymknijmy - powiedział Thomas Hudson. - Wszyscy trzej wskoczmy na pokład jednocześnie i jeżeli będą na dole, powiesz im po szkopsku, żeby wyszli z podniesionymi rękami. Musimy przestać gadać, bo głosy słyhać z daleka lepiej niż warkot motoru.

- Co robimy, jeżeli nie wyjdą?

- Willie wrzuca granat.

- A co robimy, jeżeli są na pokładzie?

- Posiejemy po pokładzie, każdy po swoim odcinku. Ja po rufie. Peters po śródokręciu. Ty po dziobie.

- Czy wtedy mam rzucić granat?

- Jasne. Powinni być jacyś ranni, których będziemy mogli uratować. Dlatego zabrałem apteczkę.

- Myślałem, że to dla nas.

- Dla nas też. No, teraz ciszej. Wszystko jest dla was jasne?

- Jaśniejsze od gówna - powiedział Willie.

- Czy wydawano korki do tyłków? - zapytał Peters.

- Zrzucili je z samolotu dziś rano. Nie dostałeś swojego?

- Nie. Ale babcia zawsze mówiła, że trawię najwolniej ze wszystkich dzieci na całym Południu. Mają jedną z moich pieluszek w Instytucie Smithsonian Konfederacji.

- Przestań pieprzyć - powiedział Willie odchylając się w tył, żeby nie mówić za głośno. - Czy my to wszystko robimy przy dziennym świetle, Tom?

- Teraz.

- Marne są moje widoki - rzekł Willie. - Wpadłem w towarzystwo złodziei i drani.

- Zamknij się, Willie, i pokaż nam, jak się bijesz.

Willie kiwnął głową i popatrzał zdrowym okiem ku zielonej wysepce mangrowcowej, która stała wspięta na swych brunatno-czerwonych korzeniach.

Nim okrążyli cypel, powiedział jeszcze tylko jedno:

- Mają dobre ostrygi na tych korzeniach.

Thomas Hudson kiwnął głową.

XVI

Ujrzeni łódź żółwiową, gdy okrążyli cypel wysepki i przepłynęli kanałem, który oddzielał ją od drugiej małej wysepki. Łódź stała dziobem przy samym brzegu, z jej masztu zwisały pnącza, a pokład był przykryty świeżo naścinanymi gałęziami mangrowców.

Willie odchylił się w tył i mówiąc prawie prosto w ucho Petersa powiedział cichym głosem:

- Czółna nie ma. Podaj dalej.

Peters odchylił do tyłu pokrytą plamami, piegowatą twarz i powiedział:

- Nie ma czółna, Tom. Muszą być jacyś na lądzie.

- Wejdziemy na pokład i zatopimy ją - powiedział Thomas Hudson. - Ten sam plan. Podaj dalej.

Peters pochylił się naprzód i powiedział to Willowi do ucha, a ten zaczął potrząsać głową. Potem podniósł dłoń z palcami złożonymi w dobrze znane zero. "Zero jak dziurka w

tyłku” - pomyślał Thomas Hudson. Podpłynęli najszybciej, jak mogli z tym motorkiem wielkości młynka do kawy, i Thomas Hudson zręcznie zatrzymał dinghy przy burcie, bez zderzenia. Willie zarzucił chwytak na nadburcie, łodzi żółtawej, przyciągnął i wszyscy trzej wskoczyli na pokład prawie jednocześnie. Pod stopami mieli gałęzie mangrowców pachnące świeżo i zwiędłe, a Thomas Hudson zobaczył udrapowany w pnącza maszt, tak jakby znowu we śnie. Spostrzegł otwarty luk i też otwarty luk przedni, przykryty gałęziami. Na pokładzie nie było nikogo.

Thomas Hudson dał znak Willowi, żeby przeszedł na przód za ten luk, a sam krył drugi swym pistoletem maszynowym. Sprawdził, czy dźwigienka jest przesunięta na ogień ciągły. Pod bosymi stopami czuł twardą krągłość gałęzi, śliskość liści i ciepło drewnianego pokładu.

- Powiedz im, żeby wyszli z podniesionymi rękami - rzekł cicho do Petersa.

Peters przemówił chropawym, gardłowym językiem niemieckim. Nikt nie odpowiedział i nic się nie stało.

Thomas Hudson pomyślał: “Chłopczyk babci ma dobrą wymowę”, i rzekł:

- Powiedz, że dajemy im dziesięć sekund czasu na wyjście. Będziemy ich traktowali jak jeńców wojennych. A potem policz do dziesięciu.

Peters przemówił tak, że to brzmiało jak głos całej niemieckiej zguby. “Jego głos ma wspaniałą nośność” - pomyślał Thomas Hudson i szybko obrócił głowę, by sprawdzić, czy nie widać gdzie czółna. Ujrzał tylko brunatne korzenie i zieleń mangrowców.

- Licz do dziesięciu i wrzuc jeden do środka - powiedział. - Willie, uważaj na ten cholerny przedni luk.

- Zaslaniają go te pieprzone gałęzie.

- Wepchnij jeden rękami, kiedy Peters zacznie. Nie wrzucaj go.

Peters doliczył do dziesięciu i stojąc tam, wysoki, sprężysty niczym gracz w baseball przed rzuceniem piłki, trzymając pistolet maszynowy pod lewą pachą, wyciągnął zębami zawleczkę granatu, chwilę przytrzymał go dymiącego, jak gdyby go rozgrzewał, i cisnął spod ręki, ruchem wytrawnego zawodnika, w ciemność luku.

Thomas Hudson przypatrując mu się pomyślał: “Jest świetnym aktorem i nie sądzi, żeby tam na dole coś było.”

Thomas Hudson padł na pokład celując ze swego Thompsona w otwór luku. Granat Petersa eksplodował z ostrym trzaskiem i hukiem i Hudson zobaczył, że Wille rozchyła gałęzie, żeby wpuścić granat w przedni luk. A potem, w prawo od masztu, tam, gdzie zwiślały pnącza, ujrzał wylot lufy wysuwający się spomiędzy gałęzi na tym samym luku,

przy którym był Willie. Strzelił w to miejsce, ale z lufy dobyło się pięć szybkich błysków z terkotem przypominającym dziecinną grzechotkę. Potem granat Willa wybuchł z potężnym błyskiem i Thomas Hudson zobaczył Willa w spływniku, wyciągającego zawleczkę drugiego granatu, aby go wrzucić. Peters leżał na boku, z głową opartą o nadburcie. Krew ściekała mu z głowy w spływnik.

Willie rzucił granat i huk był inny, bo granat potoczył się dalej w głąb łodzi, zanim wybuchnął.

- Myślisz, że tam jest więcej tych dupolizów? - zawołał Willie.

- Wrzucę stąd jeszcze jeden - odparł Thomas Hudson.

Schylił się i pobiegł, aby wydostać się spod ostrzału z dużego luku, wyrwał zawleczkę granatu, który ścisnął w dłoni, szary, ciężki i masywny, i dopadłszy za luk wturlał granat do środka ku rufie. Rozległ się trzask, huk i dym ukazał się tam, gdzie wyleciały w górę kawałki pokładu.

Willie patrzył na Petersa i Tom podszedł, i także spojrzął na niego. Nie wyglądał nazbyt inaczej niż zwykle.

- Ano, straciliśmy naszego tłumacza - powiedział Willie. Jego zdrowe oko drgało, ale głos był ten sam.

- Łódź szybko osiada - rzekł Thomas Hudson.

- Już i tak siedziała na mieliźnie. Ale teraz przewróci się na bok.

- Mamy masę nie dokończonych roboty, Willie.

- I jesteśmy skwitowani. Jeden za jednego. Tyle że zatopiliśmy tę cholerną łódź.

- Lepiej wracaj na statek, psiakrew, i przyplłyn tu z Arą i Henrym. Powiedz Antoniowi, żeby go podprowadził na wysokość cypla, jak tylko zacnie się przyplływ.

- Najpierw muszę sprawdzić, co jest na dole.

- Ja sprawdzę.

- Nie - powiedział Willie. - To moje zajęcie.

- Jak się czujesz, chłopcze?

- Świetnie. Tylko mi przykro z powodu straty pana Petersa. Przyniosę jakąś szmatę albo coś, żeby mu przykryć twarz. Trzeba go rozprostować, z głową wyżej, teraz, kiedy łódź tak się przechyla.

- Co z tym Szkopem na dziobie?

- Marmolada.

Willie odpłynął po Arę i Henry'ego. Thomas Hudson leżał za osłoną, którą tworzyło wysokie nadburcie łodzi żółwiowej. Oparł się stopami o luk i wypatrywał czółna. Peters leżał stopami do dołu po drugiej stronie luku, a twarz miał przykrytą niemiecką marynarską koszulą roboczą. “Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że był taki wysoki” - pomyślał Thomas Hudson.

Obaj z Willem przeszukali łódź żółwiową, która była zdemolowana. Na pokładzie znajdował się tylko jeden Niemiec. Był to ten, co zastrzelił Petersa i najwyraźniej wziął go za oficera. Znaleźli jeszcze jeden pistolet maszynowy Schmeisser i blisko dwa tysiące sztuk amunicji w metalowej skrzynce, którą otwarto szczypcami czy przyrządem do otwierania puszek. Prawdopodobnie ludzie, którzy udali się na brzeg, byli uzbrojeni, bo na łodzi nie było innej broni. Sądząc po legarach i śladach pozostawionych na pokładzie, czółno musiało być ciężką łódką rybacką długości co najmniej szesnastu stóp. Mieli jeszcze sporo żywności. Były to głównie suszone ryby i twarda pieczona wieprzowina. Petersa zastrzelił ów ranny pozostawiony na pokładzie. Miał ciężką ranę uda, już prawie zagojoną, i drugą, też prawie zagojoną, w umięśnionej części lewego ramienia. Mieli dobre mapy wybrzeża i Indii Zachodnich, a także jeden karton Cameli bez znaczków, ostemplowany “Zaopatrzenie okrętowe”. Nie mieli kawy ani herbaty, ani żadnych alkoholi.

Teraz problemem było, co dalej zrobić. Gdzie są? Musieli widzieć lub słyszeć tę krótką walkę na łodzi żółwiowej i mogli wrócić, aby zabrać swoje zapasy. Mogli zobaczyć pojedynczego człowieka odpływającego samotnie w dinghy z motorkiem, a po strzałach i wybuchach granatów wywnioskować, że na pokładzie jest ze trzech ludzi zabitych albo unieszkodliwionych. Wróciliby po zapasy i wszystko inne, co mogło być ukryte, a później, po ciemku, popłynęliby na ląd. Swoje czółno mogliby zepchnąć ze wszystkiego, na czym by utknęło.

To czółno musi być solidne. Thomas Hudson nie miał radiooperatora i dlatego nie mógł podać opisu czółna, Toteż nikt by go nie szukał. Poza tym, gdyby zechcieli i mieli wolę spróbować tego, mogli zaatakować statek w nocy. To wydawało się bardzo mało prawdopodobne.

Thomas Hudson przemyślał to sobie najstaranniej, jak mógł. W końcu doszedł do wniosku, że pewnie wpłyną między mangrowce, wciągną czółno i ukryją je. “Jeżeli ruszymy za nimi, mogą z łatwością urządzić na nas zasadzkę. A potem popłyną na otwartą zatokę wewnętrzną, poprują dalej i będą próbowali minąć w nocy Cayo Frances. To jest łatwe. Mogą zabrać zapasy czy zagrabić je gdzieś i będą się dalej pchali na zachód i próbowali

dotrzeć do którejś z niemieckich ekspozytur dokoła Hawany, gdzie ich ukryją, a potem zabiorą. Z łatwością mogą dostać lepszą łódź.

Mogą ją zagarnąć. Albo ukraść. Muszę się zameldować na Cayo Frances, odwiedzić Petersa i otrzymać rozkazy. Kłopoty zaczną się dopiero w Hawanie. Na Cayo Frances dowodzi porucznik i tam nie będziemy mieli żadnych trudności, a oni odbiorą Petersa.

Mam dosyć lodu, żeby go tam dowieźć, a potem zatankuję i wezmę łódź w Caibarien.

Dostaniemy tych typków tak czy inaczej. Ale za cholere nie będę narażał Willa, Ary i Henry'ego na żadną maszynową masakrę w mangrowcach. Z tego, co widać na łodzi, tamtych jest w każdym razie ośmiu. Miałem dziś szansę przydybania ich ze spuszczonej portkami i spaskudziłem ją, bo byli za sprytni czy mieli za dużo szczęścia, a zawsze są sprawni.

Straciliśmy jednego człowieka, a był to nasz radiooperator. Ale zostawiliśmy im teraz tylko czółno. Jeżeli zobaczą to czółno, zniszczymy je, zablokujemy wyspę i dopadniemy ich na niej. Natomiast nie mam zamiaru wsadzać naszych głów w żadną taką pułapkę jak ośmiu przeciwko trzem. Jeżeli później dostanę w dupę, będzie to moja dupa. Tak czy owak, dostanę w dupę. Teraz, kiedy straciłem Petersa. Gdybym był stracił któregoś z nieregularnych, nikogo by to nie obchodziło. Oprócz mnie i statku.

Chciałbym, żeby chłopcy wrócili - myślał. - Nie chcę, żeby tamte dranie wylazły zobaczyć, co dzieje się na tej łodzi, i żeby sam jeden musiał toczyć bitwę przy bezimiennej wysepce. Ciekawe, co oni tam w ogóle robią? Może popłynęli po ostrygi. Willie coś wspomniał o ostrygach. A może po prostu nie chcieli być na tej łodzi żółtowej za dnia, gdyby nadleciał samolot i wypatrzył ją. Ale muszą już teraz znać godziny, w których te samoloty pracują. Psiakrew, chciałbym, żeby się pokazali i żeby z tym skończyć. Mam dobrą osłonę, a oni musieliby zbliżyć się na strzał, zanimby spróbowali wejść na pokład. Jak myślisz, dlaczego ten ranny nie otworzył do nas ognia, kiedyśmy przelazili przez burzę? Przecież musiał słyszeć motor. Może spał. Zresztą ten przyczepny motorek robi bardzo mało hałasu.

Za dużo jest "dlaczego" w tym interesie - pomyślał - i wcale nie jestem pewien, czy obmyśliłem to prawidłowo. Może nie powinienem był atakować łodzi. Ale chyba musiałem to zrobić. Zatopiliśmy łódź, straciliśmy Petersa i zabiliśmy jednego człowieka. To nie jest za świetnie, ale zawsze coś."

Usłyszał terkot motoru i obrócił głowę. Zobaczył dinghy płynącą dokoła cypla, ale widział w niej tylko jednego człowieka. Był to Ara na rufie. Jednakże zauważył, że łódka jest głęboko zanurzona, i uświadomił sobie, że Willie i Henry muszą leżeć płasko. "Willie

jest naprawdę sprytny - pomyślał. - Teraz tamci na wysepce sądzą, że w dinghy jest tylko jeden człowiek, a zobaczą, że to nie ten, który ją odprowadzał. Nie wiem, czy to jest sprytnie, czy nie. Ale Willie musiał to sobie przemyśleć.”

Dinghy podpłynęła do łodzi żółwiowej i Thomas Hudson zobaczył potężny tors, długie ramiona i smagłą twarz Ary, która była teraz poważna, i spostrzegł nerwowe drganie jego nóg. Henry i Willie leżeli płasko, z głowami na przedramionach.

Kiedy dinghy dopłynęła do łodzi żółwiowej, która była przechylona w stronę przeciwną od wysepki, Ara uchwycił się relingu, a Willie przekręcił się na bok i powiedział:

- Włóż na pokład, Henry, i podczołgaj się do Toma. Ara poda ci twoje żelastwo. Masz także żelastwo Petersa.

Henry wpłynął ostrożnie na brzuchu na pochyły pokład. Rzucił okiem na Petersa przeczołgując się obok niego.

- Cześć, Tom - powiedział.

Thomas Hudson położył mu dłoń na ramieniu i rzekł cicho:

- Doleż na dziób i połów się całkiem płasko. Uważaj, żeby nic nie było widać nad nadburciem.

- Dobrze, Tom - powiedział masywny mężczyzna i zaczął pełznąć powoli na dziób. Musiał przeczołgać się przez nogi Petersa i zabrał jego pistolet maszynowy i magazynki, które pozatykał sobie za pas. Obmacał kieszenie Petersa szukając granatów i zawiesił je u pasa. Poklepał Petersa po nogach i trzymając obydwa pistolety za lufy popłynął do swego posterunku na dziobie.

Thomas Hudson widział, że zajrzał w rozwalony luk czolgając się spadzistym pokładem po połamanych gałęziach mangrowców. Jego twarz niczym nie zdradziła, co tam zobaczył. Kiedy się znalazł przy nadburciu, ułożył oba pistolety maszynowe przy swojej prawej ręce, po czym sprawdził, czy broń Petersa działa, i założył świeży magazynek. Pozostałe magazynki porozkładał wzdłuż nadburcia, odpiął od pasa granaty i ułożył je w zasięgu ręki. Kiedy Thomas Hudson zobaczył, że już się ulokował i spogląda na zieleń wysepki, obrócił głowę i przemówił do Willa, który leżał na dnie dinghy zamknawszy swe zdrowe i chore oko, bo słońce go raziło. Miał na sobie spłowiałą koszulę khaki z rękawami, postrzępione szorty i tenisówki. Ara siedział na rufie i Thomas Hudson widział strzechę jego czarnych włosów i to, jak jego wielkie dłonie zaciskały się na nadburciu. Nogi podrygiwały mu nadal, ale Thomas Hudson od dawna wiedział, jaki jest zawsze nerwowy przed akcją, a jaki wspaniały, gdy coś się już zacznie.

- Willie - powiedział Thomas Hudson. - Masz coś obmyślonego?

Willie otworzył zdrowe oko, a chore trzymał zamknięte w słońcu.

- Proszę o pozwolenie udania się na drugą stronę wyspy, żeby zobaczyć, co tam jest za cholera. Nie możemy dać im stąd drapnąć.

- Popłynę z tobą.

- Nie, Tom. Ja się znam na tym świństwie i to jest moje rzemiosło.

- Nie chcę, żebyś płynął sam.

- To jedyny sposób. Zaufaj mi, Tommy. Ara tu wróci i wesprze cię w tej zagrywce, jeżeli ich spłoszę. Może przy płynąć i zabrać mnie z plaży, jeżeli nie będzie żadnej draki.

Miał oczy otwarte i wpatrywał się usilnie w Thomasa Hudsona, jak człowiek, który stara się sprzedać jakieś urządzenie komuś, kto naprawdę powinien je mieć, jeżeli może sobie na to pozwolić.

- Wolałbym popłynąć z tobą.

- Za dużo pieprzonego hałasu, Tom. Naprawdę mówię ci, że dobrze się znam na tym świństwie. Jestem pieprzony ekspert. Nigdzie nie znajdziesz takiego jak ja.

- Okej. To płyn - powiedział Thomas Hudson. - Ale rozwał im czółno.

- A ty myślisz, cholera, że co zrobię? Popłynę tam i dam dęba?

- Jeżeli masz płynąć, to płyn.

- Tom. Masz zastawione dwie pułapki. Na statku i tutaj. Ara zapewnia ci swobodę ruchów. Masz do stracenia jednego zużywalnego, posiadającego zwolnienie lekarskie żołnierza piechoty morskiej. Co cię powstrzymuje?

- Za dużo gadasz - powiedział Thomas Hudson. - Zabieraj się stąd do cholery i niech ci gównem błogosławi.

- Niech cię szlag trafi - odparł Willie.

- Wygląda na to, że jesteś w dobrej formie - powiedział Thomas Hudson i szybko wytłumaczył Arze po hiszpańsku, co mają robić.

- Nie wysilaj się - rzekł Willie. - Mogę do niego gadać leżąc.

Ara powiedział:

- Zaraz wrócę, Tom.

Thomas Hudson patrzył, jak szarpnięciem uruchamiał motor i jak dinghy odpływała, z szerokimi barami i czarną głową Ary na rufie, i Willem leżącym na dnie. Willie przekreślił się tak, że głowę miał przy stopach Ary i mógł z nim rozmawiać.

“Zacny, dzielny, bezczelny drań - myślał Thomas Hudson. - Stary Willie. Powziął za mnie decyzję, kiedy zaczynałem zwlekać. Wolałbym mieć dobrego żołnierza piechoty morskiej, nawet wykończonego, niż wszystko inne na świecie, kiedy przychodzi do

rozgrywki. A teraz zaczyna się dla nas rozgrywka. Powodzenia, panie Willie - pomyślał. - I niech cię szlag nie trafi.”

- Jak tam, Henry? - zapytał cicho.

- Świetnie, Tom. To było bardzo mężnie ze strony Willa, że popłynął, nie uważasz?

- Nawet nigdy nie słyszał tego słowa - odpowiedział Thomas Hudson. - Po prostu uważał to za swój obowiązek.

- Żałuję, że nie byliśmy przyjaciółmi.

- Wszyscy są przyjaciółmi, kiedy jest naprawdę źle.

- Od tej pory zaprzyjaźnię się z nim.

- Od tej pory wszyscy będziemy robili masę rzeczy - powiedział Thomas Hudson. - Chciałbym, żeby to “od tej pory” już się zaczęło.

XVIII

Leżeli na rozgrzanym pokładzie obserwując brzeg wyspy. Słońce piekło ich w plecy, ale wiatr chłodził. Plecy mieli prawie równie brązowe jak tamte indiańskie kobiety, które widzieli rano na wysepce. To wydawało się czymś tak dawnym jak całe jego życie - myślał Thomas Hudson. To i pełne morze, i długie przybrzeżne skały, i ciemne, bezdenne tropikalne morze za nimi były teraz tak odległe jak całe jego życie. “Mogliśmy wypłynąć na pełne morze z tą bryzą, dotrzeć do Cayo Frances i Peters odpowiedziałby na ich migacz, i wszyscy popijalibyśmy dzisiaj wieczorem zimne piwo. Nie myśl o tym, chłopie - pomyślał. - Tak musiałeś zrobić.”

- Jak tam, Henry? - zapytał.

- Świetnie, Tom - odrzekł Henry bardzo cicho. - Granat nie może wybuchnąć, jak się zanadto rozgrzeje na słońcu, prawda?

- Nigdy tego nie widziałem. Ale jego siła może się zwiększyć.

- Mam nadzieję, że Ara wziął trochę wody - powiedział Henry.

- Nie pamiętasz, czy ją zabierali do łódki?

- Nie, Tom. Byłem zajęty swoim sprzętem i nie zauważyłem.

Poprzez wiatr dosłyszeli terkot motorka dinghy. Thomas Hudson ostrożnie obrócił głowę i zobaczył ją okrążającą cypel. Dinghy płynęła z zadartym dziobem, a Ara siedział na rufie. Z tej odległości widać było jego szerokie ramiona i czarną głowę. Thomas Hudson obrócił się znowu, aby popatrzeć na wysepkę, i zobaczył nocną czaplę, która wzbijała się spomiędzy drzew pośrodku i odleciała. Potem zobaczył dwa leśne ibisy, które poderwały

się, zatoczyły koło i odleciały z wiatrem ku małej wysepce trzepocząc szybko skrzydłami, potem szybując i znowu trzepocząc nimi szybko.

Henry też patrzył na nie i powiedział:

- Willie musiał zejść już dosyć daleko.

- Tak - odparł Thomas Hudson. - Zerwały się z tego wysokiego pasma pośrodku wyspy.

- To znaczy, że tam nie było nikogo innego.

- Nie, jeżeli spłoszył je Willie.

- Powinien być mniej więcej tam, jeżeli nie miał za ciężkiego przejścia.

- Leż teraz płasko, kiedy podpłynie Ara.

Ara podprowadził dinghy do przechylonej łodzi żółtawej i zarzucił kotewkę na nadburcie. Wdrapał się ostrożnie na pokład z lekkością niedźwiedzia. Miał butelkę z wodą i starą butelkę po dzinie pełną herbaty, zawieszoną u szyi na kawałku grubej żyłki wędkarskiej. Podczołgał się i położył obok Thomasa Hudsona.

- Dałbyś trochę tej cholernej wody? - zapytał Henry.

Ara złożył swój sprzęt obok Thomasa Hudsona, odwiązał z żyłki butelkę z wodą i podczołgał się ostrożnie po pochyłym pokładzie za obydwie luki do miejsca, gdzie ulokował się Henry.

- Napij się - powiedział. - Nie próbuj się w tym kąpać.

Klepnął Henry'ego po plecach i podpełznął z powrotem, aby ułożyć się obok Thomasa Hudsona.

- Tom - powiedział bardzo cicho. - Nie widzieliśmy nic. Wysadziłem Willa po drugiej stronie, prawie dokładnie naprzeciw nas, i wróciłem na statek. Wszedłem na pokład od przeciwnej strony. Wytlumaczyłem wszystko Antoniowi i zrozumiał dobrze. Potem nalałem benzyny do motorka, napełniłem zapasową bańkę i zabrałem mrożoną herbatę i wodę.

- Dobra - powiedział Thomas Hudson. Zsunął się trochę w dół po pokładzie i pociągnął długi łyk mrożonej herbaty z butelki.

- Bardzo ci dziękuję za tę herbatę.

- To Antonio o niej pomyślał. Zapomnieliśmy o niektórych rzeczach w tym pośpiechu na początku.

- Przesuń się ku rufie, tak żebyś mógł ją kryć ogniem.

- Dobrze, Tom - powiedział Ara.

Leżeli na słońcu i wietrze i każdy z nich obserwował wysepkę. Od czasu do czasu wlatywał jakiś ptak lub para ptaków i wiedzieli, że spłoszył je Willie albo tamci.

- Te ptaki muszą złościć Willa - rzekł Ara. - Nie pomyślał o tym, kiedy tam szedł.

- Równie dobrze mógłby wypuszczać balony - odrzekł Thomas Hudson.

Zastanawiał się i teraz obrócił się, aby popatrzeć przez ramię.

Nie podobało mu się to wcale. Za wiele ptaków podrywało się z wyspy. Jakie mieli teraz podstawy, aby przypuszczać, że oni tam są? Dlaczego w ogóle mieliby tam się udać? Leżąc na pokładzie doznał uczucia pustki w piersiach na myśl, że zarówno on, jak Willie zostali oszukani. "Może wcale nas tu nie wciągnęli. Ale to nie wygląda dobrze, że tyle ptaków się zrywa" - pomyślał. Jeszcze jedna para ibisów wzleciała niedaleko brzegu i Thomas Hudson obrócił się do Henry'ego i powiedział:

- Proszę cię, Henry, zejź do przedniego luku i obserwuj od lądu.

- Tam na dole jest bardzo paskudnie.

- Wiem.

- Dobrze, Tom.

- Zostaw granaty i magazynki. Weź tylko jeden granat do kieszeni i swojego nino.

Henry opuścił się do luku i zaczął wypatrywać w stronę wewnętrznych wysepek, które przesłaniały kanał. Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Ale zaciskał wargi, by nad nim panować.

- Bardzo mi przykro, Henry - powiedział do niego Thomas Hudson. - Tak musi być przez jakiś czas.

- Mnie to nie przeszkadza - odparł Henry. A potem wystudiowana surowość jego twarzy pękła i pojawił się na niej jego wspaniały, poczciwy uśmiech. - Tylko niezupełnie tak planowałbym sobie spędzenie lata.

- Ja też nie. Ale sprawy nie wyglądają w tej chwili zbyt prosto.

Z mangrowców poderwał się ptak bąk i Thomas Hudson usłyszał jego buczenie i patrzył, jak odlatywał nerwowo z wiatrem. A potem zaczął śledzić drogę Willa między mangrowcami według wzbijania się i odlatywania ptaków. Kiedy przestały się podrywać, był pewny, że Willie zawrócił. Ale po jakimś czasie zaczęły wzlatywać znowu i wiedział, że Willie posuwa się po nawietrznym łuku wysepki. Po trzech kwadransach zobaczył wielką białą czaplę, która zerwała się w panice i odleciała powoli pod wiatr machając ciężko skrzydłami, i powiedział do Ary:

- Zaraz się pokaże. Płyn do cypla i zabierz go.

- Widzę go - rzekł Ara po chwili. - Właśnie pomachał ręką. Leży zaraz za plażą.

- Popłyn po niego, ale każ mu położyć się w łódce.

Ara zsunął się do dinghy ze swoją bronią i kilkoma granatami w kieszeni. Usiadł na rufie i odbił od łodzi.

- Tom, rzuć mi butelkę z herbatą, dobrze?

Ara chwycił ją dla pewności oburącz zamiast jedną ręką, tak jakby to normalnie zrobił. Lubił łapać granaty jedną ręką i możliwie najtrudniejszym sposobem, tak samo jak lubił wginać zębami spłonki zapalające. Ale ta herbata była dla Willa, a doceniał to, co przeszedł Willie, chociaż nie dało rezultatów, więc ustawił ostrożnie butelkę pod rufą mając nadzieję, że jeszcze jest zimna.

- Co myślisz, Tom? - zapytał Henry.

- Jesteśmy ujajeni. Na razie.

Po chwili dinghy znalazła się przy burcie, a w niej leżał Willie trzymając oburącz butelkę z herbatą. Twarz i ręce miał podrapane i pokrwawione, choć obmył je morską wodą, a jeden rękaw koszuli oddarty. Twarz mu napuchła od ukąszeń moskitów, a na wszystkich osłoniętych miejscach ciała miał obrzęki po ugryzieniach.

- Nie ma tam ni cholery, Tom - powiedział. - W ogóle nie byli na tej wyspie. Nie okazaliśmy się zanadto sprytni, ty i ja.

- Nie.

- Co przypuszczasz?

- Zeszli na ląd, kiedy łódź siadła. Czy na dobre, czy tylko żeby zbadać kanały, tego nie wiem.

- Myślisz, że widzieli, jak wskakiwaliśmy na ich łódź?

- Mogli widzieć wszystko albo nic. Są trochę za nisko na wodzie, żeby widzieć.

- Mogli usłyszeć to z wiatrem.

- Powinni byli.

- Więc co teraz?

- Płyn na statek i przyślij Arę po mnie i po Henry'ego. Jeszcze mogą tu wrócić.

- A co z Petersem? Możemy go zabrać.

- Zabierzcie go teraz.

- Tommy, tyś się ulokował po złej stronie - powiedział Willie. - Pomyliliśmy się obaj, ale nie daję ci żadnych rad.

- Wiem o tym. Zejdę do tylnego luku, jak tylko Ara załaduje Petersa.

- Lepiej, żeby go załadował sam - rzekł Willie. - Mogą zobaczyć sylwetki. Ale bez lornetek nie dojrzą czegoś, co leży płasko na pokładzie.

Thomas Hudson wyjaśnił to Arze, a ten wdrapał się na pokład i dźwignął Petersa całkiem łatwo i obojętnie, tyle że związał mu płótno z tyłu głowy. Nie był ani delikatny, ani szorstki, i jedyną rzeczą, jaką powiedział, gdy go podnosił i zsuwał głową naprzód do dinghy, było:

- Bardzo zeszywniał.

- Dlatego właśnie nazywają ich sztywnymi - rzekł Willie. - Nigdy nie słyszałeś?

- Owszem - powiedział Ara. - My ich nazywamy fiambres, co znaczy zimne mięsa, jak w restauracji, gdzie można zamówić ryby albo zimne mięsa. Ale myślałem sobie o Petersie. Zawsze był taki giętki.

- Zaraz go odwiozę, Tom. Potrzeba ci czegoś?

- Szczęścia - odparł Thomas Hudson. - Dziękuję ci za rozpoznanie, Willie.

- A, zwykle gównu - powiedział Willie.

- Każ Gilowi, żeby ci posmarował te zadrapania.

- Pieprzę zadrapania - powiedział Willie. - Będę sobie ganiał jak człowiek z dżungli.

Thomas Hudson i Henry wyglądali z obu luków na nierówną, zygzakowaną linię wysepek leżących między nimi a podłużną zatoką, która tworzyła wewnętrzny kanał. Mówili normalnym głosem, bo wiedzieli, że tamci nie mogą być bliżej niż owe małe zielone wyspy.

- Ty obserwuj - powiedział Thomas Hudson - a ja wyrzucę za burtę tę ich amunicję i jeszcze raz rozejrzę się na dole.

Na dole znalazł kilka rzeczy, których przedtem nie zauważył, wydzwignął na pokład skrzynkę z amunicją i zepchnął ją za burtę. "Chyba powinienem był wyrzucić te wszystkie kartony - pomyślał. - Ale do diabła z tym." Wyniósł Schmeissera i stwierdził, że nie działa. Położył go obok swojej broni.

"Powiem Arze, żeby go rozmontował - pomyślał. - Przynajmniej wiemy, dlaczego nie wzięli go ze sobą. Myślisz, że zostawili tego rannego po prostu w charakterze komitetu recepcyjnego, a sami wywieli? Czy może ulokowali go wygodnie i wyruszyli na rozpoznanie? Jak myślisz, ile widzieli i co im jest wiadomo?"

- Nie uważasz, że mogliśmy zatrzymać tę amunicję jako dowód? - zapytał Henry.

- Wyszliśmy już poza stadium dowodów.

- Ale zawsze jest dobrze je mieć. Wiesz, jacy są tępi w ONI i pewnie ocenią całą sprawę jako wątpliwą. Możliwe, że nawet nie uznają jej za wątpliwą. Pamiętasz tę ostatnią historię, Tom?

- Tak, pamiętam.

- Wtedy tamci dopłynęli aż do ujścia Missisipi, a oni dalej w to wąpią.

- Zgadza się.

- Uważam, że mogliśmy zatrzymać tę amunicję.

- Henry - powiedział Thomas Hudson. - Proszę cię, nie przesadzaj. Zabici w masakrze są na tamtej wyspie. Mamy kule od Schmeissera wyjęte z nich i z tego zabitego Szkopa. Mamy drugiego Szkopa zakopanego, a miejsce zanotowane w dzienniku. Mamy tę zatopioną łódź żółwiową z zabitym Szkopem na dziobie. Mamy dwa Schmeissery. Jeden nie działa, a drugi jest rozwalony granatem.

- Przyjdzie huragan, zdmuchnie wszystko i powiedzą, że cała sprawa jest wąpliwa.

- W porządku - powiedział Thomas Hudson. - Przyjmijmy, że cała sprawa jest wąpliwa. A Peters?

- Może to któryś z nas go zastrzelił.

- No tak. Będziemy musieli przez to przejść.

Usłyszeli motor i zobaczyli Arę opływającego przylądek. "Ta dinghy ma tak zadarty dziób jak canoe" - pomyślał Thomas Hudson.

- Zbieraj swoje klamoty, Henry - powiedział. - Wracamy na statek.

- Chętnie zostanę tutaj, jeżeli chcesz.

- Nie. Chcę, żebyś był na statku.

Kiedy Ara podpłynął, Thomas Hudson zmienił decyzję.

- Zostań tu jeszcze trochę, Henry, to przyślę Arę po ciebie. Gdyby się pokazali, wrzuc im granat do czółna, jeżeli podpłyną. Zejdź do tylnego luku, gdzie masz dużo miejsca. I ruszaj głową.

- Dobrze, Tom. Dziękuję, żeś pozwolił mi zostać.

- Zostałbym sam, a ciebie odesłał. Ale muszę obgadać wszystko z Antoniem.

- Rozumiem. Czy kiedy podpłyną, nie powinienem do nich strzelić, nim rzucę granat?

- Jeżeli chcesz. Ale nie wytykaj głowy i rzuć granat z tego drugiego luku. I przytrzymaj go, ile możesz.

Leżał w lewym spływniku i podawał swoje rzeczy Arze. Potem opuścił się za burtę.

- Nie masz tam na dole za dużo wody? - zapytał Henry'ego.

- Nie, Tom. Jest całkiem w porządku.

- Nie dostań aby klaustrofobii i wypatruj dobrze. Jeżeli się pokażą, daj im dopłynąć, nim zaczniesz zabawę.

- Oczywiście, Tom.

- Wyobraź sobie, że jesteś w zasiadce na kaczkę.

- Nie muszę, Tom.

Thomas Hudson leżał płasko na deskach dinghy.

- Ara tu przyplynie, jak tylko będzie trzeba, żebyś wracał.

- Nie martw się, Tom. Mogę tu siedzieć całą noc, jeżeli sobie życzysz, tylko chciałbym, żeby Ara przywiózł mi coś do jedzenia i może trochę rumu, i jeszcze trochę wody.

- Wróci po ciebie i napijemy się rumu na pokładzie.

Ara szarpnął linkę motoru i skierowali się ku statkowi. Thomas Hudson czuł granaty przy nogach i ciężar nino na piersi. Objął go i przycisnął do siebie, a Ara roześmiał się, pochylił i powiedział:

- To jest niedobre życie dla dobrych dzieci.

XIX

Zebrali się już wszyscy na statku i w przedwieczornym wietrze było chłodniej. Flamingi odleciały z mielizny, choć jeszcze była odsłonięta. Mielizna szarzała w popołudniowym świetle i chodziło po niej stadko bekasów. Dalej była płytka woda, kanały niewidoczne z powodu błota, a w oddali wysepki.

Thomas Hudson stał oparty w rogu pomostu nawigacyjnego i rozmawiał z Antoniem.

- Nie będzie przyplwy przed jedenastą wieczorem - mówił Antonio. - Ten wiatr wypycha wodę z zatoki i mielizny i nie wiem, jaką będziemy mieli głębokość.

- Czy przyplwy zniesie statek, czy będziemy musieli go ściągać?

- Zniesie go. Ale nie ma księżycy.

- Właśnie. Dlatego są takie duże skoki.

- Księżyc jest dopiero od wczoraj wieczorem - powiedział Antonio. - Jest nów. Nie widzieliśmy go wczoraj przez ten szkwał.

- Tak jest.

- Posłałem George'a i Gila, żeby nacięli gałęzi do wytyczenia kanału, abyśmy mogli się przedostać. Zawsze możemy sondować z dinghy i zatykać gałęzie w odpowiednich punktach.

- Słuchaj. Kiedy woda zniesie statek, chciałbym podplnąć tak, żebym mógł nastawić reflektor i pięćdziesiątki na łódź żółwiową i posadzić kogoś na niej, żeby nam dał znać migaczem, jeżeli pojawią się w czółnie.

- To byłoby idealnie, Tom. Ale nie można się tam dostać po ciemku. Można by dopłynąć z reflektorem sondując z dinghy przed statkiem, podając głębokość i stawiając paliki. Tylko że wtedy nikt by się nie pokazał. Nigdy w życiu by się nie pokazali.

- Chyba tak. Pomyliłem się dziś dwa razy.

- Pomyliłeś się - powiedział Antonio. - Ale to był tylko przypadek. Jak ciągnięcie karty.

- Ważne jest, że się pomyliłem. A teraz powiedz mi, co myślisz.

- Myślę, że jeżeli się stąd nie wynieśli i jeżeli nie zrobimy nic, aby udawać, że nie siedzimy na mieliźnie, to dziś w nocy przypląną, żeby wtargnąć na statek. Wyglądamy po prostu na zwykły jacht wycieczkowy. Jestem pewien, że byli między wysepkami, kiedy to się stało. Muszą nas lekceważyć i chyba są pewni, że jesteśmy słabi, bo jeśli nas obserwowali, widzieli przez cały dzień tylko jednego człowieka w dinghy.

- Staraliśmy się tak to rozegrać.

- A jeżeli zobaczą, co jest na łodzi żółwiowej, to co wtedy?

- Poproś Willa, żeby tu przyszedł - powiedział do Antonia.

Zjawił się Willie, jeszcze opuchnięty po ukąszeniach moskitów. Ale zadrapania wyglądały już lepiej i miał na sobie tylko szorty koloru khaki.

- Jak się czujesz człowieku z dżungli?

- Świetnie, Tom. Ara przyłożył mi chloroform na ugryzienia i przestały swędzić. Te cholerne moskity mają ze ćwierć cala długości, a czarne są jak atrament.

- Wpieprzyliśmy się paskudnie, Willie.

- Psiakrew. Byliśmy zapieprzeni od początku.

- Co z Petersem?

- Zaszyliśmy go w płótno i obłożyli lodem. Towar nie będzie najlepszy, ale kilka dni wytrzyma.

- Słuchaj, Willie. Mówiłem Antoniowi, że chciałbym dostać się tam, skąd można by nastawić reflektor i pięćdziesiątki na tę krypę. Ale on powiada, że nie możemy tam dopłynąć nie płosząc całego oceanu i że to na nic.

- Pewnie - odrzekł Willie. - Ma rację. To już trzy razy pomyliłeś się dzisiaj. Prowadzę z tobą o jeden mniej.

- Myślisz, że przypląną i spróbują wtargnąć na statek?

- Cholernie w to wątpię - powiedział Willie.

- Ale mogą.

- Nie są wariaci. Ale mogą być na tyle desperatami, żeby popробować.

Obaj siedzieli na pomoście nawigacyjnym oparli się o podpory i brezent. Willie ocierał się o brezent tym miejscem na prawym ramieniu, które znowu zaczęło go swędzić.

- Mogą przyplłynąć - powiedział. - Już raz zrobili wariactwo, jak urządzili tę masakrę.

- Nie z ich punktu widzenia w tamtym momencie. Musisz pamiętać, że to było wtedy, gdy stracili swój okręt i byli zdecydowani na wszystko.

- Ano, dzisiaj stracili drugi okręt, a także i kolegę. Może lubili tego sukinsyna.

- Prawdopodobnie. Bo inaczej nie pozwoliliby, żeby zabierał miejsce.

- To był niezły gość - powiedział Willie. - Przeczekał całe to gadanie o poddaniu się i granat i dopiero zaczął zabawę. Widocznie myślał, że Peters jest kapitanem, bo zachowywał się tak władczo i tak szprechował po szkopsku.

- Chyba tak.

- Wiesz, te granaty wybuchły pod pokładem. Mogli ich w ogóle nie usłyszeć. Ile razy strzeliłeś, Tom?

- Nie więcej niż pięć.

- Tamten typ wystrzelił jedną serię.

- Czy to było bardzo głośne, Antonio?

- Nie było głośne - odrzekł Antonio. - Jesteśmy tu z wiatrem i na północ od łodzi, oddzieleni od niej wysepką. Wcale nie było głośno. Ale słyszałem wyraźnie.

- Oni mogli w ogóle nie usłyszeć - powiedział Thomas Hudson. - Ale musieli widzieć tę ganiającą dinghy i swoją łódź przewróconą na bok. Z pewnością będą myśleli, że to pułapka. Nie sądzę, żeby się do niej zbliżyli.

- Myślę, że to racja - zgodził się Willie.

- I nie przypuszczasz, żeby się pokazali?

- Ty i Bóg wiecie o tym akurat tyle samo co ja. Czy to nie ty jesteś tym, który stale myśli niemiecką głową?

- Jasne - odrzekł Thomas Hudson. - Czasem nieźle mi to idzie. Ale dzisiaj nie jestem taki bystry.

- Myślisz prawidłowo - powiedział Willie. - Po prostu miałeś złą passę.

- Moglibyśmy tam zastawić pułapkę.

- Ty tak samo jesteś w pułapce, jak ją zastawiasz - powiedział Willie.

- Popłynij na łódź i załóż na niej ładunki wybuchowe, póki jest widno.

- Teraz gadasz, jak trzeba - powiedział Willie. - To jest dawny Tom. Podłączę ładunki do obu luków, do tego zabitego Szkopa i do relingu od nawietrznej. Nareszcie obmyślasz jakieś wyjście.

- Użyj dużo materiału. Mamy go całą masę.

- Łódź będzie tak zaminowana, że sam Chrystus jej nie zechce.

- Wracają w dinghy - powiedział Antonio.

- Wezmę Arę i to, co potrzeba, i popłynę tam - rzekł Willie.

- Aby nie wysadź się w powietrze.

- Nie rozmyślaj za dużo - powiedział Willie. - Odpocznij sobie trochę, Tom. Całą noc będziesz na nogach.

- Ty też.

- Gdzie tam, psiakrew. Mogą mnie zbudzić, jak będę ci potrzebny.

- Obejmę wachtę - powiedział Thomas Hudson do Antonia. - Kiedy zaczyna się przypływ?

- Już się zaczął, tylko że walczy z prądem, który ten silny zachodni wiatr wydmuchuje z zatoki.

- Postaw Gila przy pięćdziesiątkach i daj George'owi odsapnąć. Powiedz wszystkim, żeby wypoczęli przed nocą.

- Dlaczego się czegoś nie napijesz, Tom?

- Nie mam ochoty. Co im dziś dajesz do jedzenia?

- Duży kawał tego wahu ugotowanego z sosem hiszpańskim, czarną fasolę i ryż.

Owoców w puszkach już nie ma.

- Były jakieś na tej liście w Confites.

- Tak, ale skreślone.

- Masz suszone owoce?

- Morele.

- Namocz ich dzisiaj trochę i daj im na śniadanie.

- Henry nie będzie ich jadł na śniadanie.

- To daj mu je na pierwszy posiłek, który chętnie zjada. Dużo masz zupy?

- Dużo.

- Co z lodem?

- Mamy go aż nadto na tydzień, jeżeli nie zużyjemy za dużo na Petersa. Dlaczego nie pochowasz go w morzu, Tom?

- Może tak zrobię - powiedział Thomas Hudson. - Zawsze mówił, że to by mu się podobało.

- Mówił tyle rzeczy.

- Aha.

- Tom, czemu się nie napijesz?

- No dobrze - powiedział Thomas Hudson. - Zostało jeszcze trochę dżinu?

- Twoja butelka jest w szafce.

- Masz orzechy kokosowe?

- Mam.

- Zrób mi dżin z sokiem kokosowym i odrobiną limonowego. Jeżeli mamy limony.

- Mamy ich całą masę. Peters miał gdzieś schowaną whisky, jeżeli mi się uda ją znaleźć. Nie wołałbyś jej?

- Nie. Odszukaj ją i trzymaj pod kluczem. Może nam być potrzebna.

- Zrobię ci drinka i podam na górę.

- Dziękuję ci. Może nam się poszczęści i przyplyną dziś w nocy.

- Nie mogę w to uwierzyć. Jestem ze szkoły Willa. Ale możliwe.

- Wyglądamy strasznie nęcąco. A oni potrzebują jakiegoś statku.

- Tak, Tom. Ale nie są głupi. Nie mógłbyś myśleć ich głową, gdyby byli głupi.

- Okej. Zrób drinka. - Thomas Hudson przepatrywał wysepki przez dużą lornetkę. - Spróbuję jeszcze trochę pomyśleć ich głową.

Jednakże nie szczęściło mu się w tym myśleniu. W ogóle nie myślał zbyt dobrze. Patrzył, jak dinghy z Arą na rufie i niewidocznym Willem okrążała cypel wysepki. Widział, że stadko bekasów zerwało się wreszcie, zakręciło i odleciało ku jednej z zewnętrznych wysepek. A potem został sam i popijał drinka, którego zrobił Antonio.

Myślał o tym, jak obiecał sobie, że nie będzie pił na tej wyprawie, nawet tego jednego zimnego wieczorem, ażeby nie myśleć o niczym poza swoją robotą. Myślał o tym, jak zamierzał pędzać siebie tak, żeby zasypiał kompletnie wyczerpany. Ale nie usprawiedliwiał się za tego drinka ani za złamanie obietnicy.

“Pędzałem siebie - myślał. - To robiłem na pewno. Teraz mogę wypić tego drinka i pomyśleć o czymś poza tamtymi. Jeżeli przyplyną dziś w nocy, będziemy mieli wszystko przygotowane. Jeżeli nie przyplyną, ruszę za nimi jutro rano z przyplływem.”

Pociągał więc trunek, który był zimny i czysty w smaku, i przyglądał się przerywanej linii wysepek na wprost i w stronie zachodniej. Trunek zawsze odmykał mu pamięć, którą trzymał tak starannie zamkniętą, i wysepki przypomniały mu czasy, kiedy łowili z łodzi

tarpony, gdy młody Tom był jeszcze małym chłopcem. Były to inne wysepki, a kanały szersze.

Nie było tam flamingów, natomiast wszystkie inne ptaki prawie te same, z wyjątkiem stad dużych złotych siewek. Pamiętał te pory roku, gdy siewki były szare, oraz inne, kiedy ich czarne piórka miały złoty odcień, i pamiętał, jaki dumny był mały Tom z pierwszej, którą przyniósł do domu, kiedy dostał jednolufową dwudziestkę. Pamiętał, jak Tom głaskał pulchną białą pierś ptaka i dotykał ślicznych czarnych plamek, i jak zastał tej nocy chłopca śpiącego w łóżku z ptakiem w objęciach. Wyjął ptaka bardzo ostrożnie, mając nadzieję, że nie zbudzi chłopca. Chłopiec się nie obudził. Jego ramiona zacisnęły się tylko mocniej i przekręcił się na wznak.

Kiedy zabrał złotą siewkę do pokoju na tyłach, gdzie była lodówka, miał uczucie, że zrabował ją chłopcu. Ale wygładził starannie jej piórka i położył ją na kratkowej półce lodówki. Następnego dnia namalował młodemu Tomowi złotą siewkę i chłopiec zabrał ze sobą ten obrazek, kiedy owego roku odjeżdżał do szkoły. Thomas Hudson próbował oddać na obrazku szybkie, rozbiegane ruchy ptaka, a tłem była długa plaża z palmami kokosowymi.

Potem przypomniał sobie, jak kiedyś byli w obozie turystycznym. Obudził się wcześniej, a Tom jeszcze spał. Leżał na wznak ze skrzyżowanymi rękami i wyglądał jak rzeźba młodego rycerza na sarkofagu. Thomas Hudson naszkicował go tak na podstawie grobowca, który zapamiętał z katedry w Salisbury. Miał zamiar później to namalować, ale nie zrobił tego, bo uważał, że może przynieść nieszczęście. "I dużo to dało" - pomyślał.

Spojrzał na słońce, które już się zniżyło, i zobaczył Toma wysoko w słońcu, lecącego Spitfire'em. Samolot był bardzo wysoko i bardzo mały i błyszczał jak kawałek stłuczonego lusterka. "On lubił być tam w górze - powiedział do siebie. - I dobra jest ta twoja reguła co do niepicia."

Ale w owiniętej papierem szklance została jeszcze przeszło połowa i był w niej jeszcze lód.

"Dzięki uprzejmości Petersa" - pomyślał. A potem wspomniał, jak za dawnych czasów mieszkali na wyspie i jak Tom wyczytał w szkole o epoce lodowej i bał się, że przyjdzie znowu.

"Papo - powiedział wtedy. - To jest moje jedyne zmartwienie."

"Tutaj nie sięgnie" - odpowiedział Thomas Hudson.

"Wiem. Ale nie mogę znieść myśli, co to zrobi wszystkim tym ludziom w Minnesocie, Wisconsinie i Michiganie. A nawet w Illinois i Indianie."

“Naprawdę nie uważam, żebyśmy musieli się tym martwić - powiedział Thomas Hudson. - To będzie strasznie powolny proces, jeżeli przyjdzie.”

“Wiem - powiedział młody Tom. - Ale to jest jedyna rzecz, którą naprawdę się martwię. To i wytępienie gołębia wędrownego.”

“Ten Tom” - pomyślał, wstawił szklanekę do jednego z pustych gniazdek na granaty i przepatrzył uważnie wysepki przez lornetkę. Nie dojrzał niczego, co mogłoby być płynącym czółnem, i odłożył lornetkę.

“Najlepszym okresem, jaki mieliśmy - myślał - był ten na wyspie i na zachodzie. Oczywiście z wyjątkiem Europy, ale jeżeli o tym pomyślę, zacznę myśleć i o dziewczynie, i będzie jeszcze gorzej. Ciekawe, gdzie ona teraz jest. Pewnie śpi z jakimś generałem. Ano, mam nadzieję, że znalazła sobie dobrego.

Wyglądała świetnie i bardzo pięknie, kiedy ją widziałem w Hawanie. Mógłbym o niej myśleć całą noc. Ale nie będę. Już i tak dość sobie pozwalam rozmyślając o Tomie. Nie robiłbym tego, gdybym nie wypił. Ale cieszę się, że wypilem. Jest pora na łamanie wszystkich naszych reguł. Może nie wszystkich. Pomyślę o nim trochę, a potem opracuję sobie nasz mały problem na dzisiejszą noc, kiedy wrócą Willie i Ara. Oni są wspaniałym zespołem. Willie nauczył się tego swojego okropnego hiszpańskiego na Filipinach, ale rozumieją się nawzajem doskonale. Trochę i dlatego, że Ara jest Baskiem i też źle mówi po hiszpańsku. Chryste, nie chciałbym wejść na tę łódź, kiedy Willie i Ara ją zaminują.

No, dopij swojego drinka i pomyśl o czymś dobrym. Tom nie żyje i możesz o nim myśleć. Nigdy się z tego nie otrząsniesz. Ale teraz już okrzepleś. Wspomnij jakieś dobre, szczęśliwe chwile. Miałeś ich masę.

Które były najszczęśliwsze? - zastanowił się. - Właściwie wszystkie były szczęśliwe w tych czasach niewinności i braku bezużytecznych pieniędzy, gdy mimo to potrafiłeś pracować i jeść. Rower był przyjemniejszy niż samochód. Widziałeś wszystko lepiej i utrzymywałeś się w formie, i wracając do domu po przejażdżce w Bois, mogłeś dojechać przez Champs Elysees aż za Rond-Point, a kiedy się oglądałeś, żeby zobaczyć, co jest za tobą w tłumie pojazdów sunących dwoma potokami, wznosiła się tam strzelista szarość wielkiego Łuku na tle zmierzchu. Pewnie teraz kwitną tam kasztany.” Drzewa były czarne w zmierzchu, gdy pedałowal ku Place de la Concorde, a ich sterczące kwiaty były białe i woskowe. Zsiadał z roweru wyścigowego, aby go popchać wyźwirowaną ścieżką, powoli oglądać drzewa kasztanowe i czuć je nad sobą, kiedy popychał rower wyczuwając żwir pod cienkimi podeszwami butów. Kupił te używane buty wyścigowe od znajomego kelnera z

“Select”, który był niegdyś czempionem olimpijskim, a zapłacił za nie malując portret właściciela, tak jak właściciel sobie życzył być namalowany.

“Trochę w stylu Maneta, monsieur Hudson. Jeżeli pan może to zrobić.”

Nie był to taki Manet, który Manet by podpisał, ale wyglądał bardziej na Maneta niż na Hudsona i dokładnie tak jak właściciel. Thomas Hudson dostał za to pieniądze na buty rowerowe i jeszcze przez długi czas oboje mogli popijać na koszt zakładu. W końcu pewnego wieczora, kiedy zaproponował zapłatę za napitek, została przyjęta i Thomas Hudson wiedział, że spłacanie honorarium za portret się zakończyło.

W “Closerie des Lilas” był kelner, który ich lubił i zawsze dawał im dwa razy większe napoje, tak że dolewając wody potrzebowali tylko jednego na cały wieczór. Przenieśli się więc tam. Kładli Toma do łóżka i wieczorami przesiadywali razem w starej kawiarni, całkowicie szczęśliwi, że są ze sobą. Potem szli na spacer ciemnymi ulicami Montagne Sainte-Genievieve, gdzie stare domy nie były jeszcze rozebrane, i każdego wieczora starali się wracać jakąś inną drogą. Kładli się do łóżka i słyszeli oddech Toma leżącego w swoim łóżeczku i mruczenie dużego kota, który z nim sypiał.

Thomas Hudson pamiętał, jak ludzie się oburzali, że pozwalają, aby kot sypiał z małym chłopcem, i że go zostawiają samego, kiedy wychodzą. Ale Tom zawsze spał dobrze, a jeśli się budził, miał przy sobie kota, który był jego najlepszym przyjacielem. Kot nie dopuszczał nikogo do łóżka i obaj z Tomem kochali się ogromnie.

A teraz Tom... “Do licha z tym - powiedział do siebie. - To jest coś, co zdarza się każdemu. Powinienem już o tym wiedzieć. Tylko że to jest jedyna rzecz naprawdę ostateczna.

Skąd wiesz? - zapytał siebie. - Odejście może być ostateczne. Wyjście przez drzwi może być ostateczne. Każda forma prawdziwej zdrady może być ostateczna. Ostateczna może być nieuczciwość. Sprzedanie się jest ostateczne. Ale teraz tylko tak mówisz. Naprawdę ostateczna jest śmierć. Chciałbym, żeby Ara i Willie już wrócili. Muszą urządzać tę łódź niczym gabinet okropności. Nigdy nie lubiłem zabijać, nigdy. A Willie to uwielbia. Dziwny chłopak i bardzo dobry też. Po prostu nigdy nie jest przekonany, że nie można zrobić czegoś lepiej.”

Zobaczył nadpływającą dinghy. Potem usłyszał pomruk jej motoru i patrzył, jak staje się coraz wyraźniejsza i większa, aż wreszcie dobiła do burty.

Willie wszedł na pomost. Wyglądał gorzej niż kiedykolwiek, a w jego uszkodzonym oku błyskało za dużo białka. Wyprostował się, zasalutował sprężysto i powiedział:

- Proszę o pozwolenie zwrócenia się do kapitana.

- Czyś ty pijany?

- Nie, Tommy. Rozentuzjasmowany.

- Ale piłeś.

- Jasne, Tom. Zabraliśmy ze sobą trochę rumu do pracowania przy tym trupie. A potem, jak skończyliśmy, Ara nasikał do butelki i podłączył do niej ładunek. Tak że to jest dubeltowa pułapka.

- Zaminowaliście łożdź dobrze?

- Tommy, nawet mały, maciupieńki karzełek nie większy od ludzkiej dłoni nie mógłby na nią wleźć i nie wylecieć prosto do krainy karzełków. Karaluch nie popełniłby po niej. Ara bał się, że muchy na trupie wysadzą łożdź w powietrze. Zrobiliśmy na niej pułapki pięknie i delikatnie.

- Co robi Ara?

- Rozmontowuje i czyści wszystko w szale entuzjazmu.

- Ile wyście rumu wypili?

- Niecałe pół butelki. To był mój pomysł. Nie Ary.

- Dobra. Zejdź do niego, wyczyśćcie broń i sprawdźcie pięćdziesiątki.

- Nie można ich porządnie sprawdzić bez przestrelania.

- Wiem. Ale sprawdźcie je dokładnie bez tego. Wyrzućcie tę amunicję, co była pod zamkami.

- To zmyślane.

- Powiedz Henry'emu, żeby tu przyszedł i przyniósł mi małą szklankę tego samego i dla siebie także. Antonio wie, co to za drink.

- Cieszę się, że znowu trochę pijesz, Tom.

- Na miłość boską, nie ciesz się ani nie martw, czy piję, czy nie piję.

- Okej, Tom. Ale nie lubię widzieć, jak się zajeżdżasz niczym koń jadący na koniu. Dlaczego nie jesteś jak centaur?

- Gdzieś ty się dowiedział o centaurach?

- Czytałem w książce, Tommy. Ja jestem wykształcony. Jestem wykształcony znacznie ponad swój wiek.

- Jesteś porządny stary drań - powiedział mu Thomas Hudson. - A teraz zejdź na dół, psiakrew, i zrób, co ci mówiłem.

- Tak jest. Tommy, jak skończymy tę wycieczkę, pozwolisz mi kupić któryś z tych morskich obrazów, co są w knajpie?

- Nie zalewaj mi.

- Wcale tego nie robię. Może ty przez cały czas nie rozumiesz ni cholery.
- To możliwe. Może przez całe życie.
- Tommy, ja dużo żartuję. Ale goniłeś ich ładnie.
- Zobaczymy jutro. Powiedz Henry'emu, żeby sobie przyniósł drinka. Ale ja nie chcę.
- Nie, Tommy. Dziś mamy przed sobą tylko prostą walkę, a nie myślę, żeby do niej doszło.
- No dobrze - powiedział Thomas Hudson. - Przyślij go na górę. I złaż z tego pieprzonego pomostu, i bierz się do roboty.

XX

Henry podał oba drinki na górę i sam się wciągnął za nimi. Stanął obok Thomasa Hudsona i pochylił się w przód, aby popatrzeć na cień dalekich wysepek. Na pierwszej ćwierci nieba w stronie zachodniej był blady księżyc.

- Twoje zdrowie. Tom - powiedział Henry. - Nie spojrzałem na księżyc przez lewe ramię.
- To już nie nów. Nów był wczoraj wieczorem.
- Oczywiście. Nie widzieliśmy go przez ten szkwał.
- Tak jest. Jak tam na dole?
- Doskonale, Tom. Wszyscy pracują i są weseli.
- A Willie i Ara?
- Napili się trochę rumu i to ich bardzo rozweseliło. Ale teraz już nie piją.
- Nie. Nie powinni.
- Bardzo się na to cieszę - powiedział Henry. - Willie tak samo.
- Ja nie. Ale po to tutaj jesteśmy. Widzisz, Henry, potrzeba nam jeńców.
- Wiem.
- A ponieważ popełnili ten błąd z masakrą, nie chcą się dostać do niewoli.
- To chyba dość delikatne sformułowanie - powiedział Henry. - Przypuszczasz, że spróbują napaść na nas dziś w nocy?
- Nie, ale musimy być w pogotowiu na wszelki wypadek.
- Będziemy. Ale jak naprawdę myślisz, co oni zrobią?
- Nie mam pojęcia. Jeżeli są rzeczywiście zdecydowani na wszystko, to popróbują napaść na statek. Jeżeli został im radiooperator, mógłby naprawić nasze radio i wtedy mogliby przedostać się do Anguillas i po prostu wezwać taksówkę, i czekać, aż ich odwiezie

do domu. Mają wszelkie powody popróbować napaść na statek. Ktoś zawsze mógł gadać w Hawanie i może wiedzą, czym jesteście.

- A kto by gadał?

- Nigdy nie mówimy źle o umarłych - powiedział Thomas Hudson. - Ale obawiam się, że mógł po pijanemu.

- Willie jest pewny, że gadał.

- Czy on coś wie?

- Nie. Po prostu jest pewny.

- Istnieje taka możliwość. Ale mogą też popróbować dostać się na ląd, potem lądem do Hawany i odpłynąć na jakimś hiszpańskim statku. Albo na argentyńskim. Nie chcą, żeby ich złapali ze względu na tę masakrę. Dlatego myślę, że próbują czegoś desperackiego.

- Mam nadzieję.

- Jeżeli damy temu radę - powiedział Thomas Hudson.

Jednakże przez całą noc nic się nie działo poza przesuwaniem się gwiazd i stałym dmuchaniem wschodniego wiatru, i zasysaniem prądów koło statku. W wodzie była silna fosforescencja od wodorostów, które przyływy i rozkołysane wiatrem fale wyrwały z dna i które napływały, odpływały i napływały znowu, niby zimne smugi i plamy białego, niezdrowego ognia w wodzie.

Wiatr osłabł nieco przed świtem, a kiedy się rozwidniło, Thomas Hudson położył się i zasnął na pokładzie, leżąc na brzuchu, z twarzą wciśniętą w kąt brezentowej osłony. Antonio przykrył go i jego broń kawałkiem brezentu, ale Thomas Hudson spał i nie poczuł tego.

Antonio objął wachtę i kiedy przyływ wezbrał tak, że uwolnił statek, obudził Thomasa Hudsona. Wciągnęli kotwice i ruszyli, przy czym dinghy płynęła przodem, sondując i wytyczając wszelkie wątpliwe punkty. Woda przyływu była już teraz czysta i klarowna, a pilotowanie wprawdzie trudne, lecz nie tak jak poprzedniego dnia. Zatknęli gałąź w tym miejscu kanału, gdzie wczoraj siedli i Thomas Hudson obejrzawszy się zobaczył jej zielone liście poruszające się w prądzie.

Patrzył przed siebie i trzymał się tuż za dinghy posuwającą się kanałem. Minęli długą zieloną wyspę, która wyglądała jak mała okrągła wysepka, kiedy podpływali na wprost. Potem zbliżyli się do pozornie nieprzerwanej, choć zygzakowatej linii wysepek mangrowcowych i Gil, który miał lornetkę, powiedział:

- Jest pal. Na wprost dinghy, przy samych mangrowcach.

- Sprawdź - odrzekł Thomas Hudson - czy to kanał?

- Tak wygląda, ale nie mogę dojrzeć wejścia.

- Na mapie jest bardzo wąski. Będziemy się prawie ocierali o mangrowce po obu stronach.

A potem coś sobie przypomniał. "Jakże mogłem być taki głupi? - pomyślał. - Ale teraz musimy tak czy owak płynąć dalej i przedostać się przez ten kanał. Wtedy będę mógł posłać ich z powrotem." Zapomniał powiedzieć Willowi i Arze, aby zlikwidowali pułapki na łodzi żółwiowej. "To paskudna sprawa, zostawiać coś podobnego, jeżeli natknie się na to jakiś biedny rybak. Ano, mogą wrócić i rozminować ją."

Dinghy dawała mu znaki, żeby trzymał się jak najdalej w prawo od trzech maleńkich wysepek, a blisko mangrowców. A potem, jak gdyby chcąc się upewnić, że zrozumiał, zawróciła i podpłynęła.

- Kanał jest tam między mangrowcami - zawołał Willie. - Zostaw po lewej ten pal. My płyniemy naprzód. Dopóki nie damy ci znać, pruj dalej. To głęboki strumień.

- Zapomnieliśmy rozminować tę łódź żółwiową.

- Wiem - zawołał Willie. - My tam później wrócimy.

Ara uśmiechnął się, zakręcił dinghy i popłynęli przodem, a Willie dawał znaki, że wszystko w porządku. Skręcili w lewo i w prawo i zniknęli między zielenią.

Thomas Hudson sterował ich szlakiem. Było tu dużo wody, choć mapa tego nie wskazywała. "Ten stary kanał musiał być wypłukany przez huragan - pomyślał. - Wiele się zdarzyło od czasu, kiedy USS "Nokomis" wysyłał tu łodzie na sondowanie."

Zauważył, że z gąszczu mangrowców nie podrywają się żadne ptaki, gdy dinghy wpłynęła na wąską, zarośniętą rzeczułkę kanału.

Sterując powiedział przez tubę do Henry'ego, który był w przednim kokpicie:

- Mogą nas napaść na tym kanale. Mieli pięćdziesiątki gotowe do strzału z obu stron dziobu i z burty. Siedź za tarczą, wypatruj błysków i lej po nich.

- Dobrze, Tom.

Do Antonia powiedział:

- Tu mogą nas napaść. Przykucnij i jeżeli do nas strzelą, celuj poniżej błysków i wal w nich. Nie wychylaj się.

- Gil - powiedział. - Odlóż lornetkę. Weź dwa granaty, wyprostuj zawlecзки i połóż na stojaku przy mojej prawej ręce. Odegnij dwie zatyczki tych gaśnic i odlóż lornetkę. Prawdopodobnie uderzą na nas z obu stron. Tak przynajmniej powinni.

- Powiedz mi, kiedy rzucić, Tom.

- Rzuć, jak zobaczysz błyski. Ale rzucaj wysoko w górę, bo muszą spaść przez krzaki.

Nie było żadnych ptaków, a ponieważ nadszedł przypływ, wiedział, że muszą siedzieć w mangrowcach. Statek wchodził teraz na wąską rzeczkę i Thomas Hudson, z gołą głową, bosy i tylko w szortach koloru khaki, czuł się tak nagi, jak może czuć się człowiek.

- Połóż się, Gil - rzekł. - Powiem ci, kiedy wstać i rzucić.

Gil ułożył się na deskach z dwiema gaśnicami, które były wypełnione dynamitem z ładunkiem wybuchowym i które odpalało się za pomocą zestawu detonującego złożonego z granatu odłamkowego z zapalnikiem odpilowanym u złącza i nasadzoną spłonką dynamitową.

Thomas Hudson zerknął na niego i zobaczył, jak się poci. Potem patrzył na mangrowce po obu stronach.

“Jeszcze mógłbym spróbować cofnąć statek - myślał. - Ale chyba nie dałbym rady przy tym przypływie.”

Spojrzał przed siebie na zielone brzegi. Woda znów była brunatna, a liście mangrowców lśniły jak polakierowane. Szukał wzrokiem miejsca, gdzie któreś ścięto czy obłamano. Ale nie widział nic prócz zielonych liści, ciemnych gałęzi i korzeni, które odsłaniało zasysanie wody przez statek. Było też kilka krabów, które się pokazały, kiedy ich dziury pod korzeniami mangrowców zostały odsłonięte.

Płynęli dalej, kanał się zwężił, ale widać było, że dalej otwiera się szerzej. “Może po prostu miałem tremę” - pomyślał. Wtedy zobaczył kraba, który wysliznął się szybko spośród wysokich korzeni mangrowców i chlupnął w wodę. Popatrzał bacznie między mangrowce, ale nie mógł nic dojrzeć za pniami i gałęziami. Drugi krab wysunął się bardzo prędko i wlaź do wody.

W tej chwili otworzono do niego ogień. Nie widział migających błysków i został trafiony, zanim usłyszał terkot broni, a Gil zerwał się na równe nogi obok niego. Antonio strzelał pociskami smugowymi w miejsce, gdzie dojrzał błyski.

- Tam, gdzie lecą smugowe - powiedział Thomas Hudson do Gila. Czuł się tak, jakby ktoś go uderzył trzy razy kijem baseballowym, a lewą nogę miał wilgotną.

Gil cisnął bombę wysokim zamachem i Thomas Hudson ujrzał jej długi mosiężny cylinder i stożkowaty czubek błyszczący w słońcu. Leciąca wirując, nie koziółkując.

- Padnij, Gil - rozkazał i pomyślał, że sam też powinien paść. Ale wiedział, że nie może tego zrobić, że musi trzymać statek tak, jak płynął. Bliźniacze pięćdziesiątki otwarły ogień i słyszał ich łomotanie, i czuł wstrząsy bosymi stopami. “Bardzo hałaśliwe - pomyślał.

- To przygwoździ tych drani.”

Zobaczył oślepiający błysk bomby, zanim rozległ się huk, a dym zaczął się wznosić. Czuł dym i zapach połamanych gałęzi i spalonych zielonych liści.

- Wstań, Gil, i rzuć dwa granaty. Z jednej i drugiej strony dymu.

Gil nie wyrzucił granatów w górę. Cisnął je w sposób przypominający długi rzut z trzeciej bazy do pierwszej i w powietrzu wyglądały jak szare żelazne karczochy z dobywającą się z nich cienką strużką dymu.

Zanim się rozerwały z białym trzaskiem w mangrowcach, Thomas Hudson powiedział przez tubę:

- Henry, wal w nich. Nie mogą uciec.

Dym granatów miał inny zapach niż bomby i Thomas Hudson powiedział do Gila:

- Rzuć jeszcze dwa. Jeden za bombę i jeden blisko z tej strony.

Spojrzał, jak wylatują granaty, po czym padł na pokład. Nie wiedział, czy to on uderzył o pokład, czy pokład o niego, bo deski były bardzo śliskie od krwi, która spływała mu po nodze, a upadł ciężko. Po drugim wybuchu usłyszał dwa odłamki rozdzierające brezent. Inne uderzyły w kadłub.

- Pomóż mi wstać - powiedział do Gila. - Ten drugi rzuciłeś dość blisko.

- Gdzie cię trafili, Tom?

- W kilka miejsc.

W przedzie zobaczył Willa i Arę wracających w dinghy kanałem.

Poprosił Antonia przez tubę, żeby podał Gilowi apteczkę polową.

W tej samej chwili zobaczył, że Willie pada płasko na dziobie dinghy i zaczyna strzelać w mangrowce po prawej. Słyszał terkot jego Thompsona. A potem była dłuższa seria. Włączył obydwa motory i ruszył ku nim z całą szybkością, na jaką pozwalał kanał. Jego wycucie tej szybkości nie było zupełnie ścisłe, bo robiło mu się bardzo niedobrze. Przenikało go to do kości i na wskroś piersi i trzewi, a ból sięgał aż do jąder. Nie czuł się jeszcze słaby, ale wyczuwał pierwszy przyływ osłabienia.

- Skierujcie broń na prawy brzeg - powiedział do Henry'ego. - Willie wypatrzył ich więcej.

- Dobrze, Tom. Jak się czujesz?

- Jestem trafiony, ale czuję się dobrze. A ty i George?

- Doskonale.

- Strzelajcie, jak tylko coś zobaczycie.

- Dobrze, Tom.

Thomas Hudson zatrzymał motory i zaczął się cofać powoli, aby utrzymać statek poza kątem ognia Willa. Willie założył magazynek z pociskami smugowymi i usiłował wskazać nimi cel dla statku.

- Masz ich, Henry? - zapytał Thomas Hudson przez tubę.

- Tak, Tom.

- Wal w nich i dookoła krótkimi seriami.

Usłyszał, że pięćdziesiątki zaczynają łomotać, i dał znak Arze i Willowi, żeby wracali. Podpłynęli najszybciej, jak mogli z tym małym motorkiem. Willie strzelał cały czas, dopóki nie znaleźli się pod osłoną statku.

Willie wskoczył na pokład i wbiegł na pomost nawigacyjny, podczas gdy Ara cumował dinghy.

Spojrzał na Toma i na Gila, który zakładał mu opaskę zaciskającą na lewą nogę, tak blisko krocza, jak mógł ją umocować.

- Jezu Chryste - powiedział. - Co z tobą jest, Tom?

- Nie wiem - odrzekł Thomas Hudson. I rzeczywiście tak było. Nie widział żadnej z ran. Widział jedynie kolor krwi, a była ciemna, więc się nie martwił. Ale było jej za dużo i czuł się bardzo niedobrze.

- Co tam jest, Willie?

- Nie wiem. Jakiś gość z automatem strzelił do nas i rąbnąłem go. Przynajmniej jestem prawie pewny.

- Nie dosłyszałem przy tym hałasie, któryście robili.

- Wyście tu rozrabiali jak skład amunicyjny wylatujący w powietrze. Myślisz, że tam jeszcze coś jest?

- Możliwe. Ale daliśmy im szkołę.

- Trzeba będzie się przekonać.

- Możemy zostawić tych drani, żeby zdechli - powiedział Thomas Hudson. - Albo możemy teraz tam pójść i wykończyć ich.

- Ja bym raczej zajął się tobą.

Henry wymacywał teren pięćdziesiątkami. Był równie delikatny, jak szorstki z karabinem maszynowym, a ponieważ była ich para, wszystkie jego zalety się podwajały.

- Wiesz, gdzie oni są, Willie?

- Jest tylko jedno miejsce, gdzie mogą być.

- To walmy tam, aż z nich gównem powystrzelamy.

- Powiedziane, jak przystało na oficera i dżentelmena - rzekł Willie. - Zatopiliśmy im czółno.

- O! Tego też nie słyszeliśmy - rzekł Thomas Hudson.

- Nie robiliśmy dużo hałasu - powiedział Willie. - Ara rozrąbał je maczetą i rozciął żagiel. Sam Chrystus nie mógłby naprawić w miesiąc tego czółna za swoich najlepszych czasów w tym warsztacie stolarskim.

- Idź naprzód z Henrym i George'em, postaw Arę i Antonia przy prawej burcie i podpływajmy - powiedział Thomas Hudson. Było mu bardzo niedobrze i dziwnie, chociaż otumanienie jeszcze nie przychodziło. Opatrunki założone przez Gila powstrzymały krwawienie zbyt łatwo i wiedział, że jest wewnętrzne. - Kładźcie tam gęsty ogień i dawajcie mi znaki, jak płynąć. Czy oni są blisko?

- Zaraz przy brzegu, za tym małym wzniesieniem.

- Czy Gil tam sięgnie tymi dużymi?

- Wystrzelę parę smugowych, żeby mu wskazać cel.

- A oni tam jeszcze będą?

- Nie mają gdzie iść. Widzieli, jak rąbaliśmy czółno. Toczą Ostatnią Walkę Custer [Generał George A. Custer zginął w 1876 roku w walce z przeważającymi siłami Indian stawiając opór do ostatka.] w tych mangrowcach. Rany boskie, ale bym się napił piwa!

- Zimnego jak lód i w puszkach - powiedział Thomas Hudson. - Jedziemy.

- Jesteś okropnie blady, Tommy - rzekł Willie. - Straciłeś masę krwi.

- To podpływajmy prędko - odparł Thomas Hudson. - Jeszcze się dobrze czuję.

Podpłynęli szybko, a Willie wytknął głowę z prawej strony dziobu i od czasu do czasu podawał znakiem poprawkę.

Henry strzelał ogniem poszerzanym przed i za wzniesienie widoczne przy wyższych drzewach, a George obrabiał miejsce, które powinno być jego krawędzią.

- Jak tam, Willie? - zapytał Thomas Hudson przez tubę.

- Masz tutaj dosyć łusek, żeby założyć odlewnię miedzi - odrzekł Willie. - Naprowadź ten cholerny dziób na brzeg i ustaw się bokiem, żeby Ara i Antonio mogli celować.

Gilowi wydało się, że coś dojrzał, więc strzelił. Ale była to tylko niska gałąź drzewa, którą odciął Henry.

Thomas Hudson patrzył, jak brzeg zbliżał się i zbliżał, aż wreszcie znowu mógł dojrzeć poszczególne liście. Potem obrócił statek bokiem, dopóki nie usłyszał strzałów Antonia i nie zobaczył jego smugowych pocisków lecących trochę w prawo od pocisków

Willa. Ara strzelał także. Wtedy Thomas Hudson cofnął nieco statek motorami i podprowadził go do brzegu, lecz nie tak blisko, by Gil nie mógł rzucać.

- Rzuć gaśnicę - powiedział. - Tam, gdzie strzelał Willie.

Gil rzucił i Thomas Hudson znowu podziwiał ten rzut i lśnienie mosiężnego cylindra, który wirował wysoko w powietrzu, aby spaść niemal dokładnie tam, gdzie należało. Nastąpił błysk i huk, i wzbił się dym, a potem Thomas Hudson zobaczył człowieka wychodzącego ku nim z dymu z rękami splecionymi na głowie.

- Przerwać ogień - powiedział najszybciej jak mógł w obie tuby.

Ale Ara już strzelił i Thomas Hudson zobaczył, że ów człowiek osunął się na kolana głową naprzód między mangrowce.

Odezwał się znowu i powiedział:

- Wznović ogień. - A potem powiedział do Gila głosem bardzo zmęczonym: - Rzuć drugą mniej więcej w to samo miejsce, jeżeli możesz. Później rzuć kilka granatów.

Miał jeńca. Ale go stracił.

Po chwili spytał:

- Willie, chcesz zajrzeć tam z Arą?

- Jasne - odrzekł Willie. - Ale strzelajcie trochę, jak będziemy tam szli. Chcę zajść od tyłu.

- Powiedz Henry'emu, co chcesz. Kiedy mają przerwać?

- Jak tylko dojdziemy do wejścia.

- Dobrze, człowieku z dżungli - powiedział Thomas Hudson i po raz pierwszy miał czas zdać sobie sprawę, że prawdopodobnie umrze.

XXI

Usłyszał huk granatu rozrywającego się za małym wzniesieniem. Potem nie było już huku ani strzałów. Oparł się ciężko na kole sterowym i patrzył, jak dym granatu rzednie na wietrze.

- Przeprowadzę statek kanałem, jak tylko zobaczę dinghy - powiedział do Gila.

Poczuł, że Antonio go obejmuje ramieniem, i usłyszał jego głos:

- Połóż się, Tom. Ja wezmę ster.

- Dobrze - powiedział i spojrzął po raz ostatni na wąską, obrzeżoną zielenią rzeczkę.

Woda była brunatna, ale czysta, a przyływ mocny.

Gil i Antonio pomogli mu położyć się na deskach pomostu. Potem Antonio stanął przy kole sterowym. Cofnął jeszcze trochę statek, by go utrzymać w fali przyprływu, i Thomas Hudson czuł miły rytm dużych motorów.

- Rozluźnij mi trochę turnikiet - poprosił Gila.

- Przyniesiemy nadmuchiwany materac - powiedział Gil.

- Mnie dobrze na pokładzie - rzekł Thomas Hudson. - Chyba lepiej, żebym się za dużo nie ruszał.

- Połóżcie mu poduszkę pod głowę - powiedział Antonio. Spoglądał w głąb kanału.

Po chwili powiedział:

- Tom, dają nam znaki, żebyśmy płynęli.

Thomas Hudson poczuł, że motory ruszają i statek posuwa się naprzód.

- Zakotwiczcie go, jak tylko wyjdziemy z kanału.

- Dobrze, Tom. Nie rozmawiaj.

Zjawił się Henry i przejął koło i sterowanie, kiedy rzucali kotwicę. Teraz, gdy znowu znaleźli się na otwartej przestrzeni Thomas Hudson poczuł, że statek obraca się do wiatru.

- Tutaj jest masa wody, Tom - powiedział Henry.

- Wiem. Aż do Caibarien, a te dwa kanały są czyste i dobrze oznakowane.

- Proszę cię, nie mów, Tom. Leż spokojnie.

- Każ Gilowi przynieść lekki koc.

- Sam przyniosę. Mam nadzieję, że cię zanadto nie boli, Tommy.

- Boli - powiedział Thomas Hudson. - Ale nie tak strasznie. Nie boli gorzej, niż bolało to, cośmy razem strzelali.

- Jest Willie - powiedział Henry.

- Ty stary draniu - rzekł Willie. - Nie rozmawiaj. Było ich tam czterech z przewodnikiem. To była główna grupa. I jeszcze ten, którego Ara kropnął przez pomyłkę. Okropnie mu przykro z tego powodu, bo tak chciałeś mieć jeńca. Płacze i kazałem mu zostać na dole. Po prostu pociągnął, tak jak każdy by zrobił.

- W co ty rzuciłeś granat?

- A, w takie miejsce, które mi się nie podobało. Nie rozmawiaj, Tom.

- Musicie wrócić i rozminować tę łódź.

- Zaraz tam popłyniemy i sprawdzimy to drugie miejsce. Szkoda, psiakrew, że nie mamy szybkiej motorówki. Tommy, te cholerne gaśnice są lepsze niż osiemdziesięciotrzymilimetrowe móżdziejce.

- Nie taki zasięg.

- A na cholere nam zasięg? Ten Gil rzucał je jak do kosza.
- Płyńcie już.
- Bardzo z tobą źle, Tommy?
- Dosyć źle.
- Myślisz, że wytrzymasz?
- Będę się starał.
- Leż całkiem spokojnie. Nie ruszaj się za nic.

Odeszli na niezbyt długo, ale Thomasowi Hudsonowi ten czas wydał się długi. Leżał na wznak w cieniu baldachimu, który mu zrobił Antonio. Gil i George odwiązali brezent od nawietrznej strony pomostu nawigacyjnego i wiatr dolatywał świeży i przyjazny. Nie był tak silny jak wczoraj, ale wiał równomiernie od wschodu, a obłoki były wysokie i rzadkie. Niebo było tym błękitnym niebem wschodniej części wyspy, gdzie pasaty wieją najsilniej, i Thomas Hudson leżał, patrzył na nie i starał się panować nad bólem. Odmówił zastrzyku morfiny, który mu przyniósł Henry, bo uważał, że może jeszcze będzie musiał myśleć. Wiedział, że zawsze może wziąć go później.

Leżał pod lekkim kocem, z opatrunkami na swoich trzech ranach. Gil zasypał je grubo sulfą i Thomas Hudson widział proszek bielejący jak cukier w tym miejscu pokładu, gdzie stał przy kole, podczas gdy Gil go opatrywał. Kiedy zdjęli brezent, aby miał więcej powietrza, zauważył trzy małe dziurki tam, gdzie go przebiły kule, oraz inne na lewo i na prawo. Widział też rozdarcia brezentu od odłamków granatu.

Kiedy tak leżał, Gil przypatrywał mu się i widział jego głowę ubieloną morską solą i szarą twarz nad lekkim kocem. Gil był prostym chłopakiem. Był bardzo wysportowany i prawie tak silny jak Ara, i gdyby umiał odbić podkręconą piłkę, byłby bardzo dobrym graczem w baseball. Miał ramię doskonale do rzutu. Thomas Hudson spojrzał na niego i uśmiechnął się wspomniawszy granaty. A potem uśmiechnął się po prostu na widok Gila i długich mięśni jego ramion.

- Powinieneś był grać w baseball - powiedział, a własny głos wydał mu się obcy.
- Nigdy nie umiałem się opanować.
- Dzisiaj umiałeś.
- Może przedtem nie było to naprawdę potrzebne - uśmiechnął się Gil. - Chcesz, żeby ci trochę zwilżyć usta, Tom? Tylko kiwnij głową.

Thomas Hudson potrząsnął głową i popatrzał na jezioro będące wewnętrznym przejściem. Widać było teraz na nim białe piany. Ale były to małe fale od dobrej bryzy, dalej zaś widział błękitne wzgórza Turiguano.

“Tak zrobimy - pomyślał. - Popłyniemy do Centralu albo do tego drugiego miejsca i może tam będą mieli doktora. Nie, to za późno w tej porze roku. Ale mogą przysłać samolotem dobrego chirurga. Oni tam wszyscy są świetni. Zły chirurg jest gorszy niż żaden, więc mogę leżeć spokojnie, dopóki jakiś się nie zjawi i póki mnie nie ruszą. Powiniennem wziąć dużo sulfy. Ale nie powiniennem pić wody. Nie martw się tym, chłopie - powiedział do siebie. - Całe twoje życie do tego zmierza. Tylko czemu Ara musiał zastrzelić tamtego draba; mielibyśmy przynajmniej coś do pokazania i to wyszłoby na dobre. To znaczy, nie na dobre. Znaczący, że na coś by się przydało. Psiakrew, gdyby oni mieli tę siłę ognia co my! Musieli powyrywać pale na tamtym kanale, żeby nas wciągnąć w ten. Ale może gdybyśmy mieli jeńca, okazałby się głupi i nic by nie wiedział. Tylko że pożytecznie byłoby go mieć. Teraz nie jesteśmy zbyt pożyteczni. Owszem, jesteśmy. Zdejmujemy pułapki z tej łodzi żółwiowej.

Pomyśl, jak będzie po wojnie i jak znów będziesz malował. Tyle jest świetnych rzeczy do namalowania i jeżeli będziesz malował tak dobrze, jak rzeczywiście potrafisz, i trzymał się z daleka od wszystkiego innego, i robił jedynie to, będzie to prawdziwe. Umiesz malować morze lepiej niż ktokolwiek, jeżeli tylko chcesz i nie wplątujesz się w inne rzeczy. Trzymaj się teraz mocno myśli, że naprawdę chcesz to robić. A na to musisz mocno trzymać się życia. Ale życie jest tanie w porównaniu z pracą człowieka. Tyle tylko, że go potrzebujesz. Trzymaj się go mocno. Teraz nadeszła właściwa pora, żebyś to rozegrał. Rozegraj bez nadziei na nic. Krew zawsze krzepła ci dobrze i możesz jeszcze raz zagrać naprawdę. Nie jesteśmy lumpenproletariatem. Jesteśmy najlepsi i robimy to za darmo.”

- Tom, chcesz trochę wody? - zapytał znowu Gil.

Thomas Hudson potrząsnął głową.

“Trzy zafajdane kule - myślał - a mogą spieprzyć dobre malarstwo i niczego nie dowieść. Dlaczego te nieszczęsne dranie popełniły ten błąd na wyspie masakry? Mogliby się poddać i nic by im nie było. Ciekawe, kim był ten, co wyszedł, żeby się poddać, kiedy Ara strzelił. Mógł być kimś takim jak tamten, którego zastrzelili na wyspie masakry. Dlaczego oni muszą być takimi przeklętymi fanatykami? Ścigaliśmy ich dobrze i zawsze będziemy się bili. Ale mam nadzieję, że fanatykami nie jesteśmy.”

Usłyszał zbliżający się warkot motoru. Z miejsca, gdzie leżał, nie widział, jak podpływali, a potem Ara i Willie weszli na pomost. Ara był spocony, a obaj podrapani przez krzaki.

- Przykro mi, Tom - powiedział Ara.

- A, gównu - powiedział Thomas Hudson.

- Zabierajmy stąd dupę w troki - rzekł Willie - a ja ci wszystko opowiem. Ara, bierz się do kotwicy i przyslij tu na górę Antonia, żeby ją wciągnął.

- Idziemy na Central. Tak będzie szybciej.

- Fajnie - powiedział Willie. - Ale nic nie mów, Tom, i daj mi opowiedzieć. - Przerwał, położył lekko dłoń na czole Thomasa Hudsona, sięgnął pod koc i wymacał puls dokładnie, lecz bardzo delikatnie.

- Nie umieraj, ty draniu - powiedział. - Tylko się trzymaj i nie ruszaj.

- Rozkaz - rzekł Thomas Hudson.

- W pierwszej walce było trzech zabitych - wyjaśniał Willie. Siedział na pokładzie pod wiatr od Thomasa Hudsona, cuchnął kwaśno potem, jego uszkodzone oko znowu dziko tańczyło, a wszystkie blizny po operacji plastycznej na twarzy odcinały się białą. Thomas Hudson leżał bardzo spokojnie i słuchał go.

- Mieli tylko dwa pistolety maszynowe, ale usadowili się dobrze. Pierwsza gaśnica Gila rąbnęła w nich, a pięćdziesiątki zrobiły z nich łajno. Antonio też ich trafił. Henry naprawdę umie strzelać z tych pięćdziesiątek.

- Zawsze umiał.

- To znaczy przy takiej gorączce. Więc rozminowaliśmy tę krypę, a już się bardzo podniosła. Ara i ja poprzecinaliśmy wszystkie druty, ale zostawiliśmy ładunki. Teraz jest już w porządku, a mogę dokładnie pokazać na mapie, gdzie są te inne Szkopy.

Kotwica była wciągnięta i motory pracowały.

- Nie poszło nam za dobrze, co? - powiedział Thomas Hudson.

- Przechytrzyli nas. Ale mieliśmy siłę ognia. Im też nie poszło tak dobrze. Nie mów nic Arze na temat jeńca. Dostatecznie mu przykro. Mówi, że nacisnął, nim zdążył pomyśleć.

Statek zmierzał ku błękitnym wzgórzom i nabierał szybkości.

- Tommy - powiedział Willie. - Ja ciebie kocham, ty draniu, więc nie umieraj.

Thomas Hudson spojrzał na niego nie poruszając głową.

- Spróbuj zrozumieć, jeżeli to nie za trudne.

Thomas Hudson patrzył na niego. Czuł się teraz daleko i nie było żadnych problemów. Wyczuwał zwiększanie się szybkości statku i przyjemne pulsowanie jego motorów we własnych łopatkach spoczywających ciężko na deskach. Popatrzał w górę i zobaczył niebo, które zawsze kochał, i spojrzał na wielką lagunę mając teraz zupełną pewność, że nie namaluje jej nigdy, i zmienił nieco pozycję, aby złagodzić ból. Motory robiły już około trzech tysięcy obrotów i drganie przenikało przez pokład w niego.

- Myślę, że rozumiem, Willie - rzekł.

- Psiakrew - powiedział Willie. - Ty nigdy nie rozumiesz kogoś, kto ciebie kocha.